

ELIF Şafak

PchLI

PAŁAC

Przełożyła

Anna Akbike Sulimowicz

Wydawnictwo Literackie

Tytuł oryginału

Bit Palas

Copyright © Metis Yayinlari, 2002

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Literackie, 2009

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-04332-5

Oczywiście — szczególnie — Jutrzence,
mojej Matce

Szafak znaczy po turecku

„świt”, „poranek”, „jutrzenka”.

I getto może być miejscem wygodnym, dającym
poczucie bezpieczeństwa, ale gettem czyni je
przymus życia w nim. Teraz, gdy mury zaczęły
się kruszyć, wydaje mi się, że warto odgarnąć gruz
i stanąć twarzą w twarz z miastem poza nimi.

Ursula K. Le Guin

Mówią, że mam bujną wyobraźnię. To najsubtelniejszy sposób
na powiedzenie komuś: „Pleciesz bzdury!”. Może i mają rację.
Gdy zaczynam się niepokoić, gdy nie wiem, co i kiedy mam
powiedzieć, gdy boję się spojrzeń ludzi, a staram się tego nie
okazywać, gdy chcę przedstawić się komuś, kogo pragnę po-
znać, a nie przyznaję się, że naprawdę znam siebie w stopniu
bardzo ograniczonym, gdy przeszłość mi dokucza i nie mogę
pogodzić się z tym, że przyszłość wcale nie zapowiada się
lepiej, gdy dręczy mnie to, iż nie mogę być tą osobą, na jaką
wyglądam... plotę bzdury. Bzdury są jednakowo odległe od
prawdy i od kłamstwa. Kłamstwo jest odwrotnością prawdy,
a bzdury stapiają w sobie prawdę i kłamstwo, tak że nie da się
odróżnić jednego od drugiego. Wydaje się to skomplikowane,
ale w gruncie rzeczy jest bardzo proste. Tak proste, że można
wyrazić to jedną kreską.

Przyjmijmy, że prawda to linia pozioma. Coś w tym ro-
dzaju:

9

To, co nazywamy kłamstwem, oznaczmy linią pionową:

A jeśli chodzi o bzdury, będą one czymś takim:

Okręgiem. Ani poziomem, ani pionem, tylko okręgiem nie
mającym końca i początku.

Przezwyceżywszy zamiłowanie do szukania początku,
możemy wejść w okrąg w dowolnym miejscu. Ale i tak nie
będziemy mogli nazwać tego miejsca początkiem. Ani począt-
kiem ery, ani progiem, ani ostatnim przystankiem... Skądkol-

wiek byśmy rozpoczynali, zawsze byłoby jakieś „przedtem”. Nie wpadłam na to sama, usłyszałam o tym od kogoś, kto się zna na rzeczy. Dawniej, gdy pojemniki na śmieci miały okrągłe blaszane pokrywy, przesiadujące na murku dzieciaki bawiły się w pewną grę. Brała w niej udział określona liczba osób, nie za dużo, by nie robić tłoku, i nie za mało, by zabawa miała sens; dokładnie tyle, ile trzeba, a w dodatku do pary.

Aby znaleźć odpowiedź na pytanie „kiedy?”, na okrągłej pokrywie pojemnika w czterech kierunkach wypisywało się kredą słowa: „teraz”, „jutro”, „wkrótce”, „nigdy”, a następnie wprawiało ją w ruch, kręcąc umieszczonym na jej środku uchwytem. Zanim zdążyła zwolnić, wyznaczona osoba na chybił trafił dotykała jej palcem, raptownie zatrzymując, a potem sprawdzała, do którego słowa miała najbliżej. W drugiej turze szukało się odpowiedzi na pytanie „komu?”. Znów pisało się na blasze cztery wyrazy, tym razem na czterech pośred-

10
nich kierunkach: „mnie”, „ukochanej osobie”, „przyjacielowi”, „wszystkim”. I ponownie wprawiało się w ruch pokrywę, którą palce zatrzymywały w rozmaitych miejscach. W trzeciej turze padało pytanie: „Co się przydarzy?”. Na pozostałych ośmiu wolnych miejscach wpisywało się, tak aby było sprawiedliwie, cztery pomyślnie i cztery niepomyślnie zdarzenia: „miłość”, „małżeństwo”, „szczęście”, „bogactwo”, „chorobę”, „rozstanie”, „wypadek” i „śmierć”. Pokrywa ponownie zaczynała się kręcić i w dłonie grających sypały się, jedna po drugiej, tak upragnione odpowiedzi na pytanie: „wkrótce — mnie — bogactwo”, „jutro — ukochanej osobie — szczęście”, „teraz — przyjacielowi — małżeństwo” albo „nigdy — wszystkim — rozstanie”... Zacząć wcale nie jest trudno. Mogłabym dokonać jedynie kilku drobnych zmian w zasadach tej gry i kierując się jej logiką, najpierw znaleźć czas opowieści: wczoraj — dziś — jutro — w nieskończoności. Potem wybrać miejsce: tam, skąd przyszłam — tu, gdzie jestem — tam, dokąd zmierzam — nigdzie. Później przyszłaby kolej na graczy: ja — ktoś z nas — my wszyscy — nikt z nas. Na koniec, ciągle trzymając się czwórdzielnej kompozycji, mogłabym w wolne miejsca wpisać możliwe zakończenia. Jeżeli teraz cztery razy zakręcę blaszaną pokrywą, uda mi się ułożyć zgrabne zdanie. A jedno zdanie to wystarczająco dużo, by zacząć: „Wiosną 2002 roku w Stambule ktoś z nas zmarł, nie czekając na swój czas, nie czekając, aż pokrywa przestanie się kręcić”.

Ai. AŁ Al.

Pierwszego maja 2002 roku, w środę, o godzinie 12.20 brudna biała furgonetka — z przodu, z tyłu, z lewej i z prawej strony pokryta mnóstwem mniejszych i większych napisów, ozdobiona na jednym boku wizerunkiem gigantycznej myszy ze

11

spiczastymi zębami, a na drugim postacią wielkiego, czarnego włochatego pająka — stała zaparkowana od wczesnych go-

dzin rannych na rogu wąziutkiej uliczki wychodzącej na jedną z głównych arterii Stambułu: ulicę często zmieniającą charakter, a niekiedy i nazwę. Gdy koło południa, ignorując przewrócone z jakiegoś powodu barierki, furgonetka próbowała ruszyć dalej, nagle znalazła się pośrodku tłumu liczącego około dwóch tysięcy dwustu osób, z czego pięćset stanowili demonstranci usiłujący przejść w pochodzie z okazji Święta Pracy, a tysiąc trzysta — policjanci, wysłani, by do tego przemarszu nie dopuścić. Pozostali byli oficjelami składającymi w celu uczczenia Święta Wiosny wieńce pod pomnikiem Atatiirka, znajdującym się na drugim końcu ulicy, oraz wepchniętymi pomiędzy nich uczniami szkół podstawowych z chorągiewkami w rękach. Wiele z tych dzieci niedawno poznało litery i jak wszyscy, którzy dopiero uczą się czytać i pisać, skandowało sylaba po sylabie każdy napis, jaki zobaczyło. Gdy więc zdobna w wizerunki myszy i pająka furgonetka znalazła się między nimi, dzieciaki — zmuszone do milczącego stania godzinami w słońcu i dostające wysypki od słuchania heroiczych mów — wykrzyczyły chórem: „DE-ZYN-SEK-CJA-TE-CZA-wez-wij-cie-nas-a-my-za-was-od-wa-li-my-brud-ną-ro-bo-tę!”.

W obliczu tego niespodziewanego ataku kierowca furgonetki — osobnik w nieokreślonym wieku, z komicznym wyrazem twarzy, o marchewkowych włosach i odstających jak anteny satelitarne uszach — kompletnie stracił orientację. Chcąc jakoś umknąć przed chmarą dzieci, gwałtownie skręcił kierownicą i wjechał w pełen napięcia, mogący w każdej chwili eksplodować krąg, jaki powstał w miejscu, gdzie demonstranci stanęli naprzeciw policji. Przeciął go dokładnie w połowie. Przez kilka minut nie ruszył się z miejsca, nie wiedząc właściwie, w którą stronę się skierować, aż w końcu radośnie wygwizdali

12

go lub gniewnie obrzucili kamieniami demonstranci reprezentujący zróżnicowane poglądy, które wykwitły na bazie tej samej ideologii. Desperacko próbując ratować życie, kierowca postanowił więc przejechać na drugą połowę okręgu. Tu jednak na drodze stanęli mu policjanci. Na szczęście w tym samym momencie niewielka grupa protestujących z czoła tłumu zdecydowała się rozpocząć pochód i wszyscy funkcjonariusze rzucili się w jej stronę, dzięki czemu kierowca furgonetki w ostatniej chwili uniknął aresztowania. Gdy w końcu udało mu się wyjechać z placu, był cały zlany potem. Nazywał się Krzywda Óztiirk1. Od ponad trzydziestu lat zwalczał robactwo, ale przez te wszystkie lata nigdy nie czuł takiej awersji do swojej pracy jak owego dnia.

Zdecydowany nie nadstawiać więcej karku, zrezygnował ze skrótów wiodących przez główne ulice i zagłębił się w labirynt bocznych uliczek. Spóźniwszy się wszystkiego jakieś czterdzieści pięć minut, dotarł w końcu do miejsca, gdzie był umówiony. Doszedł już nieco do siebie, ale podjeżdżając do krawężnika, omiótł podejrzliwym spojrzeniem stojącą przy

wejściu do budynku grupę piętnastu czy dwudziestu osób. Choć nie znał przyczyny, dla jakiej ci ludzie się tam zebrali, uznał ich za nieszkodliwych. Sprawdził adres na kartce, którą wręczyła mu rano, jak zwykle zbyt rozmowna, sekretarka: ulica Żurnalowa numer 88, Pałac Cukiereczek. Gadatliwa kobieta nie omieszkła zamieścić poniżej dodatkowej wskazówki: „Drzewo jedwabne przy budynku”. Krzywda Óztiirk, ocierając kroplący mu się jeszcze na czole pot, z uwagą przyjrzał się rosnącemu przed budynkiem drzewu o kwiatach lekko purpurowych i różowych. To musiało być tutaj.

1 Wymowa w języku polskim niektórych głosek tureckich — zob. s. 502 (przypr. red.).

13

Nie mając jednak krztyny zaufania do swej sekretarki, którą i tak planował jak najszybciej zwolnić, Óztiirk postanowił samodzielnie sprawdzić tabliczkę z nazwą budynku i przekonać się na własne, potwornie krótkowzroczne oczy. Zaparkowawszy byle jak, wysiadł z pojazdu. Nie zdążył jeszcze zrobić kroku, a jedno z trojga dzieci bawiących się nieopodal wrzasnęło jak oparzone:

— Patrzcie, patrzcie! Dżin przyjechał! Dziadku, dziaaadku!

Patrz, dżin!

Dziewczynka szarpała za spodnie starszego mężczyznę, z brodą przyprószoną siwizną, o szerokim czole, w takke1 na głowie, który odwrócił się i obrzucił niechętnym spojrzeniem najpierw furgonetkę, a potem jej kierowcę. Najwyraźniej ich widok nie przypadł mu do gustu, gdyż jego twarz nabrała jeszcze bardziej skwaszonego wyrazu — jednym ruchem przyciągnął trójkę wnuków do siebie.

Krzywda Óztiirk poczuł się urażony. Nie był przecież dzie-
nem ani niczym takim. Był po prostu człowiekiem, którego natura obdarzyła nieregularnymi rysami twarzy, olbrzymimi uszami, nieszczęsnym kolorem włosów i niskim, ba, bardzo niskim wzrostem. Miał tylko metr czterdzieści i pół centymetra. Bywał już nazywany karłem, ale pierwszy raz w życiu ktoś brał go za dżina. Starając się tym nie przejmować, ruszył zdecydowanym krokiem w stronę szarej kamienicy, odsuwając na bok zagrządzających mu drogę ludzi. Włożył okulary o grubych szklach i cienkich oprawkach, które wbrew zaleceniom okulisty zamiast na nosie nosił na ogół w kieszeni jeszcze bardziej pomarańczowego niż jego włosy kombinezonu. Ale i tak nie i Takke — podobna do krymki miękka czapeczka, noszona na ogół przez starszych mężczyzn, praktykujących muzułmanów. (Jeśli nie zaznaczono inaczej, przypisy pochodzą od tłumaczki).

14

mógł rozpoznać niekształtnej wypukłości na froncie budynku, dopóki nie podszedł pod samą ścianę. Była to czarna od brudu płaskorzeźba przedstawiająca pawia. Gdyby ją oczyścić, mogłaby być naprawdę piękna. Tuż pod nią, nad dwuskrzydłowymi drzwiami widniały fantazyjne litery tworzące napis:

Pałac Cukiereczek, nr 88. Znaczy się, dobrze trafił. Jego uwagę zwróciła wizytówka wciśnięta pomiędzy przyciski dzwonek. Należała do konkurencyjnej firmy, która dwa miesiące temu rozpoczęła w tym rejonie działalność. Wykorzystując brak zainteresowania swoją osobą, wyciągnął ją i zastąpił własną:
„tfšeza”

Nie męczcie się dłużej, wezwijcie nas,
a my za was odwalimy brudną robotę!
Doświadczony personel za pomocą pomp
elektrycznych i mechanicznych zwalcza wszy,
PRUSAKI, PCHŁY, PLUSKWI, MRÓWKI, PAJĄKI, SKORPIONY,
MUCHY, MYSZY I WSZELKIE INNE ROBACTWO.

Wykonujemy usługi dezynsekcyjne, także
bezwonne, w technologii przystosowanej do
obiektów zamkniętych i otwartych, z wykorzy-
staniem zraszaczy, spryskiwaczy i rozpylaczy
spalinowych, mechanicznych i elektrycznych.
•i Tel. (0212) 258 242 40

Gdy wydrukował te wizytówki, najął studentów, by zanieśli je do każdego domu w okolicy. Ale studenci odwalili zlecenie byle jak, a on uznał, że chcieli go oszukać, więc pogonił ich,
15

nie zapłaciwszy ani grosza. Taką Krzywda Oztiirk miał już naturę — nie dowierzał nikomu.

Wyciągnął z kieszeni jeszcze jedną wizytówkę, wcisnął ją dodatkowo na poprzednią i odwróciwszy się, wskoczył żwawo do furgonetki. Jeszcze nie zdążył zamknąć drzwi, gdy z okna wychyliła się blondynka w ceratowej pelerynce w lamparcie cętki i obrzuciła go zezującym spojrzeniem.

— Tym tylko pan przyjechał? Przecież to nie wystarczy!

— powiedziała, marszcząc starannie wyskubane brwi. — Mieli przecież wysłać dwie ciężarówki. Zresztą tyle śmieci to nawet dwiema ciężarówkami trudno będzie wywieźć.

Zanim Krzywda Oztiirk zdołał zrozumieć, o co chodzi, w ulicę Żurnalową wtoczyły się z przeciwległych stron dwie czerwone ciężarówki — jakby słyszały, że właśnie o nich mowa. Wjechały z dużą prędkością i zatrzymały się przed Cukiereczkiem. Furgonetka uwięzła między nimi.

Zebrany tłumek nagle zafalował, gdy za wielkimi autami pojawił się pojazd należący do jednej z prywatnych stacji telewizyjnych. Krzywda Oztiirk postanowił lepiej zaparkować, ale dokładnie w tym momencie dały o sobie znać nerwy napięte wskutek przeżyć związanych z udziałem w demonstracji. Żyła biegnąca z prawej strony jego czoła nagle wezbrała i zaczęła silnie pulsować. Chcąc ją uciszyć, oderwał ręce od kierownicy i stracił panowanie nad pojazdem. Furgonetka na wstecznym biegu wjechała w worki ze śmieciami piętzące się pod murkiem, który oddzielał kamienicę od ulicy. Zawartość rozerwanych worków wysypała się na chodnik.

Mieszkańcy Pałacu Cukiereczek od dłuższego już czasu uskarżali się na śmieci. Nie tyle na własne, ile na te gromadzące się na zewnątrz. Od początku lutego do połowy kwietnia, czyli

16

od plajty prywatnej firmy wywozowej do wygrania przetargu przez nową, góra odpadków i wydzielany przez nią kwaśny odór stały się nie do wytrzymania. Nawet działania nowej firmy niewiele zmieniły. Mieszkańcy pozostałych domów przy tej ulicy, a także przechodnie podrzucali pod murek swoje śmieci, które do wieczoru, kiedy były regularnie wywożone, zawsze zdążyły uformować pokaźną górkę.

Jeszcze dziś, gdybyście wiedzeni ciekawością tam się udali, ujrzelibyście przy murku oddzielającym kamienicę od ulicy pagórek utworzony przez worki z odpadkami. Śmieci rzucono, śmieci zbierano, ale górka wytrwale trzymała się swego miejsca, przyciągając zbieraczy puszek, kartonów, resztek jedzenia i podobnych rzeczy oraz członków Cechu Poszukiwaczy: koty, wrony, mewy, z ich królem — długowłosym kocurem, czarnym jak smoła, z białą brodą i okrucieństwem malującym się na pysku. Oczywiście były też owady. Bo tam, gdzie śmieci, są i one. W Pałacu Cukiereczek harcowały nawet wszy. A wierzcie mi, one są najgorsze.

Aby to wszystko zauważyć, powinniście spędzić tam nieco czasu. Jeśli go jednak nie macie, musicie zadowolić się wysłuchaniem mojej opowieści. Ale uwaga, mówię własnym głosem, nie dodając zbyt wiele od siebie do opisywanych wydarzeń. Chociaż niezupełnie. Raczej łączę poziomą linię prawdy z pionową linią kłamstwa, starając się jak najdalej uciec od stagnacji panującej w miejscu, w którym się znajduję. Robię tak z nudów. Gdyby pojawił się jakiś zwiastun tego, że w przyszłości moje życie będzie mniej nudne, nie byłoby teraz tak dokuczliwe. Ale wiem, że jutro będzie dokładnie takie samo jak dzisiaj i takie same będą też dni następne.

Wiem też, że nie tylko moje życie tak uparcie się nie zmienia. Bo choć z pozoru różne, linia pionowa i pozioma pozostają wierne swojej ciągłości. Wbrew powszechnym opiniom

17

wieczna powtarzalność nie dotyczy bowiem okręgów, lecz linii.

Znam tylko jeden sposób uniknięcia jednostajności linii prostej: koncentryczne okręgi. Chociaż możecie to uważać za psucie zabawy, bo przypomina obrażanie się na pokrywę z blachy, która podsuwa układ słów trudny do przyjęcia. Obrażacie się i zaczynacie znowu nią kręcić i znowu. Bawicie się podmiotami, dopełnieniami, orzeczeniami i przypadkami, i tak bawiąc się, szukacie pocieszenia. „Wiosną 2002 roku, w Stambule powodem jego śmierci był on sam/ja/my wszyscy/nikt z nas”.

Tamtego dnia Krzywda Óztiirk przeprowadził dezynsekcję

kolejno we wszystkich mieszkaniach Pałacu Cukiereczek, ale gdy po piętnastu dniach wrócił, by zająć się młodymi wyklutymi z jaj, które samice karaluchów zdążyły złożyć przed śmiercią, zastał drzwi pierwszego mieszkania zamknięte. O tym nie pora jednak jeszcze mówić. Istnieje przecież jakieś przedtem i coś przed tym przedtem.

Przedtem w tym miejscu znajdowały się dwa stare cmentarze. Jeden mały, czworokątny, zadbany. Drugi duży, półokrągły, zaniedbany. Oba jednocześnie nieziemsko zatłoczone i kompletnie bezлюдne, otoczone płotami porośniętymi pnączem i ocienione pagórkami. Duży należał do muzułmanów, mały — do Ormian. Aby nikt nie ważył się przeskoczyć oddzielającego je muru o wysokości koło półtora metra, na jego szczycie umieszczono na sztorc zardzewiałe gwoździe, kawałki szkła, a nawet odłamki stłuczonych lusterek, nic sobie nie robiąc z pecha, jakiego mogłoby to przynieść. Bramy cmentarzy, wielkie, dwuskrzydłe, z metalowych prętów, zostały bowiem umieszczone we wspólnym murze po przeciwnych stronach, tak że jedna wychodziła na północ, a druga na południe. Gdy więc ktoś z odwiedzających chciał przejść z jednego cmentarza na drugi, musiał wyjść i pójść wzdłuż zewnętrznego ogrodzenia albo ku szczytowi wzgórza, albo w dół zbocza. Tylko tak mógł się tam dostać. Ponieważ jednak nigdy się nie zdarzyło, by ktoś mający bliską osobę pochowaną na jednym cmentarzu chciał odwiedzić także drugi, raczej nikt nie był narażony na pokonanie tej niedogodności. Ale niektórzy, czy to dniem, czy

21
nocą, pokonywali dzielący nekropole mur, kiedy tylko im się zachciało — a byli to wiatr i złodzieje, jaszczurki i koty. Oni znali najróżniejsze sposoby, by przedostać się na drugą stronę — ponad murem, pod nim i przez niego.

W końcu jednak oba cmentarze stały się dwiema wysepkami spokoju, otoczonymi ze wszystkich stron gwarnym miejskim morzem. Miasto bowiem, pęczniejące od nie kończącego się napływu ludzi, rozlewało się strumieniami swoich betonowych armii — kolumnami identycznych na pierwszy rzut oka budynków — zajmujących marszowym krokiem coraz to nowe tereny. Nieprzerwanie powstawały kolejne kamienice i osiedla szeregowych domków, a jednocześnie tworzyła się, przypominająca z lotu ptaka układ naczyń krwionośnych w mózgu, sieć krzyżujących uliczek, biegnących prosto lub skręcających w zależności od położenia budynków. I tak domy przecinały drogę ulicom, a ulice domom i cała dzielnica rozrastała się, pęczniała, tyła jak nieostrożna ryba, która wciąż żeruje, nie zdając sobie sprawy, że już się nasyciła. I gdy rozděła się tak, że wydawało się, iż zaraz pęknie, potrzebne było malutkie cięcie, przez które dotarłoby do jej wnętrza świeże powietrze, ruch skalpela, który uzdrowiłby ten wielki utrudzony brzuch. Tą szczeliną miała być nowo budowana arteria.

Nieprzewidywany i nieunikniony rozrost spowodował, że wszystkie ulice i zaułki dzielnicy spiętrzyły się jak woda, która nie może znaleźć ujścia i napiera na brzegi. Uznano więc, że jedynym sposobem umożliwienia jej odpływu jest wybudowanie udrożniającego kanału — głównej ulicy. Ale gdy przyszło do ustalenia z lotu ptaka miejsca, skąd i jak miałaby ona przebiegać, władze miejskie spotkała niemiła niespodzianka: na całej trasie, którą miałaby przechodzić, znajdowały się, jakby celowo tu umieszczone, a to budynki urzędów publicznych, a to nieruchomości należące do ważnych osób, a to stłoczone

22

jeden obok drugiego domki biedoty, które niby nie były istotne, ale których wyburzenie mogłoby przysporzyć wszystkim dość dużych kłopotów. Planowanej drodze trzeba było więc najpierw utorować drogę.

A ponieważ w Stambule nie buduje się domów według ulic, ale ulice według domów, poprowadzenie nowej arterii oznaczało możliwość wyburzenia jedynie minimalnej liczby budynków. I w ten sposób powstała jedyna możliwa trasa jej przebiegu — przez położony na zboczu teren, na którym znajdowały się cmentarze.

Gdy przygotowany zgodnie z tymi założeniami raport został zatwierdzony, postanowiono w ciągu dwóch i pół miesiąca zlikwidować obie nekropolie i wyrównać teren, tak, by mogła przebiegać przezeń droga. Bliscy osób tam pochowanych nie powinni mieć powodów do obaw — wszystkie bez wyjątku groby można było przenieść w inne miejsca. Na przykład mużułmańskie — na zbocza od strony Złotego Rogu, a niemuzułmańskie — na istniejące w innych dzielnicach cmentarze.

I choć większość grobów była tak stara, że krewni osób w nich pochowanych również przenieśli się już na tamten świat, to liczba ludzi głęboko zaangażowanych w całą akcję i gotowych ją utrudnić znacznie przekroczyła szacunki władz. Jedni domagali się zostawienia zmarłych w spokoju, a inni niestrudzenie szukali sposobów na unieważnienie tej decyzji, gdyż we wskazanym im nowym miejscu pochówku dowiadawali się, że tamte cmentarze również są kompletnie zapełnione. Większość jednak chciała zrobić to, co do niej należało, jak najszybciej więc zabrała się do działania. W ciągu kolejnych dni nekropolia mużułmańska przyjmowała o różnych porach rzesze gości najrozmaitszego autoramentu. Gdy świtało, stróże cmentarni zasypywali wykopane po ciemku doły i zbierali rozrzucone piszczele, starając się ukryć przed odwiedzającymi to

23

miejsce za dnia ślady nocnej działalności innych. Koło południa pojawiali się miejscy urzędnicy nadzorujący ich pracę, a po południu ściągali tu całymi hordami rodziny zmarłych, ogarnięte niepokojem, że szczątki ich bliskich mogłyby wymieszać się z innymi szczątkami. Przychodziły porozmawiać z kamieniami nagrobnymi, a nierzadko także po to, by się im wyżalić.

Wśród tych krewnych było kilka kobiet w starszym i średnim wieku, które aż do oficjalnego zakazu wstępu przychodziły na cmentarz w niemal każdy boży dzień i gdy zmęczyło je stanie na nogach, rozkładały przy grobach bliskich dywaniki i siadały na nich jedna obok drugiej. A potem zaczynały — czasem pojedynczo, czasem grupowo — lamentować i głośno się modlić, mocno tuląc w objęciach przyprowadzone ze sobą dzieci, aby je uciszyć i zmusić do okazania szacunku. Czas płynął, nastrój stawał się coraz poważniejszy i chmura rozleniwienia opadała na siedzące kobiety. Siły nadprzyrodzone schodziły na ziemię — tak możemy to określić. Ale nawet najbardziej cudowne, świetliste aureole podlegają prawu ciężenia. Kobiety otwierały swe, nie wiadomo jak dawno kupione, nieodmiennie brązowe torby i częstowały się nawzajem wyciągniętymi z nich anyżowymi ciasteczkami oraz herbatą przyniesioną w termosach. Z krążących z rąk do rąk butelek nalewały sobie na dłonie wodę kolońską i przecierały spoczone twarze oraz krwistoczerwone pręgi, jakie zostawiły im na kolanach zbyt obcisłe gumy nylonowych pończoch. I tak aż do wieczoru. Wtedy odwracały jedna po drugiej strony starych zeszytów, pełne skreśleń i notatek na marginesach, i zaczynały wymieniać imiona osób, które niegdyś źle potraktowały zmarłych. Rozmawiając o tym, gdzie są i co robią ci, co jeszcze żyli, szybko przechodziły od wspomnienia nieboszczyka do plotkowania o żyjących. Potem herbata się kończyła, z ciasteczek pozostawała tylko garść ziarenek anyżu i któraś z nich

24

przypominała sobie, że krewny, który wycierpiał tyle katuszy za życia, nawet po śmierci tu, w ziemi, nie może zaznać spokoju. Nagle smutek tego miejsca odpędzał obłok rozleniwienia. Możemy powiedzieć, że oto przyziemność wznosiła się w niebiosy. Wszakże nawet najbardziej przyziemne sprawy nie są obojętne na urok firmamentu. Tak właśnie niektóre kobiety w starszym i średnim wieku przebywały krok po kroku drogę od modlitwy do złorzeczenia i od złorzeczenia do plotek, trafiając na koniec znowu do punktu wyjścia.

A wróciwszy do początku, szukały oczyma dzieci, które bez cienia strachu biegały wśród nagrobków i bawiły się w najlepsze. Odszukiwały jedno po drugim i przyprowadzały na ostatnią modlitwę. Wtedy na cmentarz wracali mężczyźni, zmęczeni całodziennym szeptaniem do głuchego ucha biurokracji swych próśb, z uzyskanymi na koniec dnia kilkoma dokumentami i mapą nowego cmentarza, na której w żaden sposób nie udawało im się ustalić, gdzie mają zostać pochowani ich zmarli. Z zimną krwią przyjmowali harde pytania i arbitralne komentarze swych matek, sióstr, żon, teściowych, stryjenek, bratowych, ciotek, szwagierek i córek, zdawali relacje, jakby wszystko mieli pod kontrolą, jakby rozwój wydarzeń odbywał się za ich wiedzą. Zwijano wtedy dywaniki, żegnano groby, a niektóre kobiety, zauważywszy sprzeczności

w opowieściach mężczyzn, zadawały nowe pytania lub z uporem powtarzały stare. To z kolei sprawiało, że mężczyznom, którzy przez cały dzień znajdowali się w trybach biurokracji, puszczały napięte jak cięciwy łuków nerwy i tak wśród wtóru wzajemnych pokrzykiwań na siebie, nie mogące niczego osiągnąć, rodziny wychodziły z cmentarza. Potem zapadał zmrok, zamykano dwuskrzydłową bramę z żelaznych prętów i nastawała bezgłośna pora cmentarnych złodziei i bezpańskich psów.

25

Jeśli chodzi o cmentarz ormiański, w te dni spotkać tam można było podobnie wielu odwiedzających. Z jedną różnicą: przeważająca ich część przychodziła tu nie po to, by zmarłych przenieść, ale by się z nimi pożegnać. Nawet jeżeli udałoby się im dostać zgodę na ekshumację, to w jakim kącie którego ze swoich znajdujących się w innych dzielnicach cmentarzy, coraz mniej licznych i coraz mniejszych, mieliby pochować ich szczątki? Przenieść niektóre nagrobki zdołały tylko majątne rodziny i kościoły. To wszystko. Groby opuszczone, którymi nikt się nie opiekował, i groby przodków znanych rodów pozostały. Podobnie jak groby tych, których dzieci i wnuki rozjechały się po świecie, tych, których potomkowie pozostali w Stambule, tych, którzy przez całe życie ślepo okazywali szacunek państwu, i głęboko przywiązanych do wiary, oraz tych, którzy nie uznawali ni państwa, ni Boga...

Tak to bowiem bywa. Bycie mniejszością nie przysparza szczęścia, i to nie z powodu jej liczebności, ale dlatego że jest postrzegana jako jednorodna jakościowo. Jej przedstawiciel może sumiennie pracować, ba, nawet zbić fortunę na udanym przekręcie, ale pewnego dnia tylko dlatego, że należy do mniejszości, zostanie wrzucony do jednego worka ze swymi rodakami, którzy przez całe życie zbijali bąki lub byli abnegatami, nie myjącymi nawet końców palców i czubka nosa, i potraktowany w identyczny sposób jak oni. Dlatego wywodzący się z mniejszości bogacze nigdy nie są wystarczająco bogaci ani osoby wpływowe wystarczająco wpływowe. Zwłaszcza w Turcji lat pięćdziesiątych bogaty muzułmanin widział w ubogim muzułmaninie kogoś absolutnie różnego od siebie, kto, choć niepodobny, jest traktowany tak samo jak on. Ta sama nędza, która w jednym wyzwala litość, w drugim może wyzwalać obawę przed złym traktowaniem. A choćby i człowiek nie lękał się złego traktowania, może łatwo zgubić swój cel — może

26

pomylić przyczyny ze skutkami. I właśnie dlatego, gdy wyższe warstwy większości okazują naiwne miłosierdzie najszerszej pojmowanym ubogim i najbardziej abstrakcyjnie rozumianej nędzy, wyższe warstwy mniejszości z cynicznym chłodem traktują potrzebujących, którzy wywodzą się z ich społeczności. Ale dość już tych podziałów. W ciągu wyznaczonego czasu udało się przenieść bardzo niewiele ormiańskich grobów

— na miejscu pozostała większość mniejszości. Z cmentarza mużułmańskiego zaś zniknęło znacznie więcej zmarłych — zostawiono tylko mniejszość większości. I tak oto te dwie grupy, których imiona, korzenie czy dzieje ani trochę nie były do siebie podobne, w identyczny sposób zamknęły kartę swej obecności w Stambule. Możemy określić ich wspólnym mianem: ci, którzy nie zdołali odejść. Najgorszą stroną przynależności do nich nie był brak szans na odejście, lecz niemożność pozostania. W ziemi, która ich wygnała, wciąż szukają schronienia.

I właśnie wtedy, na tym etapie prac, zanim buldożery zaczęły swą robotę, zadziałał przypadek. Część grobów tych, którzy nie zdołali odejść, została rozgrabiona przez złodziei, a ich kości rozwleczone przez psy, szczątki niektórych znalazły się w zupełnie innym miejscu niż pochowani niegdyś u ich boku mężowie i żony. Część z powodu podobieństwa nazwisk albo nieuctwa urzędników, nie potrafiących właściwie odczytać dawnego pisma, została wymieszana ze szczątkami innych, a większość — po prostu cichcem zniszczona. O tym, co któremu z nich się przydarzyło, decydował tylko i wyłącznie przypadek.

Gdy ostatecznie zakończono wszystkie te czynności, rozległy teren był poryty dziurami, jakby padł ofiarą najazdu kretów. Ale gdy przyszło do jego wyrównania, okazało się, że stoją jeszcze na nim dwa nagrobki wykute z białego żyłkowanego

27

marmuru, ozdobione motywami roślinnymi, układającymi się w kształt gintamani¹, i potrójnych wiatraczków², zwieńczone kamiennymi turbanami wielkości koła, od podstawy do szczytu mierzące jakieś 146 centymetrów i otoczone zakończonymi ostro jak strzały zielonymi sztachetami.

Oba te, podobne do siebie jak dwie krople wody, nagrobki znajdowały się na cmentarzu mużułmańskim: jeden na zboczu od południa, drugi na północy, równoległe do muru oddzielającego nekropolię ormiańską. Na obu płyta w nogach ozdobiona była motywem hiacyntów i tulipanów, wyrastających z wazy, w obu podstawa była w identyczny sposób podzielona na pola pod ostro zakończonymi łukami, oba opatrzone były tą samą inskrypcją wykonaną pismem celi sulus³: Allah bes bakiy heyes⁴. A co dziwniejsze, przy obu znajdowała się taka sama zardzewiała tabliczka, bez wątpienia umieszczona w tym samym czasie przez tę samą osobę: „Tu spoczywa Derwisz Wędrowiec, który walcząc w armii Abu Hafs-i Haddada⁵, dokonał w imię zwycięstwa islamu licznych walecznych czynów. Nie doczekawszy jednak zdobycia Stambułu, odszedł cieszyć się łaską Sprawiedliwego. Zmów Fatihe⁶ za jego duszę”.

Gdy operator buldożera zabrał się do usuwania tych dwóch kamiennych grobowców, zaczął odczuwać tak silne bóle mięśni, że musiał wcześniej skończyć pracę. Następnego dnia bóle co prawda mu przeszły, ale nie chciał nawet wejść do kabiny.

i Cintamani — motyw dekoracyjny spotykany w sztuce tureckiej, składający się z podwójnych falistych linii i ułożonych w piramidkę trzech kół.

2 Carkifelek — motyw dekoracyjny w kształcie wiatraczka.

3 Celi siiliis — jeden z rodzajów ozdobnego pisma arabskiego.

4 Allah bes bakiy heves — Bóg wystarcza (wierzącemu), wszystko inne to ulotne pragnienia.

5 Abu Hafs-i Haddad — żyjący w IX w. świątobliwy mąż.

6 Al-Fatiha, sura Otwierająca — pierwsza sura Koranu.

28

Trzeciego dnia zamiast niego na cmentarzu pojawił się dziadek, którego czas może i pozbawił siły w kolanach, a zębów w ustach, ale bynajmniej nie odebrał mu chęci do zabierania głosu. Przed każdym, kto się napatoczył, roztaczał straszliwą wizję tego, co niechybnie przydarzy się tym, którzy odważą się tknąć grobów świętych mężów. Czwartego dnia żaden z robotników nie śmiał nawet zbliżyć się do buldożera. Co prawda nikt oprócz nich nie zdawał się przejmować losami szczątków Derwisza Wędrowca, ale w końcu i decydenci zaczęli interesować się tą sprawą, gdy ktoś podszeptał im, że może to zostać uznane za brak szacunku wobec duchowych przywódców i wykorzystane przez politycznych przeciwników. Był rok 1949, równowaga polityczna wisiała na włosku. Opozycja wysuwała coraz to nowe oskarżenia, rządzący gładko przedstawiali argumenty na swoją obronę, a jedni i drudzy nieustannie trąbili o tym, jak to ich oponenci nie okazują szacunku religii. I w takim właśnie momencie do akcji włączyli się trzej zaprzyjaźnieni doradcy.

Pierwszy z nich wystąpił z pomysłem, by nowa ulica w tych dwóch miejscach tworzyła łuki — w ten sposób ominie groby świętych mężów. Nikt jednak tego człowieczka nie traktował serio od dnia, gdy jego żona na wieść o tym, że w ciągu jednego wieczoru roztrwonił w nocnym lokalu całe pieniądze na czynsz, odwiedziła go w miejscu pracy i na oczach wszystkich, zdrowo obsztorcowawszy, wymierzyła mu siarczysty policzek. Dlatego jego propozycja spotkała się z obojętnością.

Drugi doradca wymyślił, by droga przebiegała prosto, jedynie przed miejscami, gdzie znajdowały się groby, rozdzielając się na pasma jak dii peyniri¹, by za nimi znów się połączyć.

1 Dii peyniri — rodzaj sera, który łatwo rozdziela się na płaty, nieco podobny do włoskiej mozzarelli.

29

Wszyscy wiedzieli, że ten doradca, wprawdzie z trudem, ale potrafił zmusić żonę do posłuszeństwa, a nawet podnieść na nią głos i rzucić o ścianę jedzeniem, jeśli mu nie smakowało. Ponieważ jednak nikt nie chciał przyjąć na siebie odpowiedzialności za wypadki, do jakich mogłoby tu dojść, i ta propozycja nie spotkała się z uznaniem. Wtedy trzeci doradca skonstatował, że pośpiech jest tu niewskazany, że w celu znalezienia najlepszego rozwiązania trzeba najpierw dokładnie wyjaśnić całą sytuację. Po czym zaczął rozwodzić się nad

tym, że przy dokładniejszym przyjrzeniu się sprawie można znaleźć niejedną nielogiczność. Na zakończenie stwierdził z przekonaniem: „Najpierw diagnoza, potem terapia!”.

Kwestie, których wyjaśnienie postulował trzeci doradca, były następujące:

1. Czym była armia Abu Hafs-i Haddada i co robiła w Stambule?
2. Jeżeli był to jeden z walczących w imię islamu arabskich oddziałów, które dotarły do Konstantynopola, czego szukał w nim Derwisz Wędrowiec, bo jego imię przecież nie brzmiało z arabska?
3. Jeżeli Derwisz Wędrowiec rzeczywiście wraz z Arabami próbował zdobyć Konstantynopol i zginął na polu walki, dlaczego wystawiono mu dwa nagrobki?
4. I w końcu: który grób jest prawdziwy?

Wyszczególniwszy te kwestie jedna po drugiej, trzeci doradca stwierdził, że jeśli czas jest aż tak ważny, to trzy pierwsze pytania można pominąć, ale podkreślił konieczność ustalenia, który grobowiec jest prawdziwy. Był niezłym mówcą, a w dodatku kawalerem.

Propozycja ta spotkała się z uznaniem i została przyjęta, ale jedynym sposobem na ustalenie, który grób jest prawdziwy, było rozkopanie obu. Tymczasem w ówczesnej sytuacji

30
otwieranie grobu świętego męża przypominało rozpakowywanie prezentu od nieznanego: prawdopodobnie paczka nie zawiera niczego niebezpiecznego, ale co będzie, jeśli zawiera? Na domiar złego pewien wścibski i nadużywający przekleństw dziennikarz, o którym mawiano, że na śniadanie jada chleb namoczony w raki, zamieścił w czołowej opozycyjnej gazecie artykuł zatytułowany *Odziane w garnitury rządowe hieny cmentarne*. I choć jego treść nie była już tak oskarżycielska jak tytuł i trudno było z niego wywnioskować, o co właściwie chodzi, nie wynikało to jednak z powściągliwości autora, lecz raczej z faktu, iż zalany w trupa nie był w stanie dokończyć tekstu. Być może gdyby wytrzeźwiał, napisałby bardziej zjadliwy artykuł.

Mimo wszystko groby otworzono. I to w pośpiechu. W celu przeprowadzenia tej niemiłej czynności o świcie, by nikt tego nie zobaczył, przybyli na cmentarz dwaj urzędnicy, trzech stróże i pięciu robotników, zaopatrzeni odpowiednio w teczki z dokumentami, latarki i łopaty. Wszystko odbyło się w obecności kilku zdumionych włóczęgów, którzy rozłożyli tu swoje legowiska, wypełniając przestrzeń zwolnioną przez złodziei i bezpańskie psy. W pierwszym grobie niczego nie znaleziono: ani trumny, ani całunu, ani kości, ani czaszki, ani żadnych osobistych przedmiotów należących do świątobliwego męża. Ale przynajmniej były tam korzenie drzew, odłamki skał i dżdżownice. Bo w drugim nawet tego nie było. I wtedy władze popełniły błąd, sądząc, że w ten sposób definitywnie

załatwiły sprawę. Kazały wywieźć kamienne nagrobki i zburzyć otaczające je ogrodzenia.

Następnego dnia w czolowej opozycyjnej gazecie można było przeczytać artykuł pod tytułem *Odziani w garnitury rzą-1 Raki* — popularna w Turcji wódka anyżowa.

31

dowi zabójcy świątobliwych mężów — bez nazwiska autora, ale tym razem już składny i do rzeczy. Twierdzono w nim, iż rząd, który przy każdej okazji udowadnia, że nie ma za grosz szacunku dla kulturalnego dziedzictwa osmańskiego, wziął się teraz do zrównywania z ziemią stambulskich grobów mużmańskich świętych mężów, że niektórzy politycy stwarzają tylko pozory przywiązania do tradycji, bo w gruncie rzeczy mają w głębokiej pogardzie to, co wiąże się z ludem, że w imię wprowadzania abstrakcyjnego modelu zachodniego nie dopuszcza się do głosu wierzeń płynących wprost z serca narodu, że pod hasłami oczyszczania islamu z przesądów zwalcza się religię. Wzywano też wszystkich mużmańców, by stanęli w obronie swoich świętych.

Choć tekst ten nie wywołał, jak się spodziewano, gwałtownych wystąpień, stał się alarmową racą, która w jednej chwili poderwała do działania rozmaite stowarzyszenia i pojedyncze osoby w różnych częściach kraju. Dowiedziawszy się, co się stało z grobami, wszyscy doszli nagle do przekonania, że ich jedynym celem w życiu jest rozliczenie z tej kwestii decydentów. Temat był wyjątkowo delikatny i niezwykle nośny. Dyskutanci wychodzili od nieroztropnego unowocześniania i dochodzili do nowoczesnej nieroztropności. Wzorując się na modliszkach, jak z liścia na liść nenufaru przeskakiwali z „braku narodowej świadomości” i „współczesnych Bihruzów1” na „europejskość na siłę” i „niebezpieczną laickość”. Przebywali w ten sposób olbrzymie jezioro, nie ochlapawszy się ani trochę. „Zjawisko nazywane westernizacją, jest niczym innym jak pożeniem Wschodu z Zachodem” — pisała lokalna gazeta, *1 Bihruz* — bohater powieści *Recaizadego Mamuta Ekrema Araba sevdasi* (Miłość do pojazdów), lekkomyślny młodzieniec przesadnie hołdujący europejskiemu stylowi życia.

32

wydawana na prowincji i nie rozpowszechniana w Stambule, ale głęboko zaangażowana w sprawy miasta. „W tym małżeństwie Wschód jest mężczyzną, Zachód zaś kobietą i nie wolno zapominać, że to, iż mężczyzna jest głową rodziny, wcale nie jest już takie oczywiste. W tej sytuacji malowane ulice, wytyczane po to, by kilka kokietek mogło szczerzyć zęby i kręcić biodrami, a wystrojeni gogusie, świetnie obeznani ze wszelkimi sposobami jednoczesnego napełniania brzucha oraz kiesy, obwozili po nich swoje dziwki, są zobowiązane szanować świątobliwych mężów, a nie mężowie szanować ulice”.

Ponieważ stwierdzenie przestępstwa wymagało wskazania winowajcy, trzeba było znaleźć kozła ofiarnego. Padło więc

na cmentarnych stróżów. Ofiarni strażnicy, którym z takim powodzeniem udawało się ukryć ślady nocnych odwiedzin przed gośćmi przybywającymi za dnia, sami nie zdołali się ukryć przed wzrokiem zwierzchników i — oskarżeni o zbezczeszczenie świętego grobu — zostali zwolnieni z pracy. Dwaj z nich byli starszymi ludźmi, wierzącymi w to, iż z każdego nieszczęścia wynika coś dobrego. Jeden więc wrócił do swojej wioski, a drugi zamknął się w domu, przez resztę życia tęskniąc za wnukami. Ale trzeci stróż, w porównaniu z tamtymi dość jeszcze młody i mniej pokorny, nie mógł znieść doznanej niesprawiedliwości. Przez dłuższy czas pisał pełne wyrzutów listy do zarządu cmentarzy, burmistrza, ministrów, premiera i wyższych stopniem dowódców armii i żalił się każdej napotkanej osobie, znajomej czy nieznajomej, bez różnicy. I choć rząd upadł, do władzy doszła opozycja, powstał nowy gabinet, wszystkie jego pisma wciąż pozostawały bez odpowiedzi, a ludzie nadal byli nieczuli. Spotykając się z milczeniem, stróż sam też jakby stracił mowę, zamknął się w sobie. Aż pewnego dnia, gdy uznano, że już o wszystkim zapomniał, dostał szalu i przez godzinę gonił po całym domu swoją wrzeszczącą

33

wniebogłosey żonę, której od lat nawet nie tknął, gdyż pod pretekstem, że mąż chrapie, sypiała w innym pokoju. Nie przejmując się dezaprobata sasiadów, zgorszonych wybuchem namiętności w tym wieku, złapał ją w końcu i mimo oporu, błagań, próśb i złorzeczeń szczęśliwym zbiegiem okoliczności uczynił po pięćdziesiątce ciężarną. Gdy tylko dziecko przyszło na świat, pognął do urzędu stanu cywilnego. Aby samemu nie zapomnieć o tym, co go spotkało, i nie dać zapomnieć innym, wbrew protestom żony i za pomocą sowitych łapówek nadał synowi, którym uszczęśliwił go Bóg, imię KRZYWDA. Jednakowoż gdy Krzywda pojawił się w macicy matki, sprawa świątobliwego męża zdawała się już przycichać i popadać w zapomnienie. Nie minęły jeszcze dwa tygodnie od rozebrania grobu Derwisza Wędrowca, a pojawił się nowy temat — zarówno opozycja, jak i rząd całą swą uwagę poświęcali nadchodzącym wyborom. W takiej sytuacji władze miasta przyspieszyły prace nad budową ulicy i uznawszy sprawę za zamkniętą, nie natrafiając już na żadne przeszkody, swobodnie wytyczyły drogę. Tak czy siak podczas przekopywania cmentarzy kamienne grobowce zostały wywiezione. Co się stało, to się nie odstań, ale w owych pełnych zgiełku dniach, gdy ukoronowaniem każdego wydarzenia, które gromadziło więcej niż dziesięć osób, stawała się propagandowa przemowa, trzeci z trzech zaprzyjaźnionych doradców z łatwością przekonał swych towarzyszy, że sprawy świątobliwego męża nie warto zamykać, gdyż można użyć jej jako pretekstu do zorganizowania uroczystości.

Na kilka tygodni przed wyborami, na południowym zbo-
czu dawnego mużułmańskiego cmentarza, na oczach licznie

przybyłych widzów, odprawiono krótką ceremonię. Ponieważ wyboisty teren w rejonie dawnego muru oddzielającego cmentarz ormiański nie sprzyjał organizacji uroczystości, uznano, że to rozwiązuje kwestię, który z dwóch grobów świątobliwego męża jest prawdziwy. Część widzów ceremonii stanowiły osoby najęte do wykonania prac, resztę — przypadkowi przechodnie, nie mający nawet pojęcia, o co chodzi, lub przeciwnie, świadomi obywatele, chcący na własne oczy obejrzyć przebieg wydarzeń w sprawie, której rozwój śledzili w gazetach.

Uroczystość składała się z trzech części. W pierwszej dwóch ludzi znających Koran na pamięć — młody o starym głosie, a po nim stary o młodym głosie — recytowało słowa świętej księgi. W drugiej części odświętnie ubrany urzędnik wygłosił pełną oskarżeń, lecz pozbawioną emocji mowę, w której odpowiadał na wysuwane zarzuty. Trzecia część była najbardziej dziwaczna. Aby resztkami nagrobka nie zawracać głowy osobom nie znającym sprawy, przeniesiono na ramionach pustą trumnę i załadowano ją do karawanu. Następnie wszyscy wsiedli do autobusów i udali się w okolice mostu Galata, na pustą błotnistą działkę, otoczoną zrujnowanymi budynkami. Tam, zapadając się w rdzawej mazi, do wtóru modlitw i błogosławieństw, mów i oklasków pochowano trumnę i złożono do kupy fragmenty kamiennego pomnika, który prezentował się znacznie wspanialej niż przedtem, otoczony płotem z ozdobnych drewnianych sztachet o wysokości półtora metra. Trzeci z trzech zaprzyjaźnionych doradców już wiele dni temu przygotował i schował do kieszeni tekst przemówienia, które miał tutaj wygłosić, ale niestety tego ranka otrzymał odpowiedź odmowną na propozycję małżeństwa, jaką w akcie nadzwyczajnej odwagi złożył swojej kuzynce, w której skrycie podkochiwał się od wielu lat, i nie wiedząc, co w tej sytuacji robić, dokąd pójść, stracił sporo czasu na włóczeniu się bez celu po

35

ulicach. W rezultacie nie zdążył dostarczyć na uroczystość ani przemówienia, ani własnej osoby.

Dotarł na miejsce z godzinnym opóźnieniem, ale wówczas nikogo już tam nie było. Po kłębiącym się tłumie pozostały tylko niedopałki papierosów i nakładające się jedne na drugie ślady stóp. Zasmucony, przykląkł przy grobie. Ocierając skapujące z czoła krople potu, wyjął przygotowywany całymi dniami tekst przemówienia i zaczął go sam sobie czytać. Właściwie kartka nie była mu potrzebna, znał przecież jej zawartość na pamięć. Jego głos, początkowo drżący, nabierał siły. Powiedział, że człowiek spoczywający w tym grobie był jednym ze świętych derwiszy, który nosił na palcu, dla przypomnienia o wyrzeczeniu się ziemskich pokus, pierścień ze skrytką pod turkusowym oczkiem; tak jak ślubował, nigdy nie spędził nocy dwa razy pod tym samym dachem i nigdy nie zanurzył łyżki dwukrotnie w tej samej misce, spał z cegłą pod głową

i stale doświadczał cierpienia, nigdy się nie ożenił, nie założył rodziny, nie pozostawił po sobie ani majątku, ani potomków wędrował latem i zimą, ziemia była mu domem, nieboskłon zaś dachem, krótko mówiąc, zyskał sławę dzięki temu, że spędził życie nigdzie nie zapuściwszy korzeni, i dlatego miał przydomek Derwisza Wędrowca. Trzeci z doradców dodał też, że należy powątpiewać albo w dobrą wolę, albo też w głębszą znajomość zasad wiary osób, które twierdzą, że było inaczej. Gdy przemówienie dobiegło końca, przez chwilę w milczeniu bezwiednie gładził dłonią wyryty na kamiennym sarkofagu napis bakiy heves, po czym nagle wstał i tak jak przyszedł, biegiem się oddalił.

Właśnie w tym momencie grób Derwisza Wędrowca osiągnął absolutny spokój, którego tak bardzo pragnął. Co prawda jeśli nie liczyć pojawiających się od czasu do czasu odwiedzających, którzy pomodliwszy się przy nim, pocierali o marmu-

36
rową płytę bilety autobusowe, kolejowe, na prom czy samolot, mniej więcej przez trzydzieści sześć lat nie zdarzyło się nic, co w znaczny sposób zakłóciłoby ten spokój. Ponieważ Derwisza Wędrowca najwyraźniej kojarzono z wyprawami, dlatego stało się zwyczajem, że wybierający się w długą drogę przychodzili tu w przededniu wyjazdu i aby zapewnić sobie szczęśliwą podróż, zanurzali palec w rdzawym błocie otaczającym grób, pieczętując nim rozek biletu, jakby od wymagowanego celnika uzyskiwali zgodę na przejście. W połowie lat sześćdziesiątych miejsce podróżnych zajęli gástarbeiterzy i ich krewni. Wtedy wiernymi czcicielkami świętego stały się też kobiety, opuszczane przez wyjeżdżających do pracy za granicę mężczyzn. One jednak nie miały biletów, dlatego rdzawym błotem, które po wyschnięciu przypominało malunki henną, smarowały końce palców i wnętrze dłoni. Z czasem większość z nich ruszała za mężczyznami i liczba odwiedzających grób stopniowo się zmniejszała. Po trzydziestu sześciu latach sklepy, warsztaty i restauracje, otaczające ten wspaniały nagrobek coraz ciaśniejszym kręgiem, jak nagonka okrążająca zwierzyńnię, wchłonęły niepostrzeżenie najpierw jego drewniane ogrodzenie, potem żyłkowane purpurowo marmury i rdzawe błoto. W ten sposób liczba grobów Derwisza Wędrowca została zredukowana najpierw z dwóch do jednego, a potem do zera.

Jeżeli chodzi o położony na zboczu teren, to po wybudowaniu głównej ulicy uległ on błyskawicznej przemianie. Wzdłuż stoku, rozciągającego się na południowy zachód od niegdyśszego cmentarza ormiańskiego, wzniesiono imponujące kamienice. Jak latawce ciągną za sobą ogony z pasków koloro-

37
wej bibułki, tak one przywiodły za sobą rozświetlone witryny sklepów, rozstawiane na chodnikach wieszaki z odzieżą na

sprzedaż, lokale pełne muzyki i gwaru. Ci, co mieli tu domy lub działki, w krótkim czasie dorobili się wielkich pieniędzy, gdyż wartość znajdujących się przy głównej ulicy nieruchomości wzrosła kilkakrotnie. Znaczna część wybudowanych tu lokali została wynajęta na biura, większość stanowiły gabinety lekarskie i kancelarie. Ich liczba z czasem tak wzrosła, że wkrótce na każdy dolmuş kursujący na tej trasie przypadali co najmniej jeden lekarz i jeden adwokat. Często zdarzało się, że osoby, dotknięte obfitością kłopotów zdrowotnych czy prawnych i niedostatkiem pieniędzy, wsiadały do tych mikrobusów i zasięgały bezpłatnej porady u siedzącego obok lekarza czy zajmującego miejsce z tyłu adwokata. Niektórzy kierowcy, zmuszeni do wysłuchiwanie od rana do wieczora rozmów na te tematy, zgromadzili znaczną wiedzę w zakresie zarówno prawa, jak i medycyny. Ba, jeden z bardziej znanych i obleganych w tych latach neurologów tak pogłębił swą znajomość z jednym z tych bystrych szoferów, że zmęczony nieustannie zadawanymi mu pytaniami, sprytnie wycofywał się z konwersacji i odsyłał amatorów darmowych porad bezpośrednio do owego kierowcy.

Starszy, poważny, a jednocześnie pełen sarkastycznego poczucia humoru lekarz prowadził początkowo tę grę głównie ze zniecierpliwienia, a trochę z chęci zabawienia się, ale z czasem stała się ona dla niego źródłem wielkiej przyjemności. Młody kierowca, obdarzony niepowszednią inteligencją i ciętym językiem, był jedną z tych rzadkich osób, które zawsze potrafią znaleźć w sobie godną derwisza otwartość

1 Dolmuş — popularny w Turcji środek transportu — mikrobus kursujący po ustalonej trasie i zatrzymujący się na żądanie pasażerów.

38

i wyrozumiałość dla ludzkich problemów. A że nie troszczył się jak lekarz o odpowiednie zachowanie i nie ważył słów co do grama, nawet wymagające największej delikatności sprawy roztrząsał z gracją słońca w składzie porcelany. Prowadząc dolmuş, przedrzeźniał i wyolbrzymiał urojenia podejrzliwych pań i przewrażliwionych panów, doprowadzając do tego, że w końcu sami zaczynali się z siebie śmiać. Te przedstawienia wywarły takie wrażenie na starszym doktorze, że po pewnym czasie zaproponował szoferowi pracę u siebie. Jednak w gabinecie lekarskim, gdzie panowały ścisłe reguły hierarchii i aurytetu, nie było miejsca na żartobliwą zażyłość, więc młody człowiek wkrótce wrócił do swego poprzedniego zajęcia.

Minęło nie więcej niż piętnaście lat, a oblicze dzielnicy kompletnie się zmieniło. Teraz nikt już nie pamiętał, że pod szarymi kamienicami, stojącymi wzdłuż ulicy i szczerzącymi w uśmiechu lśniące, idealnie równe porcelanowe zęby, pod ekskluzywnymi sklepami, pod renomowanymi gabinetami znajdowały się niegdyś, a właściwie wciąż się znajdują, setki grobów. W większości kamienic były wąskie windy wyłożone dywanami, z otwierającymi się do wewnątrz dwuskrzydłowy-

mi drzwiczkami. I gdyby te windy nie zadowalały się kurso-
waniem między parterem a górnymi piętrami, lecz zjeżdżały
niżej, jeszcze niżej, można by obserwować z nich warstwowy
przekrój świata jak w kawałku olbrzymiego tortu: na samym
dnie skorupa ziemska, potem pełna nierówności gleba, nad ni-
mi rozsypane groby, cieniutka kreska asfaltu, następnie, jedno
nad drugimi, kilka mieszkań, warstwa czerwonych dachów
i nad tym wszystkim wreszcie rozsmarowane dla ozdoby, roz-
ciągające się wszędzie niebieskawe niebo...

Od czasu do czasu można było usłyszeć, jak ktoś mówi:

„Kiedyś tu wszędzie był cmentarz”, ale choć działo się to le-
dwie piętnaście lat temu, w słowach tych pobrzmiwało coś
39

nierzeczywistego, jakby stanowiły one wstęp do bajki: „W li-
czącym tysiąc komnat kryształowym pałacu władcy księżycy
piękniejsze od wrózek dziewczęta co noc biorą kąpiel w pro-
mieniach światła...”. Jakby dotyczyło to przeszłości, która ni-
gdy się nie wydarzyła, lub niebiańskiej ery istniejącej poza
czasem.

Pałac Cukiereczek, przed którym Krzywda Óztiirk wjechał
w stos śmieci, próbując zaparkować tyłem furgonetkę, został
wybudowany właśnie w tej dzielnicy w roku 1966 — dziś
trudno byłoby kogokolwiek przekonać o jej niegdysiejszej
wspaniałości. Jeśli chodzi o kobietę i mężczyznę, którzy zle-
cili wzniesienie pałacu, to choć nie pochodzili ze Stambułu,
w odpowiednim momencie znaleźli się w tym mieście.

AGRYPINA FIODOROWNA ANTIPOWA miała na brzuchu
małą, a na plecach dużą wypukłość i była bardzo głodna, gdy
wiosną 1920 roku ujrzała po raz pierwszy Stambuł z pokła-
du statku towarowego. W tłumie ludzi, z którymi od trzech
dni podróżowała na stojąco z Krymu, z pomocą męża z tru-
dem utorowała sobie drogę do relingu i starała się dostrzec,
do czego podobne jest to czekające na nich miasto. Już jako
dziewczynka uwielbiała bawić się kolorami. Aby poczuć się
w nowym miejscu jak u siebie, musiała przede wszystkim
zobaczyć jego kolor. Na przykład dwór w Groznm, gdzie
przyszła na świat i spędziła dzieciństwo, miał barwę czer-
wonego wina, a cerkiew, do której co niedziela chodzili całą
rodziną na mszę, była w pergaminowym odcieniu żółtego.
Dacza w Kisłowodzku, gdzie uwielbiała spędzać święta, była
skąpana w rosie świeżej zieleni, a dom, w którym zamieszkała
z mężem po ślubie, w jej umyśle miał pomarańczową barwę
zimowego słońca. Była przekonana, że nie tylko miejsca, ale
także ludzie, zwierzęta, a nawet wspomnienia mają właściwe
sobie kolory, które można było dostrzec, przypatrując się im
zastygłym, skupionym spojrzeniem. I tak zrobiła teraz. Choć
43

do oczu napływały jej łzy i obraz stał się zamglony, ani razu
nie mrugnęła powiekami, ani trochę nie poruszyła źrenica-

mi, tylko przez długie minuty wpatrywała się w rysującą się przed sobą sylwetkę miasta — najpierw z głębokim zainteresowaniem, potem ze złością wynikającą z nieosiągnięcia zamierzonego rezultatu. Tego dnia Sztambuł spowijała gęsta mgła. A w mgliste dni, o czym doskonale wiedzą wszyscy sztambulczycy, samo miasto nie pamięta, jakiego jest koloru. Ale Agrypina Fiodorowna Antipowa przywykła od urodzenia do noszenia na rękach i traktowania jak skarb, więc gdy tylko któreś z jej życzeń nie zostało spełnione, uznawała to za przewinienie drugiej strony. Dlatego skrywanie się Sztambułu za kolejnymi zasłonami utkanyymi z mgły odebrała jako celowy przejaw wrogości i osobistą obelgę. Postanowiła jednak dać miastu jeszcze jedną szansę, gdyż wierzyła we wzniosłość wybaczenia. Unosząc w jego stronę malutką, oprawioną w srebro ikonę z Matką Boską, uśmiechnęła się: „Twoje zachowanie nie było właściwe, ale potraktuję cię z pobłażliwością, a nawet wybaczę. Bo tak należy postąpić”.

— Dam w zamian chleb i wodę — usłyszała nagle czyjś głos.

Gdy wychyliła się i spojrzała w dół, dostrzegła w łódce mężczyznę — suchego, czarniawego, z nosem jak ptasi dziób. Wskazywał na nią, trzymając w jednej ręce chleb, a w drugiej butelkę z wodą. Zanim Agrypina Fiodorowna Antipowa zdołała pojąć, o co chodzi, stojąca za nią wielka blondyna o różowionych policzkach i krótko ściętych włosach z powodu wszawicy na statku odepchnęła ją i jednym susem znalazła się przy barierce. Do zabranej córce szarfy przywiązała ściągnięty z palca złoty pierścionek i spuściła go w dół. Ciemnowłosa mężczyzna wziął pierścionek i podniósłszy go do góry, pobieżnie otaksował niezadowolonym spojrzeniem, po czym przy-

44
wiązał do szarfy chleb, który został sprawnie wciągnięty z powrotem. Gdy postawna blondyna i jej wątła córka rzuciły się na chleb, Agrypina Fiodorowna Antipowa z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami popatrzyła na morze i dopiero wtedy dostrzegła, że nie tylko jej statek, ale wszystkie zakotwiczone w porcie jednostki otaczają podobne łódki. Wystawały z nich głowy greckich, ormiańskich i tureckich cwaniaków, którzy cierpiącym od wielu dni głód i pragnienie białym Rosjanom pokazywali żywność i napoje i dobijali z nimi targu. Gdy zrozumiała całą sytuację, przycisnęła do piersi ikonę z Matką Boską, jakby ktoś chciał ją jej odebrać. Aby pojąć, w jakim miejscu się znalazła, oderwała wzrok od łódek, sprzedawców, fal i jeszcze raz z uwagą przyjrzała się Sztambułowi.

Sztambuł w owych czasach miał własne kłopoty. Znajdował się pod okupacją. Tylko kątem oka zerknął więc na dziewiętnastoletnią kobietę, ze zdziwieniem i dumą przyglądającą się mu z pokładu statku, który dopiero co zarzucił kotwicę. Od dawna już przestał się interesować takimi samolubnymi smarkaczami. Wzruszył ramionami, odwrócił się i zajął swoją

codzienną krzątaniną. Agrypina Fiodorowna Antipowa osłupiała z uśmiechem na wargach. Zdarzało się jej już widzieć grubiańskie zachowanie ludzi, ale po raz pierwszy miała do czynienia z impertynencją miasta. Gdy minęło pierwsze zaskoczenie, zamknęła wszystkie okna w swoim sercu, a potem jeszcze zatrzasnęła okiennice i zaciągnęła kotary. Obraziła się. Nadąsana zeszła ze statku. Jeszcze dwa miesiące później, gdy wypukłość na jej brzuchu się powiększyła, a ta na plecach znikła, nadal była obrażona. Sambuł, wciąż pograżony w beznadziejnej sytuacji, ciągle nie wyjawiał swojego koloru.

W przeciwieństwie do żony generał Paweł Pawłowicz Antipow ani tego dnia, ani później nie wykazał jakiegoś specjalnego zainteresowania Sambułem. Należał do ludzi, którzy całe

45
życie czują się odpowiedzialni za innych i tylko to pozwala im utrzymać się na powierzchni. Był jednym z tych mężczyzn, którzy albo wybierają sobie chude kobiety, albo powodują, że te kochane przez nich chudną. Mocno i troskliwie obejmował Agrypinę, gdy schodzili ze statku. Tuląc ją do siebie, obejmował nie tylko żonę, lecz także mające się narodzić dziecko i cały majątek, jaki udało im się wywieźć z Rosji.

Niestety klejnoty, którymi Agrypina wypełniła swój gorset, zostały w krótkim czasie sprzedane i to znacznie poniżej swej wartości. Tysiące białych Rosjan, uciekinierów z ogarniętej bolszewicką rewolucją ojczyzny, ścigały do Stambułu, a chodziły słuchy, że kolejne tysiące są w drodze. Wyzbywali się klejnotów, lecz orderzy, rodzinne pamiątki i rodowa biżuteria z trudem znajdowały nabywców. Po dwóch miesiącach z bogactwa, które miało im zapewnić wygodne życie przez co najmniej dwa lata, nie zostało nic.

Pewnego ranka Agrypina Fiodorowna Antipowa, leżąc na pokrytym żółtawymi plamami materacu w dawnym areszcie zaadaptowanym przez Francuski Czerwony Krzyż na noclegownię, gdzie dzieliła los z pięćdziesięcioma pięcioma innymi osobami, nagłym, pełnym złości ruchem przyciągnęła do siebie posiwiałą miejscami głowę starszego o trzydzieści lat męża i przycisnęła ją do powiększającego się brzucha. Paweł Pawłowicz Antipow wiedział, co to oznaczało. Miał dwie możliwości: jak najszybciej znaleźć pracę albo napisać do mieszkającego we Francji brata, zakały rodziny, list z prośbą o pomoc. Na samą myśl o drugiej opcji puszczały mu nerwy, więc chcąc nie chcąc musiał wybrać pierwszą.

Bycie żołnierzem to nie zawód. Bycie generałem nie zapewnia automatycznie wysokiej pozycji. Gdy przyszło do szukania pracy, Paweł Pawłowicz Antipow zdał sobie sprawę, że nie wie, co robić, a tego, co umie, robić nie może. Odkąd pamiętał,

46
wszystko, co mu się w życiu przydarzało, było albo z góry zaplanowane, albo stanowiło naturalną konsekwencję rozwoju rzeczy. Rewolucja nastąpiła dokładnie w tym momencie, gdy

dosłużył się stopnia generała, i w jednej chwili obróciła wniwecz zdobywaną latami pozycję, ułożone życie. Ale nawet w tamte dni zniszczenia nie stanął tak jak teraz twarzą w twarz z katastrofą, zwaną nieokreślonością. Aby ją pokonać, musiał wiedzieć, gdzie ją znaleźć. Tymczasem ona nie zajmowała żadnej konkretnej pozycji, nie wybrała taktyki. Mogła pojawić się w każdej chwili i zaatakować go bronią, jaką tylko chciała. Choć toczyła się bitwa, nie było ani pola walki, ani zasad, ani nawet etyki wojskowej. Ale gdyby do bitwy nie doszło, byłoby jeszcze gorzej, bo Paweł Pawłowicz Antipow nie był obeznany z innymi sposobami życia. Do tej pory stracił kolejno wiele rzeczy: majątek, pozycję, przywileje, poważanie, przyjaciół, krewnych, podwładnych, armię, do której był przywiązany, miasta, kraj, w którym zamierzał spędzić życie... Ale wciąż nie stracił przekonania, że jest nim — wiernym żołnierzem. Tymczasem tysiące żołnierzy carskiej armii wszelkich stopni imać się przeróżnych, najdziwniejszych zajęć — w hotelach, na koncertach, w rozlicznych kabaretach, kasynach, restauracjach, barach, cafe chantant, kinach, na plażach, w nocnych klubach i na ulicach. W podrzędnych knajpach zmywali naczynia i krążyli z tacami, byli krupierami w szulerniach, w których piekielnej otchłani działały się wszelakie szachrajstwa, sprzedawali szmaciane lalki na krzyżówkach, akompaniowali na pianinie szansonistkom mizdrzącym się w lokalach rozrywkowych, wypełnionych nieopisanym zgiełkiem. Wszystkie posady były już zajęte, na każde wolne miejsce zgłaszali się natychmiast chętni. Generał Paweł Pawłowicz hrabia Antipow, posuwając się niepewnymi krokami na drżących jak u nowo narodzonego źrebaka nogach, starał się nie

47
zabłądzić w tym chaosie. Po wielu tygodniach włóczenia się tu i tam znalazł jedynie pracę szatniarza w jednej z cafe chantant, gdzie chętnie przychodzili wyniośli francuscy i angielscy oficerowie, spacerujący z otulonymi w sobolowe futra wyrafinowanymi kochankami, które malowały wargi wiśniową szminką, skorzy do zabawy włoscy artyści, tworzący orientalne obrazki, na których ulice zawsze były przedstawiane jako wąskie i zacienione, zdesperowani żydowscy bankierzy, pożyczający pieniądze sułtanowi, którzy, by je odzyskać, musieli udzielać jeszcze większych pożyczek, tureccy utracjusze, potrafiący przetrwonić każdy majątek, szpiedzy, którym nigdy nie płał się język, choć upijali się do nieprzytomności, przedstawiciele bohemy, dandysi, poszukiwacze przygód i płatnej miłości. Właściciel lokalu, Lewantyńczyk z łysą głową, obwisłymi policzkami i kilkoma podbródkami, nieustannie gestykulujący podczas rozmowy, właśnie poszukiwał kogoś na miejsce szatniarza, który od samego początku mu się nie podobał, a który wmieszał się w bójkę i dał sobie zmasakrować facjatę. Gdy zobaczył Pawła Pawłowicza Antipowa, jego imponujące maniery i majestatyczną postawę, zatrudnił go bez chwili wahania. Ale

gdy nowy szatniarz stanął przed nim przebrany w czerwony uniform z połyskującymi na ramionach epoletami, z biegnącymi poprzecznie złocistymi szamerunkami, już mu się tak nie podobał i zaczął odnosić się do niego lekceważąco:

— Jakie to życie dziwne, nieprawdaż, monsieur Antipow? Staliśmy się świadkami jednoczesnego upadku dwóch wspaniałych imperiów. Wy zaczęliście przyjmować zachodnie obyczaje przynajmniej sto lat wcześniej. Szalony Piotr Wielki! Mówią, że kazał chłostać tych, co nie umieli właściwie siadać i wstawać. Czy to prawda? Podobno sprawdzał, czy kobiety noszą bieliznę i czy mężczyźni mają brody. Nieprawdaż? Piękne musiało być jego miasto. Pałac wznoszący się z bagien.

48

Proszę popatrzeć na Sztambuł. Z czterech stron odsłonięty, tylko wiatr hula. Miasto, które się rozpada, które nie wie, w jakim kierunku dąży. Czy pan słyszał o tym, że jakieś dziesięć lat temu wasi młodzi i śmiali intelektualiści, zmuszeni uciekać z waszego potężnego imperium, i nasi młodzi i śmiali intelektualiści, zmuszeni uciekać z naszego imperium, siedzieli obok siebie w paryskich kawiarniach, tocząc zażarte dyskusje, i Bóg jeden wie, jakie wtedy mieli dalekosiężne plany? Obsługujący ich kelnerzy nadstawiali ucha. Ci, co uciekli od was, mówili o tym, że za wszelką cenę trzeba zniszczyć państwo. Ci zaś, co uciekli od nas, o tym, że za wszelką cenę trzeba uratować państwo przed zniszczeniem. W ciągu tych dziesięciu lat naszym się udało, naszym nie. A teraz nie wiem, kogo bardziej żałować. Jakie to życie dziwne, nieprawdaż, monsieur Antipow? Uciekając z walącego się imperium, szukacie schronienia w imperium, które lada moment zacznie się walić. Czy to, że uciekając przed ubranymi w mundury czerwonymi, musiał pan włożyć czerwony mundur, nie jest jedną z tych igraszek Fortuny?

Paweł Pawłowicz Antipow, odbierając tego wieczoru palta od klientów i podając je, słyszał tylko słowa swego szefa, które jak sadza osiadły mu w uszach. W tym koszmarnym, komicznym mundurze wytrzymał trzy dni, trzy przeklęte dni. Potem rzucił pracę, wszystko rzucił i tak jak stał, zatrzymał się w miejscu. Jakby nie istniała praca, którą trzeba było znaleźć, nie istniało życie, które trzeba było prowadzić, nie było celu, o którego realizację należało zabiegać. Po prostu zatrzymał się. Po tygodniu Agrypina Fiodorowna Antipowa spojrzała na męża uważnie, jakby chciała dostrzec jego kolor, i wtedy właśnie musiała pogodzić się z tym, że już na zawsze pozostanie znieruchomiła. Spowodowały to jego wiek (był zbyt stary, zawsze wyprzedzał swój wiek o kilka kroków, a teraz stanął

49

z boku, oczekując, że życie go dogoni), jego ranga (była zbyt wysoka, nastawił się, że z czasem stanie się jeszcze wyższa, a gdy okazało się, że dla niego nie ma już wyższych stopni, zastygł w miejscu jak ukrzyżowany), jego postawa (była zbyt

majestatyczna, nie pozwalała mu pochylić się, być elastycznym, zgiąć karku; jeżeli przejście przez jakieś drzwi wymagało pochylenia się, wołał wybrać inną drogę). Paweł Pawłowicz Antipow jako człowiek słaby i aż za dobrze zdający sobie z tego sprawę kurczowo trzymał się władzy, by nie być takim, jakim był. Dobrze wiedział, czego chce, i przez całe swoje życie kawałek po kawałku to realizował, krok po kroku wspinał się, a do tego na koniec odniósł spory sukces. Byłby ostatnim, który próbowałby dopasować się do jakichkolwiek zmian!

Agrypina Fiodorowna zaś ze swoją młodością i niedoświadczeniem, która nigdy w swym życiu niczego samodzielnie nie zrobiła i nawet nie próbowała zrobić, pogodzona ze swoim zaokrągłym się brzuchem, była zgrabniutkim, idealnym zerem. Mogła bez trudu trwać w miejscu, gdzie byście ją zostawili, bez najmniejszego drgnięcia trwać w nim do końca świata. Z taką samą łatwością mogła również potoczyć się tu i tam, pchnięta mocniejszym podmuchem. Dzięki olbrzymiej odwadze, właściwej ludziom nieświadomym, jako człowiek, który nigdy niczego sam nie osiągnął, a wszystko, co posiadał, otrzymał od innych, nosiła w sobie niewzruszone przekonanie, że to, co traci, równie łatwo pewnego dnia w jakiś sposób odzyska. Wciąż większość czasu spędzała na przygotowywaniu listy tego, co robi po powrocie do Rosji. A zanim ten dzień nastąpi, mogłaby z powodzeniem pracować. W ten sposób postanowiła zrobić coś, czego nigdy nie robiła, i nie oczekując już od męża wsparcia, osobiście poszukać zajęcia.

Szczęście jej sprzyjało, bo szczęście uwielbia doświadczać tych, którzy z taką pewnością siebie wychodzą mu naprzeciw.

50

W ten sposób znalazła pracę jako kelnerka w jednej z renomowanych cukierni na Beyoglu 1. Odtąd w lokalu, pełnym luster i delikatnych witraży, nieustannie krążyła między sztywnymi klientami a pachnącym cynamonem i śmietanką zapleczem. Opanowała kilka pojedynczych wyrazów w rozmaitych językach, które wszystkie brzmiały dla niej równie mało harmonijnie — tyle tylko, by zrozumieć zasadniczo podobne do siebie zamówienia i wymagania klientów. Nigdy nie próbowała nauczyć się więcej. Zresztą, jeżeli nie musiała, nie odzywała się. Choć pracy miała dużo, a pensję niską, nikt ani razu nie usłyszał, by się poskarżyła, ani nie zobaczył jej naburmuszonej. Szef co prawda nakazywał, by personel, obsługując klientów, zawsze się uśmiechał, ale wyraz twarzy pozostałych kelnerek zmieniał się diametralnie, gdy tylko znalazły się poza zasięgiem wzroku pracodawcy oraz gości. Tymczasem uśmiech Agrypiny pozostawał niezmienny, jakby był na stałe przytwierdzony do jej ust. Ponadto inne dziewczyny starały się przy każdej sposobności wymigać od roboty lub znaleźć dobrze sytuowanego amanta, który wyzwoliłby je od ucisku, ona natomiast wyłącznie i nieustannie pracowała. W tym jej zapracowywaniu się tkwiła nie tyle chęć jak najszybszego

pozostawienia za sobą tych pełnych cierpienia dni, ile pragnienie poświęcenia się cierpieniu, którego częścią składową były wyrzeczenia. Stan ten jednak mijał i przechodziła od potulnego, posłusznego powierzania się Bogu do wznoszenia pisanych uporem i pasją ód pochwalnych na temat własnej niedoli. W skrytości ducha była dumna z cierpienia, jakie stało się jej udziałem, wierzyła, że im bardziej się zatruwa, tym staje się czystsza, im bardziej oddaje się służbie, tym bliżej jest Bo-
l Beyoglu — dzielnica Stambułu, niegdyś zamieszkiwana głównie przez nie-

51

ga, na im większe natrafia przeszkody, im trudniejsze do zniesienia są porażki i im bardziej prostacy ludzie, których musi obsługiwać, tym bardziej narastają zobowiązania, jakie wobec niej ma Bóg. Prędzej czy później otrzyma to, co się jej należy. „To jest próba” — mówiła do siebie z uśmiechem. „Im teraz jest okropniej, tym piękniejszy będzie tego wszystkiego koniec”. — Czego się pani tak szczerzy? Czemu bezczelnie śmieje się nam pani w twarz?

Agrypina Fiodorowna Antipowa pustym wzrokiem spojrzała na krzyczącą na nią muzułmankę, ale jej zdziwienie miało tylko ten skutek, że klientka jeszcze bardziej się rozżłościła. Była ona członkinią Towarzystwa Nowoczesnych Kobiet — stowarzyszenia głoszącego konieczność deportowania za jednym zamachem wszystkich białych Rosjanek sprowadzających na złą drogę muzułmańskich mężczyzn i wyciągających im z kieszeni zarobione pieniądze. Głównymi punktami programu działań towarzystwa było ustalenie każdego przypadku zachowania białych Rosjanek, naruszającego moralność, tych pseudoarystokratek o włosach jak len, białych piersiach i bezwstydnym spojrzeniach, i spisanie go w raporcie, a następnie krążenie z nim od drzwi do drzwi w celu zebrania poparcia dla swej sprawy, doprowadzenia do zamknięcia lokali nocnych i podłych spelunek, których istnienie mogło ściągnąć na Stambuł to samo przekleństwo, jakie dotknęło Sodomę i Gomorę, przegonienia prostytutek, które porzuciwszy domy publiczne Kijowa i Odessy, zagnieździły się na ulicach Galaty, niestrudzone ostrzeganie mających jeszcze mleko pod nosem osmańskich młodzieńców przed groźącym im niebezpieczeństwem, a do czasu podjęcia przez władze stosownych kroków w tej sprawie prowadzenie na własną rękę działań odstrasżających, polegających na złym traktowaniu każdej białej Rosjanki, jaką zobaczą.

52

Gdy jej pierwsze zaskoczenie minęło, Agrypina Fiodorowna Antipowa uniosła rękę do szyi i ścisnęła w dłoni srebrny medalik z podobizną świętego Serafina, a następnie z czerpaną z niego siłą uśmiechnęła się do kobiety, uznając ją za nowe narzędzie boskiej próby, jakiej od dłuższego czasu była poddawana: „Twoje zachowanie nie było właściwe, ale potraktuję cię

z pobłażliwością, a nawet wybaczę. Bo tak należy postąpić". Wróciwszy wieczorem do domu, pobieżnie zrelacjonowała mężowi to zdarzenie, choć on i tak o nic nie pytał. Nie chciał niczego wiedzieć o świecie na zewnątrz. Z jednej strony podziwiał żonę, że potrafi trwać w tym obłąkanym życiu, które jego samego tak brutalnie potraktowało, z drugiej zaś nosił w sobie głęboką urazę. Odkąd musieli wyprowadzić się z założonej przez Francuski Czerwony Krzyż noclegowni, rzadko opuszczał mroczną norę, którą nazywali swoim domem. Dni upływały mu na siedzeniu w oknie, pisaniu nigdy nie wysyłanych listów do brata we Francji lub obserwowaniu przechodzących ulicą muzułmanów, jakby wypatrywał czyjegoś przybycia. Dziecko, chcąc najwyraźniej położyć kres temu monotonnemu wyczekiwaniu, przyszło na świat w siódmym miesiącu ciąży.

Agrypina Fiodorowna Antipowa w przeciwieństwie do męża nie powitała narodzin córki z radością. Być może dzięki przedwczesnemu i trudnemu porodowi świat zyskał jeszcze jedną duszyczkę, ale ta dusza została jej ukradziona. Agrypina w ciąży była kimś innym niż w tej chwili, była kimś więcej. Przez cały ten czas pocieszała się myślą, że wśród tylu ludzi Bóg wybrał właśnie ją, i każde nieszczęście uznawała za konieczny etap trudnej próby. Jej wiara w Boga i samą siebie pozostawała niewzruszona. Z całego serca ufała, że jest główną bohaterką pouczającej i straszliwej historii, której otaczający ją ludzie nie rozumieją i nigdy nie zdołają pojąć. Aby móc wy-

53
rwać męża i siebie ze szponów tego bezwartościowego świata, za dwoje wyteżęła wszystkie siły i czekała, aż nadejdzie dzień, gdy zostanie oczyszczona i zabłyśnie pełnią blasku jak perła, która potoczyła się w błoto. A teraz zaczęła podejrzewać, że przez cały ten czas się myliła, że Bóg od samego początku nie troszczył się o nią, lecz o dziecko, które nosiła w swym brzuchu, i dlatego gdy tylko nastąpił poród, zostawił ją samą na pastwę losu. Choćby się nie wiem jak starała, nie mogła uwolnić się od poczucia straty i porzucenia. Z wyniosłego wewnętrznego światła nie pozostała najmniejsza iskierka. Całe jej ciało skurczyło się i zmalało, jakby wylały się z niego wiadra wody. Tylko piersi pozostały wciąż pełne i duże. Jak krew sącząca się ze skaleczonej wargi, od czasu do czasu skapywało z nich mleko. Po południu biegła do domu, by nakarmić dziecko, i za każdym razem zastawała boleśnie raniącą ją scenę: męża i dziecko wtulonych w siebie we śnie lub bawiących się na kanapie pod oknem, skąpanych w rozsiewającym złociste rozbłyśki światło, które zdawało się płynąć nie ze słońca, lecz prosto z samego rajy, otoczonych aurą nieskończonego szczęścia i niezrównanej niewinności. I za każdym razem odczuwała gorzyc całkowitego wykluczenia z tej uświęconej duchowej wspólnoty, za której część kiedyś się uważała.

Okazało się, że Stambuł to rzeka — nieobliczalna, o bu-

rej, mętnej wodzie. Okazało się, że przyczyną trwającej już tak długo szamotaniny w jej nurcie, tonięcia i wypływania na powierzchnię, było zadanie, którym ją obarczono — miała przenieść całe i zdrowe dziecko z jednego brzegu na drugi, gdzie czekał mąż. Okazało się, że jej ciąża była łódką, która miała dotrzeć na przeciwległy brzeg, zabrać otoczone przez anioły dziecko i przewieźć je z powrotem. Gdy tylko nastąpił poród i dziecko zostało dostarczone, przestała być potrzebna, została zepchnięta z powrotem do wody i pozostawiona rwą-

54

cemu nurtowi. Choćby walczyła z nim, wszystko na próżno. Rzeka, która ją porwała, wody, które ją otoczyły, nie pozwalały jej zbliżyć się do brzegu. Nawet niemowlę wydawało się świadome sytuacji. Zabrane z ramion ojca robiło się nagle czerwone jak od gniewu, a gdy ssało pierś, krzywiło się, jakby chcąc pokazać, że robi to nie dlatego, że chce, ale że musi, i gdy tylko się nasyciło, odrywało usta od sutka i zaczynało płakać. Wtedy generał brał je na ręce i z czułością uspokajał, a Agrypina Fiodorowna Antipowa, aby nie być dłużej świadkiem coraz boleśniejszej dla niej sceny, wychodziła z domu pospiesznie, jakby uciekała. Gdy znów przystępowała do pracy, pogłębiająca się wewnątrz niej pustka podsyciała poczucie, że spotkała ją straszliwa krzywda. Z każdym mijającym dniem coraz bardziej nienawidziła swego ciała, które skupiło się na jednym celu: przerobić na mleko każdy spożyty kęs, każdą wypitą kroplę, każdy ujrzany promień słońca, każdy atom powietrza zaczerpnięty z oddechem. A przecież mleko służyło tylko dziecku. Gdy ono rosło, Agrypina Fiodorowna Antipowa traciła siły, marniała i nikła.

Choć ci, co gorąco wierzą, że macierzyństwo leży w naturze kobiety, że jest czyste i święte jak rzeki płynące w raju, nawet nie dopuszczają do siebie takiej myśli, że Agrypina Fiodorowna Antipowa nie kochała tego „czegoś”, co urodziła. Gdy przyszło jej stanąć twarzą w twarz z maleństwem, które tyle czasu w sobie nosiła i uważała za część siebie, nie była w stanie określić, do czego jest podobne, co ze sobą przyniesie, i przestraszyła się tego miniaturowego monumentu wiecznego uzależnienia, niemożności cofnięcia czasu, przymusu kochania, braku możliwości ucieczki od siebie, a właściwie ucieczki dokądkolwiek. I wtedy zapragnęła twardo i ostatecznie uwolnić się od niego. Choć ci, co gorąco wierzą, że macierzyństwo leży w naturze kobiety, jest czyste i święte jak rzeki płynące w raju, nawet

55

nie dopuszczają do siebie takiej myśli, Agrypina Fiodorowna Antipowa nie była wyjątkiem. Tak jak narody, tak i macierzyństwo nie może mieć swojej oficjalnej historii, złożonej z zapisków prowadzonych starannym pismem od dziś wstecz, oczyszczonej z chwastów, z równiutko ułożonymi kamyczkami wydarzeń. Bo miłość nie zawsze pojawia się od razu. Niekiedy rozkwita później, w asyście czasu rozrasta się pęd

za pędem, rozlewa kropla za kroplą. Dopiero gdy nałożą się na siebie nagłe przyplwy serdeczności i czułości, odkładające się niczym osad dziesiątkami cienkich warstewek, gdy zainteresowanie innych, jakiś poruszający moment jak podmuch powietrza wzbudzony ruchem wachlarza przegonią z umysłu wszystkie niestosowne myśli i brzydkie uczucia, matka zanim jeszcze pokocha dziecko, zaczyna kochać rozwijającą się wraz z nim aurę macierzyństwa. I tak głęboko się do niej przywiązuje, że w końcu przywiązuje się i do dziecka, i zaczyna je tak mocno kochać, iż pragnie wierzyć, że zawsze je kochała, że zawsze kochała je równie mocno. Odczuwana niegdyś obojętność staje się tak okropna, tak niemożliwa do wyobrażenia, a tym bardziej do wysłowienia, że trudno o niej komukolwiek opowiedzieć. Nie można na przykład tak mówić do męża: „Na początku bardzo żałowałam, że urodziłam to dziecko”, ani do dziecka: „Na początku nie bardzo cię lubiłam, ale później polubiłam”, ani nawet do samej siebie: „Byłam złym człowiekiem, o tak zimnym sercu, że nie kochałam własnego dziecka”. By móc przeżywać piękno macierzyństwa, trzeba najpierw uporządkować myśli i uczucia. Nieszczęściem Agrypiny Fiodorowny Antipowej było to, że zanim pokochała dziecko, zanim krok po kroku, rok po roku nauczyła się je kochać, zanim pokochała je tak mocno i szczerze, że przekonałaby samą siebie, iż zawsze kochała je z taką samą siłą, straciła je.

56

Gdy tamtego popołudnia wróciła do domu na karmienie, mąż i dziecko spali przytuleni do siebie na kanapie pod oknem, skąpani w rozsiewającym złociste rozbłyski światło, które zdawało się płynąć nie ze słońca, lecz z samego raju. Przenikające przez zasłony promienie lśniły bursztynowo, twarz generała miała barwę cytryny, pokrycie kanapy — kolor suszonej moreli, powijaki niemowlęcia — szafranu, a mała kulka tuż nad nimi była w odcieniu żółtego wymieszanym z fioletem. Agrypina Fiodorowna Antipowa, mrużąc oślepienie słońcem oczy, z pełnym niepokoju zaciekawieniem zbliżyła się do tej dziwnej kulki. Po kilku krokach zatrzymała się i nagle zrozumiała, w co od dłuższej chwili się wpatruje. Miała rację co do kolorów. Wspomnienia, zdarzenia, tak samo jak ludzie, mają właściwe sobie barwy. I śmierć też. Każda żywa istota ma inny kolor śmierci. Barwą śmierci nowo narodzonego dziecka był właśnie ten sinożółty odcień.

Paweł Pawłowicz Antipow obudził się po chwili i nie zauważwszy w pokoju żony, wyprostował się, starając nie potrząsać dzieckiem, lekko przeciągnął się, ziewnął ospale i wyjrzał przez okno. W dole, na ulicy niechlujny sprzedawca podrobów zawzięcie targował się z dwiema starymi muzulantkami, wygadanymi jedna bardziej od drugiej, stojąc przy koszach z towarami załadowanych na wychudzonego do granic możliwości konia. Przekrzykując się z kobietami, odganiał roje

tlustych much krążących wokół mięsa, w czym sekundował mu powolnymi ruchami ogona koń, wyglądający tak, jakby już za chwilę miał wydać ostatnie tchnienie. Wszystko i wszystkich ogarnęło znużenie, rozsiewane już od samego rana przez wiatr buchający żarem, że nawet wrzaski sprzedawcy i jego klientek nie zakłócały panującego na ulicy odrętwienia. Paweł Pawłowicz Antipow w zamyśleniu zamknął okno i odchyliwszy się na oparcie kanapy, popatrzył na dziecko. Popatrzył i nie

57
zrozumiał. Usta niemowlęcia były lekko uchylone, oczy otwarte, a brwi zmarszczone, jakby dręczył je jakiś nieprzyjemny sen. Całą twarzyczkę pokrywała siateczka cieniutkich jak włos żyłek, przywodzących na myśl porcelanową miseczkę, która spadła na ziemię, lecz dziwnym trafem się nie potłukła, tylko pokryła biegnącymi wzdłuż i wszerz dziesiątkami spękań. Paweł Pawłowicz Antipow ujął w dłonie tę zimną sinożółtą główkę jak szklaną kulę, w której spodziewał się dostrzec przyszłość. I jak ludzie, którzy od lat nie płakali, którzy już dawno zapomnieli, jak to jest płakać, wydał głos pierwej, niż uronił łzy. Aby móc zapłakać, musiał najpierw zawyc.

Sprzedawca podrobów, układający z powrotem w koszu towar, którego nie udało mu się wcisnąć zrzedliwym staruchom, usłyszawszy nagle ten krzyk, wyczuł w nim nieszczęście. Ciągnąc za uprząż kompletnie oklapłego od upału konia, otoczony rojami much i zastępami idących za nim ślad w ślad kotów, oddalił się pospiesznie.

Po powrocie z pogrzebu Paweł Pawłowicz Antipow napisał jeszcze jeden list do swego najmłodszego brata, który na długo przed rewolucją osiadł w Europie i zamiast kontynuować rodzinną tradycję i wybrać wojskowe rzemiosło, zajął się handlem i służył pieniądzeni, za co Paweł Pawłowicz Antipow głęboko nim pogardzał. Duma nie pozwalała mu wcześniej szukać u niego schronienia i odrzucał wszelkie propozycje pomocy z jego strony, ale tym razem poprosił o przyjęcie ich we Francji i w odróżnieniu od poprzednich listów — ten wysłał. W ciągu długich lat spędzonych we Francji generał i jego żona nigdy nie wspomnieli o tym nieszczęsnym poranku i z każdym dniem coraz bardziej oddalali się od siebie i wspól-

58
nych duchowych przeżyć. Przyjazd do tego kraju okazał się nadspodziewanie szybki i łatwy, ale nawet jeśli pojawiłyby się trudności, byli gotowi na wszystko, byle tylko uciec od niezyczliwości Stambułu. W chwili śmierci dziecka Paweł Pawłowicz Antipow pojął ostatecznie, że muszą jak najszybciej opuścić to pełne żałoby miasto. Stambuł im nie odpowiadał albo to oni nie odpowiadali jemu. Wrota szczęścia zostały tu już dla nich dawno zamknięte na głucho, niewykłuczone też, że nigdy się przed nimi nie otworzyły, i napieranie na nie nie miało już sensu. Ludzie, którzy na jakimś etapie swojego życia trafiali tutaj, nie zapuszczali w tym mieście korzeni — albo

przybywali tu, przed czymś uciekając, albo pewnego dnia stąd uciekali.

Gdy w 1922 roku Agrypina Fiodorowna Antipowa dotarła do Paryża, jej duszę obciążało nieznośne brzemie. Patrzyła na wciąż jeszcze zmęczone wojną miasto i nie starała się odkryć jego barwy. Ostatniego dnia w Stambule złapała jakąś dziwną chorobę oczu i utraciła zdolność widzenia. Wszystko, co dostrzegała — ulice, domy, ludzie i lustra — stanowiło kadry czarno-białej fotografii, jak gdyby cały świat zaciągnął zasłony, zamknął okna i okiennice, obraził się na nią. Nie przejmowała się tym. Co więcej, uważała to zachowanie za dziecinne. Nie miała ochoty zajmować się światem i jego nie kończącymi się strapieniami. Jedynym jej pragnieniem było ujrzeć Boga. Dopóki nie zobaczy barwy Tego, który odebrał jej dziecko, bo go nie kochała i nie umiała kochać, Tego, który ją wybrał i poddał próbie, a potem opuścił, dopóty nie chciała widzieć kolorów świata, złożonego wyłącznie ze złudzeń i odbić. Ze wstrętem odnosiła się do niestrudzenie ponawianych przez męża pro-

59
pozycji, by mieć jeszcze jedno dziecko, by zacząć wszystko od nowa, do jego pocieszeń, że czas leczy rany. Agrypina Fiodorowna Antipowa zauważyła, że zmarłe dzieci i porzucone miasta są do siebie podobne.

Paweł Pawłowicz Antipow nigdy nie zainteresował się Paryżem. Jego uznany za zakałą rodziny młodszy brat z jawnym zadowoleniem wyciągnął pomocną dłoń, więc generał uchwycił się jej, skrywając swoją niechęć. I nie puścił, aż był pewien, że nauczył się od niego wszystkiego, czego mógł, i otrzymał wszystko, co mógł otrzymać. Z czasem uznał, że kupiec przypomina żołnierza, i całkowicie oddał się nowej profesji. Była w nim bezwzględna determinacja, jaką spotyka się u ludzi, którzy długo szukali swej drogi i dopiero na pewnym etapie życia zdecydowali się w końcu podążać tą, na jaką na początku kręcili nosem. Był agresywny i niecierpliwy, jakby chciał nadrobić stracony czas. Ale szerokie perspektywy otworzyły się przed nim znacznie później, wraz z wybuchem nowej wojny światowej. Dorobił się na czarnym rynku znacznego majątku i wątpliwej renomy z powodu przeprowadzanych od czasu do czasu interesów z Niemcami, nauczył się lawirować wśród wojennych zgłiszczy jak tocząca się gumowa piłka. Było mu wszystko jedno. Trwająca wojna nie była jego wojną. Wierzył w zwycięstwa wyłącznie jednostek, nie państw czy idei. I niezależnie od tego, jak zostały osiągnięte, wszystkie zwrócone były ku przeszłości, nie przyszłości. Bycie zwycięzcą w życiu nie oznaczało zbliżania się krok po kroku do jeszcze nie przeżytej, nie naruszonej nawet marzeniami przyszłości, lecz naprawianie przeszłości zamienionej w ruinę, zanim jeszcze została przeżyta, umieszczanie jej na powrót na poczesnym miejscu, przywracanie jej dawnego splendoru.

Ponieważ żona nie wywiązywała się już z małżeńskich powinności, wziął sobie nową kobietę, na miejsce utracone-
60

go dziecka urodziło mu się nowe, dawny brak siły wypełnił nową. Wszystko to było i nie było nowe. Gdy wziął na ręce niemowlę urodzone przez młodą Francuzkę, miał dokładnie pięćdziesiąt dziewięć lat. Podobnie jak pierwsze też było dziewczynką o oczach koloru popiołu. Całe lata ukrywał ten fakt przed Agrypiną, choć wątpił, by żona była o to zazdrosna. Ba, by w ogóle ją to w jakiś sposób obeszło. Jak można było sądzić z listów przychodzących od naczelnego lekarza kliniki, w której przebywała, pozostawała w najwyższym stopniu obojętna na wszystko, co się wokół niej działo. Czas jej upływał na obserwowaniu wieśniaków, którzy pracowali w ciągłych się po horyzont winnicach, i uwiecznianiu ich na akwarelach. Paweł Pawłowicz Antipow czytał te listy z wielką uwagą, niepokojem i smutkiem, po czym odkładał do szuflady i zapominał o nich. Był bardzo zadowolony z nowego związku i zdecydowany obdarzyć drugie dziecko całą miłością, jakiej nie zdążył ofiarować pierwszemu, mimo to nigdy nie próbował rozwieść się z żoną. Choć dawno już zaprzestał odwiedzin u Agrypiny, zadbał, by przebywała stosunkowo blisko. Żona na początku była małą, zakochaną w nim istotą, jego wierną wielbicielek, potem stała się ofiarą własnej niemocy i słabości, a z czasem — jedynym zwierciadłem pokazującym mu, skąd przyszedł, co po drodze stracił, najbliższym świadkiem osobistej historii... Nie była żoną ani przyjacielem, tylko raczej dziennikiem podróży. I nie miało znaczenia, że podobnie jak dziennik nie wie, co w nim zapisano, Agrypina nie zdawała sobie w pełni sprawy z tego, czego była świadkiem. Ten cenny diariusz Paweł Pawłowicz Antipow oddał na przechowanie w bezpieczne miejsce, by pewnego dnia, gdy przyjdzie pora, go odebrać.

Lecz gdy czas ten nadszedł, Paweł Pawłowicz Antipow tyle już przeżył, tak bardzo się zestarzał, że zaczął nosić swój
61

wiek jak wyświechtane ubranie, które podarło się na strzępy wskutek użytkowania przez długie lata i które z tego właśnie względu chętnie wkładamy, gdy jesteśmy sami, lecz przyłapani w nim wstydzimy się i chcemy je jak najszybciej schować. Osiągnął po kolei wszystkie swoje cele, nadrobił wszystko, co utracił, przeżył wszystko, co miał przeżyć, ale życie jakoś nie dobiegało końca. Nikt w jego otoczeniu nie żył tak długo jak on. Gdy o wiele, wiele młodszy od niego ludzie, których kochał, o których się troszczył, z którymi się kłócił, do których żywił urazę, odchodzili jeden po drugim, smutek odczuwany po ich śmierci osadzał mu się w piersiach i zamieniał w ostry, przejmujący ból przeszywający nocą serce. Wydawało mu się, że bliscy zmarłych, zwłaszcza ich żony i córki, skrycie go obwiniają, że nienawidzą go za to, iż tak długo żyje w tych

odrażających czasach, w których nawet śmierć straciła swą magiczną moc. Miał dziewięćdziesiąt cztery lata, jednak ani się nie postarzał, ani nie zdziażdżał i nie zdziecinniał. Nic na to nie mógł poradzić. Błąd ten można było naprawić, jedynie umierając, ale tak jak od samego chcenia nikt nie umiera, tak on w gruncie rzeczy wcale nie chciał umrzeć.

Niekiedy sam sobie czynił wyrzuty głosem Lewantyńczyka o obwisłym podbródku, którego kastraci pisk po tylu latach wciąż brzęczał mu w uszach: „Ile ma pan lat, monsieur Antipow? Oho, to niemal stulecie! W ciągu tego stulecia państwa rozpadły się jak domki z kart, ludzie wyroili się jak muchy, nie raz, nie dwa zadzwieczał nam w uszach głos anielskiej trąby. A pan bezwiednie przeszedł przez wrota wiodące poza czas czy może świadomie podpisał pakt z diabłem? Ile jeszcze zamierza pan żyć, monsieur Antipow? Czyż to nie sztuczka Fortuny, że opuścił pan swój kraj, uciekając przed śmiercią, a teraz w obcym kraju czeka pan, aż śmierć w końcu do pana przyjdzie?”.

62

Gdy Paweł Pawłowicz Antipow, przygnieciony poczuciem winy za swój nienaprawialny błąd, zaczął unikać ludzi i przy każdej okazji uciekać za miasto, niespodziewanie otrzymał list od głównego lekarza kliniki. Stan Agrypiny nagle się pogorszył. Pewnego ranka na oczach zdumionych lekarzy, pielęgniarek i innych chorych zerwała się z krzykiem i pobiegła do pracujących w winnicy chłopów. Próbowwała z nimi porozmawiać, ale widząc, że nikt jej nie rozumie, przeżyła straszliwy atak hysterii. Sprowadzono ją z powrotem i nieco uciszono za pomocą zastrzyków. Tym razem niezrozumiałymi słowami próbowała porozumieć się z personelem, ale widząc przerażenie pozostałych pacjentów, sama się przestraszyła i znowu całkowicie zamknęła w sobie. Naczelnny lekarz prosił, by Paweł Pawłowicz Antipow jak najszybciej przyjechał i zobaczył się z żoną, ponieważ — jeśli się nie myli — obcym językiem, którym ta najcichsza z pacjentek po tylu latach przemówiła, i to w dodatku w nagłym napadzie szału, wyzwolonym przez nie znany im bodziec, był rosyjski.

Ujrzawszy przed sobą Pawła Pawłowicza Antipowa, Agrypina Fiodorowna Antipowa rzuciła mu się na szyję — ale nie dlatego, że rozpoznała w nim dawno nie widzianego męża, lecz z radości, że znalazła wreszcie kogoś, przed kim mogła wylać swoje żale. I zaczęła mówić. W jej opowieści nie było ani sensu, ani ciągłości. Wspominała o piosenkach śpiewanych o zachodzie słońca przez pracujących w winnicy wieśniaków, skarżyła się, że przebywający w klinice chorzy w starszym wieku są zazdrośni jak dzieci, żaliła na obojętność Boga. Nie robiła przerw. Mówiła do końca pory odwiedzin, przeskakując z tematu na temat, przywołując z pamięci pachnącą cynamonem i śmietanką kuchnię, nie okazując najmniejszych oznak

radości czy smutku i ani odrobinę nie zważając na reakcję słuchacza. Pod wieczór, zanim anielsko cierpliwy Paweł Pawłowicz Antipow wyszedł, z lekko nadąsanym uśmiechem zapytała, kiedy przyjdzie znowu, po czym nie czekając na odpowiedź, grzecznie zapadła w mocny sen wywołany lekami. Milczący gość pojawił się następnego dnia, tym razem z różami w rękę i sporą paczką pod pachą. Agrypina nie zainteresowała się kwiatami, lecz gdy otworzyła ozdobne opakowanie, wybuchem radości powitała znajdujące się w środku słodycze i leżącą pod nimi okrągłą, pokrytą malunkami i werniksem tacę. Zachwycający przedmiot, który Paweł Pawłowicz Antipow kupił od pewnego chytrego antykwariusza w Paryżu, pochodził z warsztatów Wiszniakowa. Wyobrażono na nim scenę porwania ukochanej przez bojara. Bojar z nadludzką siłą jedną ręką obejmuje kobietę, drugą zaś trzyma się drabiny. Gdy znalazł się na ostatnim szczeblu, przystanął, aby popatrzeć na gdzieniegdzie jasno-, gdzieniegdzie ciemnozielony bór, w którym za chwilę się zanurzą. Paweł Pawłowicz Antipow odsunął się na bok i z ciekawością obserwował zachowanie żony. Lekarz powiedział mu, że niekiedy pamięć płata figle, że gdy ciało się kończy, mózgowi pozostaje tylko głowa, że wielu chorych, których życie dobiega kresu, wraca do dzieciństwa i do języka, którego używali w tym czasie. Wystarczy jakiś przedmiot lub wspomnienie, by wyzwolić w podświadomości taką przemianę. Teraz, będąc jej świadkiem, Paweł Pawłowicz Antipow zdał sobie sprawę, że nie zniesie tego, by jego żona zmarła przed nim. Dziennik podróży, przewracając swoje karty wstecz, wycierał wszystko, co było na nich zapisane. Ale Agrypina Fiodorowna Antipowa wydawała się bardziej zainteresowana słodyczami niż tacą Wiszniakowa. Nieświadomo-

1 Znane rosyjskie warsztaty rękodzielnicze, wytwarzające popularne w drugiej połowie XIX w. przedmioty z laki zdobione miniaturami.

ma obaw swego męża, podsuwała mu wybrane na chybił trafił cukierki i z wdzięcznym uśmiechem pytała, co mają w środku. Odpowiedział:

— Różowe zapewne są truskawkowe.

Różowe! Jak dawno nie widziała różowego koloru. Odwinęła celofan, wsunęła cukierek do ust. Ładnie pachniał i był dość słodki.

Gdy smakołyk rozpułwał się jej w ustach, stała się bardzo dziwna rzecz. Nagle wargi pięknej ukochanej trzymanej w objęciach przez bojara, ściśnięte w niespokojnym milczeniu, nabrały różowego koloru, a potem dookoła zaczęły jeden po drugim ujawniać się wszystkie przedmioty w takiej samej barwie. Agrypina z miejsca sięgnęła po inne cukierki i za każdym razem sumiennie pytała męża o nadzienie. Żółte smakowały cytryną, czerwone — cynamonem, zielone — miętą, pomarańczowe — mandarynką, brązowe — karmelem, a beżowe były

waniliowe. Żółte były przy tym kwaśne, czerwone — ostre, zielone piekły, a pomarańczowe miały smak słodko-kwaśny. Brązowe były gorzkawe, a beżowe cierpkie. I tak z każdym zjedzonym cukierkiem do Agrypiny Fiodorowny Antipowej powracały jeden po drugim zostawione w Stambule kolory. Obserwowała, jak ozywają barwy łóżka stojącego pod ścianą, biurka i krzesła, komódki z wiśniowego drewna, na której blacie stały rozmaite lekarstwa, ikony z Matką Boską, surowej twarzy świętego Serafina w medaliku wiszącym na jej szyi. Potykając się wręcz ze zdziwienia, podbiegła do okna i osłupiała na widok pejzażu. Kolory były wszędzie. Winnice, ciągnące się po zboczach wzgórza aż po horyzont, miały piekący kolor mięty, stroje wiejskich kobiet, które podśpiewując pod nosem, napętniały kosze ciężkimi kiściami winogron, były słodko-kwaśnej barwy mandarynki, drzewa i gałęzie, służące za schronienie ptakom o przenikliwych głosach, smakowały ostro jak cyna-

65
mon, a słońce na nieboskłonie lśniło kwaśnym blaskiem cytryny. Kolory były wszędzie, ale w budynku było ich mniej niż na zewnątrz. W tym momencie przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Zebrała papierki po cukierkach i spojrzała przez celofan jak przez okulary na klinikę, w której spędziła tyle lat. Jednym ruchem starła biel rządzącą dotąd niepodzielnie korytarzami tego zimnego budynku, ścianami pokoi, fartuchami lekarzy, bladymi twarzami pielęgniarek, tabletkami, które rano i wieczorem musiała po dwie łykać, prześcierałami zmienianymi co drugi dzień przez salowe, kleikiem bez soli i smaku serwowanym na każdy posiłek. Gdy przykładała do oczu różnokolorowe kawałki celofanu, barwę zmieniało nie tylko wszystko dookoła, lecz także stojący przed nią stary mężczyzna, który nie odrywał od niej wzroku. Jedyłą rzeczą, jaka pozostawała nie zmieniona, był malujący się na jego twarzy wyraz zatroskania. Agrypina nie przestawała przykładać celofanu do oczu, a próbując uzyskać nowe kolory, zestawiała czasami po dwa lub trzy płatki. Po kilku chwilach cały świat pokrył się fioletem. Z jej ust wydobył się chrapliwy okrzyk:

— Stam-bu!

Odkryła. Odkryła jego kolor, którego nie mogła zobaczyć, gdy w wieku dziewiętnastu lat, z małą wypukłością na brzuchu i większą na plecach, patrzyła nań z pokładu cuchnącego statku. W jej kolekcji barw i miejsc Stam-bu! zyskał kolor fioletem, rozedrganego, rozbryzgiwanego i rozszarpywanego przez oślepiające światło słońca, odbijające się od pokrytych ołowianą blachą kopuł. W jej głowie majaczyły powtarzające się oderwane wspomnienia.

— Stam-bu! — cierpliwie sylabizowała tę nazwę, jakby nie był to zawsze ten sam wyraz, ale słowo składające się z tysiąca powtórzeń. Paweł Pawłowicz Antipow nie wytrzymał. Chwycił dłonie żony i zapytał:

66

—Agrypino, pamiętasz Stambuł?

W ciągu następnych dni Agrypina Fiodorowna doszła do wniosku, że jest młoda i ciągle znajduje się w Stambule. Od czasu do czasu wypowiadała jakieś tureckie wyrazy. Pociły się jej dłonie, co chwila traciła i odzyskiwała świadomość. Gdy ją traciła, wracała wspomnieniami do Stambułu, gdy odzyskiwała — zostawiała tam część siebie. Jej stan się nie zmieniał. Każdy mijający dzień był wiernym powtórzeniem poprzedniego, a do tego zdawał się szeptać, że nie będzie już dalszych powtórzeń, że wkrótce nastąpi koniec.

Nie powinna umierać w ten sposób, nie powinna odchodzić z tego świata tak wcześnie, zostawiając za sobą nieruchome brzemie. Paweł Pawłowicz Antipow, który swoje już przeżył i który nie miał już nic do roboty, przyszedł pewnego razu do kliniki jeszcze przed świtem i zapytał:

— Agrypino, chcesz znowu pojechać do Stambułu?

I gdy zobaczył, że się rumieni i uśmiecha, jakby usłyszała coś nieprzyzwoitego, uznał to za zgodę. Powinien przynajmniej zrobić tyle, by śmierć żony, nawet jeżeli nastąpi przed jego, była piękniejsza niż życie, które prowadziła. I dlatego powinni razem wrócić do miasta, które — gdy była jeszcze taka młoda — tak okrutnie ją potraktowało, zmiażdżyło, upokorzyło i pokonało. Należało dać jej choćby spóźnioną możliwość wyrzucenia z siebie bólu tamtych dni. Pokazując jej przyjemności, których ongiś była pozbawiona, luksusy, których nie posmakowała, radości, których nie zaznała, mógł spokojnie doprowadzić do końca tę niekompletną historię. Tak postanowił. Agrypina miała spędzić resztę swoich dni nie w tej klinice, lecz w Stambule. A do tego nie jako uchodźca ani nawet wygnaniec, nie jako uciekinier ani obcy przybysz, nie jako gość i nie jako lokator. Powinna zamieszkać nie w cudzym Stambule, lecz we własnym, jako właścicielka własnego domu.

67

Przyjechali. Przyjechali, ale na pierwszy rzut oka ani oni nie poznali miasta, ani ono ich. Paweł Pawłowicz Antipow, który nie chciał mieszkać w hotelu ani jeden dzień dłużej, niż było to konieczne, od razu przystąpił do szukania odpowiedniego lokum. Jeszcze nie wiedział, czy przepisy pozwalają cudzoziemcom kupić tutaj budynek, ale nawet jeżeli nie, nie wątpił, że na świecie jest dość ludzi gotowych dla własnej korzyści igrać ze wskazówką moralnego kompasu, więc nie stanie mu na przeszkodzie i w taki czy inny sposób uda mu się skierować bieg spraw we właściwe koryto. Ale okazja, jaka się nadarzyła w ciągu pierwszych dziesięciu dni pobytu, była nawet czymś więcej, niż oczekiwał. Podczas kolacji, na którą zaprosił ich właściciel hotelu, siedział obok lichwiarza. I człowiek ten wspominał o pewnej kamienicy, której budowę rozpoczęto w jednej z lepszych dzielnic miasta, lecz wskutek niespodziewanego bankructwa właściciela przerwano w po-

łowie. Paweł Pawłowicz od razu zrozumiał, że nie wolno mu przepuścić tej okazji. Następnego dnia od razu udał się na plac budowy, której jednak nie przerwano w połowie. W zasadzie wykopano tylko dół pod fundamenty, ale tak nawet było lepiej, o wiele lepiej. Zaczął szukać białych Rosjan, którzy pozostali tu i przyjęli tureckie obywatelstwo. Uważał, że korzystniej będzie, jeżeli w papierach pojawi się tureckie nazwisko, ale też nie obdarzyłby zaufaniem człowieka innego pochodzenia niż jego własne. W końcu zawarł umowę z pewnym cichym i spokojnym małżeństwem, które utrzymywało się ze sprzedaży delikatnych abażurów w dzielnicy Asmalimescit, a które jakieś dwadzieścia lat wcześniej przyjęło tureckie obywatelstwo. Kamienica została wybudowana jako własność spółki-przykrywki, w której mieli zerowe udziały. Paweł Pawło-

68
wicz Antipow nie miał zamiaru zadowalać się byle czym — wszystko sobie dokładnie policzył i nie szczędził grosza. Formalności wymagające czasu i znacznego zachodu załatwił szybko, sięgając głębiej do kieszeni. Konkubinie, która została we Francji, ofiarował sporą sumę, by ją ułagodzić i skłonić do uwierzenia w kłamstwa, jakie jej naopowiadał. Nie skarżył się. Po raz pierwszy od wielu lat wydawał pieniądze, nie licząc każdego grosza. Zatrudnił architekta, stambulskiego Ormianina, z którego rodziną robił we Francji interesy. Nie ograniczał wydatków. Sprawdzał wszystkie używane na budowie materiały i choć od czasu do czasu konsultował z żoną wygląd drzwi wejściowych, ogrodzenia, balustrad balkonów, ozdób na frontonie czy wreszcie marmurowych płyt zastosowanych przed wejściem, zawsze robił wszystko tak, jak sam uważał. Agrypina bowiem nie wydawała się zainteresowana tymi szczegółami. Od przyjazdu tutaj większość czasu spędzała ze swoją arabską służącą, wysłuchując zrzędzenia alzackiej opiekunki lub obserwując morze z okien pokoju hotelowego. Wyraz, jaki gościł na jej twarzy, gdy przyglądała się wodom Bosforu, nie różnił się od tego, jaki pojawiał się, gdy z okien kliniki patrzyła na winnice. Nie cieszyła się wcale z powrotu do miejsca, gdzie pochowała swoje dziecko, niekiedy nie wiedziała nawet, w jakim mieście przebywa. Ale nie wydawała się nieszczęśliwa. Przyglądała się Stambułowi jak sunąca ponad nim drżąca, przestraszona deszczowa chmura, nieco płacząco, a jednocześnie niczego nie dotykając i nie przejmując się niczym.

Zdaniem Pawła Pawłowicza Antipowa to odizolowanie się żony od świata nie było oznaką jej choroby, lecz niewinności. W czasie służby wojskowej wielokrotnie zetknął się z panującym wśród żołnierzy przekonaniem, że wystarczy obecność jednego niewinnego, by nic złego im się nie przydarzyło, że

69
przez wzgląd na niego wszystkim zostanie darowane życie. Teraz, w tej dziwnej podróży, w jaką wyruszył, by uspokoić

swoje starcze sumienie, z podobnym przekonaniem sam szukał ocalenia w żonie.

Gdy mury kamienicy pomalowano od góry do dołu na kolor popielaty, a obramowania okien i balustrady balkonów na dwa odcienie szarości i gdy wykończono delikatne ozdoby wijące się jak dzikie wino wokół dwuskrzydłych drzwi wejściowych, budynek olśniewał nieskalaną czystością. Najsilniej rzucającą się w oczy jego cechą było to, że każde piętro różniło się od pozostałych, a całość na życzenie Pawła Pawłowicza Antipowa została wzniesiona w niemodnym już secesyjnym stylu. Mieszkania na parterze, jakby w celu zrekompensowania braku balkonów, miały okna większe niż na wyższych piętrach. Balkony zaś na każdej kondygnacji były inne. Na drugiej miały półkolisty kształt i wystawały śmiało poza lico ściany, na trzeciej kryły się w korpusie budynku, tak że można było na nich zasiadać bez obawy, że zostanie się dostrzeżonym z ulicy. Na czwartej kondygnacji nie miały metalowych balustrad, lecz otoczone były murkiem z płaskorzeźbami w kształcie kwiatów, na obu końcach murka ustawiono wielkie marmurowe donice, w których można było zasadzić żywe kwiaty. Różnice były tak znaczne, że każdy, kto tu zawędrował, nie mógł uwolnić się od myśli, że mieszkańcy kamienicy wcale nie dzielą jednej przestrzeni.

Na froncie uwagę zwracała płaskorzeźba umieszczona dokładnie pomiędzy oknami parteru i pierwszego piętra. Widniał na niej paw w okręgu, z malutką głową i olbrzymim ciałem. Pięć piór z ogona rozchodziło się promieniście w pięciu kierunkach. Na ich końcach wyrysowano wielkie oczka i każde otoczono wiankiem niewyraźnych, cienkich, przypominających rzęsy kreseczek. W przeciwieństwie do piór głowa ptaka

70

skierowana była do przodu, w dół. Tam, gdzie patrzył, pod jego nogami, w trudno dostrzegalnym dla przechodniów owalnym obramowaniu widniały inicjały małżonków.

— Jaką nazwę mu nadasz? — zapytał Paweł Pawłowicz Antipow żony, pokazując jej z dumą budynek. Pachnąca jaśminem bryza wdarła się między nich i jego ustami wypowiedziała słowa, których on nie był w stanie sam z siebie wydobyć:

— Agrypino, oto twoje dziecko o oczach w kolorze popiołu. Będzie cię zawsze kochać, a w zamian nie oczekuje więcej miłości, niż możesz mu dać. Będzie należeć tylko i wyłącznie do ciebie, ale nie będzie żądać, byś mu się poświęciła. Nigdy nie będzie grymasić, płakać, nigdy nie zachoruje i nie umrze. Nigdy nie wyrośnie. Nie opuści cię, dopóki ty go nie opuścisz. Będzie się nazywać tak, jak ty zechcesz. Jakie imię mu nadasz? Agrypina Fiodorowna Antipowa słuchała słów wiatru z rosnącym podnieceniem. Pomilczała przez kilka minut, dobrze się zastanowiła i ze świecącymi oczyma oznajmiła:

— Cukiereczek!

Paweł Pawłowicz Antipow przez dłuższą chwilę patrzył na

żonę w osłupieniu, po czym — uznawszy, że nie zrozumiała — ponowił pytanie. Tym razem jednak dodał kilka propozycji nazw dla kamienicy: odnoszącą się do ich ojczyzny lub upamiętniającą dawne czasy, przywodzącą na myśl Stambuł z lat dwudziestych albo, jeszcze lepiej, pokazującą, jak bardzo różni się ich drugi pobyt tutaj od pierwszego. Odpowiednie byłoby na przykład „Zwycięstwo”. Albo „Honor”, „Radosna”, „Szczyt”, „Pamiętka” lub „Przygoda”, „Finał”, „Pomysł”. Mogłaby być nawet „Kamienica Niezapominajka”. Albo „Jednocząca”, „Godząca waśnie”, „Sprawiająca radość”. Ukoronowaliby swój sukces, nadając budynkowi znaczącą nazwę, muszą go nią ukoronować, skoro włożyli w to tyle wysiłku, trudu i pieniędzy. Agrypina Fiodorowna Antipowa wysłuchała obszer-

71
nych wyjaśnień męża z potulnym uśmiechem, ale zdania nie zmieniła.

Gdy 1 września 1966 roku Piotr Pawłowicz Antipow i Agrypina Fiodorowna Antipowa wprowadzali się do mieszkania numer 10 w Pałacu Cukiereczek, niebo zasnuwały ołowiano-szare chmury. Jakby Panu Bogu nie starczyło kolorowego celofanu i pokrył cały świat tym monotonnym kolorem. Agrypina w towarzystwie arabskiej służącej i naburmuszonej alzackiej opiekunki pobieżnie obejrzała mieszkanie i skierowała się ku balkonowi. Otworzyła dwuskrzydłowe drzwi i wyszła na zewnątrz. Przed nią rozciągało się miasto. Zmieniło się, i to jak. Popatrzyła na Stambuł ze złośliwą satysfakcją, jak kobieta, która innej kobiecie zawsze zazdrościła urody i gdy po latach spotyka tamtą, widzi ją pobladłą, zgarbioną i pomarszczoną. Zawiał silny północny wiatr. Przed oczami stanęła jej własna twarz, zamąciło się jej w głowie, do oczu napłynęły łzy. Mimo to wciąż się tak samo pogodnie uśmiechała. Gdy po chwili Paweł Pawłowicz Antipow stanął koło niej, z zadowoleniem przyglądał się radosnej twarzy żony. Jakże szczęśliwa się wydawała! Było warto, było warto po tak długim czasie wrócić do tego miasta. Mężczyźni, a zwłaszcza Paweł Pawłowicz Antipow, oczekujący, że życie ostatecznie w bezsprzeczny sposób potwierdzi słuszność ich działań, w zadowoleniu kobiety znajdują dowód własnego sukcesu. Tego wieczoru w Stambule, gdy zamiast pachnącej jaśminem letniej bryzy owiał ich silny północny podmuch, Paweł Pawłowicz Antipow czuł dumę, patrząc na żonę. *#*

Czas pokazał, że obawy Pawła Pawłowicza Antipowa nie były nieuzasadnione. Żona rzeczywiście zmarła przed nim. Zaraz potem arabska służąca i alzacka opiekunka wróciły do Francji.

72

Paweł Pawłowicz Antipow jednak nigdzie nie wyjechał. Po utracie Agrypiny jeszcze przez dwa lata mieszkał samotnie w Pałacu Cukiereczek. W dniu śmierci miał dokładnie sto lat, ani mniej, ani więcej.

I tak w 1972 roku pałac przypadł w spadku jego nieślubnej

córcie Valerie Germain, mieszkającej w wielkim wiejskim domu pod Paryżem z mężem i czwórką dzieci, z których ostatnie urodziła w wieku lat czterdziestu. Valerie nie pojawiła się na pogrzebie ojca, którego istnienie było dla niej wielką, pozbawioną echa pustką. I tak jak nie postawiła stopy na cmentarzu, gdzie spoczął u boku Agrypiny, tak też pozostała obojętna na nieoczekiwany spadek. Ani wtedy, ani nigdy później nie przyjechała, by obejrzeć kamienicę. Za pośrednictwem równie chciwego, co znającego się na rzeczy tureckiego agenta wynajęła wszystkie mieszkania i dopóki pieniądze wpływały regularnie co miesiąc na konto, dopóty do niczego się nie wtrącała, zadowolając się prowadzeniem interesu na odległość. Nie minęły jednakże trzy tygodnie od wynajęcia lokalu numer 10, gdy otrzymała napisany starannym pismem i doskonałą francuszczyzną list od nowej lokatorki z informacją, że w mieszkaniu tym nadal znajdują się rzeczy osobiste Pawła Pawłowicza Antipowa i jego żony. Kobieta sugerowała też, że ponieważ jest ich wiele i przedstawiają znaczną wartość, dobrze by było, gdyby właścicielka osobiście przyjechała i rozeznała się w sytuacji, a jeżeli to niemożliwe, aby porozumiała się z firmą przewozową, która wszystko w komplecie prześle do Francji — w zorganizowaniu przewozu chętnie pomoże.

W odpowiedzi Valerie Germain podziękowała za okazane zainteresowanie i przeprosiła, że nieumyślnie spowodowała tyle problemów, ale jasno i stanowczo stwierdziła, że nie zamierza zabierać żadnej ze wspomnianych rzeczy. Lokatorka może spośród nich wybrać, co zechce, i używać lub oddać
73

innym, a resztę wyrzucić na śmietnik. Decyzja w tej sprawie należy do niej. Oczywiście, jeżeli usunięcie tych rzeczy z domu wiąże się z jakimiś kosztami, jest gotowa pomniejszyć o te wydatki czynsz.

Niedługo nadszedł kolejny list. Kobieta spod dziesiątki pisała, że nie ma serca wyrzucić tych rzeczy na śmietnik, że trzeba je wszystkie zachować i gdyby właścicielka przyjechała i je zobaczyła, na pewno by się z nią zgodziła. Do tego czasu będzie się nimi opiekować jako depozytem. Do listu dołączyła zawierający sto osiemdziesiąt pozycji szczegółowy wykaz pozostawionych przedmiotów oraz jedną czarno-białą fotografię. Było to zdjęcie Pałacu Cukiereczek, zrobione prawdopodobnie przez Pawła Pawłowicza Antipowa tuż po ukończeniu budowy, gdy jeszcze nikt w kamienicy nie mieszkał.

Budynek na zdjęciu był pozbawiony wyrazu. W jego otoczeniu nie było widać żadnych ludzi — ani w oknach, ani na balkonach, ani na chodniku czy ulicy. Wyglądał jak wojenna sierota. Jakby stracił wszystkich krewnych i nie pozostał mu nikt, kto widziałby, jak dorasta. Nie był umiejscowiony w przestrzeni. Zdjęcie nie dawało żadnych wskazówek co do tego, jak wygląda okolica, do czego podobne jest miasto, w którym się znajduje. Mogło to być jakiekolwiek miejsce na ziemi.

W jakimkolwiek czasie, poza czasem teraźniejszym... Zdjęcie przypadło do gustu Valerie Germain i długo wisiało na drzwiach lodówki w otoczeniu list zakupów, rachunków do zapłacenia, tabel wartości kalorycznej, przepisów kulinarnych, pocztówek z wakacji i obrazków narysowanych przez dzieci. Potem dzieci dorosły, a Valerie się zestarzała i gdzieś bezpowrotnie zagubiła fotografię pałacu.

LOKAL NUMER 3

— Boże, za jakie grzechy przyszło nam wachać ten smród! Żyjemy po prostu w śmietniku. Wkrótce wyewoluujemy i zaczniemy grzebać w ziemi jak kury! Zawsze gdy Cemal i Celal coś powiedzieli, wtórowały im śmiechy kobiet, niektóre szczere, inne z uprzejmości. Tym razem jednak tak nie było. Wręcz przeciwnie, gdy tylko skończyli mówić, w zakładzie zapanowała kompletna cisza. Taka cisza nie zdarzała się tu często. Aby tak się stało, musiał w cudowny sposób wystąpić jakiś zbieg okoliczności, z których każda z osobna już wydawała się niemożliwa. Musiałyby na przykład nagle ucichnąć, stanowiące udrękę dla uszu, klaksony samochodów, których kierowcy, aby uniknąć korka na głównej ulicy, wybierali drogę na skróty i jeden po drugim skręcali w ulicę Żurnalową, zamieniając ją w istną wieżę Babel, musiałyby ucichnąć okrzyki sprzedawcy arbuźów, który rozłożył się z towarem na rogu, oraz jego konkurenta, wyposażonego w megafon i zdezelowaną furgonetkę krążącego po dzielnicy, więc przejeżdżającego przez to samo miejsce średnio raz na dwadzieścia minut, a także musiałyby ucichnąć wrzaski dzieci wypełniających położony dziesięć metrów

77

dalej, wciśnięty pomiędzy budynki, plac zabaw, wyposażony w dwie huśtawki na linach, jedną huśtawkę drewnianą oraz zjeżdżalnię z blachy, która latem bardzo szybko nagrzewała się od słońca i jak ogień parzyła pupy. A ponieważ w środku zakładu źródeł hałasu nie było wcale mniej niż na zewnątrz, więc aby choć przez chwilę mogła zapanować w nim prawdziwa cisza, musiałby się rzeczywiście wydarzyć cud. Musiałby na przykład zamilknąć stojący w rogu telewizor, zawsze działający i niezmiennie włączony na jeden i ten sam kanał muzyczny — byłoby to możliwe tylko w przypadku wyłączenia prądu, i tylko do chwili uruchomienia generatora, albo gdyby któraś z klientek przez pomyłkę usiadła na pilocie. Jednocześnie musiałyby też ucichnąć zarówno jazgotliwy podmuch małych suszarek, jak i jednostajne wycie wielkich, które nasadzone na głowy klientek wyglądały jak przezroczyste turbany wezyrów, oraz bulgot wrzątku w samowarze w znajdującej się w głębi zakładu kuchence, mechaniczny pomruk wentylatora na suficie, szelest arkuszy folii zawijanych na włosach podczas robienia pasemek, szum wody z kranów, otwieranych, gdy trzeba było

zmyć farbę, narzekania kobiet, że nagle lejąca się im na głowę woda jest zbyt ciepła lub zbyt zimna, tępy zgrzyt pilników do manikiuru trących o paznokcie, również dochodzące z dołu, z pokoju do depilacji, trzaski odrywanych pasków z woskiem, szuranie miotły i szufelki, wyciąganych co chwilę po to, by zmieść spadające na ziemię kosmyki, no i gwar rozmów ciągnących się przez cały dzień i ozywających z nadejściem nowych uczestników albo zwalnających, uspokajających się, ale nigdy się nie kończących, nigdy nie prowadzących do konkretnej konkluzji. Wszystko to musiałyby w jednej chwili ustać, aby w salonie fryzjerskim zapanowała całkowita i absolutna cisza. Ale nawet gdyby tak właśnie się stało, to trzeba by było jeszcze, a może przede wszystkim, obciąć język Cemalowi.

78

Cuda na tym świecie jednakowoż się zdarzają. Przynajmniej w Pałacu Cukiereczek. Oto ni stąd, ni zowąd napłynęły właśnie kłębiaste chmury ciszy, wniknęły do środka przez otwarte na oścież okna i wypełniły wnętrze zakładu, miękko pokrywając dźwiękoszczelną powłoką wszystkie źródła hałasu. Wśród tej nieskalanej ciszy Celal odetchnął głęboko i spokojnie. Nie lubił tego rwetesu, głośnych rozmów od rana do wieczoru, ale nic nie mógł na nie poradzić. Przecież głównym sprawcą tego nieznośnego harmidru był jego brat bliźniak, zrodzony z tej samej komórki jajowej. Cemal mówił dużo. Zawsze miał nastrój do gadania i zawsze miał coś do powiedzenia. Nie zważając na swój okropny obcy akcent, którego do tej pory się nie pozbył i — jak należało przypuszczać — już mu się pozbyć nie uda, cały dzień spędzał na pogaduszkach z klientkami, stale zerkając w ekran telewizora. Krytykował wszystkie wideoklipy, nieustannie sztorcował praktykantów, przysłuchiwał się cudzym rozmowom i wtrącał w nie swoje trzy grosze. A wszystko to robił nie po kolei, lecz jednocześnie.

Celal nie potrafił się jednak na niego gniewać. Jak wielu ludzi uważających, że ich młodsze rodzeństwo miało dzieciństwo trudniejsze niż oni, Celal obdarzał swego młodszego o trzy i pół minuty brata pełną czułości miłością. Jako dzieci zostali rozłączeni. Celal pozostał z matką na wsi, gdzie dorastał w dusznej, ale przepojoną miłością atmosferze, bezpiecznie, choć bez całkowitej swobody — w miejscu, do którego należał, w którym tkwiły korzenie jego rodziny. Cemal natomiast wyjechał z ojcem do Australii, gdzie cieszył się swobodą, lecz nikt nie zapewniał mu bezpieczeństwa. Żył w nieskończonym wszechświecie, ale był samiuteńki. Ojczysty język uważał za obcy, prowadził na wpół osiadły, na wpół koczowniczy tryb życia. Ich brutalnie rozdzielone życiowe drogi zbiegły się ponownie, gdy Cemal nieoczekiwanie wrócił do kraju. Wszyscy

79

krewni uznali, że wrócił z tęsknoty za ojczyzną, co pozwoliło im choć częściowo wybaczyć mu brak przywiązania jaki okazał, nie przyjeżdżając na pogrzeb matki. Sytuacja w kra-

ju wpływa bowiem na sposób postrzegania rzeczywistości przez jego obywateli. Ludzie z mniej rozwiniętych krajów czują sympatię do osób, które mieszkały za granicą, w bogatszych państwach, czuły się tam jak u siebie i mimo to zdecydowały się przyjechać do nich i u nich zamieszkać. Również Cemal, gdy tylko wrócił do Stambułu, zaczął korzystać z kredytu sympatii, jakim obdarzano chrześcijan nawróconych na islam, osiadłych w Turcji obcokrajowców, turystów spędzających tu regularnie wakacje, a zwłaszcza cudzoziemki które poślubiły Turków i zgodziły się nadać swoim dzieciom tureckie imiona.

A przecież on za swoją ojczyznę uważał Australię i nie darzył sympatią ani Turcji, ani Turków. A już na pewno nie Turczynek! Wąskie w ramionach, szerokie w biodrach o sylwetkach niepowstrzymanie rozszerzających się ku dołowi wszystkie przypominały zaniedbane gruszki. A do tego wykazywały się wyjątkowym konserwatyzmem w kwestii uciesania. Zawsze to samo cięcie, te same kolory. Jeszcze nigdy nie spotkał takiej, co pozwoliłaby ściąć sobie włosy króciuteńko na chłopaka. Przedziwna sprawa: kobiety, które nie pozwalały, by na ich ciele wyrósł choćby jeden włos, nie mogły się zdobyć na ścięcie włosów na głowie. Nie, nie, Cemal nie był zadowolony, że znalazł się w tym kraju. I jedynym powodem, dla którego z powrotem stąd nie wyjechał, był jego brat bliźniak, zakotwiczony tu, w Turcji, na stałe. Cemal powrócił przecież właśnie ze względu na to nie zarośnięte pęknięcie na własnym ja, dla drugiej połowy swej osobowości, noszącej imię różniące się od jego wyłącznie jedną literą. Gdyby tylko mógł go oderwać od tej ziemi, bez wątpienia zabrałby go do

80
Australii. Ale ponieważ w głębi duszy przeczuwał, że jego brat nie pojechałby z nim, że nie mógłby żyć nigdzie indziej, wiedział, że nie ma wyjścia — spakował więc manatki, wypłacił wszystkie oszczędności i przeniósł się do Stambułu.

Jeśli chodzi o Celala, to w chwili, gdy spotkał się z bratem, poczuł głębokie zażenowanie, do którego zresztą nigdy by się mu nie przyznał. Stojąc w poczekalni hali przylotów międzynarodowego terminalu, ze zdziwieniem, a potem ze wstydem patrzył na biegnącego w jego stronę i wykonującego gesty radości grubego człowieka z kręconymi włosami i wielkim nosem. Jak dziwacznie był ubrany: mało poważny podkoszulek, upstrzony wielkimi podobiznami kangurów, do tego jaskrawozielone szorty i, co najgorsze, skórzane sandały, sprawiające, że każdy zwracał uwagę na jego okropne, włochoate, różowe nogi. A jaki był ruchliwy! Wypowiadając jedno słowo, wykonywał dziesięć ruchów rękami i nogami, co chwila kogoś potracał albo coś zrzucał. A jak dużo mówił! Zalewając się łzami, składał górnolotne przysięgi, że nigdy się już nie rozstaną, snuł niedorzeczne plany i, do cholery, nie milkł ani na chwilę. Z jego słów wynikało, że pieniądze, które przy-

wiózł, chce przeznaczyć na założenie przez nich wspólnego przedsięwzięcia. Uściskał brata niosącego jego walizki, ucałował z głośnym, jakby odrywał bańki lekarskie, cmoknięciem w oba policzki, po czym machając rękami, jak początkujący linoskoczek starający się złapać równowagę i nie spaść z liny, wrzasnął na środku hali:

— Oto wspaniali bracia bliźniacy! Wszystko jedno, jaki to będzie interes. Najważniejsze, byśmy się już więcej nie rozstawali. Jak się uda, uda się nam obu, jak splajtujemy, to splajtujemy obaj!

Celal, który miał ochotę zapaść się pod ziemię, czuł się, jakby już splajtował. Z głębokim niepokojem przyglądał się

81

swemu zupełnie nie znanemu lustrzanemu odbiciu, bardziej obcemu od wszystkich obcych mu ludzi na świecie.

Celal nie był bynajmniej skłonny rzucać się na oślep w jakieś nieokreślone przedsięwzięcia, ale wobec entuzjazmu wykazywanego przez brata zmiękł i nawet się nie opierał. A gdy przyszło do opowiadania, czym się zajmują zawodowo, obaj odkryli wstrząsającą zbieżność: nie mając jeden o drugim żadnej wiadomości, z różnych powodów i w różny sposób zdobyli ten sam fach. Celal był fryzjerem damskim, Cemal zaś przepracował kilka lat w zakładzie fryzjerskim bez podziału na specjalizację męską i damską. To odkrycie zdwoiło entuzjazm Cemala.

— Bliźniacy fryzjerzy! — wykrzyknął z radością, po czym z jeszcze większą euforią powtórzył jak echo własne słowa, jak gdyby stwierdzał coś zupełnie innego: — Fryzjerzy bliźniacy! Każdy, kto zobaczyłby w tej chwili malujące się na jego twarzy bezgraniczne zadowolenie, uznałby go za człowieka, któremu w jednej chwili spełniły się wszystkie życzenia z długiej listy skierowanej do Boga. Podczas gdy jego flegmatyczny brat dopiero powoli zestawiał wszystkie plusy i minusy otwarcia własnego salonu, Cemal z wielkim zapałem poszukiwał już odpowiedniego lokalu. Gdy przychodził mu do głowy jakiś pomysł, błyskawicznie zapalał się do niego. Niecierpliwy, chciał już mieć przygotowane wszystko, czego potrzebowali. Prawdopodobieństwo, że będzie postępował rozważnie, nawet dzisiaj jest wyjątkowo niskie, a co dopiero w tamte dni, gdy nie wiedział, jakim wrednym miastem potrafi być Stambuł, i nie odczuwał nawet potrzeby, by to wiedzieć. Nie minął tydzień, a już wynajął odpowiedni lokal, a nawet zapłacił czynsz za rok z góry. Było to pomieszczenie w nielegalnie wzniesionym budynku na zboczu wzgórza, patrząc od frontu — na pierwszym piętrze, a od tyłu budynku — na parterze, z pięknym wido-

82

kiem na Bosfor. Gdy Celal je zobaczył, od razu się domyślił, że brat wynajął je wyłącznie ze względu na ten widok, i na próżno starał się mu uświadomić, że dla klientek nie będzie to miało żadnego znaczenia.

Otworzyli zakład i przez długie miesiące mogli co najwyżej polować z nudów na muchy. Potem zaczęły się ulewne deszcze i lokal został czterokrotnie zalany, a raz wdarły się do niego nawet jakieś stworzenia, jak można było sądzić po śladach, prawdopodobnie bezpańskie koty. Pod koniec piątego miesiąca, gdy udało im się oczyścić z błota i sierści wyposażenie, zebrawszy resztki pieniędzy, postanowili spróbować raz jeszcze. Tym razem miejsce miał wybrać Celal. Po długich poszukiwaniach i dokładnym rozważeniu wszelkich opcji uznał, że najbardziej odpowiednim dla nich miejscem będzie wychodzący na ogródek lokal na parterze szarej kamienicy, dość już starej, ale noszącej jeszcze ślady dawnej wspaniałości, znajdującej się w stosunkowo zatłoczonej dzielnicy, przy bocznej, lecz uczęszczanej uliczce, wychodzącej na ruchliwą aleję.

— Jakie to dziwne, nieprawdaż? — zauważył Celal jednego z pierwszych dni pracy w nowym miejscu. „Ja jestem gaduła, a wybrałem cichą dzielnicę. Ty stale milczysz, a wybrałeś hałaśliwe miejsce. Każdy z nas jest nie tylko przeciwieństwem drugiego, ale także przeciwieństwem samego siebie!

To przeciwieństwo nie uwidoczniło się jednak w pełni na zdjęciu zrobionym podczas XIX Mistrzostw Fryzjerskich Regionu Marmara, w których trzy lata temu wzięli udział. Na życzenie Cemala fotografia została powiększona do rozmiaru 50x60 centymetrów i po oprawieniu w ramki zawieszona dokładnie naprzeciwko wejścia. Co prawda, tamtego dnia Cemal miał na sobie podkoszulek w pomarańczowe papugi, a Celal gładką koszulę w kolorze khaki, ale obaj zademonstrowali na

83 konkursie tę samą fryzurę i w rezultacie nie zostali zakwalifikowani do finału. A było to ich ulubione uczesanie: luźno upięty kok z zebranych nad karkiem i grubo splecionych w warkocz włosów w kolorze miedzi. Podobieństwo fryzur zrobionych przez obydwu w tym samym czasie na różnych modelkach i w różnych miejscach było zdumiewające. Klientki uwielbiały przyglądać się ich zdjęciom i stale wynajdywać między nimi różnice. Zresztą u damskich fryzjerów wszystko i wszyscy ciągle się powtarzają. Czas, poza salonem goniący jak pies za własnym ogonem, w środku zakładu zwalniał, stawał się ociężały, ciągnął się i ciągnął jak rozgrzana guma do żucia przyklejona do podeszwy buta... Dobrą stroną tych powtórzeń było to, że wszystko było wiadome. Dzięki nim miało się wrażenie, że jest się w dobrze znanym miejscu, w otoczeniu znanych od stu lat przyjaciół. Klientki każdą wykonywaną tu czynność prawdopodobnie wielokrotnie już powtarzały, ale wciąż mogą ją powtarzać w nieskończoność. Wszystkie katalogi fryzur są takie same, ale niech tam, znów się je ogląda. Krążące z rąk do rąk kolorowe czasopisma nigdy nie są doczytywane do końca, jedynie przeglądane na chybił trafił. Nic nie szkodzi, że napotyka się znane już fragmenty.

Siedzące przed lustrami kobiety niezmiennie rzucają jedna na drugą spojrzenia. To nic, że między jednym a drugim zerknięciem nie następują żadne znaczące zmiany w ich wyglądzie — i tak stale się odwracają i patrzą. Gdy nie dopita herbata ostygnie, podaje się świeżą, a ta znów stygnie i znów nie zostaje do końca dopita, rozmowy przerywane są w połowie zdania i przeskakuje się z tematu na temat, o tych samych rzeczach mówi się znów od początku, telewizja pokazuje stale te same wideoklipy, ogląda się ich fragmenty, wypowiada w kółko te same komentarze... Nie ma przymusu robienia czegokolwiek za jednym razem od początku do końca. Życie też jest przecież

84

nieustannym ciągiem powtórzeń. Będzie trwało jak zawsze. Isfie zabrzmią trąby Izraela zwiastujące koniec świata, dzień sądu, gdy jesteście u fryzjera. W Stambule w każdej chwili, w każdej sekundzie można się spodziewać trzęsienia ziemi. Ale nie wtedy, gdy jest się u fryzjera. Tam nie. Różnice między wiszącymi na ścianie zdjęciami były wyszukiwane nieustannie przez klientki. Kobięcy wzrok przecież na ogół nie koncentruje się na podobieństwach, lecz różnicach. Przez trzy sekundy pokazujecie mężczyźnie zdjęcie przedstawiające pięć dziewczyn w niebieskich kostiumach kąpielowych, z włosami związanymi w koński ogon, stojących w jednym rzędzie nad basenem. Oto, co prawdopodobnie zobaczy: młoda piękna modelka w niebieskim kostiumie kąpielowym, z włosami związanymi w koński ogon pomnożona razy pięć. Teraz to samo zdjęcie, także przez trzy sekundy, pokazujecie kobiecie. Oto, co prawdopodobnie zobaczy: nad basenem pięć modelek, ta trzyma się bardziej prosto, a tamta jest zgarbiona, którejś jest do twarzy z końskim ogonem, a innej nie, jedna jest szczupła, a druga ma grube uda, któraś jest ładna, a któraś jeszcze ładniejsza.

Jeżeli jednak chodzi o zdjęcia Cemala i Celala zrobione podczas XIX Mistrzostw Fryzjerskich Regionu Marmara, nawet kobiece oko miało kłopot z wyszukaniem różniących je szczegółów. Jeżeli nie liczyć ubioru i srebrnej biżuterii Cemala, wszystko na nich było identyczne, z wyrazem twarzy włącznie. W identyczny sposób bracia przechylali głowy, pod takim samym kątem nachylali się nad modelkami, tak samo marszczyli czoła i stroszyli brwi, jakby chcąc pokazać, jak poważnie traktują swoją pracę, tak samo układali zgięte palce... Ale jedna różnica była dostrzegalna: Cemal lekko przygryzał dolną wargę — być może dlatego, że wiedział, iż nie jest tak dobrym fryzjerem jak brat, albo nie lubił tak bardzo jak on

85

koków z zebranych nad karkiem i grubo splecionych w warkocz włosów w kolorze miedzi, albo myślał wtedy tylko o tym, by jak najszybciej to skończyć i poszukać czegoś do jedzenia. Wielką zagadką, której rozwiązania nie podejmowali się nawet stali klienci zakładu, było to, jak Cemalowi, uwielbiającemu

jeść i od przyjazdu do Turcji opychającemu się różnego rodzaju wyrobami z ciasta, i Celalowi, jedzącemu jak ptaszek i zasadniczo wyłącznie zupy, udawało się zachować podobną, wręcz identyczną posturę.

Gdy jednak dochodziło się do kwestii sposobu wykonywania zawodu, tu między braćmi kończyły się podobieństwa i zaczynały różnice. Z tego względu Cemal miał swoje klientki, a Celal swoje. Oczywiście zdarzało się, że dana klientka zależnie od dnia wybierała jednego albo drugiego brata. Nawet te, które uwielbiały konkurować w gadaniu z Cemalem, chciały niekiedy, by uczesał je Celal — zwłaszcza gdy w grę wchodziła jakaś uroczystość: zaręczyny, ślub czy święta. Przy ważnych okazjach i w sytuacjach awaryjnych wyłącznie do niego należało się zwracać. Komu zachciało się samemu ściąć włosy w domu i wystrzygł sobie schodki, kto po taniej trwałej wyglądał jak po uderzeniu pioruna, kto tak splątał włosy, że zamienił fryzurę w ptasie gniazdo, albo cudownymi środkami od staruchy czarownicy wysuszył je na siano, kto tak rozjaśniał je perhydrolem, że upodobił do wiechci zwisających z kaczanów kukurydzy, kto wieczorem znieawidził kolor, na jaki ufarbował je rano, kto padł ofiarą niefrasobliwych eksperymentów początkujących fryzjerów, kto zdecydował się na nietypowe cięcie i następnego dnia gorzko tego żałował, powierzał swoją głowę jego rękom. W tych trudnych chwilach dochodził do głosu temperament Celala, ani na jotę nie przypominający temperamentu jego brata, i przywracał spokój ducha udreżonym klientkom. Wszystkie były zgodne co do tego,

86

że nie ma tak zniszczonych włosów, których Celal — ze swoim pełnym powagi milczeniem, szacunkiem okazywanym pracy i wielką zręcznością — nie mógłby uratować, ani tak zepsutej fryzury, której nie potrafiłby doprowadzić do porządku.

Co więcej, kwestia, kto kogo i kiedy miał czesać, nigdy nie stała się przyczyną kłótni między braćmi. Tak jak w wielu innych sprawach, tak i w tej panowało między nimi milczące porozumienie. Dopóki ten ustalony samoczynnie podział ról obowiązywał, dopóty nikt do nikogo nie miał pretensji. Gdy tylko klientka przekraczała próg salonu, w mgnieniu oka ustalali, co ją sprowadziło, i odpowiednio do tego któryś z nich ją witał. Jeżeli wchodziła ze zwiastującym bezradność wyrazem twarzy, otworzywszy drzwi tak gwałtownie, że omal nie urwała wiszącego nad nimi dzwonka, swoje zajęcia przerywał Celal. Wolno wychodził jej na powitanie, jednocześnie przyglądając się włosom i starając się określić wielkość problemu, z jakim przyjdzie mu się zmierzyć. W zwykłych przypadkach, nie dających powodu do niepokoju, ceremoniał powitania przypadał w udziale Cemalowi. To on przerywał wtedy swoją paplaninę i gnąc się w ukłonach z grzecznością, w której nigdy nie znał miary, witał klientkę. A jeżeli nie była mu ona obca, nie omieszkwał wtrącić kilku pełnych wyrzutu

słów, że tak długo się u nich nie pokazywała. Zdaniem Cemala bowiem każda kobieta powinna co dzień spędzać u fryzjera przynajmniej godzinę.

Była jednak pewna stała bywalczyni salonu, która od samego początku nie pozwalała się uczesać nikomu innemu, tylko Celalowi, i ani razu nie zarzuciła tego zwyczaju. Chodzi o Madame Babcie, którą ta nieoczekiwana cisza, jaka przed chwilą wszędzie zapanowała, ucieszyła nie mniej niż Celala. Mieszkająca samotnie pod numerem 10 drobna staruszka dokładnie co piętnaście dni kazała lekko podcinać swoje przerzedzone,

87

słabe włosy i starannie je czesać, a raz w miesiącu farbowała je na platynowy blond. I właśnie ta ostatnia sprawa nurtowała pozostałe klientki salonu i była ich ulubionym tematem pogawędek. Kobieta była za stara na platynowy blond albo ten blond był zbyt platynowy jak na jej wiek. Miała siedemdziesiąt osiem lat i była szczytem powagi. Może gdyby nie zachowywała się tak dostojnie, gdyby była obdarzoną poczuciem humoru, dowcipną, lubiącą choć troszkę pożartować trajkotką, pogodną starowinką, która wciąż nie zamknąwszy rozrachunków z losem, nie zamierza jeszcze rozliczać się z Bogiem, z której pełnych błysków oczu wciąż można wyczytać, że prowadziła niegdyś wesołe życie bohemy, nie zważając na to, co wypada, a czego nie, nie krytykując nikogo — to jeszcze, może wtedy ten blond nawet by do niej pasował. Tymczasem ona była zasadnicza jak babcie spędzające dni na modlitwach. Poważna i zorganizowana, wiodła życie wyregulowane jak w zegarku. A tu nagle platynowy blond. To było stanowczo zbyt wiele...

Zbyt wiele, bo w świecie stałych klientek salonu farbami i kolorami rządziły żelazne zasady, które znali wszyscy. Ufarbowane na blond włosy stały w sprzeczności z poważaniem. Blondynka mogła złamać tę regułę tylko w jeden sposób: musiała być blondynką naturalną! Rude, szatynki, brunetki, albinoski mogły farbować włosy tak często, jak chciały, i na każdy kolor, jaki im się zamarzył, a nigdy nie spotkałyby się z pytaniem, czy jest to ich naturalny kolor. Pragnienie bycia blondynką zaś zmusza kobiety do kłamstwa, skłania je do uciekania się do sztuczek. A przecież kłamstwo i tak szybko wychodzi na jaw. Gdy one starają się przekonać wszystkich dookoła, prawda złośliwie wзира spośród odrostów. Bycie blondynką naturalną czyni kobietę jednostką aspołeczną, a bycie blondynką farbowaną czyni ją oszustką.

88

Ale ani kolor włosów, ani nawet makijaż nie mogły podkopać respektu, jaki wzbudzała w otoczeniu Madame Babcia. Jej dostojność i majestatyczne milczenie już pierwszego dnia nie pozostawiły wątpliwości, że zostanie klientką Celala na zawsze. Po błysku, jaki pojawiał się w ich oczach na swój widok, było widać, że doskonale się rozumieją, choć nader rzadko

otwierali usta. Trudno jednak było ocenić, co ich tak zbliżyło. Oboje uważali, że słowa należy ściśle racjonować, gdyż każdy powinien wiedzieć, że ich zasób, podobnie jak wody do picia czy ziemi uprawnej, jest ograniczony i wyczerpuje się w miarę wypowiedzania.

Niestety owego popołudnia spokój tej pary ceniącej ciszę trwał jedynie jakieś cztery minuty. Nagle gwałtownie otworzyły się drzwi i nerwowo brzęknął dzwonek. Do środka energicznie, lecz bez pośpiechu weszła młoda kobieta, a za nią wdarły się mechaniczne nawoływania przez megafon przejeżdżającego ulicą sprzedawcy arbuzów, który zdawał się sypać na prawo i lewo rozkazami. Trzy kobiety, klientki Cemala, siedzące apatycznie jedna obok drugiej w obrotowych fotelach, ustawionych rzędem przed lustrem, które zajmowało całą długość ściany, z zawiązanymi pod szyją ochronnymi pelerynkami z ceraty w lamparcie cętki, jednocześnie odwróciły przystrojone wałkami, szpilkami, kawałkami folii i czepkami głowy i zmierzyły wzrokiem nowo przybyłą od stóp do głów. Gdy tylko zorientowały się, kto to taki, z jeszcze większą ciekawością wlepiły w nią spojrzenia. To była ważna chwila, albowiem Błękitna Kochanka jeszcze nigdy nie postawiła swojej stopy w tym zakładzie fryzjerskim.

Celal zerknął w stronę drzwi i wrócił do swego zajęcia.

W tej chwili nie miał zamiaru zajmować się niczym innym, tylko platynowymi kosmykami swej leciwej przyjaciółki. Poza tym nowa klientka, kimkolwiek była, nie zachowywała się tak,

89

jak przystało jego klientce. Cemal za to nie był ani tak obojętny, ani tak nieświadomy sytuacji jak jego brat bliźniak. Z plotek wymienianych w salonie od rana do wieczora zimą i latem, zdążył się sporo dowiedzieć na temat Błękitnej Kochanki. Na przykład, że ma zaledwie dwadzieścia dwa lata. Słyszał też, że kilka tygodni temu stała się na ulicy obiektem zaczepek jakiegoś młodego chłopaka, a gdy zrugła go za to, tamten zaczął się zachowywać wulgarnie, więc otworzyła worek ze śmieciami, który niosła do pojemnika, i obsypała odpadkami tego nachalnego typka. Dotarło do Cemala też, że urządziła awanturę administratorowi Haciemu, gdy ten, obliczając przypadającą na każde mieszkanie opłatę za wodę, wystawił jej rachunek nie za jedną, ale za dwie osoby. No i oczywiście słyszał też, że choć utrzymywała, iż mieszkanie numer 8 wynajmuje sama, jest kochanką handlarza oliwkami, który mógłby być jej ojcem — odpychającego typu spędzającego u niej co najmniej cztery dni w tygodniu. To wszystko już wiedział i palił się, by dowiedzieć się jeszcze więcej.

Przekazawszy pędzel do robienia pasemek pryszczatemu praktykantowi, z uśmiechem zadowolenia z siebie skierował się w stronę drzwi, w mgnieniu oka rejestrując jednocześnie obraz całej postaci nieoczekiwanej klientki. Jej ciało nie wyróż-

niało się niczym szczególnym. Nawet jeśli nie miało kształtu gruszki, było w nim coś gruszkowatego. Włożyła długą zwiewną sukienkę na ramiączkach, jak na kochankę zakrywającą nieco zbyt dużo. Ale ponieważ nie włożyła pod nią halki, jej nogi były doskonale widoczne w świetle padającym przez przeszkłone drzwi. Wydawało się, że jednocześnie chciałaby pokazać i zasłonić ciało, a może tylko była nieco zmieszana. Twarz zaś... Jej twarz była naprawdę interesująca. Twarze niektórych ludzi są jak magnes obciągnięty skórą. Uwidaczniają wszystkie ich wzloty i upadki, zyski i straty, całą istotę ich

90

osobowości. Ludzie ci myślą twarzami, rozmawiają nimi, chodzą, dyskutują, czują głód, radują się, lubią, kochają się nimi. Ich ciała wydają się potrzebne jedynie do ich noszenia, poza tym są zbędne. Z tego względu nie potrafią ukrywać swoich uczuć. Wszystko, co czują, natychmiast i wiernie odzwierciedla się na ich twarzach. Pobladła twarz Błękitnej Kochanki, ozdobiona malutkim niebieskim kolczykiem w nosie, wręcz krzyczała wszem wobec, że jej właścicielka właśnie stara się ukryć gnębiące ją strapienie. Cemal zrobił jeszcze jeden krok w jej stronę i gwałcąc zasady witania klientek, uściśnił jej dłoń, gdyż jak w wielu utajonych homoseksualistach — nie mających trudności z nawiązywaniem rozmowy z przedstawicielkami płci przeciwnej, ale w głębi duszy nimi pogardzających — szczególnie zainteresowanie budziły w nim kobiety odrzucane przez inne kobiety, na wpół z zazdrością, na wpół ze wstrętem.

Błękitna Kochanka, starając się uwolnić od ciekawskich, podnieconych, podejrzliwych spojrzeń, szybko, ale nieco skrępowana, ruszyła w stronę fotela, który wskazał jej Cemal. Gdy usiadła obok innych kobiet przed długim lustrem, spojrzenia i wzajemne przypatrywanie się sobie jeszcze się nasiliły. Lekko zezująca blondynka, która raz w tygodniu przychodziła na farbowanie odrostów i za nic nie dawała się przekonać, że nie ma sensu robić tego tak często, nerwowa szatynka, która czekając, aż trwała chwyci, odpalała jednego papierosa od drugiego i w trakcie robienia pedikiuru nieustannie kiwała stopą z kłębkami waty wciśniętymi między palce, korpulentny rudzielec, który jednocześnie z włosami kazał farbować sobie także brwi i siedział tak z dwiema grubymi, przybierającymi w miarę wysychania pomarańczową barwę kreskami na czole, i wreszcie ostatnia, drobna staruszka — wszystkie one utkwily w niej oczy, jakby spodziewały się, że zostaną przedstawione.

91

Pryszczaty praktykant, starając się jej nie dotknąć, zawiązał Błękitnej Kochance pod szyją, upstrzoną plamami po farbie, pelerynkę w lamparce cętki, po czym szybko się oddalił. Dla niego, który z powodu trądziku był nieustannie obiektem sprośnych żartów, konieczność pracy w tym wyjątkowo wrażliwym wieku w damskim salonie fryzjerskim była wielkim

nieszczęściem. Jego największym wrogiem, źródłem straszliwych katuszy, jakie musiał znosić, była jego własna twarz, wyznająca głębokim rumieńcem każdego ranka każdej napotkanej osobie wszystkie grzechy, jakie popełnił w nocy jedną ręką. Wycofując się chwiejnym krokiem, nie zauważył kota, który bezszelestnie wślizgnął się przez otwarte okno. Przenikliwy wrzask, jaki wydało zwierzę, gdy nadepnął mu na ogon, zwrócił na niego uwagę wszystkich kobiet.

Był to wyrośnięty, czarny jak smoła kot o długiej sierści i okrutnym wyrazie pyska. Taki, co to na każdego człowieka patrzy, mrużąc oczy, jakby patrzył na gówna, jakby między kotami a ludźmi od stworzenia świata toczyła się krwawa wojna. Ale sięgająca od nosa aż poniżej brody biała okrągła plama, sprawiająca wrażenie, że ktoś przed chwilą włożył mu pyszczek do miseczki z jogurtem, nadawała mu mimo wszystko sympatyczny rys.

— Chodź tu, śmieciarzu! Chodź, ty nasze utrapienie! — zawołał Cemal, gdy zauważył, że Błękitna Kochanka wykazała zainteresowanie kotem.

— Dlaczego nazywa go pan śmieciarzem? — zapytała, chwyciwszy obiema rękami kota, który błyskawicznie zorientował się, na czyje względy może liczyć, i już wcześniej zaczął się ocierać o jej nogi. Pieszczotliwym głosem, jakim kobiety przemawiają zazwyczaj do niemowląt, powtórzyła pytanie do zwierzaka: — Dlaczego nazywają cię śmieciarzem? Co powiesz, mój śliczny? Jak takiego pięknego kota można nazwać śmieciarzem?

92

— Panisko nie wyściubia nosa ze śmietnika! — powiedział Cemal wesoło i z większą sympatią dla kocura niż zazwyczaj, gdyż stanowił dla niego świetny pretekst, by zbliżyć się do Błękitnej Kochanki. — W całym Stambule nie ma drugiego takiego szczęściarza jak ten kot. No, za piękny to on nie jest, wystarczy spojrzeć na jego mordę. Na miłość Boską, czy widziała pani kiedyś kota, który by tak paskudnie patrzył? Pewno miał być wężem, ale nie znalazł pasującej na siebie skóry i przyszedł na świat jako kocur. Mimo to jakoś umie wkraść się w łaski, diabelskie nasienie. Do kogokolwiek pójdzie w tej okolicy, zawsze dostanie coś do jedzenia. Ale zawsze jest głodny, absolutnie zawsze. Nażre się, nażre i leci do śmietnika. Ten śmietnik pod murkiem to właśnie jego królestwo. Jak pragnę zdrowia, nie uwierzyłbym, gdybym nie widział na własne oczy. Ten lokal dopiero co wynajęliśmy i właśnie skończył się remont. Trwały jeszcze ostatnie przygotowania i po całym dniu pracy padaliśmy ze zmęczenia. Byliśmy głodni jak wilki. Co tu robić? Chodź, zamówimy po kurczaku z rożna z tego sklepu mięsnego obok. Wie pani zapewne, jakie tam mają ogromne porcje. Do tego stos frytek, ryż, sałatka... Nie będę się rozgadywał. Coś im się pomyliło i przysłali jednego kurczaka za dużo. Nie odesłaliśmy — chłopskie oczy, wilcze gardło. Byliśmy głod-

ni i myśleliśmy, że zjemy. Oczywiście nie byliśmy w stanie. Każdy z trudem skończył swoją porcję. Zwłaszcza Celal. On tylko podziobał jak ptaszek. Gdy jedliśmy, ten musiał poczuć zapach i przyszedł. Wtedy nie wiedziałem, że nazywają go śmieciarz. Przyszedł, siadł naprzeciwko nas i zaczął się oblizywać. Myślałby kto: biedaczek, głodny od wielu dni. Żal Się go nam zrobiło, położyliśmy przed nim kurczaka. Rany Boskie, żebym nie skłamał, jak wsadził łeb do środka, pałaszował tak, że o mało się nie udławił, jakby go stado dobermanów goniło. Nie zostawił ani kosteczki. Na naszych oczach dosłow-

93

nie wymiół całą olbrzymią porcję. Wtedy pod numerem 2 mieszkał Koci Prorok. To był niezły pomyleniec! Miał może ze dwadzieścia albo i trzydzieści kotów. Wszędzie cuchnęło ich sikami. Ale ten smród był i tak chyba znośniejszy niż ten smród śmieci teraz. Mówię Celalowi: „Jak będziemy tak żyć w tych śmieciach, to chyba niedługo zaczniemy w nich grzebać jak kury”, no nie, Celal?

Celal ograniczył się do skinięcia głową.

— Ten Śmieciarz chwilę po tym, jak tyle zżarł, poszedł pod numer 2 i schrupał jeszcze kocią karmę. Ale gdy mu ta banda od Kociego Proroka spuściła lanie, jak niepyszny wrócił do nas. Wrócił i dojadł jeszcze resztki po nas. Daliśmy mu frytki. I choć nie bardzo mu odpowiadały, też je wrębał. Wszyscy zostawiliśmy robotę i ze zdumieniem obserwowaliśmy zwierzaka. Zakładaliśmy się, kiedy pęknie.

Nie tylko siedzące przed lustrem kobiety, ale także manikiurzystka i praktykanci, którzy słyszeli tę historię już ze sto razy, z zainteresowaniem przysłuchiwali się opowieści Cemala. Może nie był tak dobrym fryzjerem jak brat, ale w gadulstwie nikt nie mógł się z nim równać. Posiadał niezwykle uzdolnienia językowe. Gdyby go tak przenieść stąd do jakiegoś kraju, którego nawet nie umiałby wskazać na mapie, błyskawicznie nauczyłby się miejscowego języka po to tylko, by zrozumieć, co mówią otaczający go ludzie i móc im odpowiedzieć. W ciągu pięciu lat zdołał doszlifować swój turecki, którego zapomniał podczas długich lat spędzonych w Australii. Jediną rzeczą, jaka go zdradzała, był akcent. Ale Celal nie był pewien, czy jego młodszy o trzy i pół minuty brat mówi z akcentem dlatego, że nijak nie może się go pozbyć, czy dlatego, że uznał, iż w ten sposób bardziej podoba się klientkom.

— Napchał się, napchał, potem wstał, przeciągnął się raz i drugi. Nie mógł iść. Nie było zwierzaka, był sam brzuch! Pod

94

własnym ciężarem nie mógł zrobić kroku, a brzuch włókł za sobą. Poleciliśmy za nim. Wyszedł na zewnątrz, wskoczył na murek, tam z boku. Ale jak wskoczył! Taki był ciężki, że niemal spadł, zahaczył brzuchem. No, pomyśleliśmy, teraz zwinie się w kłębek, zaśnie i przez dwa dni będzie dochodzić do siebie. Gdzie tam! Wie pani, co zrobił? Przeskoczył na dru-

gą stronę murku, a tam leżały te worki ze śmieciami. Niestety, przyszło nam żyć na śmietniku. Wsadził w nie łeb i zaczął w nich grzebać. A tam, patrzymy, rybie głowy, pełno tego. Żre, aż mu się uszy trzęsą. Co tam jeszcze zeżarł, nie wiem. Niedobrze nam się zrobiło. On się obżerał, a nasze żołądki były coraz cięższe. Nie wytrzymałyśmy, uciekliśmy stamtąd. Jak Boga kocham, od tego dnia boję się tego zwierzaka. Nieraz słyszy się o kotach, które z głodu zjadły swoich właścicieli, ale ten śmieciarz, nawet najedzony, może pożreć nas wszystkich. I jeszcze zagryzie czymś, co znajdzie na śmietniku!

— Oj, chyba wyczuł, że o nim mowa! — powiedziała korpulentna kobieta o rudych włosach. Bała się, że z powodu śmiechu zmarszczy czoło, a że nie mogła się pohamować, starała się przytrzymać rękami pomalowane brwi.

— A niech wie! A bo to nieprawda? To stworzenie ma śmietnik zamiast żołądka! Śmieciarz ze śmietnikiem w żołądku! — oburzył się Cemal i wymachując suszarką, odwrócił się do kota, który od pewnego już czasu obserwował go zmrużonymi oczami.

Suszarka! Nauczony doświadczeniem zwierzak wiedział, że nawet chluśnięcie z pełnego wody wiadra nie jest tak straszne jak podmuch z tego przeraźliwie wyjącego potwora, więc raz-dwa wyslizgnął się z objęć Błękitnej Kochanki i wskoczył na otwarte okno. Zatrzymał się jeszcze na moment, by rzucić ostatnie, pełne niezadowolenia spojrzenie na ludzi i zeskończył na zewnątrz jak puszysta przytulanka, wypełniona nie

95

kawałkami gąbki, lecz ostentacją. Zanim jednak jego łapki dotknęły ziemi w ogrodzie, przydarzyła mu się dziwna przygoda. Dziecięce ubranko z granatowego aksamitu, ozdobione dzieciętkami syrenek, z brzegami obszytymi falbanką i wykrochmalonym kołnierzykiem, od pięciu sekund z nadprzyrodzoną powolnością spadające z górnych pięter Pałacu Cukiereczek i kołyszające się w powietrzu jak suchy liść lub kartka papieru, już miało dotknąć gruntu, gdy — bęc! — spadło na kota, który nagle znalazł się na jego drodze. Oboje jednocześnie wylądowali na ziemi.

— O, patrzcie, patrzcie, ubrania spadają z nieba! — zawołała z podnieceniem manikiurzystka, która w tej właśnie chwili przerzucała zawartość szuflady stojącej pod oknem szafki w poszukiwaniu lakieru do paznokci w odcieniu bordo numer 113.

Cemal, korpulentna rudowłosa, zezująca blondynka i praktykanci natychmiast znaleźli się przy oknie. Chwilę później podeszła tam niechętnie Błękitna Kochanka, która nie mogła dłużej opierać się ich naleganiom, a nerwowa brunetka przykuśtykała, starając się nie stawać na stopie poddawanej pedikiurowi. Rzeczywiście z nieba spadały ubrania, rozmaite, różnokolorowe, dziecięce. Zebrana na chodniku grupka świadczyła o tym, że byli także inni obserwatorzy tego niecodziennego

zjawiska. Wszyscy podnieśli głowy i wpatrywali się w jeden punkt, starając się dostrzec, kto wyrzuca te stroje. Ale sprawca zdarzenia się nie pokazywał. Widać było jedynie, jak naga, biała jak śnieg i pozbawiona biżuterii kobieca ręka pojawia się i znika w wychodzącym na ogródek oknie mieszkania na najwyższym piętrze Pałacu Cukiereczek. A wysuwając się, za każdym razem upuszcza inną część garderoby.

Ubranka spadały jedno za drugim. Manikiurzystka wychyliła się z okna i z radością kogoś, kto stara się dotknąć pierw-

96
szego w roku śniegu, próbowała któreś z nich złapać. Wśród fartuszków, sukienek, skarpetek, swetrów, koszulek, bluzek udało się jej pochwycić wstążkę w bursztynowym kolorze.

— Proszę przestać, tak nie wypada — powiedziała zachowująca stoicki spokój Madame Babcia. Jej zamierający głos, szorstki jak mur i chropowaty jak papier, w niekontrolowany sposób podnosił się i cichł.

Manikiurzystka akurat zaczęła z pewną dozą okrucieństwa rozkoszować się tym, że jest świadkiem czyjegoś napadu szału, więc gdy zmuszono ją, by zachowywała się przyzwoicie, naburmuszyła się, głęboko niezadowolona. Szybko odrzuciła wstążkę na piętrzący się w ogródku stos strojów. Ten deszcz odzieży nie trwał jednak długo, po minucie czy dwóch ustał sam z siebie. Ostatni spadł szkolny niebieski fartuszek. Rozpostarł się jak nieśmiały spadochron, by w końcu bezgłośnie wylądować na swych towarzyszach. Okno na najwyższym piętrze zamknęło się z hukiem, śnieżnobiała ręka zniknęła. Widzowie zgromadzeni na chodniku rozeszli się jeden po drugim, a także ci w salonie fryzjerskim wrócili na swoje miejsca.

— Chłopcze, zrób nam wszystkim po kawie — zwrócił się Cemal do praktykanta bez pryszczy. — Trudno utrzymać nerwy na wodzy. — Osunął się na stojący w rogu potrójny fotel. Nagle poczuł, jak bardzo jest zmęczony. — Można mieć już tego wszystkiego dość. Odkąd się tu sprowadziliśmy, na głowę spadło nam już chyba wszystko. Ta wariatka nie zostawia niczego w spokoju. Jak jej odbije, otwiera okno i siup! Wszystko leci na dół. Pewnego dnia wyrzuci telewizor. Zobaczymy, komu wylądować na głowie. Jeszcze się na tym przejedziemy.

— Zamyślił się na chwilę. Ogarnęło go nagłe zniechęcenie, lecz zaraz wziął się w garść. Zawsze obawiał się smutku, który bez powodu mógłby zagościć w nim na dłużej. — A jaka jest

97
pomysłowa! Nigdy nie rzuca niczego dwa razy. Celal, pamiętasz, jak kiedyś wyrzuciła krawaty męża? Potem jeszcze przez wiele dni wisiały na drzewie. — Ponieważ nie spodziewał się, że brat mu odpowie, zwrócił się do klientek i kontynuował opowieść: — Celal poszedł i zdjął je. Nie pozwolił dzieckom wspinać się na drzewo, bo połamałyby gałęzie. Sam się wdrapał. Gdyby nie on, to krawaty tego fajtlapy jeszcze długo

powiewałyby na wietrze.

Celal uśmiechnął się smutno.

— Ktoś powinien pójść i zebrać te rzeczy. Robi się ciemno, jeszcze je gwizdną — mruknął, by przestać wreszcie być główną osią opowieści.

— Już je zbiera, już zbiera. Nowa gosposia zesła, zbiera wszystko. Szkoda kobieciny, ze wstydu zrobiła się czerwona jak burak, jakby to ona sama powyrzucała — powiedziała manikiurzystka.

— Długo nie wytrzyma. Wkrótce i ona rzuci tę robotę — stwierdziła nerwowa szatynka, wydmuchując dym z papierosa. Jednocześnie przechyliła się w stronę lustra, by sprawdzić efekt trwałej na włosach kolejno uwalnianych z wałków przez przyszczatego praktykanta.

— Och, żadna gosposia nie wytrzyma długo z Tijen. Każda od niej ucieka! — potwierdził Cemal.

— Tijen Czyścioszka! Tijen Czyścioszka! — zachichotała lekko zezująca blondynka. — Kobieta od czterech miesięcy ani na krok nie ruszyła się z domu. Możecie sobie to wyobrazić? Do tego doszło, że nie wychodzi na ulicę, bo boi się, że złapie jakiś zarazki. Teraz to chyba jej zupełnie odbiło.

— Moja droga, jakie „teraz”, na miłość Boską! Wszyscy wiedzą, że zawsze była wariatką. Madame Babcia pamięta, jak się sprowadzili tutaj. Nieprawdaż, Madame Babciu? — wrzasnęła manikiurzystka. Jak wiele jej rówieśniczek ona również od-

98

czuwała potrzebę podniesienia głosu, gdy rozmawiała z osobą starszą, bez względu na to, czy było to konieczne, czy nie. Wszyscy popatrzyli na staruszkę. Właściwie nikt nie wiedział, dlaczego zwracano się do niej per Madame Babcia1. Nikt do tej pory nie dociekał, czy była muzułmanką, czy nie. Ale gdyby ktoś zapytał, to odpowiedzieliby, że to Turczynka i muzułmanka. Nie mogli się powstrzymać od zwracania się do niej per Madame Babcia nie dlatego, że mieli wątpliwości co do jej wyznania, lecz dlatego, że wyczuwali w niej jakąś odmienność, choć nie byli w stanie dokładnie jej określić. Wy różniał ją nie tylko wiek i maniery. Obcość, cudzoziemskość tkwiła w niej głębiej, w samym charakterze. Jej natura była inna, stąd to przezwisko. Ale mieszkała tu przecież od wielu lat, była bardziej zakorzeniona niż ktokolwiek inny. Spośród obecnych tylko ona urodziła się w Stambule. Wszyscy jej sąsiedzi przywędrowali, przesiedlili się z różnych miejsc, a ona spędziła w tej dzielnicy całe życie. Nie pojawiła się, jak pozostali, znikąd, nie zwracała się twarzą w stronę przyszłości, która nie nadchodziła, ani nie odwracała się plecami od przeszłości, która nie chciała minąć. Trwała niezmiennie w upływającym czasie, nie dając się pociągnąć innym za sobą ani nie pociągając za sobą innych, niczego nie tracąc i nie zyskując. Jej istnienie było spadkiem po przeszłości, której inni nie przeżyli, stąd ta „Babcia”.

Madame Babcia z wątlým uśmiechem pochyliła głowę. Popatrzyła na swe ręce upstrzone brązowymi plamami i pokryte bordowofioletowoniebieskimi żyłami. Podobne plamy, tylko jaśniejsze i mniejsze, rozrzucone były nieregularnie na jej skroniach i policzkach. Gdyby ich barwa była bardziej in-

1 Madame Babcia — wobec zamieszkałych w Turcji osób innego niż islam wyznania używa się często tytułów grzecznościowych zapożyczonych z języka francuskiego.

99

tensywna, jak wiele kobiet w jej wieku wyglądałaby tak staro, że nie mogłaby się już bardziej postarzyć. Ale pomarańczowa szminka na cienkich wargach, która wydawała się naklejona, a nie rozsmarowana, lśniące złotem kolczyki w kształcie listków, róż na policzkach, podkreślający sieć zmarszczek, cienie w fioletowej tonacji, gromadzące się jak osad w załamaniach powiek, i błyszczące granatowoszare oczy, przypominające koraliki wieszane na szczęście, no i oczywiście platynowy odcień jej włosów — wszystko to wprowadzało nutę szaleństwa do jej wyglądu. Tak mocny makijaż, nie uwzględniający ani wieku, ani urody, czynił ją śmieszną i wspaniałą jednocześnie. A jak wszystkie osoby śmieszne i wspaniałe zarazem ona również miała w sobie coś przerażającego.

Stawała się żywym hamulcem pustych pogawędek. W jej obecności trudniej było kogoś obgadywać, a sztuka oszczerstwa i wyolbrzymiania traciła cały swój urok. Ale potrafiła też wyrzucić zgola przeciwny wpływ. Kobietom przebywającym w zakładzie fryzjerskim jej wyważona powaga przywodziła na myśl satysfakcję, jaką odczuwały, siedząc w ostatniej ławce w liceum, pokrętny urok zbiorowego oporu wobec nauczycielki uważanej za niedościgniony wzór prawości, podejmowanego przy jednoczesnych staraniach, by jej w czymś nie podpaść. Próby prześlizgnięcia się gdzieś pomiędzy filarami jej zasad, ominięcia idei, na których straży stała, nadawały porządek i właściwą gęstość wyglądzonym rozmowom. Gdy w dodatku od czasu do czasu udawało się im wciągnąć ją do rozmowy, ich satysfakcja wzrastała wielokrotnie. Wplątanie kogoś tak czystego w brudne sprawy, co umożliwia stwierdzenie, że w gruncie rzeczy jest on taki sam jak inni, bywa bowiem źródłem ogromnej satysfakcji. Korpulentna rudowłosa nie wytrzymała i udzieliła wsparcia manikiurzystce, usiłując przekonać staruszkę:

100

— Podobno była taka już za młodu, a po ślubie stała się jeszcze gorsza. Ma bzika na punkcie czystości.

— Moja droga, a czy to takie złe? To pedantka — próbowała zbyć ją Madame Babcia.

— Pani kochana, to nie pedanteria, to choroba! — krzyknęła ośmielona uzyskanym wsparciem manikiurzystka. — A może nawet coś gorszego. Chory przynajmniej wie, że jest chory. Idzie do lekarza, leczy się, co nie? A na chorobę czystości

lekarstwa nie ma! I nawet jeśliby było, to i tak pani Tijen nie wzięłaby go do ust, bo brudne!

— Szkoda! Wszystko odbija się na dziecku — stwierdziła lekko zezująca blondynka.

— Niech pani tak nie mówi! — sprzeciwiła się Madame Babcia. — Tijen bardzo troszczy się o córkę. Zresztą czy matka chciałaby czegoś złego dla dziecka?

— No dobrze, Madame Babciu, ale jak tu rozumieć taką miłość? Niech pani patrzy, wyrzuciła wszystkie ubrania dzieciaka! — krzyknęła znowu manikiurzystka.

— Ach tak? — zdziwiła się Madame Babcia.

Manikiurzystka, z podniecenia, że w końcu udało się jej powiedzieć coś, czemu staruszka nie mogła już zaprzeczyć, krzyczała dalej:

— Oczywiście! Wszystko, co do tej pory spadało nam na głowy, to były ubrania małej. Własnych w ogóle nie wyrzuca. Jest może i stuknięta, ale nie głupia. Jak przychodzi co do czego, to rozum ma na miejscu, proszę bardzo!

Staruszka z powątpiewaniem ściągnęła wąziutkie wargi:

— No, no, okazuje się, że wyrzuciła ubrania dziecka. Ciekawe dlaczego...

— Jak to „dlaczego”? Bo to wariatka...

Przez twarz Madame Babci przemknął cień. Manikiurzystka wyczuła, że tym razem posunęła się za daleko, i siedziała 101

cicho jak mysz pod miotłą, ale i tak była zadowolona, że powiedziała, co miała do powiedzenia.

— Dobry Boże, a co nam do tego? Skoro wariatka, to wariatka! — zagrział Cemal. Choć lubił plotki, obawiał się, że niewyparzony język manikiurzystki urazi staruszkę, wskutek czego rozgniewa się też Celal. — Czy my musimy zajmować się problemami każdej wariatki? Czy w Stambule jest czegoś więcej niż wariatów? Jest ich tylu, ile ziarenek kaszy. Jakbyśmy chcieli porozmawiać o wszystkich, życia by nam nie starczyło. Chłopcze, co z tą kawą? Przynieście ją wreszcie, zaschło nam w gardłach.

— Coraz mocniej cuchną te śmieci — odezwał się Celal, próbując zmienić temat. — Ile to już razy składaliśmy skargi do magistratu. Nic nie pomogło.

— Proszę pań, zlecili wywóz śmieci prywatnej firmie

— wtrącił Cemal, gdyż uwielbiał kończyć zdania przerwane w połowie przez brata. — Znaleźliśmy jej numer, zadzwoniliśmy. Co za durnie! Wysyłają samochód wieczorem, gdy wszyscy ludzie wracają z pracy. Jakby robili na złość.

— Przyjeżdżają wprawdzie o nieodpowiedniej porze, ale regularnie zabierają śmieci. Tylko i tak nie uwolniliśmy się od tego smrodu — oprzytomniał Celal.

— Oczywiście, że nie uda się nam od niego uwolnić. Dookoła tyle kaszy, że nie uda się nam uwolnić ani od śmieci, ani od zacofania — odpowiedział Cemal ze złością. — Czy uwie-

rzy pani, Madame Babciu, że całe dni schodzą nam na obsztorcowywaniu tych, co wyrzucają śmieci tu, pod tym murkiem? Wszystkie ciemne i prymitywne baby z okolicy podrzucają worki pod mur naszego ogrodu. Stale te same osoby. Nie rozumieją nawet, co się do nich mówi. Język mi już kołkiem staje! Kobieta mieszka na samym końcu ulicy. Że też jej się chce tak chodzić co dzień trzysta metrów. Przyjdzie i wyrzuci śmieci

102
właśnie tu. Ile ja się nagłowiłem nad tym, dlaczego ludzie robią coś takiego. Nie wpadłem na żaden sensowny powód. W końcu wytłumaczyłem to sobie tak: przed wybudowaniem kamienicy była tu prawdopodobnie pusta działka. Babka tej kobiety w tamtych czasach wyrzucała tu śmieci. Czas płynął, a jej córka dorastała i nadal wyrzucała śmieci w tym samym miejscu. Potem ona też miała córkę. Mój Boże, to właśnie ta kasza, z którą tak walczę każdego dnia. U nich to zamięłowanie do śmieci jest dziedziczne, przechodzi z matki na córkę. Jakby to była rodzinna tradycja! Co przodkowie robili, jak się zachowywali — wszystko jest kontynuowane. Jedyna różnica jest taka, że nie wysypują śmieci z wiader jak ich pradiadowie, tylko wyrzucają w workach. Nowoczesna kasza!

Wszyscy się roześmiali, tylko Celal coś zamruczał pod nosem, a Madame Babcia w zamyśleniu pokręciła głową.

— Ależ, Cemalu, tu nie było pustych działek. Kiedyś pod całą tą dzielnicą był cmentarz...

Cemal nie przygotowany na taką ripostę, nie wiedział, co powiedzieć, jakby połknął wszystkie słowa, które już miał na końcu języka. Rozglądał się bezradnie w poszukiwaniu pomocy i wtedy jego wzrok zatrzymał się na malutkiej ciemnej plamce poruszającej się na długim stole pod lustrem. To był karaluch! Wylazł na koszyk, gdzie leżały spinki i wymachując czułkami, zdawał się przysłuchiwać rozmowie. Nikt jeszcze nie zwrócił na niego uwagi. Ale jak się ośmieli wyjść z koszyka, jak zacznie iść wzdłuż stołu, przedefiluje tuż pod nosami klientek. Cemal złapał wielką włosianą szczotkę i boczkiem, boczkiem zbliżył się do niego, nie przestając jednocześnie mówić z jeszcze większym niż poprzednio ożywieniem, by nie dać poznać nic pozostałym.

— „A ty, babo!” — mówię. — „Czy ja przychodzę i wysypuję ci śmieci na dywan? Jakim więc prawem wyrzucasz komuś

103
śmieci pod dom? Poczekaj, wieczorem przyjedzie śmieciarka, wtedy wystawisz swoje śmieci i śmieciarze je zabiorą”. Nic, zupełnie nic do niej nie dociera. To z powodu kaszy.

— Jakiej kaszy? — zapytała Błękitna Kochanka, wysunawszy głowę zza trzeciej strony gazety, poświęconej wiadomościom, za którą od dłuższego już czasu się chowała, czując się nieswojo z powodu spojrzeń przyszczatego praktykanta.

— Ach, to pani nie zna mojej teorii kaszy? Już wyjaśniam — powiedział Cemal, nie odwracając wzroku od kara-

lucha. — W gruncie rzeczy to bardzo proste. Proszę pani, czy w Turcji mamy planowanie rodziny? Nie! Bóg daje dzieci, więc rodzi się je i won, na ulicę! No dobrze, niech rosną na ulicy, ale czym wykarmić tyle dzieciaków? Jedną osobę wykarmisz mięsem, pięć wykarmisz kaszą z mięsem, a samą kaszą — dziesięć! A czy ta kasza jakoś korzystnie wpływa na inteligencję? Nie! I potem wyjaśnij babie, ile chcesz. Wrzeszczę na cały regulator: „Kobieto, nie wyrzucaj śmieci do mojego ogródka!”, a ona patrzy na mnie tępo. Następnego dnia, jak zaprogramowana, znów przychodzi i znów wyrzuca te śmieci. Nic nie rozumie, bo i jak ma rozumieć, skoro to inteligencja hodowana na kaszy!

Celal chrząknął. Na próżno. Cemal zrozumiał to przesłanie, ale ponieważ nad powściągliwość brata przedkładał zainteresowanie Błękitnej Kochanki, nie zmienił stylu swej opowieści.

— W zeszłym miesiącu dopadłem tę babę. Pod wieczór, dość późno, czeszemy pannę młodą. Tu panna młoda, tu jej krewne... Od rana na nogach, skonani jak psy. Patrzą, ta kobieta znowu idzie, kiwa się na boki, a w ręku ma worki ze śmieciami. Otworzyłem okno, wychyliłem się, czekam. Myślę sobie: może jak mnie zobaczy, zawstydzi się i zawróci. Gdzie tam! Przyłazi i patrząc mi prosto w oczy, siup!, rzuca worki. Nie mogę tego pojąć! Kto wyznaczył murek naszego ogródka

104
na śmietnik? Kto powiedział tym ludziom: „Chodźcie, wyrzućcie śmieci sąsiadom pod okno”? Dobrze, że mnie praktykanci powstrzymali, bobym rozszarpał babę na strzępy! Aż mieniłem się na twarzy z wściekłości, wrzeszczałem ile tchu w płucach, wygrażałem. Człowiek powinien mieć odrobinę wstydu, choć trochę krępować się otoczenia, prawda? Co za babsko! Patrzy się durno na mnie i nie rozumie nawet, dlaczego się denerwuję. Pomyślała pewnie, że uciekłem z wariatkowa. Niech i nie rozumie, ale może się przestraszy i więcej nie przyjdzie, pomyślałem. A tu proszę, następnego wieczoru o tej samej porze znów pojawia się z workami! Wybałusza gały, gapi się jak niespełna rozumu, jakby nie wiedziała, co ma zrobić. Doprowadzi do tego, że ją zamorduję. Dobry Boże, nie nam mieszać się w twoje sprawy, ale po co stworzyłeś takie typy? Nie wiem, co począć z tymi amatorami kaszy. Przez nich nie da się przejść obok kamienicy z powodu smrodu. Jak nic się nie zmieni, nikt tu więcej nie zajrzy. A my stracimy pracę i chleb. Chłopcze, psiknij tu trochę!

Po całym zakładzie mgiełką malutkich kropelek rozszedł się duszący, słodkawy zapach odświeżacza powietrza, z pojemnika ozdobionego widoczką bezludnej plaży ocienionej palmami i turkusowego morza, i wymieszał się z mnóstwem innych woni. Cemal zerknął ukradkiem na karalucha, z nadzieją, że ten zginie w aromatycznych oparach, ale opadająca mgiełka nie zrobiła na owadzie żadnego wrażenia. Wdrapał się już na sam szczyt stosu spinek i właśnie szykował do przejścia

na stojący obok pojemnik z brylantyną.

— To prawda, wszyscy klienci wam uciekną z tego powodu — wtrąciła z oburzeniem nerwowa szatynka, przyglądając się, jak lakier w odcieniu bordo numer 113, który zdążył już wyschnąć na stopach, pokrywa teraz paznokcie u jej rąk. — Oczywiście, przebywając tu cały dzień, przyzwyczaiał się już pan

105
do tego zapachu, ale gdy czasem wchodzę do tego budynku, to mam wrażenie, że nos mi odpadnie od smrodu.

— Cały dzień okna otwarte na oścież, przeciąg aż szumi, a i tak smród nie znika. Podobno na wyższych piętrach jest jeszcze gorzej, prawda, Madame Babciu?! — wrzasnęła manikiurzystka, nakładając lakier.

— A ci amatorzy kaszy z naprzeciwka twierdzą, że zabieram ich śmieci. Zwariowali czy co? Co mnie do ich obrzydliwych śmieci! — wtrącił Cemal i popatrzył ostro na manikiurzystkę, gdyż nie podobało mu się, że co chwila zadaje pytania starszce.

— Jak to? Nie rozumiem — zainteresowała się Błękitna Kochanka, przerywając zamartwianie się swoim nowym wyglądem widocznym w lustrze. Podobnie jak niezliczone rzesze kobiet, które starannie zapuszczają włosy, a potem są świadkami obcięcia choćby samych tylko ich koniuszków, ona także, jeszcze zanim wstała z fotela, już zaczynała żałować swej poprzedniej fryzury.

— Ach, to pani nie wie, że pokłóciliśmy się z tymi świrami spod czwórki?! Myślałem, że wszyscy już o tym słyszeli — powiedział Cemal. — Pewnego dnia przyszli do zakładu. „Bardzo proszę”, mówię, bo sądziłem, że chcą się uczesać. Bo niby po co innego przychodzi się do fryzjera? Ale nie, przyszli w zupełnie innym celu. Najpierw weszła ta wariatka, a za nią jej mąż, kompletny pomyleniec, potem ich najstarsza córka, stara panna, a na końcu najmłodsza, też stara panna. Cała czwórka stanęła przede mną — całą rodziną wyruszyli na wyprawę wojenną. Najpierw ani dydy nie rozumiałem, o co im się rozchodzi. Podobno wystawili związane worki ze śmieciami przed drzwiami, a pięć minut później patrzą, nie ma ich! „Gdzie nasze śmieci?” — pytają. Może Meryem wzięła? Nie, dozorca i jego rodzina tego dnia pojechali do siebie na wieś. To może śmie-

106
ciarze? Ale jaki śmieciarz wchodziłby do środka budynku? To skąd ja mam wiedzieć, gdzie są wasze śmieci?! A oni upierają się, że to ja je wzięłem i że mam im zaraz oddać. Ależ mamy pecha! Jakby w całym olbrzymim Stambule nie było innego miejsca — musieliśmy otworzyć zakład w kamienicy pełnej pomyleńców! — Oddawszy się całkowicie opowieści, nie zauważył, że stracił z pola widzenia karalucha. Popatrzył tam, gdzie go zostawił, ale owada już w tym miejscu nie było.

— Kto wziął, to wziął. Jakie to ma znaczenie? Co te ich śmieci takie cenne? — mruknęła nerwowa szatynka, zapalając

kolejnego papierosa.

— A kto ich tam wie — odrzekł Cemal, zerkając pod pojemnik ze szpilkami, do niego i na rzeczy dookoła. — Ten człowiek to paranoik. A żona jeszcze gorsza. Kto ich tam wie, co sobie uroili? Pewno im się wydaje, że worki zabrało CIA albo uprowadzili je terroryści. Szkoda gadać. Chłopie, kim ty jesteś, żeby ktoś miał kraść twoje śmieci? Oj, jakie to przykre. Jesteś biednym zjadaczem kaszy, a wydaje ci się, że zasługujesz na fasolę.

Pryszczaty praktykant zaczął zbierać szklanki po herbacie zabrudzone szminkami w różnych kolorach. Cemal wbijał wzrok w każdą z nich, bojąc się, że spod którejś wyskoczy karaluch, a praktykant równie intensywnie przyglądał się sutkom Błękitnej Kochanki.

Błękitna Kochanka zaś, wydostawszy się w końcu spod ceratowej pelerynki, zajęła się sprawdzaniem swej nowej fryzury, dlatego nie dostrzegła ani spojrzeń praktykanta, ani nagłego znieruchomienia Cemala. W gruncie rzeczy chciałaby ściąć włosy na krótko, ale taka zmiana nie przypadłaby do gustu handlarzowi oliwkami. Ze sto razy mówił, że lubi długie. Bóg jeden wie, ile wymówek usłyszy za to, że je ledwie odrobinię skróciła. Popatrzyła na zegarek. Miała jeszcze tyle rzeczy

107
do zrobienia. Napięcie malujące się na twarzy Cemala, który z włosianą szczotką stał tuż za nią, uznała za obawę, że nowa fryzura się jej nie podoba, i aby dodać mu otuchy, a także dlatego, że uznała, iż wypada pożegnać się z nim w ten sam sposób, w jaki się witała, naruszyła zasady zakładu fryzjerskiego i gorąco uścisnęła jego dłoń.

Zanim dłonie Błękitnej Kochanki i Cemala się rozłączyły, drzwi salonu jeszcze raz otwarły się z trzaskiem. Przy wtórze spazmatycznego brzęku dzwonka i ryku sprzedawcy arbuźów, który najwyraźniej postanowił zagłuszyć megafonem swojego konkurenta, do salonu wpadła kobieta, w której każdym ruchu widać było silne wzburzenie. I znów spojrzenia wszystkich obecnych w środku skierowały się ku drzwiom, by otaksować nowo przybyłą. Skierowały się i jak na komendę zastygły zamrożone. Drzwi się zamknęły. Ostatni dźwięk dzwonka nieśmiało podążył za poprzednikami i zapadła cisza. Nową klientką była sama pani Tijen.

LOKAL NUMER 1

— Nie pójde i już! — wrzasnął Muhammet z miejsca, w które się wcisnął, i z całej siły uderzył pięścią w najbliższy fotel, niegdyś żółty jak żółtko jaja, potem wiśniowobrązowy, a jeszcze później seledynowy, teraz zaś, gdy został obleczony w kwiecisty pokrowiec, w ogóle nie dawało się ustalić, jakiego jest koloru. Uderzył fotel, jakby właśnie jego obarczał całą odpowiedzialnością za wszystko, co się stało. Choć w zasadzie wolał dawać kopniaki, niż okładać pięściami, to teraz jego sześćdziesięcioletnie ciało tak fatalnie utkwilo między fotelem a ścianą,

że nie mógł nawet ruszyć nogą. Błyskawicznie powiązał z sobą najdłuższe znane mu ciągi przekleństw i wyrzucił z siebie z całą siłą. Na to Meryem, starając się osłonić dłońmi powiększony brzuch, popchnęła za jednym zamachem trzy stojące w rzędzie fotele i w ten sposób jeszcze silniej przygwoździła syna do ściany. Zapędzony dosłownie w kozi róg, Muhammet spurpurowiał ze złości i szeroko otworzył usta. Wiedział, że nie odważy się jeszcze raz wypowiedzieć przekleństw, ale nie mógł pogodzić się z myślą o poddaniu się bez walki, więc kilka chwil pozostał tak z otwartą buzią, po czym z wściekłością wbił zęby w oparcie fotela, który zaczynał go już boleśnie

109

uciskać. Pokrowiec z materiału w kwiaty chronił, co prawda, welurowe obicie przed podobnymi czynnikami zewnętrznymi, ale jak się mocno wgryzie, to może uda się mu choć pozostawić ślady zębów...

Ta powtarzająca się każdego ranka przepychanka trwała już od pięciu miesięcy i tygodnia, czyli od chwili, gdy Muhammet został zapisany do klasy I g jedynej w dzielnicy szkoły podstawowej. Z pierwszego dnia w szkole zapamiętał pełną obaw twarz matki, zawstydzone miny dzieci i marsowe oblicze nauczyciela. Z upływem czasu wspomnienia obaw matki, skrępowania dzieci i groźnej miny nauczyciela nieco straciły na intensywności, ale zamiast powolutku się rozwiać, wszystkie skupiły się w umyśle Muhammeta. I tak po pięciu miesiącach i tygodniu Muhammet wciąż nie chciał iść do szkoły.

Początek jego edukacji zbiegł się w czasie z rozkwitem u matki słabości do foteli. Meryem dowiedziała się bowiem, że jej stryjeczny brat, który żył na wybrzeżu Morza Egejskiego i utrzymywał się tak samo jak jego ojciec z naprawy łodzi rybackich, nagle przeprowadził się do Stambułu i trudni się teraz wyrobem mebli. Nie minęło jeszcze nawet trzydzieści sześć godzin od momentu, gdy o tym usłyszała, a już trafiła do warsztatu kuzyna. Nie konsultując z nikim kształtu i koloru, zamówiła komplet kanap i foteli. Umowa była taka: kuzyn, który nie sprzedał jeszcze żadnego towaru, udzieli jej jako krewnej rabatu, a Meryem do niewielkiej zapłaty doda jeszcze stary zestaw mebli. Strony nie wiedziały wtedy jednak, że Meryem jest od trzech tygodni w ciąży. A ten drobny fakt był, wbrew pozorom, w istotny sposób związany ze sprawą, gdyż ciąża Meryem, co uwidoczniło się już wtedy, gdy nosiła w brzuchu Muhammeta, przebiegała z trudnościami, niespokojnie, wręcz nieco dziwnie. Gdy kuzyn zakończył pracę nad kompletem mebli, ciąża Meryem weszła w trzeci miesiąc.

110

Meryem pojechała do warsztatu, by zobaczyć efekt prac, popatrzyła na kolor obić i zwymiotowała. Żółte jak jajko! Samo wspomnienie o jajku wystarczało, by żołądek podszedł jej do gardła. Nie było takiej możliwości, by meble w jej salonie miały kolor żółtka. Stryjeczny brat starał się ją przekonać,

przypominał, że sama go wybrała, ale Meryem w poczuciu beznadziei jeszcze raz zwymiotowała. Tego przedpołudnia tak często wymiotowała, że w końcu postawiła na swoim. Nowa umowa brzmiała tak: kuzyn, który nie sprzedał jeszcze żadnego towaru, zmieni obicia, w zamian Meryem odda mu stare meble, a do tego dopłaci pewną kwotę do poprzednio umówionej sumy.

Gdy kuzyn dał znać, że meble w kolorze wiśnio wobrażowym są gotowe, zaczynał się czwarty miesiąc ciąży Meryem i nudności znacznie się zmniejszyły. Meryem znów udała się do warsztatu, by obejrzyć skończoną pracę, popatrzyła na obicie i zalała się łzami. Kolor zgniłych wiśni! Widok choćby jednej spadłej z drzewa wisienki wystarczał, by przypomnieć jej o przedwczesnej śmierci. Nie mogło więc być mowy o tym, by w jej salonie stanęły sprzęty w takim odcieniu. Stryjeczny brat usiłował się bronić, przypominał, że sama wybrała ten kolor, ale Meryem w poczuciu beznadziei znów się rozplakała. Tego popołudnia tak często płakała, że w końcu postawiła na swoim. Nowa umowa brzmiała tak: kuzyn, który nie sprzedał jeszcze żadnego towaru, zmieni obicia, w zamian Meryem nie tylko odda mu stare meble, lecz zapłaci także ustaloną na początku sumę w podwójnej wysokości. I tym razem, by zagwarantować pomyślne zakończenie całej sprawy, został wybrany najmniej niebezpieczny, najbardziej harmonijny kolor: seledynowy.

Poskutkowało. Gdy Meryem dwa tygodnie później obejrzała meble, ani nie zwymiotowała, ani się nie rozplakała. Tej 111

nocy jej stryjeczny brat spał spokojnie. Następnego dnia zapakował seledynowy zestaw do furgonetki i w towarzystwie dwóch chudych tragarzy, których zmuszony był w ostatniej chwili wynająć, gdyż jego potężnej postury pomocnik nagle się rozchorował, zawiózł meble do mieszkania numer 1 w Pałacu Cukiereczek. Meryem cały ranek nasłuchiwała dźwięku dzwonka u drzwi. Z podnieceniem czekała na nich, obejmując rękami całkiem mocno już zaokrąglony brzuch.

W salonie, który i tak był niewielki, a po przybyciu nowych mebli stał się do tego stopnia zagracony, że wręcz trudno się było w nim poruszać, tragarze i kuzyn, przeskoczywszy przez stoliki i wcisnąwszy się w jedyne wolne miejsce, jakie udało im się znaleźć, wypili za fatygę po kawie. Gdy nadszedł czas, by sobie poszli, kuzyn schował do kieszeni umówioną zapłatę i objuczony tragarzy co cięższymi sprzętami ze starego zdezelowanego kompletu w kolorze melona, sam wziął na plecy jeden fotel i skierował się ku wyjściu. Nie zdołali jednak zrobić jeszcze kroku, gdy zostali zmuszeni, by się zatrzymać. Coś takiego zdarza się podczas jazdy samochodem. Znajdujące się z przodu pojazdy ni stąd, ni zowąd zatrzymują się i staje się jasne, że ulica się zakorkowała, ale ponieważ nie wiadomo, o co chodzi, co wydarzyło się tam dalej, trudno określić,

kiedy ruch się odblokuje, więc wszyscy po prostu tak stoją. Stryjeczny brat i tragarze, zgięci w pół pod ciężarem mebli, mieli więcej szczęścia. Choć nie znali powodu, wiedzieli jednak, co zagradza im drogę. Na progu sterczała masywna postać Meryem, w której oczach zapalały się i gasły złowrogie błyski, z zaokrąglonym brzuchem, który jakby w ciągu ostatnich kilku minut jeszcze się powiększył. To ona nie pozwalała im przejść.

Pierwszy zorientował się, o co chodzi, jej mąż Musa. Bez słowa stał z boku, przyglądając się sytuacji. Cierpiał na wrzód

112
żołądka- więc gdy się denerwował, odczuwał kwaśne pieczenie. Jedyнным sposobem na to było zaakceptowanie żony taką, jaka jest. Nie miał zamiaru się z nią użerać, zwłaszcza teraz, gdy była w ciąży. Ale ponieważ współczuł tamtym, uznał za stosowne udzielić im przynajmniej pewnego wyjaśnienia:

— Nie odda mebli, nie odda, ja to wiem.

W gruncie rzeczy „ja to wiem” było ostrzeżeniem. Jak powiedzenie komuś: „Zrezygnuj, póki pora”. Ale ani kuzyn, ani tragarze tego nie pojęli. A ponieważ nie pojęli, zdjęli z pleców meble i zaczęli się zażarcie wyklócać. Ich stopniowo narastający gniew nie zdał się na nic. Meryem tylko jeszcze bardziej upierała się przy swojej racji. Fotele w kolorze melona były może i zniszczone, ale łączyła ją z nimi wspólna przeszłość. Te meble zostały kupione, gdy po pięciu ponurych latach wspólnego mieszkania z teściem i teściową wyprowadzili się wreszcie na swoje. Leżał na nich Muhammet, gdy był niemowlęciem. Dwie czarne dziurki na boku dwuosobowej sofy były śladami po popiele z papierosów krewnego, który przyszedł z wizytą, by zobaczyć nowo narodzone dziecko. Ten krewny już nie żył, a z tych dziurek zdawał się niekiedy sączyć jego chropawy głos. Taka właśnie jest przeszłość. Nie przypomina okruszków rozsypanych na dywanie, nie da się otworzyć okna i jej tak po prostu strzepnąć.

— W takim razie zabierzcie te z powrotem — powiedział kuzyn, biorąc na plecy jeden z nowych foteli. Za jego przykładem tragarze sięgnęli po pozostałe części seledynowego kompletu. Meryem popatrzyła na nich pełnymi czystego smutku oczami dziecka, które jest świadkiem prowadzenia na rzeź koźlątko, troskliwie karmionego przez nie przez wiele dni. Kuzyn, którego ogarniało już szaleństwo, i tragarze, którzy zrozumieli, że nie dostaną spodziewanej zapłaty, przez bitą godzinę próbowali ją przekonać, na próżno strzepiąc języki.

113

W trakcie przedłużających się dyskusji, nie mogąc nijak dojść do porozumienia, który komplet ma być zabrany, a który zostaje, wszyscy (z wyjątkiem Musy) stali. Ta pozycja spowodowała, że wszyscy (z wyjątkiem Musy) zachowywali się jeszcze bardziej nerwowo. Wielokrotnie oczy Meryem wypełniały się łzami, co rusz robiło się jej niedobrze. Uznając nie tyle płacz,

ile młodości za znaki dawane przez dziecko w jej łonie, powtarzała raz po raz, składając ręce na brzuchu:

— Widzicie? Nawet to nie narodzone jeszcze maleństwo sprzeciwia się zabraniu mebli!

Pod wieczór miała już za sobą tyle wylanych łez i tyle torcji, że jej zwycięstwo było bezsporne. Opuszczając w końcu mieszkanie numer 1 w Pałacu Cukierczek, kuzyn stolarz pieniał się na samego siebie, że zignorował odwieczną zasadę handlu: nigdy nie rób interesów z rodziną. A tragarze, którzy stracili część wynagrodzenia, wściekali się na niego i opuszczając Pałac Cukierczek, głośno dawali wyraz swemu niezadowoleniu.

Meryem zwyciężyła. Była górą. Ale pojawił się pewien poważny problem: jak w ciasnym i niskim mieszkaniu dozorcy rozmieścić dwa zestawy foteli i kanap, a do tego jeszcze stoliki? To zadanie przekraczało ich możliwości, Meryem jednak się nie poddała. Wykorzystała każdy centymetr i w pomieszczeniu o powierzchni dwudziestu metrów kwadratowych zmieściła dwie trzyosobowe i dwie dwuosobowe kanapy oraz sześć foteli, a między nimi ustawiła stoliki jak w przedziałach wagonu kolejowego. Dlatego właśnie największym błędem Muhammeta tamtego poranka było zajęcie pozycji za jednym z takich przedziałów.

— Pójdiesz, i to żwawo przebijając nogami — powiedziała Meryem, jedną nogą dociskając fotele i jednocześnie przygotowując walizeczkę z drugim śniadaniem dla syna.

114

Znowu robiła kanapkę z serem, wkładając pomiędzy dwie kromki chleba jeszcze plasterki pomidora i trzy gałązki pietruszki. Do tego zależnie od dnia jakiś owoc i dokładnie odliczone pieniądze na ayran¹ w szkolnym sklepiku. Można tam było kupić również kanapki — o wiele smaczniejsze i gorące — ale choć tysiąc razy mówił o tym matce, nie udało mu się jej przekonać. Żeby choć nie wkładała do środka pomidora. I po co ta pietruszka? Ale jak Meryem wbiła sobie coś do głowy, nic nie mogło jej przekonać, że nie ma racji. Ponieważ na jakimś etapie swego życia dowiedziała się, że tak właśnie robi się tosty, teraz nie było możliwości, by zaczęła je robić inaczej. Od pięciu miesięcy i tygodnia przygotowywała je każdego ranka, a zdaniem Muhammeta, który przez pięć dni w tygodniu musiał je jeść, nie pozostawiając nawet okruszyny, wkładała do środka nie tylko pomidora i pietruszkę, ale także swoje uszy i oczy. Muhammet nie mógł się bowiem oprzeć wrażeniu, że jeśli nie zje tosta lub — co było jeszcze gorszym przewinieniem — pójdzie na wagary, to czerwone oko i zielone uszy od razu doniosą o tym mamie.

A przecież gdy zaczynał naukę, brał do ręki kromkę chleba nie ze strachem, lecz z radością. Wtedy obie piętki jedzonego na śniadanie chleba należały do niego. Meryem, podając je synowi, nigdy nie omieszkała zdjąć przyklejonej do jednej

z nich karteczki. Ten mały kawałek papieru o postrzępionych brzegach był listem od córki piekarza i można go było przeczytać dopiero po śniadaniu. Muhammet zjadał wszystko bez dąsów i grymaszenia, choć wystarczyłoby, gdyby zjadł samo jajko. A gdy przychodziła pora, nie spiesząc się i nieco okrutnie igrając z rosnącym zaciekawieniem syna, Meryem sprzątała ze stołu, nalewała sobie herbaty i zaczynała Ayran — napój z jogurtu rozcieńczonego wodą.

115

czytać list, powoli rozpuszczając słowa w ustach jak kostki cukru.

Córka piekarza nie miała przyjaciół ani rodzeństwa. Gdy w nocy jej ojciec wypiekał chleb, siadała wśród worków z mąką i ukradkiem pisała list do Muhammeta. Matkę straciła jeszcze w kołysce i ojciec ożenił się ponownie. Jej macocha miała serce z kamienia i dręczyła jak mogła małą pasierbicę. Biedna dziewczyna przy każdej sposobności uciekała z domu, większość czasu spędzała w piekarni. Gdy Meryem czytała, Muhammetowi nawet przez myśl nie przeszło, by się zapytać, jak tyle informacji może pomieścić się na malusieńkim karteluszkach o wymiarach jeden na trzy centymetry. Dla dziecka chleb był świętością, a każdy zapisany kawałek papieru — wielką tajemnicą. Oba te niepojęte talizmany łączyły się w liście przyklejonym do chleba, a postać córki piekarza rozsiewała wokół magiczny blask.

Muhammet chciał wszystko o niej wiedzieć: jak wygląda piekarnia, co ona tam robi, czy lubi nie spać w nocy, podczas gdy wszyscy jej rówieśnicy muszą wcześniej kłaść się do łóżka, w co się bawi, a najbardziej to, czy jest ładna.

— Jest delikatną blondynką, podobną do nenufara rozkwitającego na wodzie — opisywała dziewczynkę Meryem. Miała bardzo długie włosy. Z dwóch stron jej głowy aż do pasa zwisały dwa blond warkocze. Muhammet też miał wtedy długie włosy. Każdy, kto go zobaczył, myślał, że jest dziewczynką.

Córka piekarza bardzo często opisywała ludzi zachodzących do piekarni w ciągu dnia. Starcy podpierający się laską kupowali całe torby sucharków, które później maczali w herbacie i jedli, międląc je w bezzębnych ustach i mlaszcząc. Każdego dnia z samego ranka wpadali chłopcy sprzedający obwarzanki, którzy na głowach nosili wielkie tace. Dziewczynka

116

chciała się z nimi zaprzyjaźnić, ale zachowywali się grubiańsko i zaczepiali ją niegrzecznie, choć zdarzali się wśród nich również tacy o dobrym sercu. Był na przykład pewien piegowaty chłopak, który na trzymane w obu rękach cienkie patyki nadziewał obwarzanki i kręcił nimi jak magik, podskakując jednocześnie na jednej nodze. Muhammeta złościło, że córka piekarza tak często wspomina o jego zdolnościach, ale nic nie mówił. Potem przychodzili sprzedawcy bułeczek ze swoimi

wózkami i kobiety, które przynosiły przygotowany w domu farsz, by piekarz upiekł dla nich pide1. Były bardzo miłe dla jego córki. Zanim wyszły z ciężkimi tacami, zawsze częstowały ją smacznymi pide. O wszystkim tym rozpisywała się córka piekarza, a Meryem dokładnie czytała każdy list i czas wolno płynął. Niestety, ta niewinna zabawa została brutalnie przerwana jesienią, wraz z zapisaniem Muhammeta do klasy 1 g jedynej w dzielnicy szkoły podstawowej.

Najpierw ścięto mu włosy i już nie przypominał dziewczynki. Potem śniadania stały się krótsze. I dziś, po pięciu miesiącach i tygodniu, mógł już sam przeczytać listy. Mógł, ale co z tego, skoro zrozumiał w końcu, że te małe karteczki w rzeczywistości są etykietkami dołączanymi do wyrobów przez każdą piekarnię. Nie miał już ani listów do przeczytania, ani pięknej jak wróżka ukochanej. Umiejętność czytania na zawsze zabiła magiczny urok pisma.

— Nie pójdę i już! — piskliwie krzyknął Muhammet, nie odrywając wzroku od walizeczki z drugim śniadaniem. Już trzeci raz powtarzał to samo, ale teraz siła jego głosu nieco osłabła. Nie minęły kolejne dwie minuty, a Meryem usłyszała stłumiony jęk, podobny do piszczenia szczeniaka. Zrozumiała, że syn w końcu się poddał, przestała więc poppy-1 Pide — podłużne placki z ułożonym na wierzchu różnego rodzaju farszem.

117

chać fotel. Ze spuszczoną głową Muhammet wylazł wreszcie z kąta i obrzucił matkę kwaśnym jak ocet spojrzeniem.

Przy masywnej matce jego wątła postać przypominała kreseczkę nad „ó”. Gdy drugie dziecko przyjdzie na świat, „ó” zmieni się w „ó”. Muhammet miał dopiero sześć lat i jak wszystkie dzieci w tym wieku wiedział, że matka jest większa od niego, ale w przeciwieństwie do innych już dawno pojął i pogodził się z tym, że choćby nie wiem jak urósł, jakkolwiek osiągnął wiek, jakakolwiek przyszłość by mu się ziściła, zawsze będzie mniejszy od swojej matki. Bo Meryem ze swoim szerokim czołem, które w jednej chwili marszczyło się, gdy ogarniał ją gniew, z okrągłą twarzą, o policzkach zaczerwienionych, jakby zbierała się w nich krew, piwnymi oczami, które stawały się jeszcze większe, gdy się przy czymś upierała, wielkimi jak balony piersiami, pulchnymi ramionami z dołeczkami, stopami wielkości niemowlęcych trumienek, nieskończonymi zasobami ignorancji i zabobonów oraz swoją niewyczerpaną energią była tak olbrzymia, że mogłaby zmiażdżyć, zetrzeć na proch wszystko, co stanęłoby jej na drodze.

I taka olbrzymia miała już pozostać.

Muhammet zapakował więc do walizeczki z drugim śniadaniem kanapkę z pietruszką, nadepnął na spłaszczone zwłoki karalucha, którego tego samego ranka zgniótł na brzegu dwuosobowej seledynowej kanapy, i powłócząc nogami, ruszył do szkoły.

LOKAL NUMER 4

Wadą lokalu położonego po prawej stronie od drzwi wejściowych Pałacu Cukiereczek, jak wszystkich pomieszczeń na parterze, było to, że znajduje się na widoku. Przez cały dzień wchodzący i wychodzący z budynku mieszkańcy i ich najrozmaitszego autoramentu goście, a także domokrażcy, którzy nie brali do siebie stanowczego zakazu handlu obnośnego, zbliżając się do wejścia, nie mogli się powstrzymać od zajrzenia do wnętrza salonu mieszkania numer 4. Gdy dodać do tej grupy także klientów zakładu fryzjerskiego, cały ten grad spojrzeń, usiłujących przeniknąć do środka, znacząco zwiększał irytację tutejszych lokatorów. Oczywiście niektóre rodziny mieszkające na parterze po pewnym czasie obojętnieją na ruch pod swoimi oknami, usytuowanie to wykorzystują do obserwowania innych, co można uznać za odpłacanie pięknym za nadobne — może nie tyle „ząb za ząb”, ile „oko za oko”. Z tego względu nie można uznać za zbieg okoliczności, że najbardziej ciekawscy podglądacze rekrutują się na ogół spośród mieszkańców parteru.

Ogniści nie byli jednak ludźmi takiego pokroju. Nie mogli znieść, że są obserwowani przez wchodzących do budynku,
119

nie mieli też zamiaru sprawdzać, kim są ci wchodzący i wychodzący. Według ich wyobrażeń świat poza ich domem był jednym wielkim źródłem zagrożenia. Zaprawdę, gdyby w czasach obowiązywania ustawy o nazwiskach¹ przy ich nadawaniu nie kierowano się życzeniami rodziny, ale jej szczególnymi cechami, na tabliczce na drzwiach mieszkania numer 4 w Pałacu Cukiereczek nie widniałoby „Ogniści”, lecz „Nieufni”. Rano okna mieszkania były szczelnie maskowane tiulowymi firankami, a gdy słońce wznosiło się wyżej — batystowymi zasłonami przeciwsłonecznymi. Wraz z upływem czasu, gdy na dworze robiło się ciemno, starannie zaciągano do końca grube, obszyte frędzlami aksamitne story tak samo szare jak elewacja budynku. I właśnie wtedy okna salonu mieszkania numer 4 mogły się całkowicie skryć, schować przed wzrokiem świata zewnętrznego, niczym ostrożne zwierzę, które przybrało kolor otaczającej je ziemi, by nie zostać dostrzeżonym przez wroga. Ale nawet gdy tiulowe firanki, batystowe zasłony i aksamitne story zostały starannie zaciągnięte, po prawej stronie, na samym skraju pozostawała szpara. Właśnie w tym rogu siedywał w fotelu Ziya Ognisty, lat pięćdziesiąt sześć, wyrzucony z Głównego Urzędu Wodnego, kiedy wyszło na jaw, że przyjął łapówkę. Czytając gazetę i oglądając telewizję, popijał kawę i jadł deser z kabaczka w cukrze, od czasu do czasu wysuwał głowę w kierunku szpary. Omiałał niespokojnym, podejrzliwym spojrzeniem okolicę, nie wiedząc, na co i dlaczego patrzy. Gdy, co zdarzało się rzadko, Ziya Ognisty wstawał z fotela, jego miejsce zajmowała Zeren Ognista, lat pięćdziesiąt pięć, emerytowana nauczycielka chemii organicznej. Ona też od

1 Nazwiska wprowadzono w Turcji ustawą z 21 czerwca 1934 r. Prawo wyboru

przysługiwało ojcu jako głowie rodziny nazwiska musiały być tureckie i nie mogły mieć znaczenia obraźliwego.

120

czasu do czasu spoglądała przez szparę, ale nie na zewnątrz, lecz aby sprawdzić, co dzieje się z kanarkiem, którego w klatce wystawiała o określonych porach na parapet, by mógł zażyć nieco swobody. Zeren Ognistą martwiło, że ten kanarek w odróżnieniu od poprzedniego ani razu nie zaśpiewał. Stale powtarzała, że aby ptak zaśpiewał, trzeba mu otworzyć okno, ale nigdy nie zdobyła się na odwagę, by to zrobić. Wspomnienie tamtego strasznego poranka, gdy w klatce znalazła pierwszego kanarka skąpanego we krwi, wciąż jeszcze było żywe. Co prawda ten niegodziwiec, zwany Kocim Prorokiem, wyprowadził się w końcu z Pałacu Cukiereczek, zabierając ze sobą wszystkie swoje rupiecie i całą tę kocia bandę, a wraz z nim wynieśli się i sprawcy tamtej tragedii, ale w okolicy wciąż włóczyło się tyle bezpańskich kotów, wymachując ogonami, że bała się, aby nowy kanarek nie stał się obiektem ich ataku. Szczególny niepokój wzbudzał w niej, zdradziecko krążący od rana do wieczoru wokół budynku, koci olbrzym, czarny jak smoła kocur o okrutnym wyrazie pyska i zmierzwionym futrze, które sprawiało wrażenie, jakby jego właściciel oblókł się w skóry zdarte z czterech kotów.

Dopóki jej syn Zekeriya Ognisty, lat trzydzieści trzy, po raz czwarty nie złamał sobie nosa, Zeren Ognista nie przejawiała najmniejszego zainteresowania ani kanarkami, ani innymi ptakami. Bardzo dawno temu, gdy składał się jedynie z łagodnej wypukłości nad miękką chrząstką, nos jej syna był przyjemny i tak niewiele sprawiał kłopotu! Ale potem, jakoś tak wtedy, gdy Zekeriya wkroczył w wiek pokwitania, łagodne rysy dziecięcej twarzyczki kompletnie zanikły, a nos przeszedł nieoczekiwaną przemianę. Najpierw zuchwale się wydłużył, potem zdecydowanym, twardym wirazem skreślił w dół i nabrał haczykowatego kształtu. Zeren Ognista z niepokojem obserwowała z boku tę niespodziewaną metamorfozę, jakby

121
śledziła zbliżającego się krok po kroku groźnego przybysza. Z własnego zgrabnego nosa była bardzo zadowolona. Jeżeli chodzi o męża, to uważała, że jego nos, choć trudno byłoby zaliczyć go do pięknych, jest przynajmniej regularny. Uznała więc, że najwyższa pora przyjrzeć się innym gałęziom swego drzewa genealogicznego, gdyż była przekonana, że wszelkie niedoskonałości na tym świecie wynikają ze złych genów.

Gdy z bólem pojęła, że przemiana nosa jej syna dokonała się i organ ten nigdy nie będzie już taki jak przedtem, wzięła pod lupę drzewo genealogiczne rodziny i rozpoczęła poszukiwania, zdecydowana przynajmniej ustalić winowajcę. Krok po kroku cofała się w czasie i koncentrując się na rodzinie męża bardziej niż na własnej, sprawdziła najpierw wszystkich znanych jej krewnych, a gdy to nie dało żadnego rezultatu,

zaczęła przeglądać stare albumy ze zdjęciami. Niestety, z tych niezliczonych podróży wróciła z niczym. Minęło trochę czasu i zrezygnowała z poszukiwań.

W tym czasie Zekeriya wkroczył w czternasty rok życia i niesiony na skrzydłach wieku dojrzewania, zjechał rowem po pochyłości tak niefortunnie, że rozkwaśił sobie nos na placek. Na wieść o tym Zeren Ognista odczuła szczerą ulgę, do czego jednak nikomu się nie przyznała, ale wbrew jej oczekiwaniom, że ten nieszczęśliwy wypadek stanie się punktem zwrotnym i po nim zarówno nos syna, jak i ich sytuacja się poprawi, wszystko zmieniło się na gorsze. Wskutek operacji wykonanej byle jak, co wyszło na jaw później, i tak już wystarczająco brzydki nos skrzywił się w sposób niemożliwy do skorygowania. Dziwnym zbiegiem okoliczności jego skrzywienie zbiegło się w czasie ze skrzywieniem się drogi życiowej Zekeriya.

W ciągu kolejnych lat Zekeriya Ognisty starał się przy każdej okazji zjechać z autostrady, na którą siłą wpychała go

122
matka, i skręcał we wszystkie boczne drogi, jakie tylko udało mu się znaleźć. I tak zjechał z niej w końcu całkowicie, stając się źródłem wstydu i bólu dla rodziców. W roku złamania nosa zaczął podkradać rodzicom pieniądze, jako piętnastolatek wolny czas spędzał na masturbowaniu się, w szesnastym roku życia uznał szkołę za arenę, na której należy niszczyć słabszych od siebie, w siedemnastym wypalał dziennie dwie paczki papierosów, w osiemnastym zaczął się interesować, jak na skróty dorobić się dużych pieniędzy. Słowem, nurzał się w bagnie. W tym czasie poddał się drugiej operacji nosa, jeszcze bardziej nieudanej niż pierwsza, po której wątpliwości Zeren Ognistej co do syna osiągnęły szczyt, a jej oczekiwania wyparowały bez śladu.

W okresie rekonwalescencji Zekeriya Ognisty zebrał siły i mając dwadzieścia dwa lata, robił już interesy z mafią parkingową na azjatyckim brzegu Stambułu, rok później zadurzył się w urzędnicze bankowej, rozwódce z dwójką dzieci, w wieku lat dwudziestu czterech zranił nożem ochroniarza w banku, którego nasłała na niego dawna ukochana, i został aresztowany, dwa lata później wyrównał swoje rachunki z życiem, łamiąc nos przewodniczącemu Koła Miłośników Dzielnicy Kuzguncuk, który mobilizował mieszkańców, aby domagali się przerwania budowy parkingu na terenie ogrodu pewnego zabytkowego pałacyku, w wieku lat dwudziestu siedmiu zerwał wszelkie kontakty z rodziną, w wieku lat dwudziestu ośmiu został przez krewnych odszukany i pośpiesznie ożeniony z kuzynką, którą starszyzna rodu uznała za odpowiednią, i jeszcze w tym samym roku zrobił jej dziecko. Jednakowoż, Jak opowiadała jego drobna i wiotka jak gałązka żona, gdy w łóżkach przychodziła się wyżalić, małżeństwo w najmniejszym stopniu nie zmieniło jego zachowania. Może nie włączył się

już tyle dniami i nocami co dawniej, ale za to stał się wyjąt-
123

kowo wybuchowy. W ataku furii poturbował młodą kobietę, która niedawno zdobyła prawo jazdy i na żółtym świetle uderzyła w tył jego samochodu. Następnego ranka otrzymał srogie lanie od jej męża, potężnego draba, co zakończyło się trzecim zdeformowaniem nosa.

Zeren Ognista nie mogła się doczekać wnuka. Dzieci poczęte właśnie wtedy, gdy związek ich rodziców zaczyna się chwiać, a przychodzące na świat w czasie, gdy upada i nie może się już więcej podnieść, przypominają worki z cementem. Malutkie woreczki z cementem, które wypełnią widoczne pęknięcia i wzmocnią filary rodzinnego domu, skleja i upiększą małżeństwo, które przy każdym poważniejszym kryzysie staje na skraju katastrofy. Gdy dziecko Zekeriyi Ognistego przyszło na świat, otrzymało, jak wszystkie worki z cementem, ważną misję do spełnienia, i to misję dwustopniową: najpierw zapobiec rozpadowi nosa ojca, a potem rozpadowi małżeństwa rodziców.

I tak się też stało. Przynajmniej na pewien czas. Dokładnie przez rok i pięć i pół miesiąca nie trzeba było wzywać adwokata. Ale potem nadeszła spodziewana wiadomość. Zekeriya, wożąc dziecko w wózku po domu, spadł ze schodów. Zeren Ognista, przygotowując się po raz czwarty na znany już sobie widok, ale teraz martwiąc się już znacznie mniej, udała się do szpitala, którego nazwę podała jej przez telefon synowa, szlochając tak, że nie można było zrozumieć, co mówi. Z impetem wpadła do sali szpitalnej i ze zdziwieniem zobaczyła całkowicie zdrowego syna. W wyniku wypadku rzeczywiście nos został złamany, ale nie był to nos Zekeriyi, lecz maleństwa śpiącego w wózku. Zeren Ognista zdążyła się już przyzwyczaić do widoku opatrunku na samym środku twarzy syna i za każdym razem traktowała go jak flagę buntu wyciąganą w proteście przeciwko zaprowadzonym przez nią porządkom.
124

Teraz, widząc opatrunek na nosku wnuka, uznała, że został mu przekazany jakiś ważny gen i że tego błędu nie da się już naprawić. Nie spodziewała się już niczego dobrego po synu i jego potomkach.

Gdy nieszczęśliwa wróciła do Pałacu Cukiereczek, od razu zamknęła się w sypialni i przystąpiła do porządkowania zawartości szafy z orzecha, w której w jednej z szuflad przechowywała niemowlęce ubranka syna. Bo zawsze gdy postanawiamy już kogoś nie kochać, zaczynamy od rozprawienia się z jego rzeczami. Zeren Ognista jednak nigdy nie wyrzucała przedmiotów związanych z rodziną. Dlatego najsurowsze porachunki z rzeczami w jej wykonaniu sprowadziły się do wysypania ubranek syna na środek pokoju i ułożenia z powrotem po starannym ich przejrzeniu. Gdy przetrząsnęła całą zawartość szafy, spośród kartek wciśniętego do najniższej szu-

flady podręcznika dobrych manier niespodziewanie wyskoczył poszukiwany tyle lat temu podejrzany gen. Między strony rozdziału pod tytułem Jak nawiązać rozmowę z nieznaną panią zajmującą miejsce w tym samym przedziale ktoś kiedyś wsunął fotografię. I to ona stanowiła odpowiedź, którą Zeren Ognista tak usilnie pragnęła niegdyś poznać. Widoczny na pożółkłym już zdjęciu, nieco kobiecy, mizdrzący się pretensjonalny mężczyzna był czwartym bratem dziadka jej męża, który zawsze obgadywał jednych przed drugimi i przez to stawał się głównym sprawcą wybuchających w rodzinie niesnasek, za co zresztą nazywano go Dudkiem. Hamdi Dudek na zrobionej na starość fotografii stał bokiem, jakby chciał, by brzydota jego nosa była jak najlepiej widoczna. Na głowie miał pilśniowy kapelusz, w ręku — długą firkę, i patrząc rozmarzonym spojrzeniem gdzieś w dal, ponad ramionami pozostałych członków rodziny, palił papierosa. Zeren Ognistej w ogóle nie obchodziło, że rodzina oparła swoje przekonania na błędnym skojarzeniu

125

— wszakże dudek był posłańcem wyłącznie króla Salomona i Belkis, królowej Saby, i nie przynosił wiadomości nikomu innemu. Interesowała ją jedynie ta straszliwa niesprawiedliwość, że twarz jej jedynego syna, jej oczka w głowie, została wyposażona w nos nie ojca czy matki, ale zidiociałego starca, pociotka, którego nigdy w życiu nie spotkał, dziesiątej wody po kisielu, nosiciela najpodlejszych genów w rodzinie. A jeszcze bardziej przerażające było to, że jej półtoraroczny wnuk był kolejnym ogniwem tego samego genetycznego łańcucha. Pod wpływem impulsu chwyciła fotografię i wraz z podręcznikiem *savoir-vivre'u* cisnęła do śmieci. Żółtą foliową torbę wystawiła przed drzwi budynku. Zrobiła tak, choć nieraz przyszło jej wysłuchiwać upomnień administratora, Hadżiego, by nie wystawiać śmieci o różnych porach, bo psuje to estetykę wejścia do kamienicy.

Pięć, dziesięć, trzynaście... dokładnie siedemnaście minut później zaczęła tego głęboko żałować. Przechowywała przecież wszelkie pamiątki rodzinne, powinna więc była zachować także tę fotografię, nawet jeśli wydawała się jej wielce niesympatyczna. Gdy jednak ponownie otworzyła drzwi, miejsce, gdzie stała torba, zionęło pustką. Przypomniała jej się wtedy opowieść matki, jak to pewnego dnia jej rodzice zapakowali do worka kota, którym dłużej nie chcieli się już zajmować, wrzucili go do samochodu, wywieźli jak najdalej za miasto i pozostawili na opuszczonej parceli. Gdy wieczorem wrócili do domu, zastali kota leniwie wyciągniętego na progu i czekającego na nich. Patrzącą na miejsce po torbie Zeren Ognistą ogarnął ten sam zimny dreszcz, który przeszedł jej matkę na widok pręgowanego kocura. Rozczarowanie, jakie odczuwamy, gdy coś, od czego, jak nam się wydawało, zdołaliśmy się uwolnić, ponownie nas dopada, jest bowiem bliźniaczo podobne do rozczarowania, jakie odczuwamy, gdy spostrzegamy,

że coś bezpowrotnie straciliśmy, choć wydawało się nam, że możemy to jeszcze odzyskać.

Już wcześniej zdarzały się podobne sytuacje. Torby ze śmieciami znikają spod drzwi, zanim Meryem zdążyła je wynieść. Nikogo zresztą ani trochę nie obchodziło, kto i w jakim celu je zabierał. Tym razem jednak sytuacja była inna. Zeren pragnęła odzyskać swoje śmieci. Worek w jej oczach zmienił się w tajemniczą szkatułkę, zapieczętowany list. Powinien być jak najszybciej zniszczony; nie można było dopuścić, by ktoś obcy go przedziurawił i przetrząsał jego zawartość, gdyż... była zbyt osobista i absolutnie nietykalna. Dopóki nasze śmieci stoją pod drzwiami, dopóty są nietykalne. Należą do nas, dotyczą osobiście nas. Ale gdy tylko trafią do pojemników, przestają mieć z nami jakikolwiek związek. Ci, którzy żyją z przeszukiwania śmietników, mogą do woli grzebać w nich brudnymi łapami.

W ciągu godziny Zeren przetrząsnęła całą kamienicę od góry do dołu, zajrzała we wszystkie miejsca, jakie tylko przyszły jej do głowy. Winowajcą mógł być każdy. W końcu wyszła przed drzwi budynku, wiedzioną przypuszczeniem, że składane przed poszczególnymi lokalami worki, jak drobne strumienie spływające do rzeki, mogły trafić do większego zbiorowiska. Przetrząsnęła więc stos śmieci piętrzący się przy ogrodzeniu. Zawiązany na kokardkę żółty worek zniknął jednak bez śladu, jakby ziemia się rozstała i wciągnęła go w swe czeluście.

Rodzina dozorczy przebywała na wsi, pozostawiała więc tylko jedna możliwość: to musiała być sprawka tych z naprzeciwka! Niestety, z zakładu fryzjerskiego, do którego weszła w asyście męża i córki, wyszła z pustymi rękami i zszarpanymi nerwami- Jakby nie wystarczyło, że worek ze śmieciami i fotografią ttandiego Dudka zniknął w tajemniczych okolicznościach, to jeszcze musiała wysłuchać obelg od fryzjera Cemala.

Wtedy właśnie Zeren Ognista nabyła świergotliwego kanarka. A przed kanarkiem miała jeszcze rybki. Kolorowe, egzotyczne... Choć prawdę mówiąc, nie przejawiała nimi najmniejszego zainteresowania aż do dnia, gdy po latach pogodziła się wreszcie z faktem, że jej córka jest nerwowo chora. Bardzo ją kochała, a przez pewien czas nawet najbardziej na świecie. Gdy nieforemny nos syna zaczął zuchwale sterczeć, całą swą miłość i troskę skierowała na córkę. Zeynep Ognista, lat trzydzieści jeden, zarówno kiedyś, jak i teraz była bardziej żywiołowa i przedsiębiorcza od reszty rodzeństwa. Jako jedenastolatka chciała jednocześnie zostać dyrektorem szkoły, w której pracowała jej matka, i strażakiem, wylewającym całą wodę Głównego Urzędu Wodnego na wszystkie dachy w mieście, włóczyć się jak jej starszy brat i dziergać na szydełku jak jej młodsza siostra, a do tego jeszcze występować w teatrze jak ojciec jej najlepszej koleżanki. Gdy skończyła dwadzie-

ścia jeden lat, nic się nie zmieniło. Starła się zawsze być czymś więcej niż wszyscy dookoła razem wzięci. Swoją dzień starannie dzieliła na mnóstwo krótkich chwil, z których każdą poświęcała na jedno ze swych rozlicznych zajęć. Robiła raz to, raz tamto, i choć to może dziwne, na ogół z powodzeniem. Miała błyskotliwy umysł, co mile łechtało genetyczną dumę matki, ale była, niestety, tak samo inteligentna, jak i nieszczęśliwa. Nic, co posiadała, nie było wystarczające, wszystkiego było jej mało. Niczego w swoim życiu nie uważała za pełne i kompletne. To, co nazywa się „pełnią”, było dla niej jedynie pustym hasłem w słownikach. Nie było na przykład morza. W jednym morzu mieściła się nieograniczona liczba nie kończących się mórz, płynących w rozmaitych kierunkach. Fale docierały do brzegu z mocą i częstotliwością, jaka pozostawiała im po starciach z falami innych mórz. Uderzając o brzeg, rozpadały się na pojedyncze chlapnięcia, bryzgnięcia piany.

128

Stambuł też nie istniał. Były tylko dziesiątki, setki, tysiące, miliardy pojedynczych ludzi, grup, społeczności. Plusy neutralizowały minusy, wiejące z przeciwnych kierunków wiatry dawały w sumie ciszę, czyjś nacisk napotykał czyjś opór, w wyniku czego miastu udawało się przetrwać, choć z coraz większym trudem. Tak samo jak fale Stambuł był w gruncie rzeczy saldem po działaniu przeciwnych sił. Tym, czego nie pożarły myszy, nie rozwłóczyły mewy, nie rozjechały samochody, nie wywoziły statki. Tym, co pozostało z powietrza, które zaczerpnęło z pierwszym oddechem ileś tam noworodków co godzina przychodzących tu na świat. W ten sposób nieustannie rozpadał się na kawałki, nieustannie tracąc coś z siebie. Pierwszy atak choroby wystąpił u Zeynep Ognistej, gdy miała dwadzieścia dwa lata.

Zeren Ognista nie przejęła się tym, co powiedział lekarz, bo nie traktowała poważnie ani jego, ani jego słów. Na żadnej gałęzi, na żadnym liście jej drzewa genealogicznego taka choroba nie wystąpiła. Nawet czarna owca w rodzinie — Hamdi Dudek był całkowicie zdrowy na umyśle. Przecież najstarsza córka była najmądrzejsza, najinteligentniejsza z całej trójki jej dzieci. Choroba na pewno nie była niczym innym jak tylko depresją związaną ze spóźnionym okresem dojrzewania.

Szybki powrót Zeynep do zdrowia jeszcze bardziej utwierdził matkę w przekonaniu, że miała rację. Ale jak się wkrótce okazało, poprawa stanu psychicznego dziewczyny była krótkotrwała. Życie najstarszej córki Ognistych miało się od tej Pory dzielić na dwie kontrastowe fazy: okresy, gdy była tak chora, że wydawało się, iż nigdy nie wyzdrowieje, i okresy, gdy była tak zdrowa, że wydawało się, iż nigdy nie zachoruje. Nie było stanów pośrednich. Nikt też nie potrafił określić, kiedy jedna faza przechodzi w drugą. Najbardziej widoczną oznaką, na jakim etapie się córka znajduje, był jej sposób re-

129

akcji na złe wiadomości. Gdy Zeynep była chora, jak daltonista postrzegający jedynie wybrane kolory, interesowała się wyłącznie złymi wiadomościami i tylko dla nich sięgała po gazetę. Napady, zbrodnie w imię honoru rodziny, samobójstwa, zmuszanie dziewczyn do prostytucji, dzieciaki wachające klej, zamachowcy samobójcy, niemowlęta porwane ze szpitala tuż po urodzeniu, młodzi ludzie umierający po przedawkowaniu narkotyków... Nie tylko studiowała prasę, lecz także uważnie przyglądała się ulicom miasta: nie zabezpieczone wykopy, pęknięte rury, nie wywożone śmieci, korki uliczne, bezczelni kieszonkowcy, cukiernie zamknięte przez sanepid z powodu brudu, rzeźnicy sprzedający koninę, sklepikarze handlujący podrabianymi proszkami do prania, bandy grasujące na parkingach, drewniane domy, które spłonęły w nie wyjaśnionych okolicznościach, wybuchy butli i nieszczelne rury gazowe, rabunki... Zeynep Ognistej nie wystarczało jednak samo śledzenie tych wiadomości przyprawiających o szaleństwo. Ludziom, których spotkała, a zwłaszcza matce, z którą spędzała cały dzień, musiała każdą szczegółowo opowiedzieć. Gdy stan jej się poprawiał, pomijała bogato okraszone zdjęciami informacje o katastrofach. W każdym razie była jedynym członkiem rodziny Ognistych, który regularnie czytywał gazety.

Gdy uszy Zeren Ognistej zaczynał drażnić podekscytowany głos córki paplającej o rozmaitych tragicznych wydarzeniach, szukała ukojenia w spokojnym bulgotaniu dochodzącym z akwarium wypełnionego kolorowym żwirkiem i fosforyzującymi ozdobami. A przed rybkami były jeszcze rośliny. Rozmaite rośliny dekoracyjne...

Zelisz Ognista, lat dwadzieścia trzy, nie była ani tak demoralizowana jak jej starszy brat, ani tak inteligentna jak jej starsza siostra. Można powiedzieć, że już od dzieciństwa ani

130
usposobieniem, ani wyglądem nie przypominała pozostałych członków rodziny. Ta jej odmienność jeszcze bardziej rzucała się w oczy, gdy porównywano ją z siostrą. Przykleiła się do niej, przycupnęła na skraju jej życia jak niezgrabny, pulchny grzyb, który jakimś trafem wyrósł przy bujnej dzikiej roślinie o kwiatach cieszących oczy i potulnie godził się, by tamtej przypadały w udziale cała woda i słońce. Była niepozorna i nieśmiała, niemrawa i małomówna. Jakby zdezorientowana przykładem starszej siostry, nieustająco popadającej w skrajności — raz błyskotliwej i ujmującej, raz nerwowej i płacziwej — wolała bezpiecznie zatrzymać się w pół drogi. Jej starszy brat chciał być kimś, jej starsza siostra chciała być wszystkim, a ona przez te wszystkie lata chciała jedynie nie być.

W rodzinie Ognistych to ona była najmniej skłonna do obrażania sobie różnych rzeczy. Reszta wciąż wymyślała, co też może im grozić ze strony świata. I choć rodzaje niebezpieczeństw stale się zmieniały, to ich źródło niezmiennie kryło

się za storami z szarego aksamitu. Ziya Ognisty najbardziej obawiał się ponownego otwarcia sprawy o łapówkarstwo, aresztowania, wtrącenia do więzienia, rozgłosu w gazetach i dostania się na języki wszystkich. Zeren Ognista najczęściej wyobrażała sobie, że coś złego stanie się jej dzieciom. Kolejne miejsca na liście jej lęków zajmowały: przyjscie do władzy fundamentalistów, napad i wyrwanie torebki oraz zasypanie przez gruzy walącego się budynku. Zekeriya Ognisty szczególnie bał się niepowodzenia w sprawach łózkowych, nieumiejętności radzenia sobie w życiu, karcianych wierzycieli i tego, że będzie się bał. A jeśli chodzi o Zeynep Ognistą, to ona sama była przecież jak wahadło niepowstrzymanie bujające się pomiędzy głęboką studnią, wypełnioną strachem, zmartwieniami i bezpodstawnymi obawami, a oceanem wolnym od strachu, zmartwień i bezpodstawnych obaw.

131

Dla Zeliz Ognistej zaś wyobrażenia były przede wszystkim czymś abstrakcyjnym. Czymś takim jak powietrze, które jest wszędzie, ale nie da się go chwycić ręką. Czymś znacznie bardziej nieokreślonym niż ponowne otwarcie sprawy o łapówkarstwo, torturowanie za karciane długi czy dojście do władzy fanatyków religijnych. Po pierwsze, wyobrażenia nie istnieją poza człowiekiem, to człowiek w nich tkwi. Albowiem pożywką dla strachu, zmartwień i obaw jest lęk, że wszystko może stać się zupełnie inne. Oto twój dom, przyjaciele, twoje ciało, rodzina... To jest teraz twoje, ale pewnego dnia może ci być odebrane! Wyobrażenia natomiast żywi się lękiem, że nic nie może stać się inne, niż jest. Oto twój dom, przyjaciele, twoje ciało, rodzina... To jest teraz twoje i, niestety, tak już może pozostać na zawsze!

Gdy Zeliz Ognista chodziła jeszcze do gimnazjum, kilkakrotnie gościła w domach koleżanek. Do tego momentu ktoś określany słowem „mama” musiał być w jej wyobrażeniu kopią jej matki, „ojciec” — jej ojca, „rodzina” — jej rodziny. Podczas tych wizyt natomiast miała okazję zobaczyć z bliska matki, ojców, rodziny nijak niepodobne do jej matki, ojca, rodziny. Stało się to dla niej punktem zwrotnym. Od tej pory wstyd za własną rodzinę był coraz większy i większy jak odsetki od niezapłaconej grzywny.

W głowie Zeliz Ognistej utkwily słowa jękającego się fizyka z kursów dokszałcających: „Pppołączmy ze sobą dddwa naczynia wwwypełnione do tej samej wysokości cieczą o tej samej gggęstości i sprawdźmy, czy ciecz ppprzeplynie z jednego do dddrugiego”. Tak właśnie mówił i po chwili dodawał: „Albo llllepiej nie czekajmy na pppróżno. Pppamiętajcie dzieci, zawsze z dddołu do góry i z większego do mniejszego... W przeciwnym razie pomiędzy tttakimi samymi nie ma ppprzeplwy”. Zdaniem Zeliz Ognistej gęstość wnętrza

132

i zewnątrz domu były identyczne, były też na tym samym

poziomie. Mimo to nie potrafiła jakoś zdobyć się na odwagę i raz na zawsze opuścić mieszkania numer 4 w Pałacu Cukiereczek. Często snuła plany ucieczki, ale ponieważ właściwie nie dotyczyły one ucieczki, tylko raczej wyjścia z domu, wciąż nie miała pojęcia, co robi, gdzie się uda, gdy go w końcu opuści.

Zeren Ognista nie miała żadnych oczekiwań względem młodszej córki, u której zdołała stwierdzić tylko jedną charakterystyczną cechę: dziewczyna padała jak kłoda na widok krwi lub czegoś w jej kolorze. Jej głowę zaprzętała jedynie myśl, że wypełniające każdy kąt salonu piękne i kapryśne rośliny ozdobne potrzebowały dużo światła. A że przez zasłony w oknach mieszkania numer 4 nie przenikały łatwo ani spojrzenia obcych, ani też promienie słońca, wszystkie te kwiaty jedno po drugim więdły i marniały. Rybki w akwarium też z czasem wyginęły, a kanarka rozszarpała banda Kocięgo Proka. Co prawda teraz w tej samej klatce mieszkał nowy ptaszek, ale z niewiadomych powodów ani razu nie zaśpiewał. Na widok wchodzącej do zakładu kobiety bezlitośnie obgadywanej od dłuższego czasu wszyscy obecni pogrążyli się w niepewnym milczeniu, tak charakterystycznym dla osób przyłapanych na gorącym uczynku. Gdy osoba, o której dopiero co była mowa, zupełnie nieoczekiwanie pojawi się obok nas i musimy spojrzeć jej w oczy czy uśmiechać się do niej, mamy w głębi duszy wrażenie, że to efekt działania jakiejś nadprzyrodzonej siły. Obecni w salonie byli przekonani, że Tijen Czyścioszka musiała się skądś dowiedzieć, iż wspominali jej imię. Ale przyczyną ich niepokoju była nie tylko nieumiejętność natychmiastowego opanowania wyrazu bezczelnego zblazowania, jaki malował się na ich twarzach, gdy oddawali się plotkom. Kompletnie zaskoczyło ich, że ktoś, kto od miesięcy nie wychodził z domu, zjawił się właśnie tu, w miejscu figurującym na samiułtkim końcu listy miejsc, które mógłby odwiedzić, gdyby pewnego dnia zdarzyło mu się jednak z tego domu wyjść. Z zaskoczenia pierwszy otrząsnął się Cemal. Nie dostrzegając niezręczności w sytuacji zwracania się do osoby, która go nie знаła, ani nawet nie wiedziała, jak on ma na imię, niczym do starej znajomej, zawołał niemal radośnie:

134

— Serdecznie witamy, pani Tijen! — I skierował się ku drzwiom.

To skutek działań ubocznych nałogu plotkowania — im częściej i bezwzględniej kogoś obmawiamy, tym bardziej wydaje się nam, że dobrze go znamy. Szybko zaczynamy uważać go za starego znajomego. Tymczasem osoba ta może zupełnie nas nie kojarzyć. Gdyby Cemal otrzymał jakąś odpowiedź na swoje poufale powitanie, mógłby zacząć robić Tijen Czyścioszce wymówki, że tak dawno go nie odwiedzała. Ale tak się nie stało. Kobieta zmierzyła go od stóp do głów obojętnym spojrzeniem, które dobitnie wskazywało, że to powitanie ani

trochę nie przypadło jej do gustu, po czym nie mówiąc nawet słowa, zaczęła badawczo rozglądać się dookoła. Jej wzrok zatrzymywał się kolejno na czekających na zamiecenie kosmykach włosów na podłodze, wyblakłych od częstego prania wysłużonych ręcznikach, plamach na zawiązanych na szyjach klientek fartuchach z ceraty w deseń z lamparcich cętek, drobnych pęknięciach na brzegach luster pokrywających całą ścianę, martwych komarach na skraju biegnącej wzdłuż luster lady, kurzu na półkach pełnych opakowań z żelem, pianką do układania i brylantyną tej samej firmy, kłębach włosów wplątanych w szczotki, gąbce wyłazającej z porwanych obić foteli, podniszczonych meblach, buteleczkach ze spienionymi podejrzanie płynami, chybotliwym trójpoziomowym stoliku do manikiuru. Niezadowolenie, jakie można było wyczytać z jej twarzy, było tak głębokie, chęć natychmiastowego opuszczenia tego miejsca tak widoczna, że patrząc na nią, Cemal, który czuł się poniżony na równi ze swoim miejscem pracy, stłumił cisnące mu się na usta pozostałe powitalne okrzyki i nie odezwał się słowem.

Ale Tijen Czyścioszka nie wyszła oburzona, nie odwróciła Się, jak się spodziewał. Stała przez kilka chwil jak wmurowana,

135
w wana, nie mogąc zrobić kroku ani do przodu, ani do tyłu, po czym — aby nie musieć już dłużej patrzeć na odrażające niechlujstwo — przerwała inspekcję i skierowała swe spojrzenie przez otwarte okno na zewnątrz. I właśnie wtedy dostrzegła gospozię, która zeszła do ogródka pozbierać wyrzucone ubrania. W tym samym momencie gospośnia — z jej zażawionych oczu można było wyczytać niezadowolenie, iż nie dość, że cały dzień zszedł jej na sprzątaniu, to jeszcze teraz musi zebrać nie wiadomo ile walizek wyrzuconych na ulicę nie wiadomo dlaczego ubrań — także ją spostrzegła. Kobiecina była tak zmęczona, że nie miała nawet siły się zdziwić, co Tijen Czyścioszka tu robi. Wypełniony po brzegi różnymi ubraniami kosz na bieliznę, który przyciskała oburącz do piersi, postawiła na ziemi. Z drobnym ciałkiem w ogródku, a głową w cytrynowozielonkawej chustce w oknie zakładu fryzjerskiego mruknęła znużonym głosem:

— Odchodzę, pani Tijen. Muszę się zająć rodziną.

Najwyraźniej jednak uznała, że pomiędzy słowami wychodzącymi z jej ust a całą tą sytuacją nie ma wystarczająco jasnego związku, bo dodała podsumowujące wszystko wyjaśnienie: — To ostatni kosz. Zebrałam wszystko. Teraz zaniosę to na górę i tam zostawię. Pięć razy musiałam schodzić i wchodzić. Proszę nie czekać na mnie we czwartek. Nic po mnie w tej dzielnicy.

Pani Tijen zmarszczyła lekko brwi, ale nie odezwała się słowem, zadowolając się lekkim skinieniem głowy. Chociaż z nieprzeniknionego wyrazu jej twarzy nie dawało się wyczytać, co sobie pomyślała, nietrudno było zauważyć dyskomfort, jaki

wywoływało w niej przebywanie wśród obcych osób. Stała dalej nieruchomo, aż Celal podszedł i budzącym zaufaniem głosem zapytał, jaką fryzurę sobie życzy. Chciał ją w ten sposób uwolnić od tej niezręcznej sytuacji, a przy okazji odnowić nieć

136
porozumienia, jaką jego brat bliźniak zerwał, próbując nawiązać. Wzrok, utkwiony w pustce powstałej po odejściu gosposi, pani Tijen powoli przeniosła na Celala i szepnęła:

— Nie ja, tylko moja córka.

I aby lepiej wyjaśnić, o co jej chodzi, odsunęła się na bok. Dopiero wtedy obecni w salonie fryzjerskim zauważyli chudą, delikatną dziewczynkę o hebanowoczarnych, kręconych włosach, kontrastującej z nimi jasnej cerze i oczach zupełnie czarnych, nie wpadających ani w brąz, ani w szarość, ani w żaden inny kolor, którymi patrzyła innym ludziom dokładnie prosto w twarz, nie odwracając wzroku. Włosy miała mokre. Ze ściekającymi — kap, kap — z zygzakowatych loków kroplami, od których na wysokości jej ramion utworzyły się rozległe mokre plamy, wyglądała jak ktoś, kogo po drodze złapał siąpiący drobno letni deszcz.

Gdy Celal sadzał małą klientkę przed lustrem, Cemal, który przełknął już afront, zaproponował matce któryś fotel z brzegu. Ale Tijen Czyścioszka nie usiadła od razu. Przez kilka sekund postać jeszcze, niespokojna i niezadowolona, a potem dała za wygraną i niechętnie przycupnęła na najbliższym. Gdy wyrosła przed nią manikiurzystka — która miała w zwyczaju pytać każdą klientkę najpóźniej po trzydziestu sekundach od jej wejścia, czy życzy sobie manikiur — wciąż miała wzrok wbity w ziemię, a jej myśli krążyły gdzieś daleko. Wpatrywała się w widoczną przed sobą rozległą plamę. Kiedy usłyszała pytanie, w jednej chwili ze wstrętem schowała za siebie ręce, jakby dotknęła niewidocznej myszy. Manikiurzystka nie spodziewała się tak gwałtownej reakcji, więc jak niepyszna wróciła do swojego kąta. Ale nim jeszcze usiadła na swoim miejscu, w Jej duszy zrodziła się niepewność. A może się przejęzyczyła? Może zamiast „pani Tijen” padło z jej ust „Czyścioszko Tijen”?

Czy

to z tego powodu wyraz twarzy kobiety zrobił się nagle

137

kwaśny jak ocet? Im bardziej wysilała pamięć, tym przekonanie, że strzeliła gafę, stawało się silniejsze. Mózg jest bowiem organem skłonny do pesymizmu. Za każdym razem, gdy ma do wyboru dwie przeciwstawne możliwości, wskaże na tę negatywną. Im dłużej zastanawiała się manikiurzystka, tym bardziej była pewna, że palnęła głupstwo. W pewnym momencie uznała nawet, że powinna wrócić i przeprosić, ale przycupnęła jedynie za trzypoziomowym, wyposażonym w kółka stolikiem do manikiuru i rozglądając się ukradkiem, starała się ocenić, czy ktoś jeszcze zorientował się, jaką gafę strzeliła. W tym czasie Su, którą Celal posadził przed długim lustrem

tuż po prawej stronie starszej pani, kręciła się na obrotowym fotelu i rozglądała z ciekawością kobiety, która pierwszy raz w życiu wybrała się do fryzjera. W którąkolwiek jednak stronę patrzyła, wszędzie napotykała badawcze spojrzenia i uprzejmie rozciągające się w uśmiechu, pomalowane szminką usta kobiet. Z tego powodu musiała skrócić do minimum swój rekonesans. Jediną osobą, której lepszemu wzroku w tym obcym miejscu nie czuła na sobie, była siedząca obok stara kobieta. Znała ją. To była sąsiadka z naprzeciwka, którą od czasu do czasu spotykała na korytarzu. Zawsze dobrze się do niej odnosiła. Drobną twarz z mocnym makijażem wystająca nad ceratową peleryną przypominała popiersie byle jak umieszczone na postumencie, a następnie przez jakiegoś dowcipnisia pomalowane na różne kolory.

Gdy Madame Babcia zauważyła, że dziewczynka jej się przygląda, zwróciła się w jej kierunku i uśmiechnęła. Wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale gdy pojawił się Celal z kawałkiem deski w ręku, odwróciła się i znów zaczęła patrzeć przed siebie. Bliźniacy, którzy nie lubili się schylać w czasie pracy, umieszczali deskę na podłokietnikach fotela i na niej dopiero sadzali małych klientów, dodając im w ten

138
sposób kilka centymetrów wzrostu. Gdy Su zorientowała się, co zamierza zrobić Celal, nie odrywając wzroku od staruszki gwałtownie pokręciła głową i odezwała się cienkim głosem, w którym pobrzmiwała absolutna pewność siebie —
— Ja przecież jestem od niej wyższa. Dlaczego ona nie siedzi na desce?

Wobec tak wyrażonego sprzeciwu celal, który nigdy nie miał gotowej odpowiedzi i nie potrafił nikomu się odciąć do reszty stracił rezon. Gdy spostrzegł, że Madame Babcia wcale się tym nie przejęła, ba, nie tylko się nie przejęła, ale jeszcze chociaż, przyznała małej rację, podał deskę chłopakowi bez przyszczy i kazał mu wynieść ją na zaplecze, i od razu, jakby rozumiejąc, że w słowach dziecka kryje się jakaś prawda, odwrócił się i spojrzął z uwagą w lustro na odbicia dwóch niezwykle klientek. Jakże były do siebie podobne, gdy tak siedziały jedna obok drugiej, z zawiązanymi Pod szyją ceratami, że widać było jedynie dwie małe główki, A Przecież znajdowały się na dwóch krańcach czasu — jedna miała lat jedenaście, druga siedemdziesiąt osiem — na przeciwnych etapach ludzkiego życia. Dziewczynka myliła się wcale nie była wyższa od starej kobiety. Obie były dokładnie tego samego wzrostu, ważyły też zapewne tyle samo Jakie to dziwne: ciało starego człowieka, który wiele przeżył, i ciało dziecka, które dopiero rośnie, osiągają takie same rozmiary Jak dwie windy — jedna jadąca do góry, a druga w dół - na moment, ale tylko na ten jeden moment znalazły się dokładnie na tej samej wysokości. Po sekundzie, mimucie, miesiącu, Po określonym czasie jedna na pewno stanie się niższa, a druga,

wyższa i zaczęły się różnić wzrostem. Upłynie chwilka i kości staruszki odrobinę się skurczą, a dziewczynki wydłużą. Niezwykle było to, że spotkały się właśnie w chwili tej Przelotnej równości.

139

Gdy Celal dostrzegł podobieństwo łączące staruszkę i dziecko, poczuł do dziewczynki dokładnie taką samą sympatię, jaką żywił wobec Madame Babci. Dlatego osobiście zajął się i samym strzyżeniem, i przygotowaniem do niego włosów. Zdjął zawiązaną byle jak bursztynowożółtą wstążkę i rozpuścił bujne, kręcone czarne włosy. Zaczął starannie rozczesywać loki, z których wciąż kapłała woda. Oczywiście zapytał, jak dziewczynka ma na imię — gdy dorośli próbują nawiązać kontakt z dzieckiem, zawsze zaczynają od pytania o imię i gdy tylko je usłyszą, natychmiast odczuwają potrzebę powiedzenia, że jest ładne. Celal powiedział więc:

— Jakie ładne masz imię!

Ale Su nie zwróciła na to najmniejszej uwagi, gdyż była zajęta przeglądaniem kobiecego czasopisma, w którym roiło się od reklam z wymyślnymi fryzurami. Zapewne nie uniosłaby nawet głowy, gdyby nie rozdzierający krzyk matki.

Jak psy, które zawsze podbiegają do tego, kto najbardziej się ich boi, albo jak włos, który pływa w talerzu tego, kto się najbardziej nim brzydzi, tak karaluch — ten sam, którego Celal stracił z oczu — spośród tylu osób wybrał sobie właśnie Tijen Czyścioszkę, by pojawić się w jej polu widzenia. Pomocnik bez pryszczycy, który starał się przypodobać pracodawcom, natychmiast zainterweniował. Pod podeszwą jego buta owad zmienił się w odrażający placek.

— Te robaki opanowały cały dom — wyjąkał Celal i zamilkł, nie wiedząc, jak się w tej sytuacji zachować.

Ostatnio coraz częściej widywał rozmaite stworzenia, których nazw nawet nie znał. Robactwa było nie tylko coraz więcej, lecz było także coraz bardziej różnorodne. Niektóre na przykład po zabiciu wydawały z siebie smród. Pomocnik bez pryszczycy pobiegł po odświeżacz powietrza w spreju.

I Su — woda.

140

— Pani Tijen, nie musi pani czekać — powiedziała Madame Babcia na widok przerażenia malującego się na twarzy kobiety. — Proszę się nie martwić o córeczkę. Razem wrócimy na górę.

Tijen Czyścioszka była tak bezradna, że nie kazała sobie tego dwa razy powtarzać. Przeskoczyła nad zwłokami karalucha, zostawiła pieniądze za strzyżenie przy kasie i popędziła do drzwi. Nim wyszła, zatrzymała się na chwilę i pomachała ręką — starszej pani z wdzięcznością, córce z czułością.

Gdy tylko znalazła się za drzwiami, manikiurzystka, siedząca do tej pory sztywno, jakby połknęła kij od szczotki, zerwała się na równe nogi.

— Ale robi fochy! — stwierdziła ze skwaszoną miną. — Nawet kawy nie wypija, tak się brzydzi. Mogła choć dla pozoru podnieść filiżankę do ust. Ale nie smakowała jej, bo nie trąci domestosem.

Korpulentna ruda i lekko zezująca blondynka, która wciąż siedziała przed lustrem, choć jej czesanie już się skończyło, zaczęły rozmawiać. Celal zauważył, że w telewizji pokazują wideoklip, na który od wielu dni czekał, więc nastawił głośniej. Podano herbatę, zapalono papierosy i zakład fryzjerski ponownie pograżył się w rozleniwieniu. Rozmowy znowu zeszły na temat Tijen Czyścioszki, jak to zwykle bywa, gdy ktoś, kto się zjawiał w momencie, gdy o nim zawzięcie plotkowano, wreszcie sobie pójdzie. Znika wtedy otaczająca tę sytuację aura niesamowitości, w sercach plotkarzy jednak pozostaje nieokreślone poczucie winy. Coś, co zostało ściśnięte, z maksymalną prędkością wraca do poprzednich rozmiarów — tak można by to określić. Podobnie jak natura nie znosi próżni, tak samo owo zadziwiające zjawisko, jakim jest plotka, dąży do jak najszybszego zrekompensowania sobie tego, czego zostało pozbawione. Osób znajdujących się w salonie

141
nie powstrzymywała obecność dziecka, a nawet to, że było to dziecko osoby, którą tak zawzięcie obmawiały. Bo gdy kobiety zaczną plotkować, ale tak prawdziwie, z głębi duszy, z całym przekonaniem, są pewne, że mówią ściszym głosem, a dziecko obok niczego nie słyszy.

Su nadal była pochłonięta czasopismem i nie zwracała uwagi na insynuacje na temat matki. Wpatrywała się w zdjęcie przedstawiające półnągą mulatkę o króciutkich włosach, których końce, ufarbowane na fosforyzujące kolory, sterczały ku górze jak kolce.

— Podoba ci się taka fryzura? — spytał Celal, który miał już dość plotek i bał się, że dziewczynce będzie przykro. — Jeśli chcesz, uczeszę cię tak. Zadziwisz wszystkich w szkole.

— Nie! — odpowiedziała Su, robiąc ponurą minę. — Muszę mieć jeszcze krótsze włosy.

— Ależ kochanie, chyba nie krótsze niż te! — zaproponował Celal.

Su uniosła głowę i w lustrze zmierzyła go wzrokiem. W jej mrocznych oczach na moment rozbłysły maluteńkie jak łeppek szpilki złośliwe ogniki.

— Nie! Inaczej wszy nie wyleżą! — niemal krzyknęła.

Nerwowa szatynka, która przyglądała się w lustrze swoim mokrym włosom, wyplątany już z wałków do trwałej ondulacji i poskręcany, natychmiast puściła oczko do lekko zezującej blondyny. Su, zorientowawszy się, że ma słuchaczy, zaczęła mówić jeszcze głośniej:

— W szkole zawołała mnie nauczycielka. Napisała coś na kartce i powiedziała: „Daj to matce”. Kazała mi iść do domu. Mama bardzo się zdenerwowała. Podobno mam wszy. Poszły-

śmy do łazienki, wylałyśmy na włosy środek na wszy. Całe dwie butelki. Mama kazała mi zostać w wannie. „Siedź tu i nie wychodź” — powiedziała. Wyjęła z szafy moje ubrania.

142

Stwierdziła, że chodzą po nich wszy, i wyrzuciła wszystkie przez okno. Pościel też wyrzuciła. I mój tornister.

— Tornistra nie widzieliśmy — odezwała się manikiurzystka ze zdziwieniem, jak ktoś, kto wychodząc z kina, dowiedział się, że przeoczył najważniejszy moment filmu.

— Musiałś zarazić się w szkole. To się zdarza — starał się zbagatelizować sprawę Celal.

— To nie ze szkoły — stwierdziła Su. — W naszej szkole nikt inny nie ma wszy.

Kobiety popatrzyły na siebie ze znaczącym uśmiechem.

Było powszechnie wiadomo, że Tijen Czyścioszka uparła się, by jej córka uczyła się w dość kosztownej szkole, do której nie chodziło żadne inne dziecko z tej okolicy. Wydawała na to wszystkie pieniądze, co nie tylko psuło nerwy jej mężowi, ale wręcz wstrząsało podstawami ich małżeństwa.

— Nikt w klasie nie ma wszy. Teraz wszyscy w szkole zarażą się ode mnie! — zachichotała dziewczynka.

W jej śmiechu pobrzmiwała nuta złośliwości. To był chichot za nic sobie mający reakcje ludzi dookoła, rozlegający się sam z siebie, być może czujący jedynie potrzebę rozrywki i nie potrafiący przewidzieć, jak daleko się posunie. Chichot złowrogi, sam siebie podjudzający i w miarę nabierania mocy tracący nad sobą kontrolę, rozpędzony jak auto, które w każdej chwili może wypaść z drogi i wtedy zamieni się w ból. Nieopanowany i niestosowny. Mający jak najmniej wspólnego ze słowami, którym towarzyszył. Zbyt przebiegły, zbyt dorosły jak na jedenastoletnie dziecko, nadmierny pod każdym względem.

— Mama mówi, że to od taty. Przeszło na niego od jego dziwek, a potem na mnie, gdy mnie uściskał.

Wszystkie kobiety siedzące przed lustrem w jednej chwili przeszył gwałtowny dreszcz, jakby nagle owiał je silny stru-

143

mień powietrza wpadający jednocześnie przez otwarte okna i drzwi. To było niesamowite usłyszeć nagle z ust dziecka najgłębiej skrywane tajemnice rodzinne. Przypominało to zrywanie owoców z cudzego ogrodu bez popełniania przy tym kradzieży. Być może było to przestępstwo, ale nie znalazł się winny. One tylko przecież odsunęły się i pozwoliły, by brudne, błotniste wody, które i tak już płynęły, popłynęły sobie dalej. Wszyscy obecni w zakładzie fryzjerskim zaszyli się w swoich kątach, umilkli tylko po to, by dziecko mogło swobodnie mówić, by powiedziało jak najwięcej. Czekali cierpliwie, chętni zdobyć jak najwięcej informacji, nie trudząc się i nie brudząc jednak przy tym. Nawet Cemal, który nie potrafił milczeć dłużej niż przez dwie minuty i nie był w stanie powstrzymać

się od dorzucenia swoich trzech groszy do każdej rozmowy, nawet on milczał jak zaklęty. Jedyne Madame Babcia poczuła potrzebę zrobienia czegoś, by zamknąć ten nieprzyjemny temat. Ale ponieważ nie wiedziała, co powiedzieć, napomniała tylko Celalę, by jak najszybciej skończył ją czesać, po czym skuliła się w swoim fotelu i znieruchomiła. W pewnym momencie wzdrygnęła się. Wyciągnęła spod bluzki srebrny medalik i w zamyśleniu ścisnęła w dłoni wizerunek Serafina Archanioła o posepnej twarzy.

Su, chcąc jakby sprawdzić, jakie wrażenie wywarły jej słowa na obecnych, obróciła się w fotelu i zataczając nim pełny krąg, spojrzała na wszystkich. Gdy wróciła do poprzedniej pozycji, jej nie wpadające ani w brąz, ani w szarość, ani w jakikolwiek inny kolor zupełnie czarne oczy napotkały spojrzenie granatowoszarych, przypominających koraliki od uroku¹, oczu staruszki. Madame Babcia melancholijnie westchnęła i wy-

1 Nazar boncugu — niebieskie koraliki w kształcie oczek, mające chronić przed złym spojrzeniem.

144

puszczając powietrze przez drobny spiczasty nos, uśmiechnęła się przepraszająco. W uśmiechu tym kryło się zakłopotanie, ale trudno było powiedzieć, czy w imieniu dziecka przeprasza kogoś za to, co ono powiedziało, czy też na odwrót, przeprasza dziecko za wścibstwo zgromadzonych dookoła słuchaczy. Su, nie mogąc rozszyfrować znaczenia tego niejasnego uśmiechu, chcąc nie chcąc odwzajemniła go. Celal zorientował się, że trzeba działać szybko, i przywołał do siebie obu pomocników. Cała trójka w ciągu kilku minut wysuszyła suszarkami włosy zarówno staruszki, jak i dziewczynki. Potem praktykanci za pomocą owalnych lusterek, trzymanyh za głowami klientek, zademonstrowali im, jak wyglądają nowe fryzury z tyłu. Lustra zwielokrotniły twarze dziewczynki i staruszki, i w tych zmnożonych odbiciach wzajemne podobieństwo obu stało się jeszcze wyraźniejsze.

Gdy jednak pożegnały się z Celalem, który odprowadził je aż do drzwi, wyszły z zakładu i zaczęły wchodzić po schodach Pałacu Cukierczek, dzieląca je różnica wieku dobitnie się uwidoczniła. Dziewczynka musiała się często zatrzymywać, by poczekać na starszą panią. Czasem nawet zawracała i schodziła o kilka stopni, by ponownie pokonać ten sam odcinek tym razem wspólnie ze staruszką. W ten sposób wdrapały się na trzecie piętro i Madame Babcia zatrzymała się, by nieco odsapnąć. Su oparła się plecami o ścianę i jakby została ukarana, podciągnęła pod siebie jedną nogę. Skorzystała z okazji, by podczas tej przerwy coś jeszcze opowiedzieć swojej nowej znajomej, do której zapałała dużą sympatią.

— Trzy dziewczynki z mojej klasy nadały mi przewisko.

Na zeszytach są takie naklejki na imię i nazwisko. Napisały

145

tam wielkimi literami: BITLISU. Naprawdę mam na imię Bengisu¹, ale wolę je skracać.

— Wiem, jak to jest, sama miałam wszy, jak byłam mała
— powiedziała Madame Babcia, choć śmiech dziewczynki powodował, że czuła się nieswojo.

— Naprawdę? Panią też z tego powodu przezywali? — spytała Su, starając się jednocześnie ustalić, kim jest ten dziadek z pomarańczową brodą i zmarszczonymi brwiami, kołyszący się na łańcuszku zawieszonym na szyi staruszki.

— Nie, nie przezywali mnie. Mieliśmy praczkę, która kolejno brała swoje dzieci na kolana i wyłapywała im wszy. Mnie też wyiskała. Mojej biednej mamie robiło się niedobrze. To była subtelna kobieta, nie nadawała się do czegoś takiego. Tak została wychowana, nic się na to nie poradzi. Gdy w ogródku zwiędła róża, ona potrafiła się ze smutku rozchorować. A gdy zobaczyła zdechłą mysz, przez wiele dni nie mogła dojść do siebie. Powinna się była urodzić w innych czasach...

Granatowoszare oczy starej kobiety przygasły, ale nie na długo. Pod wpływem instynktu właściwego ludziom, którzy dawno temu uznali za niewskazane wspomnianie pewnych wydarzeń i wymienianie pewnych imion, natychmiast poczuła, że jej myśli niebezpiecznie zbliżyły się do zakazanych rejonów, i w jednej chwili oprzytomniała. Jakby zdradzając jakąś tajemnicę, porozumiewawczo mrugnęła do dziewczynki, której głowa po obcięciu włosów wydawała się jeszcze mniejsza:

— Nie przejmuj się, że cię wyzywają od zawszonych.

W dzieciństwie każdy ma wszy. I nie tylko w dzieciństwie. Dorośli też je miewają. Skąd możesz wiedzieć, czy ktoś ma wszy, czy nie? A bo to wszy widać gołym okiem? Ludziom się wydaje, że są czyści jak łąka, a na pewno mają jakieś pasożyty. I Bitlisu — zawszona woda, Bengisu — woda życia.

146

Su przypało do gustu nie tyle znaczenie tych słów, ile kryjąca się za nimi życzliwość. Gdy dotarły na czwarte piętro, przeciągle zadzwoniła do drzwi mieszkania.

— To jaaa! — krzyknęła, wchodząc do środka.

Choć Tijen Czyścioszka była lekko zaniepokojona tym, że jej córka tak długo nie wraca, wydawało się, że jej południowe zdenerwowanie gdzieś się ulotniło. Podziękowała sąsiadce.

— Niech pani spojrzy, jak jej teraz ładnie. Fryzurka króciutka, a jaka elegancka! — odpowiedziała na podziękowania Madame Babcia.

Obie nie wiedziały, co by tu jeszcze dodać, ale czuły się zobowiązane do powiedzenia czegokolwiek, więc popatrzyły na siebie.

— Proszę do środka. Tylko sprzątanie nie jest jeszcze skończone. Sprzątaczką sobie poszła, przerwała pracę w połowie. Miejsce spiętej, zirytowanej kobiety z zakładu fryzjerskiego zajęła inna, zamknięta w sobie, skrepowana.

— Oczywiście, oczywiście. Proszę kontynuować sprzątanie. Ale niech się pani nie przemęcza. Proszę się położyć, troszkę odpocząć. Natrudziła się pani dzisiaj. Ja też mam coś jeszcze do zrobienia.

Do tej pory żadna z nich nie gościła u drugiej. Czasem tylko spotykały się w drzwiach, zdawkowo wymieniały kilka słów.

— Jak miałabym spać! — zachnęła się Tijen Czyścioszka.

— Głowa mi pęka od tego koszmarnego smrodu. Mąż twierdzi, że przesadzam. A pani zdaniem przesadzam? Pani też czuje ten smród, prawda? Szanowna pani, pani też czuje ten śmietnikowy odór?

Przez twarz Madame Babci przebiegł ledwie widoczny cień.

Gdy się odezwała, jej głos, nierówny jak pokryte nabrzmiałymi żyłami ręce, brzmiał chropawo:

147

— Mój młodszy brat dawno temu pojechał do Kairu. Opowiadał, że zaraz po wyjściu z samolotu człowiek zaczyna słyszeć huk. To huk Kairu. Słyszeć go, choć lotnisko znajduje się daleko od miasta. Bo miejski zgiełk jest słyszalny z dużych odległości. Niech pani pomyśli, co to za miasto, jacy ludzie tam mieszkają, że nie mieszczą się w swoich domach i wylewają na ulice? Czy nasz Stambuł nie jest też taki, pani Tijen? Z tą różnicą, że Kair huczy, a Stambuł cuchnie. Cudzoziemcy czują jego zapach z oddali, zanim jeszcze dotrą do miasta. My go oczywiście nie czujemy. Podobno węże bardzo lubią zapach mleka i zawsze je znajdują, ale gdyby pływały w kotle mleka, czy byłyby w stanie je wyczuć? Mieszkańcy Kairu nie słyszą prawdopodobnie hałasu swojego miasta, tak jak stambulczycy nie wyczuwają już zapachu Stambułu. Oba te miasta są przecież bardzo stare, a z upływem lat wzrasta ilość śmieci. Mnie to już nie złości. Niech i pani przestanie się na to złościć, pani Tijen.

Tijen Czyścioszka, nie wiedząc, co odpowiedzieć, zamrugała tylko bezradnie wielkimi czarnymi oczami o długich rzęsach, które odziedziczyła po niej córka. Między obiema kobietami znowu zapanowała cisza. Takie niespodziewane chwile milczenia są jak refren rozmowy prowadzonej przez osoby mówiące tym samym językiem — powtarzają się w określonych odstępach czasu. Porozmawiawszy w ten sposób jeszcze przez chwilę o śmieciach i o niczym, pożegnały się uprzejmym „do widzenia, miłego dnia!”. Zamknęły za sobą drzwi, uważając, by nimi nie trzasnąć, ale gdy znalazły się u siebie, żadna z nich nie wróciła do swojej zwykłej krzątania. Obie przez jakieś dziesięć minut nasłuchiwały przy drzwiach, starając się dosłyszeć jakiś szelest i w ten sposób poznać, co robi druga. I żadna niczego nie usłyszała.

LOKAL NUMER 5

— Dawno, dawno temu żył pewien świątobliwy mąż...

— Przecież to miała być prawda! — zdziwił się Siedmio-

ipółlatek. — Dlaczego zaczynasz opowiadać jak jakąś bajkę? Hadzi Hacı¹ ze zniecierpliwieniem popatrzył na chłopca. Spośród trójki wnuków ten najbardziej go irytował, ale tylko na niego nie potrafił się gniewać. To nie było ludzkie dziecko, to był dżin, który przybrał ludzką postać, albo jeszcze gorzej: szatańskie nasienie. Zapewne z tego powodu był taki dziwaczny. Ta głowa jak gąsior opleciony wikliną... Ale w chwili, gdy tylko o tym pomyślał, już zaczął się wstydić. Od razu w głębi duszy poczuł skruchę i przepędził z głowy tak niegodne uwagi. Skrucha przyjęła u niego postać odruchu bezwarunkowego. Byle wzdrygnięcie i już żałował za swoje grzechy. To było jak nagły skurcz mięśni, jak popęd pozostający poza kontrolą woli. Teraz też ją wyraził, i to trzykrotnie. Pierwszą za to, że starał się swym ograniczonym umysłem pojąć, kogo i w jakim celu Bóg stworzył, a do tego próbował to wysledzić. Drugą za to, że myśląc o czarcim nasieniu, niezamierzenie po-
1 Hacı — tytuł przysługujący osobom, które odbyły pielgrzymkę do Mekki.

149

dał niejako w wątpliwość cnotliwe prowadzenie się synowej. Trzecia skrucha dotyczyła tego, że o chorym dziecku pomyślał bardzo złe rzeczy. Nie zdawał sobie jednak sprawy, że trzecią skruchę wyraził na głos. Gdy usłyszał to Siedmioipółlatek, domyślił się, że chodzi o niego, i jeszcze bardziej zmrużył wąskie, skośnawe, zielone jak morska woda oczy, i z uwagą spojrzął na starego człowieka. Hadzi Hacı w panice odwrócił wzrok. Nawet jeśli to dziecko nie jest dżinem, to i tak istny dżin z niego. Bóg obdarował urodą, której temu poskąpił, dwoje pozostałych dzieci, ale aby było sprawiedliwie, dał mu rozum większy niż tamtych, ba, większy nawet niż całej rodziny razem wziętej. Ciekawe, co z niego wyrośnie. W miarę upływu czasu bowiem pogłębiała się dysproporcja między tułowiem a głową. Ciekawe, jak duża ostatecznie będzie głowa, bo już teraz była półtora raza większa niż normalnie. Nie był w stanie wyprostować rąk, miał je zawsze zgięte jak u małpy. Ciekawe, ile jeszcze pożyje z tymi rękami jak szpony i zespo-
łem-ma-ro-te-aux-i-la-my'ego¹, którego nazwy nikt z rodziny nie umiał poprawnie wymówić. Stary poczuł ukłucie w sercu. Uśmiechnął się nieporadnie.

— To nie bajka, to prawda — powiedział. — Ten świątobliwy mąż żył bardzo dawno temu, dlatego opowiadam o nim, jakbym opowiadał bajkę. Ale to wydarzyło się naprawdę. Jest jego grób. Jeśli mi nie wierzysz, idź i sam zobacz.

Nagle umilkł, zdawszy sobie sprawę, że znów popełnił niezręczność. Siedmioipółlatek, jego najstarszy wnuk, już nie wychodził z domu. Tak było lepiej. W odróżnieniu od rówieśników i reszty rodzeństwa jego świat ograniczał się do mieszkania o powierzchni stu pięciu metrów kwadratowych.

¹ Zespół Maroteaux i Lamy'ego — jedna z odmian mukopolisacharydozy, rzadkiej choroby przemiany materii o podłożu genetycznym.

150

Hadzi Haci z sympatią płynącą z litości poklepał wnuka po karku.

— Ten świątobliwy mąż, zanim stał się świątobliwym mężem, był derwiszem. Gdy sułtan Mehmed Zdobywca oblegał Stambuł, człowiek ten natychmiast pospieszył mu z pomocą. Padyszach kazał z armat ostrzeliwać mury miasta. Przez wiele dni toczył boje, ale nie mógł pokonać niewiernych Bizantyńczyków. I wtedy przed jego obliczem stanął ów derwisz. Powiedział: „Mój władco, pozwól mi, bym w murach tych uczynił wielki wyłom, przez który twoi żołnierze wejdą do miasta i przetrąca kark niewiernym tak łatwo, jakby odrywali udko z pieczonego kurczaka”. Sułtan popatrzył na niego: obdarty, wynędzniały derwisz. Czego taki mógł dokonać? Nie uwierzył mu i kazał go przegnać precz. Minęły tygodnie, Stambuł nadal pozostał nie zdobyty. Olbrzymia armia Osmanów była u kresu sił. I wtedy władca przypomniał sobie o derwiszu i zawezwał go przed swoje oblicze. Powiedział mu: „Masz moje pozwolenie, ruszaj!”. Derwisz bardzo się ucieszył, padł Mehmedowi Zdobywcy do nóg i ucałował kraj jego szaty. A potem spotkał się z innymi derwiszami i nawzajem wybaczyli sobie winy. Wkrótce zaczął iść wzdłuż murów, szukając odpowiedniego miejsca. W końcu się zatrzymał. Mury były tu grubsze niż gdzie indziej, więcej też broniło ich żołnierzy, bo tuż za nimi znajdował się pałac władcy Bizancjum. Derwisz powiedział: „Wystrzelcie mnie z armaty w to miejsce!”. Wszyscy się zdziwili, ale zrobili, jak zarządził. Załadowali go do armaty i wystrzelili.

— O rany, zabili faceta! — Siedmioipóllatek uśmiechnął się szeroko.

— Wcale nie zginął. On nie był takim zwykłym człowiekiem jak ty czy ja, nie bez powodu przecież stał się potem świątobliwym mężem! — Dziadek przypomniał sobie wyraźną uprzednio skruchę i złagodził ton. — Wystrzelili derwisza.

151

Z impetem uderzył w mur i przywarł do niego całym ciałem. Znaczący się nie spadł z niego. Rozłożył szeroko ręce i nogi i jak pajak uczepił się ściany. Na szczycie muru aż roziło się od bizantyjskich żołnierzy. Gdy spostrzegli derwisza, wystrzelili w jego stronę zatrute strzały, ale żadna nie trafiła. Następnie wystrzelili zapalone strzały. Gdzie która padła, tam wybuchał pożar. Podpalili trawy, spalili drzewa, wszystko dookoła spłonęło, ale derwiszowi nic się nie stało. Nawet jeden włos na głowie mu się nie tlił. Jak salamandra wyszedł cało z płomieni. Popatrzył w dal i uśmiechnął się do żołnierzy Zdobywcy. Modlił się aż do wieczoru. O zachodzie słońca odprawił namaz.

— Jak odprawił, skoro był przyklejony do muru? — zatrajkotał Siedmioipóllatek.

— Oczami — odpowiedział Hadzi Haci, surowo patrząc na wnuka. — Wasza babcia nieboszczka też oczami odprawiała namaz. Kto nie może wstawać i schylać się, tak to robi. Gdy skończył modły, powiedział: „Boże, weź mą duszę i przemień

mnie w wyrwę w tym murze!". Bóg go wysłuchał i zaraz z nieba spadł grom. Bizantyjczycy z bliska zasypywali go deszczem strzał, ale żadna nie trafiła, a tu piorun uderzył z takiej wysokości i wcelował prosto w niego! Zamienił derwisza w popiół. Wojownicy Zdobywcy nie mogli uwierzyć własnym oczom. W murze, który od wielu dni bez powodzenia próbowali skruszyć, dzięki derwiszowi nagle powstała wyrwa. Wdarli się przez nią do środka, rozsiekli mieczami dowódcę gjaurów i zajęli miasto. Oszczędzili kobiety, dzieci i siwobrodych duchownych. Gdy sułtan Mehmed Zdobywca zamieszkał w Stambule, nie zapomniał o derwiszu, który złożył swoje życie w ofierze. Zaprzagnął wybudować mu grobowiec, ale nie było przecież 1 Namaz — modlitwa z towarzyszeniem odpowiednich gestów i pokłonów, którą muzułmanie są zobowiązani odprawiać pięć razy dziennie.

152

jego ciała. „Jak mamy zbudować grobowiec, gdy nie ma ciała? Co mamy pochować?" — dziwili się żołnierze.

Pięćioipółlatka, która bez skrupułów wykorzystywała fakt, że jest najmłodszym dzieckiem w rodzinie i jedyną dziewczynką, wpatrywała się w dziadka znieruchomiałymi ze strachu oczyma. W swojej główce, ozdobnej torebce z napisem „Wiedza o języku", w której gromadziła poznawane co dzień nowe słowa, pewne wyrazy przechowywała osobno w zapinanym na zatrzask portfeliku. Na przykład: „duch", „sąd ostateczny" lub „zjawia". A także „dabbet-ul arz"¹, „szatan", „nieboszczyk", „gulyabani"², „strażnik piekieł". Usłyszany przed chwilą wyraz „salamandra" włożyła w to samo miejsce, poobracawszy go trochę w swych paluszkach. Wszystkie te słowa oznaczały dla niej jedno: to był DŻIN! Ale czym był ów dżin, tego nie wiedziała dokładnie. Ilekroć poczuła potrzebę dowiedzenia się, wsuwała rękę do swojej ozdobnej torebki i z zapinanego na zatrzask portfelika wyciągała na chybił trafił jakieś słowo. W ten sposób nawet jeśli gdzieś w głębi mózgu odkrywała znaczenie dziesiątek innych słów, to postać dżina, jakby zrobiona z cienkiego tiulu, przezroczystego jak skrzydełko muchy, nigdy nie przyjmująca cielesnej formy i tylko niewyraźnie majacząca, rosła i rozprzestrzeniała się jak mglista zasłona, z każdym dniem obejmując coraz to większy obszar.

— Bez ciała odprawili modły pogrzebowe, a potem ponieśli na ramionach pustą trumnę — Hadzi Hacı kontynuował opowieść, którą przerwał, by upić łyk herbaty. — Zaczęli iść, ale w którą stronę powinni się skierować? Nijak nie mogli się zdecydować, gdzie go pochować. A tu nagle jak trumna się nie

1 Dabbet-iil arz — według Koranu niezwykle zwierzę, które wyjdzie z ziemi, zwiastując nadejście Sądu Ostatecznego (Sura XXVII Mrówki, werset 82).

2 Gulyabani — w anatolijskich wierzeniach potwór pożerający wędrowników.

153

wzniesie, jakby skrzydeł dostała! I zaczęła sama ich prowadzić. Szli raz w górę, raz w dół — a trumna na przedzie i za nią żałobnicy. Tak przeszli sześć z siedmiu wzgórz, na któ-

rych położony jest Sztambuł. Gdy dotarli na szczyt siódmego, ujrzeni przed sobą pusty grób. Głęboki i puściuteńki. Trumna natychmiast ruszyła w tę stronę, zawisła dokładnie nad nim i powolutku zaczęła się zniżać, aż znalazła się łokieć nad ziemią. I wtedy z grobu dobiegł niski, przeciągły dźwięk!

Pięcioipółlatka głośno przełknęła ślinę, ale Hadzi Hacı nie zwrócił na nią uwagi, gdyż całą uwagę skupiał po części na opowieści, a po części na reakcji najstarszego wnuka.

— Spuścili więc pustą trumnę do tego pustego dołu, a potem wzniesli nad nim grobowiec. Świątobliwemu mężowi nadali przydomek Ojczulek Pustka. Przechodnie nigdy nie omieszkali pomodlić się do niego!

— No jak to? Przecież w środku nikogo nie było! Czy nie wiedzieli, że grób jest pusty? Do kogo się więc modlili? Hadzi Hacı udał, że nie usłyszał tego pytania i kontynuował swą opowieść.

— Teraz kobiety, które nie mogą mieć dzieci, przychodzą do Ojczulka Pustki. Bezpłodne mężatki modlą się nad jego grobem i jeżeli zupełnie same spędzą przy nim całą noc i nie zasną, o świcie ich prośby zostają wysłuchane. Nie minie rok, jak wydają na świat zdrowe i śliczne niemowlęta!

Każde z trójki dzieci zupełnie inaczej zareagowało na te słowa. Pięcioipółlatka otworzyła portfelik i do wyrazów oznaczających dzina cichaczem dodała słowo „pustka”. Sześcioipółlatek żywił specjalne zainteresowanie wszystkim, co można byłoby w taki czy inny sposób powiązać z seksem, dlatego jego uwagę przyciągnęła nie tyle opowieść o świątobliwym mężu, ile o mężatkach. Siedmioipółlatek zaś miał ochotę zadawać pytania i wyrażać swój sprzeciw, ale milczał. Przyszła

154
już bowiem, ba, niemal minęła pora popołudniowej drzemki, a to jego zdaniem było o wiele ważniejsze niż wyłapywanie nielogiczności w historii dziadka.

O tej porze życie lokatorów mieszkania numer pięć stopniowo zwalniało tempo. Co dzień zawsze te same rzeczy powtarzały się w niezmiennej kolejności. Gdy wcześnie rano matka szła do pracy, a ojciec na poszukiwanie pracy, dziećmi przez cały dzień opiekował się dziadek. A gdy dzieci zostawały z dziadkiem sam na sam, każdego ranka bez wyjątku o tej samej godzinie wybuchała kłótnia z powodu telewizji. Hadzi Hacı wolałyby, by dzieci w ogóle jej nie oglądały, a jeżeli już koniecznie chciały, to któryś z tych głupawych programów dla nich, nadawanych o tej samej porze na kilku kanałach, a najlepiej jakąś kreskówkę. Tymczasem dzieci upierały się, by włączyć program, którego prezenterka występowała w skąpych strojach odsłaniających, zależnie od dnia, wytatuowaną na brzuchu czerwoną różę lub zmysłowy rowek między piersiami. Jeżeli ich żądania nie zostały spełnione, złościły się i stawały nieznośne albo zaczynały marudzić i obrażały się. Reakcja Hadziego Hacı też bywała różna. Czasem tolerował

ich kaprysy i gdy dzieci oglądały telewizję, on czytał jedną ze swych czterech książek, których liczba od lat pozostawała niezmienna. Czasem zaś odbierał im pilota i mimo wrzaskliwych protestów nastawiał odbiornik na pierwszą lepszą kreskówkę. Innym znów razem starał się odwrócić uwagę wnuków od telewizora i z całych sił wyteżywszy swą wyobraźnię, wymyślał zabawy, jedne nudniejsze od drugich. Ale choćby nie wiadomo co robił, od rana do południa nie był w stanie Przejąć władzy nad domem z rąk dzieci, a zwłaszcza najstarszego wnuka. W miarę zbliżania się południa jego położenie stawało się coraz trudniejsze, albowiem dzieci zносиły wtedy do salonu wszystkie poduszki, prześcieradła, kapy i zaczyna-

155
ły, tak jak to robiły codziennie od dwóch miesięcy, bawić się w Osmanów.

Dwa miesiące temu Hadzi Hacı przeczytał im trzy pierwsze rozdziały jednej ze swych czterech książek. Nosiła ona tytuł Jak narodziło się wielkie imperium i dlaczego legło w gruzach. Gdy przerwał lekturę, jak zawsze spotkał się z trzema reakcjami dzieci. Na przykład Siedmioipółlatka, który słuchał z wielką powagą, kiwając swą ogromną głową w przód i w tył, zainteresowało kilka podstawowych kwestii:

— A jak Turcy przybyli do Anatolii, to ile mieli namiotów?

— Tysiąc! — rzucił na odczepnego Hadzi Hacı.

Niestety ta odpowiedź wzmogła jedynie ciekawość chłopca.

— A ile w tych namiotach mieszkało ludzi?

— Dziesięć tysięcy! — burknął Hadzi Hacı. Irytacja, jaka przebijała z jego głosu, zachęciła najstarszego wnuka do zadania kolejnego pytania:

— A jak Turcy przybyli ze swoimi namiotami, to nikogo nie było w Anatolii?

— Nikogo, nikogusienko nie było, wszyscy uciekli — warknął Hadzi Hacı.

— To Turcy zamieszkali w ich domach? A może przez jakiś czas mieszkali jeszcze w swoich namiotach? Czy ich pierwsze miasto składało się z namiotów? Ciekawe, jak można zaznaczyć na mapie miasto, które przenosi się z miejsca na miejsce? Ciekawe...

— Bądź cicho! — krzyknął Hadzi Hacı i chłopiec zamilkł. Zamilkł, lecz wszystkie pytania, jakie zgromadziły mu się na języku, zaczęły kłębić się w jego ustach, wypełniły jamę nosa i podążyły wyżej, przedostając się do kanałków łzowych. Wtedy w oczach zielonych jak morska woda zaczęły migotać zaciekawione, uparte, pełne wyrzutu ogniki, przypominające roje robaczków świętojańskich w letnie wieczory.

156

Aby w nie dłużej nie patrzeć, stary człowiek ze słabnącą nadzieją spojrzął na Sześcioipółlatka. Ale beztróski wyraz, malujący się na twarzy chłopca, nie pozostawiał żadnej wątpliwości, że jedynym, co to dziecko zapamięta z usłyszonej

przed chwilą opowieści, jest to, że w haremie znajdowało się wiele nałożnic i że niedobrze było przyjść na świat jako brat sułtana¹. Z resztką nadziei Hadzi Hacı zwrócił wzrok na najmłodszą wnuczkę. I właśnie w tym momencie zaróżowiona z emocji dziewczynka zawisła dziadkowi na szyi i przyciskając jasnoróżowe kolanka do jego piersi, zaszczębiotała słodkim głosikiem, którego używała zawsze, gdy chciała uzyskać coś od dorosłych:

— Dziadku, dziadku, zbudujmy namiot!

Gdyby Hadzi Hacı nie był tak rozczarowany obojętnością starszych wnuków, zapewne wahałby się, czy na to pozwolić. Ponieważ jednak całą swą miłość w jednej chwili przelał na najmłodszą wnuczkę, chcąc w ten sposób ukarać pozostałą dwójkę, już chwilę później pośrodku salonu układał z prześcieradeł i poduszek namiot — dokładnie taki sam, jaki mieli Osmanie.

Ten pierwszy skonstruowany przez nich namiot wydawał się niezwykle prymitywny w porównaniu z tymi, które zaczęli budować później. Dziadek i wnuczka rozpięli po prostu kilka prześcieradeł nad ustawionymi w czworobok krzesłami, a wewnątrz powstałej w ten sposób konstrukcji wyościli poduszkami. Ale nawet tak prosty namiot zdołał wzbudzić zainteresowanie pozostałej dwójki, która do tego momentu nie brała udziału w zabawie, tylko obserwowała z boku to, co się działo. Po chwili chłopcy nie wytrzymali i odsunęli

¹ Po objęciu władzy sułtan z reguły pozbywał się braci, którzy mogliby pretendować do tronu.

157

zawieszane w charakterze drzwi prześcieradła, by zobaczyć wewnątrz tajemniczej budowli, wznoszącej się pośrodku salonu. Weszli do środka i razem z dziadkiem usiedli po turecku na poduszkach. Hadzi Hacı poczuł wtedy, jak narasta w nim niczym niezmacona radość, za którą tak długo tęsknił. Uchwycił się kurczowo tej zabawy, gdyż dzięki niej mógł wreszcie zapanować nad wnukami, ale już następnego dnia miał się przekonać, na jak niepewnych podstawach opierała się zdobyta w ten sposób władza.

Na drugi dzień o tej samej porze Pięcioi półlatka znów siadła dziadkowi na kolanach i słodkim głosikiem poprosiła:

— Dziadku, dziadku, zróbmy osmana!

Na sam dźwięk słowa „osman” stary człowiek, który jeszcze czuł w nogach i krzyżu skutki gimnastyki przy budowie namiotu poprzedniego dnia, dostał gęsiej skórki. Na nic się zdało łagodne napominanie ani gniewne strofowanie. Gdy bowiem Pięcioi półlatka uznała jeden wyraz za tożsamy z drugim, żadna na świecie siła nie była w stanie zerwać tego językowego powiązania powstałego w jej umyśle. Jak wszystkie duchy, zjawy, pustki, strażnicy piekieł i nieboszczycy to był DŻIN, tak namiot stał się OSMANEM.

Od tego dnia osman stał się nieodłączną częścią ich życia.

Codziennie o tej samej porze dzieci zaczynały się nerwowo kręcić, jak lokalni pijaczkowie z niecierpliwością oczekujący otwarcia najbliższego baru. Nie mijało pół godziny i pośrodku salonu piętrzył się stos zebranych w całym domu prześcieradeł, pikowanych kap, kołder i poduszek. Hadzi Hacı z daremną nadzieją czekał, aż jego wnukom, żądnym zabawy jak małpki, które do tej pory po trzech, czterech razach miały dość każdej wymyślonej dla nich zabawy, osman się znudzi. Dzieci tymczasem wykazywały się niezwykłą wytrwałością i pomysłowością. Stopniowo rozszerzały przestrzeń namiotu, 158

obejmując nim nowe pomieszczenia, ścianki, nisze. Na pięciu, niekiedy dziesięciu nawet metrach kwadratowych prowadziły życie koczowników. Budowały namiot każdego dnia w południe i do wieczoru stał on pośrodku salonu, a na pół godziny przed powrotem rodziców był błyskawicznie zwijany.

Oprócz osmana również inne rzeczy powtarzały się regularnie każdego dnia. Na przykład zawsze o tej samej porze, około 11.45, gdy spóźnieni na pierwszy poranny seans widowie zdążyli zająć swoje miejsca, dzwonił telefon. Za każdym razem telefon odbierało najstarsze dziecko i udzielając tych samych odpowiedzi na te same co zawsze pytania, zdawało matce relację z tego, co robili:

— Tak, zjedliśmy śniadanie. Nie, nie broiliśmy. Tak, oglądaliśmy telewizję. Nie, dziadek nie opowiadał bajek. Nie, nie otwieraliśmy gazu. Nie, nie robiliśmy nieporządku w domu. Nie, nie wychylaliśmy się z balkonu. Nie, nie bawiliśmy się ogniem. Nie, nie wchodziliśmy do sypialni. Naprawdę nie opowiadał bajek.

Synowa Hadziego Hacı jak zawsze wątpiła w prawdomówność najstarszego syna, ale nigdy nie odważyła się poprosić do telefonu teścia. Ze słuchawką przy uchu Siedmioipółlatek monotonnym głosem, w którym pobrzmiwała jednak nuta pewnej przewrotności, udzielał odpowiedzi, nie odrywając ani na chwilę wzroku od dziadka. Doskonale zdawał sobie sprawę z napięć, jakie istniały między dwojgiem dorosłych, i już dawno temu odkrył, że może wzmocnić własne wpływy, jeżeli we właściwym momencie udzieli wsparcia jednemu, chroniąc go przed drugim.

W osmanie jedli posiłki i słuchali dziadkowych bajek, codziennie po obiedzie, a przed popołudniową drzemką, do ich grona dołączały coraz to nowe postaci. Namiot tłumnie wypełniały bezlitosne macochy, nieszczęsne sieroty, diabły, 159

które uciekły z piekła, i rozbójnicy stojący na drodze podróżnych, demony rodzaju żeńskiego dzięki urodzie zastawiające pułapki na mężczyzn, wojownicy o rękach zbroczonych krwią, kompletni szaleńcy, pomarszczone staruchy, kościste straszdyła, potwory o wyłupiastych ślepiach... A jak już przyszły, trudno było się ich pozbyć. W powietrzu pobrzmiwały

jeszcze echa ostatnich słów bajki, gdy wszystkich ogarniała ociężałość. Każdy kulił się na swoim miejscu i zapadał w sen. Jak zawsze najszybciej i najłatwiej zasypiał Hadzi Haci, za nim kolejno Pięcioipółlatka i Sześcioipółlatek. Gdy we wnętrzu namiotu rozlegało się chrapanie dziadka i sapanie młodszego rodzeństwa, Siedmioipółlatek po cichutku wstawał. Najpierw podchodził do dziadka i z uwagą zaczynał wpatrywać się w starego człowieka. Przyglądał się pledowi, poruszającemu się z każdym wdechem i wydechem Hadziego Haci, jego posiwiałej brodzie, bursztynowemu różańcowi, który wyslizgiwał się spomiędzy palców, siwym włosom pokrywającym pierś i zaczynającym porastać szyję, spierzchniętym ustom, siatce rozwidlających się głębokich zmarszczek na czole... Przyglądał się temu, jakby obserwował nieznaną zwierzę albo egzotyczny owoc, którego jeszcze nigdy w życiu nie jadł, czy kryjące w sobie mnóstwo niespodzianek wnętrze muszli. Przyglądać się dziadkowi zaczął dwa i pół roku temu i wkrótce miał zakończyć swoje obserwacje.

Tamten letni, przyjemnie pachnący dzień, gdy poznał dziadka, miał dla chłopca wyjątkowe znaczenie. Był to bowiem ostatni dzień, w którym Siedmioipółlatek przebywał poza domem. Potem jego choroba tak szybko poczyniła postępy i stała się tak widoczna, że nigdy więcej nie wyszedł na dwór.

Wtedy, w tamtej odległej przeszłości, gdy po raz ostatni był jeszcze normalnym dzieckiem — albo przynajmniej na takie wyglądał — rodzice, jadąc na lotnisko, by powitać dziadka, 160

zabrali go ze sobą. Do tego dnia niewiele słyszał o starym człowieku. Wiedział, że miał na imię Haci, mieszkał z babcią w odległym mieście i gdy jechał do Stambułu, by zobaczyć wnuki, które znał tylko z fotografii, miał w drodze wypadek i babcia zginęła. Dziadek Haci bardzo rozpaczał po stracie żony, jakiś czas leżał w szpitalu, a gdy został wypisany, od razu pojechał na pielgrzymkę do Mekki. Tylko tyle wiedział o nim Siedmioipółlatek, który miał wtedy dokładnie pięć lat. W drodze na lotnisko poznał jednak jeszcze jedną wartą zapamiętania informację: dziadek Haci miał zamieszkać w Stambule razem z nimi.

Na lotnisku w strefie dla witających kłębił się tłum. Wracający z pielgrzymki podróżni, wysiadłszy z samolotów i dopełniwszy formalności, przechodzili przez rozsuwające się automatycznie drzwi i wpadali w objęcia czekających na nich bliskich. Chłopiec, kurczowo trzymając w tłumie rodziców za rękę, z uwagą przyglądał się każdej osobie wchodzącej do holu. Starsi mężczyźni byli zadziwiająco podobni do siebie, co wynikało nie tylko z tego, że byli tego samego wzrostu i w tym samym wieku, nosili stroje w tym samym kolorze, mieli takie same chusty i tak samo posiwiałe brody, ale wszyscy błędnie powtarzali te same gesty w tej samej kolejności. Po rozsunięciu się drzwi patrzyli w tłum, mrużąc oczy, jakby

nagle oślepieni strumieniem światła, następnie robili kilka kroków i dostrzegali kogoś znajomego, ruszali więc w jego stronę i postawiwszy na ziemi walizki, radośnie obejmowali wychodzących im naprzeciw krewnych. Każdy z pielgrzymów powtarzał ruchy poprzedniego i wydawało się, że to nie kolejni pasażerowie, ale jeden człowiek w kółko przechodzi przez te same drzwi.

1 strój pielgrzyma składa się z dwóch białych bawełnianych płatów tkaniny.

161

W końcu drzwi kolejny raz się otworzyły i jak chłopiec mógł wywnioskować z reakcji rodziców, przeszedł przez nie ktoś, kto przypuszczalnie był jego dziadkiem. Człowiek ten, choć był ubrany dokładnie tak jak inni pielgrzymi, wydawał się zabłąkanym wśród nich cudzoziemcem. Nie był stary. Wyglądał jak ktoś, kto w ostatniej chwili zakradł się do przebiegalni i włożył na siebie cudzy strój. Był udaną imitacją. Udaną, bo upodobił się do pozostałych. Imitacją, bo czegoś mu brakowało. Mrużąc zielonkawę jak morska woda oczy, chłopiec popatrzył na niego raz jeszcze i odkrył, czego brakowało. Ten stary człowiek nie miał brody. W miejscu, gdzie powinna być, jaśniał półksiężyc o końcach zadartych do góry. Twarz musiała być wystawiona na silne działanie słońca, bo jej północ wydawała się pogrążona w mrokach nocy, podczas gdy na południu panował dzień.

Człowiek o niekompletnej twarzy czule przytulił widzianego po raz pierwszy w życiu wnuka. Następnie kolejno uściśnął syna, synową i znowu wnuka, i synową, i jeszcze raz wnuka, i jeszcze raz syna, i znowu wnuka, i znowu wnuka. Obejmowali się nie tylko oni, bo strefę dla witających wypełniał tłum ściskających się, płaczących, ocierających łzy i całujących się ludzi. Pielgrzymi, ukoivszy po chwili tęsknotę za najbliższymi, zapragnęli przedstawić rodzinom swych współtowarzyszy podróży. Pomiędzy grupami zaczęły więc następować krzyżowe wymiany pocałunków i uściśków dłoni. Przytulany przez nowe osoby chłopiec poczynił kolejną obserwację: do wracających z pielgrzymki Mehmetów zwracano się per Hacı Mehmet, do Ahmetów — Hacı Ahmet. Dręczące go pytanie zadał ojcu podczas drogi powrotnej z lotniska:

— Skoro do imienia można dodać „Hacı” dopiero, gdy odbędzie się pielgrzymkę do Mekki, to dlaczego dziadek miał na imię Hacı, zanim jeszcze na nią pojechał? I po co tam jechał, skoro już i tak miał na imię Hacı?

162

w twarzy dziadka czegoś brakowało, w jego imieniu było czegoś za dużo.

— Czekaj, ja ci dam! — powiedział ojciec, a chłopiec, nie czekając, co mu da, zamilkł.

Nie uzyskawszy odpowiedzi na swoje pytanie, utwierdził się tylko w przekonaniu, że jego dziadek nie jest podobny do innych dziadków. Od tej pory uważał, że jest trochę dziwny.

I nawet to, że staruszek, zmuszony przez nieznośne swędzenie skóry do pozbycia się zarostu na dzień przed powrotem z pielgrzymki, wkrótce znowu zapuścił brodę, upodabiając się przynajmniej z wyglądu do staruszków z lotniska, w najmniejszym stopniu nie wpłynęło na zmianę zdania wnuka na jego temat.

Nadal obserwował dziadka, choć nie wydawał mu się on już tak ciekawy jak przedtem, dlatego analizy te stawały się stopniowo coraz krótsze. Gdy znudziło mu się patrzeć na starca, bezszelestnie opuszczał osmana i na paluszkach krążył po całym domu. Nie spać, gdy wszyscy śpią — to było niezwykle wyróżnienie. Dom wydawał się wtedy zamkiem Śpiącej Królowej. W przeciwieństwie do młodszego rodzeństwa Siedmioipółłatek pamiętał także bajki, które opowiadała mama, zanim zaczęła pracować jako bileterka w kinie w ogromnym centrum handlowym. Wyczuwał też głęboką różnicę między jej bajkami a wybieranymi przez dziadka.

Gdy wszyscy spali, szedł do kuchni i włączał palniki kucharki, bawił się zapalkami, przekładał cztery dziadkowe książki, których liczba od lat pozostawała niezmienna, podjadał, co mu wpadło w ręce, szedł do sypialni rodziców i grzebał w szafach, rozsypywał na łóżku sztuczną biżuterię mamy, Przeliczał pieniądze, które ojciec trzymał w skrytce... Rozkoszował się robieniem wszystkiego, co zakazane. A gdy zbliżała się pora przebudzenia pozostałych, na paluszkach wślizgiwał

163
się do namiotu i zwinąwszy się w kłębek, czekał, aż wstana. Nie musiał długo czekać. Codziennie około godziny 17.30 w uliczkę wjeżdżała śmieciarka. Z dołu dobiegały nawoływania mężczyzn, łoskot opróżnianych pojemników, warkot silnika. Ponieważ po obu stronach jezdni zaparkowane były samochody, śmieciarka z trudem manewrowała między nimi i blokowała ruch. Gdy w mieszkaniu numer pięć w Pałacu Cukiereczek rozlegały się odgłosy klaksonów, Hadzi Hacı budził się ze snu z krzykiem. Pałac Cukiereczek był naprawdę ostatnim miejscem, w jakim ten stary człowiek, którego serce i poorana zmarszczkami twarz wciąż nosiły ślady tragicznego wypadku drogowego, mógłby uciąć sobie spokojną poobiednią drzemkę!

Na krzyk dziadka budziły się też dzieci: najpierw, marudząc i narzekając, Pięcioipółłatek, potem leniwie przeciągający się Sześcioipółłatek. Siedmioipółłatek nie wstawał od razu z miejsca, w którym położył się zaledwie kilka minut wcześniej. Pozwalając, by pozostali całkiem się rozbudzili, liczył do dwudziestu i dopiero wtedy podnosił się wyraźnie zaspany, długo przecierał zielone jak morska woda oczy i z nagłym błyskiem w nich podchodził do otwartego okna. Wyciągając szyję, wpatrywał się w tajemnicze wrota zewnętrznego świata. Czuł, że może on być bardziej zdumiewający niż wszystkie bajki razem wzięte.

LOKAL NUMER 7

Tego ranka stało się coś dziwnego — obudziłem się bez pomocy budzika. Już to było wystarczająco niezwykle, a w dodatku stwierdziłem, że już od jakiegoś czasu nie śpię. Miałem otwarte oczy. Moje oczy obudziły się bez mojej wiedzy przede mną i wybrały się na przechadzkę po suficie. Przez moment wydało mi się, że patrzę z góry na siebie samego. To, co zobaczyłem, nie przypadło mi do gustu.

Moje nogi zawsze zwisają poza kanapą, ale tym razem miały na sobie buty. Moja głowa zsunęła się z poduszki, szyja mi zdrętwiała. Na kanapie, w zagłębieniu sięgającym od ust do lewego ucha zebrała się spora ilość pianistego, białawego płynu, który mógł powstać jedynie w trzech wypadkach: wystąpienia wścieklizny u psa, zwrócenia przez niemowlę wypitego pokarmu oraz ataku epilepsji. Na sobie miałem wymiętą koszulę, bolał mnie krzyż od leżenia w wykręconej pozycji i kompletnie zaschło mi w ustach. Obrzygałem też brzeg dywanu. Byłem bez spodni. Choć, jak ta dziwka Ethel powiedziała przy jakiejś okazji, mężczyzna bez spodni, w samej tylko koszuli, skarpetkach i butach jest równie atrakcyjny, co nadgryzione i zaczynające się psuć jabłko w cukrze. Albo coś w tym ro-

165
dzaju. Może powinienem więc uważać się za szczęściarza, bo dzisiaj również obudziłem się sam tak jak od sześćdziesięciu sześciu poranków?

Wszystko z powodu tego domu. Od przeprowadzki minęły już dwa miesiące i pięć dni. Czyli tyle czasu, że powinienem się tu na dobre rozgościć, zaprowadzić jakiś większy lub mniejszy porządek. Nijak jednak nie mogłem przyzwycząić się do tego miejsca i wciąż żyłem, tak jakbym za chwilę miał je opuścić. Wszystko leżało tam, gdzie zostało położone w dniu mojego przybycia. Życie wśród piętrzących się stosów pudeł, nieotwartych pakunków, tymczasowe, pobieżne... Życie w domu z klocków Lego, który w każdej chwili w wyniku czyjejś arbitralnej decyzji może być rozebrany i przeniesiony; stabilizacja jak zapach perfum, ulotna, tymczasowa, przemijająca... Człowiek, dopóki się nie ożeni, żyje w mieszkaniu wypełnionym rzeczami: przeszłością, opowieściami należącymi do niego, ważnymi z osobistego punktu widzenia, i przedmiotami mającymi wymiar symboliczny. Gdy się ożeni, zaczyna żyć wśród rzeczy wypełniających mieszkanie, w domu zbudowanym bardziej na przyszłości niż przeszłości, na oczekiwaniach, a nie na wspomnieniach, gdzie zaczyna mieć wątpliwości, co z tego i w jakim stopniu należy do niego. Rozwód zaś oznacza — zależnie od tego, czy jest się tym, kto zostaje, czy tym, kto odchodzi — rozpoczęcie życia w domu bez rzeczy lub wśród rzeczy bez domu.

Wszystko przez ten dom i przez tę dziwkę Ethel. Choćbym nie wiem co robił, nie byłem w stanie przekonać jej, by mi nie pomagała w przeprowadzce. Gdy wsiadłem do szoferki

pomarańczowej ciężarówce, którą po długich targach wynajmowałem od firmy transportowej, by przewieźć starannie wyselekcjonowane z naszego urządzonego ze smakiem, wykwintnego małżeńskiego gniazda moje książki, ubrania i drobne przed-

166
mioty, a także tanie, tandetne meble, które dopiero co kupiłem, szanowna pani zasiadła obok. Jakby sama jej obecność nie była wystarczająco irytująca, nawiązała nić porozumienia z durnym kierowcą, którego przez drogę częstowała drogimi cygarami i wprawiała w zakłopotanie zadawanymi absurdalnymi pytaniami. Rozpoczęła bezsensowną pogawędkę o przeprowadzkach — z której dzielnicy do której są najtrudniejsze. Gdy w końcu stanęliśmy przed Pałacem Cukiereczek, podeszła do tragarzy, którzy przyjechali za ciężarówką, i ubrana w spódniczkę rozmiarów chustki do nosa, ledwie zakrywającą jej wielkie paskudne dupsko, zaczęła nimi ochoczo komenderować. Wskazywała miejsca, gdzie który karton trzeba postawić, gdzie mają stanąć skrzynie z książkami, a gdzie paczki z niestarannie wykonanymi, pozbawionymi wyrazu regałami. Zmusiła mnie do ich kupienia w jednym z tych wielkich supermarketów, do których w weekendy pielgrzymują całe rodziny, w dziale pod nazwą „Kocham moją biblioteczkę, bo sam ją zrobiłem”. Tragarze, z doświadczenia wiedzący, że w takich sprawach ostatnie słowo zawsze należy do kobiety, udawali, iż nie widzą, że stoi przed nimi prawdziwy właściciel przewożonych rzeczy, a Ethel tylko się bezprawnie wtrąca. Zupełnie nie zwracali na mnie uwagi do momentu, gdy zaczęli się skarżyć na wysokość wynagrodzenia. A pod koniec dnia zażądali znacznie wyższej kwoty, niż było to ustalone. Nawet gdy upuścili karton ze szklankami, misami i kieliszkami, zwrócili się z przeprosinami nie do mnie, starającego się sprawę w kulturalny sposób załatwić, lecz do Ethel, która ich porządnie obsztorcowała za ewentualne szkody.

Tamtego dnia zadowolilem się obserwowaniem, co zostaje uznane za odpowiednie dla mnie. Proces wyłączenia poza nawias mojej osoby wszedł w skrajną fazę podczas ustawiania dwuosobowego łóżka o wymiarach metr osiemdziesiąt na dwa

167
metry, z ortopedycznym materacem. Było ono jedną z dwóch większych zdobyczy, jakie udało mi się wyrwać z dawnego domu. Ethel zdecydowała, że sypialnią będzie nieustawny pokój w głębi mieszkania, lecz po kilku próbach wszyscy już wiedzieli, że niełatwo zmieścić w nim ten gigantyczny mebel. Ethel chciała ustawić łóżko bokiem i była nawet gotowa poświęcić ozdobny zagłówek, gdyby okazało się to konieczne. Tragarze natomiast byli zwolennikami umieszczenia łóżka wzdłuż, choć wówczas w pokoju nie byłoby się jak ruszyć. Mnie nikt nawet nie zapytał o zdanie. Ale i tak jeśli ktoś by to zrobił, było mi to obojętne. Nie przejąłem się więc, gdy już po wyjściu tragarzy stwierdziłem, że w pokoju rzeczywiście

trudno się poruszać. I tak to łóżko było zbyt duże dla mnie. Od przeprowadzki ani razu w nim nie spałem. Uparcie kładłem się na wąskiej, niewygodnej kanapie, od czego bolały mnie wszystkie kości. Przed laty, w okresie fascynacji Mesnevil, Ethel opowiadała mi, jak Mawlana rozliczał z grzechów swoje ciało. Pod tym względem ja też chyba przez te ostatnie dwa miesiące okazałem niemałą surowość, choć w sposób nieco mniej mistyczny. Ale jak nieszczęśliwy kochanek, coraz bardziej przywiązujący się do dręczącego go obiektu uczuć, albo jak stale upokarzany kuchcik, który zobojętniał już na obelgi, jakoś nie mogłem przestać sypiać na tej sadystycznie niewygodnej kanapie. Nim skończy się semestr, powinienem z czwartkową grupą omówić Traktat o dobrowolnej służebności².

Oczywiście zasadniczym powodem spędzania tutaj nocy był stojący naprzeciwko kanapy telewizor. Miałem kłopoty ze

1 Mesnevi — dzieło mistycznego poety Celaleddina Rumiego (1207-1273), zwanego Mawlana, założyciela bractwa wirujących derwiszy.

2 Discours de la servitude volontaire — dzieło Etienne'a de la Boetie (1530-1563), francuskiego sędziego i pisarza, przyjaciela Montaigne'a.

168

snem — mogłem zasnąć tylko przy włączonym odbiorniku. Wczoraj wieczorem, choć wróciłem do domu bardzo późno i do tego kompletnie pijany, najpierw włączyłem telewizor. Teraz z ekranu z radością, która nie każdemu bywa dana o tak wczesnej porze, szczebiotała młoda dziewczyna. Miała na sobie pstrokatą bluzkę w deseń z papugami, tak krótką, że widać było wytatuowaną na zaokrąglonym brzuchu krwistoczerwoną różę wielkości pięści. Ufarbowane na pomarańczowo włosy spięła w kucyki przewiązane wstążkami w fosforyzującym odcieniu zieleni. Wyglądała jak pajac. Choć siedziała nieruchomo w jednym miejscu i mówiła, wykonując jedynie niewielkie ruchy rękami, jej piersi trzęsły się i falowały jak u kobiet podbiegających do autobusu. Nie były w moim guście. Ja zawsze lubiłem skrajności: u dużych kobiet małe, mieszczące się w dłoni cycki, u drobnych zaś wielkie.

Gdy po dziesięciu dniach zjawiała się Ethel, zobaczyła, że wszystkie rzeczy stoją tak, jak je zostawiła, ale komentarze zachowała dla siebie. Po trzech tygodniach nadal nic się nie zmieniło, ani jeden karton nie został rozpakowany, ani jeden regał zmontowany. Gdy wstąpiła po miesiącu i pięciu dniach, miałem nadzieję, że nadal będzie milczeć, ona jednak z dobrotliwym uśmiechem na twarzy, wykręcając palce o paznokciach pomalowanych błyszczącym lakierem, tak że aż trzaskały w stawach — co zawsze robiła, gdy była przekonana, iż ma do zakomunikowania bardzo ważne rzeczy — powiedziała: — Słuchaj, mój drogi, mnie to nie przeszkadza, ale może nie traktuj swojego nowego domu, jak traktowałeś byłą żonę. Zaniedbujesz go, gdyż wydaje ci się, że skoro to dom, to przecież nigdzie sobie nie pójdzie. Uważaj, bo, uchwaj Boże, pewnego dnia i jego stracisz!

Nie odpowiedziałem. Nienawidzę długich pomalowanych paznokci.

169

Ethel uwielbia używać języka w taki sam sposób, jak robi to żaba polująca na muchę. Mówi to, co jej ślina na język przyniesie, wypala tak niespodziewanie, że ofiara nawet się nie zorientuje, w kilka sekund wyrzuca z siebie słowo i natychmiast jaskraworóżowym językiem chwyta malujący się na twarzy rozmówcy wyraz zaskoczenia. Łaps! Wrzuca sobie głęboko do ust i nie przeżuując, z lubością połyka. Po rozwodzie bez żalu zrezygnowałem z utrzymywania kontaktów z kimkolwiek z naszego towarzyskiego kręgu. Dlaczego więc jej pozwalam przebywać w pobliżu? Nie wiem i chyba wiedzieć nie chcę. Nie podejmuję jakichś specjalnych starań, by się z nią spotykać, ale też nie zrobiłem nic, by położyć kres naszym spotkaniom. Problemem nie jest to, że już jej nie kocham. Przedtem też nie kochałem jej jakoś szczególnie. Jeżeli istniała między nami więź, to nie sądzę, by była to miłość. Przyjaźń czy zaufanie także nie. Pasowaliśmy do siebie z Ethel tak jak zestawione pod lupą kolekcjonera dwa motyle, które utraciły połowę skrzydeł. Kształt i siateczka żyłek niby takie same, ale wzory i kolory zupełnie różne. Od lat spotykamy się, przywiani sprzyjającym wiatrem, ale żadne nie jest dopełnieniem drugiego, nie stanowimy zatem jedności. Nie tęsknię za nią, gdy przez miesiąc jej nie widzę, nie odczuwam nawet jej braku, ale gdy po miesiącu spotykamy się, nie odczuwam najmniejszego dyskomfortu, nawet nie przyjdzie mi do głowy, by się z nią szybko pożegnać. Niektóre rzeczy składają się z rzeczy, którymi są, a Ethel jest po prostu Ethel. Mimo to, a może właśnie z tego względu, z nikim tak często się nie spotykam, z nikim nie dzielę tak wiele jak z nią. I tak jest już od dawna. Być może ten nasz związek przetrwa jeszcze wiele lat, a może rozpadnie się, odejdzie ode mnie jak schodzący paznokieć, pod którym zebrała się krew. Czasem jestem ciekaw, które z nas pierwsze by to zauważyło i po jakim czasie.

170

Gdy wstawałem, potknąłem się o przewód od telefonu. Słuchawka tkwiła pod poduszką, którą miałem pod głową. Najwyraźniej po pijanemu próbowałem udusić aparat. Wkurzyło mnie to, że nim straciłem przytomność, nie wytrzymałem i zadzwoniłem do tamtej.

Pijany nie powinien siadać za kierownicą. Każdy się z tym zgodzi. Ale nie ma żadnej regulacji prawnej dotyczącej korzystania przez pijanych z telefonu, choć to może mieć jeszcze bardziej niebezpieczne dla życia skutki. Pijany, prowadząc samochód, uderza na chybił trafił w jakieś przeszkody: a to w jakieś nieszczęsne drzewo, które nagle stanie mu na drodze, a to w jadące przed nim auto... Takie wypadki nie są zamierzone i nie służą żadnemu celowi. Ale ci, co po pijanemu

korzystają z telefonu, doprowadzają do zderzenia wyłącznie z kimś, kogo kochają.

Świadomość, że po pijanemu dzwoniłem do Ayszin, była już sama w sobie źródłem cierpienia, ale jeszcze boleśniejsze były kłopoty z ustaleniem następnego dnia, czy rzeczywiście to zrobiłem, i wmawianie sobie, że może nie. Od rozwodu scena ta powtarzała się regularnie co jakiś czas. Ale chyba nie dzwoniłem jeszcze do Ayszin na jej nowy numer. Chyba jeszcze nie wie, że go zdobyłem. Oczywiście, jeśli nie rozmawialiśmy wczoraj w nocy... Muszę się upewnić. Wcisnąłem klawisz ponownego wybierania. Jeden, dwa, trzy... Po szóstym dzwonku odebrała telefon. To ona! Rano jej głos brzmi tak, jakby wydobywał się z dna studni. Lubi sobie pospać. Gdy się obudzi, bywa dość niesympatyczna. Musi wypić czarną kawę z ekspresu, by dojść do siebie. W drugim „Haloo?” słychać było narastającą złość. Odłożyłem słuchawkę.

Starałem się zebrać myśli i zastanowić spokojnie. Mimo wszystko wciąż była jakaś nadzieja. Zwłaszcza że fakt, iż do niej dzwoniłem, nie oznacza wcale, że odbyłem z nią roz-

171
mowę. Może nie odebrała telefonu? Gdyby wczoraj w nocy Ayszin podniosła słuchawkę i zamieniła ze mną parę słów, rzuciła kilka miłych lub niemiłych uwag, pamiętałbym przecież przynajmniej jakieś urywki. Skoro jednak nie mogłem sobie przypomnieć nawet jednego słowa, prawdopodobnie nie wydarzyło się nic, co byłoby warte zapamiętania. Szukanie pocieszenia w tak nikłym prawdopodobieństwie wyglądało jak dziękowanie Bogu za to, że się nie zmokło, mimo że akurat spadł grad. Może Ayszin nie podniosła słuchawki, bo nie było jej akurat w domu — to w sumie najrozsądniejszy powód. O tej porze poza domem... Poza domem o tej porze...

W łazience na posadzce dwa martwe karaluchy leżą w odległości pół metra od siebie. To zapewne ofiary mojej wczorajszej zręczności. Ale w moich rojących się od białych plam protokołach pamięci nie ma na ten temat ani jednej wzmianki. Zdjąłem koszulę. Okropnie cuchnęła — zjedzoną wczoraj rybą z patelni, dziesiątkami przekąsek, anyżówką i cygarami. Wszystkie wonie zmieszały się, a gdy doszedł do nich jeszcze kwaśny odór wymiocin, powstała trudna do zniesienia mieszanka smrodu... Pralka była rozwodowym prezentem od Ethel. Ethel to kobieta praktyczna. Praktyczna i szczodra. Granatowe lniane spodnie też wrzuciłem do bębna. Tego już się nauczyłem: dla rzeczy z lnu — czterdzieści stopni i najkrótszy drugi program. Ale było jasne, że nawet jeśli uda mi się oczyścić z nieprzyjemnych osadów minionej nocy, nie zdołam uwolnić się od spowijającego cały budynek odorów śmierci. Gorzko żałowałem, że tak pospieszyłem się z szukaniem nowego mieszkania. Gdybym, wiedziony chęcią jak najszybszego znalezienia się gdzieś daleko, nie starał się, w pośpiechu i nie przemyślawszy dobrze sprawy, przeprowadzić do pierwszego

lepszego, jakie udało mi się znaleźć, wystarczająco daleko położonego i możliwie jak najtańszego lokum, mieszkałbym dzi-
172

siaj za te same pieniądze w lepszych warunkach. Brak mi było wygód dawnego mieszkania. I nie chodziło tylko o tęsknotę za komfortem, który się skończył, za rajem, który utraciłem z własnej winy. Mieszkanie należało do Ayszin, a właściwie do jej rodziny. Aż do tej feralnej chwili, gdy po trzech i pół roku życia w nim, spakowawszy swoje gacie, książki, konspekty zajęć, maszynki do golenia, rozglądałem się dookoła, by sprawdzić, czy czegoś nie zapomniałem; byłem przekonany, że dom należy też do mnie. Jedno malutkie słówko „też”... Dziecko, mając nadzieję, że jemu także kupią to, co dostał już jego brat, woła z entuzjazmem: „Dla mnie też, dla mnie też!”. Okazuje się jednak, że tak jak to bywa między rodzeństwem, tak i w małżeństwie jednej ze stron przypada zawsze większa część z tego słówka. A ślady człowieka zostają z miejsca, gdzie żył, z miejsca, które uważał za swoje, usunięte tak łatwo jak twarde włókna z fasoli. Takie właśnie włókno trudno było mi strawić, to ono wywoływało to klucie w żołądku. Myśl, że teraz, w tej chwili w domu, który kiedyś był też mój, Ayszin dobrze się bawi sama, działała mi nerwy.

Oczywiście człowiek powinien zawsze wiedzieć, kiedy należy być wdzięcznym Bogu. Bo przecież kiedyś może być jeszcze gorzej. Mogłaby na przykład świetnie się bawić nie sama...

Oceny sytuacji dokonałem w łazience, raz marznąc, a raz parząc się pod prysznicem, z którego nigdy nie lała się ciepła woda, lecz zawsze lodowata lub wrząca. Jak pijanemu w sztok udało mi się trafić do domu, pozostawało nadal wielką tajemnicą, lecz przypuszczenie, że z mózgiem zmienionym w galaretę zadzwoniłem jednak do Ayszin, stawało się coraz bardziej prawdopodobne. A co było potem? Jeżeli ze sobą rozmawialiśmy, powinno we mnie pozostać jakieś wspomnienie, jakieś zdanie... Gdy mydliłem twarz, z kwatery głównej dowództwa
173

mego mózgu nadchodziły meldunki, że zdanie, które odpowiadało rysopisowi poszukiwanego, było widziane w okolicy. W końcu przysłała wiadomość o jego zatrzymaniu: „Gdy tak do mnie wydzwaniasz, tracę do ciebie resztki sympatii. Nie widzisz tego? Póki jeszcze żywimy do siebie wzajemny szacunek...”. Niczego nie widziałem. Próbowałem otworzyć oczy, ale gdy zaczęły mnie piec od mydła, z powrotem je zamknąłem. Nie, to doniesienie było fałszywe. To nie było zdanie, którego poszukiwałem. Przypomniałem sobie. Nie słyszałem go wczoraj w nocy, ale wcześniej, zanim Ayszin postanowiła zmienić numer telefonu.

Gdy maniakalna depresyjność prysznicza zaczęła doprowadzać mnie do granic wytrzymałości, wyszedłem z łazienki. Skurcze w żołądku były nie do zniesienia. Kuchnia nie na-

leżała do małych, ale odkąd dokładnie pośrodku niej stanęła monstualna lodówka wielkości mniej więcej domku kempingowego, w którym spędzają wakacje nad morzem rodziny o niskich dochodach i dużej liczbie dzieci, stała się wręcz mikroskopijna. Szkoda, że zamiast kupić sobie którąś z tych sięgających ledwie do kolan lodówek, używanych w hotelach lub w budowanych w Tokio mieszkaniach wielkości ziarenka grochu, uparłem się, że wezmę tę amerykańską krowę, zaprojektowaną specjalnie po to, by żyjąca w wielkim jak hangar domu rodzina nuklearna obdarzona apetytem całego plemienia, miała zapewniony zapas żywności. Gdyby Ayszin nie protestowała, mówiąc: „Jest zbyt duża dla ciebie”, zapewne tak bym właśnie zrobił. Usłyszałem od niej te słowa dwukrotnie — raz w sprawie podwójnego łóżka, drugi raz właśnie w związku z lodówką. Wtedy dopiero zacząłem przeczekać, że w jej życiu może być ktoś inny, że miejsce po mnie szybko zostanie wypełnione. Myśl ta zrodziła się we mnie, gdy pojąłem, że coś, co dla mnie jest za duże, dla Ayszin jest akurat.

174

Nikt, nawet Ethel, nie mógł zrozumieć, dlaczego tak upieram się przy zabraniu łóżka i lodówki, skoro w innych kwestiach nie robiłem najmniejszych trudności i aby rozwód zakończył się jak najszybciej, wykazałem większą wręcz, niż należało, skłonność do ugody i kompromisu.

To była moja największa zdobycz. Największa, lecz kompletnie pusta w środku. Wyglądało to naprawdę żałośnie. Wielkie lodówki są dalekimi krewnymi sfatygowanych lokomotyw, do których przez całą drogę trzeba pełnymi szuflami wrzucać węgiel. Tak samo są wiecznie nienasycone, im bardziej się je wypełnia, tym mocniej domagają się kolejnych wsadów. Moja biedaczka nie dostawała węgla workami, ba, nie otrzymała nawet jednej szufli węglowego miału. Na najwyższej półce serek topiony w otwartym pojemniku, już zaczynający pokrywać się pleśnią, na drzwiach pięć puszek piwa i opróżniona do połowy butelka anyżówki, w przegródce na warzywa trzy pomidory i zwiędła sałata. To wszystko. I jeszcze na dolnej półce kawałek pizzy z pieczarkami, którą poczęstowała mnie sąsiadka, ta starsza pani. Zdarzyło mi się już nieraz spotkać ludzi częstujących sąsiadów agurel i podobnymi rzeczami, ale pierwszy raz widziałem kogoś, kto roznosi po piętrach pokrojoną na kawałki pizzę. Miałem ją wyrzucić, ale zapomniałem. Teraz jednak, gdy pozostałe po wczorajszym wieczorze malutkie cząsteczki alkoholu dotkliwie kąsały śluzówkę mojego żołądka, z wdzięcznością, choć była już czerstwa, po nią sięgnąłem. Wrzucenie jej do mikrofalówki i odgrzanie zajęło mi trzy minuty, wrzucenie do żołądka — jakieś trzydzieści sekund. Zbyt 1 Acure — danie na słodko z różnego rodzaju ziaren i orzechów, podawane dziesiątego dnia miesiąca muhanem na pamiątkę opadnięcia wód potopu. Panie domu częstują przygotowanym przez siebie aszure krewnych, przyjaciół i sąsiadów.

twarda, ale niech tam! W tej sytuacji liczy się przeżycie! Gdy udało mi się już nastroić nieco przyjaźniej do siebie własny żołądek, przyszła pora przygotować „lekarstwo”. Nalałem do garnuszka półtłustego mleka, dorzuciłem dwie czubate łyżki drobno zmielonej tureckiej kawy, łyżeczkę miodu sosnowego, sporo cynamonu i nieco koniaku. To moja cudowna mikstura, niezwykle pomocna na kaca, której skuteczność potwierdziły liczne doświadczenia. Aczkolwiek nie na wszystkich działa. Zresztą każdy powinien metodą prób i błędów opracować własny lek. Tym razem dodałem składniki w zwiększonej ilości. Muszę jak najszybciej oprzytomnieć. Dziś jest czwartek, a w tym semestrze w każde czwartkowe popołudnie mam moje ulubione zajęcia z ulubioną grupą studentów.

Czekając, aż mleko się zagotuje, przeglądałem broszury, które wcisnęła mi Ethel. W Stambule powstaje jeszcze jeden prywatny uniwersytet. Przygotowania trwały już od dłuższego czasu i o niektórych sprawach wiedziałem od dawna. Nie miałem tylko pojęcia, że w przedsięwzięciu uczestniczy ta zdzira Ethel, ba, działa w samym sercu projektu. Powiedziała mi o tym podczas wczorajszej kolacji — jak dla mnie to było stanowczo za dużo. Już w drugiej minucie spotkania wymusnęło się jej coś na ten temat i aż do momentu, gdy jako ostatni klienci chwiejnym krokiem opuściliśmy restaurację, odprawiani znużonym spojrzeniem chudego kelnera Kurda, który z trudem unosił powieki opadające tak, jakby do czarnych rzęs miał przywiązane ołowiane ciężarki, mówiła właściwie tylko o tym. Że ten uniwersytet nie jest przedsięwzięciem obliczonym na zysk, lecz stanowi duchową inwestycję, że jest to pierwsza od wielu lat sprawa, w którą zaangażowała się z całego serca, że osobiście zna założycieli, że w gruncie rzeczy jest jednym z ośmiu pozostających w cieniu udziałowców, że odkąd się tym zajęła, odczuwa większą przyjemność z życia,

176

że jest przekonana, że gdy się zestarzeje i będzie spoglądać wstecz, z tego dzieła będzie najbardziej dumna, że wkrótce, najdalej za pięć lat, wychowają pokolenie młodzieży wielokrotnie bardziej świadomej i wykształconej niż ludzie z jej pokolenia, że liczba tych młodych będzie wzrastać z roku na rok, że wspólnym wysiłkiem wpłyną na losy kraju, pozytywnie zmienią bieg wydarzeń. Opowiadała i opowiadała. Ona nieustannie mówiła, ja stale popijałem. Gdybym pił wolniej albo mniej, wieczór zapewne potoczyłby się następująco: Ethel opowiadałaby, ja bym się śmiał; Ethel by się zirytowała, ja bym wybuchnął; Ethel zaczęłaby krzyczeć i byśmy się pokłócili. Aby więc nie wywołać sprzeczki, nie mącić spokojnych wód, nie psuć wieczoru, Ethel opowiadała, a ja piłem.

Nerwy psuły mi nie tyle słowa, ile osoba, która je wypowiadała. Oczywiście ta dziwka Ethel może chodzić, gdzie chce, i wygadywać bzdury, ale nie powinna się wobec mnie zachować

wywać tak jak wczoraj. Mimo wszystko nie uważam tego, co się wydarzyło, za afront wobec mojej osoby. Problem nie jest natury osobistej, lecz raczej językowej. Podczas wczorajszej kolacji Ethel niespodziewanie zmieniła język albo też nagle zapomniała tego, którego zawsze używaliśmy.

Jednym z najbardziej bezsensownych wyrazów jest słowo „język”. Ze względu na swe znaczenie jest jakby poza zbiorem pozostałych wyrazów, ale w gruncie rzeczy to też tylko wyraz. Gdybym miał wskazać jakieś inne słowo podobne do niego, byłoby to „jedzenie”. Tak jak określanie jednym słowem „jedzenie” pokarmów tak niepodobnych jeden do drugiego zupełnie nie odpowiada rzeczywistości, tak całkiem nielogiczne jest nazywanie „językiem” zbiorów wyrażań tak różnie brzmiących, wypowiedzianych na tak wiele sposobów, wyrażanych w tak odmiennych stylach. Stwierdzając to, nie wnikam w językowe niuanse kuchni chińskiej, tureckiej czy

177
hiszpańskiej. Ograniczam się wyłącznie do potraw narodowych, w przeciwnym razie bowiem musiałbym tutaj uwzględnić również współczynnik globalny. Tak czy owak w obrębie jednego „języka” rządzą dziesiątki „języków”. Podobnie jak w jednej restauracji nie możemy zjeść dokładnie tego samego „jedzenia” co w innej, tak rozmawiając z jednym człowiekiem, nie możemy posługiwać się i nie posługujemy się tym samym „językiem”, jakiego używamy wobec kogoś innego. I tak jak po jedzeniu pozostają resztki, tak i język pozostawia odpadki. Jest śmietnikiem pełnym wyrazów, których nie użyliśmy za dnia, których wstydziliśmy się nawet wymówić, które próbowaliśmy zbyć milczeniem, bezsensownych uwag, które uznaliśmy za niestosowne i zachowaliśmy tylko dla siebie, słów krytyki, których nie odważyliśmy się wypowiedzieć na głos, choć przyszły nam do głowy, docinków, które mieliśmy już na końcu języka, lecz zdecydowaliśmy się przełknąć je z powrotem, obelg, które wypełniły nam usta, a których nie mieliśmy czasu wyrzucić z siebie, nieco abstrakcyjnych dowcipów i wyrażań uznawanych za zbyt grubiańskie w danym towarzystwie. Osad powstały z uwagi, z jaką rozmawiamy czy korespondujemy z innymi, z okazywanej grzeczności, zdradzanej staranności. Językowe odpady stale podlegające recyklingowi, które nie gromadzą się w piwnicy, na półpiętrze czy pod poduszką, ale w gardle, na podniebieniu i pod językiem, a gdy zbierze się ich dostatecznie dużo, należy wypełnić nimi worki, starannie je zawiązać, by nie zaczęły cuchnąć, i natychmiast wyrzucić na śmieci.

Muszę z góry uprzedzić, że tego języka absolutnie nie używam publicznie, nie używam go wobec studentów i nie lubię, gdy słyszę go z ich ust. Ale i mnie się zdarza skryć w jakimś ustronnym kącie, jak wyrostek popalający w tajemnicy przed rodzicami papierosy, i nie zważając na zasady moralne czy

wartości sumienia, otworzyć tajną skrytkę i z upodobaniem sobie popyskować. W takich właśnie momentach istnienie Ethel zyskuje na znaczeniu. Gdyż do pyskowania, tak jak do uprawiania seksu czy sprzecznania się, niezbędna jest obecność drugiej osoby. Papierosem stanowiącym przedmiot przestępstwa można się zaciągać samotnie, ale do mówienia w języku odpadkowym absolutnie potrzebna jest osoba towarzysząca. Od wielu lat, gdy Ethel i ja zostajemy sami, zawsze posługujemy się JOS-ami — Językowymi Odpadami Stałymi — to znaczy, posługiwaliśmy się, aż do wczoraj. Uwielbialiśmy, ot tak sobie, obrzucić to czy tamto wyzwiskami, bez skrępowania bezczelnie przejechać się po wszystkim, nie zwracając sobie głowy poczuciem sprawiedliwości czy przyzwoitością. Jak to mówią: kocioł garnkowi przygania, a sam smoli? Nas to nie ruszało. Jak zabijaka, który rzuca się do bicia i wali gdzie popadnie, rozkwasza nos, obcina uszy, tak my naszymi ostrymi jak brzytwa słowami atakowaliśmy innych, pastwiąc się nad każdą wydaną przez nich fałszywą nutą, każdą ich ułomnością. Kto powiedział, że nie wolno żartować z czyjegós upośledzenia? Z harpunami w dłoniach, w maskach do nurkowania nie przepuszczających wody śmiało skakaliśmy na główkę w głębinę morza błędów-przewinień-nieostrożności i wywlekłszy na brzeg każdą złowioną słabość, badaliśmy ją szczegółowo, rozszarpując na strzępy. Ale czasem i to nam nie wystarczało. Jak amatorzy kalmarów podrzucaliśmy naszą zdobycz w powietrze i całymi godzinami rozstrzaskiwaliśmy ją o skały, ciskając raz w jedną, raz w drugą stronę. Choć nikomu nie udawało się uciec przed naszymi ostrymi językami, niektórych nasz nieustający deszcz uogólnień zlewał bardziej niż innych. Wieśniacy i lumpy, specjaliści od reklamy i nauczyciele akademicki, panie domu i prawnicy... — wszyscy oni z różnych powodów stali się dla nas tarczą strzelniczą.

179

A średnica tej tarczy była na tyle duża, że z łatwością obejmowała najróżniejsze rodzaje ludzi. Bezlitośnie wyszydaliśmy tego, kogo niepewności byliśmy świadkiem, wulgarnie zaś tego, kto uważał, że jest mądry. Tym, którzy przykładali wagę do wyglądu, dostawała się nieduża porcja złośliwości, lecz tych, którzy byli pozbawieni gustu, topiliśmy po kilka razy w łyżce wody. Mężnych bohaterów, ratujących uciśnionych, nie znosiliśmy, ale prawdziwy diabeł wstępował w nas przy zadręczających wszystkich primadonnach. Pogardliwie wydymaliśmy usta, gdy ktoś bał się śmierci, paskudnie jednak znęcaliśmy się nad tymi, którzy mieli ją za nic. Nie tolerowaliśmy kiepsko napisanych artykułów, opowiadań czy powieści, ale dopiero te dobrze napisane obrzucaliśmy błotem z prawdziwą lubością. Okazywaliśmy lekceważenie tym, którzy po przeżytej ciężkiej operacji lub wypadku zyskiwali głęboką wiarę, bez pardonu natomiast dyskwalifikowaliśmy każdego, kto przez

całe życie w jednakowym stopniu pozostawał wierzącym bądź niewierzącym. Nie wybaczałyśmy prostych pleców nikomu, ale waliliśmy jak w bęben w każdego zgarbionego. Poszturczyliśmy z różnych stron naiwnych laików, uważających chrześcijaństwo za wiarę mniej ingerującą w życie ludzi niż islam, a judaizm za bardziej patriarchalną, lecz prawdziwy grad ciosów kierowaliśmy na tych, którzy uważali siebie za wyjątkowo uprzywilejowanych, bo dali się porwać ruchom mistycznym, prześlizgującym się bez wizy z religii do religii, bezlitośnie pozerającym nieświadomych istnienia różnorodności w obrębie islamu. Szczególnie pastwiliśmy się nad tymi, którzy w imię potrójnego celu dojrzyć-stać się-osiągnąć poszukiwali dla siebie alternatywnych wybawicieli z Indii, Chin czy Tybetu. Jak tygrysy rzucaliśmy się na tych, co uwikłali się w małżeństwo i gromadkę dzieci, ale dogryzaliśmy też tym, którzy kawalerski stan uważali za formę protestu. W tej samej

180
smole i pierzu obtaczaliśmy i tych, którzy uznawali heteroseksualizm za nałożoną na nich konieczność i przez to szamotali się, pełni złości i bólu, daremnie pragnąc na rozległej, otwartej pustyni złudzeń choć raz wbić zęby w zakazany owoc grzechu, i tych, którzy homoseksualizm uważali za własny wybór i zamykali się w niedostępnych dla innych oazach. Z niechęcią odnosiliśmy się do tych, których nie znaleźliśmy osobiście, i używaliśmy sobie do woli na tych, którzy byli dobrze nam znani. Nie odczuwaliśmy też potrzeby, by sobie to szczegółowo opisywać, posługiwaliśmy się skrótami. Z dokładnością archiwisty sklasyfikowaliśmy każdego człowieka i każdą rzecz, poukładaliśmy wszystko w osobnych teczkach. I traktowaliśmy niesprawiedliwie każdego człowieka i każdą rzecz. Zresztą gdyby tak przejrzeć hasła na literę S w ilustrowanym podręcznym słowniku JOS-u, nie znalazłoby się tam ani „sprawiedliwości”, ani „słuszności”. Tak samo pod S nie byłoby „świętości” czy „świętego”, a pod W — „wspaniałego” lub „wybitnego”. Jeżeli zaś chodzi o wyrażenie „traktować niesprawiedliwie”, w naszym słowniku było ono zdefiniowane następująco:

1. zachowywać się w sposób, w jaki nie powinno się zachowywać, wobec czegoś, co nie powinno istnieć (na przykład: odebrać komuś żyjącemu na pustyni futro albo fanatycznemu muzułmaninowi kieliszek do wina);
2. oddziaływać pośrednio (na przykład napluć komuś w twarz, plując na jego fotografię).

Rozmawiając z Ethel w JOS-ie, traktowaliśmy tego czy tamtego niesprawiedliwie za pomocą drugich znaczeń wyrazów. Oczywiście bywało, że część wymienianych między sobą myśli, a nawet większą ich część dzieliliśmy z zupełnie obcymi nam ludźmi. Ale zawsze różnił nas od nich styl. A tymczasem podczas wczorajszej kolacji, gdy ta dziwka Ethel plotła

o wspaniałych celach przyświecających uniwersytetowi, który zakładała, wydawało się, że nasz wspólny język zostawiła w szatni przy wejściu.

— Nadal tego nie dostrzegasz? Coś, o czym zawsze marzyłeś, staje się rzeczywistością! — powiedziała, trzymając w zębach jaśminową fikę.

Miało tam nie być upolitycznienia kadry ani jałowości państwowych uczelni, ani ich urawniłowki i ograniczeń budżetowych. Chciano zebrać najlepszych wykładowców w kraju, ściągnąć z powrotem błyskotliwe umysły podkupione przez zagraniczne uniwersytety, sprowadzić do Stambułu wielu zagranicznych specjalistów z różnych zakątków świata.

— Pomyśl tylko, zablokujemy ucieczkę najlepszych mózgów z kraju. Najdalej w ciągu pięciu lat odwrócimy kierunek nurtu, przynajmniej w naszej rzece. Wreszcie zachodni intelektualiści będą na naszych usługach. To stanie się lekiem na poczucie niższości naszego narodu! — zakończyła, chichocząc, jakby właśnie opowiedziała jakiś nieprzyzwoity dowcip.

Wiem, dlaczego tak chichotała. Przyzwyczailem się już do tego, że słowo „mózg” budziło w Ethel erotyczne skojarzenia. W czasach studenckich też taka była. Żywiła skrajną niechęć do przedstawicielek własnej płci i niepowstrzymany pociąg do inteligentnych facetów. Gdy teraz o tym myślę, wydaje mi się, że choć wiedziała, iż nigdy tego zawodu wykonywać nie będzie, wybrała tak trudne studia na wydziale inżynierii budowlanej — i udało się jej nawet je skończyć — tylko dlatego, że liczba chłopaków wielokrotnie przekraczała liczbę dziewczyn i że otaczało ją tam wiele „mózgów”. Dom Ethel stał się schroniskiem dla dziesiątków, a jeśli by tak zliczyć wszystkich ze wszystkich lat, to i dla setek studentów o błyskotliwych umysłach, uczących się na najrozmaitszych kierunkach. Jeśli wziąć

182
pod uwagę to, że pełnił też funkcję pewnego klubu, z którego biblioteki każdy mógł korzystać do woli, albo jadalni, gdzie każdy mógł napełnić swój żołądek, można powiedzieć, że ta dziwka wniosła znaczący wkład w życie studenckie Turcji. My stali bywalcy tego dobroczynnego zakładu, wydawali się na pierwszy rzut oka bardzo różnicowani, ale pod pewnym względem byliśmy do siebie niezwykle podobni: w ten sam sposób liczyliśmy na to, że nasz umysł nas uratuje. Każdy student Uniwersytetu Bosforskiego, który z całej siły wierzył, że dzięki swemu umysłowi wyzwoli się z kompleksów, w jakie wpadł z powodu niesprawiedliwości tego świata, każdy, któremu to się udawało, musiał znać imię Ethel i musiał ją kiedyś obmacać. Przeważającą większość gości Ethel stanowili ci, którzy swe oczekiwania i żądania wobec świata zapakowali do zamrażarki, by nie roztopiły się, zanim nie nadejdzie ten ich „wielki dzień”, a tymczasem poświęcili się nauce, pracy, badaniom. Do ulubionych sentencji Ethel należała ta, która

wyrażała to nader dosadnie: „Tak jak u ślepego — który choćby nie wiem jak się starał, nie jest w stanie zobaczyć swego otoczenia — z czasem wyostrzają się pozostałe zmysły, tak u brzydkiego mężczyzny — który choćby nie wiem jak się starał, nie jest w stanie sprawić, by otoczenie go dostrzegło — rozwija się mózg”.

Wszyscy studenci, którym nie udało się nawiązać stosunków z kobietami albo też zostali odrzuceni przez nie i obrazili się na miłość oraz wszystko, co się z nią łączy, nawet na seks, stawali się ulubieńcami Ethel, jeśli potrafili odpowiednio rozwinać swój umysł. Oprócz nieatrakcyjnych przychodzili do niej chronicznie nieśmiali, którzy z tego lub z innego powodu źle znosili towarzystwo płci pięknej. I jeszcze inni... Aseksualne typy, tworzące przy każdej okazji hymny, panegiryki, kasydy, wyobcowane żółtodzioby, jawni i skryci homoseksu-

183
aliści, śmiertelnie poważni opozycjoniści, osobnicy aspołeczni nienawidzący przystępowania do egzaminów, a jednocześnie największych w swym życiu emocji doznający właśnie podczas ich zdawania, wciąż gubiący drogę w Stambule przybywszy z prowincji i tacy, co to nigdy się nie wydostali nie tylko poza Stambuł, ale nawet poza własną skorupę, wydziałowi prymusi, studiujący niezgodnie z wolą rodziny, i posiadacze ukrytych talentów, których rodziny zmusiły do studiowania na niewłaściwym wydziale, rzadcy geniusze w dziedzinach przyrodniczych, zapalone gaduły z nauk społecznych... Wszyscy nieszczęśliwi, pozbawieni nadziei, a przy tym superinteligentni, którzy z powodów fizycznych, psychicznych, finansowych lub zgoła nieznanymi z trudem przystosowywali się do życia w społeczeństwie, byli obiektami zainteresowania Ethel. Za to wstępu do jej domu nie miały mózgi rodzaju żeńskiego. Jedynie czasami, gdy dowiedziała się, że któryś z cenionych przez nią młodzieńców ma dziewczynę, zapraszała oboje, nie okazując rozczarowania. Z jakichś względów z jej zapiekłej nienawiści do przedstawicielek własnej płci wyłączone były też dwie, może trzy koleżanki z czasów licealnych. Jedna z nich często bywała w sanktuarium Ethel i w przeciwieństwie do niej była ładna. Nieporównanie ładniejsza. Miała długie zgrabne nogi... Gładką, jasną cerę... Równe białe zęby... Piersi ukształtowane zgodnie z zasadami dialektyki: jędrne i przy dużym ciełe drobne, mieszczące się w dłoni... Miała tylko jeden defekt: jak wszystkie kobiety przestające zachowywać się naturalnie, gdy tylko poczują, że się komuś podobają, starała się być szorstka i nieprzystępna. Trzymała mężczyznę na dystans, nie pozwalając mu jednak zbyt daleko odejść. Wydawało się jej, że dzięki temu jego zainteresowanie jej osobą będzie trwało wiecznie. Gdy ktoś pytał, jak ma na imię, rzucała niedbale, jakby czyniła komuś łaskę:

184

— Ayszin!

Co ciekawe, mężczyźni w tym domu jakoś nie zakochiwali się w owej wyniosłej księżniczce, lecz w brzydkiej Ethel, choć gołym okiem widać było, że większości Ayszin się podoba. Ale stan nazywany „po-do-ba-nie-się” jest wyjątkowo mało stabilny. Jakby to powiedział uczestnik jakiegoś kretańskiego konkursu, wyliczając swoje hobby: „Długonoga Ayszin o smukłych biodrach podoba mi się bardziej niż czytanie książek, słuchanie muzyki, spacerowanie po polach...”. Za to gdy szło o brzydką jak kupa Ethel, mężczyźni na pełnym gazie mijali etap podobania się i zakochiwali się w niej z głęboką żarliwością wszystkich straconych okazji, przywierali do niej całym ciałem, zapadali się w nią jak w toń. Zakochiwali się w niej lub w jej domu albo w obojgu.

Dom-sanktuarium Ethel nie należał do jej rodziców ani żadnych jej krewnych, lecz do niej. Podczas gdy studencka brać mieszkała w wypełnionych monotonią i chaosem domach rodzinnych lub w zaniedbanych wynajętych kawalerkach albo w przepelnionych akademikach, gdzie jedynie zamknięciem się w szafie, można było zostać wreszcie samemu, ta zdzira miała dla siebie całą willę. Już to czyniło dom nierzezywistym, a jeszcze w środku panowała do tego oniryczna wręcz atmosfera. I jak we wszelkich marzeniach ulubioną partnerką dla frywolnego flirtu jest przesada, tak Ethel miała skłonność do przebierania miary. Wspaniały, pełen jaśminów i fuksji ogród z widokiem na Bosfor, z którego łagodny powiew wiatru roznosił odurzający zapach, niewielki, lecz pełen uroku basen, w którym z nastaniem wieczoru pływały kolorowe lampki, i dobre alkohole, smaczne jedzenie, sprzęty jedne oryginalniejsze od drugich, bogata kolekcja płyt, zasobny księgozbiór i znajdujące się stale pod ręką najlepszej jakości cygara — wszystko to czyniło dom miniaturą pałacu

185

z okresu tulipanowego¹, pełnego uciech, tak zawzięcie przez dzisiejszych historyków potępianych. Moim zdaniem jednak miejsce to uwodziło gości nie tylko bogactwem i luksusem. Jego urok polegał na nieskończoności. Na miejsce wypalonych paczek papierosów niezwłocznie pojawiała się nowa, pełna, kolekcja płyt wydawała się nieograniczona, a choć pożyczający książki często ich nie zwracali, tutejszy księgozbiór nie tracił nic ze swej wspaniałości. Tabuny gości pochłaniały góry jedzenia, mimo to kuchenne szafki wciąż były pełne, a spiżarnia wydawała się bez dna. Wśród robotników mieszkających zaprawę pod budowę tej willi musiał być chyba sam święty Hizir², który wypowiedział zaklęcie: „Niech wzrasta i niech nie zbraknie, niech wzbiera i niech nie wyschnie!” — dokładnie tak jak w baśniach. Nawet jaskinia czterdziestu rozbójników, pełna dzbanów złota, skrzyń z klejnotami, zwojów złotogłowi, beczek z miodem i oliwą, nie mogła się równać z pałacem Ethel.

Wspaniałości tego domu dorównywała jedynie szczodrość

jego właścicielki. Ethel starała się poznać upodobania każdego ze swoich drogich gości, a im wyżej kogoś ceniła, tym wystawniej go podejmowała. Ktoś był miłośnikiem whisky? Gdy tylko Ethel się o tym dowiedziała, zaraz wypełniała barek butelkami najlepszych gatunków. Ktoś uwielbiał układać puzzle? Ethel

sprowadziła przez wyjeżdżającego za granicę znajomego mnó-
1 Lale Devri — okres w dziejach Imperium Osmańskiego obejmujący lata 1718-1730, charakteryzujący się wyraźnymi wpływami europejskimi, rozwojem sztuki i literatury Nazwa pochodzi od mody na tulipany, która panowała w tym czasie.

2 Hizir — postać nie wymieniana bezpośrednio w Koranie, jedynie w hadisach. Hizir miał być zesłany przez Boga Mojżeszowi, gdy ten zaczął uważać się za najmądrzejszego człowieka na ziemi. W popularnych wierzeniach świętobliwy mąż, który wypił wodę życia, zyskując nieśmiertelność i nadnaturalną moc zapewniania obfitości.

186

stwo układanek, jedne ciekawsze od drugich. Ale w gruncie rzeczy to nie tym zabawom, lecz rozmowom, ekshibicyjnym dyskusjom poświęciliśmy najwięcej czasu. Zagłębieni w miękkich fotelach, jedliśmy, pili, palili papierosy i gadali o tym i owym, a przede wszystkim o nas samych. Szybko jednak porzucaliśmy sprawy dotyczące przeszłości czy osobowości i budziliśmy drzemiące w naszych sercach lwy, rozpoczynając zażarte dyskusje. Panią domu ich przedmiot zupełnie nie interesował. Nie wydaje mi się też, by interesował ją ktokolwiek z nas z osobna. Lubiła atmosferę, którą stwarzała dla nas, i pokazy sztucznych ogni — każdy gość bowiem wybuchał tu jak fajerwerk przecinający ciemność nocy. Najpierw wślizgiwał się niepewnym krokiem na drżących nogach, aż nabrawszy pewności, rozkładał skrzydła i wzbiwszy się na odpowiednią wysokość, eksplodował z hukiem, rozsiewając skrywane dotychczas wielobarwne rozbłyski. I podczas gdy my nabieraliśmy odwagi i wypuszczaliśmy słowne fajerwerki, Ethel niestrudzenie czyniła honory pani domu, dbała o naszą wygodę. Dżin z butelki, rajska hurysa albo wróżka z Piotrusia Pana — żadne z nich nie służyło tak ofiarnie swemu panu. W rezultacie więc wszyscy, którzy zaczęli bywać w tym domu, prędzej czy później wychodzili z niego zakochani. I to stawało się początkiem ich końca.

Gdy oszołomieni swobodą żeglowania po tym niezmiernym morzu w pewnym momencie spoglądali za siebie, zauważali ze zdumieniem, że zupełnie stracili z oczu ląd. Ethel już przy nich nie było. Przystawała ich pragnąć dokładnie w momencie, gdy oni dawali się porwać uczuciu. Jedyłą bowiem złą stroną bywania w domu Ethel było to, że zbyt szybko zapominało się, iż jest się tu jedynie gościem. Tak samo jak zużyte rzeczy były tu zastępowane nowymi, tak miejsce odchodzących gości zajmowali nowi. Zaklęcie wypowiedziane

187
przez Hizira najwyraźniej dotyczyło także „mózgów” Ethel.

Zawsze pojawiały się nowe i nigdy ich nie brakowało. Jeżeli o mnie chodzi, byłem wyjątkiem, jedynym stałym gościem tego domu, rodzajem członka honorowego. Byłem ambitny, a zdaniem niektórych aż za bardzo. Z kilku całkiem konkretnych powodów w moim indeksie roilo się od ocen bardzo dobrych. Po pierwsze, byłem wysoki (trzy gwiazdki). Nie mogę powiedzieć, bym zaliczał się do superprzystojnych, ale w moich kręgach towarzyskich byłem najprzystojniejszy (cztery gwiazdki). Poza tym byłem w najwyższym stopniu niecierpliwy i kapryśny (pięć gwiazdek). W przeciwieństwie do pozostałych wciąż miałem możliwość wyboru. Gdy tylko chciałem, mogłem stąd wyjść. Co więcej, mogłem wyjść i nie wrócić. Ethel zdawała sobie z tego sprawę. Dlatego byłem dla niej szczególnie cenny. Bywałem też ziarnem niezgody zasianym w rajskim ogrodzie. Moja obecność upajała Ethel i niepokoiła pozostałych gości. Nie przejmowałem się tym jednak. Wiedziałem, że inni mężczyźni postrzegają mnie jako zagrożenie, ale byłem na to uodporniony. Gdybym miał się przejmować rzucanymi mi spojrzeniami, stałoby się to już wtedy, gdy jako zaczynający wchodzić w wąski korytarz wieku dojrzewania jedenastolatek, ubrany tylko w slipy i podkoszulę, z kawałkiem weselnego tortu na talerzu, niespodziewanie zderzyłem się w drzwiach do kuchni z moim ojczymem, który dopiero nocą znalazł chwilę wytchnienia po trudnym dniu i poczuł głód. Do tej pory patrzył na mnie jak na syna kobiety, którą kochał, chłopaka trudnego, ale w gruncie rzeczy bardzo spragnionego uczucia, potrzebującego troski. Muszę przyznać, że bardzo chciał być dla mnie ojcem. Ojcem syneczka podarowanego przez Boga pięćdziesięciolatce, który nie miał własnych dzieci. Ale tamtego ranka po jego nocy poślubnej w niczym raczej nie przypominałem mu wymarzonego synka:

188

rysy twarzy odziedziczyłem po swoim ojcu, moja półnagość nie pozostawiała wątpliwości, że wkrótce przestanę być dzieckiem, a wypełniony po brzegi talerz był dowodem straszliwego apetytu, który oznaczał, że szybko wyrosnę i zmężnieję. W źrenicach jego oczu zamigotał kolczasty błysk. Co gorsza, mama też to wyczuła, i to niemal natychmiast. Jakby zamiatając następnego dnia podłogę, znalazła pozostałe po tym spojrzeniu odpryski. Nie wróżyło to niczego dobrego dla żadnego z nas, ponieważ mama należała do kobiet, które napięcia pojawiające się między mężczyznami potrafią zawsze obrócić na swoją korzyść, zawierając przy tym liczne i niestabilne sojusze. Była dobrą uczennicą Bismarcka, choć zapewne nigdy o nim nie słyszała. Umiała ustawić starszego syna przeciwko młodszemu, młodszego syna przeciwko zmarłemu mężowi, zmarłego męża przeciw nowemu mężowi, a nowego męża przeciw obu swoim synom...

W rezultacie byłem przyzwyczajony do złych spojrzeń niewyraźnych słowami. Nie przejmowałem się tym, jak na mnie

patrzają inni. Byłem ulubieńcem Ethel i ukochanym Ayszin. Lubiełem przychodzić do domu-sanktuarium i nic więcej. Miałem możliwość wyboru i ważniejsze rzeczy do zrobienia. Jak już wspomniałem, byłem niecierpliwy. I to jak. Po ukończeniu studiów ani minuty nie siedziałem beczynnie. Rozpoczęty w Anglii doktorat dokończyłem tutaj — w zakresie filozofii politycznej, dziedzinie nic nie znaczącej dla mojej rodziny, która z kolei nie znaczyła nic dla mnie. Za drugim podejściem Ayszin udało się wygrać konkurs na stanowisko asystenta na socjologii. Pasowaliśmy do siebie. Ethel z trudem za nami nadążała. Gdy w końcu udało się jej skończyć studia, ostentacyjnie zaklinała się, że jej noga nigdy więcej nie przekroczy progu uniwersytetu, i wyprawiła w domu-sanktuarium przyjęcie, podczas którego uroczyście spaliła swój dyplom dokładnie

189
w tym momencie, gdy ja i Ayszin pokonaliśmy ostatni zakręt i nasze życie zaczęło się dobrze układać, Ethel zadziwiająco sprawnie zrujnowała swoje. Najpierw położyła kres życiu w komunie, a potem wyprowadziła się z willi i zamieszkała w apartamencie z tarasem — niezwykle wygodnym, miłym, ale bardzo skromnym w porównaniu z poprzednim miejscem. Już nie zbierała wszystkich wokół siebie, nie spędzała czasu na skupianiu za wszelką cenę uwagi tłumów na sobie, lecz — zamknięta w dwuosobowym wszechświecie — cierpliwie znosiła kaprysy kochanków. To im ofiarowywała wszystkie swoje pieniądze, energię, miłość, choć i tak nie udawało się jej być tak kochaną, jak chciała. Słyszeliśmy, że reszcie towarzystwa nie podobało się jej zachowanie, ale jej oni też przestali się podobać. Za ich plecami głośno i bez skrępowania ich obgadrywała, z pełną świadomością tego, że jej słowa do nich dotrą. — Skoro łaskawa pani przeczytała więcej książek ode mnie i została socjologiem, czy łaskawa pani byłaby uprzejma rozwiązać dla mnie tę malutką zagadkę, bardzo proszę. Proszę popatrzeć, na siedemdziesiąt dwa kraje świata, od tych najbardziej demokratycznych po totalitarne... Praktycznie w każdym znajdzie się wielu żydowskich pisarzy, malarzy, artystów takich, smakich i owakich. Jakby bez względu na warunki potrafili jakoś się odnaleźć i rozwijać. Z wyjątkiem jednego jedyne miejsce. Afryka, Bliski Wschód, Ameryka, Europa, Rosja... Możesz wyliczać i wyliczać, na wszystkich kontynentach, w tylu krajach. Tylko w Turcji coś się z Żydami stało dziwnego. Nie wiadomo, dlaczego akurat tu nie czuli potrzeby, by rozwijać się umysłowo.

— Nie masz racji — stwierdzała Ayszin, marszcząc brwi.

— Mam wielu kolegów Żydów.

Ethel zachichotała złośliwie. Nie wybaczała takich błędów.

A ja poczułem się rozdwojony: jedna część mnie uznała użycie

190
takich słów na obronę Żydów w obecności osoby żydowskiego pochodzenia za naiwność ze strony Ayszin (musiała to być ta

część, która była w Ayszin zakochana), druga zaś spojrzała na nią z wściekłością, jaką odczuwałem wobec tych, którzy cechy i możliwości odziedziczone po pokoleniach przodków, wyniesione z nieprzeciętnej rodziny, w jakiej przyszli na świat, i z ekskluzywnych szkół, do jakich uczęszczali, bez trudu i zabiegów podarowane im przez życie przedstawiali jako coś, do czego doszli sami (to była chyba ta część, która sprawiła, że Ayszin się we mnie zakochała). Ale Ayszin najwyraźniej nie dostrzegła ani jednoznacznej reakcji Ethel, ani mojego rozdwojenia, gdyż w zaślepieniu rzuciła się rozwijać swoją myśl:

— Wszyscy dostali się na najlepsze kierunki. Spora część otrzymała świetne stypendia. Osiągnęli całkiem wysokie pozycje...

— Nie to mam na myśli — odezwała się Ethel, wykręcając palce, aż słychać było trzaski w stawach. — Ty mówisz o zawodzie, ja o talencie. Ty wspominasz o karierze, ja o geniuszu. Ekonomiści, pracownicy naukowci, adwokaci, chirurdzy... proszę, pomóż im. Nie o to chodzi. Mówię zupełnie o czymś innym. Dlaczego nie ma wśród nich szalonych, pijących na umór poetów, reżyserów o duszach morderców, będących miłośnikami rzeczy zakazanych albo wręcz zboczeńcami? Dlaczego nasi nie tworzą muzyki? A jeżeli już, to dlaczego nucą jedynie milutkie piosenki, które śpiewały nasze babcie, zamiast stworzyć coś buntowniczego, szorstkiego, gorzkiego? „Nasi” to było ostatnie słowo. Frontalny atak Ethel wobec słabiotkiej obrony Ayszin. Zawsze gdy tylko członek danej grupy zaczyna o niej dyskutować z kimś, kto do niej się nie zalicza, prędzej czy później pojawi się kwestia prawa własności. Koniec drogi. Ślepy zaułek dyskusji. Ostatnia scena, w której każdy powraca do miejsca, do którego należy — wieśniak do

191

wioski, żonaty do żony. Zapaliłem papierosa i odchyliwszy się w fotelu, starałem się ująć obie w kadr spojrzenia. Dla mnie to było nieistotne. Obie w tym momencie były moimi kobietami.

Dla zdradzających mężczyzn istotna jest kwestia rodzaju — sprawia im przyjemność doznawanie od innej kobiety innego odcienia miłości niż ta, którą dostają od żony. Dla zdradzających kobiet istotna jest ilość — od kochanka oczekują więcej miłości, niż otrzymują od męża. Zdradzanie Ayszin z Ethel przyjemnie łaskotało moją dumę. Sprawiało mi przyjemność wyszukiwanie różnic między nimi. Nigdy natomiast nie próbowałem dowiedzieć się, czy Ayszin mnie zdradza.

— W porządku, ale to wszystko nie dzieje się bez przyczyny — Ayszin nie zamierzała tak łatwo się poddać. Ochoczo rozpoczęła szczegółowe wyjaśnienia. Mówiła o niestabilnej psychice, wiążącej się ze statusem mniejszości, permanentnej niepewności wywołanej przez kryzys poczucia, że jest się członkiem grupy, oraz uprzedzeniach żywiących się raczej abstrakcyjnymi przekonaniem niż konkretnymi zagrożeniami-

mi. Starła się przy tym używać jak najbardziej rzeczowych wyrażeń. Nie dlatego, że była przemądrzała, ani też z chęci udowodnienia własnej wyższości. Mówiła tak, bo był to jedyny znany jej język dyskusji. Niestety dyskusja językiem akademickim przypomina pójście na zakrapianą imprezę z kobietą, która nie bierze do ust ani kropli alkoholu. Możecie być pewni, że do samego końca będzie trzymać się na nogach, z niczym nie przesadzi, nie przyniesie wam wstydu. Ale musicie też z góry pogodzić się z tym, że z nią nie będziecie się mogli rozchełstać, drzeć mordy po pijaku, zwałać się z nóg i gramoląc się, podnosić, przysnąć pod stołem, w zamroczeniu wieszać się komuś na szyi, krótko mówiąc, nie będziecie mogli się zabawić.

192

— To, co mówisz, jest tyleż miłe, ile głupie — stwierdziła Ethel, przechodząc do ataku. — Gdyby ze środowiska żyjących w Turcji wyznawców judaizmu wyszli posepni pisarze, niechlujni reżyserzy, malarze przez własne otoczenie uważani za niebezpiecznych, wiesz, czym następne pokolenia, powiedzmy, za pięćdziesiąt czy sto lat, tłumaczyłyby ten fakt? Podałyby te same przyczyny, które ty wymieniłaś dzisiaj. Powiedziałyby: „Tak, zdaniem niektórych to wielki żydowski artysta albo myśliciel, ale co uczyniło go takim wielkim, co odróżniało go od innych?”. I tu zaczęłyby wymieniać dokładnie to samo, co ty: syndrom mniejszości, językowe wyobcowanie, niepewność, brak poczucia bezpieczeństwa i temu podobne. Wtedy wszystko to, co ty uważasz za przeszkody, stałoby się ich wyróżnikiem, ba, wręcz zapewniałoby im wyjątkową pozycję. Tak to już jest. Gdy ktoś kulawy nie tańczy, mówimy: „Aha, nie tańczy, bo jest kulawy”. Ale jeżeli ten sam człowiek okazuje się wyśmienitym tancerzem, mówimy: „Oczywiście musi być lepszy od innych. Przecież jest kulawy!”.

Ayszin wycofała się, zrezygnowana, machnąwszy rękami i pokręciwszy głową, jakby naprzeciwno niej stał domokrażca namolnie próbujący coś jej wcisnąć. Dobrze znałem ten ruch. Oznaczał: „Dziękuję, nie kupuję tych głupot”. Przez trzy i pół roku naszego małżeństwa w ten sposób kończyła każdą naszą dyskusję.

LOKAL NUMER 8

Błękitna Kochanka wbiegła zdyszana po schodach i w pośpiechu otworzyła drzwi mieszkania numer 8. Była spóźniona. Nie dość, że wizyta u fryzjera trwała dłużej, niż to sobie zaplanowała, to straciła też trochę czasu na zakupach. Wyłożyła sprawunki na blat kuchenny. Jedzenie mogło poczekać, najpierw powinna się zająć sobą. Pobiegnęła do łazienki. Myjąc pośpiesznie zęby, przyglądała się falom wymodelowanym na miodowych włosach. U fryzjera uczesanie wydało się jej ładne, teraz jednak nie była już tego taka pewna. Należała do tego rodzaju kobiet, które czasem chcą mieć włosy kręcone, a czasem zupełnie proste, ale i jedne, i drugie podobają się im wyłącznie

u innych. Dlatego jej włosy jakby zatrzymały się w pół drogi między tymi dwiema opcjami, układając się w duże fale. Gadatliwy fryzjer z dołu zaburzył jednak tę chwiejną równowagę i zbyt mocno skręcił w dodatku za bardzo skrócone pasma. Próbowała nadać im kształt zmoczoną w wodzie dłonią, ale im bardziej się starała, tym gorzej to wyglądało, więc szybko wyszła z łazienki. Ubierając się w sypialni, zerknęła w duże lustro. Pomyślała, że ostatnio biodra się jej mocno zaokrągliły, ale wciąż wygląda całkiem ponętnie. Żeby tylko te szramy nie

194
odznaczały się tak wyraźnie... Wzięła z etażerki dwie tubki podkładu i obficie wysmarowała nim nogi. Czerwone ślady cięć w jednej chwili znikły pod stonowanym beżem. Otworzyła szafę i zaczęła przeglądać bieliznę. Nie zastanawiała się zbyt długo. Tak czy siak handlarzowi oliwą było obojętne, co ona wkłada pod spód. Choć na początku wcale taki nie był. Chciał, by nosiła najbardziej frywolną, najbardziej nieprzyzwoitą bieliznę. Często nawet sam ją wybierał i kupował jej w prezencie. Wszystko było w tym samym kolorze: czystym, jasnym bezkresnym błękitcie. Błękitna Kochanka lubiła ten kolor, ale drażnił ją kontrast między bezwstydem pięknie opakowanych staników i majtek a skromnością ich barwy. Czerwone podwiązki mogły być frywolne, czarne — nieprzyzwoite, białe — kokieteryjne. Fioletowe mogły być kuszące, różowe — dwuznaczne... Nie mogły być jednak w czystym, jasnym bezkresnym odcieniu błękitu. To było jak rozcieńczanie mleka wodą, gorzej, jak rozcieńczanie anyżówki mlekiem. Mężczyzna mógł lubić oba te napoje osobno, ale nie powinien ich pić jednocześnie. Nie było nic dziwnego w tym, że jagnię zmieniało się w wilka, a wilk łagodniał jak baranek. Gdyby jednak zwierzę próbowało stać się oboma jednocześnie, powstałby dziwny stwór, łagodnie agresywny i agresywnie nieszkodliwy. Nawet mężczyźni darzący kobiety, których prawdopodobieństwo poślubienia było zerowe, mniejszym szacunkiem niż te, które mogłyby poślubić, nie byli w stanie tak jej zaszkodzić, jak te półjagnięta, półwilki. Tacy odczuwali pożądanie wobec tego, co potępiali, i potępiali to, co budziło w nich pożądanie. Poruszali się po kruchym lodzie, kroczyli ścieżką cienką jak włos. Pewnego razu obserwowała dość młodego człowieka o zapadłych policzkach, który robił sztuczki z trzema miedzianymi kubeczkami. Tylko pod jednym z nich krył się koralik, pozostałe były puste. Gdy mężczyzna błyskawicznymi rucha-

195
mi przestawiał kubeczki, koralik zmieniał miejsce położenia, pojawiając się to tu, to tam. Najpierw krył się we wnętrzu pierwszego kubeczka: „Wstydz się pożądania!”. Hop, teraz jest już w drugim kubku: „Wstydz się kobiety, której pożadasz!”. Jednym susem koralik przeskakuje do trzeciego: „Pożądaj kobiety, która powoduje, że czujesz wstyd!”. Prędzej czy później mężczyźni zaczynają patrzeć z pogardą na kobietę, z którą sy-

piają. Aby tego uniknąć, handlarz oliwą nieustannie dodawał do ich związku przyprawy, mające zagłuszyć smak wstydu i pożądania. „Gdy ktoś budzi w nas pragnienia, których nie lubimy, nie czujemy do niego sympatii. Ale jeżeli wciąż go pożądamy, staramy się znaleźć w nim coś, co będziemy mogli polubić” — zanotowała w pamiętniku Błękitna Kochanka, gdy poznała handlarza. Te przyprawy pozwalały na przykład wierzyć w utraconą niewinność. Były rękawiczkami chroniącymi ręce podczas grzebania w najgorszych śmietnikach tego świata. Rękawiczkami z niebiańskiego aksamitu... Z czystego, nieskończonego błękitu...

W koszyku z przyprawami należącym do handlarza oliwą nie było słoiczka z etykietką „Pożądanie”. Znajdowały się w nim rozmaite przyprawy, ale jakimś zbiegiem okoliczności jego ręka trafiała zawsze na słoiczek z napisem „Miłosierdzie”. Wobec Błękitnej Kochanki czuł litość: „tej dziewczyny nie powinno coś takiego spotkać”. Czasem też litował się nad samym sobą: „tego faceta nie powinno coś takiego spotkać”. Często wspominał niejaką Kader, mówiąc o niej jak o sprzedajnej dziwce. Błękitna Kochanka natomiast patrzyła na tę mieszankę miłosierdzia i pożądania jak na kromkę chleba z dżemem, która upadła na ziemię. Traciła apetyt, a z nim spokój. W takich chwilach swoją sytuację porównywała do własnych włosów — z jednej strony miała żonę handlarza pozbawioną skaz i nierówności jak idealnie proste włosy, z drugiej — kobietę lekkich

196
obyczajów, zwaną Kader, raz wznoszącą się, raz upadającą, falującą jak mocno ondulowane loki. Ona kołysała się gdzieś pomiędzy nimi, gotowa przesunąć się w jedną lub w drugą stronę. Na wpół żona, na wpół dziwka. I błękitna, i utrzymanka. Gdy postanowiła ostatecznie opuścić dom, wiedziała, że matce i ojcu będzie przykro, ale jednocześnie nie mogła przestać myśleć, że gdzieś tam w skrytości ducha poczują ulgę. Oboje byli dobrymi ludźmi. Ale nie udawało im się zbyt wiele dobrego wyciągnąć z morza relacji z własną córką, choć co rano cierpliwie zarzucali sieci. Nie lubiła ich miłości, nie znosiła ich troski, choć jednocześnie trudno jej było znieść własną niewdzięczność, nieodwzajemnianie ich uczuć. Mogła się dalej uczyć, gdyby chciała. Mogła przynajmniej skończyć liceum. Ale po tamtym zdarzeniu nie chciała wrócić do szkoły. Blizna na jej twarzy wyrysowała cienką linię graniczną między nią a jej rówieśnikami, między jej wiekiem a wyglądem. Musiała opuścić dom. Bez wątpienia jedynym miejscem, do którego mogła wrócić, był świat dziadka. W Stambule, wśród niezliczonych śladów stóp próbowała dostrzec jego ślady i pójść nimi. Musiała ich odnaleźć. I odnalazła.

Jak ćmy lecące do światła adepti zebrali się wokół swoich szejchów w kilku bractwach rozrzuconych na obrzeżach miasta. Dołączyła do nich. Przez dwa lata nie opuściła żadnego z cotygodniowych zgromadzeń organizowanych jedno po

drugim przez trzy bractwa. Szukała ukojenia w podobieństwie padających tam słów do słów, jakie w dzieciństwie słyszała od dziadka. Nic z tego. Były podobne, ale oznaczały co innego. W końcu zorientowała się, że bierze udział w tych spotkaniach jedynie ze względu na recytowane jedne po drugich zikr¹. Gdy 1 Zikr — litania złożona z imion Boga, element nabożeństw odprawianych w bractwach derwiszów.

197

szejjch przemawiał, siedziała w jednym rzędzie z pozostałymi nowicjuszami, ale zamiast tak jak oni wsłuchiwać się w jego słowa, pograżała się w kompletnej głuchocie. Zamknięte na trzy spusty bramy jej uszu uchylały się dopiero na dźwięki zikr. Lubiła ten moment, gdy zatracala się w nie kończących się ciągach powtórzeń. Nie myślała o znaczeniu słów, lecz tonach melodii, uderzeniach w tamburyn. Wypowiedane rady, podniosłość religijnych hymnów... To były tylko rozrzucone tu i tam oderwane fragmenty. Nie mogła otrząsnąć się z wrażenia niedostatku, wyniszczającego poczucia braku. Po pewnym czasie zaczęła uważać się za obłudną. Jak długo jeszcze będzie próbować stać się jedną z nich, choć być nią nie może? Po każdej zikr żegnała się z pozostałymi nowicjuszami, oddalwszy się od nich o kolejne mile. Tak samo jak nie udało się jej miłością odpłacić za miłość rodziców, tak i nie odnalazła spokoju u boku tych, którzy wskazywali do niego drogę.

Gdy po kolejnym zikr otworzyła oczy i znalazła się znowu w jałowej pustce, wyszeptala do siebie: „Nie potrafię zadowolić się tym, co otrzymuję, bo jestem niewdzięczna”. Po tym stwierdzeniu stało się coś dziwnego. Znikł niepokój, poczuła wręcz odprężenie. Zapadła na nieuleczalną chorobę nękającą tych, którzy jeszcze będąc dziećmi, są świadomi, że przypadło im w udziale wyjątkowo piękne dzieciństwo, chorobę tych, co zaczynają życie przy wysoko ustawionej poprzeczce. Teraz wszystkie piękne rzeczy, jakie się jej przytrafiały, pozostawały poniżej tej poprzeczki. Wszyscy ludzie, których spotykała, nikli w cieniu jej dziadka, nie zdając sobie nawet sprawy z własnych braków. Bo chodziło właśnie o to: o kompletność dobra. Położenie tych, co są szczerze przekonani, że są dobrymi ludźmi, jest jeszcze bardziej beznadziejne niż tych, którzy są po prostu źli, gdyż uważają siebie za pozbawionych wad i ułomności. Wydaje im się, że są jak dom, którego dach nie

198

przecieka, z którego tynk nie odpada, nie ma więc w nim dziur do zatkania, pęknięć do zaszpachlowania. Gdy tych, którzy samych siebie uważali za skończonych i doskonałych, zaczęła uważać za niekompletnych i niedoskonałych — a nie potrafiła przy tym dokładnie określić, z czego wynikały te ich braki — zaczęła czuć coraz większą niechęć do dobrych i ich dobroci. I właśnie wtedy przyszło jej do głowy, że gdzieś w głębi duszy ma skłonność do złego.

Nie upłynęło wiele czasu, jak zerwała wszelkie kontakty

z wszystkimi trzema bractwami. Tego, czego nie znalazła w niezmiennej doskonałości dobrych, postanowiła szukać daleko od nich. Zerwanie z kręgiem wierzących w żaden sposób jednak nie zburzyło jej wiary. Wiara bowiem nie oznaczała dla niej życia według niezmiennych przykazań Bożych ani też włączenia się w społeczność ściśle przestrzegającą reguł, lecz pozostawała pełnym blasku wspomnieniem dzieciństwa. A skoro wspomnienia z dzieciństwa dotyczyły najpiękniejszych chwil w jej życiu, żarliwa wiara wypełniała ją niewzruszenie i niezmiennie. I nawet wtedy, gdy wiara traciła moc w porównaniu z wiarą z dzieciństwa, wciąż było w niej coś dziecięcego.

Teraz jednak nie miała ani drogi powrotu do domu, ani pieniędzy, by iść dalej. Właśnie stała się obiektem zainteresowania ze strony mężczyzn w wieku jej ojca i nie pozostawała wobec tego obojętna. Mężczyźni ci, którzy zdawali się mieć wszystko, nagle dostrzegali w swym życiu braki, i to jeszcze mocniej przyciągało ich do niej. Tak czy siak bycie utrzymanką stanowiło idealny początek oddalania się od monotonnej doskonałości świata dobrych. Najpierw była błękitna, potem stała się kochanką. Bywały okresy, gdy szamotała się między tymi dwoma określeniami, ale w końcu stała się zarówno jednym, jak i drugim — gdy handlarz oliwą wynajął dla niej

199

mieszkanie pod numerem ósmym w Pałacu Cukiereczek. Odkąd płacił za jej mieszkanie, zaczął zachowywać się bardziej grubiańsko. To był taki rodzaj człowieka. Należał do gatunku MDM podrodziny ANCR rodziny NRZNCZI. I odpowiednio do tego się zachowywał.

Na ziemi żyje grupa stworzeń co najmniej równie liczna i co najmniej tak samo skomplikowana jak ludzie: to owady. Opanowały całą planetę i przystosowały się do życia w każdych warunkach. Ich różnorodność jest niewiarygodna. Jeden gatunek może mieć dziesięć, a nawet tysiąc i więcej odmian. Przyjmuje się, że liczba gatunków owadów przekracza milion. Ale świat naukowy mimo tej niesamowitej różnorodności nie rezygnuje z prób ich klasyfikacji. Dzieli je na nadklasy, klasy i podklasy, na nadgrupy, grupy i podgrupy. Na przykład taki kołatek domowy. Należy do gromady owadów, podklasy owadów podlegających całkowitej metamorfozie, podgromady owadów uskrzydłych, rzędu chrząszczy, nadtypu pierwotnych, podtypu sześciopodów. Często rozczarowania, jakie spotykają kobiety w związkach z mężczyznami, biorą się stąd, że ludzie tak samo jak owady podlegają systematyce, a kobiety nie chcą przyjąć do wiadomości, że ich partner też należy do jakiegoś gatunku. Między ludźmi a owadami istnieje jednak różnica: owad nie może zmienić swojego gatunku. Końska mucha na żadnym etapie swojego życia nie może zmienić się w modliszkę. Jest tym, czym jest. Zupełnie inaczej sprawa wygląda z synami Adama i córkami Ewy. Znakiem szczegól-

nym człowieka jest jego zdolność do zmiany swojego gatunku. Systematyka gatunków współczesnego człowieka jest może mniej różnorodna niż prymitywnych owadów, lecz znacznie bardziej skomplikowana. Zdolność przechodzenia z jednej grupy do drugiej to sprawa bynajmniej niełatwa, gdyż każdy bez wyjątku gatunek, aby móc zachować niezmienną formę

200
i kontynuować swą egzystencję, nie tylko stara się zunifikować należących do niego osobników, lecz także skłonić ich do pozostania w niezmienionej postaci. Handlarz oliwą należał do gatunku Mam-Dość-Małżeństwa z podrodziny Ale-Nie-Chcę-Rozvodu rodziny, Nie-Rezygnując-Z-Niczego-Chcę-Żyć-Inaczej. Jakkolwiek na to patrzeć, to gatunek wysoce szkodliwy. — Mogę cię wziąć jako drugą żonę! — oświadczył, sącząc anyżówkę, podczas pierwszego wieczoru spędzonego w tym domu.

Lubił wypić. Lubił wieczorne zakrapiane biesiady. Nie należał do tych, którzy zadowolą się drobną zakąską, plasterkiem sera, kawałeczkiem melona. Chciał, by cały stół był zastawiony wypełnionymi po brzegi talerzami z najrozmaitszymi meze¹. I to bynajmniej nie kupnymi. Wszystkie musiały być przyrządzone w domu. Uwielbiał zwłaszcza kurę po czerkiesku. Tamtego wieczoru, maczając kawałek chleba w tej potrawie, stwierdził:

— Religia zezwala. Można mieć przecież nawet cztery żony pod warunkiem, że będzie się je traktować sprawiedliwie.

Błękitna Kochanka wybuchnęła śmiechem. Handlarz się zirytował. Błękitna Kochanka wstała od stołu. W przeciwieństwie do niego znała całą treść tego wersetu Koranu².

Wyjęła z szafy zwiewną jasnozieloną sukienkę i szybko ją włożyła. Pobiegła do kuchni, zaczęła rozpakowywać przyniesione ze sklepu sprawunki. Najpierw przełożyła do miseczki pastę z ciecioriki i ozdobiła listkami mięty. Potem ułożyła na

1 Meze — zimne przekąski.

2 „Żeńcie się zatem z kobietami, które są dla was przyjemne — z dwiema, trzema lub czterema. Lecz jeśli się obawiacie, że nie będziecie sprawiedliwi, to żeńcie się tylko z jedną albo z tymi, którymi zawładnęły wasze prawice. To jest dla was odpowiedniejsze, abyście nie postępowali niesprawiedliwie” (IV 3, Koran, tłum. Józef Bielawski, Warszawa 1986).

201

półmiskach pozostałe dania: sałatkę z fasoli, pastę z bakłażana, fasolkę w oliwie, kurę po czerkiesku... Rozłożyła sigara bóregi¹ — gdy przyjdzie, wrzuci je na patelnię. Była jeszcze sałatka warzywna z majonezem przysłana poprzedniego dnia przez Madame Babcie za pośrednictwem syna dozorca. Wydało się jej to dziwne. Po raz pierwszy spotkała się z kimś, kto posyłał sąsiadom sałatkę warzywną do spróbowania. Ale handlarzowi oliwą mogła ona przypaść do gustu jako przekąska pod anyżówkę. Może udawać, że sama ją zrobiła. Po raz ostatni rzuciła okiem na talerze, zebrała puste opakowania

i wyrzuciła do śmieci. Zawiązała worek i wystawiła przed drzwiami.

Nagle przypomniała sobie rozmowę z salonu fryzjerskiego. Nikomu o tym nie mówiła, ale jej śmieci także kilka razy znikły sprzed drzwi. Niezdecydowana, przez kilka sekund przyglądała się workowi. Nie dawało jej to spokoju. Zabrała go z powrotem do domu — wystawi go, gdy Meryem zacznie zbierać śmieci.

Przygotowane półmiski z jedzeniem zaniósła do salonu i ustawiła na okrągłym stole nakrytym błękitnym obrusem. Ułożyła serwetki, stanowiące komplet z obrusem, talerze, szklanki. Z lodówki wyjęła butelkę raki, do której wcześniej wrzuciła pokruszone kawałki żywicy mastyksowej. Przeleła jej zawartość do kryształowej karafki z uszkiem w morskim odcieniu błękitu, po czym do miseczki w kolorze ziemi wlała trochę mocno pachnącej oliwy, którą przyniósł handlarz. Posypała ją tymiankiem, czerwoną papryką i bazylią. Wiedziała, że jest jeszcze wcześniej, ale nie mogła się powstrzymać

1 Sigara bóregi — ruloniki z ciasta podobnego do makaronowego, przypominające kształtem cygara, wypełnione farszem ze słonego białego sera, smażone na tłuszczu i podawane na gorąco.

202

przed zapaleniem świeczki w kształcie nenufaru, pływającej w wypełnionej wodą kuli. Z uśmiechem zadowolenia omiotła wzrokiem stół, a następnie cały pokój. Lubiła swój dom. Gdyby tylko nie ten straszny smród...

Zapaliła kadzidełko o zapachu zielonego jabłuszka i ustawiła je dokładnie pośrodku pokoju. Gdy cieniutka smuga dymu powoli się rozpraszala, Błękitna Kochanka obficie rozpyliła perfumy z eleganckiego flakonu z matowego szkła. Ostatnio wydawała na nie połowę swoich dochodów. W miarę jak smród panujący w budynku zyskiwał na sile, jej wydatki na piękne zapachy wzrastały. Coraz częściej wstępowała do perfumerii na końcu głównej ulicy i choć wiedziała, że nie może się równać statusem materialnym z innymi klientkami, właśnie tam kupowała wody pachnące. Najbardziej lubiła nuty owocowe, mieszanki zapachów brzoskwini, arbuza, papai. Nie wiedziała, co to takiego papaja, ale już sama nazwa wydawała się jej urocza.

Butelka perfum starczała zaledwie na dziesięć dni. Spryskiwała nimi wszystko: siebie, pościel, meble, zasłony, maskotki różnych wielkości oraz dyndające tu i tam w całym domu koraliki chroniące przed złym spojrzeniem. Ta rozrzutność kochanki nie umknęła uwagi handlarza oliwą, który poważnie zmniejszył wysokość jej wacikowego. Ale Błękitna Kochanka nawet odrobinę nie zmieniła swoich zwyczajów. Dlaczego tak robiła, nie wiedziała i nie starała się też tego dociec. Była tylko pewna, że gdyby otrzymywała pięć razy więcej pieniędzy niż teraz, kupowałaby pięć razy więcej perfum.

Jeszcze raz przyjrzała się stołowi. Wszystko wydawało się

na swoim miejscu, wszystko było urocze, ładne, subtelne. Wysłała mu SMS-a z pytaniem, kiedy przyjdzie. Czekając na odpowiedź, włączyła telewizor, na ekranie pojawiły się dwie młode kobiety obrzucające się nawzajem nienawistnym wzro-

203
kiem. Jedna z nich, ta w garsonce lilaróż, z poczwórnym sznu-rem pereł na szyi, mówiła, przyciskając ręce do piersi:
— Pogódź się wreszcie z tym, Loretto, że on kocha tylko mnie!

Druga, w sukience przypominającej łąkę pełną stokrotek, szatynka o długich włosach, w które wpięty był kwiat, otwierając szeroko mocno umalowane, szmaragdowo zielone oczy, wycedziła sylaba po sylabie:

— Ale-ty-go-nie-ko-chasz!

— To nie powinno cię interesować, Loretto — odpowiedziała pierwsza, szarpiąc za naszyjnik, jakby chciała go zerwać. — To cię w ogóle nie powinno interesować.

— Odczepcie się wszyscy od tej biednej Loretty... — wymamrotała pod nosem Błękitna Kochanka.

Loretta — to imię przypominało słowo „papaja”, ale nie brzmiało aż tak przyjemnie.

Gdy sięgała po pilota, zapiszczał telefon. Napisał tylko: „Wieczorem”. Wieczór to tak odległa, mgliście rysująca się pora. Westchnęła ze znużeniem i zmieniła kanał. Kobieta w średnim wieku, o pucołowatych policzkach i szerokim czole, z obficie sypiącym się wąsikiem, wymieniała produkty potrzebne do przygotowania zapiekanki ze szpinakiem.

LOKAL NUMER 7

Wyszedłem na balkon i zapaliłem papierosa. Balkon był jedynym miejscem, które lubiłem w tym domu. Nie miał żadnego związku z wnętrzem. Jakby przypadkiem przylepił się do mieszkania i tak został, ale nie należał do niego. Moja obecność zaniepokoiła ceglastoczerwonego owada, który przechadzał się po metalowej barierce, a jego obecność zaniepokoiła mnie. Robactwo było wszędzie. Wyłaziło spod kuchennych szafek, spod lodówki, ze szpar w pękniętych płytkach. Nie potrafiłem określić, gdzie się mnoży. Wiedziałem tylko, że mieszkam z nim w jednym domu.

Przez moment miałem ochotę zadzwonić do Ethel i poprosić ją, by się dowiedziała, czy wczoraj wieczorem po przyjściu do domu rozmawiałem z Ayszin, ale zaraz zrezygnowałem z tego pomysłu. Po tym, jak musiałem ugiąć kolana przed tą dziwką, pokornie znosić wszystkie jej kaprysy, by uzyskać nowy numer telefonu Ayszin, ponowne prośzenie jej o pomoc oznaczałoby tylko dalsze schlebienie jej i tak już monstrualnie rozdętemu ego. Nie chcę znowu usłyszeć: „Przez ciebie stracę najbliższą przyjaciółkę”. Choć moim zdaniem wyświadczył-

205
bym im obu wielką przysługę, przecinając te zarażone gan-

greną więzy przyjaźni.

Te istne papużki nierozłączki spotykały się regularnie od czasów licealnych — nieodmiennie w którejś z kilku ulubionych restauracji. Po zaręczynach Ayszin przekonała najpierw siebie, a potem mnie do wierności tej koszmarnej nużącej rutynie. Ethel zaczęła więc przyprawiać na spotkania swoich kochanków, by zachować równowagę dwie na dwóch. Pojawiali się przy naszym stole jak numerki wypadające w regularnych odstępach czasu z maszyny losującej, każdy zupełnie niepodobny do pozostałych. Co więcej, zastępowali poprzedniego tak szybko, że nie zdążyliśmy nawet odczytać wypisanych na nich liczb. Wówczas związki Ethel były niezwykle powierzchowne, krótkie jak życie motyla, i gdy zdarzył się osobnik, któremu udało się wziąć udział w trzech spotkaniach, byliśmy tak tym zdumieni, że nawet nie staraliśmy się tego ukryć. Ów człowiek stawał się z miejsca obiektem naszego zainteresowania, wynikającego zarówno z uznania, jak i zaskoczenia. Przez trzy i pół roku tej parady Ethel przedstawiła nam najrozmaitszych, odmiennie wyglądających kochanków. Jeżeli łączyła ich jakakolwiek cecha wspólna, była to zapewne niemożność dokończenia tego, co się zaczęło. Wszyscy mieli alergię na to, co tradycyjne, i skłonność do bycia oryginalnym za wszelką cenę, wszyscy mieli ambitne zamierzenia, które z różnych względów porzucali w pół drogi. Przyczepieni do punktu wyjścia, jak przyrosłe do skały małże, rozpaczliwie potrzebowali, by ktoś ich za rękę poprowadził dalej. Ethel co jakiś czas zanurzała w wodzie swoje palce, o pomalowanych na jaskrawy kolor paznokciach, i wyciągała z niej któregoś na chybił trafił. Jeżeli się jej nie spodobał, wrzucała go z powrotem. Stambuł był przecież gigantyczną plantacją takich małży, a ona wprawna ich zbieraczką.

206

Był na przykład pewien nerwowy scenarzysta, młodszy od Ethel przynajmniej o dziesięć lat. Pracował nad scenariuszem, który planował przesłać wyłącznie europejskiemu reżyserowi, najlepiej hiszpańskiemu, gdyż uważał, że z żadnym z tureckich reżyserów nie da się współpracować. Scenariusz był już niemal skończony, ale wciąż brakowało mu finału. Po wychyleniu podczas całej kolacji — od przekąsek zimnych do ciepłych i od ciepłych do dań głównych i aż do deseru i kawy — licznych szklaneczek raki z lodem obaj porządnie się upiliśmy i przy wtórze gderania Ayszin i śmiechu Ethel wymyśliliśmy cztery zupełnie odmienne zakończenia do jego filmu, które wydały się nam równie wstrząsające.

Wśród kochanków Ethel byli też fotograf zionący nienawiścią do wszystkiego, co było związane z czasopismami, dla których pracował, począwszy od redaktorów naczelnych poprzez pracowników, a na czytelnikach skończywszy, zamknięty w sobie specjalista od reklamy, który nie widział niczego nielogicznego w tym, że każdego, kto miał w domu telewizor,

uważał za głupka, miłośnik teatru, dla którego żadne zrealizowane w tym kraju przedstawienie nie było udane i który chodził od drzwi do drzwi, schlebując potencjalnym sponsorom w nadziei, że zdobędzie środki na założenie własnego teatru, soczyście przeklinający satyryk, który zasłynął tym, że przyspieszał upadek każdego pisma, w jakim udało mu się zaczepić, i każdą zaczęłą pracę rzucał w połowie, a nawet lekarz psychiatra, do którego tłumnie chodzili wszyscy parający się piórem i pędzlem, choć było powszechnie wiadomo, że gdy wypije, nie panuje nad językiem i wyjawia sekrety pacjentów... Nie raz i nie dwa przychodziło mi do głowy, że Ethel zaprasza te typy na nasze wspólne kolacje tylko po to, by doprowadzić Ayszin do szału. Jeżeli tak było rzeczywiście, udawało się jej osiągnąć cel. I choć Ayszin nigdy nawet przez myśl nie prze-

207
szło, by z tego powodu zakończyć przyjaźń z Ethel, z wyraźną niechęcią przyglądała się życiu przyjaciółki. Wyczuwała również, że we mnie to także budzi ukryty sprzeciw. Jednak nie wiedziała, że dla mnie nie stanowi to żadnej przeszkody, by z taką kobietą się przespać.

Sama Ethel była dla tych facetów poważnym niebezpieczeństwem. Pomagała im, sypała gotówką i z zapalem podsyciała płomień rozterek gorejący w drewnianym pałacyku ich osobowości: „Czy w innych warunkach byłbym taki, jaki jestem?”. Do tej pory z różnych powodów nie robili tego, co chcieli, ale świadomi, że są, jacy są, godzili się ze swym losem. Tymczasem nagle na jakimś zakręcie życia natykali się na Ethel i zaczęli być dla kogoś ważni, ktoś zabiegał o ich względy. Natychmiast wówczas zarzucali dawne projekty i rozpoczynali zupełnie nowe, bardziej ambitne. I w tym momencie Ethel niespodziewanie, bez żadnej przyczyny rzucała ich, tak jak przed laty robiła to z gośćmi odwiedzającymi jej dom. Kochanków, których odmieniła, mężczyzn, których własnymi rękami ukształtowała, już nie kochała. Tak jak nie kochała siebie. Znalazł się jednakże wśród nich ktoś, kogo wyróżniała. Był neyzenem¹. W okresie gdy wywiązała się dyskusja na temat dopuszczalności z punktu widzenia religii udziału w jednej ceremonii mężczyzn i kobiet i wielbiciele najświętszej mevlevihane² w Stambule podzielili się na dwa obozy, on, starając się zachować dystans wobec obu grup, wycofał się z czynnego życia. Odtąd przez pół dnia uciekał w sen, a przez drugie pół starał się uwolnić od tego, co mu się podczas snu

1 Neyzen — muzyk grający na ney, długim flecie używanym w klasycznej muzyce tureckiej, a także muzyce towarzyszącej ceremoniom w bractwie wirujących derwiszów.

2 Mcvlevihane — miejsce, gdzie odbywają się ceremonie członków bractwa wirujących derwiszów.

208

przyśniło. W której połowie dnia Ethel go spotkała, w jakich okolicznościach go poznała? Nie mam pojęcia. Wiem tylko,

że znowu zanurzyła rękę w wodzie, wyłowiła kolejnego małża i gdy rozchyliła jego muszlę i z ciekawością zajrzała do wnętrza, czekała tam na nią niezwykła niespodzianka: skromniutka perełka! Przez pewien czas traktowała go tak samo jak pozostałych: wsparcie finansowe, nadmierna troskliwość, przytłaczające uwielbienie... W przeciwieństwie jednak do tamtych w charakterze i postępowaniu wiecznie zaspanego, toczącego nieprzytomnym wzrokiem derwisza o długim nosie nie nastąpiły żadne zmiany. Nadal największą jednostką w jego systemie czasu był dzień. Ilekroć Ethel próbowała poczynić jakieś plany, wspominała na przykład o wyjeździe za tydzień na wycieczkę albo o ślubie na wiosnę, otrzymywała od ukochanego jedną i tę samą odpowiedź: „Niech ten dzień nadejdzie, to się zobaczy!”. Nie gonił dni, nie chwycił ich, to one przychodziły do niego i każdy coś mu przynosił. Nigdy nie spotkałem kogoś tak pozbawionego jutra, planów, pragnień. I był to jedyny tak nastawiony przeciwko tarikatom członek tarikatu¹. Gdyby tak nagle nas nie opuścił, jestem przekonany, że zrzuciłby mnie z tronu w haremie Ethel.

— Zatrzymaliśmy się na brzegu morza. Zanurzyliśmy z Ethel nasze stopy w wodzie. Mówisz mi: „Popłynij z tamtą, pięćdziesiątą piątą falą przed nami! Patrz, jakie te fale piękne!”. „Którą?” — pytam. Ale nim zdążyłem zadać pytanie, wskazana przez ciebie fala już zmieniła miejsce. Już nie jest w miejscu, o którym mówiłaś. Teraz nie jest już pięćdziesiątą piątą, lecz może trzydziestą piątą. Jest coraz bliżej. Zdażała przecież w naszym kierunku. Płynęła ku nam i na pewno coś niosła ze sobą. Teraz masz dwie możliwości: albo wskoczysz 1 Tarikat — nazwa bractw mistycznych w islamie.

209

do wody i zapominając o falach, staniesz się kroplą wśród nich, albo pozostaniesz na brzegu i będziesz czekać. Będziesz patrzeć, jak fale uderzają o niego i się rozbijają. Każda wówczas na twoich oczach zamieni się w krople. Życie, jeżeli ma mieć jakiś sens, można przeżyć na dwa sposoby: albo dasz mu się zniszczyć, albo zniszczysz je w sobie.

Biedna, podła Ethel, przez którą wielu mężczyzn tyle wycierpiało, słuchała tych słów, zupełnie ich nie rozumiejąc i rzucając mi rozpaczliwe spojrzenia, kopała mnie pod stołem. Wszelkie niuanse świeckich języków potrafiła wyłapać w mgnieniu oka, wobec tych mistycznych abstrakcji jednak była bezradna jak dziecko. Po pewnym czasie zaczęła mieć żal do siebie. Powinna była poznać ten język. Gorzko żałowała, że niegdyś pogardzała opowieściami swojej babci i nie zgłębiła żydowskiego mistycyzmu. Aby ukochany nie zorientował się w jej niedostatkach, zaczęła czytać jak szalona. Zainteresowanie kabałą miało się stać mostem, który połączyłby ją z jego opowieściami. W torebce zawsze miała kilka książek i koniecznie tom Mesnevi. Często zaglądała do zramolałego antykwariusza, prowadzącego księgarnię w pobliżu uniwersy-

tetu, i rozmawiała z nim szeptem na zapleczu, jakby poszukiwała jakiegoś tajemniczego manuskryptu. I za każdym razem wychodziła od niego z torbą pełną książek. Tak szaleńczo się zakochała, że była gotowa zmienić hurtem całe swoje życie, wyjechać dokądkolwiek, dokąd ukochany chciałby pojechać, a nawet osiedlić się gdzieś. Jak czarna wrona unosząca się beztrusko w powietrzu dostrzegła nagle z wysokości, że coś świetliście błyszczącego leży na ziemi. Chciała to porwać i zabrać, wywieźć kochanego gdzieś daleko i mieć go tam tylko dla siebie. „Dlaczego nie wyjadą, by przez kilka lat podróżować po najbardziej mistycznych miastach świata? Dlaczego nie odwiedzą Jerozolimy, Tybetu, Delhi, nie wyprawią się na poszu-

210
kiwania zaginionych grobów Damaszku?" Widziałem wielu, którym miłość odebrała rozum, ale Ethel straciła nawet własne ja. Gadała na okrągło. I choć z jej ust płynął nieustanny potok argumentów i obietnic, nie zdołała przekonać swego jedyne go wybranka do egzotycznych podróży. Słowo „wyjazd" budziło w łagodnym derwiszu odczucia podobne do tych, jakie w kocie budzi wyraz „kapiel".

Okazało się jednak, że temu tak niechętnemu do przemieszczania się młodemu człowiekowi bardzo spieszo było wybrać się na tamten świat. Stał się jedną z czterech ofiar bomby, która umieszczona w koszu na śmieci, wybuchła na tydzień przed nadejściem Nowego Roku w alei Niepodległości¹, a do której podłożenia nie przyznała się żadna organizacja. Nie sądzę, by Ethel po czyjejkolwiek śmierci tak bardzo płakała. Nawet rodziców. Może tylko po samobójstwie brata, który zabił się, gdy miała czternaście lat...

Dwa tygodnie później Ayszin i ja pobraliśmy się. Ethel przyszła na ślub sama.

Dzień przed ślubem leżała na łóżku zupełnie naga, bezwstydnie demonstrując swoje grube i zaborcze, monstrualne i niekształtne ciało i zmuszając mnie do patrzenia na nie. Gdy jej ciało zmieniało się w mlecznobiałą górę mięsa, czerwona-we, porośnięte włosami znamię, rozlewające się od punktu położonego na grubość jakichś trzech palców poniżej szyi aż do piersi, stawało się jeszcze bardziej widoczne. Mogła przecież kazać je usunąć. Tak samo jak mogła odessać sobie tłuszcz, skorygować nos, poprawić to czy tamto jak inne. Kobiety tak bogate, a jednocześnie tak brzydkie jak Ethel wydawały krocie

1 Istiklal Caddesi — główna ulica dzielnicy Taksim w części Stambułu, zwanej Beyoglu.

211

na operacje plastyczne, kosmetyki, kliniki, byle tylko stać się piękne. Ethel zaś cały swój majątek przeznaczyła na pielęgnowanie brzydoty. Nie próbowała jej pokonać, nie starała się też jej ukrywać, zasłaniać, maskować, ozdabiać. Szafy wnekowe w jej sypialni, ciągnące się wzdłuż dwóch ścian, miały drzwi pokryte lustrzanymi taflami. Po seksie wyciągała się na łóżku

i przyglądała swojemu odbiciu. Czasem z takim apetytem, że byłem ciekaw, cóż tam dostrzega. Ekspozując swoje ciało, nie zachowywała się jak kobieta, która chce zobaczyć, jak bardzo jest pożądana, ale raczej jak mężczyzna pożądanym tego, co widzi. Nie interesowało jej to, czy się podoba, czy nie. Chciała się obnażyć, wywołać lęk. Ofiary ekshibicjonistów uciekają z krzykiem, ofiary Ethel natomiast same przychodziły do jej sypialni. Oczywiście zdarzały się wyjątki. Na przykład Derwisz i ja.

— Mój drogi, popełniasz duży błąd. Będziesz tego żałował. Pojęłam wreszcie, że nie spotkam już nikogo lepszego od ciebie. Problem polega na tym, że ty jeszcze nie rozumiałeś, iż nie znajdziesz nikogo lepszego ode mnie. Ale co robić, poczekamy. Idź, dokąd chcesz, złap jeszcze tamtą czy ową za tyłek, potknij się jeszcze z pięć, dziesięć razy. W końcu i tak przyznasz mi rację — mówiła z przekonaniem. — A potem będziesz walił głową w ścianę. „Jaka szkoda, że nie ożeniłem się z Ethel”. Och, patrz, wyrzyłam to tutaj — wyszczerzyła w uśmiechu zęby, drapiąc ze zgrzytem stoliczek długimi paznokciami pokrytymi granatowym lakierem z brokatem. Do jaśminowej fifki, którą stale gubiła i stale zastępowała nową, wetknęła papierosa i czekała, aż podam jej ogień.

— Dlaczego? Bo jesteś najbogatszą kobietą, jaką kiedykolwiek pisane mi było poznać?

Gdybym znał dokładny spis jej majątku, zapewne bym tego nie powiedział. Choć bogacze tego nigdy nie zrozumie-

212
ją, w umysłach niebogaczy istnieje pewien poziom, powyżej którego pieniądze ulegają jakby paraliżowi. Niezależnie od tego, ile ich jest naprawdę, powyżej pewnej kwoty zawsze jest ich tyle samo: dużo! Jak w ustach opowiadacza bajek liczba tysięcy niezmiennie oznacza nierealnie dużo, choć może dotyczyć zarówno kupca prowadzącego karawanę ośmiuset wielbłądów, jak i tego, który ma ich tysiąc czterysta, tak w moim umyśle Ethel była posiadaczką tysięcy.

— Nie, mój drogi! Nie dlatego, że jestem bogata, lecz dlatego że jestem zła. Oczywiście nie tak zła jak ty, ale przecież nie można być mniej czy bardziej złym, nieprawdaż? To nie mąka, żeby odmierzać zło szklanką. Pozwól, że ujmę to tak: i w tobie, i we mnie jest ten sam zaczyn. Ale biedna Ayszin nie jest jedną z nas. Zgoda, ją też trudno uznać za dobrego człowieka, ale za złego też nie. Co najwyżej za panienkę z kapryсами. Towarzyska śmietanka, jedyne dziecko, ukochana córeczka. Piczka-zasadniczka. Muszę przyznać, że bywa czasem nudna, ale na pewno nie ma złych intencji. Ty ją zamęczysz. I wiesz, co jest w tym najbardziej smutne? Ty będziesz ją dręczył, a ona będzie się starała bronić. Najpierw znajdzie błyskotliwe riposty, a potem jak trzepocący skrzydłami ptak będzie się miotać, zalewać łzami, myśleć, że spotkała ją krzywda. Gdy ty będziesz sprawiał jej przykrość, ona nie będzie rozumiała, że

problemem wcale nie jest to, o czym tak zawzięcie dyskutujecie, że temat nie ma tu żadnego znaczenia. Doskonale wiesz, że Ayszin jest z tego rodzaju ludzi. Z tych, co to wierzą w Boga, choć nigdy nie widziały szatana...

Ethel uwielbiała to wyrażenie. Myślę, że podchwyciła je od któregoś z tamtych błyskotliwych facetów. Może od Derwisza. Ale świetnie brzmiało w jej ustach. Ci, co wierzą w Boga, choć nie widzieli szatana, obłamują gałęzie pełne owoców w ogrodzie, w którym jedynie zrządzeniem przypadku przyszło im

213
się urodzić, którzy są przekonani, że żyją w najlepszym miejscu na świecie, choć nigdy nie zainteresowali się, skąd wieje wiatr tarמושący kwiaty na klombach, i ani razu nie wystawili nosa poza płot otaczający ogród. Nie są ciekawi tego, ile pokoi czy wyjść ma dom, w którym mieszkają. Choć dzień i noc słyszą stukania, nie uznają za stosowne zejść na dół i otworzyć zamkniętą na klucz kłapę prowadzącą do piwnicy. Uważają, że skoro znają prawdę, wszystko, co robią, jest słuszne. Ethel miała rację. Ayszin była jedną z nich.

Przykre było zwłaszcza to, że podczas naszego małżeństwa nader często przypominałem sobie te słowa Ethel, choć aby nie pieścić jej ego, i tak już nazbyt wybujałego, nigdy jej tego nie wyznałem. Pijąc z nią razem wczoraj wieczorem, zachowałem się nieostrożnie i wymusnęło mi się kilka banalnych wyznań. Ethel wysłuchiwała ich z zadowoleniem, potem wstała i zataczając się, poszła do toalety. Gdy szła, obserwowałem jej wielki tyłek. Myślę, że o tym wiedziała. Najbrzydszy tyłek, jaki w życiu widziałem. Nie dający się z żadnej strony uchwycić, nie pasujący do niczego. Rozlewający się jak galareta. Widziałem tyłki grubsze, jeszcze bardziej niekształtne, z cellulitisem, wypryskami, ranami, włosami wyrastającymi w nadmiarze lub w niewłaściwych miejscach... Ale wszystkie one miały w sobie coś podniecającego. Tylko tyłek Ethel nie. Ani trochę. Gdy wróciła do stolika, podjęła opowieść o swych uniwersyteckich planach w miejscu, w którym ją przerwała. W końcu wyszło sztydło z worka. Złożyli propozycję także Ayszin. I przyjęła ją. Ethel doskonale wiedziała, że choć bardzo potrzebuję pieniędzy, nie będę pracował w tym samym miejscu co Ayszin, a mimo to nalegała:

— No, mój miły, choć raz w życiu mnie posłuchaj. Zgódź się pracować na tej uczelni. Filozofuj sobie, ile chcesz, nikt się nie będzie wtrącał. Zrobimy wszystko dla twojego mózgu!

214
Poczułem mrowienie — słowo „mózg” w ustach tej zdiury wywoływało nieprzyzwoite skojarzenia. Dziwne, w czasie mojego małżeństwa z Ayszin regularnie spotykałem się z Ethel, ale od rozvodu ani razu się nie przespaliśmy. Nie pamiętam, z jakiego powodu wczoraj nie wróciliśmy razem. Nie wiem nawet, jak dotarłem do domu. Może w ostatniej chwili Ethel wykręciła się, odegrała jakąś scenę? Nie wydaje mi się. To nie

byłoby w jej stylu. Zapewne widziała, że jestem kompletnie zalany, i odwiozła mnie. To bardziej do niej podobne. Oparłem nogi o balustradę balkonu i zapaliłem jeszcze jednego papierosa. Ceglasczerwony owad znalazł się pod moją stopą. Miał okazję uciec, ale nie zrobił tego. Na dole sucha czarniawa kobieta cisnęła worek ze śmieciami pod murek. Z któregoś z dolnych pięter dobiegł wrzask. Kobieta przez kilka sekund stała nieruchomo, po czym jakby nigdy nic odwróciła się i poszła. Nie lubię tego domu. Muszę się stąd wyprowadzić. Może trochę też doszukuję się podobieństw między sobą a Cukiereczkiem. To sfrustrowany budynek bezskutecznie tęskniący za dawnym dobrobytem. Muszę się przeprowadzić, tylko nie mam pieniędzy. W czasie małżeństwa podzieliliśmy się z Ayszin obowiązkami, czego bezsens dociera do mojej świadomości dopiero teraz. Ponieważ nasze mieszkanie należało do jej rodziców, czyli do niej, ja pokrywałem pozostałe wydatki. Co za głupota! Teraz nie mam nic odłożonego. Wobec nieoczekiwanych wydatków i konieczności płacenia czynszu moje zarobki są po prostu śmieszne. Oczywiście zawsze mogę pożyczyć pieniądze od Ethel, ale nie chcę. Taki ruch naruszyłby istniejącą między nami równowagę. Muszę znaleźć inne źródło dochodów. Muszę jak najszybciej zacząć zarabiać.

LOKAL NUMER 6

— To nie powinno cię obchodzić, Loretto!

— Nie! — zachnęła się kobieta przystrojona w stokrotki, mrużąc ze złości oczy.

— Co obchodzi jego, obchodzi także mnie. Co obchodzi jego, obchodzi także mnie — powtórzyła JegoŻonaNadia, starając się akcentować słowa dokładnie tak samo.

Telenowela, którą oglądała, nosiła tytuł Oleandry namiętności i była emitowana od dwóch i pół miesiąca w każdy dzień powszedni po południu. Na początku dawali ją przed wiadomościami, ale gdy okazało się, że ma niską oglądalność i nic nie wskazuje na to, by się miała podnieść, pośpiesznie zmieniono godzinę emisji. Jej miejsce zajęła inna telenowela, znacznie bardziej atrakcyjna. Ten drugi serial, któremu udało się nie podzielić losu swojego poprzednika, cieszył się dużą popularnością i było o nim głośno. Występujący w głównych rolach aktorzy przyjechali nawet do Stambułu i po konferencji prasowej rozdawali autografy fanom. Ale JegoŻonyNadii to nie interesowało, tak jak nie interesowały jej telenowe emitowane na innych kanałach. Interesowały ją wyłącznie Oleandry namiętności.

216

Każdego popołudnia o tej samej porze zasiadała na kanapie o obiciu w bordowe wzory na granatowym tle, którego wymianę stale odkładała, i oglądała serial, zajmując się jednocześnie czymś innym. Zależnie od dnia, a to brała w ręce miskę i przebiarała fasolę albo ryż, a to przeglądała albumy z dawnymi fotografiami, a to ze swoim ograniczonym tureckim usiłowała

rozwiązać krzyżówkę w gazecie, a to czytała jeszcze raz listy od swojej ciotecznej babki lub pisała do niej. Czasem jednak miska w jej rękach stawała się zbyt ciężka, krzyżówki nie dawało się dalej rozwiązać, a monotonia bijąca z listów znudziła ją. W takich momentach JegoŻonaNadia biegła do kuchni i przynosiła kilka ziemniaków. Oglądała serial, a jednocześnie zajmowała się robieniem kolejnej lampki z kartofli. W całym mieszkaniu było ich pełno, ale nie potrafiła powstrzymać się przed robieniem nowych, właściwie zbędnych, bo w Pałacu Cukiereczek nieczęsto wyłączali prąd.

Powodów tego, że nie mogła oglądać Oleandrów namiętności, nie robiąc jednocześnie czegoś innego, było kilka. Po pierwsze, serial wydawał się jej tak straszliwie nudny, że nie mogła śledzić jego akcji bez dodatkowego skupiania uwagi na czymś innym. Po drugie, zmniejszało to dyskomfort, jaki odczuwała na myśl, że stała się nałogowym widzem serialu, którym otwarcie gardziła. Ale co najważniejsze, zajmowanie się czymś innym było dla niej dowodem na to, że nie tylko serial, lecz także jego główna bohaterka Loretta nic dla niej nie znaczą.

Podobnie jak inne telenowele Oleandry namiętności były emitowane wyłącznie w dni powszednie. W dołączanych do gazet dodatkach z programem telewizyjnym zamieszczano najczęściej obszernie zapowiedzi tego, co wydarzy się w następnych odcinkach seriali puszcanych w weekend, oraz artykuły o prawdziwym życiu ich bohaterów, bogato okraszone zdjęciami

217
mi. Ani Oleandrom namiętności, ani Lorecie nie poświęcono tam do tej pory nawet jednej linijki tekstu. Nie kończyło się zresztą na gazetach. Wśród znajomych JegoŻonyNadii nie było nikogo, kto byłby stałym widzom serialu, ba, nie było ani jednej duszyczki świadomej jego istnienia. Jakby cały naród zmówił się i postanowił udawać, że Oleandrów namiętności po prostu nie ma. JegoŻonaNadia nie była zadowolona z tego, że nikt nie traktuje Loretty poważnie. Wstępnym warunkiem lekceważenia czegoś jest bowiem posiadanie przez to coś znaczenia. Jest to możliwe jedynie wtedy, gdy inni traktują to poważnie. A w tej sytuacji patrzenie z góry na Lorettę nie było żadną przyjemnością i w dodatku nie miało sensu. Swoje opinie JegoŻonaNadia zachowywała dla siebie. Nikt nie wiedział o jej serialowej słabości. Nawet mąż. Ale przecież właśnie on nie powinien o tym wiedzieć.

Nie miała jednak żadnych pretensji, że dodatki telewizyjne nie wspominają o tym, co wydarzy się w kolejnych odcinkach Oleandrów namiętności. Nie ciekawiły tak bardzo, gdyż już w pierwszych odcinkach widzowie poznali najważniejsze sekrety bohaterów. Ale może najistotniejszą sprawą podczas oglądania serialu nie było poznanie jego z góry wiadomego zakończenia, lecz obserwowanie rozwoju akcji. Wychodziło na to, że jedyną osobą, która nie zdawała sobie z niczego sprawy, by-

ła sama Loretta. W pożarze, który wybuchł w piątym odcinku, straciła nie tylko pałacyk i status jaśniepani, lecz także pamięć. Nie potrafiła przypomnieć sobie, kim jest. Aż do jedenastego odcinka obcą kobietę brała za swoją matkę i nie zorientowała się, że ujrzany na zdjęciu w gazecie słynny lekarz był kiedyś — iw gruncie rzeczy nadal jest — jej mężem. Stan niewiedzy się pogarszał, dlatego wkrótce miała znaleźć się w szpitalu. A to powodowało dalsze komplikacje, gdyż lekarz będący jej mężem/mąż będący lekarzem pracował w tej samej klinice.

218

No ale wiedza o tym, o czym Loretta nie wiedziała, sprawiała Jego żonieNadii przyjemność. Gdy Loretta po tysiącu i jednym nieszczęściu już, już zbliżała się do poznania prawdy o sobie i nagle zawracała z tej drogi, JegoŻonęNadię ogarniała zraża jak kwas satysfakcja. W takich chwilach jej własne życie niepostrzeżenie mieszało się z serialowym, a Loretta była wspólnym punktem tych dwóch światów, stanowiła łączące je drzwi. Ciałem znajdowała się w życiu z serialu, głosem — w świecie Jego żony Nadii. W rezultacie istniały dwie kobiety: wcielająca się w postać Loretty południowoamerykańska aktorka i Turczynka, która w dubbingu użyczyła jej głosu. Żadna z nich nie miała na imię Loretta, ale w umyśle Jego żony Nadii obie się z nią utożsały. JegoŻonaNadia z południowoamerykańską aktorką nie miała nic wspólnego. Jej głównym obiektem zainteresowania, jej rozmówcą nie była Loretta widziana, lecz Loretta słyszana. Od dawna śledziła ten głos, głos pozbawiony postaci. Mięciutki, płynny, który rodził się gdzieś w rzepce kolana, pokrytej chropowatą skórą w morelowym odcieniu... Ale gdy oglądała Oleandry namiętności, słyszany głos i widziana postać z łatwością nakładały się na siebie, a że każdy głos potrzebuje postaci, a wróg — ciała, dlatego nieświadomie zmieniała obiekt zainteresowania i całą złość, jaką obdarzała kobietę użyczającą Loretcie głosu, kierowała na południowoamerykańską aktorkę. W takich chwilach nie mogła się powstrzymać od patrzenia kosym okiem na to, co działo się na ekranie. Przyłapywała się na tym, że sceny, gdy Loretta wpadała w kłopoty, wprawiały ją w radosny nastrój, te zaś, gdy wszystko układało się dobrze, psuły jej humor.

Ekranowa Loretta była szczupłą, długonogą szatynką o zielonych oczach. Gdy płakała, po jej policzkach spływały łzy °krągłe jak ziarenka grochu. Jeżeli chodzi o kobietę, która uży-

219

czała Loretcie głosu, Jego żona Nadia nie była w stanie określić, do kogo była podobna, gdyż wtedy, gdy się spotkały, nie widziała dobrze jej twarzy i jak przez mgłę pamiętała jedynie zarys postaci. Przypuszczała, że jest to jedna z tych piękności, których uroda ulatnia się szybko jak podpalona słoma. Teraz być może jeszcze lśni młodzieńczą świeżością, ale wkrótce, najdalej za pięć lat, straci cały swój blask. A gdy ten dzień

nadejście, będzie musiała się ustatkować, przestanie uganiać się za żonatymi facetami. Pięć lat to jednak na tyle długi okres, że Jego żona Nadia, myśląc o tym, co się w tym czasie może wydarzyć, zaczynała się porządnie niepokoić.

O istnieniu głosu Loretty dowiedziała się trzy miesiące temu. To był czysty przypadek. Tamtego nieszczęsnego dnia rano przygotowywała w kuchni aszure. Od przyjazdu do Turcji bardzo udoskonaliła swoje umiejętności kucharskie. Wciąż jednak nie udawało się jej przygotować aszure, jak chciała, to znaczy tak, jak chciał Metin Twardziel. Niezliczone próby kończyły się zawsze tak samo: albo nie utrafiła z ilością cukru, albo dodała zbyt dużo któregoś ze składników, albo dodawszy wszystkiego dokładnie tyle, ile trzeba, popełniała jakiś błąd podczas gotowania i potrawa nie uzyskiwała właściwej konsystencji. W momencie gdy uznawała, że aszure wystarczająco długo się gotowało, zdejmowała garnek z ognia i wykladała danie do miseczek z różowego matowego szkła. Gdy wystygło, z nadzieją, że tym razem wyszło tak, jak powinno, każdą miseczkę powoli i starannie ozdabiała ziarenkami granatu. Na początku nieco przesadzała z tym dekorowaniem. Nie wystarczały jej tradycyjne wiórki kokosowe, prażone orzechy laskowe i cukier puder. Skrapiała aszure kilkoma kroplami koniaku lub układała na wierzchu wiśnie w rumie. W owych czasach od sposobu, w jaki Turcy jedzą aszure, bardziej ją interesowała legenda związana z tą potrawą.

220

Aszure było bowiem symbolem dokonania czegoś niemożliwego. Ugotowały je żywe stworzenia, które parami weszły na pokład arki Noego, aby uciec przed katastrofą. Zrobiły to, gdy otoczone ze wszystkich stron wodą, zużywszy już wszystkie zapasy pożywienia, doszły do kresu wytrzymałości. Każdy rodzaj zwierzęcia przyniósł okruszki, które mu zostały, i tak z mieszanki składników, uważanych za kompletnie niepasujące do siebie, powstało to wspaniałe danie. Nie tylko nie było wiadomo, jak się je gotuje, ale nie było nawet jednego określonego przepisu. Zawsze można było jeszcze coś dodać. Dlatego aszure tak różni się od innych deserów. Nie jest ograniczone konkretnymi składnikami ani dokładnymi proporcjami. Przypomina kosmopolityczne miasto, w którym cudzoziemcy mogą czuć się jak w domu, a nowo przybyli szybko mieszają się z tubylcami. Jest brakiem ograniczenia, wynikającym z właśnie ograniczonych możliwości, obfitością zrodzoną z niedostatku, różnorodnością wyrastającą z zawężonego wyboru.

JegoŻonaNadia w liście do swej ciotecznej babki, której nogi były całe pokryte fioletowymi żyłkami i rudawymi włosami, pisała, jak bardzo zmieniła się od przyjazdu do Turcji i ile czasu poświęca gotowaniu. W końcu stwierdziła, że powoli przyznaje jej rację, iż istnieje więź między potrawami a wersetami Ewangelii. Cioteczna babka była znakomitą kucharką, a jednocześnie głęboko wierzącą kobietą. Skoro „królestwo

niebieskie podobne jest do zaczynu, który pewna kobieta wzięła i włożyła w trzy miary mąki, aż się wszystko zakwasiło" (Mt 12, 331), uważała, że obie te rzeczy są tym samym. Dania, które ugotowała dla rodziny, stawiała na stole Pana i gdy dzieci pałaszowały je, była szczęśliwa, jakby to Jego nakarmiła.

1 Cyt. za: Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Pallottinum, Poznań-Warszawa 1971.

221

— W każdym zjedzonym posiłku kryje się słowo Boże!

— mawiała. — Oczywiście z wyjątkiem tych przygotowywanych na łapu-capu, wynalezionych przez bałaganiarzy, którym wydaje się, że zaniedbując dom, stają się wolne, a nad spełnianie Bożych przykazań przedkładają spełnianie zachcianek dzieci.

JegoŻonaNadia pisała też, że jeżeli wśród potraw z całego świata jest jakaś, która przypomina opisywaną w Starym Testamencie wieżę Babel, to jest nią aszure. Jak w wieży Babel w garnku z aszure spotykają się rzeczy, które nigdzie indziej się nie spotykają, i mieszają się, nie stapiając jednak ze sobą. I jak budowniczowie wieży zaczęli mówić każdy swoim językiem, tak składniki potrawy, tworząc wspólny smak, nie tracą przy tym własnego. Wyjęta z gotowego aszure figa wciąż smakuje jak figa, choć tak długo ją gotowano. Wrząca w garnku potrawa bulgoce jednogłośnie, choć każdy jej składnik robi to we własnym języku.

Dlatego do przepisu można nieustannie dodawać nowe składniki. Skoro wrzucano cieciorkę, można było też dosypać kukurydzy. Skoro były tam figi, znalazło się miejsce także na śliwki. Obok moreli gotowały się brzoskwinie, obok ziarenek ryżu — ęehriye1... Przez pierwsze miesiące od wprowadzenia się do Pałacu Cukiereczek JegoŻonaNadia z upodobaniem, którego przyczyny nie była w stanie określić, oddawała się tego rodzaju eksperymentom. Niestety za każdym razem napotykała mur niechęci ze strony Metina Twardziela i wkrótce jej odwaga w tym zakresie się wyczerpała. Cokolwiek głosiła legenda, aszure było wyjątkowo konserwatywną potrawą. Niełatwo akceptowało nowości. W dodatku cioteczna babka, która nigdy w życiu nie ugotowała aszure, musiała też być te- l ęehriye — makaron w kształcie ziarenek, dodatek do pilawu.

222

go zdania, bo w swoim liście uznała za stosowne pouczyć jego żonę Nadię, że jak nie można według własnego uznania zmieniać wersetów z Pisma Świętego, tak samo nie można według swego widzimisię bawić się przepisami na zrodzone z tych wersetów dania. JegoŻonaNadia zrezygnowała w końcu z eksperymentów i zaczęła przygotowywać potrawę zgodnie z przepisem. Ale być może jej umysł wciąż był zaprzątnięty nieskończoną różnorodnością składników, gdyż nie udawało się jej uzyskać pożądanego rezultatu.

Tamtego dnia jednak, tamtego nieszczęsnego dnia ugoto-

wane aszure jakoś przypadło jej do gustu. Odstawiła garnek, by potrawa wystygła, przyszykowała miseczki z różowego mrożonego szkła i zaczęła z niecierpliwością czekać na męża. Miała nadzieję, że tym razem wszystko się udało i aszure zyska jego uznanie. Czekając, zauważyła brak cuchnącej skórą torby w kolorze bursztynu. Mogło to oznaczać tylko jedno: Metin Twardziel, skończywszy wieczorem jedną pracę, wybierał się do drugiej. A powrót z drugiej mógł nastąpić w najlepszym razie około północy. Sukces w gotowaniu aszure wprowadził JegożonęNadię w takie podniecenie, że stwierdziła, iż nie może tak długo czekać, by poznać jego opinię. Postanowiła więc zrobić coś, czego nigdy jeszcze nie robiła: pojechać do Metina Twardziela do pracy i zawieźć mu aszure.

Choć przyjechała do tego miasta już cztery lata temu, Stambuł wciąż był dla niej wielką niewiadomą. Tak niewiele miejsc widziała, że zupełnie się nie orientowała w kierunkach. Niewiedza dodała jej jednak śmiałości. Wprawdzie przejazd przez most i dotarcie do studia znajdującego się po azjatyckiej stronie zajęło jej dwie godziny, ale odnalezienie adresu poszło już nadspodziewanie łatwo. W portierni przy wejściu zostawiła dokument tożsamości, spytała o drogę w informacji, wsiadła do windy, wjechała na piąte piętro, stanęła przed drzwiami po-

223
koju numer 505 i zajrzała do środka. Metin Twardziel siedział tuż obok młodej kobiety. Jedną rękę trzymał na jej kolanie, pokrytym jak wstydliwą raną chropowatą skórą w morelowym odcieniu, w drugiej zaś miał małą filiżankę kawy. Obracając filiżanką i przewracając oczami, wróżył z fusów. Wróżba musiała być chyba pomyślna, bo kobieta uśmiechała się, a na jej policzkach widać było dołeczki. JegoŻonaNadia z zaskoczenia nie mogła oderwać wzroku od męża, toteż nie przyjrzała się dokładnie kobiecie. Tym, co wprowadziło ją w takie zakłopotanie, była nie tyle zażyłość, jakiej stała się świadkiem, ani nie fakt, że została zdradzona, lecz malujący się na twarzy Metina Twardziela wyraz niezwykle łagodności. Nawet fakt istnienia tej kobiety, ręka męża pieszcząca jej kolano nie wydały się jej tak okropne, jak ta czułość na twarzy.

Do tej pory wybaczała Metinowi Twardzielowi wszystkie doznane od niego przykrości, znosiła cierpliwie jego zazdrość, chamstwo, a nawet policzki, bo wierzyła, że robił to bezmyślnie, a więc niechcący. Tak, mąż czasami, to znaczy bardzo często, źle ją traktował, ale robił tak, bo nie wiedział, że można inaczej się zachowywać. „Gdyby mógł, nie robiłby tak! Robi tak, bo nie może inaczej!” Trwanie w złym małżeństwie jest jak modlenie się do głuchego bóstwa — nie wynika z upartej wiary, lecz z pełnego wiary uporu. Możemy znosić złe traktowanie ze strony człowieka, którego kochamy, tylko dopóty, dopóki jesteśmy w stanie siebie przekonać, iż robi on to dlatego, że inaczej nie potrafi.

Miłość to mechanizm neurochemiczny — twierdził profe-

sor Kandiński. — Najwierniejszymi kochankami są najgłupszy. Jeżeli spotkamy kobietę, która po wielu latach jest wciąż szaleńczo zakochana w swoim mężu, możemy być pewni, że jej pamięć działa na tym samym poziomie co pamięć sikorki. Według profesora Kandińskiego warunkiem koniecznym do 224

tego, by miłość mogła być nieśmiertelna, jest śmiertelność pamięci, a dokładniej: jej zdolność odnawiania się, jak to robią neurony w podwzgórzu uroczych sikorek, odradzające się każdego dnia, każdej wiosny. Ptaki te, obdarzone w najwyższym stopniu nieskomplikowanymi mózgami i mało wytrzymałymi ciałami, zmuszone są przechowywać w pamięci położenie zagłębień, w których złożyły jajka, sposoby na przetrwanie podczas mrozów, miejsca, gdzie mogą zdobyć pożywienie, i dziesiątki innych przydatnych informacji. Pojemność ich pamięci jest jednak zbyt ograniczona, by magazynować taką wiedzę, więc zamiast upakowywać stosy danych, każdej jesieni ptaki te gruntownie czyszczą swoje umysły. W ten sposób, zamiast uparcie trzymać się swej pamięci, zastępują ją nową. i to właśnie tej umiejętności zawdzięczają przetrwanie w tak trudnych warunkach.

Jeżeli zaś chodzi o małżeństwo, tutaj też jedynym sposobem na przetrwanie jest umiejętność zapominania o tym, co przez lata stale się wydarzało. Z tego powodu ci, którzy mają słabą pamięć, u których protokoły opisujące przeszłość są niekompletne, łatwiej leczą doznane w teraźniejszości rany. Natomiast tym, którzy stale mają w pamięci dawne piękne dni, o wiele trudniej jest zaakceptować, że dziś zupełnie nie przypomina wczoraj. Tajemna recepta na miłość to posiadanie niestabilnej, krótkotrwałej pamięci.

Gdy JegoŻonaNadia stała tak w drzwiach z miseczkami aszure w obu rękach, nie wytarte zapisy z jej pamięci wypływały na powierzchnię jedne po drugich, a ona nie mogła tego powstrzymać. Przypominała sobie. Widok męża flirtującego z inną kobietą przypominał jej, że kiedyś i do niej odnosił się z czułością, że kiedyś wydawał się mieć zupełnie inne usposobienie. Jeszcze jednak gorszą rzeczą było ujrzenie na własne oczy, że wobec kogoś obcego zachowuje się z taką kurtuazją, 225

że może być takim człowiekiem, jakiego ona kiedyś знаła, że tylko od niego zależy, jakim jest. Profesor Kandiński zapewne roześmiałby się lekceważąco.

JegoŻonaNadia weszła do pokoju. Spojrzenie, którym od kilku minut niezdecydowanie omiatała parę niczego nie podejrzewających i wśród chichotów nadal wróżących sobie z fusów kochanków, utkwiała w kobiecie. W tej samej chwili znalazła potwierdzenie reguły, którą się kiedyś interesowała, a której podstawy naukowe były raczej wątpliwe: „gdy zaczniemy wpatrywać się w osobę, która nas nie widzi, ba, wręcz nie ma pojęcia o naszym istnieniu, po chwili zacznie ona odczu-

wać niepokój, a potem nagłym ruchem odwróci się i popatrzy na nas".

Tamta kobieta już miała oderwać wzrok od dna filiżanki i skierować go na drzwi, gdy Metin Twardziel pierwszy się zorientował w sytuacji i w panice zerwał się na równe nogi. Trudno mu było jednak zmusić do posłuszeństwa rozleniwione od szczęścia i zadowolenia ciało. Zrobił więc ledwie kilka chwiejnych kroków i jak wryty zatrzymał się pośrodku pokoju. Starając się rozdzielić i zasłonić obie kobiety, stracił do reszty orientację i nie wiedział, w którą stronę ruszyć i gdzie patrzeć. Miotał się niezdecydowany. Jego twarz, podobnie jak umysł, podzieliła się na dwie części: jedna jej połowa, zwrócona w kierunku kochanki, wobec której zawsze zachowywał się niezwykle grzecznie, uśmiechała się, starając się jakoś opanować sytuację, druga zaś wykrzywiała się do żony, którą od lat przywykł traktować grubiańsko. Gdy zrozumiał, że nie uda mu się zapanować nad sytuacją, chwycił swoją śmierdzącą torbę w kolorze bursztynu i wypadł z pokoju, porywając ze sobą żonę. Ich kłótnia tego wieczoru nie była gwałtowniejsza niż zwykle, ale trwała z pewnością dłużej. Jego Żonie Nadii już wcześniej zdarzało się bać, że mąż ją zabije, ale teraz po raz

226
pierwszy poczuła, że ona też może go zabić, i wbrew pozorom nie wydało się jej to straszną perspektywą.

Straszne było natomiast nie wiedzieć niczego o tamtej kobiecie. Ponieważ nie знаła nikogo ze studia, gdzie pracował Metin Twardziel, i nie poznała nawet imienia tamtej, uzyskanie tej cennej informacji przyszło jej z wielkim trudem. Co dziwniejsze, choć się starała ze wszystkich sił, nie mogła przywołać obrazu jej twarzy. Dlatego nie mogła jej nikomu opisać. Ale nie rezygnowała. Wymyślała dziesiątki planów, jedne bardziej od drugich skomplikowane i pokrętne. Podając coraz to inne nazwisko, stale wydzwaniała do studia. Gdy to nie dało żadnych rezultatów, zaczęła krążyć wokół budynku, poświęcając na dojazdy cztery godziny dziennie. Wiedziała, że jeśli mąż ją tam zobaczy, połamię jej nogi, ale nawet perspektywa tak nieprzyjemnego wypadku nie była w stanie jej powstrzymać.

— Największą szkodą wyrządzoną rodzajowi ludzkiemu przez psychofarmakologię jest urojenie sobie, że trzeba oczyścić mózg z urojeń.

Według profesora Kandińskiego mózg człowieka zachowuje się jak dumna ze swej pedanterii, dbała o sprzęty gospodyni. Wszystko, co znajdzie się w jej domu, natychmiast uznaje za swoją własność i stara się o to dbać jak najlepiej, tak samo jak dba o porządek. Niestety nie jest to łatwe, gdyż tak jak wiele dumnych ze swej pedanterii i dbałych o sprzęty gospodyń, mózg także ma niesforne, niegrzeczne i niespokojne dzieci, z których każde nosi nazwę innego zaburzenia psychicznego. Gdy któreś z nich osiąga odpowiedni wiek, zaczyna raczkować,

przemieszczać się to tu, to tam i wszędzie rozsypuje okruszki herbatnika. Dla mózgu to ogromna udręka. Zaczyna się niepokoić — najpierw tym, że w domu zapanuje bałagan, a z czasem coraz bardziej, że może stracić sprawność. Wtedy do działania

227
włącza się psychofarmakologia, głęboko przekonana, że właśnie nadeszła jej pora. Próbuje zatrzymać raczkujące dziecko, co czasami się jej udaje. Ale gdy się jej nie udaje, po prostu wyrzuca za drzwi złapanego za ucho urwisa. „Chcesz kontrolować ruch niekontrolowany? Zatrzymaj wszelki ruch. Aby zapobiec szkodom wywoływanym przez myśli, doprowadź chorego do takiego stanu, by w ogóle nie myślał”. Setki leków, dziesiątki metod zmierzają właśnie do tego celu. Aby uciszyć krzyki drażniące uszy, świat medyczny, który wynalazcę lobotomii uznał za godnego Nagrody Nobla, próbuje wprowadzić absolutną ciszę. Odbierając mózgowi — tej nerwowej, choć w ostatecznym rozrachunku troskliwej matce — jego dzieci, otacza wciąż nie życie, lecz śmierć. Według profesora Kandińskiego człowiek nie jest w stanie całkowicie uwolnić się od urojeń. Jeżeli ktokolwiek porwałby się na coś takiego, powinien dla własnego dobra od razu pogodzić się z tym, że szkody, jakie mogą powstać przy takiej próbie, wielokrotnie przewyższą potencjalne korzyści. Można wejść do domu mózgu i igrać z jego zasadami na jego terenie, lecz nie należy niszczyć jego ruchliwości, odbierać mu tego, co do niego należy. Mózg nie znosi, gdy zakłóca się panujący w nim porządek. Nie oznacza to oczywiście, że nie zdarza mu się pomylić, co gdzie położył. Jak w domu jest kilka pokoi, tak i w nim też jest kilka pamięci. Tak jak w najwyższej z pięciu szuflad komody zawsze leży bielizna, w tej pod nią ręczniki, a w jeszcze niższej wyprane prześcieradła, tak każde urojenie ma swoje z góry wyznaczone miejsce. Żadnego z nabytych w ten czy inny sposób urojeń człowiek nie powinien starać się zniszczyć tylko dlatego, że już nie chce go używać. Z pomocą nauki i dzięki świadomemu roztargnieniu może wyjąć je z jego szuflady i przełożyć do innej. Przecież mózg to dumna ze swej pedanterii, dbała o sprząty gospodyni. Przychodzi i w czwartej

228
od dołu szufladzie szuka ręcznika. Nawet nie przyjdzie jej do głowy zajrzeć do piątej, bo wie, że trzyma tam wyłącznie bieliznę. „Ręczniki wyjęte z płyta czołowego starannie poskładaj i pozostaw w ośrodkach podkorowych. Nie staraj się usunąć urojeń, bo to nie jest możliwe. Wystarczy, że położysz je tam, gdzie nie będziesz ich szukać. Wsadź je do niewłaściwej szuflady. Niech tam sobie leżą. Zapomnisz o nich. Aż pewnego dnia, szukając czegoś innego, przypadkiem na nie natrafisz...”
Choć Jego Żona Nadia wiedziała, że jej ukochany profesor będzie się przewracał w grobie, nawet nie próbowała wyjąć swojego urojenia z szuflady i przełożyć do innej. W ciągu następnych dni wielokrotnie telefonowała do studia, nie spus-

czała też męża z oka. I pewnego dnia niespodziewanie telefon odebrała poszukiwana kobieta. JegoŻonaNadia, choć nie mogła sobie przypomnieć jej twarzy, którą przecież widziała, od razu rozpoznała jej głos.

— Słucham, w czym mogę pomóc? — spytała uprzejmie tamta.

— Z kim mówię?! — krzyknęła JegoŻonaNadia głosem wolnym od gniewu, ale za to pełnym arogancji. Jej ton musiał być tak gwałtowny i szorstki, że tamta ani się zorientowała, jak podała swoje nazwisko. Przedstawienie się to przecież odruch. Osiemdziesiąt procent ludzi robi to bez zastanowienia. Nie przyjdzie im nawet do głowy zainteresować się: „A kto pyta?”. Gdy tylko kobieta się przedstawiła, JegoŻonaNadia rzuciła słuchawką. Po ustaleniu, jak jej rywalka się nazywa i gdzie pracuje, poznanie reszty nie stanowiło już problemu. Wkrótce miała w ręku dwie istotne informacje: pierwszą, że tamta tak jak Metin podkłada głos w dubbingach, drugą, że używa głosu głównej bohaterce serialu Oleandry namiętności, którego emisję rozpoczęła właśnie jedna z prywatnych stacji telewizyjnych.

229

Następnego wieczoru przed wiadomościami Jego żona Nadia zasiadła na kanapie, której obicie w bordowe wzory na granatowym tle od dawna już planowała zmienić, lecz stale to odkładała, i nie ruszając się z miejsca, obejrzała od początku do końca jeden odcinek Oleandrów namiętności. Gdy film się skończył, znienawidziła serial. Scenariusz był idiotyczny, dialogi kompletnie bez sensu, nawet aktorzy zdawali się cierpieć, odgrywając swe role. Mimo to następnego dnia o tej samej porze znów zasiadła przed telewizorem i od tego momentu z każdym mijającym dniem wzrastało nie tyle jej zainteresowanie serialem, ile uzależnienie od niego. Istnieje wiele powodów, by oglądać brazylijskie seriale, i do tego tak nieoczekiwanych, że naukowcom prowadzącym badania nad uzależnieniem niepracujących kobiet od telenowel nawet przez myśl nie przejdą. JegoŻonaNadia stała się wiernym widzem Oleandrów namiętności i w końcu ten kiepski serial zaczął odgrywać w jej życiu tak ważną rolę, że czas, gdy go nie emitowano, czyli dwa dni weekendu, stał się dla niej nie do zniesienia. Nie oceniała swojej słabości, nie starała się, by serial stał się punktem wyjścia do osiągnięcia czegoś — po prostu go oglądała. Po wielu miesiącach, śledząc osiemdziesiąty siódmy odcinek, nie mogła zapobiec stopieniu się głosu Loretty z jej ekranową postacią.

W życiu nie istnieje coś takiego jak satysfakcjonujące niepowodzenia, ale są za to niezadowolające sukcesy. I to ile! Profesor Kandiński mówił o sobie, że jest jednocześnie niezaspokojony i zadowolony z osiągniętego sukcesu. Dodawał też, że i tak jego położenie można uznać za lepsze od położenia tych, którzy jednocześnie są zaspokojeni i odnoszą sukcesy. Albo-

wiem to położenie jest właściwe jedynie głupcom oraz zbytnim szczęściarzom. Nadmiar powodzenia też może w końcu ogłupić człowieka, więc rezultat w gruncie rzeczy sprowadza
230

się do tego samego. Ale także profesorowi w ostatnich chwilach jego życia przyszło zakosztować niepowodzenia. Powód niezaspokojenia i niepowodzenia był jeden: projekt gatunków przeskakujących progi, nad którym pracował cztery lata. Gdy tępione owady stają oko w oko z katastrofą oznaczającą ich koniec, mają zadziwiająco zdolność do nabierania odporności na zagrażający im czynnik. Podczas gdy w 1946 roku jedynie dwa gatunki były odporne na środki owadobójcze, to pod koniec XX wieku była ich już ponad setka. Niektóre zdołały odkryć formułę wypróbowywanych na nich chemikaliów. Przekraczały progi odporności i za każdym razem udawało im się uniknąć działania trucizny, która doprowadziła do wyniszczenia ich poprzednich pokoleń. W ten sposób w dalszej perspektywie powstawały nowe gatunki. Zdaniem profesora Kandińskiego rzeczą ważniejszą od odkrycia, w jaki sposób udało im się zdobyć tę wiedzę, było postrzeganie wiedzy jako całości. Stulecie, w którym jedne po drugich miały się urzeczywistnić idee przedstawicieli oświecenia, głoszących jedność nauk społecznych i przyrodniczych, dopiero miało nadejść. Ludzie też mieli przekraczać progi. Ale nie dlatego, że są ukochanymi sługami Boga, jak sądzili wierzący, ani też nie dlatego, że posiadali umiejętność rozumowania, o czym przekonani byli racjoniści, lecz dlatego, że zostali skazani na ten sam krąg wiedzy co owady. Społeczny aspekt życia owadów i rola instynktu w stworzonych przez ludzi cywilizacjach zostały silnie powiązane socjobiologią. Z tego względu ani artyści nie są tak twórczy, jak się wydaje, ani natura nie jest tak odległa od rzemiosła, jak się sądzi. Karaluchy i pisarze utrzymują się przy życiu, czerpiąc wodę z tej samej studni wiedzy i przeczuć.

— Wątpię, czy przeczytali choćby pierwszą stronę — rzekł Profesor Kandiński, gdy dowiedział się, że jego raport został
231

odrzucony. To było na tydzień przed jego śmiercią. Siedzieli na schodach nie używanego na ogół wyjścia z laboratorium, gdzie razem pracowali. To był gigantyczny budynek, w którym regularnie po trzysta godzin dziennie pracowali najwybitniejsi lub najbardziej obiecujący biologowie w różnym wieku. Ponieważ jednak trzy jego kondygnacje mieściły się pod ziemią, z oddali trudno było się zorientować, jak wielka jest to budowla. Poczucie, że należy się do grona wybranych, zbliżało ludzi do siebie, dlatego każdy niezwykle grzecznie odnosił się do pozostałych. Jedynie profesor Kandiński nie poddawał się wpływowi krążących w powietrzu atomów uprzejmości. Do nikogo życzliwie się nie uśmiechał i nie odzywał się dopóty, dopóki nie był do tego zmuszony. Nie znosił nikogo oprócz

Nadii Onisimowny, która od dziewięciu lat była jego asystentką i zdobyła jego zaufanie oddaniem dorównującym jej pracowitości. Profesor był uparty i skryty, ponury i niecierpliwy. Nadia Onisimowna zaś w głębi duszy była szczerze przekonana, że wcale nie był taki popędliwy, na jakiego wyglądał. To prowadzone od lat dniem i nocą eksperymenty z wyładowaniami elektrycznymi zmieniły go w kłębek nerwów. Właśnie wtedy zaczęła wynajdywać usprawiedliwienia dla grubiaństw osób, które darzyła sympatią.

— Nie zdają sobie sprawy, co mi wyrządzili! Niepowodzenie to nie znany mi wirus, na który nie jestem uodporniony!

— Nieco dalej, pod szarym murem otaczającym laboratorium dwaj ochroniarze palili papierosy. Wiatr był tak silny, że wydmuchiwany przez nich dym ani na moment nie zawisał w powietrzu. — Słyszę, że niektóre owady się do mnie uśmiechają. Ale ja ich nie widzę. W moich snach chodzę po piwnicach opuszczonych domów. Udaje się im uciec tuż przed katastrofą, zanim uderzy piorun, nim wybuchnie bomba, nim nastąpi trzęsienie ziemi. Uciekają sformowane w istne armie. Teraz,

232
gdy rozmawiamy, też gdzieś są tu w pobliżu. Nie zatrzymują się ani na chwilę.

Tydzień później znaleziono go martwego w domu. Wystarczył moment nieuwagi, krótkie śpięcie... Nadia Onisimowna zawsze uważała, że umarł we właściwym momencie. Dobrze, że nie musiał oglądać tego, co stało się z laboratorium. Najpierw z powodu oszczędności wstrzymano eksperymenty, potem nagle zwolniono wiele osób. Nadię Onisimowną też dotknęło to przewracanie wszystkiego do góry nogami. Gdy poznała Metina Twardziela, od ośmiu miesięcy była bezrobotna.

Metin Twardziel to był kawał skurczybyka. Ostatni typ mężczyzny, w którym kobieta mogłaby się zakochać. Lecz Nadia Onisimowna w kwestii mężczyzn była tak niedoświadczona, że spędziwszy w jego towarzystwie wiele godzin, nawet nie zauważyła, że ma do czynienia z „ostatnim typem mężczyzny, w którym kobieta mogłaby się zakochać”. Tamtego wieczoru, oszołomiona nie milkącym hałasem, rozszalałym tłumem i ogromem zarzyganej od wypitego alkoholu dyskoteki, której próg przekroczyła po raz pierwszy w życiu, z niewielu rzeczy zdawała sobie sprawę. Znalazła się tam przypadkiem. Namówiona przez koleżankę, poszła wiedziona nadzieją, że pod koniec wieczoru uda się poprosić ją o pożyczkę. Metin Twardziel był w grupie biznesmenów, którzy przyjechali ze Stambułu. Po dziesięciu minutach od chwili, gdy nastąpiło pierwsze zetknięcie się z nimi i zanim Nadia Onisimowna zdołała pojąć, co się dzieje, stoliki zostały zsunięte, a do tych nie znanych jej mężczyzn dosiadły się nieznane jej kobiety i zamówiono duże ilości alkoholu. Gdy wszyscy się bawili i zaśmiewali do rozpuku z byle czego, ona przycupnęła z niepokojem w kącie

i piła jak nigdy w życiu. Po chwili, gdy towarzystwo ruszyło parami na parkiet, zauważyła, że przy stole pozostał jakiś bru-

233
net, tak samo skrępowany jak ona. Uśmiechnęła się do niego. On też uśmiechnął się do niej. Ośmieleni tymi uśmiechami powiedzieli coś jedno do drugiego. Angielszczyzna obydwojga była koszmarna, ale na szczęście angielski jest jedynym na świecie językiem, w którym udaje się niewielkim wysiłkiem stworzyć wrażenie, że się go zna, choć zupełnie nie umie się nim posługiwać. Przez następne cztery godziny Nadia Onisimowna i Metin Twardziel odbyli więc ze sobą bardzo długą rozmowę, podczas której, w nadziei, że brakujące im wyrazy skądś nadejdą, stale toczyli wzrokiem dookoła, strzelając raz po raz palcami, kreślili w powietrzu obrazy z wyobraźni, zapewniali wachlarze serwetek niezrozumiałymi bągrolami, rysowali na swoich dłoniach i ramionach znaki, a gdy nie mogli się porozumieć, zaczynali chichotać i tak chichocząc, czuli się coraz swobodniej, i nieustannie kiwali głowami, i coraz szerzej otwierali oczy.

— Już wołałabym każdego ranka na pusty żołądek wylizywać pełną petów popielniczkę, niż wyjść za mąż za Turka!

— Możesz sobie wylizywać! — odpowiedziała Nadia Onisimowna twardo. — „Nie to, co wchodzi do ust, czyni człowieka nieczystym, ale co z ust wychodzi, to go czyni nieczystym”!

— Nie rzucaj w mojej kuchni słów Jezusa tak nierozważnie jak aforyzmów twojego nieszczęsnego profesora! — obruszyła się ciotka.

Podmuchała, zanim podniosła do ust łyżkę, którą od dłuższego czasu powoli mieszała w garnku zielonkawą zupę.
i Mt 15, 11.

234

— Nic o nim nie wiesz — mruknęła Nadia Onisimowna, wzruszając ramionami. — Tylko uprzedzenia...

— Możesz być pewna, moja droga, że wiem, co mam wiedzieć — odpowiedziała ciotka. Wzięła w palce szczyptę soli i zataczając nad garnkiem zachodzące na siebie kręgi, posoliła zupę. — Gdybyś nie zmarnowała najlepszych lat swojego życia na uganianie się za mrówkami w towarzystwie tych świrów, którzy nikomu niczego dobrego nie przynieśli, wiedziałabyś dzisiaj dokładnie to samo, co ja wiem.

Przysunęła taboret do kuchenki. Z powodu żylaków nie mogła stać na nogach dłużej niż dziesięć minut. Pobrzękując bransoletkami, dalej mieszała zupę.

— Chyba wiesz przynajmniej, że Turcy nie piją wina?

— spytała z wyrazem zniechęcenia na twarzy.

Trudno było jednak stwierdzić, czy wynikało ono z poruszanego tematu, czy też z faktu, że zupa wciąż nie zaczynała wrzeć. Nadia Onisimowna broniła przyszłego męża, opowiadając z dumą, ile to szklanek whisky, piwa i wódki wychylił na dyskotecę. Ale nie wspomniała, że był na tyle nierozsądny,

by pić to wszystko jedno po drugim.

— Whisky to co innego. Daj mi znać, czy piją wino. Nie piją! Inaczej pierwszą rzeczą, jaką by zrobili po zdobyciu Konstantynopola, nie stałoby się zniszczenie źródła Leona Mędrca. Źródło, z którego od trzystu lat tryskało wino, zostało zrównane z ziemią, gdy tylko dostało się w ręce Turków. Po co, moja droga, je zniszczyli? Bo zamiast wody płynęło z niego wino. Toporami rozrąbali mur. Durnie! Myśleli, że za nim kryje się piwnica pełna beczek. A co znaleźli? Kiść winogron. Słuchaj mnie uważnie, Nadiu, mówię ci, tylko jedna kiść. I tylko trzy grona w niej były zgniecione. Okazuje się, że z jednego grona przez sto lat płynęło wino. Czemu oni to zrobili? Zburzyli mur, rozbili ocembrowanie, nawet kiść wi-

235
nogron rozsiekali na kawałki. Nie mają szacunku dla wina, nie szanują świętych rzeczy, nie szanują mędrców. — Pogroziła siostrzenicy łyżką. — A już na pewno nie szanują kobiet!

**#

Gdy Nadia Onisimowna miała przyjechać do Stambułu, nie starała się nawet wyobrazić sobie, jak wygląda to miejsce. Ale gdy dotarła do Pałacu Cukierczek, poczuła tylko niewielkie rozczarowanie. Budynek, w którym od tej pory miała mieszkać, nie był wcale starszy ani bardziej zniszczony od tego, w którym mieszkała dotąd. Wręcz przeciwnie, był mniej więcej taki sam. I o to właśnie chodziło. O to, że jest taki sam. Gdy ktoś bowiem przybywa w zupełnie nowe miejsce, gdzie ma zacząć prowadzić nowe życie, i natrafia tam na pobladłą twarz dawnego, może czuć rozczarowanie. W dodatku obok nie było wymarzonej plaży ani pracy, która z otwartymi ramionami czekałaby na cudzoziemkę entomologa. Na tym zresztą problemy się nie kończyły. Głównym źródłem zmartwień był sam Metin Twardziel. Przede wszystkim okłamał ją okrutnie. Nie miał nawet stałej pracy. Utrzymywał się z nieregularnych zleceń na podkładanie głosu. Od czasu do czasu był wzywany na wesela, imprezy urodzinowe, przyjęcia z okazji zaręczyn czy obrzezania, gdzie urządzał dla gości przedstawienia teatru cieni. Kukielki trzymał w cuchnącej skórą torbie w kolorze bursztynu. Ale wtedy w Pałacu Cukierczek już tak obrzydliwie śmierdziało, że roztraczana przez torbę woń była kroplą w morzu rozchodzącego się wszędzie odoru.

A do tego Nadia miała się szybko przekonać, że ciotka wcale nie miała racji. Metin Twardziel konsumował tanie wino w ilościach, których nie byłoby w stanie dostarczyć grono Leona Mędrca. Gdy wypił, nie tylko zachowywał się ordynarnie,

236
lecz także stale zawałał pracę. Podkładając głos, zapominał, że ma tekst w ręku, albo nie pamiętał, którą postać dubluje. Gdy pijany urządzał przedstawienie, kukielki klęły i mówiły żargonem, budząc konsternację widzów. Na weselach, skryty za zastoną, na której ożywały lalki, wlewał w siebie wszelkie

trunki, jakie wpadły mu w ręce, i pod koniec imprezy zaczynał rozrabiać. Pewnego razu w obecności wszystkich zaproszonych gości zaczął ustami Hacıyata¹ robić nieprzyzwoite aluzje do niezwykle wstydliwego pana młodego i został wyrzucony za drzwi. Każdy, kto był świadkiem tej kompromitacji, bał się go potem zatrudnić, Metin musiał więc nieustannie szukać nowych klientów.

Mimo to Nadia nie wróciła do siebie. Pozostała tutaj, w Pałacu Cukierek. Zdziwiło ją, jak szybko opanowała domowe zajęcia, którymi — jak jej się wydawało na początku — miała się zajmować jedynie przejściowo, do czasu znalezienia odpowiedniej pracy. Pewnego dnia jej uwagę zwróciło zaproszenie na ślub: „Pragniemy w tym szczęśliwym dniu dzielić radość z Metinem Twardzielem i Jego ŻonąNadią”. Tępym wzrokiem wpatrywała się w tekst. Nie była Nadią Onisimowną. Nie była Nadią Twardzielową. Po raz pierwszy dostrzegła, że jest Jego-ŻonąNadią. To drobne odkrycie wstrząsnęło nią, nie podjęła jednak żadnych działań, by cokolwiek zmienić.

Mijające dni były podobne jeden do drugiego jak kartki wyskakujące z kserokopiarki. Gotowała obiady, sprzątała mieszkanie, oglądała telewizję, przerzucała zdjęcia, a gdy zaczynała się nudzić, robiła coś, czego nie potrafiły inne panie domu: lampki z kartofli świecące bez podłączania do kontaktu. Profesor Kandiński i projekt badawczy gatunków przekraczających Progi pozostały w dawnym życiu.

¹ Hacıvat — postać z tureckiego teatru cieni.

237

— Dlaczego nie wspominam przeszłości? Gdybym tylko wiedziała, kim jestem. Dlaczego niczego nie pamiętam, dlaczego? — jęczała Loretta, obracając w palcach wplecioną we włosy stokrotkę.

— Zaglądasz do niewłaściwej szuflady, moja kochana! Zajrzyj do tej u dołu, do tej niżej! — krzyknęła Jego żona Nadia. Nieświadomie powtarzając zobaczony na ekranie gest, obracała w dłoniach nową lampkę z kartofli. Nagle usłyszała szelest przy drzwiach. To był on. Wcześniej dziś wracał. Zapewne teraz coś przekąsi i utnie sobie drzemkę, a pod wieczór weźmie wielką cuchnącą torbę i znowu wyjdzie. Nigdy nie wiadomo, kiedy przyjdzie i kiedy pójdzie. Ale o jakiegokolwiek porze wraca, nigdy nie dzwoni do drzwi, tylko łup, otwiera je i wpada do środka. Klucz jeszcze obracał się w zamku, gdy Jego żona Nadia błyskawicznym ruchem chwyciła pilota i w ostatniej chwili zmieniła kanał. Gdy drzwi się otworzyły i na ich progu stanął Metin Twardziel, miejsce Loretty na ekranie zajął program kulinarny. Wąsata kobieta o okrągłej twarzy i szerokim czole próbowała zapiekanki ze szpinakiem, którą właśnie wyjęła z piekarnika.

LOKAL NUMER 1

Nasłuchiwała powrotu Muhammeta. Pulchnymi ramionami otoczyła mocno już zaokrąglony brzuch i głęboko westchnęła.

Dziś znowu udało się jej wysłać syna do szkoły. Udało się wysłać, ale nie wiadomo, w jakim stanie chłopiec wróci. Na początku od razu po przyjsciu do domu szczegółowo relacjonował jej wszystko, co się tego dnia wydarzyło w szkole, historie przyjemne i nieprzyjemne. Z czasem jednak stał się milczący i nie chciał już o niczym opowiadać. Zamiast niego przemawiały teraz do Meryem jego przestraszone spojrzenie, poszarpany fartuszek z oberwanymi guzikami, sińce skaczące po jego ciele jak fioletowe zajączki i pojawiające się to na rękach, to na brodzie, to na skroni, to pod okiem. Im dłużej ich słuchała, tym większy żal ścisnął jej serce. Nie mogła znieść, że ktoś podnosi rękę na jej syna, wszystko jedno: dorosły czy dziecko. Przecież jego własny ojciec nigdy go nie uderzył. Tylko jej, Meryem, zdarzało się — gdy nie zapanowała nad nerwami, ale zaraz prosiła za to Boga o wybaczenie — wymierzyć mu klapsa czy szturchańca. Ale ona to co innego. Zresztą odkąd dowiedziała się, że inni dręczą jej syna, ani razu już go nie uderzyła. Do szaleństwa doprowadzała ją myśl, że obce dzieciaki znęcają

239

się nad jej jedyną latoroślą. Na początku myślała, że to tylko zwykłe przepychanki, ale mijały tygodnie, miesiące, a udreka chłopca nie ustawała. Największego bólu jednak nie sprawiało Meryem to, że syn jest dręczony przez rówieśników, lecz to, iż chłopiec zaczął się do dręczenia przyzwyczajać.

Nie mogła zrozumieć, dlaczego koledzy stale poszturczą Muhammeta. Powodem nie mogło być wyłącznie to, że jest synem dozorca. Rozpytała się wśród trudniących się tym samym zajęciem krewnych i powinowatych z okolicy — ich dzieciom nic takiego się nie przydarzyło; radosne i zadowolone chodzą do szkoły. Co więc mogło być przyczyną? Muhammet nie był ani grubszy, ani brzydszy, ani głupszy od innych dzieci. Dlaczego nie umiał sobie poradzić z przeciwnikami? Bezradnie popatrzyła na swój wyduęty brzuch. Odpowiedź miała tuż pod nosem: wszystko z powodu Musy. Jak to mówią, niedaleko pada jabłko od jabłoni. No, właśnie. Muhammet był nieodrodnym synem swego ojca. Ofiara losu, pochyłe drzewo, na które wszystkie kozy skaczą. Nie odziedziczył nawet cienia majestatycznej dorodności swej matki. Był jak ojciec: drobny, suchy, czarniawy. Już od dawna wpychała w syna pięć obfitych posiłków dziennie, każdego ranka mimo protestów zmuszała go do zjedzenia jednego jajka na miękko, ale wszystko na nic. Muhammet prawie nie przybrał na wadze, a urósł tak niewiele, że sprawiał wrażenie przynajmniej o dwa lata młodszego, niż był w rzeczywistości. Wydawał się większy, dopóki przebywał w czterech ścianach domu. Gdy jednak zaczął chodzić do szkoły, stale natrafiał na kpiące spojrzenia rówieśników i przez to jeszcze bardziej malał. W fartuszku o dwa rozmiary za dużym, uszytym w założeniu, że będzie rósł z prędkością, której nigdy nie dane mu było osiągnąć, z tornistrem o wiele szerszym od swoich pleców stawał się malutki jak krasno-

ludek. Każdy, kto go widział, dziwił się Meryem, że tak się
240

pospieszyła z posłaniem go do szkoły. Gdy Muhammet stał obok rówieśników, mizerność jego postury stawała się jeszcze bardziej widoczna, jak pod szkłem powiększającym.

Był najmniejszym dzieckiem w klasie i oczywiście także w całej szkole. Ale gdyby problem tylko do tego się ograniczał, Meryem byłaby spokojna. Jakoś ukołaby tęsknotę za synem mocarzem, wyrwidębem zdolnym rozedrzeć drzewo na pół, majestatycznym jak okręt sułtana. Takim, co to jak kamień zamknie w dłoni, to z niego wodę jak z sera serwatkę wycisnie. Takim, co to jak spojrzy, to wszyscy drżą. Obdarzonym zwierzęcą siłą, a jednocześnie dobrym sercem. Troskliwym synem, który ją na stare lata będzie prowadził czule pod rękę...

Ale niestety Muhammet nie tylko mizerną budową udowodniał, że nie wdał się w matkę, lecz w ojca. Szybko nabrał nawyków Musy. Choć od dnia swych narodzin aż do chwili pójścia do szkoły nie odstępował matki na krok, a słowo „ojciec” kojarzyło mu się wyłącznie z wiecznie zaspanym, zapadającym w coraz dłuższe drzemki człowiekiem, gdy tylko wychynał spod opiekuńczych skrzydeł matki i wszedł między ludzi, upodobił się do ojca. Jakby wśród tylu ludzi nie znalazł nikogo innego, kogo mógłby naśladować. To właśnie sprawiało Meryem największą przykrość. Bo jej zdaniem Musa wyłącznie dzięki niej znalazł w tym ogromnym mieście dach nad głową i pracę. Utrzymywał się na powierzchni tylko dlatego, że zdał się na żonę. Nie miał zresztą innego wyjścia. A jeżeli Muhammet nie będzie miał tyle szczęścia co on? Jeżeli los nie ześle mu jakiejś Meryem? Wtedy nie przetrwa w tym mieście. Stambuł wymierzy mu takie same kuksańce i razy, jakimi obdarzają go teraz rówieśnicy.

W zamyśleniu zazgrzytała zębami. Teraz rzadko to robiła, wyłącznie gdy była zirytowana lub miała mętlik w głowie. Ale w dzieciństwie zgrzytała zębami co noc, budząc tym innych
241

domowników. Żyła wtedy jeszcze jej prababka, tak stara, że jej wyschłe ciało uwolniło się całkowicie od zarazy zwanej ciekawością, od zmory pośpiechu. Pewnego dnia posadziła Meryem przed sobą i powiedziała jej, że musi nauczyć się cierpliwości, a wtedy przestanie zgrzytać zębami. Musi to zrobić, bo w przeciwnym razie nic dobrego z niej nie wyrośnie. Będzie odpędzać szczęście, tak jak teraz odpędza sen. Pierwszym krokiem do nauczenia się panowania nad sobą było napełnienie worka cierpliwości. Należało w tym celu wziąć pusty worek i zawiesić go jak flagę gdzieś wysoko, na jakimś kiju czy słupie. Meryem, licząca wtedy mniej więcej tyle samo lat co Muhammet teraz, z uwagą wszystkiego wysłuchiwała. Nie tracąc czasu, weszła na dach komórki z węglem i umocowawszy tam z wielkim trudem kij od szczotki, zawiesiła na nim pusty worek. Wiatr na pewno coś przyniesie i w ten sposób

worek powoli się wypełni. Jedyne, co pozostawało Meryem, to czekać, nic nie robiąc, i tak czekając, nie przestawać myśleć o tym, na co czeka. To się nazywało „mieć cierpliwość”.

Bo Meryem w dzieciństwie, zupełnie zresztą tak samo jak teraz, była w gorącej wodzie kąpana. Gdy jakieś przedsięwzięcie zaprzętało jej myśli, chciała jak najszybciej doprowadzić je do końca, musiała koniecznie coś z tym zrobić, cokolwiek. W kwestii worka cierpliwości zachowywała się podobnie. Pierwszą rzeczą, jaką robiła każdego ranka, było wspięcie się na dach i sprawdzenie jego zawartości. Za każdym razem schodziła srodze zawiedziona. Ale to, co nie ziszczało się w dzień, spełniało się nocą w snach. Do rana wiadrami i łopatami napełniała ziemią niezliczone worki. I jeszcze głośniej niż przedtem zgrzytała zębami. Noc przynosiła spokój tylko jej, pozostałym domownikom zaś — udrękę. Prababka czuła się winna, babka była zaskoczona, matka — wściekła. Wszystkie trzy nieustannie wspominały o proroku Hiobie.

242

Pewnego dnia Meryem nie wytrzymała i wrzasnęła:

- Jak długo mam jeszcze czekać?!
- Aż się napełni — odpowiedziała prababka.
- Aż zmądrzejesz — dorzuciła babka.
- Aż wiatr do worka nawieje, a człowiek zmądrzeje — podsumowała matka.

Czekać, nie wiedząc, jak długo... Meryem, która niewiele z tego zrozumiała, a z tą odrobiną, którą pojęła, i tak nie potrafiła się pogodzić, postanowiła, że od tej pory nie pozwoli nikomu wskazywać kierunku, w jakim ma podążać. Wtedy jej ojciec, któremu ciągnąca się bez końca sprawa worka zszargała nerwy, mając dość czterech pokoleń bab, wrzeszcząc i krzycząc, w napadzie furii połamał na kawałki drabinę prowadzącą na dach komórki. Ale i to nie skłoniło Meryem do posłuszeństwa wobec starszych i pokornego czekania. Zaledwie dwa tygodnie wytrzymała bez zaglądnienia do worka i nieustannego pytania, kiedy się wypełni. Pewnego dnia, gdy nikogo nie było w domu, wyniosła na dwór kuchenny stół, na nim postawiła krzesło i — szczęśliwym zrzędzeniem losu, nie łamiąc sobie niczego przy tym — wskoczyła na dach komórki. Jednym ruchem wsadziła całą głowę do worka. I wtedy zobaczyła rezultat spokojnego czekania: suche liście, kolczaste gałązki, patyki i dwa martwe motyle... Oto nagroda dla cierpliwego.

Albo garść paprochów, albo ropiejące rany Hioba...

Dość tego. Od tego dnia zaprzestała obserwowania worka i z czasem zupełnie o nim zapomniała. Nie dla niej było czekanie. Zwłaszcza to, o którym nie wiadomo, jak długo ma trwać, było wbrew jej naturze. Gdyby nie była taka, nie poślubiłaby Musy, lecz poczekałaby, aż Isa, który się jej podobał, wróci ze Stambułu. Ale zamiast czekać na jego powrót, postanowiła sama zobaczyć Stambuł, dlatego wyszła za Musę i nakłoniła go, by razem tam pojechali. Ale tu sprawy przestały się układać

po jej myśli. Gdy zrozumiała, że Musa nie da sobie rady w tym mieście, przypomniał jej się worek cierpliwości. Nie mogła jednak czekać. Nie mogła czekać, aż wiatr zawieje i worek się wypełni, Musa dojrzeje, los się uśmiechnie, a życie wetknie jej w ręce dwa martwe motyle i garść śmieci. Sama musi wziąć się do roboty, nie oczekując wsparcia z niczyjej strony. W ten sposób po przyjeździe do Stambułu Meryem i Musa zaczęły podążać w przeciwnych kierunkach jak dwa nurty Bosforu¹. Pracowitość żony, jej przedsiębiorczość i zdecydowanie jakby zmroziły Musę, sprawiły, że stał się bierny, leniwy, zniechęcony. Stan ducha obojga odbił się na ich wyglądzie: wysoka, dobrze zbudowana Meryem tyła, stając się z każdym dniem coraz potężniejsza, Musa zaś kurczył się jak zrobiony na drutach sweter prany w zbyt gorącej wodzie.

Meryem niczego od męża nie oczekiwała. Zajmowała się pracą. Od dawna już przywykła uważać obowiązki Musy za swoje. Co wieczór na pół godziny przed przyjazdem śmieciarki zbierała spod drzwi mieszkań worki ze śmieciami, rano zaś roznosiła chleb i gazety. Do porannego obchodu przystępowała bardzo wcześnie, by mieć czas na przepychanki z Muhammetem i wróżbę z fusów. Nigdy nie zaczynała pracy bez filiżanki kawy, a jak już się zabrała za robotę, nieprędko przestawała. Sprzątała pięć mieszkań w Pałacu Cukierczek, każdego dnia tygodnia inne. Choć zaczął się już piąty miesiąc ciąży, nie ograniczyła swych zajęć ani o odrobinę. Tylko nieco wolniej chodziła po schodach. Miała równie dużo energii, co kilogramów. Choćby nie wiadomo, ile się nabiegała, jej zapas był niewyczerpany. Podobnie jak zapas wytrwałości. Była jak prawdziwe perpetuum mobile — nieustannie w ruchu.

¹ Ponieważ poziom Morza Czarnego jest wyższy niż morza Marmara, w cieśninie Bosfor występuje zjawisko konwersji nurtu — chłodniejsze wody z Morza Czarnego płyną powyżej cieplejszych wód z morza Marmara.

Czasem przychodziło jej na myśl, że lepiej dawałaby sobie radę bez Musy. Gdyby teraz otrzymała wiadomość, że zginął, potrącony przez samochód, zapewne zalałaby się łzami z rozpacz, ale to nie wyróciłoby jej życia do góry nogami, nie zmieniłoby go w jakiś znaczący sposób. Gdyby zaś to ona zginęła potrącona przez samochód, życie Musy rozpadłoby się na kawałki, rozbite w drobny mak, jakby pojazd ten nie uderzył w ciało żony, ale właśnie prosto w jego życie, w sprężynę wprawiającą go w ruch.

Meryem wiedziała, że nie powinna nawet myśleć o takich nieszczęściach, ale nie potrafiła się od tego powstrzymać. Zawansowana ciąża sprawiała, że kompletnie nie mogła zapanować nad nieprzyjemnymi myślami, których całe szwadrony maszerowały przez jej umysł. Wpadała w panikę, miewała koszmary, budziła się ze snu z kołataniem serca, cały czas spodziewała się, że nastąpi coś strasznego. Tak jak nie potra-

fiła cierpliwie czekać, aż wypełni się worek, tak samo teraz nie mogła spokojnie poddać się nieszczęściu. Dlatego przed porodem zadbała o odpowiednią ochronę dla siebie. Gdyby etnologowie zgłębiający tureckie wierzenia i obyczaje związane z ciążą natrafili na Meryem, nie musieliby jeździć od wsi do wsi, z jednego regionu do drugiego. Mniej by się natrudzili i wydali pieniędzy, a zebraliby dzięki niej taki sam materiał badawczy i opublikowaliby te same książki.

Pakiet przedporodowych zabezpieczeń Meryem można było podzielić na trzy grupy. Pierwsza obejmowała kategoryczne zakazy robienia tego, czego robić nie należy. Druga zachowywanie ostrożności przy czynnościach, przy których wykonywaniu należy ją zachować. Trzecia — robienie tego, co warto robić.

Jeżeli chodzi o rzeczy, których robić nie należy, nie było mowy o żadnych wykrętach, wymówkach czy wyjątkach.

245

W nocy na przykład nie wolno obcinać paznokci ani tłumaczyć snów. Przecież nawet w świetle dnia człowiekowi trudno jest przeniknąć i zrozumieć tajemnice sennych marzeń. Nie dostrzega wieszczych znaków, nie widzi nic więcej poza końcem własnego nosa, a co dopiero w nocy, gdy staje się ślepy. Meryem obciętych za dnia paznokci nigdy nie wyrzucała byle gdzie, bojąc się, że mogłyby się dostać w czyjeś ręce. Wyrzucała je do ubikacji i wielokrotnie spuszczała wodę. Często sprawdzała szczotkę do czesania i starannie wyciągała zaplątane w nią włosy, by zawinąć je w papierek i spalić w łazience. Gdy będąc poza domem, dostrzegła przypadkiem, że wypadł jej włos, podnosiła go i chowała do kieszeni. Na kwestie włosów i paznokci była szczególnie wyczulona, gdyż wierzyła, że tylko one mogą żyć dalej po śmierci ich właściciela.

Lista czynności, których nie należało wykonywać, stale się wydłużała: nie brać noża z cudzej ręki, nie zostawiać rozwartych nożyczek, przechodząc koło cmentarza, nie wymawiać imienia osoby żyjącej, w pomieszczeniu, w którym znajduje się egzemplarz Koranu, nie wymieniać w rozmowie nazw zwierząt, wstając w nocy do toalety, nie podśpiewywać pod nosem i w ogóle nie wydawać, jeśli to możliwe, żadnego dźwięku, nie zabijać pajaków... Wszystko, co dotyczyło porodu, było wyjątkowo ważne. Kobiety podczas ciąży i porodu podlegały szczególnej ochronie. Łóżysko należało koniecznie zakopać w ziemi. Meryem nie udało się, co prawda, namówić do tego młodego lekarza w okularach, gdy urodziła Muhammeta, ale dzięki pomocy skłonnej do żartów salowej doprowadziła w końcu do pochówku łożyska. Tak jak narodziny, tak i śmierć była momentem wymagającym szczególnej ostrożności. Odwiedzając umierającego, należało się do niego zwracać coraz to innym imieniem, aby oszukać Azraila, anioła śmierci. A jeżeli mimo to chory umarł, trzeba było wszystkie jego ubra-

246

nia oddać kompletnie nieznanemu handlarzowi starzyzną. Gdy ten ośmielił się powiedzieć kilka słów o zmarłym, Meryem uznawała, że musiał go znać, i odbierała nieszczęsnemu ubrania, by wręczyć je innemu. W zawodzie tym bowiem niezajomość to podstawa. Lepiej nikogo nie znać, nie wiedzieć, po kim pozostały rzeczy, ilu zgonów są pamiątką. Nie można nawet pozwalać, by przez myśl nam przeszło, że one w ogóle kiedyś do kogoś należały. Obowiązkiem handlarza jest załadować to, co nam znane, na plecy i zanieść do tych, którzy tego nie znają. Ludzie pozbywający się rzeczy czują potrzebę zerwania z ich przeszłością, ci, którzy je kupują — unikania wiedzy na temat tej przeszłości. Handlarze starzyzną są więc mostem między jednymi i drugimi, dzięki nim przedmioty zostają oczyszczone z wszelkich osobistych wspomnień o wyzwaniach, jakie przed nim stawiano, o wszelkich klęskach, których smak poznały. Zostają „wyzerowane” i dzięki temu mogą rozpocząć nowe życie. Tak musi być. Tak powinno być, by ze starego zrodziło się nowe, by śmierć stała się początkiem życia. Gdyby ktoś zapytał Meryem, jakie są najświętsze zawody, jeszcze przed lekarzem czy nauczycielem wymieniałaby właśnie handlarza starzyzną. Oczywiście nie chciałyby, by Muhammet nim został, ale żywiła do handlarzy sympatię połączoną z wdzięcznością. Ładowali na swoje wózki to, co pozostawało po rozproszonych rodzinach zamieszkujących niegdyś opustoszałe obecnie pałace, w których tylko wiatr hula, po znajomych, którzy się wyprowadzili, i wywozili daleko, a z odległych miejsc przywozili rzeczy innych i w ten sposób nieświadomie mieszała pamiątki po siedemdziesięciu dwóch narodach żyjących niegdyś na siedmiu wzgórzach Stambułu. Niektóre działania wymagały zachowania ostrożności lub — jeśli to możliwe — wręcz rezygnacji z ich wykonania, a jeżeli nie dało się ich uniknąć, należało koniecznie podjąć śro-

247
ki neutralizujące. Nie wolno było na przykład niczego szyc na kimś. Jeżeli jednak okazywało się to konieczne, trzeba było natychmiast się zabezpieczyć: wezwać na pomoc przedmiot, który mógł powstrzymać kłującą właściwość igły. Dlatego Meryem, ilekroć znalazła się w takiej sytuacji, zawsze trzymała w ustach drewnianą łyżkę, a jeżeli nie miała takiej pod ręką — zwinięty gałganek. Jeżeli zdarzyło się jej zbić lustro, natychmiast kupowała nowe, po czym zgodnie z zasadą wybijania klina klinem tłukła je, by zneutralizować potencjalne nieszczęście spowodowane wskutek rozbicia pierwszego. Nie musiała jednak robić tego zbyt często, ponieważ była przekonana, że stałe oglądanie własnej twarzy nie wróży nic pomyślnego, więc jedyne lustro w domu zawiesiła taflą do ściany. Szczególną ostrożność zachowywała w pobliżu drzwi — próg budził w niej większy lęk niż cmentarz. Przechodząc przez drzwi, uważała, by nie tylko nie stanąć na nim, lecz by lekko nawet go nie dotknąć. Robiła wielki krok, jak najdalej wysu-

wając nogę — koniecznie prawą. Zawsze zresztą dbała o to, by nie mieszać prawej strony z lewą. Gdy siadała do posiłku, odrywała kawałek chleba i kładła go po prawej stronie talerza — służył do tego, by nasycić tych, którzy mogliby zazdrościć zastawionego stołu. Wszystkie nieczyste czynności natomiast wykonywała lewą ręką. Zawołana, odwracała się zawsze przez prawe ramię, upraną bieliznę wieszła zawsze od prawej do lewej, jakby pisała dawnym pismem¹, z łóżka również schodziła zawsze z prawej strony. Co prawda, wskutek tej ostatniej zasady Musa musiał wstawać z lewej, ale jemu akurat wystarczyło, że się dobrze wyspał, i nie zwracał sobie głowy takimi rzeczami.

1 W 1928 r. dokonano w Turcji reformy alfabetu — używany dotychczas alfabet arabski został zastąpiony łańskim.

248

Przez cały dzień Meryem wyszukiwała rozmaite wróżebne znaki. Gdy drżała jej prawa powieka, był to dobry sygnał. Jeżeli jednak drgania pojawiały się w lewej, można było spodziewać się czegoś niepomyślnego. Gdy dzwoniło jej w prawym uchu, była pewna, że dostanie dobrą wiadomość, ale jeśli w lewym, zaczynała się niepokoić. Swędzenie stóp zwiastowało podróż, a wnętrza dłoni — pieniądze. Swędzenie szyi wskazywało na to, że nadchodzą ciężkie czasy, a gdy ni stąd, ni zowąd włosy stawały jej dęba, był to widomy znak, że nawiedza ją duch. No i fusy z herbaty... Jeżeli w filiżance pojawił się listek, który nie powinien był przejść przez sitko, Meryem spodziewała się jeszcze tego samego dnia niezapowiedzianej wizyty. Z kształtu listka zaś można było wywnioskować, kim będzie ów nieoczekiwany gość, a z koloru — jakie są jego zamiary. Złowróżbnym sygnałem było ujadanie psa o północy — zwiastował on bowiem śmierć kogoś z okolicy. Niestety odkąd ten gamoniowaty chudzielec, student medycyny, wprowadził się ze swoim psem do mieszkania naprzeciwko, nie była już o tym tak głęboko przekonana jak dawniej.

Choć nie wszystkie znaki była w stanie zrozumieć, starała się wyróżnić sobie mogące ją spotkać zdarzenia. Poranną kawę wypijała, by móc powróżyć sobie z fusów, wieczorną — na poprawę humoru. Taki miała zwyczaj już od dłuższego czasu. Do wieczornej kawy wychylała ponadto jeden po drugim trzy kieliszki bananowego likieru, którego picia nauczyła ją kilka miesięcy temu utrzymanka spod numeru ósmego. Pełno było u niej butelek z oliwą i najrozmaitszymi likierami. Dała Meryem spróbować każdego. Malinowy był niezły, miętowy pozostawiał w ustach świeży posmak, ale żaden nie mógł się równać z bananowym. Meryem miała potem wyrzuty sumienia — pierwszy raz w życiu piła alkohol, a w dodatku była Przecież w ciąży.

249

— Likier to nie alkohol! — zaśmiała się jednak utrzymanka, sądząc, że Meryem obawia się grzechu. I to wyjaśnienie się

jej spodobało. — Jeżeli tak ci smakuje bananowy, weź sobie wszystkie butelki — dodała utrzymanka.

Jej facet i tak stale przynosił nowe. Meryem kilka razy go widziała. Mógł być ojcem tej dziewczyny, do tego żonaty, dzieciaty. Ale co jej do tego. Nie wtrącała się nigdy w takie sprawy. Od innych rzeczy nie zawsze udawało jej się trzymać z daleka. Na przykład złe spojrzenia. Złe spojrzenie to rodzaj echa. Jak w wąwozie trudno ustalić źródło dźwięku, którego odbicia słychać zewsząd, tak przeważnie nie można stwierdzić, gdzie złe spojrzenie miało swój początek. Spodziewając się, że może ono paść z każdej strony świata i dotrzeć do niej na sto sposobów, w całym mieszkaniu porozmieszczała amulety odwracające zły urok. Na ścianach powiesiła koraliki od uroku, teksty ochronnych modlitw i końskie podkowy, pod poduszkami, za drzwiami, a zwłaszcza w kieszeniach Muhammeta rozsypywała ziarenka czarnuszki, nad którymi zmówiono modlitwę, i grudki soli, wszystko skrapiała wodą ze świętej studni w Mekce. Tu i tam rozłożyła skorupy żółwi, odnóża krabów, kasztany. Po całym mieszkaniu porozkładała — i sama też nosiła — muska1 wypisane na migdałach, daktylach, kartkach papieru, miedzianych tabliczkach i zwierzęcych skórkach. Zarówno Musa, jak i Muhammet przywykli już do życia wśród tych coraz liczniejszych i często zmieniających swe miejsce przedmiotów. Ale ani mniejsze, ani większe amulety w żaden sposób nie zmniejszyły lęku Meryem przez złym spojrzeniem. Gdy o jakiejś porze dnia poczuła, że serce ścis-

1 Muska — modlitwy i wersety z Koranu wypisane na różnych przedmiotach (karteczki papieru, złożone w trójkąt lub zwinięte w rulonik, nosi się na przykład na szyi zaszyte w woreczku lub w specjalnym metalowym etui). Ich zadaniem jest odstraszać złe duchy i chronić przed urokiem.

250

ka jej jakaś zgryzota, natychmiast szła do łazienki i rozbijała w umywalce talerzyk. Kiedy przy nalewaniu herbaty pękła szklanka, uznawała, że ktoś rzucił na nią urok, i szybko wrzucała w ogień szczyptę soli. Jeśli spotkała kogoś, kto się jej nie podobał, czyje spojrzenia budziły w niej niepokój, nie dając nic poznać po sobie, na sekundę lub dwie zakrywała twarz Muhammeta dłońmi, a gdy syna akurat nie było w pobliżu, zamykała oczy i myślała o nim. Najbardziej obawiała się właśnie tego, że ktoś mógłby rzucić urok na chłopca. Najchętniej ani na chwilę nie spuszczałyby go z oka. Dlatego Muhammet, który w niemowlęctwie nosił przyczepione do kaftaników muska, w kieszeniach znajdował ziarenka czarnuszki, pod poduszką kartki z nagryzmołonymi literami, a raz na dziesięć dni był nakrywany chustą trzymaną za cztery rogi przez cztery kobiety, a następnie nad jego głowę wlewano do naczynia z wodą roztopiony ołów, był gotów wszystko to znosić, byleby tylko nie musiał jeść jajek.

Ale udręka Muhammeta nie ograniczała się tylko do konieczności jedzenia każdego ranka, od dnia, kiedy skończył

sześć miesięcy, jajka na miękko na śniadanie. Jego skorupka służyła następnie za książkę skarg i zażaleń. Wyskrobawszy z niej wszystko łyżeczką do cna, podawał ją czyściutką stojącej nad nim matce, a wtedy ona brała ołówek i wypisywała na niej swoje uwagi: „Wczoraj Muhammet nie powiedział prawdy mamie, ale więcej tego nie robi”, „Wczoraj Muhammet nie chciał jeść jajka, ale więcej tego nie robi”, „Wczoraj Muhammet obraził panią lejącą ołów, ale więcej tego nie robi”... Skorupkę z takim prostym zdaniem, zawsze zaczynającym się w identyczny sposób i kończącym tą samą pełną skruchy frazą, należało następnie rzucić ptakom, by te zaniósły ją do dwóch aniołów księgowych, zapisujących w niebiańskich rejestrach Wszystkie popełniane na ziemi grzechy. Dopóki Muhammet 251

nie poszedł do szkoły, każdego dnia przed śniadaniem otwierał okno z nadzieją, że zobaczy skrzydlatych donosicieli. Ale w okolicy kręciły się tylko hałaśliwe wróble oraz paskudne wrony, przysiadające na gałęziach drzewa jedwabnego lub podskakujące na chodniku. Był jeszcze kanarek w klatce stojącej w oknie mieszkania numer 4, ale on nawet nie trzepotał skrzydłami, nie mówiąc już o lataniu.

Muhammet podejrzewał więc, że donosicielami są mewy. Widywał je, jak rozpruwały porzucone pod ogrodzeniem worki ze śmieciami. Niesione wiatrem, zataczały na niebie kręgi i przysiadały na resztkach. Gdy tylko chwyciły w różowy dziób jakiś donos, natychmiast wzbijały się w powietrze, pokrzykując z zadowoleniem. Nocą zbierały się na dachu i podglądały popełniane w budynku grzechy. I w przeciwieństwie do ojca w ogóle nie spały.

LOKAL NUMER 2

Otwierał drzwi pogrążony w rozpacz. Nie szkoda mu było zawalonego egzaminu z anatomii, ale tego, że doń przystąpił, choć miał świadomość, jak to się skończy. Gorzko żałował, że obudzwszy się rano i zorientowawszy, iż budzik się zaciął, nie został w łóżku i nie spał dalej, lecz piorunem wypadł z domu i do tego miał przy sobie dość pieniędzy, by wziąć taksówkę. A jeszcze bardziej żałował tego, że już po egzaminie dołączył do kolegów, którzy chcąc się dowiedzieć, jak kto odpowiedział, zbierali się w gromadki niczym dziobiące pszenicę gołębie i obrzucali soczystymi przekleństwami prowadzącego zajęcia i cały uniwersytet. W dodatku nie potrafił się od nich uwolnić. Cały dzień minął mu na przesiadywaniu w kawiarniach i wrzeszczeniu do zachrypnięcia. Teraz żał mu było zużytej energii. Bo dla Sidara energia była jak odrobina lekarstwa do oczu w zakraplaczu. Każdego dnia używał tylko dwie jej krople: jedną, by rano otworzyć oczy, drugą — by wieczorem zasnąć.

Zamknął za sobą drzwi, a że w roztargnieniu nie namacał kontaktu, korzystając ze światła na klatce, nagle znalazł się w czarnej jak smoła ciemności. Wybiegając rano w pośpie-

chu, musiał zapomnieć rozsunąć zasłony, ale gdyby nawet nie zapomniał, i tak niewiele by to dało. Przez wybite później dodatkowo okienko, znajdujące się na poziomie gruntu, do niskiego i wąskiego pomieszczenia i tak wpadała jedynie odrobina światła. Przeklinając durnia, który z niewiadomych względów umieścił włącznik nie obok drzwi, lecz dwa metry dalej, zaczął po omacku posuwać się wzdłuż ściany. W tym momencie tuż za nim pojawił się potężny cień, który nagle podskoczył i wydając dźwięk przypominający pomrukiwanie, całym swym ciężarem runął na Sidara. Ten zachwiał się i poleciał do przodu, uderzając głową w rurę biegnącą przez środek pokoju. Drżącymi ze zdenerwowania rękami udało mu się w końcu wymacać włącznik. Odwrócił się i ze złością spojrzął na Gabę. Ale pies dostał już to, czego chciał — wyciągnął mu z kieszeni resztę obwarzanka i przeżuwał go cały uszczęśliwiony.

Sidar, rozcierając guza, legł na kanapie. Brudna, pokryta zwisającymi pajęczynami żółtawa rura, biegnąca do kotłowni przez jego salon, będący jednocześnie pokojem do pracy i sypialnią, znajdowała się dokładnie na wysokości jego głowy, więc w kółko uderzał w nią skronią, zawsze w tym samym miejscu. Jak tak dalej pójdzie, zrobi mu się guz na stałe. Ale gdy tylko wyciągnął się na kanapie, cała jego złość minęła, napięcie znikło. Lubił być w domu. Lubił swoje mieszkanie, bo mógł w nim skryć się przed rozgardiaszem panującym w każdym zakątku Stambułu, mógł znieruchomieć wśród nieustannej bieżącej i tak jak Gaba, gdy najadł się do syta, wylegiwać się, machając ogonem obojętności na cały otaczający go świat.

Zwłaszcza wieczorem można było odczuć zalety wspaniałej lokalizacji mieszkania numer 2. O tej porze Pałac Cukierek pograżał się w nieznośnym harmidrze. Bezczelne klaksony

tkwiących w korkach samochodów, tupot pieszych, krzyki bawiących się w parku dzieci, ryk dobywający się z gardeł ulicznych sprzedawców mieszały się ze sobą, tworząc rozgardiasz jak na jarmarku, który niczym trujący gaz przenikał do wnętrza mieszkań przez okna, przesączał się przez szpary w drzwiach, szczeliny w murach i wypełniał kolejne pomieszczenia. Tylko to miejsce pozostawało poza jego zasięgiem. I poza zasięgiem panującego na zewnątrz upału. Ponieważ słońce niemal wcale tu nie docierało, panował chłód jak w jaskini. Pozostałe lokale zaś nagrzewały się jak piec. Tu także stosunkowo słabo odczuwalny był smród śmieci, który zdaniem pozostałych lokatorów wołał już o pomstę do nieba.

Działo się tak dlatego, że lokal numer 2 w Pałacu Cukierek zaprojektowano jako magazyn i w tym charakterze używano go przez wiele lat. Wszystko zmieniło się, gdy po śmierci staruszka spod dziesiątki administrowanie domem przeszło na

jego córkę, która chciała zajmować się tym na odległość. Wtedy zaczęły się problemy. Wszyscy lokatorzy składali tu swoje nie używane, niepotrzebne rzeczy i wywiązywały się wskutek tego tak gwałtowne kłótnie, że przez dłuższy czas nikt nie mógł korzystać ze składziku. W końcu na przekazane z Francji polecenie to niskie, wąskie pomieszczenie piwniczne zostało wynajęte za połowę czynszu, a uzyskany z najmu dochód był przeznaczony na utrzymanie budynku. Od tego czasu mieszkało w nim wiele krańcowo odmiennych osób, które łączyły jednak dwie cechy: brak gotówki i stan kawalerski. Byli to kolejno: spiker lokalnej rozgłośni radiowej, żywiący się trzy razy dziennie kebabem z kurczaka, kompletnie sfrustrowany księgowy, po ośmiu latach małżeństwa porzucony przez żonę, która nie tylko zamieszkała z jego najlepszym przyjacielem, ale i wyczyściła mu przy tym do cna konto bankowe, chłopak uchylający się od służby wojskowej, który w czasie ramadanu

255 i świąt religijnych nastawiał na cały regulator telewizor i słuchał transmitowanych śpiewów i kazań, osobnik wyglądający jak imitacja mężczyzny, o którym nie wiadomo było, czym się zajmuje, ale którego nikt nie odważył się o to zapytać, malarz zgrywas, który urządził tu sobie pracownię i malował to, co widział przez okno: nogi, stopy, buty. Po nim wprowadził się tu Koci Prorok, który zostawił po sobie najwyrazistsze wspomnienia i najsilniejszy smród. A potem Sidar oraz jego pies bernardyn.

Ponieważ w przeciwieństwie do poprzednich lokatorów Sidar nie miał prawie żadnych sprzętów, mieszkanie numer dwa jeszcze nigdy nie świeciło takimi pustkami.

Gaba był nieco dziwnym psem. Nie przypominał swoich czworonożnych pobratymców, potrafiących przebyć tysiące mil o głodzie i w chłodzie, by odnaleźć drogę do domu, zdolnych wyczuć nadchodzące niebezpieczeństwo i ostrzec przed nim swojego pana, wskazać, gdzie zostały ukryte narkotyki, w pojedynkę odnaleźć i uratować ludzi uwięzionych pod gruzami. Nie był typem wiernego przyjaciela, opiekuna dzieci czy ludzi starszych, spieszącego na pomoc każdemu potrzebującemu. Jeżeli czegoś w życiu nie znosił, to na pewno głodu.

Miał niezmierny apetyt i żołądek z gumy. Jeżeli przez dzień, ba, nawet przez godzinę nie mógł nic zjeść ani wypić, dostawał szału, demolował mieszkanie i ogryzał wszystko, co mu wpadło w łapy: atlas anatomiczny, drewniane krzesło, plastikowe wiadro... Nie było takiego fikołka, którego by nie zrobił, takiego numeru, którego by nie wyciął, byleby tylko dostać coś do schrupania. Ale gdy już nasycił potrzebę, jego ruchliwość i zapał zniknęły bez śladu. Jak wypchany gąbką pluszowy miś leżał gdzieś w kącie nieruchomo i nie było sposobu, by skłonić go do ruszenia się z miejsca. W innych dziedzinach życia nie wykazywał nawet dziesiątej części zapału, z jakim

zdobywał jedzenie. Nie lubił chodzić na spacery ani bawić się piszczącymi zabawkami, wymyślonymi specjalnie dla psów. Gdy orientował się, że nie ma nic do zjedzenia, przestawało go cokolwiek interesować, choćby znajdowało się tuż przed jego nosem. Sidar swego czasu sądził nawet, że pies wskutek starości zaczyna tracić słuch, ale gdy zauważył, że nie ma kłopotów z usłyszeniem takich dźwięków, jak chrobot stukającej o miskę suchej karmy, zgrzyt otwieranej metalowej puszki czy odgłos kroków Meryem przynoszącej rano chleb, zrozumiał, że nie ma powodów do zmartwienia.

Nie potrafił się gniewać na psa. Co więcej, w głębi duszy czuł się winny całej tej sytuacji. Nie powinien się spodziewać, że olbrzymi zwierzak z gór Jura będzie się zachowywał normalnie w piwnicznej izbie odrapanej kamienicy w jednej z najbardziej zatłoczonych dzielnic Stambułu. W dodatku podejrzewał, że wpływ na takie zachowanie czworonoga miały rogaliki z makiem i ciasteczka z haszyszem, które najpierw dla żartu dał mu spróbować, a potem musiał go nimi karmić, bo pies się od nich uzależnił. Podobnie swoje zrobił zapewne gęsty dym z jego jointów, który zwierzę musiało chęć nie chęć wdychać.

Dla Sidara Gaba był jedyny na świecie. Zresztą w tym mieszkaniu wszystko było pojedyncze. Jeden Gaba, jeden Sidar, jeden komputer, jedna wersalka, jedno krzesło, jeden fotel, jeden stół, jedna lampa, jeden garnek, jedna szklanka, jeden talerz, jeden widelec, jedna książka, jedna płyta kompaktowa, jedna zapalniczka, jeden czajnik, jedno prześcieradło, jeden ołówek... Gdy tylko miał się pojawić drugi egzemplarz którejkolwiek z tych rzeczy, pierwszy natychmiast ginął lub był po Prostu zjadany przez Gabę.

Panująca w tym zawilgoconym mieszkaniu prostota kończyła się jak nożem uciął na suficie. Sidar zawiesił na nim, 257

przybił gwoździami, przykleił lub przypiął jedno do drugich zszywkami wycięte z różnych czasopism czarno-białe zdjęcia, niektóre listy od rodziców, wiersz Nazima Hikmeta 1 Pogrzeb, zebrane tu i tam fanzyny, rysunki z komiksu Maus Arta Spiegelmana, olbrzymi plakat Dead Kennedys, dość stare zdjęcie przedstawiające płynący we mgle statek, wykorzystane na okładce menu w restauracji, w której Sidar po przyjeździe do Stambułu kilka razy zjadł obiad, ale gdy zorientował się w różnicy cen między Szwajcarią a Turcją, zrozumiał, że jest bardzo droga i więcej się w niej nie pojawił. Umieścił tam też kartki wydarte z komiksu Batman. Dark Night, czarny T-shirt z nadrukowanym z przodu zawiadomieniem o trasie koncertowej Recipe for Hate zespołu Bad Religion, plakat kampanii społecznej przeciwko narkomanii z ułożonym z pigulek napisem: Ma Vie Peut Etre Different², zdjęcie Gaby szczeniaka, powiększoną kserokopię ryciny Szaleństwo strachu Goi, zasuszonego skarabeusza, kolaż zrobiony ze zdań wyciętych

z eseju Ciorana o Mistrzu Eckharcie, rysunek bogini zdrowia Higieii o doskonale okrągłych piersiach, miękko zarysowanym brzuchu, z olbrzymim węzem oplecionym wokół szyi, wersety z Kadiszu Allena Ginsberga, tabliczkę z napisem: „Kulturalny człowiek nie pluje na ziemię, ty też nie pluj!”, którą pewnej nocy, będąc na haju, zdołał odkręcić i zabrać do domu, zdjęcie Wittgensteina zrobione na krótko przed jego śmiercią, a na-przeciwko niego wyblakłą fotografię Otto Weininger, plakat, na którym Spiderman, przykucnąwszy na dachu jednej z wież World Trade Center, obserwuje miasto, a obok zdjęcie przed-

1 Nazim Hikmet Ran (1901-1963) — wybitny turecki poeta i dramaturg, czło-

nek Komunistycznej Partii Turcji, prawnuk polskiego emigranta poturczenia

Konstantego Borzęckiego vel Mustafy Celaleddina Paszy.
2 Moje życie mogło być inne (przyp. aut.).
258
stawiające moment uderzenia w wieże drugiego samolotu w zamachu z 11 września, słowa jednej z piosenek This Mortal Coil, zdjęcie Neyzena Teyfika¹ z zawieszoną na szyi tabliczką z napisem: „Nic”, wycinki z prasy na temat Robbiego Fowlera, formularz testu zaliczeniowego z anatomii, na którym wykładowca czerwonym długopisem napisał: „Chcę z tobą natychmiast porozmawiać”, wyblakły wydruk komputerowy Czarodziej Zaratustra spotyka w ogrodzie swego sobowtóra Leonory Carrington, kolaże zrobione z recept i pudełek po przyjmowanym w różnych okresach życia xanaxie, ulotkę reklamową specjalisty od obrzezania, na której widniało zdjęcie rzeczonoego specjalisty, zwalistego faceta o sumiastych wąsach i nastroszonych brwiach, oraz tekst: „Nie igraj z przyszłością swego syna! Obrzezanie wymaga wprawy. W sprawie obrzezania zdaj się na nas” (Sidar odkrył to ogłoszenie, spacerując po dzielnicy Fatih, ale nie udało mu się go zerwać z muru, na którym było naklejone, więc poszedł pod wskazany adres, gdzie dostał ulotkę), okładki kaset z nagraniami zespołu Kino, zdjęcie zamienionego w stos popiołu, kości i sadzy pociągu, który w lutym 2002 roku stał się zbiorowym grobem czterystu osób, notatki Waltera Benjamina z Moskiewskiego dziennika, reprodukcje kilku ilustracji do Pieśni niewinności Williama Blake’a, karykatury Selcuka² wycięte z numerów „Maniere de Voir”, fotografię starego Freuda, na której naukowiec nie patrzy w obiektyw, pocztówki z Lizbony, pocztówki ze Stambułu, ro-i Neyzen Tevfik (1879-1953) — poeta, wirtuoz gry na flecie ney, członek bractwa mewlewitów oraz bektaszytów, bohater licznych anegdot, znany ze skłonności do nadużywania alkoholu — chodząc po ulicach Stambułu z tabliczką z napisem „Nic” na szyi, żebrał o pieniądze na trunek.

2 Selcuk Demirel (ur. 1954) — znany turecki rysownik, którego prace publikowane były m.in. w „Le Monde”, „The Washington Post”, „The New York Times”, „The Wall Street Journal”.

259

dzinne zdjęcie zrobione trzynaście lat temu na stacji kolejowej Haydarpasha, karteluszek z ważnymi telefonami i notatkami

oraz srebrny wisiołek z przezroczystym kamieniem czarno żyłkowanym, подарowany mu przez Nathalie, do której miłości nie tyle się wyżył, ile znudziło mu się jej kochanie. Wszystko to wisiało na suficie.

Gdy przeprowadził się do tego mieszkania, jak wszyscy ludzie zawiesił na ścianach ulubione fotografie i plakaty. Niestety musiał z tej dekoracji szybko zrezygnować, gdy okazało się, że Gaba — który drogę ze Szwajcarii do Turcji spędził uwiązany w przedziale, gdzie czuł się fatalnie, w związku z czym wył, jakby go obdzierano ze skóry, i nawet dawanie mu co dziesięć minut czegoś do jedzenia nie było w stanie go uspokoić, a który od chwili gdy postawił łapy na stambulskiej ziemi, nie wiedząc już zupełnie, w jaką stronę i na kogo ma czekać, stał się kłębkim nerwów — być może z głodu, a może z tęsknoty za ojczyzną rzucał się na ściany, drąc i pożerając wszystko, co na nich wisiało. Sidar umieścił więc swoje zdjęcia i plakaty nieco wyżej. Ale to „nieco wyżej” okazało się jednak niewystarczające, gdyż Gaba, gdy stanął na dwóch łapach, był wyższy od przeciętnego Turka. Dlatego wszystkie te zdjęcia i plakaty pospiesznie pozbierały swe manatki i jak uchodźcy w panicznej ucieczce przed wojną lub bronią chemiczną, użytą przez rządzącego ich krajem dyktatora, stały się w górę, aż w końcu opuściły granice ścian i szeroką falą wlały się na sufit. Sidarowi ta nieoczekiwana zmiana miejsca tak przypadła do gustu, że z pasją podsycił nowe zjawisko, wieszając nad swą głową wszelkie materiały pisane i ilustracyjne, jakie zwróciły jego uwagę. Cały ten chaotyczny tłum powiększał się z dnia na dzień, jak szybko rozrastające I Haydarpassa — dworzec kolejowy w arabskiej części Stambułu.

220
się dzikie wino. Ostatnio wysunął nawet swe zaborcze macki w stronę sufitu kuchni i łazienki.

Gdy Sidar przygotował sobie skręta, kładł się na kanapie i potrafił tak całymi godzinami leżeć na wznak ze wzrokiem wbitym w powałę. A wtedy dym z jointa przenikał do jego krwi i pędził przez naczynia, odbijając kopniakami czerwone krwinki i prowokując białe, aż w końcu jak dumny zdobywca docierał do mózgu i sufit w cudowny sposób ożywał. W takich chwilach czarno-białe zdjęcie Wittgensteina nabierało kolorów, a twarz filozofa przyjmowała buraczkową barwę, ludziki z karykatur Selcuka zaczynały w podskokach wędrować, a Spiderman podciągał się i opuszczał na zrzuconej z wieżowca linie. Świetliste aureole na rysunkach Blake'a rozbłyskiwały i gasły, jakby przekazywały zaszyfrowane informacje. Łysy czarodziej na obrazie Carrington stapał się ze swym sobowtorem, a zakwefiona postać z ryciny Goi nagle zrywała spowijającą ją białą zasłonę i ukazywała twarz. Na wargach specjalisty od obrzezania pojawiał się okrutny uśmiezek, piersi Higieci falowały, twarze z rodzinnej fotografii, zrobionej na dworcu Haydarpassa, rozplływały się jedna po drugiej. Nie mijało wie-

le czasu, a Sidar czuł, jak dwie krople energii, jedyne, jakie posiadał, opuszczają jego ciało, które zanurza się w miękkim, puszystym, rozleniwionym morzu odurzenia. Gaba kładł mu się w nogach i mieszkanie numer 2 z lokatorami, tworzącymi z nim absolutną jedność, pogrążało się w nieskażonym najmniejszym drgnięciem bezruchu.

W takich chwilach jedyną rzeczą, o której Sidar myślał i o której myślenie sprawiało mu przyjemność, była śmierć. Nie robił tego świadomie. Te myśli same przychodziły mu do głowy. Nie było to też przyzwyczajenie, którego nabrał, rozmyślać, albo wybrać, uznawszy, że do niego pasuje. Miał tak od dziecka, od dawna, odkąd pamiętał. Śmierć nie wydawała mu

261
się tak smutna, by się jej bać, ani tak przerażająca, by miała go zasmucać. Po prostu starał się ją zrozumieć. Zrozumieć raczej, czym nie jest, niż to, czym jest. Gdy kogoś poznawał, interesował go przede wszystkim stosunek tej osoby do śmierci. Czy się jej boi? Czy w nieoczekiwany sposób straciła kogoś bliskiego? Czy była świadkiem śmierci obcego człowieka? Czy ogarnia ją niekiedy wrażenie, że mogłaby kogoś zamordować? Czy wierzy w istnienie tamtego świata? Miał wiele pytań, ale ich nie zadawał. Dawno już zrozumiał, że w tych sprawach lepiej jest trzymać język za zębami, choć nie zawsze mu się to udawało. A przecież to, czy kochał jakąś kobietę, czy czuł się swobodnie w czyimś domu, jego stosunek do autora danej książki, wrażenie, jakie wywierała na nim postać z filmu, ocena piosenkarza — wszystko to zależało od wiedzy na temat ich śmierci lub przeczuć, że umrą. Potrafił wysoko cenić kogoś kompletnie miernego wyłącznie za to, że umarł piękną śmiercią, ale także kręcić nosem na kogoś lubianego, bo uważał, że ostateczny koniec życia tej osoby niczym szczególnym się nie wyróżniał. Ponieważ zainteresowanie stale podsycalo u niego chęć zdobywania informacji, a zdobyte informacje podsycaly zainteresowanie, zgromadził na ten temat ogromną wiedzę. Wszelkie wyszukane w książkach, wywnioskowane z wydarzeń, uzyskane od ludzi fakty starannie składał w teczkach i umieszczał na półkach urządzonego we własnym mózgu podręcznego archiwum śmierci. Pamiętał, gdzie i jak zmarły gwiazdy filmowe, postaci z powieści, narodowi i lokalni bohaterowie, filozofowie, uczeni, poeci, a zwłaszcza mordercy. Jego nadmierne zainteresowanie tą sprawą wywoływało w liceum niechęć nauczyciela historii:

— Aleksander Wielki? Ach tak, ten to w paskudny sposób wyciągnął kopyta. Po dwudniowej uczcie wydanej na jego cześć albo pękł, albo zasrał się na śmierć.

262

Jego wystąpienia na lekcjach filozofii utrzymane były w podobnym stylu:

— Ale ten sam Rousseau w listach do Woltera nazywał trzęsienie ziemi w Lizbonie, które pochłonęło setki istnień

ludzkich, pomyślnym wydarzeniem. Twierdził, że od czasu do czasu takie porządki są niezbędne ze względu na liczebność i jakość ludności.

Te rzucane z ławki przez Sidara petardy wiedzy burzyły tok lekcji, a informacja, że Aleksander Macedoński zmarł na rozwolnienie, umniejszała wielkość władcy, podkopywała sławę. W umysłach uczniów Rousseau zmieniał się we współczesnego terrorystę, a cała jego filozofia brała w łeb. Gdy okoliczności śmierci stają się znane, kapłan, który nakazywał swoim uczniom wstrzeźliwość, ale sam przez całą noc obzerał się na ofiarnej uczcie, aż nie dożywszy rana, pękł — w jednej chwili traci moc swej wiary, szanowany polityk, który po sześćdziesiątce ożenił się z młodką i którego serce nie wytrzymało trudów nocy poślubnej — poważanie, sułtan, który niszczył winiarnie i pijącymi wino obwieszał drzewa, a sam zmarł na marskość wątroby — swą potęgę, a badacz, który przechodząc przez ulicę, nie rozejrzał się na boki i zginął rozjechany jak owad — nimb geniuszu. Śmierć na Wschodzie bywa równie śmieszna jak na Zachodzie. Śmierć jest przecież śmieszna. — Nie posłuchał pan mojego trzeciego ostrzeżenia. W tej sytuacji proszę wyjść z sali.

Nauczyciele nie podzielali jego poglądów. Wyrzucano go za drzwi, lecz w przeciwieństwie do innych lądujących na korytarzu uczniów nie stawał się bohaterem w oczach koleżanek. Bo dziewczyny też nie uważały śmierci za śmieszna.

Miał nadzieję, że sytuacja zmieni się po przyjeździe do turcji. Tutaj łatwiej było przecież umrzeć, śmierć zdarzała się częściej, życie było krótsze. Co za rozczarowanie! Jego próby

263
porozmawiania na ten temat były szybko ucinane. Początkowo sądził, że wynika to ze słabości jego turecczyny, że nie potrafił wytłumaczyć, o co mu dokładnie chodzi. Ale intensywne wysiłki matki, która do ostatniego dnia pobytu w Turcji uczyła w szkole tureckiego i bała się, że w Szwajcarii syn pod wpływem nie tylko francuskiego, lecz także kurdyjskiego, którego nieumiejętnie próbował nauczyć go ojciec, zapomni ojczystego języka, dały efekty: turecczyna Sidara przez długie lata spędzone poza krajem pogorszyła się najwyżej odrobinę. Problem nie polegał więc na jego sposobie wyrażania się, lecz na tym, co chciał wyrażać. Tu bowiem między Turkami i Szwajcarami zaczynały się pewne różnice. Swe ustalenia Sidar zapisywał na małych karteczkach, które następnie przymocowywał do sufitu, by uchronić je przed frustracją Gaby:

1. Turcy nie lubią mówić o śmierci (podobnie jak Szwajcarzy);
2. Jeżeli Turcy mówią o śmierci, to nie o jej abstrakcyjnej idei, lecz o konkretnych przypadkach zgonów (częściowo inaczej niż Szwajcarzy);
3. Turcy nie potrafią wyabstrahować śmierci (zupełnie inaczej niż Szwajcarzy).

W Stambule jednak, w przeciwieństwie do jego mieszkańców, śmierć nie budziła żadnego dyskomfortu. Sidar zawsze był gotów do rozmowy na jej temat. W zasadzie nawet nie musiał o niej mówić, on i śmierć przenikali się przecież nawzajem. Ongiś w Europie próbowano pozbyć się z miast ludzi chorych psychicznie, wsadzając ich na statki. Szwajcarskie cmentarze wydały się Sidarowi podobne do tych okrętów pełnych szaleńców, z tą różnicą, że stały zakotwiczone, donikąd nie płynęły. Były za to tak samo odizolowane od życia. Każdy mógł je odwiedzić, ale groby w żaden sposób nie mogły wejść do miasta. Natomiast Stambuł albo zapomniał zaokrętować

264

swoje cmentarze, albo cmentarze uciekły ze statku i z kamiennymi turbanami, w marmurowych szatach rozbiegły się po jego ulicach. Były wszędzie. Jak niesione wiatrem nasiona kwiatów rozsiały się po różnych zakątkach. Na placach, gdzie w wybrane dni tygodnia działały bazy, pośrodku centrów handlowych, na ruchliwych skrzyżowaniach, w bocznych uliczkach, przy pustych parcelach, gdzie dzieci grały w piłkę, na zboczach wzgórz z widokiem na morze i na stromych pagórkach, na które trudno się wdrapać, podwórkach tekke¹, pod ścianami i schodami, we wszelkich, najbardziej nawet nieprawdopodobnych miejscach pojawiała się zniecka jakiejś turbe², cmentarz lub kilka grobów wciśniętych między budynki. Obok nich przechodzili ludzie z siatkami, tornistrami, teczkami, pchający wózki z dziećmi... Pędzili, posuwali się wolnym krokiem, krzycząc i nawołując, padając i podnosząc się. Zmarli i żywi do spółki zamieszkiwali to miasto.

Trzy pierwsze lata pobytu w Stambule upłynęły Sidarowi na ciągłych wędrówkach między grobami i po cmentarzach. Bywało, że po niektórych dzielnicach włóczył się wyłącznie w tym celu, zdarzało się też, że spiesząc dokądś w jakiejś sprawie, przypadkiem natrafiał na miejsce pochówku, przystawał albo nawet robił sobie przerwę dla zaczerpnięcia oddechu. Zwiedzić cmentarze niemuzułmańskie, na ogół otoczone wysokim murem, z bramą otwartą jedynie w niektóre dni tygodnia, było trudniej niż muzulmańskie. Pewnego razu zapytał skromnego stróża jednej z greckich cerkwi, co oznaczają ziarna granatu wykute na płaskorzeźbie zdobiącej grób na dziedzińcu

1 Tekke — budynek będący siedzibą bractwa derwiszów.

2 Tiirhe — grobowiec w formie niewielkiego budynku na planie koła lub ośmiokąta, mieszczący jeden lub kilka sarkofagów.

265

i co głosi widoczny na nim napis. Ten jednak tylko bezradnie pokręcił głową. Nie znał ani jednego słowa po grecku. Był Ormianinem. Od lat w dni powszednie pełnił swe obowiązki w tej cerkwi, a w dni świąteczne chodził do swojego kościoła. Dzięki niemu Sidar zrozumiał, że na greckim cmentarzu nie bywają tylko Grecy, na żydowskim — Żydzi, a na należącym

do ortodoksyjnego Kościoła syryjskiego — Syryjczycy. Cmentarze muzułmańskie miały niskie ogrodzenia i bramy niemal cały czas otwarte, więc znacznie łatwiej było je zwiedzić. Większość pozostawała jednak dość zaniedbana. Wbrew temu, co się sądzi, to nie życie muzułmanów było zmienne i przemijające, lecz ich nekropolie. Zwłaszcza te niezbyt stare sprawiały wrażenie, jakby w każdej chwili były gotowe przenieść się w inne miejsce. Spotykał na nich najróżniejszych ludzi: prostych dozorców, hodźów¹, za pieniądze recytujących Koran nad grobem, obdarte dzieciaki z czajnikami, które zaczęły odwiedzać cmentarz i starały się dostać parę groszy za dostarczenie na grób wody, rodziny z dziećmi przynoszące ze sobą wypchane kosze, jakby wybierały się na piknik, samotników szukających pocieszenia w modlitwie, pijaczków popijających tu wino pod wieczór, kieszonkowców zawsze pojawiających się tam, gdzie jest tłoczno, spirytystów nawiązujących łączność z duchami i podążające za nimi kobiety — młode, stare, z miasta i ze wsi...

Z czasem Sidar nauczył się ich odróżniać i na własny użytek dzielił na dwie grupy: przychodzących, by zostawić swój ślad, i podążających czymś śladem. Ci pierwsi co jakiś czas odwiedzali groby bliskich i zostawiali po sobie modlitwy, czajniki z wodą, kwiaty i łyż. Byli mniej szkodliwi niż ci drudzy, 1 Hodża (tur. hoca) — nauczyciel, potocznie osoba posiadająca religijne wykształcenie, często zajmująca się znachorstwem.

266

którzy pojawiali się, by coś stąd zabrać, kogoś okraść, oskubać, rzucić urok lub znaleźć wskazówki. I nie wychodzili, zanim tego nie dostali. Do tej grupy zaliczał także tych, którzy na cmentarzu zdobywali zawód, pieniądze, szacunek albo odnajdywali przeszłość. Wszystkich tych spirytystów, pomyleńców, złodziei i... kanadyjskiego ginekologa.

Kanadyjski ginekolog w towarzystwie wiecznie uśmiechniętej i równie jak on młodej żony — po której widać było, że o Turkach i Turcji wie tyle co nic — i jeszcze bardziej rozentuzjasmowanego stróża godzinami krążyli po rozległym cmentarzu w poszukiwaniu grobu jego tureckiej babki. Gdy w końcu postanowili wyjść, by spróbować szczęścia gdzie indziej, Sidar zapytał, po co to robią.

— By nasze dzieci, które przyjdą na świat, miały swoje drzewo genealogiczne — odpowiedział młody lekarz i oczy mu rozblęły.

A jego żona miękkim ruchem przycisnęła dłonie do piersi, jakby objęła nimi pień tego drzewa, i uśmiechając się, rozłożyła szeroko ręce niby jego gałęzie.

Sidarowi przypomniała się mosiężna ramka w kształcie drzewa, jedna z niewielu rzeczy, jakie zabrali, uciekając za granicę. Stała w serwantce w salonie. Z pięciu konarów niczym śliwki zwieszało się dziesięć owalnych fotografii — po dwie z każdego. Matka uznała kiedyś, że dobrze byłoby umieść-

cić w nich zdjęcia członków jej rodziny, poczynając od matki i ojca, ale w ten sposób nie zebrałaby ich dziesięciu. Gdyby z kolei włączyła rodziny swojego rodzeństwa, fotografii byłoby wielokrotnie więcej. Zapełnienie ramek stało się więc problemem. Rozwiązała go, wkładając w dwie zdjęcia swoich najbardziej lubianych kuzynów. Ponieważ ramki były bardzo małe, każde zdjęcie trzeba było ostrożnie przyciąć, tak by pozostał na nim wyłącznie mały łeppek. Głowy członków rodziny

267
przez długie lata kołysały się w medalionach jak krzyczące, gdy się je zrywało, gnijące owoce Drzewa Strachu 1.

„Nie jestem jednej krwi z wami. To przypadek, że urodziłem się wśród was. Jestem jednym z dzieci, które spłodziliście, by uspić wasz strach przed śmiercią. Jednym z tych, które pozostawiliście własnemu losowi, gdy pojęliście, że i tak nie umkniecie śmierci, i postanowiliście zrobić sobie nowe. Rozlewałem swoje nasienie na ziemię. Nie chcę nikogo zapłodnić. Czczę samobójstwo jako jedyną drogę do tego, by poczęte przypadkowo życie nie zakończyło się w sposób przypadkowy”.

Do wyrzutów, jakie słyszał z powodu swego zainteresowania śmiercią, w Stambule dołączyły nowe. Niemal każdy, kogo wypytywał o cmentarze lub drogę prowadzącą do niedostępnych grobowców, polecał mu recytowanie sury Fatiha. Sądząc, że został źle zrozumiany, powtarzał prośbę, i znów otrzymywał taką odpowiedź. Nie recytował Fatihy. Nie wiedział zresztą, jak się to robi. Niewiele wiedział o islamie i nie zamierzał się dowiadywać. Uważał, że żadna religia nie ma prawa oczekiwać od niego posłuszeństwa, skoro sama zakazuje samobójstwa.

Nie był jednak wcale takim ignorantem w kwestii islamu, jak mu się wydawało. Czasem stwierdzał, że niektóre rzeczy po prostu wie, chociaż nie wiedział, że je wie. Pamięć przypomina bowiem rowerzystę, zjeżdżającego całym pędem ze wzgórza pod wiatr. Chce czy nie chce, nie może nic poradzić na to, że informacje przyczepiają się do niej, wpadają przez usta, wplątują się we włosy, przyklejają do twarzy. Niepełne, porwane słowa modlitw, nakazy wiary, opowieści z życia Pro-1 Drzewo w piekle, na którym zamiast owoców rosną ludzkie głowy. Drzewem Strachu nazywa się też Krwawy Platan, rosnący przy wejściu do pałacu Topkapi, na którego gałęziach w 1656 r. powieszono głowy dostojników, zgładzonych na żądanie zbuntowanych janczarów.

268

roka... Powiadają, że języka nauczonego w dzieciństwie nigdy się zupełnie nie zapomina. Sidar nie był tego taki pewny. Ale ze spokojnym sercem mógłby się założyć, że nie zapomina się wiary.

Chodząc po cmentarzach, musiał zostawiać Gabę przed wejściem. Gdy wracał, pies najczęściej spał lub pożerał obwarzanek, którym poczęstowali go stróże. Do domu szli na piechotę — zarówno z powodu braku pieniędzy, jak i dlatego

że rzadko który kierowca autobusu, mikrobusa czy taksówki godził się wpuścić psa do środka. Nie chodzili do nikogo z wizytą i nikt ich nie odwiedzał. Ale raz, jeden, jedyny raz, podejmowali w domu gościa. I to kobietę.

Sidar poznał ją w barze przy alei Niepodległości. Była koleżanką koleżanki nowo poznanego kolegi. Oprócz miedziatorudych włosów miała jeszcze dwie łatwe do zauważenia cechy: zielone oczy i umiejętność pochłaniania dużych ilości piwa. Gdy zamknęli bar i wszyscy zaczęli rozchodzić się do domów, po prostu poszła z Sidarem. Na widok jego mieszkania przez twarz przebiegł jej grymas zaskoczenia. Na próżno omiatała pokój spojrzeniem, by znaleźć coś, co zbliży ją i gospodarza. Gdy bowiem trafia się po raz pierwszy do cudzego domu, szuka się czegoś takiego, przyglądając się przedmiotom, rozmawiając o przedmiotach, posługując się przedmiotami. Na szczęście był Gaba.

Gdy dziewczyna wysunęła w jego stronę wafelek, pies jednym susem wpadł pomiędzy nich jak futrzasta lawina. Zlizawszy wszystko co do okruszka szorstkim różowym językiem, radośnie skoczył na wspaniałomyślnego gościa. Jak się to zdarza ludziom potężnej postury, on także nie wiedział, że są subtelniejsze sposoby wyrażania wdzięczności. Przez następną godzinę oboje tarzali się po podłodze. Sidar zaś siedział sobie z boku i z zadowoleniem przyglądał się brzuchowi

269
dziewczyny, odsłoniętemu wskutek tych igraszek, a z niezadowolaniem — nieoczekiwanemu ożywieniu Gaby. A potem zerwał się nagle z miejsca i jak bohaterowie baśni z Tysiąca i jednej nocy, ulegający szaleńczemu gniewowi, gdy kobieta, która wpadła im w oko, nie interesowała się nimi, lecz jakimś zwierzęciem, przyskoczył do nich i przyciągnął dziewczynę do siebie. Jej piersi, tak jak i brzuch, były mlecznobiałe. Drżały i twardniały, gdy się je całowało.

Skaczący z ogromu szczęścia Gaba został zamknięty w łazience, ale rygielek w drzwiach był zablokowany, a zamek zepsuty, wystarczyło więc, że pies nacisnął łapą klamkę i odzyskał wolność. Sidar mozolnie włókł go z powrotem i wpychał do łazienki, po czym sytuacja się powtarzała. Aż w końcu Sidar wpadł na pomysł, by unieruchomić klamkę, przywiązując ją sznurem do rury biegnącej przez środek mieszkania. Gaba bezsilnie miotał się w zamknięciu, aż w końcu zaczął jednostajnie wyć. Nawet w pociągu, którym jechali ze Szwajcarii, nie robił tyle hałasu. Pies lamentował w łazience, a w pokoju wtórowała mu dziewczyna. Sidar nie rozumiał, o co jej chodzi, i z seksu nic nie wyszło. Zamroczony, zsunął się z ciała dziewczyny.

Gdy Sidar rozwiązał w końcu sznur blokujący klamkę, Gaba leżał wt bezruchu obok klozetu, kompletnie obojętny. Obraził się. Następnego dnia nadal był obrażony. Choć Sidar odżałował nawet pieniądze odłożone na rachunek za prąd

i kupił mu ulubione przysmaki, Gaba żadnego z nich nie tknął. Mięso, sery i kiełbasy obwąchał z wyraźnym brakiem apetytu i przewracając smętnie oczami, legł ponownie obok sedesu. Dopiero trzy dni później, gdy jego nozdrza połaskotał aromat piezzonego królika, odzyskał dawny apetyt. Sidar powitał znajome mlaskanie radością i postanowił nie wpuszczać do domu już nikogo więcej.

270

I nie wpuścił. Zresztą przy jego trybie życia o żadnych związkach uczuciowych nie mogło być mowy. Wymagały przecież stabilizacji, choćby i najmniejszej, czasu i energii, a przede wszystkim pieniędzy. On zaś pieniędzy nie posiadał, zasoby energii też raczej miał ograniczone, a jeśli chodzi o czas, to dysponował coraz mniejszą jego ilością. Na uwolnienie się od obsesji dotyczących śmierci rok 2002, w którego cyfrach mnogość dwójek zamykała nicość zer, był idealny, a Sztambuł, miasto trzęsień ziemi, cuchnące śmiercią jak osiemnastowieczna Lizbona, również świetnie się do tego nadawał. Sidar, który w swej głowie — dokładnie w miejscu zderzenia z żółtą rurą — nosił gniew narastający z dnia na dzień jak złośliwy guz, szykował się na rychłą śmierć.

LOKAL NUMER 9

Domowe porządki dzielą się na dwie grupy: przechodzące z wczoraj na jutro oraz nie związane ani z wczoraj, ani z jutrem. Pod względem powodów i skutków są one tak od siebie różne, że gdy ma się do czynienia z jednym typem, drugiego się nie uświadczy. Także sprzątające kobiety dzielą się na dwa rodzaje: tradycjonalistki, przechodzące od wczoraj do jutra, oraz rewolucjonistki, nie uznające ani wczoraj, ani jutra. Tradycjonalistki wiedzą, że żadne sprzątanie nie jest ani pierwsze, ani ostatnie, a robione w jednym dniu porządki są tylko ogniwem w nieprzerwanym łańcuchu regularnie powtarzanych czynności — tyleż ważnym, co zwyczajnym. Poprzednie sprzątanie odbyło się tydzień lub dwa tygodnie temu i powtórzy się znowu za tydzień bądź za dwa tygodnie. W ten sposób każdy dzień sprzątania jest mniej więcej taki sam jak poprzedni i stanowi nieodłączną część pewnego ustalonego porządku. Tak samo się zaczyna, w taki sam sposób się kończy: najpierw myje się okna, trzepie się dywany, następnie — poczynając zawsze od tego samego pokoju — czyści się podłogi, po czym wyciera się kurze. Szczególnie starannie zajmuje się kuchnią i zawsze mniej więcej o tej samej porze

272

robi się przerwy na herbatę i posiłek. A na ostatnim etapie doprowadza się do porządku łazienkę, do której przez cały dzień stale wchodziło się, by zmienić wodę w wiadrze, a to dodać detergentu, a to powiesić wypraną bieliznę i wrzucić do pralki następną porcję prania. Z góry wiadomo, który etap następuje po którym, bo za każdym razem wszystko dzieje się tak samo. Więzy łączące tradycjonalistki z przeszłością są

równie silne, jak ogromna jest ich wiara w przyszłość, dlatego ta grupa nie widzi przeszkód, by coś, co nie zostało zrobione za jednym razem, przełożyć na następny. Nie zostały wyczyszczone kryszałki żyrandola albo nie wykrochmaliło się prześcieradeł? Nic nie szkodzi, wyrówna się to przy kolejnej okazji.

Porządki tradycjonalistek nie służą utrzymaniu ładu w domu, one same w sobie są ładem.

Rewolucjonistek zaś, które nie znają ani wczoraj, ani jutra, jest mniej i są bardziej niedbałe, a każde sprzątnięcie uważają za jedyne i wyjątkowe. To, czy pucowały coś dwa tygodnie temu, tydzień, czy nawet dzień wcześniej, nie ma dla nich żadnego znaczenia. Na mapie ich życia nie widnieje ani jeden most łączący dwa dni sprzątnięcia, więc każde zakończone porządki są dla nich sprawą zamkniętą, bezpowrotnie minioną. Mieszkanie sprzątają tak, jakby nigdy przedtem tego nie robiły. Biorą się do pracy, jakby otrzymały misję doprowadzenia do stanu używalności jakiejś wilgotnej, cuchnącej nory przeżartej grzybem, w której od pół wieku nie przebywał nikt prócz złych duchów, a która właśnie dzięki nim miała po dziesiątkach lat po raz pierwszy błyszczeć czystością. Nie mogą się zdecydować, Jak i od czego zacząć, bo stale coś wymaga od nich natychmiastowego działania: a to pestka melona przyklejona do oprawy kontaktu, a to ślad sadzy na firankach, kamień na umywalce, Plama oleju na obrusie, zapleśniałe resztki soku w szklance,

273

odrobina błota zaschniętego na posadzce... Byle drobiazg wystarcza, by rewolucjonistki zaczęły gruntowne porządki tam, gdzie stoją, i tak jak stoją. Ponieważ nigdy nie wiadomo, skąd zaczną i co będą robić potem, ba, nawet one same tego nie wiedzą, ich działania są kompletnie oderwane od siebie. Być może w ich głowach nie powstała nawet myśl o sprzątnięciu, ale zmywając jedynie szklankę, przy okazji ogarnęły całą kuchnię, szorując umywalkę, umyły całą łazienkę, myjąc oprawkę kontaktu, posprzątały cały dom. Porządki w ich wykonaniu nie mają etapów przed i po. Niczego nie można odłożyć na następny raz, na później. Dla tradycjonalistek każde sprzątnięcie jest jednym z wielu, dla rewolucjonistek — jedynym.

Porządki rewolucjonistek nie wprowadzają ładu, wręcz przeciwnie — są głównym powodem panującego w domu chaosu.

Tijen Czyścioszka zaliczała się do rewolucjonistek. Być może taka była zawsze, ale mniej więcej od trzech lat jej radykalne podejście do sprzątnięcia tak przybrało na sile, że zaczęło niepokoić bliskich. O najdziwniejszych porach sama lub z pomocą sprzątaczkę potrafiła przewrócić cały dom do góry nogami lub spędzić cały dzień na mozolnym zeskrobywaniu tłustego osadu z rączki jednej patelni. Plama albo ślad rdzy, kurz lub sadza, resztki czegoś czy coś wyszczerbionego, pleśń i osad... Nie była w stanie znieść żadnej z tych rzeczy.

Ostatnio nabrała nawet zwyczaju wyrzucania przez okno każdego przedmiotu, który uznała za nie dość czysty lub który wzbudzał w niej przeczucie, że nie potrafi doprowadzić go do idealnego stanu. Ponieważ była przekonana, że brud to nic innego jak roje mikrobow, podczas takich napadów ciskała przez okno nie tyle same przedmioty, ile mnożące się na nich bakterie. Nawet najmniejszy ślad brudu nie istniał ot tak sobie, lecz nieustannie produkował zarazki, mnożące się w postępie

274
geometrycznym, a ona po prostu wyrzucała z domu ten ich róg obfitości.

O tej higienicznej obsesji Tijen Czyścioszki wiedzieli nie tylko mieszkańcy Pałacu Cukiereczek, lecz także mnóstwo postronnych osób, które widziały wylatujące przez okno najrozmaitsze przedmioty. Pierwszy był przypalony garnek. Stało się to, gdy po całym dniu szorowania drucianym zmywakiem zrozumiała, że nie da się usunąć śladu spalenizny, mogącego być dowodem jej nieojalności wobec śnieżnobiałego pilawu z ryżu. W ślad za garnkiem podążył stary kilim. Zaczęła się bowiem obawiać, że mimo wielogodzinnego trzepania nie da się do końca usunąć kurzu, który nagromadził się w jego frędzlach. Wielokrotnie pozbywała się w ten sposób także ubrań, jeśli po wyjęciu z pralki uznała je za nie dość czyste i nie pomagało tu nawet wielokrotne pranie ich od nowa.

Niestety i w tej czynności, tak jak i w sprzątaniu, nie wykazywała się umiarem. Czasem, wyrzuciwszy jakąś rzecz, zupełnie o niej zapominała i pozostawiała ją swojemu losowi na podwórku, czasem jednak głęboko jej żałowała i chciała mieć ją z powrotem. A ponieważ mniej więcej od czterech miesięcy w ogóle nie opuszczała mieszkania numer 9, przyniesienie tej rzeczy spadało na córkę, męża lub aktualnie zatrudnianą kobietę do sprzątania.

Jedyną osobą zdolną ją zrozumieć i dotrzymać jej kroku była Meryem. Ich znajomość nieustannie przeżywała jednak wzloty i upadki. Tijen Czyścioszka potrafiła bowiem przykrymi słowami lub nieprawdopodobnymi kapryсами zrazić do siebie każdego, i choć Meryem nigdy nie próbowała wymigać się od mnóstwa zajęć, jakie na nią spadały, była niezwykle czuła na sposób traktowania. Urażona, rezygnowała, a Tijen zatrudniała wtedy kolejne kobiety do sprzątania. I każda z nich była jeszcze gorsza od poprzedniczki, więc po pewnym czasie Tijen

275
pokornie wracała do Meryem, którą udawało się jej w końcu przebłagać usilnymi prośbami i podniesieniem wynagrodzenia. I wszystko zaczynało się od początku. Całkiem niedawno ten niezmienny cykl znowu się powtórzył i Meryem podpisała kolejne zawieszenie broni. Pogodziły się, ale Tijen niepokoiła zaawansowana ciąża jej najbardziej zaufanego wojaka na froncie walki z brudem. Było bowiem oczywiste, że najdalej za kilka tygodni Meryem przestanie pracować.

Ale więcej powodów do niepokoju niż ciąża Meryem dostarczał Tijen spowijający cały Pałac Cukiereczek kwaśny odór odpadków. Nie mogła znieść tego smrodu. Od czasu, gdy wbrew woli rodziców poślubiła obecnego męża, pozbawiając się tym samym zarówno okazałego spadku, jak i wygodnego życia, nic nie wzbudzało w niej takiej rozpacz. Im odór stawał się intensywniejszy, tym bardziej była nieszczęśliwa. Gdy rano otwierała oczy i znów czuła ten smród, miała ochotę z wymiotować. Biegła i otwierała z hukiem wszystkie okna, a przechodzący w tym momencie ulicą spodziewali się, że zaraz zacznie coś przez nie wyrzucać. Ponieważ nie udawało się jej stwierdzić, czy panujący w mieszkaniu odór zmniejsza się przy otwartych oknach, zamykała je równie głośno, po czym powtarzała te czynności przynajmniej dziesięć razy dziennie.

Napięte z tego powodu do granic możliwości nerwy Tijen Czyścioszki zszarpał dodatkowo list przysłany ze szkoły córki. Nauczycielka prosiła, by dla dobra pozostałych dzieci Su nie przychodziła do szkoły, dopóki nie będzie pewne, że całkowicie pozbyła się wszy. Od tego dnia pralka pracowała nieustannie, ubrania dziewczynki moczyły się w wybielaczu o ostrym zapachu, w mieszkaniu trwały gorączkowe porządki. Zastępy bojowników czystości walczyły na dziesięciu frontach z niewidocznym gołym okiem i wyjątkowo szybko mnożącym się

276
wrogiem. Ich także były setki. Dosłownie wszędzie. Każdy miał na celowniku jeden odcinek linii frontu: jedni szyby, inni metal, jeszcze inni drewno, marmur, ceramikę. Środki czystości rozpylane, zakrapiane, pozostawiane do wyschnięcia. Szczotki osobne do toalety, umywalki i do wanny. Odkamieniacze, odrdzewiacze, odplamiacze, nabłyszczacze parkietu, preparaty do czyszczenia srebra, przetykania umywalek, udrażniania ubikacji. Odkurzacz zaopatrzony w specjalne końcówki do pracy na mokro i na sucho, do zasłon, obić mebli, dywanów, trudno dostępnych kątów. Urządzenie do oczyszczania powietrza. Mechaniczna szczotka, wycieraczka, szufelka, wiadro, szczotka, zmywaki inne do powierzchni twardych, inne do delikatnych, płyny do czyszczenia o aromacie sosnowym, cytrynowym, kwiatowym i morskiej bryzy, środki odkażające o zapachu drażniącym nozdrza, ścierki do podłogi i do wycierania kurzu, kulki naftaliny, woreczki z lawendą, pokrowce na ubrania, płatki mydlane... Wszystko stanęło na baczność i wraz z szamponami kupionymi w aptece ruszyło do obrony mieszkania numer 9 przed wszami.

— Dalej, dziadku, proooszę! — powtórzył Siedmioipółłatek, zerkając spod oka na swoje młodsze rodzeństwo. Pozostała dwójka siedziała tuż przed ekranem telewizora. Choć program już się skończył, wciąż nie mogły się oderwać od pustki pozostawionej przez zwariowaną prezenterkę z różą

wytatuowaną na brzuchu. Hadzi Haci uznał jednak prośbę najstarszego wnuka za wspólne życzenie całej trójki.

— No dobrze, już dobrze, opowiem wam w takim razie o Suleymanie Rybaku — obiecał, odkładając na bok Znaczenie snów, jedną ze swych czterech ksiąg, których liczba pozostawała niezmienna od lat. — Niegdyś, za panowania Osmanów w chatce w Zeytinburnu 1 mieszkał rybak o imieniu Suleyman. Był tak biedny, że nawet we śnie nie zdarzało mu się trzymać w ręku pieniędzy. Ale serce miał szczerozłote. Żył sobie spokojnie, nie wadząc nikomu. To były czasy nieładu i zamętu w imperium, gdy rządy w kraju sprawowały kobiety, a państwo drżało w posiadach. Nałożnice z sułtańskiego haremu codziennie snuły intrygi, nieustannie kopały pod kimś doł-

1 Zeytinburnu — dzielnica Stambułu.

278
ki. Ciała niewinnych, których kazały udusić, zrzuciły przez okna pałacu prosto do morza. Po wielu dniach w wodzie trupy puchły, niekiedy zaplątywały się w sieci rybaków. Sześcioipółlatak przełknął ślinę. Niesamowita aura dziadkowej opowieści była zupełnie nieadekwatna do dopiero co oglądanego wesołego programu porannego i to zbijało go z tropu. Siedząca tuż obok niego młodsza siostra spuściła głowę i wysunęła dolną wargę. Objęła się rączkami o pomalowanych paznokciach i zastygła w bezruchu.

— Nasz Suleyman pewnej nocy wypłynął na połów. Mnóstwo ryb wpadło do jego sieci, ale on miał tak miękkie serce, że darował wszystkim życie i wypuścił je z powrotem do morza.

— Co z niego za rybak? — zdziwił się Siedmioipółlatak.

— Suleyman z pustymi rękami wracał do swej chatki — kontynuował opowieść Hadzi Haci, zdecydowany nie wdawać się tego ranka w dyskusje z wnukiem — aż tu nagle dostrzegł wśród fal coś białego. Była noc, ciemna, ale świecił księżyc. Podszedł bliżej, jeszcze bliżej, patrzy — w wodzie pływa trup. Inni rybacy zostawiliby go, by stał się pożywką dla ryb, ale Suleymanowi zrobiło się żal. Zawzięcie wiosłując, podpłynął do ciała i wciągnął je na swoją łódkę. Odchylił całun. I cóż to ukazało się jego oczom?! Młoda kobieta, piękność nad pięknosciami. Dokładnie pośrodku jej piersi tkwił sztylet. Ale gdy patrzyło się na jej twarz, wydawała się żywa. Tak słodko się uśmiechała, jakby nie gniewała się na swoich zabójców, nie żywiła do nich nienawiści. Usta jak maliny, firanki rzęs, zgrabniutki nosek, a włosy — rzekłbyś: węże — wiły się w lokach aż do stóp. Rybak nie mógł oderwać oczu od ślicznotki.

Opowieść przerwał dzwonek telefonu. Siedmioipółlatak chwycił słuchawkę z każdym dniem coraz bardziej zdeformowanymi dłońmi. „Tak, zjedli śniadanie. Nie, nie są niegrzeczni- Tak, oglądają telewizję. Nie, dziadek nie opowiada bajek.

279

Nie, nie odkręcają kurków z gazem. Nie, nie robią w domu bałaganu. Nie, nie wychylają się z balkonu. Nie, nie bawią

się ogniem. Nie, nie wchodzi do sypialni. Naprawdę nie opowiada bajek". Nagle zamilkł. Robak ciekawości najwyraźniej głęboko drażył duszę matki, bo dopytywała się dalej:

— Jeżeli dziadek opowiada bajki, wystarczy, że powiesz „jest gorąco”, ja zrozumie.

Siedmioipółlatek odwrócił się i w skupieniu spojrzął na przyglądającego mu się starego człowieka. Patrząc mu prosto w oczy, wycedził słowo po słowie:

— Nie, mamusiu, nie jest gorąco.

Odłożył słuchawkę. Odczekał kilka sekund, rozkoszując się odegraną dopiero co sceną, po czym z niewyraźnym uśmiechem uniósł swą niepowstrzymanie rozrastającą się głowę.

— Dalej, dziadku, opowiadaj dalej! — powiedział. Teraz jednak jego głos nie brzmiał prosząco, lecz rozkazująco.

— Suleyman Rybak nie odważył się wrzucić z powrotem do morza ciała tej czarującej piękności — wrócił do opowieści Hadzi Hacı, starając się pozbyć przykrego wrażenia, że jest zdany na łaskę i niełaskę najstarszego wnuka. — Zaniósł ją do swojej chatki. Do rana przyglądał się dziewczynie, a żal rozrywał mu serce. O świcie wykopał w ogródku głęboki grób. Nie chciał się rozstawać z dziewczyną, ale cóż miał robić. Miejsce zmarłych jest pod ziemią, miejsce żywych — na niej. Tak będzie aż do dnia Sądu Ostatecznego.

— A jakby jej nie pogrzebał? — szepnęła Pięcioipółlatka.

— Nie da rady — wtrącił Siedmioipółlatek. — Jak nie pogrzebiesz, trup zaczyna śmierdzieć. Tak strasznie śmierdzi, że nie można wytrzymać.

— Tutaj też śmierdzi — stwierdziła Pięcioipółlatka, jeszcze bardziej wysuwając dolną wargę.

— Może jest tu jakiś trup. Zagładałaś do szafy?

280

— Nie ma tu żadnych trupów! — zdenerwował się Hadzi Hacı i popatrzył ze złością na najstarszego wnuka. — To tylko śmieci tak cuchną. Tak to jest, gdy cała dzielnica wyrzuca je na nasze podwórko. Ale administrator na pewno znajdzie jakieś rozwiązanie, już ty się o to nie martw! — Posadził sobie wnuczkę na kolanach, pogładził ją po włosach. — Posłuchaj tylko, piękna dziewczyna wcale nie umarła. Siileyman Rybak, zanim ją pochował w ziemi, postanowił wyjąć jej z piersi sztylet. Gdy wyciągnął ostrze, z jej ust dobyło się westchnienie. Okazało się, że wcale nie umarła. Sztylet zatrzymał się na kości i nie wbił się w serce!

Pięcioipółlatka starała się znaleźć pocieszenie w tym nieoczekiwanym wyjaśnieniu. Uśmiechnęła się zaskoczona i wtuliła w dziadka. Wszystko byłoby już w porządku, gdyby nie czuła na sobie spojrzenia starszego brata.

— To, kiedy umrzemy, zostało zaznaczone na naszym czole. Jeżeli nie było ci to pisane, nawet sztylet wbity w pierś nie może cię zabić. Gdy dziewczyna ożyła, poprosiła Suleymana o łyk wody, a potem zaczęła opowiadać. Była jedną z branek

w pałacu. Sam padyszach ją sobie upodobał. Pozostałe kobiety aż zzieleniały z zazdrości. A że ich serca były pełne zła, postanowiły ją zabić. Do spółki z haremowymi eunuchami wbiły zbrukany krwią sztylet w jej białą pierś. Biedna dziewczyna opowiadała o tym wszystkim, a jej oczy zamieniły się w dwie fontanny łez. „Jeżeli zaprowadzisz mnie z powrotem do pałacu zwróciła się do Suleymana — sułtan na pewno obsypie Cię złotem”. Zamyślił się nasz Siileyman nad jej słowami. Nie chciał złota ni majątku. Zakochał się bowiem w dziewczynie.

Tej

nocy piękna branka spała w jego chatce, w jego łóżku, ale Siileyman Rybak położył się na dworze, w swojej łódce. w środku nocy zjawił się szatan: „Nie odprowadzaj dziewczyny do pałacu. Czy można wypuścić z rąk taką piękną kobietę?

281

Niech będzie twoja. Niech tu zostanie. Będzie ci prać, gotować, zostanie twoją żoną”. Tak właśnie powiedział szatan! Hadzi Haci zamilkł i popatrzył na wnuki, jakby oczekiwał, że utozsamiwszy się z bohaterem, dokonają rachunku sumienia. Sądząc po niepokojącym uśmiešku malującym się na twarzy Sześcioipóllatka, jego umysł nie zaprzętały rozterki moralne, lecz te fragmenty opowieści, które zapowiadały wydarzenia natury damsko-męskiej. Jeżeli chodzi o Pięcioipóllatkę, zajęta była właśnie wkładaniem nowego wyrazu „branka” do portfelika w swojej główce. Pozostawał więc znowu jedynie Siedmioipóllatek. Gdy dziadek spojrział w jego stronę, chłopiec szepnął z kpiącym wyrazem twarzy:

— Oczywiście, że nie zaprowadził!

— Oczywiście, że zaprowadził! — oświadczył Hadzi Haci.

— Osobiście przekazał ją do pałacu. Padyszach bardzo się ucieszył. Powiedział mu: „Proś mnie, o co chcesz!”. Ale Siileyman Rybak niczego nie chciał. I opuścił pałac tak samo biedny, jak do niego wszedł.

Przez moment zaległa cisza. Sześcioipóllatek, zrozumiałszy, że to koniec bajki, zerwał się na równe nogi, krzycząc:

— Jeść mi się chce!

Pięcioipóllatka zapięła swój portfelik na zatrzaski i zeskończyła z dziadkowych kolan, wołając:

— Najpierw osman, najpierw osman!

Gdy obiad grzał się na wolnym ogniu, poznosili wszystkie prześcieradła, poduszki, kapy do salonu i zabrali się za konstruowanie namiotu. Jedynie Siedmioipóllatek siedział nieporuszony jak gdyby nigdy nic. Wziął do ręki komiks i udawał, że jest pochłonięty czytaniem, ale jego oczy, wąskie i zielone jak morska woda, coraz mniejsze w stosunku do stale powiększającej się głowy, ześlizgiwały się z kart zeszytu i wpatrywały się w dziadka i rodzeństwo. Z każdym dniem coraz bardziej ich nienawidził.

LOKAL NUMER 7

Dziś balkon opanowały mrówki. Albo dopiero dzisiaj to za-

uważyłem. Ani na chwilę nie przystają. Zgodnie z rozkazami, których nie słyszy nikt oprócz nich, w jednostajnych brązowych szeregach maszerują od mrocznej dziury u podstawy ściany do resztek kanapki z kiełbasą, pozostawionej przeze mnie na stoliku. Nie mam pojęcia, skąd się biorą, jak udaje im się dostać na trzecie piętro. W tym budynku aż roi się od owadów. Towarzyszą mi wieczorem, gdy na balkonie pijam sobie drinka.

To prawdopodobnie klątwa mojego ojca. Klątwa albo geny. Kiedyś, gdy sądziłem, że piję jak ja sam, a nie jak on, byłem przekonany, że największym problemem mojego ojca było to, że nie umiał pić. Ale odkąd spostrzegłem, że piję nie jak ja sam, ale jak on, doszedłem do wniosku, że zasadniczym jego problemem nie była nieumiejętność picia, tylko nieumiejętność zatrzymania się. Nie potrafił przestać. I tyle. Przede wszystkim nie wiedział, kiedy powinien przestać, a gdy wreszcie się orientował, tak już zboczył z drogi, że przestawało mieć to znaczenie. Jak tylko brał do ręki kieliszek, wciskał gaz do dechy i pędził. Przekrwionymi oczami wypatrywał

283
tablic ostrzegawczych na poboczach. Jasnego znaku, jednoznacznego ostrzeżenia: „W odległości 10 metrów nawierzchnia żwirowa, zwolnij!” albo „Śliska nawierzchnia! Ostry zakręt! Zbocze o dużym nachyleniu!”. Potrzebował kogoś, kto by go ostrzegł, powiedział mu, jak wygląda. Tylko my mogliśmy to zrobić, najbliższe mu osoby. Jedyne bliskie mu osoby. Ale nawet nie próbowaliśmy. I mama, i ja co wieczór zasiadaliśmy z nim do stołu. Nakładaliśmy sobie na talerze przekąski, obieraliśmy jabłka, dzieliliśmy pomarańcze na części, a ze skórek robiliśmy lampiony i czekaliśmy, aż stanie się to, co ma się stać. Matka przekonała siebie i mnie też, że gdy ojciec pije, absolutnie nie należy się do tego mieszać. Obawiała się go i miała rację. Ale już wtedy wiedziałem, że problem nie sprowadza się tylko do tego. Obserwowanie staczania się ojca sprawiało jej wiele bólu, ale jednocześnie było źródłem subtelnej satysfakcji. Czuła bezsilne zadowolenie, gdy widziała, jak wieczorem przy wódce rozpuszczał w kieliszkach całe swoje dostojęństwo, którego za dnia ani na moment nie tracił... Dlatego zawsze stół był gotowy do libacji, cały zastawiony przepyszными przekąskami. Co wieczór... Przez dwanaście lat niemal co wieczór...

Mój ojciec był zawsze zbyt. Zbyt przystojny, zbyt zdolny, zbyt przemądrzały, zbyt skomplikowany, zbyt samolubny, zbyt nieuważny, zbyt narwany... Wszystkiego miał za dużo jak dla matki i dla mnie, jak dla służbowych mieszkań, w których żyliśmy, dla wojska, w którym służył, dla miasteczek, do których go wysyłano, dla zwierząt, których nie udawało mu się wyleczyć... Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek go kochałem, pamiętam jednak okres, gdy odczuwałem dumę z jego powodu. Byłem z niego dumny, bo był wysoki. Był przystojny, i to bar-

dzo. W owym czasie krążyło mnóstwo opowieści o dzieciach porywanych i wychowywanych przez Cyganów. Wydawało mi 284

się, że mojego ojca, gdy był dzieckiem, też ktoś porwał i kazał mu żyć wśród nas. Był inny niż wszyscy dookoła. Tak wysoki, że z trudem mieścił się w drzwiach, o włosach jaskrawozłocistych w słońcu i o brązowych oczach, ciemniejących, gdy ogarniał go smutek, którymi przenikliwie i oskarżycielsko patrzył prosto w oczy rozmówcy, o usposobieniu miotającym się między skrajnościami, dręczony powtarzającymi się napadami paranoi, z coraz dłuższą listą grzechów na sumieniu. Wśród szatynów średniego wzrostu, śmiejących się w ten sam sposób, odwracających wzrok w złości, w najbardziej szalonych momentach życia zachowujących się z rezerwą, cierpliwych, zwyczajnych i powściągliwych kobiet i mężczyzn wydawał się obcy, jakby nie był jednym z nas.

Gdyby mój ojciec nie był tak przystojny, gdyby nie był tak silny i pewny siebie, matka miałaby prawdopodobnie łatwiejsze życie. Być może nie pęczniałby w niej ten dręczący niepokój, obecny jak cień w jej spojrzeniu, odbierający blask szczęściu już wtedy, gdy na zdjęciu zrobionym z okazji zaręczyn — ubrana w seledynową suknię z przypiętym do kołnierzyka olbrzymim sztucznym kwiatem magnolii — trzyma ojca pod rękę i uśmiecha się. Musiała nienawidzić czasu za to, że stosował podwójną miarę wobec niej i jej męża. Najpierw ja, po mnie młodszy brat, potem dwa poronienia i wreszcie ta upragniona, rozpieszczana córka, którą udało się jej tak upodobnić do siebie... Zawsze uważałem za żalosne to, że niegdyś piękne kobiety mówią o swej minionej urodzie na wpół ze wstydem, na wpół z dumą i za każdym razem, by udowodnić prawdziwość swoich słów, pokazują te same fotografie z młodości. A jeszcze bardziej żalosne jest to, że te same zdjęcia znajdują się u każdego z ich dzieci, zwłaszcza u synów, i oni też przynajmniej raz w życiu pokazali je — mniej ze wstydem, bardziej z dumą — swoim znajomym, szczególnie kobietom, które ko-

285
chali. Jeżeli jednak o nas chodzi, to z powodu ojca, a może raczej dzięki niemu, ani matka, ani ja z bratem nie mieliśmy okazji grać według tych zasad.

Gdyby ojciec był inny, gdyby mógł być inny, prawdopodobnie matka łatwiej zaakceptowałaby przemijanie młodości. Jak średnio zamożne nie pracujące kobiety z jej otoczenia, mające po dwoje, troje dzieci i dające upust wzbierającemu w nich rozgoryczeniu poprzez słowa czy spojrzenia. One i ich mężowie byli normalni. Nienormalny był stan mojego ojca. Byli małżeństwem, mieli wspólne życie, dzieci, pieniądze, dom, rozczarowania, przeszłość, ale upływający czas inaczej obszedł się z matką, inaczej z ojcem. Matka szybko się postarzała, ojciec natomiast po tylu latach wciąż był młody i silny jak na zaręczynowej fotografii. Nie zarzucam bynajmniej matce, że

mając u swego boku kogoś takiego, nie potrafiła pogodzić się z przemijaniem własnej urody. Nic nie mogła zrobić, wszystkie soczewki, przez które patrzyła na siebie, zasnuły się mgłą. Fotografie ukazujące przyjaciółom, znajomym i sąsiadom, jaka niegdyś była piękna, ujawniały w gruncie rzeczy nie to, jak bardzo ona się zmieniła, lecz to, jak wcale nie zmienił się ojciec. Dlatego w przeciwieństwie do domów średnio zamożnych nie pracujących kobiet z jej otoczenia, mających po dwoje, troje dzieci i dających upust wzbierającemu w nich rozgoryczeniu poprzez słowa bądź spojrzenia, u nas na poczesnym miejscu w salonie nie stały albumy ze starymi rodzinnymi fotografiami. W tamtych latach byłem dumny z ojca i koncentrowałem się na naśladowaniu go, dlatego dosyć długo nie dostrzegalem niepokoju matki. Gdy ojciec wkładał mundur, nadawał swojej twarzy surowy wyraz, dokładnie tak jak inni wojskowi. Ale w przeciwieństwie do nich jego surowość w każdej chwili mogła się rozpuścić. Świadczyły o tym pewne zdarzenia dziejące się za dnia. Gdy leczony przez niego źrebak stanął

286
wreszcie na nogi, gdy udało się przynieść ulgę w bólu kotu, który wpadł do dołu z wapnem i poparzył sobie pyszczek, albo ocalić łasicę pogryzioną przez psy, jego spojrzenie — surowe, jakby chciał nim udowodnić, że zajmuje się zwierzętami nie dlatego, że lubi, lecz dlatego, że taka jest jego praca — miękło, na chwilę stawało się czyste, rzewne, naiwne. W takich momentach można było wyczuć znużenie, jakie musiało go ogarniać, gdy wchodził na przemian w dwa krańcowe stany psychiczne, jakby wkładał na siebie i zdejmował dwa bardzo już zużyte przebrania. Korzenie tej dwoistości tkwiły w jego podwójnym zawodzie: weterynarza i oficera.

Przez cały dzień był zabiegany, sypał na prawo i lewo rozkazami. Jego majestatyczna postać budziła w kobietach podziw zmieszany z odrobiną zawiści, u mężczyzn zaś — zawiść zmieszana z podziwem. Ale pod mundurem krył się ktoś jeszcze, ktoś, kogo nosił ostrożnie jak małego jeża, którego nie udało mu się wyleczyć. Ktoś, kto nie znał miary w radości ani w smutku, panicznie bał się śmierci, nie umiał znosić ani zadawać bólu. Ktoś, komu z trudem przychodziło zbierać się po doznanej niesprawiedliwości, kto przeczuwał, że kiedyś gdzieś zostanie wystawiony do wiatru. Roztrzęsiony i rozczulający się, niespokojny, nie zasługujący na zaufanie, ponury, gniewny, agresywny alkoholik... Dopóki słońce stało wysoko nad horyzontem, dopóki zajmował się pracą, dopóty dość skutecznie ukrywał tego jeża. Był taki wspaniały, tak można się było nim szczycić, tak można było go podziwiać, że matka lubiła pod byle pozorem wziąć z sobą któreś z nas i odwiedzić go w pracy. Zarówno ja, jak i mój brat oraz siostra uwielbialiśmy być za dnia w pobliżu ojca. Niestety o tej porze też najrzadziej go widywaliśmy, najrzadziej byliśmy z nim. Potem nastawał wieczór i świetlista aura otaczająca ojca traciła blask, a jego

twarz urodę. Ojciec zaczynał się zmieniać.

287

Z jakiegoś względu, którego zresztą nigdy nie udało mi się ustalić, matka dokonała swoistego podziału obowiązków. Gdy ojciec pił, brat i siostra mieli cichutko oglądać w pokoju telewizję, po czym iść wcześniej spać, ja zaś z matką byliśmy zobowiązani zostać z nim przy stole i być świadkami jego picia. Ojciec nawet za dnia nie znosił zostawać sam, a najbardziej nienawidził właśnie picia w samotności. Dlatego w naturalny sposób powstał u nas system dyżurów podzielonych między matkę i mnie. Pierwsza wachta mnie przypadała.

Wieczorem, gdy tylko ojciec zasiadł za stołem, zajmowałem miejsce naprzeciwko niego. Matka w tym czasie smażyła sigara bóregi, mieszała sos do kófte¹, wykladała na półmiski przygotowane z wielką starannością dania i przekąski i przynosiła je na stół. Ja odpowiadałem na pytania ojca. A pytał stale o to samo, o szkołę, i zawsze przerywał mi w połowie, aby przedstawić własne przeżycia. Nie byłem zły na niego. Nie gniewałem się, bo to była najprzyjemniejsza faza wieczoru. Gdy ojciec opróżniał do połowy pierwszą szklaneczkę, wznosząc toast za moje zdrowie, rozmowa z nim była taka radosna, taka przyjemna, że byłem szczęśliwy, mogąc brać w niej udział, choć dokładnie wiedziałem, co potem nastąpi. Później przychodziła matka i siadała obok niego. Wyraz twarzy zupełnie nie zdradzał jej myśli. Mrukliwymi, jednostajnymi głosami zaczęli dyskutować o codziennych sprawach. Ja w tym czasie siedłem odrabiać lekcje i z sąsiedniego pokoju przysłuchiwałem się ich rozmowie. Kiedy wracałem do stołu po godzinie czy dwóch, matka była już senna, dyskusja dawno się skończyła. To była trzecia i ostatnia faza. Gdy wszystko, co piękne, szybko rozpadało się w proch... Gdy malutki jeź biegał po stole, a ja dotykałem jego igieł i starałem się uniknąć ich ukłuć...

1 Kofte — rodzaj kotlecików.

288

Kiedy wracałem do stołu — zależnie od dnia — matka albo krążyła po domu, złorzecząc, albo płacząc, szła do pokoju brata i siostry i tam kładła się spać, albo też, jak gdyby nigdy nic, brała się do zmywania naczyń. W żadnym razie jednak nie siadała znów do stołu. Obowiązek asystowania ojcu podczas trzeciej fazy całkowicie spadał na mnie. To była najdłuższa faza ze wszystkich. Najdłuższa i bez wątpienia najtrudniejsza. Lód w wiaderku zamienił się w mętną ciecz, w której pływały okruszki chleba i popiół z papierosów. Kotleciki na półmisku wystygły i zeschły się. Drobnopokrojona cebulka w sałatce zaczynała cuchnąć. Wypalone papierosy wysypywały się z popielniczki. Przekąski pozostawione na talerzach dawno już straciły apetyczny wygląd, kawałki melona — jędrność, a ojciec — całą swą majestatyczność.

Gdy po tylu latach myślę o tym, wydaje mi się dziwne, że spośród naszej trójki to ja byłem jedynym świadkiem upadku

ojca, ale jestem także jedyną osobą, która przejęła jego nałogi. Mojemu młodszemu bratu zdarza się wypić kieliszek czy zapalić papierosa, ale wyłącznie po to, by się nie wyróżniać z otoczenia. Jeżeli chodzi o siostrę, to wyrosła na kobietę, której stopa nie postanie w zadymionym pomieszczeniu. Należy do tych, co to gdy ktoś w ich obecności zapali papierosa, zwracają mu uwagę albo obrażają się — zależnie od stopnia zażyłości. Tych, co to boją się pijanych, brzydzą się pijakami, a na widok włóczęgi przechodzą na drugą stronę ulicy. Tych, co to każdego pijanego mają za pijaka, a każdego pijaka za włóczęgę. W dodatku te swoje jątrzące jak wrzód na tyłku przyzwyczajenia przekazała córce. Ilekroć w ich obecności zapaliłem, moja siostrzenica jak miniaturowy automat, jak po ściśnięciu guzika zaczynała się krzywić i z wyrazem obrzydzenia, malującym się na twarzy, jakby zobaczyła zdechłego szczura, zaczynała recytować wyuczoną na pamięć przemowę

289

o szkodliwości tytoniu. Do szału doprowadza mnie, gdy ktoś, zwłaszcza dziecko, z takim wytresowanym zapałem wygłasza cudze sądy. W ich domu nie było ani jednej popielniczki, z której mógłbym skorzystać. W salonie, w pretensjonalnym kredensie z orzecha obok rozmaitych przednich trunków i odpowiednich do każdego rodzaju alkoholu kieliszków stały dziesiątki najrozmaitszych popielniczek ozdobionych herbami miast i regionów turystycznych, które odwiedzili podczas wakacji, porcelanowych, marmurowych, kryształowych, srebrnych, pozłacanych, z żelaza, brązu, drewna, z koralikami od uroku i miniaturowymi obrazkami, w marmurkowe desenie, w kształcie rzeźb i przypominających zabawki, absurdalnych i oryginalnych. Ale jak trzeba było strzepnąć gdzieś popiół z papierosa, nie miałem do czego. Ciekawe. Ciekawe, czy to dlatego, że spośród nas trojga to ja najbardziej byłem podobny do ojca, matka trzymała mnie z dala od reszty rodzeństwa i popychała ku niemu, czy też przeciwnie, ponieważ trzymała mnie z dala od reszty rodzeństwa i popychała ku ojcu, z naszej trójki to ja właśnie stałem się najbardziej do niego podobny? Można też zadać sobie pytanie, czy nie stało się to jednak na skutek przekleństwa rzuconego na mnie przez ojca — za to, że w trakcie trzeciej fazy picia, która zdawała się nie mieć końca, nie mogłem już znieść jego bełkotu i zostawiałem go samego, z twarzą na blacie stołu, a potem już zawsze, gdy zasiadaliśmy razem do stołu, doprowadzałem do awantury. A może to dlatego, że obaj przecież stanowimy ogniwa tego samego genetycznego łańcucha — wszystko zostało z góry określone przez malutkie, pracowite jak mrówki geny, niezmiennie przekazywane dalej zgodnie z ustalonym porządkiem.

Miałem wtedy jakieś dwanaście, trzynaście lat. Brat zachorował na świnkę i obaj musieliśmy zostać w domu. Objadaliśmy się suszonymi owocami oliwnika i całymi dniami

290

oglądaliśmy telewizję, wstając z kanapy tylko do toalety. Oto główna bohaterka pewnego filmu krajowej produkcji kaszle krwią w śnieżnobiałą koronkową chusteczkę. Rodzona siostra odbiła jej chłopaka, w którym się potajemnie kochała, ale ta nie dała nic po sobie poznać, aż w końcu rozchorowała się na suchoty. Gdy wezwany do domu lekarz stwierdził, że chora wkrótce umrze, parsknęliśmy śmiechem, prychając wokół pyłem z owoców oliwnika. Był to tak naiwny film, że aż śmieszny, przestarzały, a do tego kompletnie nieprzekonujący, pozbawiony związku z rzeczywistością, od której dzieliły go całe lata świetlne. Równie trudno było uwierzyć, że widoczna na ekranie bladolica aktorka o posiwionych mąką włosach i namalowanych kredką sińcach pod oczami umrze na gruźlicę, jak trudno było nam uwierzyć ledwie pół roku wcześniej, że nasz ojciec umrze na marskość wątroby. Gdy film zbliżał się do końca, matka z siostrą wróciły z zakupów. Ponieważ obie nie przechodziły jeszcze świnki, powinny były trzymać się z dala od brata. Ale mama nie wytrzymała. Z łagodnym uśmiechem usiadła obok nas. Wzięła za rękę najpierw mnie, potem brata i zdławionym, pozbawionym emocji głosem powiedziała, że wkrótce ponownie wychodzi za mąż. Chora na gruźlicę zdołała zejść po schodach, kurczowo trzymając się balustrady. Gdy zobaczyła, że za chwilę, w obecności tłumu elegancko ubranych gości, ukochany poślubi jej siostrę, z piersi dobył się jej rozrywający płuca kaszel i osunęła się na ziemię. Obaj z bratem znów wybuchnęliśmy śmiechem, prychając na siebie Pyłem z owoców oliwnika. Mama śmiała się razem z nami.

Stojąca w drzwiach siostra popatrzyła na mamę zdziwiona, po czym rozplakała się i wyszła z domu. Znowu się roześmialiśmy. Ale tym razem mama nie. Pochyliła otoczoną jasnobrązowymi włosami twarz o zapadniętych oczach i policzkach i długo, długo wycierała nos w śnieżnobiałą koronkową chusteczkę.

291

Może żadnej chusteczki nie było, tylko pamiętam to tak, bo tak chciałem to zapamiętać. Pył z owoców oliwnika uniesiony jakimś nagłym podmuchem znów wzbił się w powietrze i jak szalejąca zamieć z narastającą zaciekłością krążył w pokoju, aż niczego już nie było widać i cali się nim pokryliśmy. Wszystko było jakby nierzeczywiste.

Gdy ktoś z rodziny umiera nieoczekiwanie, pozostałe po nim przedmioty sprawiają, że jego śmierć, Bóg, który o niej zdecydował, i cały dom stają się nierzeczywiste. Młodsze rodzeństwo spędzało mniej czasu z ojcem, rzadziej widywało go w otoczeniu należących do niego przedmiotów, dlatego nie odczuwało tego tak wyraźnie jak ja i mama. Gdy nadchodził wieczór i nakrywaliśmy do kolacji, mama bezwiednie przygotowywała te same co zawsze przekąski, a ja zgodnie z nawykiem zajmowałem to samo co zawsze miejsce. Należące do ojca przedmioty nie pozwalały nam uznać jego odejścia za rzeczywiste, pogodzić się z tym, że puste krzesło naprzeciwko

oznacza śmierć. I to nie karafka do anyżówki ze szmaragdowozielonego weneckiego szkła, skórzany portfel z wytłoczoną końską głową, grawerowana zapalniczka, która stale sprawiała kłopoty, choć regularnie wymieniał w niej kamień i napełniał ją gazem, czy tabakierka, w której trzymał tabletki przeciwbólowe, z wieczkiem ozdobionym wizerunkiem sowy o fioletowym tułowiu, purpurowych skrzydłach i oczach omyłkowo umieszczonych tuż obok siebie, dlatego nadających jej wyraz bynajmniej nie złowroźbny czy przenikliwy, ale co najwyżej zdziwiony — to nie te przedmioty, lecz ten stół i krzesła, ten salon i cały dom, dopóki trwały nie zmienione lub dopóki my wśród nich pozostawaliśmy, nadawały śmierci ojca rys nierzeczywisty. W końcu pojeśliśmy, że nie potrafimy opuścić tego domu i uwolnić się od tego zmacenia, jakie ogarnęło nasze umysły. Porozumiawszy się bez słów, w tajemnicy przed

292
młodszym rodzeństwem, oboje, i matka, i ja, skroiliśmy i uszyliśmy strój dla zasiadającego z nami co wieczór do stołu ducha ojca. W innych warunkach można byłoby oczekiwać, że to podobieństwo zachowań bardziej nas do siebie zbliży, w rzeczywistości jednak nasze drogi ostatecznie się rozeszły.

To, co robiła, było bowiem fałszerstwem. Usługując przy stole duchowi ojca, utrwaliła w swej pamięci i opowieściach jego obraz nie taki, jakim był, lecz taki, jakim chciała go widzieć. Zawsze była pracowitą panią domu. Tym razem też szybko zamiotła i wyrzuciła z pamięci wszystkie te cechy zmarłego męża, których w nim nie lubiła, nie znosiła, nie chciała. Skończyła porządki i ubrała puste miejsce po ojcu w uszyty przez siebie nowy strój. I tak przy stole zasiadł człowiek, który przez całe życie myślał wyłącznie o szczęściu i dobrobycie rodziny i nieustannie na to pracował, dla którego jedyną przyjemnością było zasiąść wieczorem z żoną przy jednym stole i wychylić ze dwa małe kieliszeczki, nie obarczający najbliższych dręczącymi go problemami, nigdy nie narzekający, nie skarżący się, nie przeklinający, człowiek nie z krwi i kości, lecz z cukrowej waty, bezbarwny, niewyraźny, nudny jak monotony lament. Matce ten zafałszowany nieboszczyk tak przypadł do serca, tak mocno w niego uwierzyła, że gdy pół roku później postanowiła ponownie wyjść za mąż, jej wybór padł na człowieka jak dwie krople wody podobnego do ducha, który zasiadał przy stole.

W tym samym czasie ja pakowałem w worki wszystko to, co ona tak starannie wymiotła ze swej pamięci. Robiłem to nie tyle z przywiązania do ojca, ile ze złości na matkę. Potem otwierałem je jedno po drugim i z przykrych wspomnień na Przekór matce uszyłem własny strój dla ducha. Okazało się Jednak, że tak ubrany duch nie był bardziej podobny do prawdziwego ojca niż ten w przebraniu matki. W rzeczywistości

293
bowiem ojciec nie był ani tak wspaniały, jak wmówiła sobie

matka, ani tak podły, jak twierdziłem ja. Oboje uparcie trwalimy przy swoich fałszywych, choć nie do końca, wyobrażeniach — nasze połowiczne racje pokrywały się z połowicznym brakiem racji. W bezowocnym wysiłku zakreślaliśmy dwa stykające się w jednym punkcie półokręgi, które nigdy nie miały utworzyć całości. Zmarły miał mieć od tej pory dwa groby — w jednym pochowane zostały jego dni, w drugim — noce. Gdy wspominaliśmy ojca, matka odwiedzała ten pierwszy, ja — ten drugi.

Wiele lat później, gdy Ayszin ze swym angielskim kolegą po fachu prowadziła w trzech rejonach Sztambułu badania terenowe nad wpływem islamu na życie codzienne, wspomniała, że w jednej dzielnicy widzieli więcej niż jeden grób tego samego świątobliwego męża i że nikt nie uważał tego za coś dziwnego. Mnie też to nie dziwiło.

W tym samym czasie popełniłem też tę nieostrożność, że nie mogąc dłużej opierać się naleganiom matki i Ayszin, które koniecznie chciały się poznać, doprowadziłem w końcu do ich spotkania. Gdy wracaliśmy wieczorem do domu, Ayszin, która w żaden sposób nie mogła skojarzyć „ojca” z moich opowieści z „pierwszym mężem”, o jakim przez cały dzień opowiadała moja matka, doszła do wniosku, jak to zazwyczaj bywa w takich sytuacjach, że jedno z nas kłamie, a do tego ostrze tego kłamstwa jest skierowane przeciwko niej. Uznała, że matka w dobrej intencji wychwala zmarłego, ja zaś w złych zamiarach go oczerniam. Starając się dociec, jaki był prawdziwy charakter ojca, po krótkim namyśle stwierdziła, że to ja kłamię, a robię to tylko dlatego, by usprawiedliwić własną sytuację.

Mówiąc „własną sytuację”, miała na myśli moje wzrastające z każdym dniem spożycie alkoholu. Ayszin nie wiedziała

294

i zapewne wolałaby nie wiedzieć, że problem ten zaistniał dopiero po moim ślubie. Nie oskarżam jej zresztą, małżeństwa też nie. Nie potrafię nawet określić momentu, w którym się to zaczęło. Wiem jedynie, że po jakimś czasie moje życie zatoczyło symboliczny krąg i pewnego dnia ja też „zasiadłem za stołem” jak mój ojciec. Oczywiście nie była to sytuacja identyczna. Ayszin nie przypominała mojej matki. Nie zastawiała jak ona stołu przekąskami, nie zasiadała biernie naprzeciwko mnie. Obracała sprawę w żart, obrażała się, przymilała, znów się obrażała, okazywała zrozumienie i znów się obrażała, złościła się i obrażała, groziła mi i obrażała się, odnosiła się z lekceważeniem i obrażała się, siedziała przy mnie i obrażała się, odchodziła i obrażała się, wracała i obrażała się... Imiała się wszelkich sposobów i co chwila się obrażała. Podejmowałem te próby wraz z nią, aby zjednać sobie jej sympatię. Czulem, zwłaszcza na początku, że mam wobec niej dług wdzięczności. Zmuszałem się do traktowania wszystkiego lekko. Jej starania były żywym dowodem na to, że nasze małżeństwo

nie jest takie samo jak małżeństwo moich rodziców, że ona nie jest typem kobiety, która, jak moja matka, w skrytości ducha czerpie przyjemność z widoku zataczającego się męża. Dlatego przez kilka miesięcy wszystko szło dobrze. Udało mi się nawet znacząco ograniczyć spożycie alkoholu. Niestety ten godny pochwały postęp w krótkim czasie uczynił ze mnie rywala samego siebie. Ilekroć zdarzyło mi się przebrać miarkę, dostawałem od niej okropną burę za to, że nie udało mi się powtórzyć poprzedniego sukcesu. Potrafiła porządnie mi dokuczyć:

— Wiemy, że stać cię na więcej — mówiła. — Wiemy o tym, Prawda?

To słowo MY przypominało słodki cukierek, który possany przez chwilę w ustach, uwalnia wypełniające go galare-

295
towate, kwaśne nie do wytrzymania nadzieje. Podobne do lawy. Choć wypływa z jednego konkretnego źródła, zdaje się wydobywać zewsząd, jest wszędzie, bezczelnie rozlewa się na wszystkie strony, spowija swym płaszczem wszystko bez wyjątku, co tylko napotyka na swej drodze, wypełnia całą życiową przestrzeń, aż nie ostaje się nic oprócz niej samej. Pałaca, piekaca, żadna podbojów lawa. Słowa „my” używa Bóg w świętych księgach. Opowiadając o dziele stworzenia, zniszczenia, o karze i nagrodzie, mówi o sobie MY. W ten sposób zwracają się też matki do swoich dzieci, pytając na przykład: „Zgłodnieliśmy?”. Albo mówiąc: „Niech wujek się nie gniewa, że tak rozrabiamy, na ogół jesteśmy bardzo grzeczni!”. Choć podejmowanie decyzji, dokonywanie wyboru należy tylko do nich, łączą siebie i swoje dziecko w nieskończoną, jednolitą całość, jakbyśmy nie mieli do czynienia z dwiema osobami, odrębnymi świadomościami i umysłami. Formuła MY, jaką posługuje się Bóg w Koranie, matki, zwracając się do swych dzieci, oraz Ayszin, przemawiając do mnie, nie sprowadza się bynajmniej do MY = JA i TY, lecz przybiera postać: MY = JA + WSZYSTKO, CO NIE JEST MNĄ. Nie ma więc sposobu, by znaleźć się poza MY.

Mnie też nie udało znaleźć się poza tym MY. Picie rzucałem wielokrotnie. Na początku z chęcią i nawet częściowo skutecznie, potem mój zapal nieco osłabł, aż w końcu wyczerpał się i wiedziałem już, że nigdy mi się to nie uda. Za każdym razem wspólnie przygotowaliśmy nowy harmonogram wyjścia z nałogu, w którym dni były ważniejsze od lat, ale same w sobie nic nie znaczyły. Kalendarze mierzące czas nieuchwytnymi słowami, wypełnione symbolami, znakami i przysięgami. Starannie kreśliliśmy za pomocą linijki tabele, miesiące rozrysowywaliśmy na wiersze i kolumny. Dnia, w którym zbaczałem z wyznaczonej drogi, nie oznaczałem

296
na papierze żadną plamą, lecz przekonywałem Ayszin, choć z trudem, byśmy przygotowali nowy plan i zaczęli wszystko

od początku. Byle zdarzenie, sprzyjająca okazja, wyjątkowy dzień stawały się w moich kalendarzach początkiem nowej szczęśliwej ery. Dzień obrony doktoratu, pierwszy dzień kolejnego nowego roku, moje trzydzieste trzecie urodziny, pierwszy śnieg, nasze wykaraskanie się z wypadku, w którym cały przód samochodu został kompletnie skasowany, rocznice ślubu, trzydzieste pierwsze urodziny Ayszin, dzień, w którym dowiedziałem się, że mój promotor ma raka płuc, wieczór po ostrej kłótni z siostrą, gdy nawrzeszczeliśmy i obraziliśmy się na siebie nawzajem, wiadomość o śmierci ojczyrna, rozmowy w różnych okolicznościach, gdy padało stwierdzenie, że należy cenić życie, wspólne wypadki z Ayszin poza Stambuł... W drodze, w domu, na przyjęciach, w hotelach, na plaży, patrząc żonie prosto w oczy: rzu-ci-łem pi-cie, rzu-ci-łem, rzu-ci-łem. Udawało mi się, ale niewystarczająco. Gdy zdołałem powstrzymać się od picia przez kilka tygodni, każdy wypity potem kieliszek oznaczał krok wstecz. Za wzór do naśladowania dawano mi samego siebie. Ja sam byłem wzorem, którego sukces miałem powtórzyć, ja, wyslizgujący mi się jak mokre mydło z rąk, ja, którego nie mogłem dogonić, choć biegłem ile sił w nogach, którego już miałem pochwytać, lecz stale mi się wymykał. W ten sposób sprawy zaczęły się komplikować. Po pewnym czasie Ayszin też straciła orientację, jaka ilość jest jeszcze w sam raz, a ile to już nadmiar. Nie można też było dokładnie powiedzieć, dlaczego zmuszała mnie do wyścigu z samym sobą, bo na pewno już nie z obawy o moje zdrowie. Mowa i działania zmieniły swoje podstawowe znaczenia. Moje kalendarze zamieniły się w barometry, a Ayszin na podstawie liczby moich dni bez wódki mierzyła, jak bardzo ją kocham. W kwestii miłości jednak liczby i procenty wprowadzają je-

297

dynie zamęt. BARDZO jest określeniem niewystarczającym wszędzie, gdzie wierzy się, że mogłoby być jeszcze mocniej. Bardzo kochałem Ayszin. Ale wiedzieliśmy oboje, że stać mnie było na więcej. Gdzieś jednak musiało dojść do nieporozumienia. Uznała bowiem, że powinienem nie tylko ograniczyć picie, ale w ogóle przestać pić, a ten niełatwy cel mogłem osiągnąć jedynie dzięki naszej miłości — jeżeli miałem zerwać z nałogiem, mogłem to zrobić jedynie dla niej. Nie miałem pola manewru. Najpierw żądała, bym całkowicie odstawił alkohol wyłącznie ze względu na zdrowie, potem dla dobra naszego związku, aż nie wiadomo, jak i kiedy picie przestało być moim problemem, a stało się jej.

W owym czasie postawiłem w kalendarzu wielki jaskrawoczerwony krzyżyk. Ten początek nowej epoki, który zrzędzeniem losu przypadł na dwudziesty drugi dzień lutego, pod dwoma względami różnił od poprzednich. Po pierwsze, przedtem zawsze jawnie rzucałem picie, tym razem rzucałem jawne picie. Po drugie, w odróżnieniu od poprzednich przysięg tej dotrzymałem do końca. Od 22 lutego 2001 roku do 28 lute-

go 2002 roku, kiedy to sąd, oszczędzając nam zachodu, orzekł po pierwszej rozprawie rozwód, w obecności Ayszin nie wypilem ani kropli alkoholu. Ponieważ od tamtego dnia nie spotkałiśmy się więcej, można uznać, że pozostałem wierny złożonej obietnicy.

Przez pewien czas Ayszin z radością wymieszaną z podziwem obserwowała moją nagłą i zdecydowaną przemianę. Ale już wkrótce miejsce radości zajęła podejrzliwość. Nigdy jednak nie posunęła się dalej, by odkryć prawdę, nie próbowała przeprowadzić dochodzenia. Uważnie obserwowała wszystko, co robiłem w jej obecności, nie starała się jednak wysledzić moich poczynań, gdy pozostawałem poza jej kontrolą. Nie wiem, czy wtedy przychodził jej na myśl świątobliwy mąż

298
mający dwa groby, ale moje życie zatoczyło symboliczny krąg i tak jak mój ojciec, ja też zależnie od pory dnia przyjmowałem jedną z dwóch osobowości. Była jednak między nami wyraźna różnica: ojciec za dnia powstrzymywał się od picia, a pił wieczorem, mnie zaś warunki zmusiły od odwrócenia kolejności. Wieczorem się powstrzymywałem, piłem za dnia.

Ciało człowieka kryje w sobie zegar, którego wskazówki mogą poruszać się w obie strony. Wszystko zależy od tego, jak go nastawimy. Całkowicie przyzwyczałem się do nowego systemu w niecałe dwa tygodnie. Nieregularne godziny pracy na uniwersytecie były prawdziwym dobrodziejstwem. Wykorzystywałem każdą nadarzającą się za dnia okazję i chodziłem wiecznie pijany. Gdy wieczorem trzeba było wracać do domu, trzeźwiałem, jakbym wypił wiadro wody z lodem. Przez noc jakoś wytrzymywałem, a gdy rano Ayszin szła do pracy, zaczynałem pić już przy śniadaniu. W ostatecznym rozrachunku noc czy dzień nie miały większego znaczenia — aby móc zachować dla siebie jedno, musiałem poświęcić drugie lub przynajmniej mieć pewność, że mogę je poświęcić. Wbrew moim obawom taki układ nie zaszkodził ani mojemu żołądkowi, ani głowie. Być może człowiek, dopóki wierzy, że lepiej być nie może, potrafi do wszystkiego się przyzwycząć.

Ustanawiając ten nowy porządek, zapomniałem jednak, że wszystko ma swoją naturę. Mój ojciec dobrze o tym wiedział. Dzień nie sprzyjał skrywaniu się ani dochowywaniu sekretów. Powierzenie mu tajemnic przeznaczonych dla nocy było równie nierealne jak próby zamiany koźlęcia w wilka, oczekiwanie chłodu od letniego słońca czy wymazanie z pamięci dziecka przekleństw, których się nauczył. Nie tylko dlatego, że za dnia nieustannie stykamy się z innymi ludźmi albo się komuś naprzykrzamy, że stale ciąży na nas jakieś obowiązki, że stale jesteśmy na widoku. Dzień ma jeszcze wiele innych złych

299
stron. Właśnie wtedy miasto zamienia się w pełną dziwnych odgłosów puszcę. Nikt mnie niby nie widzi, gdy chowam gdzieś w jakiejś dziupli okruchy moich tajemnic, lecz ledwo

się odwrócić, już wpadają one w łapy bezgłośnych, sprytnych leśnych stworzeń, które nie wiadomo skąd się wzięły i dokąd rozpierchły. W którąkolwiek stronę patrzę, wszędzie dookoła widzę wśród gałęzi setki oczu oślepiająco błyszczących w promieniach słońca. Wokół mnie skaczą wiązki jaskrawego światła, które sprawiają, że nie potrafię określić, jakiego rodzaju spojrzeniami jestem obrzucany. W tym męczącym blasku stawiam chwiejne kroki jak krótkowidz bez okularów. Słyszę rozmaite szepty, ale nie mogę dostrzec twarzy. Czasem wiem, że inni wyczuwają ode mnie alkohol, że od czasu do czasu język mi się płacze, że bywam rozkojarzony, ale nie potrafię określić, kto, co i jak wyraźnie widzi.

I właśnie wtedy w środek moich dni wpadła z całym impetem Ethel. Od dwóch lat się nie widzieliśmy. Po utracie derwisza i moim ślubie z Ayszin długo zionęła jadem, aż w końcu wyjechała do Ameryki — w ślad za pewnym błyskotliwym i nerwowym pakistańskim chirurgiem. Zamierzała tam osiąść na stałe, ale równie niespodzianie, jak wyjechała, zjawiała się z powrotem. Na moje szczęście dokładnie wtedy, gdy bardzo potrzebowałem kogoś takiego jak ona. Zapomniałem, że największą przyjemnością w życiu było dla niej chodzenie w zabłoconych butach po bezcennych dywanach w wysprzątanym salonach takich kobiet jak Ayszin, jej szkolna koleżanka, z którą spędziła większość młodych lat. Ale ona mi o tym przypomniała. Od razu dostrzegła moją słabość do alkoholu. Dostrzegła, nie próbowała jednak ani mnie potępiać, ani osądzać, nie zadrezczała pytaniami, na które znała odpowiedź. Wetknęła mi natomiast do ręki po mistrzowsku sporządzoną mapę, dzięki której mogłem w miarę bezpiecznie poruszać się po puszczy

300
pełnej oczu bez twarzy i głosów pozbawionych ciał. Do dziś nie wiem, ilu lat i jakich doświadczeń życiowych wymagało jej przygotowanie. Była to niezwykle szczegółowa mapa. Znalazły się na niej dopasowane do godzin pracy przerwy na kielicha, mocne drinki na jeden łyk ukryte w szykowanych termosach, miniaturowe ściągacze, czym najskuteczniej stłumić zapach jakiego alkoholu, środki wspomagające koncentrację, antyutleniające, witaminy, mikroelementy, tabletki z wyciągiem z karczocha, niezbędne, by zjednać sobie przychylność wątroby... Z powagą i stanowczością doświadczonego trenera przygotowującego do międzynarodowych zawodów młodego atletę o ograniczonych możliwościach i nieograniczonych ambicjach stworzyła dla mnie plan najkonkretniejszy z możliwych w danych warunkach. Zrobiła jeszcze więcej. Przez cały ten czas przy każdej okazji towarzyszyła mi — piła razem ze mną.

Jednym z największych nieszczęść, jakie mogą się przydarzyć zameźnej kobiecie, jest pojawienie się w życiu męża — poszukującego właśnie sposobów na ominięcie nałożonych przez nią zakazów, złamanie ustanowionych przez nią zasad

— innej kobiety, współniczki przestępstwa. Gdy coś takiego przydarzyło się mnie, znalazłem się w salonie pełnym krzywych luster, które pokazywały zafalszowany obraz Ethel jako o wiele mi bliższej niż w rzeczywistości, a Ayszin — o wiele odleglejszej. Skutki tego wszystkiego okazały się jednak nie tak poważne, jak mi się wydawało. Tak czy siak, gdy po kilku miesiącach Ayszin złożyła pozew o rozwód, przyczyną tego nie była ani Ethel, ani mój nałóg sprawiający tyle kłopotów.

Przez ostatnie dwadzieścia minut Błękitna Kochanka siedziała nieruchomo, nie odrywając wzroku od nitek zabarwionego na czerwono oleju, skapującego z nieestetycznie rozgrzebanej, na wpół zjedzonej kury po czerkiesku. Nic nie mogła na to poradzić. Nie chciała się nawet odezwać, nie mówiąc już o zaprzeczaniu czy protestowaniu. I tak nie było o czym mówić.

Cios trafił w najczulszy punkt życia utrzymanki. Dzieci!

Bycie kochanką żonatego mężczyzny oznacza dużą wiedzę na temat rzeczy, o których wiedzieć się nie powinno, i kłopoty z ustaleniem, co z tym nadmiarem wiedzy zrobić. Kochanki znają najskrytsze, najwstydlwsze sekrety przedstawicielki swojej płci, których nigdy w życiu nie spotkały i według wszelkiego prawdopodobieństwa nigdy nie spotkają. Żony nie wiedzą o kochankach, najczęściej nawet nie mają pojęcia o ich istnieniu, za to kochanki już dawno zebrały całe naręcza najrozmaitszych informacji — bolesnych, nieistotnych, chorobliwych — o żonach. Jeżeli żony mają na przykład zwyczaj przed zaśnięciem smarować twarz kremem, kochanki wiedzą nawet, jak ten krem pachnie. Wiedzą, jakie żony lubią stroje, jak mocno się malują, jakiego rodzaju są matkami, jakie noszą

302
ozdoby, jak poruszają się po domu, o której godzinie kładą się spać i o której wstają, jakie mają nawyki przy jedzeniu, czym się stale interesują, jakie mają irytujące przyzwyczajenia, czy są oziębłe seksualnie, kogo obmawiają za plecami, wobec kogo są dwulicowe, jakie mają kompleksy, jaki rozmiar ubrań noszą i jak prawdopodobnie by się zachowały, gdyby dowiedziały się o istnieniu kochanki. Wiedzą to wszystko, choć o żadną z tych rzeczy nigdy nie zapytały. Nie pytały, bo to nie kochanki odkrywają czyjeś intymne sekrety, ale intymne sekrety same się przed nimi odkrywają. Odkrywają się, bo mężczyźni z gatunku Mam-Dość-Mażeństwa z podrodziny Ale-Nie-Chcę-Rozvodu rodziny Nie-Rezygnując-Z-Niczego-Chcę-Żyć-Inaczej, aby pokazać kochance, pod jaką muszą żyć presją, znoszą jej co bardziej bulwersujące informacje jak brukowa gazeta, która chcąc wzburzyć swoich czytelników, sama popada we wzburzenie. Żony zapewne w to i tak nie uwierzą, ale to nie kochanki ich mężów, lecz ich mężowie obgadują je od stóp do głów, nie stroniąc przy tym od przykrych słów. Kochanki są tylko cierpliwymi słuchaczkami. Słuchają i nie tylko nie czynią najmniejszych wysiłków, by dowiedzieć się więcej, lecz świadome swej siły, zadowolone ze

swej uprzywilejowanej pozycji, nie tykają nawet paskudnych szczegółów piętrzących się przed nimi. Kochanki żonatyh mężczyzn charakteryzuje bowiem miłosierdzie godne derwisza. Znają doskonale swoje przeciwniczki, które bez mrugnięcia okiem utopiłyby je w łyżce wody, dlatego wybaczą im i roztaczają nad nimi opiekę.

Ale każdy ma swoją piętę achillesową. Gdzieś na brzeżku kuponu złotogłowa może się zdarzyć dziurka wygryziona Przez mola. Podobnie potęga kochanki też może mieć słabe miejsce — przedziurawiona, w jednej chwili sflaczeje i opadnie jak przekłuty balon. Mężczyźni z gatunku Mam-Dość-Mał-

żeństwa z podrodziny Ale-Nie-Chcę-Rozvodu rodziny Nie-Rezygnując-Z-Niczego-Chcę-Żyć-Inaczej, z chwilą gdy znajdują sobie kochankę, zaczynają kochać swoje dzieci z siłą równą tej, z jaką ich przedtem nie kochali. Jest to uczucie szczere, a jednocześnie chorobliwe. Jak niegdyś w raju praojciec Adam starał się zakryć swą nagość liściem figowym, tak mężczyźni z gatunku Mam-Dość-Małżeństwa z podrodziny Ale-Nie-Chcę-Rozvodu rodziny Nie-Rezygnując-Z-Niczego-Chcę-Żyć-Inaczej starają się pod miłością do dzieci skryć własne przewinienia. Gdy w miarę upływu lat liczba ich kochanek wzrasta, ich przywiązanie do dzieci zaczyna przypominać wielkie drzewo. Więzy łączące ich z dziećmi nabierają siły, a im są silniejsze, tym stają się czulsze, a im czulsze, tym bardziej nienaruszalne. Jak niegdyś pramatka Ewa została zmuszona okryć swą nagość takim samym figowym liściem, tak kochanki muszą pokochać i szanować te więzy, łączące ich mężczyznę z dziećmi.

Błękitna Kochanka oderwała oczy od nitek zabarwionego na czerwono oleju, skapującego z nieestetycznie rozgrzebanej, na wpół zjedzonej kury po czerkiesku, w które wpatrywała się od dwudziestu minut, i powoli zwróciła je w stronę siedzącego po drugiej stronie stołu mężczyzny. W jej spojrzeniu była złość przechodząca w zniechęcenie. Dwunastoletnia córka handlarza oliwą rozchorowała się, dostała gorączki. Gdy zaczął robić żonie wymówki, że zaniedbała dziecko, ta ostro mu odpowiedziała: „Skoro tak bardzo je kochasz, to może dziś wieczorem zrezygnowałbyś z pójścia do kochanki?!”. Handlarz oliwą, który do tej pory był przekonany, że utrzymywał swój zakazany związek w tajemnicy, stracił rezon. Wybuchła wielka awantura, a chore dziecko wszystko słyszało.

Błękitna Kochanka wstała z krzesła, podeszła do handlarza i mocno się do niego przytuliła. Okrutnie łagodnym głosem powiedziała, by się nie martwił, że wszystko wróci do nor-

304
my, córka szybko wyzdrowieje, a zranione uczucia łatwo się zagoją, bo przecież mała też bardzo kocha swojego tatusia, powiedziała dokładnie to, czego w tej sytuacji można było od niej oczekiwać, ani mniej, ani więcej. Handlarz oliwą popatrzył na nią z wdzięcznością, choć wciąż smętnie. Wyglądał

już na mniej przygnębionego. Usłyszał dokładnie to, co chciał usłyszeć.

Gdy Błękitna Kochanka odprowadzała go do drzwi, uśmiechnął się po raz pierwszy od wielu godzin. Na progu czule objął dziewczynę.

— Było naprawdę pyszne! — powiedział, wskazując ruchem głowy stół.

— To nie ja przygotowałam — odpowiedziała Błękitna Kochanka. — Wszystko kupiłam w sklepie.

Z tonu jej głosu nie można było wywnioskować, czy jest zła. Handlarz oliwą przez moment stał nieruchomo. Z wyrazu jego twarzy nie można było wywnioskować, czy jest zaskoczony.

LOKAL NUMER 2

W absolutnej ciszy, spowijającej mieszkanie numer 2 i odcinającej je od świata zewnętrznego, rozlegało się chrapanie leżącego na boku, z wszystkimi czterema łapami wyciągniętymi w jedną stronę Gaby. Ponieważ spał nie tylko otoczony przez ciszę, ale także wyciągnięty na swym współlokatorze, Sidar nie miał możliwości nawet się poruszyć, dopóki pies się nie obudzi. Ale Sidar był szczęśliwy, i to bardzo. Uwielbiał tak trwać, po prostu trwać, nic nie robiąc, nie starając się niczego zrobić, przytulony do stworzenia, które kochał najbardziej na świecie, zaniedbany i beztroski, pozbawiony, na ile to tylko możliwe, celu, i na ile tylko potrafił, wyzbyty energii. Zamknął oczy i zaczął niespójnie, bezsensownie śnić.

Wszędzie dookoła była zieleń. W ogrodzie, otoczonym ozdobnym żelaznym płotem, młoda dziewczyna o bursztynowych włosach, niezwykle podobna do jednej z jego starszych siostr, ale znacznie od niej ładniejsza, leżała wyciągnięta na leżaku i machała do niego ręką, otulona w srebrzyście połyskujący szyfon. Gaba drzemał przy bramie. Nie znosił smyczy, uwiązywania, było więc jasne, że jak się obudzi, zacznie rozrabiać. Sidar doskonale wiedział, że nie należy zostawiać

306
psa samego, mimo to popchnął lekko olbrzymie wrota prowadzące do ogrodu i wślizgnął się do środka. Ani na moment nie odrywał wzroku od dziewczyny. Ogród wydawał się jeszcze bardziej zielony niż z zewnątrz, ale w basenie pośrodku niego nie było ani kropli wody. Na jego dnie roily się robaki wielkości pięści. Dziewczyna z uśmiechem wstała z leżaka i Sidar zauważył, że jest od niego o wiele, wiele wyższa. W dodatku wciąż rosła. Głowę sięgała już niemal nieba. Sidar z niepokojem spojrział na jej buty. Potężne obcasy były wysokie na dobrych pięć piędzi. Dziewczyna nagle się zachwiała i próbując złapać równowagę, łup! — tupnęła mocno jedną nogą.

„Przestań!” — powiedział Sidar, próbując uspokoić dziewczynę, ale wywarło to skutek zupełnie odwrotny. Na przekór dziewczyna zaczęła jak szalona przeskakiwać z jednej nogi na

drugą i tupać z całej siły. Łup, łup, łup! „Przestań natychmiast! Zwariowałaś?!” — krzyknął Sidar, bojąc się, że Gaba się obudzi. Spojrzał za siebie w kierunku bramy. Ale uchylone jeszcze przed chwilą wielkie wrota były teraz zamknięte, a w dodatku znajdowały się bardzo daleko. Łup, łup, łup! Dziewczyna nie przestawała skakać, aż ogarnął go strach. Gaba czekał wściekle i Sidar, rzuciwszy dziewczynie gniewne spojrzenie, popędził w kierunku bramy. I w tym momencie obudził się w mieszkaniu numer 2 w Pałacu Cukiereczek. Kompletnie oszołomiony biegł do drzwi. Potworny hałas rozdzierał uszy. Gaba czekał, ktoś łomotał do drzwi, a im mocniej łomotał, tym Gaba donośniej czekał.

Gdy w końcu Sidar otworzył drzwi, zobaczył Muhammeta kopiaącego w nie zapamiętałe. Chłopiec omiół go niedbale spojrzeniem i jak gdyby nigdy nic podał nakryty serwetką talerzyk. — Madame Babcia ci to przysyła.

Sidar momentalnie otrząsnął się z resztek snu i uśmiechnął znacząco. To, z czego zawsze sobie z kolegami żartował, stało

się rzeczywistością. Tradycyjna chałwa, którą przygotowywały starsze panie i częstowały nią sąsiadów, miała ukoić nieposkromiony apetyt na coś słodkiego, pojawiający się zawsze, gdy był po kwasie. „Tradycja wyjścia poza tradycję” — tak to nazywali między sobą.

Jakając się z radości, wylewnie podziękował, złapał talerzyk i zatrzasnął chłopakowi drzwi przed nosem. Gaba, który wyczuł nie tyle sam zapach jedzenia, ile możliwość, że do domu przyniesiono coś do jedzenia, przestał czekać i zastygł w oczekiwaniu, wysuwając mokry nos do góry. Mrugając porozumiewawczo do psa, Sidar podniósł serwetkę i osłupiał: na talerzyku zamiast chałwy leżały dwa kruche ciasteczka. Ich brzegi były lekko ukruszone, cukier puder się osypał. Sidar zbladł. Przypomniało mu się.

LOKAL NUMER 7

— Czemu nie spróbujesz znaleźć sposobu, by ich powstrzymać? — spytała Ethel, gdy wieczorem popijaliśmy na balkonie. Wystawiła rękę poza barierkę — dziś paznokcie miała pomalowane na morelowo. Gdy spojrzałem we wskazanym kierunku, dostrzegłem kobietę rzucającą pod ścianę torbę ze śmieciami. Wzruszyłem ramionami. Na nic było otwieranie i zamykanie okien. Robiło się coraz bardziej gorąco i z każdym mijającym dniem odór odpadków się rozzuchwalał. Gdy taki smród dosięgnie cię na ulicy, możesz przyspieszyć kroku lub zasunąć szyby w samochodzie. Ale gdy śmierdzi w domu, gdy cuchnie rano, jak się budzisz, i wieczorem, jak idziesz spać, gdy cuchną ściany, drzwi i okna, wpadłeś w potrzask. Nie możesz wyjść poza pole rażenia smrodu. Nie ma na to sposobu ani nikogo, kto by na to jakiś sposób wymyślił.

Każdego wieczoru, gdy wracałem do domu, zastawałem

pod ścianą budynku pofałdowany wzgórek śmieci. Z wypełnionych po brzegi kolorowych foliowych toreb, opatrzonych logo okolicznych supermarketów i sklepów spożywczych, ściśle zawiązanych, ale zawsze jakoś dziurawych od spodu, z byle jak rzuconych kartonowych pudeł, połamanych, zde-

309
kompletowanych przedmiotów, których pozbyto się z jakiegoś mieszkania, rozkładających się resztek arbuzów, przyprawiających o wymioty rojów czarnych bzycających much, które krążyły wokół rozsypanych odpadków — każdego wieczoru wzgórek formował się na nowo. I jeszcze koty... Z każdym dniem coraz liczniejszy ich zastęp drzemał na tych workach, wśród nich, pod nimi i wewnątrz — chude i tłuste, obojętne na wszystko dookoła, wiecznie wylegujące się w swoim królestwie smrodu i brudu... Dziesiątki kotów...

Codziennie z niepokojem obserwuję z balkonu rozwój śmieciowego pagórka. Bywa, że jego dolna część zapełnia się jeszcze przed południem i aż do wieczoru dokładane są do niej warstwami nowe worki. Gdy zaczyna zmierzchać, pojawiają się dwaj Cyganie z wózkiem, jeden stary, drugi młody, i starannie przetrząsają zawartość toreb. Sortują wydobyte puszki, gazety i butelki, pakuje je do osobnych worków i wywożą. Na dole panuje więc gorączkowy ruch złożony z nieustannych powtórzeń, wszystko zostaje rozdrobnione: koty rozszarpały i drały to, co obsiadały muchy; to, co rozszarpały koty, przebierają Cyganie; to, co pozostanie po Cyganach, zabiera śmieciarka wjeżdżająca w wąską ulicę pod wieczór, dokładnie w godzinach szczytu, a to, co wysypało się ze śmieciarki, rozwłóczę znówu muchy, koty i mewy. I choć tylu jest amatorów śmieci, piętzący się pod murem stos nigdy nie znika. Może nocą nieco się zmniejsza, ale resztki, które z niego ubędą, niemal natychmiast zostają zastąpione nowymi, przynoszącymi kwaśny, intensywny smród.

— Co ja na to mogę poradzić? — spytałem. — Mam warować pod tą ścianą?

— Zrób coś takiego, co sprawi, że przestaną mieć ochotę wysypywać tu śmieci. Dalej, kochany. Rusz głową. Na pewno coś wymyślisz — powiedziała Ethel, pierwsza dopijając raki-
310

Oparłem się o krzesło, zapaliłem papierosa. Tego wieczoru akurat mrówki zniknęły. Gdy wydmuchiwany przeze mnie dym rozpląwał się w powietrzu, do głowy przyszła mi pewna malutka myśl, malusieńka jak pchła.

LOKAL NUMER 2

Gdy Sidar przyglądał się, jak Gaba szorstkim różowym językiem zlizuje resztki ciasteczek, jego myśli szybko płynęły w stronę dzieciństwa, do wspomnienia ze Stambułu. Był na ulicy, padał śnieg. Jak każdej soboty wybrali się całą rodziną z wizytą do babci. Tym razem jednak odwiedziny trwały kró-

cej. Gdy opuścili dom starej kobiety, matka wzięła ojca pod rękę i szli powoli, jakby ociągając się przed jakąś niewdzięczną robotą, która na nich czekała. Nie podnosząc głosu, o czymś dyskutowali. Słychać było tylko urywki słów. Sidar, o którym wówczas nikt nawet by nie pomyślał, że gdy dorośnie, stanie się wysoki i chudy, szedł przodem. Otulony warstwami ubrań przypominał główkę kapusty. Wełnianą czapkę z motywem jeleni złoczonych rogami miał nasuniętą głęboko na uszy, obwiązany wokół szyi szalik w tym samym kolorze co czapka zasłaniał mu też twarz. Widać było tylko oczy. Stopniowo zwiększając dystans dzielący go od rodziców, z uporem i pasją wdeptywał w każdą napotkaną po drodze kałużę. Ani razu jednak nie został upomniany, z czego mógł wywnioskować, że prowadzona z tyłu szeptem rozmowa dotyczy ważnych spraw. Gdy rodzice chcą dać do zrozumienia dzieciom, że dzieje się

312
coś niedobrego, a wolą im tego nie mówić wprost, wystarczy, że przestaną się złościć na rzeczy, które zawsze ich irytowały. Sidar też to od razu wyczuł. Jego duszę dręczyło złowrogie przecucie, że zdarzy się nieszczęście. Tylko właściwa reakcja rodziców na jego wejście do dużej brudnej kałuży mogła go przekonać, że ten dzień jest jednak taki sam jak inne.

Przy następnej przecznicy natrafił na to, czego szukał. Przed zrównanym budynkiem w okrągłym zagłębieniu zebrała się brunatna woda. Zdecydowanym krokiem ruszył w jej stronę i wsadził nogę w kałużę, której głębokości nie mógł przewidzieć. W tej samej chwili usłyszał chrapliwy głos. Niechętnie się odsunął i spojrzał za siebie. Rodzice nadal byli pogrążeni w zażartej dyskusji, głos więc nie mógł pochodzić od nich. Z powrotem odwrócił się do kałuży i z całej siły ponownie wdepnął w błoto. Znów dał się słyszeć zduszony jęk. Dochodził jakby... spod jego stóp. Jakby błoto coś zabolowało... Może to było ostrzeżenie? Ktoś próbował go przestrzec, by nie wchodził głębiej. Może stał przed śmiercionośną dziurą, wykopem zagrażającym życiu przechodniów? Śmierć w mętnej wodzie... Okropnie się przestraszył. Ale poczuł jednocześnie, że strach przed śmiercią nie jest wcale taki straszny. Bez wahania zagłębił w wodę drugą nogę. Zrobił krok do przodu.

Serce biło mu jak oszalałe. Ciekawe, jak głęboka była ta dziura, czy miała dno? Przyszło mu na myśl, że jeszcze krok, dwa i zostanie błyskawicznie wciągnięty w wąski kanał, który poniesie go w kierunku morza. A potem... Wyobraził sobie, jak otworzy się przed nim jezioro pełne błota — ogromna paszcza Pełna ostrych zębów — i pochłonie go. Zostanie po nim tylko czerwona wełniana czapka. Pogrążeni w cichej rozmowie rodzice przejdą obok kałuży i dopiero znacznie później zorientują się, że syna nie ma, i przejdą jeszcze raz tą samą drogą, Umierając z niepokoju. Będą go wszędzie szukać, zajrzą pod

313
każdy kamień, aż w końcu od jelonka wyszytego na wyłowio-

nej z kałuży czapce dowiedzą się, co go spotkało... Przetrzęsnał zakamarki pamięci w poszukiwaniu wszystkich zdarzeń, które jak ostre kamienie zraniły w przeszłości jego uczucia, wszystkich doznanych niesprawiedliwości, złośliwości, które uraziły jego dumę, przykrych słów. Szczegółowo wyobrażał sobie, jakie wyrzuty sumienia zaczną odczuwać na wieść o jego śmierci krewni, koledzy, którzy tak go źle traktowali, i poweselał. Ale nie zdążył jeszcze sobie tego wszystkiego wyobrazić, gdy dotarł do końca kałuży. Niechętnie wyszedł z sięgającej mu niemal do kolan wody. Mocno tupiąc nogami i rozbryzgując dookoła wielkie krople błota, skręcił za róg ulicy i zatrzymał się jak rażony piorunem. Przed nim na skraju chodnika leżało szczenię. To ten wychudzony piesek o czarnych oczach, a nie grożący wypadkiem wykop wydawał te dźwięki przyprawiające o dreszcz. Sierść psa nie była poplamiona krwią, na pierwszy rzut oka nie miał żadnych obrażeń. Nie widać było śladów kół mikrobusu, który być może go potrafił. Sidar spochmurniał. Spostrzegł, że śmierć, o której z upodobaniem marzył i tymi marzeniami rozkoszował się jeszcze przed chwilą, jest tuż obok, ale dotknęła nie jego. Poczł się głupio, poczuł, że jest okrutny, nic nie wart i nikt go nie kocha. Wszystkie myśli, jakie przysły mu wtedy do głowy, były bez sensu, wszystkie marzenia bezwartościowe. Jedyłą realną rzeczą było zasychające na nogawkach spodni błoto i ból, jaki czuło to szczenię. Wszystko poza tym było bez znaczenia. Miał rodzinę, lecz był samotny. Nikogo nie kochał i przez nikogo nie był kochany. Stale był lekceważony i sam wszystko lekcewał. Nie potrafił być szczęśliwy i wątpił, by kiedykolwiek zdołał się tego nauczyć. Miał jedenaście lat, lecz dla wszystkich był jeszcze dzieckiem. Nikt go nie pytał o zdanie, a nawet gdy spytał, Sidar nie miał chyba żadnego zdania na żaden temat.

314

Oczywiście mógł zawrócić, zawołać rodziców, poprosić o pomoc albo podejść do psa, spróbować mu pomóc. Ale nie zrobił nic. Wsunął tylko błyskawicznym ruchem ręce do kieszeni, jakby bał się, że czegoś dotknie i się ubrudzi. W lewej kieszeni wyczuł coś miękkiego, ale nie zwrócił na to uwagi. Od tyłu zbliżali się krok po kroku rodzice i gorycz ich nieszczęścia. To było życie. Przed nim nie mogący się ruszyć z bólu pies szybko gasnął. To była śmierć. A Sidar nie chciał się znaleźć ani w jednym, ani w drugim. Gdyby tak mógł trzymać się jak najdalej od śmierci, która go odrzucała, i od życia, które sam odrzucał. Chciał skryć się za opuszczonymi powiekami, jak skrywał się pod paltem, rękawiczkami, czapką i szalikiem, które miał na sobie. Nagle zrozumiał, czym jest to miękkie coś, co miętosił w kieszeni. To było jedno z babcinych ciasteczek. — Dziewczynki zamieszkają ze mną — powiedziała babcia tamtego ranka. — Ale chłopiec powinien zostać z ojcem. Gdy wszedł do kuchni, obie były odwrócone tyłem. Na ustawionych na kuchennym blacie porcelanowych talerzach

rozkładają wyjęte z piekarnika ciasteczka.

— Nie zostawiajcie mnie bez wiadomości — powiedziała babcia. — Ale jak wam tylko założą telefon, najpierw zadzwońcie do cukiernika.

Matka już miała coś odpowiedzieć, lecz w tym momencie zauważyła stojącego za nimi Sidara i porozumiewawczo trąciła łokciem staruszkę.

— Gdy w nowym domu zostanie założony telefon, pierwszy numer, który wybierzesz, zdecyduje o tym, jak ci się będzie tam mieszkało — wyjaśniła uspokajająco Sidarowi babcia.

Ktoś, kto ma nowy telefon, zanim zadzwoni do rodziny i przyjaciół, powinien zadzwonić do cukierni, sklepu ze słodyczami, lodziarni, wytwórni rachatłukum... Do czegoś w tym guście. Powinien tam zadzwonić, by wszystkie rozmowy, jakie

315
w przyszłości wykona, „słodko” się kończyły. Potem już według uznania, można zadzwonić do banku, kantoru wymiany dewiz czy jubilera, by rozmowy przyniosły bogactwo. Aby zapewniły własny dom — do pośrednika od nieruchomości, a jeżeli się marzy o samochodzie — do salonu motoryzacyjnego. Ale pieniądze i majątek nie były takie istotne. Ważniejszy był smak rozmów. Dlatego w pierwszej kolejności należało wybrać numer do cukiernika.

Potem wszyscy przeszli do salonu i tam jedli ciasteczka.

Sidar nudził się jak w każdą sobotę, ale tym razem nie trwało to tak długo. Dorośli drżeli z podniecenia, a dzieci jeszcze nie pojęły, czym ten sobotni poranek różni się od innych sobotnich poranków. Dlatego w zamieszaniu, w którym nie wiadomo było, kto kogo żegna i kto kogo całuje na do widzenia, wszyscy jednocześnie ruszyli w stronę drzwi. Dopiero tam okazało się, że dziewczynki zostają z babcią. Zdaniem Sidara pogoda była dobra, ale perspektywa spędzenia weekendu bez siostr tak miła, że nawet nie zaprotestował, gdy babcia kazała mu włożyć tę czapkę odpowiednią raczej dla dziewczynki. Grubo opatulony już miał wyjść z domu, gdy babcia przytuliła go do siebie i przyciskając do swych zwisających niemal do pasa piersi, wetknęła mu coś do kieszeni.

— Zjesz sobie po drodze — powiedziała, pociągając zaczerwienionym nosem i wykonując jedną ręką gest skierowany do góry, jakby droga, o której mówiła, znajdowała się gdzieś na niebie.

Nim jednak zdążyła opuścić dłoń, wybuchnęła takim płaczem, że od szlochu głos uwiązł jej w gardle. Stała na progu znieruchomiała, podobna do grubo ciosanej figury kogoś, kto podkradał z sadu brzoskwinie i został za to zamieniony w kamień. Gdy babcia swoim ciałem blokowała wyjście, w wąskim korytarzu prowadzącym do salonu stłoczyli się zeszywniali

316
pozostali członkowie rodziny. Przypominali rozwieszoną na sznurze bieliznę, którą zapomniano zdjąć przed mroźną nocą.

Gdy Sidar, który przy jakichkolwiek oznakach wylewności zastęgał jak sparaliżowany, zdołał w końcu oderwać się od babcynych piersi pachnących z lekka potem, silnie cytrynową wodą kolońską i ledwo wyczuwalnie proszkiem do pieczenia, czym prędzej wyskoczył na dwór. Wyszedł, by więcej nie wrócić.

Od tego momentu szli ulicami: on na przedzie, rodzice z tyłu. Szczeniak na widok herbatnika wyjętego przez Sidara z lewej kieszeni nagle przestał pojękiwać. Na jedną, pełną niepokoju chwilę ich spojrzenia się spotkały. Sidar znienawidził go. Pies zaraz miał umrzeć. Już nawet zaczął umierać, ale w jego czarnych oczach, które dawno przygasły, wciąż tlił się płomień chęci pożarcia tego przeklętego ciasteczka.

Kilka minut później rodzice skręcili za róg. Skręcili i ujrzeni syna, który stał przed wydającym ostatnie tchnienie zwierzęciem i kompletnie obojętny coś sobie pogryzał. Wobec takiej oznaki braku uczuć nerwy obojga dorosłych, napięte do granic możliwości pod wpływem omawianego od dłuższego czasu tematu, nagle puściły. Matka zaczęła na niego krzyczeć, ojciec wymierzył mu siarczysty policzek.

Wreszcie było tak, jak chciał. Ojciec i matka wrócili do normalnego stanu. Ale co z tego, że wrócili, skoro to paskudne uczucie rozdierające mu duszę przez całą drogę wcale się nie skończyło. Wręcz przeciwnie, stało się jeszcze bardziej dojmujące. Sidar rozplakał się. Nie zabolowały go ani policzki, ani reprimenda. Tego ostatniego sobotniego poranka w Stambule jego wiara, którą od tak dawna żywił, którą przyzwyczaił się Pielęgnować — że życie jakoś będzie trwać dalej — rozsypała się za jednym potrząśnięciem, jak cukier z kruchych ciasteczek. Tego samego dnia wieczorem po raz pierwszy w życiu siadł do samolotu. Z czasem miał zrozumieć, dlaczego oj-

317

ciec i matka tak bardzo się denerwowali, nim przeszli kontrolę paszportową, dlaczego w takim pośpiechu opuszczali Turcję. Gdy lot, który upłynął mu na przyglądaniu się ruchom wiecz- nie uśmiechniętej, pełnej gracji stewardesy, dobiegał końca i samolot zaczął schodzić do lądowania, pod nimi ukazały się rozrzucone w nieruchomej ciemności, pełne blasku i pozbawione cieni światła miasta. Kraj rozrzuconych w nierucho- mej ciemności, pełnych blasku i pozbawionych cieni światła. Szwajcaria!

Po dwóch miesiącach, gdy opuścili już budynek szkoły za- mienionej na schronisko dla uchodźców i zamieszkali w jed- nym domu z rodziną wiernych Kościoła syryjskiego, pierwsze, co zrobiła matka, chwycenie za słuchawkę telefonu. Wśród łez i szlochów, z emocji powtarzając raz za razem to samo, rozmawiała z córkami. Nie zadzwoniła do cukierni, sklepu z mar- moladkami, fabryki czekolady... Pierwsze połączenie z nowe- go telefonu było z rodziną pozostałą w Stambule. Być może właśnie z tego powodu przez wszystkie następne lata, gdy rozlegał się dźwięk dzwonka, rodzice zawsze spodziewali się

wiadomości stamtąd. Nie zmieniło się to nawet wtedy, gdy babcia zmarła, pięć lat później, a córki przyjechały do Szwajcarii. Jaka była pierwsza rozmowa z nowego telefonu, takie były i następne. Za każdym razem rozmawiali o najnowszych wieściach stambulskich, a jak nie o tym, to zawsze znalazł się jakiś związany ze Stambułem temat, jakiś bolesny problem do omówienia.

Ale jedynym członkiem rodziny, któremu dane było powrócić do Stambułu, był Sidar. Pojechał tam jedenaście i pół roku później.

LOKAL NUMER 4

Zelisz Ognista mniej więcej od pół godziny siedziała po turecku w swoim pokoju przy zwłokach prusaka, którego dopadła na brzegu dywanu i uśmierciła. Patrzyła na swoje odbicie w lusterku wzrokiem, jakim ktoś, kto doznał krzywdy, patrzy na tego, kto mu tę krzywdę wyrządził. Jej twarz od zawsze była blada, jakby spotkała w nocy upióra, okrągła jak średnich rozmiarów tortownica, lecz dopiero od pięciu miesięcy upstrzona była mnóstwem maleńkich, chropawych pęcherzyków przypominających potówki. Bezrzęsy dermatolog o beztróskim uśmiechu, do którego udały się obie z matką, stwierdził, że nie jest to ani trądzik młodzieńczy, ani alergiczna wysypka, lecz reakcja psychosomatyczna. W stanach nadmiernego napięcia emocjonalnego czy lękowych skóra może zacząć przypominać obrus w czerwone groszki. Gdy wychodziły z gabinetu, zaśmiewający się z własnego dowcipu lekarz poufale klepnął ją po plecach i zarechotał basowym głosem:

~~ Jeżeli już w tym wieku targają tobą takie emocje, to mąż będzie miał z tobą krzyż pański. Odpręż się, moje dziecko, odpręż się!

319

Urojone obawy to taki rodzaj uczucia, które wzmacnia się właśnie wtedy, gdy nie ma ku temu podstaw. Nawet strach ma krańcowe stadium, maksymalne natężenie. Gdy je osiągamy, przestajemy się bać, choćby to, czego najbardziej się boimy, znajdowało się tuż obok. Nadmiar strachu poskramia strach. Urojone obawy są jednak jak woda z zatrutej studni. Nie istnieje bezpieczna dawka, nie ma też skutecznego antidotum. Strach ma konkretne znane źródło. Źródło obaw pozostaje abstrakcyjne, niejasne. Dlatego potrafimy bez trudu powiedzieć, dlaczego odczuwamy strach, ale nie umiemy wskazać przyczyny dręczących nas obaw. W tej sytuacji tłumaczenie temu zmęczonemu wojownikowi, walczącemu nie z fizycznym, lecz chemicznym wrogiem, co może go spotkać, gdy będzie się jeszcze bardziej niepokoił, spowoduje utratę wiary w samego siebie i dalszy wzrost obaw.

Zelisz Ognista nie umiała się odprężyć i nie sądziła, że kiedykolwiek się tego nauczy. Świadomość, że wysypka nie jest oznaką uczulenia, lecz skutkiem jej obaw, nie tylko nie po-

prawiła jej stanu, ale wręcz go pogorszyła. Nie pomoże żadne mydło, żaden krem czy balsam na świecie. Pryszczce, szpecące przedtem jedynie jej czoło i brodę, po wizycie u lekarza rozprzestrzeniły się na całą twarz.

Nagle do jej uszu dobiegły dźwięki muzyki. Odłożyła lusterko i ukłękła. Twarzą zwrócona w stronę martwego prusaka przyłożyła ucho do podłogi. Zwyczaju podsłuchiwania o różnych porach tego, co dzieje się na dole, nabrała już jakiś czas temu. Jej pokój znajdował się dokładnie nad suteroną, gdzie mieszkał ten chudy chłopak. Od czasu do czasu słyszała, jak stuka, jakby był przetrzymywany w piwnicy zakładnikiem. Dochodzące z dołu odgłosy były tak dziwne, że wydawało się jej, iż chłopak chodzi po suficie. Za każdym razem wsłuchiwała się w nie jak w zaszyfrowany komunikat i usiłowała przy-

320
pisać im jakieś znaczenie. Pewnego razu usłyszała jęki zmieszane ze szczekaniem psa. Cały dzień spędziła przy oknie, by zobaczyć, jak wygląda tamta dziewczyna. I zobaczyła. Drobną, o króciutko ściętych włosach ufarbowanych na kolor miedzi. Ubrana była w zsuwające się z bioder, obszerne, workowate spodnie. Żwawym krokiem wyszła z budynku, zrobiła jeszcze dwa kroki i na środku ulicy zapaliła papierosa. Miała gładką cerę bez wyprysków — od razu było widać, że nie dręczą jej żadne obawy.

Każdy człowiek poszukuje swego lustrzanego odbicia, by stać się z nim jednością, by znaleźć w nim samego siebie, powiedzieli pewni mędracy. Ale niektóre lustra pokazują obraz odwrócony do góry nogami, jak rosnące w raju drzewo Tuba, którego korzenie sterczą ku niebu, a gałęzie wrastają w ziemię. Zelisz Ognista w dziewczynie, która odwiedziła Sidara, dostrzegła odwrócony obraz samej siebie. I zapragnęła nie tyle połączyć się z nią, odnaleźć w niej siebie, ile samej zniknąć i wcielić się w nią.

— Co, do cholery, robisz na podłodze?!

Zelisz Ognista zerwała się na równe nogi, gdy do pokoju zajrzał jej brat. Tego wieczoru Zekeriya z żoną i dzieckiem przyszedł na kolację do rodziców. Zelisz, nie odpowiedziawszy mu, wyszła z pokoju i wolnym krokiem udała się do salonu. Wszyscy siedzieli przy stole, jedli zupę, oglądając jednocześnie wiadomości w telewizji. Na końcu stołu leżały trzy kawałki kadayif¹ przysłane przez starszą panią, wdowę spod dziesiątki.

Zelisz przysiadła na krześle z brzegu i wbiła wzrok w ekran telewizora. Szesnastoletnia matka, która swoje urodzone przed trzema dniami dziecko zapakowała w foliową torebkę i wyrzu-

\adayif— rodzaj deseru z ciasta w formie cieniutkich nitek.

321
ciła do śmietnika przy jednym z supermarketów, starała się ukryć twarz przed obiektywami kamer. Nieszczęsne małżeństwo spędziło cały dzień w pojemniku i dopiero wieczorem,

gdy zaczęło kwilić, zostało znalezione przez przechodniów i uratowane. Policjanci zabrali je na posterunek, nakarmili. Wyciągniętemu ze śmietnika noworodkowi nadali imię Kader¹. Na ekranie pojawiła się czerwona twarzyczka niemowlęcia. Stałe płakało i robiło się coraz bardziej czerwone. Zelisz Ognistą oblał pot. Usiłując uchronić oczy przed naporem czerwieni, bezradnie toczyła wzrokiem po stole. Było już jednak za późno. Gdy policjant przekazywał dziecko koledze, obraz zaczął szybko ciemnieć. Ciemność też miała kolor czerwony. Zelisz Ognista zemdląca.

1 Kader— fatum, przeznaczenie, zrządzenie losu.

LOKAL NUMER 7

Gdy jazgot budzika obudził mnie o 5.45, pomysł, który tak podobał mi się wczorajszego wieczoru, wydał mi się straszną bzdurą. Położyłem głowę na poduszce i próbowałem ponownie zasnąć. Na próżno. Wstałem, wyjrzałem przez okno. Było jeszcze ciemno. Nagle zachciało mi się spróbować. Będę miał przynajmniej o czym opowiadać Ethel. Uśmiejemy się. Przynajmniej ta zdzira Ethel się uśmieje. Wziąłem przygotowaną w nocy reklamówkę i starając się nie robić hałasu, zszedłem po schodach. Gdy tylko otworzyłem drzwi budynku, w twarz uderzył mnie chłodny powiew poranka, a nozdrza wypełnił odór śmieci. Nawet o tej porze było go czuć. Kto wie, może mój plan się powiedzie? Jeżeli choć jedną osobę uda mi się odwieść od wyrzucania tutaj odpadków, uznam, że przysłużyłem się nie tylko mieszkańcom Pałacu Cukierczek, ale całemu miastu.

Opustoszała ulica po raz pierwszy od przeprowadzki wydała mi się ładna. Zza rogu wyskoczyły dwa pełne wigoru bezpieczeństwa kundły. Zbliżyły się, klucząc z jednego chodnika na drugi i wyprzedzając jeden drugiego. Przy murku zwolniły, bez entuzjazmu obwąchały śmieci i oddaliły się biegiem. Po-

323
patrzyłem za nimi. Przez moment wydało mi się, że ktoś mnie obserwuje. Podniosłem głowę i stwierdziłem, że z wyjątkiem mieszkania numer 9 nigdzie w Pałacu Cukierczek nie pali się światło. W oknie salonu na ostatnim piętrze przemknął cień. W ślad za nim w kolejnych pomieszczeniach zapalały się światła, po czym po kolei gasły. Byłem niespokojny. Zaczęła irytować mnie bezsensowność mojego planu. Ale nie zamierzałem zrezygnować. Plan może i był szczytem absurdu, ale tak było nawet lepiej. Czasem bowiem bzdurę bezprawnie psującą nam nerwy można powstrzymać inną bzdurą, dorównującą tamtej bezsensownością, a nie logicznymi zasadami, wiecznymi prawdami czy brutalnymi zakazami.

Gdy znalazłem się na chodniku i odwróciłem w stronę muru, napotkałem bezlitosne spojrzenie. Już wcześniej widywałem tego kota. Patrzył na mnie wręcz z nienawiścią. Zapewne przestał czuć się swobodnie, bo wstał i przeciągnął się. Ocieżałym krokiem przemierzył murek, po czym usiadł

na samym jego końcu i stamtąd uważnie mnie obserwował. Wyjąłem z reklamówki puszkę i z trudem ją otworzyłem. Gdy wczoraj wieczorem kupowałem farbę, poprosiłem o zieleni stosowaną w meczetach, uważając, że ten odcień najlepiej pasuje do tego, co planowałem. Ale pod wieczkiem ukazał się kolor po prostu pistacjowy, nie mający ani krztyny mistycznej aury. Największy problem pojawił się jednak, gdy w końcu stanąłem z pędzlem w ręku przed ścianą. Wiedziałem, co mam napisać, ale nie zastanowiłem się, jak to zrobić, by wyrzec pożądanego efektu. Za moimi plecami, trzęsąc się i podskakując, przejechała furgonetka z piekarni. Przed sklepem naprzeciwko kierowca zostawił kosz pełen bochenków chleba. Powinienem się pośpieszyć. Napisałem najprościej, jak tylko przyszło mi do głowy. Wszystkie litery namalowałem dwukrotnym pociągnięciem pędzla, a każdy mój ruch uważnie obserwował par-

324
szywy kocur, powoli kołysząc zwieszonym z muru czarnym jak smoła ogonem.

Skończyłem, cofnąłem się o dwa kroki i oceniłem swoje dzieło. Nie wyszło najgorzej. Co prawda pistacjowy odcień zieleni okropnie kłuł w oczy, a wskutek złego wypośrodkowania napisu ostatnie litery były mocno ściśnięte, ale i tak całość prezentowała się nie najgorzej. Napis był wystarczająco duży i czytelny, by odczytać go nawet ze środka ulicy. Mrugnąłem porozumiewawczo do kota, zabrałem pędzel i puszkę z farbą i wróciłem do Pałacu Cukiereczek.

Już miałem wejść do środka, gdy zauważyłem, że ktoś właśnie zbierał się do wyjścia z budynku.

Starsza pani spod dziesiątki była ostatnią osobą, którą bladym świtem spodziewałbym się spotkać na ulicy. Wydawała się również zakłopotana tym przypadkowym spotkaniem.

Gdy starałem się zawiązać trzymaną w ręku reklamówkę, mój wzrok spoczął na tym, co trzymała w ręku. Były to cztery torby sprawiające wrażenie pustych. Torby lekkie jak piórko, ona sama lekka jak piórko... Przytrzymałem jej drzwi. Okrasiwszy podziękowanie bladym uśmiechem, wyszła, obejmując ramionami swoje filigranowe ciało.

Gdy tylko znalazłem się w mieszkaniu, wyszedłem na balkon. Zamierzałem przesiedzieć na nim cały dzień, by sprawdzić, jaki skutek odniesie mój napis. Ale przerwany sen dopadł mnie jak natrętny wierzyciel.

LOKAL NUMER 9

Skontrolowała kolejno kuchnię, salon, hol i mały pokój, pogasiła światła, po czym wyczerpana i niespokojna położyła się do łóżka. Odwróciła się na bok i w martwym półmroku przecinanym smugami jaśniejszego dnia spojrzała na leżące obok niej ciało z ciekawością, jakby zauważyła je pierwszy raz w życiu. Nie widziała jednego ciała, lecz dziesiątki małych, malusieńkich kawałków. Jej obsesja na punkcie czystości, która już dawno przybrała formę chroniczną, jak podstępna

choroba zaatakowała też oczy. Działały teraz jak dwie sprawne maszyny do mielenia mięsa: wszystko, co widziała, miały drobno, małe kawałki rozdrabniały na drobiazgi, drobiazgi na molekuly. Gdy patrzyła na przykład na dywan w salonie, nie widziała dywanu, lecz pokrywające go wzory, a na tych wzorach plamy, a w tych plamach cząsteczki brudu. A odkąd zaczęła walczyć z niewidocznymi gołym okiem stworzeniami, jej oczy, nastawione wyłącznie na postrzeganie szczegółów, zupełnie przestały widzieć przedmioty w całości. Dlatego gdy obróciła się i spojrzała na leżące obok niej ciało, nie dostrzegła męża, lecz zaschnięte na brzegu jego ust dwie krople śliny, grudki ropy w kącikach oczu, osadzone na zębach resztki je-

326
dzenia, zażółcenia od papierosów na końcach palców i łupież u nasady nie mytych od trzech dni włosów. Szybko odwróciła się, by nie zauważyć niczego więcej, ale za późno. Już zaczęła czuć wstręt.

Nie wszystkie żyjące na ziemi stworzenia zostały obdarzone zdolnością odczuwania obrzydzenia. Wstręt jest właściwy ludziom, nie zwierzętom. Kobiety brzydzą się częściej niż mężczyźni, a wśród samych kobiet zdarzają się takie, które robią to znacznie częściej i znacznie silniej niż inne. Gdy Tijen Czyścioszka się brzydziła, wykrzywiła usta, nogi jej sztywniały i po całym ciele przebiegały lekkie dreszcze, które z czasem przechodziły w narastający świąd. Tak stało się i tym razem. Zwinąwszy się w kłębek, jedną ręką usiłowała szczelnie owinać się kołdrą, a drugą energicznie drapała się po całym ciele, poczynając od palców stóp. Tym razem jednak mrowienie czuła także na skroniach. Szybko narastało, w kilka chwil obejmując całą głowę. Stamtąd zaczęło spływać w dół, a przechodząc przez szyję, ścieśniło szeregi jak oddział wojska przechodzący przez most, by potem rozlać się szeroko po ciele. Za tym niespodziewanym pochodem stał własny mózg Tijen Czyścioszki. Wcześniej niż ona rozpoznał, co może się wydarzyć, wyczuł nadchodzące niebezpieczeństwo i sam ogłosił stan pogotowia.

Nasz mózg bowiem potrafi niekiedy wcześniej niż my określić prawdopodobne skutki działań, które zamierzamy wykonać, i nie pytając nas o zdanie, podejmuje środki zaradcze, Jakże uzna za stosowne. Mózg Tijen Czyścioszki zorientował Się, że ten atak obrzydzenia różni się od innych. Przewidując, że gdy Tijen zacznie czuć wstręt do mężczyzny, za którego wyszła za mąż wbrew woli rodziców, może w konsekwencji spróbować przewartościować całe swoje życie, postanowił Przejąć kontrolę nad biegiem wypadków. W ciągu następnych

327
kilku minut żołądek Tijen Czyścioszki zaczęły skręcać potężne kurcze. Tam właśnie spotkały się nadciągające od palców stóp oddziały buntowników, opowiadających się za chłodem i wstrętem, z posuwającymi się od strony głowy formacjami

wierności i przywiązania do męża. Bezapelacyjne zwycięstwo odniosły siły zstępujące. Mózgowi udało się skutecznie stłumić powstanie wzniecone w palcach stóp. Tijen Czyścioszka, nieoczekiwanie uwolniwszy się od równie nieoczekiwanych skurczów żołądka, westchnęła głęboko i powłócząc nogami, poszła do łazienki. Zapaliła światło. Wszystko dookoła było bielusieńkie. Skropiwszy papierowy ręcznik odrobiną wybielacza, starannie wytarła deskę klozetową. Zasiadłszy na niej, nie przestawała bacznie obserwować otoczenia. W zasięgu wzroku nie było niczego, co kłałoby panującą wszędzie nieskazitelną biel.

„Każdego człowieka otacza aureola koloru” — napisano w broszurze pewnego kalifornijskiego stowarzyszenia. Jego członkowie, zwracając się do siebie, nie posługiwali się imionami, lecz nazwami kolorów, i trzymając się za ręce, tworzyli barwne kręgi jak bogato wyposażone zestawy do malowania akwarelami. Po pewnym czasie podzielili się jednak na frakcje odcieni i musieli zawiesić działalność. Ale być może jest dokładnie odwrotnie: każdy kolor otacza aureola ludzi. Jeżeli tak rzeczywiście jest, to aureola wokół bieli powinna się składać z pań domu, bo biel jest dla nich źródłem dumy i zapewnia im poczucie wyjątkowości. Tijen Czyścioszce dawała jednak wyłącznie ukojenie.

Spuściwszy wodę, skropiła papierowy ręcznik odrobiną wybielacza i starannie wytarła deskę klozetową. Przy okazji wyczyściła też okolice deski, klapę i spód, potem uchwyt na papier toaletowy i wieszaki na ręczniki, a następnie, nie spiesząc się, umywalkę i wannę, po czym wysunęła pralkę

328
i przetrzała podłogę pod nią. Zanim wyszła, jeszcze raz skontrolowała całe pomieszczenie na wpół usatysfakcjonowanym, na wpół zmęczonym wzrokiem. Zamknęła za sobą drzwi. Ale nie poszła dalej, lecz zastygła w miejscu. Mózg bowiem nie zawsze nas wyprzedza, czasem zdarza mu się zostać z tyłu. Tym razem z kilkusekundowym opóźnieniem zdała sobie sprawę, że wśród spowijającej całą łazienkę nieskazitelnej bieli dostrzegła poruszające się coś czarnego. Otworzyła drzwi. Nie myliła się. Po białych kafelkach śmigały obrzydliwe czarne odnóża. Musiały się zorientować, że zostały dostrzeżone, bo ich ruchy stały się szybkie i nerwowe. Poruszały się zygzakami na śliskich płytkach. Tijen Czyścioszka z sercem w gardle, boczkiem, boczkiem, ostrożnie podchodziła, podchodziła, aż znalazła się całkiem blisko. Dopiero wtedy dostrzegła, że to coś, czemu się przygląda, ale czego nie potrafiła zobaczyć w całości, to nie są czarne odrażające odnóża, lecz cały czarny i odrażający karaluch.

Ale nim zdążyła wydać z siebie przenikliwy krzyk, czarny odrażający posiadacz czarnych odrażających odnóży zdążył wślizgnąć się w jakąś dziurę i zniknąć jej z oczu.

Hałas obudził tego ranka dozorcę Musę wcześniej niż zwykle.

Gdy wszedł do salonu, stanął oko w oko z Muhammetem przyściśniętym fotelem do ściany. Udając, że nie dostrzega błagających o pomoc spojrzeń syna, zasiadł przy stole do śniadania. Pozbawionym wigoru, ociężałym ruchem oderwał spory kawałek białego sera i włożył go sobie do ust. Wolno go przeżuując, sięgnął po imbryk. Chwycił napelnioną szklanę i od razu się skrzywił. Herbata wystygła. Odwrócił się i podał żonie imbryk. Meryem, zajęta jednocześnie dociskaniem fotela i wkładaniem pietruszki między kromki chleba, nie zwróciła na to najmniejszej uwagi. Zrozumiawszy, że sam musi sobie z tym poradzić, Musa powiódł dookoła spojrzeniem, które było równie ociężałe i pozbawione wigoru jak jego ruchy. Wzrok Musy na moment zetknął się z emanującym bezradnością spojrzeniem syna, które coraz bardziej przypominało jego spojrzenie. Potem padał kolejno na ustawione ciasno obok siebie kanapy, fotele, stoliki i zatoczywszy pełny krąg, ponownie spoczął na żonie. Wydało mu się, że brzuch Meryem jeszcze bardziej urósł tego ranka. Musa zjadł połowę wyłożonego na talerzyk białego sera, trzy kromki chleba i wszystkie oliwki z miseczki, po czym nie

330
odezwawszy się słowem, wyszedł z domu. Powłócząc nogami, skierował się do sklepiku naprzeciwko. Nigdzie nie było jednak widać jego właściciela, który zazwyczaj siedział przed wejściem na wyplatany taborecie, obserwując, kto przechodzi ulicą, kto wchodzi do Pałacu Cukiereczek, a kto z niego wychodzi, aż od tego siedzenia wyrósł mu garb na plecach. Jak to się często zdarza w Stambule, garbaty sklepikarz utożsamiał swój sklep nie ze sprzedawanymi towarami, lecz z własną osobą i tak mocno miał to zakodowane w umyśle, że długo nie mógł się pogodzić, iż sklep może być otwarty także wtedy, gdy jego w nim nie ma. Ale ponieważ stwierdził, że klienci, którzy o różnych porach zastawali sklep zamknięty, przestawali doń przychodzić, a jednocześnie nie chciał przepuszczać pórnajpierw wyłącznie wtedy, gdy szedł do meczetu, potem, w miarę upływu czasu, także pod najrozmaitszymi innymi pretekstami. Pomocnik był jego bratankiem, ale garbaty sklepikarz uważał, że interesy i więzy rodzinne nie dadzą się połączyć, tak jak nie połączy się oliwa z wodą. Dlatego w czasie pracy odnosił się do niego nie jak do krewnego, lecz tak jak uważał, że należy się zwracać do pomocnika. Chłopak jednak nie potrafił przywyknąć do tego, że ten sam człowiek w dzień powszedni nie szczędzi mu soczystych przekleństw i zasypuje go poleceniami, na rodzinnych spotkaniach zaś, w weekendy i podczas świąt, obdarowuje go czekoladą, której w sklepie nawet nie pozwala mu powąchać, i z czułością gładzi go po głowie. gdy podczas takich okazji stryj, który rano rugał go na oczach wszystkich, zwracał się do niego jak do kogoś, z kim dawno się nie widział, i pytał:

~~ A co tam porabia mój bratanek? No, opowiadaj, jak spę-

dzasz czas po szkole? — chłopak tylko myślał, dokąd by tu uciec.

331

Wciąż nie opuszczała go złość na wspomnienie pewnego Święta Ofiary, na którym zebrała się cała rodzina, zarżnięto barana i zaczęło się częstowanie herbatą, a to marcepanem, a to pieczenią, jogurtem z ogórkami i czosnkiem, gotowaną pszenicą z mięsem, ayranem, nadziewaną kiszka, kompotem z moreli, pilawem z mięsem, znowu herbatą, bakłayą z orzechami, spożywaną na cześć zmarłych czarną chałwą z kaszy manny, winogronami, arbuzem, znowu bakławą z orzechami, kawą. Cały dzień spędził ze stryjem, objadając się tak samo jak on, a w nocy miał sensacje żołądkowe. Ale gdy następnego dnia — słaby, blady jak płótno — pojawił się w sklepie nieco spóźniony, natychmiast dostał ostrą reprimendę i musiał wysłuchać długiej mowy o tym, że pomocnik powinien wcześniej chodzić spać i wcześniej wstawać. Piegowaty chłopak w żaden sposób nie potrafił utożsamić łatwo wpadającego w złość sklepikarza, którego widywał na co dzień, z dobrotliwym wujaszkiem spotykanym przy okazji rodzinnych uroczystości. Aż w końcu rozwiązał ten problem, uznając, że ma do czynienia z dwiema osobami. To rozwiązanie miało jednak tę wadę, że gdy ojciec lub matka prosili go, by następnego dnia przekazał coś stryjowi, wyrażał zgodę, ale jakaś część jego mózgu sprzeciwiała się temu i za każdym razem nieodmiennie zapominał zrobić to, co obiecał.

Tego dnia piegowaty pomocnik rozłożył na ladzie książkę z wersetami z Koranu i trzymając wzrok wbity w drzwi, a rękę zanurzoną w gablotce z prażonymi pestkami i orzechami, pogryzał solone orzeszki i wkuwał na pamięć fragmenty księgi. Gdy Musa, zupełnie nie przyzwyczajony do wstawiania o tak wczesnej porze, powłócząc nogami, wszedł do środka, 1 Baklava — rodzaj deseru z ciasta przypominającego francuskie, polanego syropem.

332

zaraz stwierdził, że nie ma tam nic do roboty, nie ma z kim pogadać. Postanowił więc tego dnia osobiście zanieść chleb lokatorom. Zrobił kilka kroków w stronę gabloty z pieczywem, gdy nagle stanął jak wryty. W polu jego widzenia znalazł się mur otaczający ogródek przy Pałacu Cukiereczek. Wskazał go pomocnikowi. Stojąc obok siebie, przeczytali napis.

— Oby tylko Meryem tego nie zobaczyła! — powiedział Musa, odsłaniając w uśmiechu popsute zęby.

— A to dlaczego? — zdziwił się piegowaty pomocnik.

Skrzywił się, gdyż nie udało mu się złapać w usta podrzuconego solonego orzeszka.

— Dlatego, że zaraz w to uwierzy!

] LOKAL NUMER 10

Madame Babcia wyjęła z reklamówek ich zawartość i otwo-

rzywszy szeroko dwuskrzydłowe drzwi, wyszła na balkon. Dach budynku naprzeciwko obsiadły mewy, wszystkie z dziobami skierowanymi w jedną stronę, jakby jednocześnie myślały o tym samym. Obserwując je, w zamyśleniu położyła rękę na szyi. Nigdy nie zdejmowała z niej dwóch naszyjników. Na końcu dłuższego dyndał klucz, na końcu krótszego — surowe oblicze Archanioła Serafina.

Stambuł to kobieta, która w ostatnich miesiącach ciąży tak przybrała na wadze, że nie wytrzyma już ani dnia dłużej. Przy każdym kroku z jej obiecującego, monstrialnie rozdętego brzucha dobiega bulgotanie wód płodowych. Stale je i sama nie wie, ile z tego jest potrzebne jej, a ile malutkiemu, lecz rosnącemu z każdym dniem delikatnemu i wiecznie nienasyconemu stworzeniu w jej brzuchu. Gdyby mogła, od razu uwolniłaby się od tego ciężaru. Ale nie może. Od lat, od stuleci tyje i tyje. Statki i łodzie, małe samochody i ciężarówki, tragarze na drżących z wysiłku nogach i karawany, których końca nie widać — całymi skrzyniami znoszą jej jedzenie. A ona je i je. Tak je i pije, że o mało nie pęknie. Gdyby niczego z tego

334
co z tak wielkim apetytem wrzucała w siebie, nie usuwała ze swego brzucha, już dawno by eksplodowała, zabijając siebie i to, co nosi w swym łonie. Na szczęście usuwa. Żyje i aby żyć, musi się stale oczyszczać. Jak człowiek wyrzuca z siebie cuchnące gazy, ścieki przyprawiające o mdłości, ekskrementy, wymiociny, flegmę, oczyszczając w ten sposób swoje zmęczone, dokuczliwe ciało. Odprowadza do śmietników ropę ze swych gnijących ran. To miasto nad miastami właśnie śmieciom — nieustannie zakopywanym w ziemi, stale palonym, mimo to wciąż piętzącym się w stosy, wywożonym daleko, jednak nie znikającym, gromadzącym się jak przyciągane magnesem — zawdzięcza to, że nadal jest w stanie się poruszać. Stambuł żyje i dlatego ciągle produkuje tak dużo śmieci, ale też produkuje ich tak dużo, bo przecież ciągle udaje mu się pozostać przy życiu.

Śmietnik nie jest zresztą ostatnim przystankiem. Życie nie kończy się w nim, zmienia tylko swą naturę i kształt. Wytryskujące poza niewidzialne mury miasta, strumienie odpadków są na śmietniskach rozkawałkowane, segregowane, palone, prasowane, zasypywane ziemią... Ale nigdy nie znikają bez śladu. Jak uciekinier, którego zżera tęsknota za opuszczonym miejscem, tak i one w końcu wracają do miasta. Przez glebę, przez wodę, z powietrzem przenikają do Stambułu, przyniesione przez śmieciarzy, poszukiwaczy, rozgrzebujących to, co morze wyrzuciło na brzeg, przez mewy...

Mewy podzielały zdanie starej kobiety. Te nie mające własnych siedzib ptaki, które powinny żywić się mięsem, lecz zamieszkawszy w Stambule, nauczyły się znajdować pożywienie w śmieciach, dawno już przestały się dziwić odwiecznemu łańcuchowi przemian, w którym z tego, co zostało wyrzucone

z życia, powstaje życie.

335

Niemal każdego ranka i niemal każdego wieczoru Madame Babcia zasiadała na swoim balkonie, z którego roztaczał się widok na brunatne wzgórze, gdzie piętrzyły się byle jak zbudowane, byle jak pomalowane domy przypominające pudełka, i wśród krzyków mew wsłuchiwała się w przynoszony przez wiatr i rozpraszany przez niego zgiełk miasta. Gdyby teraz, gdy jej życie dobiega końca, ktoś powiedział, że może wybrać miejsce na ziemi, gdzie ponownie przyjdzie na świat, ale pod zmienioną postacią, wybrałaby znowu Sztambuł, a gdyby nie mogła być człowiekiem, chciałaby się odrodzić jako mewa...

LOKAL NUMER 7

Gdy się obudziłem, zbliżało się południe. Wrzuciłem do teczki segregator, w którym trzymałem notatki do wykładów, oraz książki Kierkegaarda, o które prosiła mnie Ece, zamiast je sobie po prostu kupić, i pędem wypadłem z mieszkania. Gdy wybiegałem, sąsiadka spod ósemki właśnie wchodziła do siebie. Zmieniła uczesanie. Wolałem ją w dawnej fryzurze, ale i w tej wyglądała ładnie, bardzo ładnie! Bez słowa skinęła głową na powitanie i od razu odwróciła wzrok. Zdołałem jednak pochwycić jej spojrzenie. Wcale nie była taka płochliwa, jakby się wydawało. Ani taka obojętna... Drzwi mieszkania numer 4 na parterze były otwarte. Na progu stała ta niesympatyczna kobieta i przekazywała Meryem, co ma jej kupić. Na mój widok na jej twarzy zagościł irytujący uśmiezek:

— Słyszał pan, co się przytrafiło naszej kamienicy? Ponoć w naszym ogródku spoczywa świątobliwy mąż, a my o tym nic nie wiedzieliśmy!

Na śmierć o tym zapomniałem.

— Dlaczegożby nie? — odpowiedziałem jak gdyby nigdy nic. — Nie od dziś wiadomo, że w każdym niemal zakątku Sztambułu jest całe mnóstwo grobów z czasów bizantyjskich,

337

osmańskich — dodałem, patrząc znacząco na zegarek. — Czy wszystkie znajdują się wyłącznie w granicach istniejących obecnie cmentarzy? Oczywiście, że nie. Wiele z nich nie zostało jeszcze odkrytych. Jest rzeczą całkowicie naturalną, że w niektórych spoczywają osoby uznane przez lud za święte. Zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów, starając się poznać, czy aby sobie z niej nie żartuje. Pomędzy jej brwiami pojawiło się kilka pionowych zmarszczek zdradzających nie tyle wiek, ile irytację.

— Pan i ja jesteśmy kolegami po fachu — powiedziała.

I jakby ta konkluzja rozstrzygała dyskusję na jej korzyść, złożyła ręce na piersiach i zamilkła.

Ja też się już nie odezwałem.

Kolczaste spojrzenie Zeren Ognistej opuściło moją twarz i przeniosło się na Meryem. Mój wzrok też podążył w tę stronę. Meryem zagryzła wargi, jakby obawiała się, że wymsknie

się z nich jakieś przypadkowe słowo, i z nieprzeniknionym wyrazem twarzy przysłuchiwała się naszej rozmowie. Przez moment wydało mi się, że w jej oczach zamigotały wesole isierki. Ale zaraz po tym szorstko, jakby miała nas już dość, pożegnała się, chwyciła listę zakupów i jeszcze przede mną wyszła z budynku.

LOKAL NUMER 5

— A jakbym przez pomyłkę na niego nadepnęła? — spytała Pięcioipółlatka.

— Jak nadepniesz, diabeł cię opęta. Wykrzywią ci się nos i usta, będziesz cała powykręcana — wtrącił się Siedmioipółlatek.

— Ale ty masz wielki łeb!

Hadzi Haci zareagował od razu:

— Nie mów tak do starszego brata! Tego, kto nie szanuje starszych, nie lubi ani Pan Bóg, ani dżiny!

Pięcioipółlatka obciągnęła blad różową plisowaną spódniczkę i spuściła głowę. Po chwili kątem oka zerknęła na starszego brata i zobaczyła, że ten wciąż jej się przygląda. Ukradkiem przysunęła się do dziadka.

— Dżiny mają swojego władcę. Jest nim Belzebub. Pilnie go słuchają. Ale zdarzało się już, że bez jego wiedzy wyprawiały różne psikusy. Jest wiele odmian dżinów. Są dżiny dobre i są złe. Jak wśród ludzi są między nimi i wierni, i gjaurzy. Rozróżnia się ich trzy rodzaje: jedne wyglądają jak węże i robaki, drugie mają postać wiatru lub wody, trzecie zaś przypominają ludzi. Te są właśnie najbardziej niebezpieczne. Nie można

339
poznać, czy to dżin, czy człowiek. W nocy urządzają sobie hałaśliwe zabawy, jedzą i piją do rana. Jeżeli w nocy natraficie na taką zabawę dżinów, od razu odwróćcie głowę. Pod żadnym pozorem nie patrzcie. Gdy chcecie pójść za potrzebą, nim postawicie krok, powiedzcie bismillah! Trzeba uważać na progi. Najczęściej przesiadują właśnie na nich. Jedyny sposób na trzymanie dżinów z dala od siebie to wypowiedanie bismillah przy każdym zajęciu. Nie wypowiedzicie bismillah, zaraz skądś wyleżą i będą przeszkadzać.

Hadzi Haci podłożył sobie pod bolące plecy jedną z poduszek użytych do budowy osmana i wziął na kolana wnuczkę, która przysuwała się coraz bliżej i bliżej do dziadka, aż w końcu przywarła mu do piersi.

— Najgorsza jest Czerwona Wiedźma. Gdy dopadnie kobietę w połogu, już jej nie odpuści. Usiądzie jej na gardle okrakiem, jakby dosiadała konia, i całą noc będzie ją dusić. Będzie ją dręczyć aż do rana, a gdy zrobi się jasno, odejdzie, zostawiając biedaczkę w strasznym stanie, całą zlaną potem. Następnej nocy patrzysz, a ona znowu tu jest. Dziecko w powijkach kopie jak piłkę, podrzuca do góry.

— Ja ją pamiętam! — powiedział Siedmioipółlatek, odwra-

cając się do rodzeństwa. — Przyszła, jak oni się urodzili.
— Zawsze przychodzi. Gdyby wasza matka nie zadzieriała nosa i wezwała waszą babcię, tak by się nie stało. Nieboszczka wiedziała, jak odgonić Czerwoną Wiedźmę. Biedaczka, odeszła, nim zdążyła się nacieszyć wnukami...
Odpowiedź dziadka zaniepokoiła młodsze dzieci. Dziewczynka lekko wyduła wargi, chłopiec włożył do ust mały palec, który od ciągłego ssania robił się coraz cieńszy i cieńszy.
1 Bismillah (arab.) — W imię Boże.

340

— Musicie też uważać na Czarną Wiedźmę. Jest najokrutniejsza. Włóczy się po ulicach pod postacią starej kobiety. Sta-je na rogu i tym, którzy chcą skrócić, zadaje pytania. „Skąd idziesz? Dokąd idziesz? Kim jesteś?” Gdy spotka się Czarną Wiedźmę, należy koniecznie odpowiedzieć jej, używając słowa „czarny”. Na przykład: „Jestem z Czarnych. Przychodzę z Czarnych Wierzb”. Wtedy da wam spokój i pozwoli przejść. Czasem też pyta o drogę. Jeżeli jej nie znacie, biada wam. Wyciąga z torby kij i wali człowieka po głowie, bije go, aż ten straci przytomność.

Opowieść dziadka przerwał dzwonek telefonu. Siedmioipółlatek powolnym ruchem sięgnął po słuchawkę:

— Tak, skończyli śniadanie. Nie, nie rozrabiają. Tak, oglądają telewizję. Nie, dziadek nie opowiada bajek. Nie, nie otwierają kurków z gazem. Nie, nie robią w domu bałaganu. Nie, nie wychylają się z balkonu. Nie, nie bawią się zapalkami. Nie, nie wchodzi do sypialni. Naprawdę, nie opowiada bajek.

Matka, nim odłożyła słuchawkę, wołała się jeszcze raz upewnić:

— Jeżeli dziadek opowiada bajki, powiedz po prostu „jest zimno”, już ja zrozumie.

Siedmioipółlatek zawahał się. W jego zielonych jak morskie wodorosty oczach nagle pojawił się błysk. Na moment zaległa cisza. Gdy błysk zniknął, Siedmioipółlatek zmienił zdanie. Nie niżając głosu i nie odrywając wzroku od dziadka, Powiedział obojętnym tonem:

— Nie, mamusiu, wcale nie jest zimno. Ale dziadek znowu opowiada nam jakieś niestworzone historie.

LOKAL NUMER 7

— Pan profesor ma dziś świetny humor — powiedziała siedząca w pierwszej ławce Ece swoim najbardziej przymilnym tonem.

Jak zwykle umalowana była od stóp do głów na czarno: czarna szminka, czarny lakier do paznokci, czarne oczy podkreślone czarną kredką... Wyjąłem z teczki Chorobę na śmierć Kierkegaarda i położyłem przed nią.

— Przyszedłem na zajęcia w dobrym humorze, ale czy w takim wyjdę, zależy od was. Lektury przeczytane? — odmówiłem, zagajając utartym zwyczajem czwartkowe zajęcia.

— Przeczytaliśmy fragmenty Pochwały głupoty Erazma z Rotterdamu, w których mowa o Fortunie, i porównaliśmy je z Fortuną u Machiavellego. Na tym skończyliśmy — wyjaśniła Ece.

— No i co to za dziwadło ta Fortuna? — spytałem, starając się nie zwracać do Ece, ale do całej grupy.

— Na pewno jest kobietą — wyrwała się Ece z wyraźną satysfakcją, że udało się jej zniweczyć moje starania. — I u Machiavellego, i u Erazma Fortuna zostaje spersonifikowana i sferminizowana. A ponieważ jest kobietą, obaj uznają ją oczy-
342

wicie za coś niedobrego. Ojcowie Kościoła sądzą tak samo. I u nas też tak jest. Mówimy „ślepy los” albo „niestałe szczęście”. Czyli albo kobieta jest ślepa, a skoro ślepa, to nie wie, co komu daje, więc nie można się spodziewać, by była sprawiedliwa. Albo jest niestała. Niestala, sprzedajna, więc siłą rzeczy też nie jest sprawiedliwa. Gdy wiruje, jej spódnica tworzy krąg, stąd mówimy o kole Fortuny. Nie wiadomo kiedy, dla kogo, w którym miejscu się zatrzyma. Według Machiavellego Fortuna kontroluje połowę naszego życia. Nie mamy na to żadnego wpływu. Ale w pewnym stopniu można ją zmusić do posłuszeństwa. W końcu nasi ojcowie myśliciele są mężczyznami, muszą więc przypuszczać, że są jakieś sposoby na to, by podporządkować sobie kobietę.

— Aha, twierdzisz, że Fortuna to to samo, co nasz Los?

— skrzywił się Cem, zupełnie nie krępując się przyznać, że niczego nie przeczytał.

Przez następne dziesięć, piętnaście minut dyskutowali o „naszym Losie”, przerywając sobie nawzajem.

— Moim zdaniem obrzucanie Machiavellego jajami z pozycji feministycznych to tani chwyt — powiedziała okularnica o kręconych włosach, której imienia nie mogłem spamiętać. Nie znosiła Ece, ale na każdym zajęciach zawsze siadała za nią. — Czy wydaje ci się na przykład, że przeżywasz życie według wcześniej nakreślonego planu? Twoje życie zostało określone a priori? To jest pytanie. Facet, zajmując się przeznaczeniem, w gruncie rzeczy rozprawia się z religią. Bez uwolnienia się od Fortuny, bez zapanowania nad nią nie byłoby możliwe oświecenie, postęp.

Ece wyprężyła się nerwowo, zakładając nogę na nogę. Zawsze tak robi. Wie, że są zgrabne. Do tej pory nie słyszałem, aby plotki o romansach ze studentkami w znaczącym stopniu zaszkodziły karierze któregoś z moich kolegów po fachu. Je-
343

żeli któryś był z tego powodu atakowany, to zapewne byłby atakowany i tak. To, że nie wykorzystałem zainteresowania Ece moją osobą, nie wynikało więc z obaw, że dotrze to do uszu moich kolegów. W takich wypadkach problem stanowi nie reakcja pracowników naukowych, ale samych studentów. Nawet nie to, co sobie pomyślą, ale to, co powiedzą. Na pewno

będą o tym mówić. Absolutnie, nigdy, w żadnym razie nie będą trzymać języka za zębami. Każde z nich ma bliskiego kolegę lub koleżankę, a główną cechą powiernika jest to, że ma on swoich powierników, i w ten sposób tworzy się cały ich łańcuch. I czar pryska! Oddalony obiekt zainteresowania, szanowany nauczyciel, z którego zdaniem należy się liczyć, w jednej chwili zamienia się w zwykłego śmiertelnika i jego słabostki, wariactwa, głupstwa, jakie plecie, doznane upokorzenia, kompleksy stają się wszystkim dokładnie znane. Związek z młodą dziewczyną może mężczyźnie wchodzącemu w wiek średni przysporzyć nieco poważania — to tak mile łechce ego! — jest to jednak poważanie nietrwałe, chwiejne, które w każdej chwili może zniknąć. Listy, wyznania, ujawnione sekrety mogą ci kiedyś przysporzyć kłopotów. Twoja potencja seksualna stanie się przedmiotem rozmów i żartów. Nie wydaje mi się, by którakolwiek ze znanych mi studentek była tego warta. Nawet Ece.

— Najlepszym wyjściem jest jak najszybciej przyznać, że nie jest się w stanie kontrolować własnego życia. Można obarczyć mnie odpowiedzialnością za to, co zrobiłam, ale nie mogę odpowiadać za skutki moich działań — powiedziała Ece, patrząc mi prosto w oczy i wzruszając ramionami. — Od urodzenia jestem córką tego człowieka, a nie innego. Nie wybieram ani ojca, ani narodowości, ani religii, ani języka... Gdyby ktoś spytał mnie o zdanie, może wołałabym urodzić się gdzie indziej. Do tego wszystko się sprowadza. Gdybyś ty przyszła

344

na świat gdzie indziej, nie miałabyś chustki na głowie, tylko krzyżyk na szyi — dodała, patrząc się do tyłu. Trudno było stwierdzić, do której konkretnie z trzech dziewczyn w chustkach się zwraca.

— Ja tam wierzę w przeznaczenie — powiedziała jedna z tej trójki, Seda.

— Ależ to nie tak! — przerwała jej Ece. — Ty wierzysz w wyższą sprawiedliwość. Teraz jest tak, jak jest, ale potem wszystko zostanie rozliczone, źli zostaną ukarani w piekle, dobrzy otrzymają należną nagrodę w niebie. W twoim umyśle tkwi głębokie przekonanie o sprawiedliwości, musi tam tkwić, inaczej straciłabyś wiarę. Fortuna jest tego przeciwieństwem. To nie jest coś boskiego, przeciwnie, to coś całkowicie ziemskiego.

— Nie rozumiem, coście się tak uczepliły tej Fortuny? — odezwał się z irytacją Cem, który odsunął krzesło pod ścianę, jakby zamierzał za chwilę wyskoczyć przez okno. — Problemem nie jest Fortuna, lecz różnica między linią prostą a okręgiem. Jeżeli uważasz, że poruszasz się wzdłuż prostej, wydaje ci się, że dokądsz zmierzasz i zostawiasz coś za sobą. Ale jeżeli życie jest dla ciebie okręgiem, nie ma o tym mowy. Akceptujesz powtarzalność czy nie akceptujesz — do tego sprowadza się problem. Ktoś taki jak Machiavelli nie może się pogodzić

z powtórzeniami. A co to znaczy pogodzić się z powtórzeniami? To oznacza, że życie będziesz przeżywać raz jeszcze. Jutro nie będzie bardzo się różnić od dziś. Dochodzimy do Pytania, które Nietzsche zadał Rousseau. Gdyby w momencie, gdy odczuwasz ogromną samotność, wyskoczył z piekła mały, malutki diabełek, stanął przed tobą i powiedział: „Nie bój się gwarantuję ci, że nie ma śmierci. Są tylko powtórzenia. Wszystko, co teraz przeżywasz, przeżyjesz ponownie. Dokładnie takie samo. A potem jeszcze raz i jeszcze. I tak przez całą

345
wieczność” — to co będziesz wówczas czuła? Ilu z nas wytrzyma ponowne przeżywanie tego samego? Ci, którzy zdolni są wytrzymać kaprysy Fortuny, nigdy nie wpadną w obłęd. I tyle. Aby znieść życie, ktoś taki jak Machiavelli musi przerwać okrąg i zamienić go w linię prostą. Stąd rodzi się idea postępu, indywidualizm.

Popatrzyłem na zegarek, do końca zajęć zostało pięć minut. — Po raz kolejny wprowadziliście mnie w podziw umiejętnością zbaczania z tematu — powiedziałem, ogłaszając przerwę i wyjmując paczkę papierosów. — Za tydzień przychodzicie z kompletem przeczytanych lektur i rozmawiamy wyłącznie o tym, co przeczytaliście. Żadnych niczym nie popartych tez. Podczas trzeciej godziny powstrzymali się od komentarzy, zadowolając się wyłącznie słuchaniem. Gdy wszyscy pilnie notowali, Cem ze znużeniem wyglądał przez okno, Ece na moich oczach zjadła pół tabliczki czekolady z migdałami. Odrobina czekolady, jak kokieterijna muszka, przylepiła się jej nad wargą.

LOKAL NUMER 5

— Mamo, czemu idziemy z tobą? — marudziła Pięcioipółlatka.
— O co wam chodzi? Nie chcecie zobaczyć, gdzie wasza mama pracuje? — spytała synowa, zmuszając dzieci, które trzymała mocno za ręce, do szybszego przebierania nogami. Co prawda nie miała pojęcia, jak zapanuje nad nimi przez cały dzień w kasie i bała się, że szef się zdenerwuje, ale po porannej dyskusji z teściem, wynikłej z uzyskanych poprzedniego dnia informacji, była zbyt zdenerwowana, by myśleć logicznie. Dochodząc do wylotu ulicy Żurnalowej, obejrzała się za siebie. Siedmioipółlatek podążał za nimi w odległości dwóch metrów. Narażony był na ciekawskie spojrzenia przechodniów, ale wydawał się w najwyższym stopniu zadowolony z możliwości opuszczenia po raz pierwszy od dwóch lat murów Pałacu Cukiereczek. Oswojony już żal, jaki przywykła odczuwać, patrząc na niego, pozwolił jej stłumić nękający ją w tej chwili nieokreślony niepokój. Miała świadomość, że z całej trójki z tym dzieckiem jest jej pisane spędzić najmniej czasu, ale jednocześnie to do niego była najmocniej przywiązana. Dzieci chore od urodzenia, w przeciwieństwie do swego rodzeństwa czy zdrowych rówieśni-

ków, należą wyłącznie do swoich matek i takimi na zawsze pozostaną.

Na rogu dała znak starszemu synowi, by się pospieszył.

I wtedy sucha, pomarszczona dłoń dotknęła jej ramienia.

— Moje dziecko, czy wiesz, jak dojść pod ten adres? —

Zgięta wpół staruszka w obszarpanym groszkowozielonym płaszczu podsunęła jej pognieciony karteluszek.

Synowa, nie dostrzegając przerażenia, jakie wypełzło na twarze dzieci, puściła ich ręce, wzięła karteczkę i zaczęła czytać. Nie mogąc jednak rozszyfrować widniejących na niej grymołów, pokręciła głową i oddała skrawek papieru staruszce.

— Mamo, nie wiedziaałaś! — zapiszczała Pięcioipółlatka.

Łzy skapywały jej z policzków.

Sześcioipółlatek był w niewiele lepszym stanie. Włożył do ust oba kciuki naraz i zawzięcie je ssał, powtarzając jednocześnie:

— Wiedziałaś? Wiedziałaś?

Siedmioipółlatek podszedł do nich i od razu zorientował się w sytuacji.

— Nie wiedziała! — stwierdził.

Na te słowa pozostała dwójka zaczęła jeszcze głośniejsz płakać i wierzgać nogami.

— Czego nie wiedziałam? — wyjąkała synowa, której język plątał się ze zdziwienia. Patrzyła to na dzieci, to na staruszkę, ale w odpowiedzi usłyszała tylko szloch i intensywne mlaskanie towarzyszące ssaniu palców.

LOKAL NUMER 7

W knajpie tłoczno, jak to bywa w piątek wieczór. Z trudem udało mi się znaleźć stolik. Przysiadłem przy nim i zamówiłem na początek podwójną raki. Chcąc nie chcąc po niej zamówiłem drugą. Dopiero przy trzeciej pojawiła się wreszcie ta zdzira. Wyszczierzona od ucha do ucha. Stała w korku. Ale tę informację podała bynajmniej nie jako usprawiedliwienie spóźnienia, lecz szczegół niezbędny do zdania mi relacji z meczu, którego transmisji wysłuchała do spółki z kierowcą taksówki, kibicem tej samej drużyny, wolno poruszającej się w sznurze samochodów. Druga połowa rozpoczęła się z wynikiem 2:0 dla przeciwnika, mimo to zdołali wygrać 2:3. Nie dostrzegając na jej twarzy najmniejszej oznaki przejęcia się Pięćdziesięciminutowym spóźnieniem, też pomiąłem tę kwestię milczeniem. Nie mogę powiedzieć, że głęboka, wielokrotnie testowana przez specjalistów wiedza Ethel na temat piłki nożnej, jej nie kończące się rozmowy z taksówkarzami, wykazywana przy każdej wizycie w restauracji zdolność do zamieniania zwykłej sytuacji składania zamówienia w przyjacielską pogawędkę z kelnerami, których imiona, drzewa genealogiczne i trapiące ich zgryzoty potrafiła poznać i zapamiętać

mm349
w dziesięć minut od wejścia, zawsze, wszędzie i przy każdej

okazji manifestacyjnie demonstrowana negacja kobiecości nie robiły na mnie wrażenia. Od początku tak było. Serdeczna, sięgająca jeszcze czasów licealnych przyjaźń Ethel i Ayszin była w istocie związkiem tezy i antytezy. Dynamiczna istota ich relacji ujawniła się z całą złożonością w chwili, gdy wszedłem między nie. Gdyby Ayszin lubiła piłkę nożną i choćby nawet ot tak sobie kibicowała którejś drużynie, wątpię, by namiętność Ethel do futbolu osiągnęła takie rozmiary.

— Znalazłem ostateczne rozwiązanie problemu śmieci w Pałacu Cukierek — oświadczyłem, napełniając szklanę. I opowiedziałem jej o napisie, który wymalowałem na murku. Najwyraźniej nie spodziewała się po mnie tak absurdalnego pomysłu, bo najpierw zaniemówiła, a potem kazała sobie wszystko jeszcze raz zrelacjonować i co chwila wybuchała śmiechem. Ja sam również zacząłem dostrzegać komizm tej historii. Gdy opisywałem swój stan, kiedy bladym świtem, z pędzlem i puszką farby stałem przed ścianą, zwijała się ze śmiechu. Albo tego wieczoru wyjątkowo szybko się nawaliła, albo przysłała już w stanie wskazującym. Wyszliśmy koło pierwszej. Ethel pożegnała się z każdym kelnerem uściskiem dłoni. Stosownie do tego, czego zdążyła się o nich dowiedzieć, nie omieszkała przekazać pozdrowień dla rodziny i wygłosić krótkich pożegnalnych przemówień, mających dodać im otuchy w związku z dręczącymi ich problemami. Na zewnątrz lekka bryza przyniosła nam nieco otrzeźwienia. Wtedy Ethel zaczęła nalegać, bym pokazał jej napis.

Wskoczyliśmy do taksówki. Atak śmiechu Ethel, który zaczął się w restauracji, a przybrał na sile, gdy szliśmy ulicą, w taksówce rozszalał się z wściekłością huraganu. Zaśmiewając się do rozpuku, starała się rozpiąć mi guziki rozporoka.

350

Nie mogąc jej powstrzymać, przestałem stawiać opór. I gdy mnie tak ukradkiem miętosiła, ja obserwowałem kierowcę. Wyglądał jak dzieciak — jeszcze zbyt młody, by dostać prawo jazdy. Jego pozbawiona zarostu twarz nie zdradzała niczego, nie byłem więc pewien, czy nas widzi. W tym momencie Ethel osiągnęła swój cel i rozpiąwszy trzeci guzik, zdołała wsunąć rękę w moje spodnie. Przełożyłem marynarkę przez ramię, robiąc z niej parawan, ale nagle wydałem zduszony okrzyk bólu. Zawsze nienawidziłem tych jej długich pazurów. W tej samej chwili po wyraźnym uśmieszku, jaki pojawił się na jego twarzy, poznałem, że taksówkarz doskonale wie, co się dzieje. Zdecydowanym ruchem złapałem Ethel za rękę i z trudem oderwałem jej szpony od siebie. Rozzłościła się. Klnąc i złorzecząc, zapaliła papierosa. Siedzący z bliska nasze przepychanki taksówkarz wtrącił się we właściwym momencie i zapytał, dokąd chcemy jechać. Ethel, zaciągając się papierosem w jaśminowej cygarniczce i wydychając jedno po drugim kółka dymu prosto pod sufit auta, odpowiedziała radośnie:

— Jedziemy do Świętego Cukiereczka. Patrona złamanych serc, porzuconych kochanków i wykolejeńców wszelkiego autoramentu!

Gdy taksówkarz, który wcale nie był tak młody, jak mi się wydawało, zaczął zerkać w lusterku to na mnie, to na Ethel, starając się określić, na ile sytuacja może stać się poważna, wyjaśniłem mu, dokąd ma jechać. Ale Ethel nie dała za wygraną. Poczęstowała go papierosem i zasypała gradem pytań: skąd pochodzi, czy wierzy w świątobliwych mężów, czy jest żonaty, jeżeli w przyszłości będzie miał córkę, do jakiego poziomu zamierza ją kształcić, czy gdyby się dowiedział, że jego syn jest gejem, wyrzekłby się go, której drużynie piłki nożnej kibicuje. Jak na złość oboje kibicowali tej samej.

351

— Kiedyś do taksówki wsiadło mi dwoje świrów nie gorszych od was — powiedział, wykorzystując przerwę w zalewie pytań.

Ethel, krztusząc się, jakby w gardle utkwiała jej ość, zaczęła znowu rechotać.

— Dopiero niedawno zacząłem pracować na nocną zmianę, nie znałem jeszcze nocnych klientów. Ledwie wsiedli, jak nie zaczęną się kłócić. Sądny dzień! Kobieta wrzeszczy jak opętana, facet wcale nie próbuje jej ułagodzić, tylko dokłada swoje. Bluzgają, że wstyd słuchać. Ale widać, że się kochają. Facet ma wyjechać za granicę do pracy. Kobieta nie wierzy, że wróci. „Pojedziesz i tyle cię widziałam” — mówi i zalewa się łzami. Od czasu do czasu złość ją ogarnia i tłucze faceta gdzie popadnie. Istny cyrk! W końcu dojeżdżamy pod wskazany adres. Kobieta ma tam wysiąść, a facet jechać dalej. A tu ona nie chce wyjść z taksówki. Upiera się, byśmy jechali do derwisza Srebrne Nici. Trzymała się kurczowo przedniego fotela, zaklinając się na Boga, że nie wysiadzie, jeśli nie pojedziemy do grobu tego derwisza. W końcu przekonała faceta. Ten grób jest na takim zadupiu, że ptaki zawracają. Czy pojedę tam w nocy? Nie pojedę, muszę zdać wóz. Zresztą wtedy absolutnie nie chciałem pracować w nocy. Dopiero potem jakoś zmieniłem zdanie. A oni nie wysiadają, nie biorą innej taksówki, a do tego proponują mi podwójną stawkę. Gadu-gadu, pojedziesz, nie pojedziesz, w końcu wdepnąłem gaz, pojechaliśmy w nocy do derwisza Srebrne Nici. Kobieta wysiadła. Otworzyła torebkę, czegoś w niej szuka. Zniknęła w ciemności. Ja i ten facet czekamy w taksówce. Minęło jakieś dziesięć minut, kobieta wraca cała we łzach. Mówi do faceta: „Pochyl głowę!”- Facet się pochylił, a kobieta jak go z całej siły nie szarpnie za włosy- Cały pęk włosów mu wyrwała, zamiast kulturalnie pociągnąć za jeden. Facet z bólu niemal się na nią rzucił! I znowu na sie-

352

bie naskoczyli. W końcu kobieta zabrała włosy, wytrzaśniętym skądś gałgankiem przywiązała je do gałęzi drzewa, pomodliła się, pochuchała, przysiadła, wstała. My cały czas czekamy.

Odpuściliśmy, niech robi, co chce. W końcu wróciła, jakby nieco spokojniejsza. Powiedziała: „Następnym razem przyjadę do derwisza Srebrne Nici w welonie ozdobionym srebrnymi niciami”¹. Facet zmiękł. Objęli się. Wzięli ode mnie numer telefonu, żeby zaprosić mnie na swój ślub.

— Pobrali się, a potem na pewno poderżnęli sobie nawzajem gardła — burknęła Ethel, wysuwając głowę w stronę fotela kierowcy, a jednocześnie wolną prawą ręką ponownie atakując mój rozporek.

— Skądże, paniusiu, jeszcze gorzej! — powiedział taksówkarz, kręcąc głową z mądrą miną. — Dwa lata później, było to zimą, śnieżyca jak cholera, nic nie widać, choć oko wykol, ten sam facet wsiada do mojej taksówki! Tym razem też jest z nim kobieta, ale inna. Nie wiem, czy była to żona, czy kochanka. Widać, że to para. Od razu go rozpoznałem, on mnie też. Obu nam zrobiło się jakoś głupio. Ja nie patrzyłem na niego, on na mnie. Babka, która z nim była, nie skapnęła się. Coś tam gadała i gadała, ale facet w ogóle tego nie słuchał. Ujechaliśmy może z dziesięć metrów, aż facet nie wytrzymał. Kazał mi stanąć i wyskoczył z wozu. Kobieta, kompletnie osłupiała, poleciała za nim.

Ethel założyła ramiona na piersi i westchnęła boleśnie, żebym to ja wiedział, kiedy i dlaczego ta dzidzia czuje się dotknięta. Zapadła krępująca cisza. Nikt słowem się nie odezwał, aż taksówka skręciła w ulicę Żurnalową. Ale gdy zatrzymaliśmy się przed Pałacem Cukiereczek, Ethel wrócił dobry humor wypadła z taksówki jak wystrzelona z procy. Uparła się, by

1

element tradycyjnego stroju panny młodej.

353

taksówkarz także wysiadł. O wpół do drugiej w nocy wszyscy troje stanęliśmy przed murem jak warta honorowa i w milczeniu podziwialiśmy napis:

POD TYM MURKIEM

ZNAJDUJE SIĘ GRÓB ŚWIĘTEGO.

NIE WYRZUCAĆ ŚMIECI!

— I jak wyszło? — spytałem taksówkarza.

— Fajnie, tylko trochę krzywo — odpowiedział. Po wyrazie jego twarzy nie mogłem poznać, czy żartuje, czy mówi serio.

— Nie udało mi się dobrać koloru.

Ethel, zgiąwszy się wpół, jakby zaraz miała się zrzygać, dostała kolejnego ataku śmiechu. Nie panowała nad sobą, zaśmiewała się, podrygując, aż z oczu popłynęły jej łzy. Narobiła takiego hałasu, że w oknach kilku mieszkań pojawiło się światło. Taksówkarz popychał ją z jednej strony, ja z drugiej i w ten sposób udało się nam zapakować tę dziwkę do samochodu. Podczas drogi rechot zaczął tracić na intensywności, a jego miejsce zajął szloch. Dawno nie widziałem jej w takiej rozsypce. Gdy dojechaliśmy na miejsce, położyłem ją do łóżka. Nie miałem ochoty z nią zostać. I tak odpłynęła od razu,

gdy tylko jej głowa dotknęła poduszki. Taksówka czekała na dole. W drodze powrotnej usiadłem obok kierowcy. Taksometr wskazywał sporą sumę. Od rozwodu połowa mojej pensji szła na czynsz, a druga połowa — na wieczory z flaszką. Pczęsto-
wałem taksówkarza papierosem. Wziął, przypalił, najpierw mnie, potem sobie. Gdy pijana kobieta wysiadła z samochodu, pustkę po niej wypełniła przyjazna cisza.

— Przepraszam — powiedziałem. — Narobiliśmy ci kłopotu
— Ależ nie szkodzi! Żeby to człowiek miał tylko takie kłopoty w życiu!

354

Gdy zatrzymaliśmy się na czerwonym świetle na skrzyżowaniu, ogarnął mnie niepokój. Z dużą prędkością minął nas policyjny radiowóz. Przed nami dostrzegłem wolno jadącą śmieciarkę. Jej tyłu uczepliło się dwóch śmieciarzy. Obaj wysokiego wzrostu, twarzami zwróceni do siebie. Wisieli na jednej ręce, drugą, obleczoną w rękawicę, spuścili swobodnie. Gdy wjechali pod jedną z ulicznych latarni, ta oświetliła ich twarze. W milczeniu spoglądali na siebie i uśmiechali się — albo tak mi się tylko wydawało. Więcej pojazdów nie było. Zapaliło się zielone światło i zrozumiałem, że nie zdołam pokonać niepokojów. Powiedziałem taksówkarzowi, by pojechał w przeciwnym kierunku. Dziesięć minut później znaleźliśmy się pod domem Ayszin. Kazałem kierowcy się zatrzymać. Nie wysiadłem jednak. Zastony były zaciągnięte, światła poga-szone. Gdy tak przyglądałem się mojemu dawnemu domowi, taksówkarz bez słowa cierpliwie czekał.

W drodze powrotnej włączyliśmy radio. Podobała mi się każda słyszana piosenka. Gdy na taksometrze pojawiło się kolejne zero, dotarłem w końcu do Pałacu Cukiereczek. Poczuliśmy potrzebę spojrzenia jeszcze raz na napis na murze. Przy zapalonych reflektorach wystawiliśmy głowy przez okna samochodu — on z lewej, ja z prawej strony.

— Bracie, ale jak ktoś w to uwierzy, to co wtedy? — zapytał taksówkarz, wydając mi resztę.

— No coś ty! — zaśmiałem się. — To nawet lepiej. Niech uwierzą. Niech uwierzą, to może przestaną tu wyrzucać śmieci.
~~ W porządku, ale... — nerwowym ruchem potarł palcami górną wargę, jakby chciał pociągnąć za niewidzialny wąs.
~~ Ludzie są dziwni. Zwłaszcza kobiety. Co będzie, jak ktoś naprawdę w to uwierzy?

LOKAL NUMER 1

Wiara, jak rozkład jazdy, jest w gruncie rzeczy kwestią zgrania w czasie. Wielki zegar z okrągłą tarczą w kolorze kości słoniowej, wiszący na ścianie dworca, bije o różnych porach ludzkiego życia. Pociągi kursują o wskazanych przez niego godzinach. Przed południem odjeżdża tylko jeden — wsiadają do niego ci, którzy zaczęli wierzyć w dzieciństwo. Popołudniowy skład zabiera niespokojnych podróżnych w wieku dojrzałym. Potem aż do wieczoru nie ma żadnych kursów. Wtedy, o godzinie,

w której w życiu człowieka pojawia się poczucie winy, gdy okazuje się, że nie da się już wyrównać szkód wyrządzonych przez występki, gdy mocne mury schronienia rozsypują się w proch, gdy zdrowie zaczyna szwankować, wtedy pociąg odjeżdża po raz trzeci. Podróżni wsiadają do niego w pośpiechu, w ostatniej chwili. I jeszcze tuż przed północą, po ciężkich operacjach lub o włos od śmierci, odjeżdżają dwa pociągowe są najbardziej zatłoczone. Nie zatrzymując się na żadnej stacji, ekspresy orędownictwa pędzą prosto do Boga. W przeciwieństwie do podróżujących wieczorem nocni posiadacze biletu, aby nie spóźnić się na pociąg, na wszelki wypadek wcześniej zajmują miejsca na peronie. A gdy wybije północ

356

gdy wskazówki zegara znajdują się w punkcie wyjścia, z tłumu wypełniającego dworzec pozostaje zaledwie kilka osób pozbawionych wiary.

Meryem zaliczała się do podróżujących porannym pociągiem. Z tego powodu jej wiara była bardziej niż u innych irracjonalna. Irracjonalna i odległa od oficjalnej nauki. Trudno powiedzieć, czy gdyby napis na murze pojawił się w czasie, gdy nie była w ciąży — bo ciąża czyniła z niej osobę nieco dziwną — zachowałaby się tak samo, ale tego dnia wcześniej rano zeszła do ogródka, by nabrać do słoika nieco ziemi z grobu bezimiennego świątobliwego męża, której poszukiwała już od dawna. Nie była całkowicie przekonana, czy rzeczywiście ktoś tu spoczywa, ale skoro profesor z uniwersytetu powiedział, że pod domami i ulicami Stambułu aż roi się od grobów, nie wiadomo, gdzie co się trafi. Gdyby za napisem faktycznie nic się nie kryło, to po prostu nabierze zwykłej ziemi do słoika i tyle. Ale jeżeli przed Pałacem Cukierczek pod drzewem jedwabnym rzeczywiście spoczywa świątobliwy mąż, chciała go prosić o jedno: by zesłał Muhammetowi choć trochę odwagi.

LOKAL NUMER 2

Gdy zadzwonił dzwonek, Sidar pobiegł do drzwi z nadzieją, że to Muhammet znowu przynosi coś do jedzenia. Ale gdy je otworzył, nie zobaczył za nimi małego posłańca Madame Babcy, ale tamtą zwariowaną dziewczynę o miedzianych włosach. Osłupiał, bo albo dziewczyna tak się zmieniła od ich ostatniego spotkania, albo zapamiętał ją zupełnie inną. Jej oczy jednak nadal były piękne. Nie czekając, aż ją zaprosi, z uśmiechem weszła do środka. Znużonym krokiem podeszła do kanapy, ale zanim się na niej ułożyła, poprosiła pana domu, w osłupieniu wciąż sterczącego jak kolek, o coś do picia. Drapiąc się po głowie, Sidar poszedł do kuchni. Wyjął z szafki jedyną torebkę kawy instant, w jedynym czajniku zagotował wodę i wlał ją do jedynego w domu kubka.

— Ty się nie napijesz? — spytała dziewczyna.

— Potem — powiedział Sidar, wzruszając ramionami.

— I tak mam tylko jeden kubek.

Dziewczyna wyjęła z plecaka trzy wafelki z orzechami-

Gaba nagle poruszył się, unosząc wilgotny nos. Nie wyłaził jednak z kąta, w który wcisnął się na widok dziewczyny — Jak się wabi? — znowu spytała dziewczyna.

358

— Gaba — wyjaśnił Sidar, starając się sobie przypomnieć, czy poprzednim razem już o tym nie mówił.

— Czy to coś znaczy?

— Gaba to skrót nazwy kwasu gammaaminomasłowego, neuroprzekaźnika o działaniu hamującym. Jest związany z ośrodkiem lęku w mózgu. Leki przeciwpadaczkowe, uspokajające i oczywiście alkohol spowalniają działanie receptorów GABA. Odczuwasz wtedy mniejszy lęk.

— Ale fajnie, mówisz pewnie po niemiecku, jakby to był twój ojczysty język, nie? Ile lat byłeś za granicą? — spytała dziewczyna, wyciągając się na wznak na kanapie. Na widok sufitu oczy rozszerzyły się jej z wrażenia.

— Po francusku — poprawił ją Sidar ze zniecierpliwieniem.

Najwidoczniej nic nie zapamiętała z tego, co mówił jej poprzednio. Po co w takim razie zadawała wtedy te pytania? I po jaką cholere znów je zadaje? W dodatku zaraz zaśnie. Oczy się jej zamkną już przy drugiej, góra trzeciej odpowiedzi. Więc po co wypytuje o to wszystko, skoro wie, że wysłucha tylko połowy, że niezależnie od tego, ile w tym ograniczonym czasie zbierze urywków informacji, i tak nie zdoła połączyć ich w całość? Pragnienie poznania drugiego człowieka to pusta obietnica i ogromny ciężar! Wymaga słuchania i obserwowania przez całe dni, noce, tygodnie, lata! Przetrzęsania i wczuwania się, rozbierania na kawałki i składania do kupy, umiejętności wydobywania ze skorupy i znoszenia widoku krwi sączącej się spod niej, a czasem tryskającej jak fontanna... Jeżeli nie jest się gotowym na tyle trudu, lepiej zrezygnować od razu, już na początku drogi.

Nie jestem nieoszacowanym skarbem zamkniętym w skrzyni i czekającym, aż ktoś wydobędzie mnie na światło dzienne. Odpowiedź na każde dotyczące mnie pytanie jest

359

w mniejszej lub większej części ukryta w tobie. Nie chcę, byś próbowała mnie odkryć ani byś uważała, że mnie odkryłaś. Wcale nie musimy poznawać siebie nawzajem, skoro nie znamy ani odrobinę samych siebie. Informacje, jakie zdobywamy o innych, przypominają resztki jedzenia wyciągnięte ze śmietnika. Skoro nie możemy poznać ich smaku, po co je trzymać, bygniły i cuchnęły w naszym mózgu?"

Rozmyślania Sidara przerwały urywane chrapnięcia. Dziewczyna zasnęła z otwartymi ustami. Ostatni raz zaciągnąwszy się przygotowanym tego ranka skretem, Sidar ułożył się skulony na kanapie obok swego gościa. Gaba, który z niepokojem obserwował z ukrycia wydarzenia, pojął w końcu, że nikt nie ma zamiaru się nim interesować. Przestał więc zajmować się

ceglastoczerwonym owadem zerkającym ze szpary w ścianie i ostrożnie wyszedł ze swojego kąta. Rozerwał folię i jednym kłapnięciem szczęk pochłonał orzechowe wafelki. Oblizując się, wlaź na kanapę i legł na niej także zwinięty w kłębek. Światła samochodów przejeżdżających ulicą wpadały przez wąskie okienko i ożywiały rozedrgane cienie na ścianach. Cała trójka spała i śniła trzy zupełnie różne sny.

LOKAL NUMER 8

Błękitna Kochanka, przeszedłszy dziesiątki razy z salonu do kuchni i z powrotem, rzuciła podekscytowana ostatnie spojrzenie na stół. Wszystko było gotowe. Zapaliła pływającą w szklanej wazie świeczkę w kształcie nenufaru. Przy błękitnych talerzach ułożyła błękitne serwetki. Umówili się na siódmą. Za dziesięć siódma rozległ się dzwonek u drzwi. — Witaj — powiedziała. Włożyła pantofle na wysokich obcasach, mimo to przez moment miała ochotę wspiąć się na palce. — Zawsze przychodzisz przed czasem?

— Staralem się spóźnić, ale okazało się, że z mojego piętra na twoje są ledwie trzy kroki — odpowiedziałem z uśmiechem.

— Masz długie nogi. Ja musiałabym zapewne zrobić cztery ~ powiedziała, ale nim dokończyła zdanie, zarumieniła się, jakby zrobiła jakąś nieprzyzwoitą aluzję.

Staliśmy w drzwiach, zakłopotani jak para ludzi, którzy od dawna przyglądali się sobie z pożądaniem i ze zdziwieniem odkryli, że ich pragnienia mogą się spełnić szybciej i łatwiej, niż Mogliby przypuszczać. Choć do tej pory spotykaliśmy się jedynie na moment na schodach i w przelocie wymienialiśmy parę zdawkowych słów, dawno już zauważyłem, że się jej po-

361
dobam. Jej twarz nie potrafiła zachować tajemnicy. Mimo to nie spodziewałem się, że to nastąpi tak szybko. I tak łatwo... Ująłem jej twarz w dłonie i zanim ją pocałowałem, dotknąłem malusieńkiego niebieskiego kolczyka w nosie. Cofnęła się i starając się kontynuować rozmowę nie od miejsca, gdzie się pocałowaliśmy, lecz od miejsca, w którym ją przerwaliśmy, powiedziała:

— Przygotowałam kurę po czerkiesku. Mam nadzieję, że lubisz.

Gdy tylko przestąpiłem próg, zaciągnąłem ją, omijając po drodze stół, do sypialni. Pary, które od początku wiedzą, że nie będą mieć wspólnej przyszłości, są mniej powściągliwe w łóżku. Ale gdy późno w nocy zasiedliśmy wreszcie do stołu, ogarnęło nas przekonanie, że łączy nas przeszłość. Jakbyśmy od dawna byli razem, razem mieszkali... I myślę, że to wrażenie w głębi ducha podobało się nam obojgu. Bo jakkolwiek na to spojrzeć, mężczyzna porzucony przez żonę i nieszczęśliwa w związku z mężem innej kobiety kochanka mają te same potrzeby: pragną przekonać się, że rozczarowania nie wynikają z nich samych i że mogą osiągnąć powodzenie w związku z kimś innym.

LOKAL NUMER 1

Schody przed wejściem do szkoły składały się z siedemnastu stopni. Muhammet, odliczając na głos, stanął na szesnastym i z wątlą nadzieją obejrzał się za siebie. Cud, którego się spodziewał, nie nastąpił. Matka wciąż stała w tym samym miejscu, opierając się całym ciężarem zaokrąglonego brzucha o furtkę, i patrzyła za nim z poruszającym smutkiem kogoś, kto żegna w porcie odpływającą statkiem ukochaną osobę. Gdy dostrzegła, że Muhammet odwrócił się i patrzy na nią, jej twarz rozjaśnił uśmiech złożony w równych częściach z czułości, współczucia i dumy. Podniosła obie ręce, jakby wykonywała jakieś zabawne ćwiczenie gimnastyczne, i zaczęła nimi energicznie machać. Ktoś mógłby pomyśleć, że próbuje zwrócić na siebie uwagę syna, stojąc w tłumie gęstym jak w dzień sądu Ostatecznego. A przecież w szkole, do której uczęszczało ośmiuset czterdziestu ośmiu uczniów, była jedyną matką, która w ostatnich tygodniach drugiego semestru odprowadzała rano dziecko do szkoły i uparcie czekała przy bramce, aż rozlegnie się dzwonek. Zaczęła tak robić, gdy dowiedziała się, że Muhammet wagaruje. Odtąd roznosiła chleb i gazety z dwudziestopięciominutowym opóźnieniem. Ale z tego powodu nie

363
usłyszała jeszcze słowa skargi z ust mieszkańców kamienicy i nie spodziewała się go usłyszeć. Madame Babcia jadła jak ptaszek i nie zamawiała w ogóle pieczywa, Tijen Czyścioszka kupowała wyłącznie chleb krojony, którego na pewno nikt nie dotykał, i sama spuszczała po niego na sznurku koszyk z okna¹, Błękitna Kochanka chleba nie jadła, by nie utyć, a samotny mężczyzna spod siódemki nie oczekiwał regularnej usługi, bo nigdy nie było wiadomo, o której godzinie wyjdzie z domu ani o której wróci. Sidarowi opóźnienie nie przeszkadzało, bo i tak nie miał pieniędzy, a fryzjerzy rządzą się według własnego porządku i nie kazali kupować sobie chleba. Zostawały więc tylko dwa mieszkania. A dla tych dwóch mieszkań nie zamierzała ryzykować wykształcenia syna.

Muhammet kulił się w sobie i malał, jakby przy każdym ruchu rąk matki na jego głowę spadało uderzenie potężnego młota, a gdy w końcu stanął na siedemnastym stopniu — malutki jak łebek gwoźdźca — zniknął w czarnej jak smoła czeluści drzwi szkoły. Walizeczka ze śniadaniem była ciężka, tornister na plecach jeszcze cięższy. Rozejrzał się na prawo i lewo za czymś, co mógłby kopnąć, ale niczego nie znalazł. Gdy w korytarzu rozbrzmiewały ostatnie brzęki dzwonka, wszedł do klasy i zajął swoje miejsce w ławce wśród trzydziestu dwóch pozostałych uczniów.

Wbrew jego obawom pierwsza lekcja minęła spokojnie. Kolega z ławki, od którego od początku roku szkolnego dostawał przynajmniej dwa kuksańce dziennie, odwrócił się i skupił wzrok na tablicy. Muhammet niemal z wdzięcznością popatrzył na jego plecy dwa razy szersze od swoich. Gdyby tak było

zawsze, gdyby jego kolegą nie był ten wyrośnięty chłopak, ale jedynie jego plecy... Skulił się i kryjąc za nimi, rozejrzał

1 Tradycyjny sposób robienia zakupów przez tureckie panie domu.

364
dookoła. Zza łuszczącej się szarej farby, którą zamalowano do połowy okna, by uczniowie nie wyglądali przez nie, świat puszczał do niego oko. Popatrzył na napuszoną kokardę dziewczynki stojącej przy tablicy i pomalowane na różowo spiczaste paznokcie nauczycielki, której żyły nabrzmiewały na szyi gdy krzyczała — wiedział, że z miejsca, gdzie stoi, i tak go nie dostrzeże, i to dodało mu śmiałości. Pomyślał, że wyrwana do odpowiedzi dziewczynka i nauczycielka pasują do siebie. Jeżeli dziewczyna nie będzie znała odpowiedzi i nauczycielka złapie ją za ucho długimi paznokciami, nic się nie stanie, bo uszy dziewczynki są już przekłute. Ale to chłopców częściej ciągnięto za uszy. Muhammetowi zdarzyło się to setki razy. Nie przejmował się tyle bólem, ile właśnie niebezpieczeństwem, że ucho zostanie przebite. Do szóstego roku życia nosił włosy długie jak dziewczynka, więc wolałby nie mieć teraz przekłutych uszu. Zapomniałszy o strachu, ani się spostrzegł, jak przylgnał do pleców obok — i stało się. Plecy wykonały nagły ruch, a ich miejsce zajęła czerwona jak burak, puciołowata, ponura gęba. Kolega wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu i wbił łokieć w pierś Muhammeta.

Od pójścia do szkoły każdego dnia bez wyjątku marzył, by z niej uciec. Lecz teraz, zaciskając zęby z bólu, zapragnął nie tylko stąd uciec, ale po prostu zniknąć, i to zaraz, natychmiast. Żeby tak zdarzyła się jakaś katastrofa, na przykład straszliwe trzęsienie ziemi, żeby ziemia się rozstała i ze szkoły nie pozostał kamień na kamieniu, żeby wszystko — oceny w dzienniku, pochwały, które dostała dziewczynka przy tablicy, kuksaniec od kolegi, poszturchiwania i obelgi — gdzieś znikło... Żeby to Wszystko się gdzieś rozproszyło i nigdy więcej nie zebrało do kupy... Muhammet zamknął oczy i właśnie wyobrażał sobie, Jak najgorsze katastrofy z możliwych zdarzają się w swej najstraszliwszej postaci, gdy przeraźliwe wycie syren poderwało

365

wszystkich z miejsc. Z korytarza dochodziły głosy, słyhać było trzaskanie drzwi. Nauczycielka popatrzyła na uczniów, uczniowie na nauczycielkę. Przez kilka sekund trwali nieruchomo, nie wiedząc, co się dzieje. Nagle drzwi otworzyły się z hukiem i do klasy weszła filigranowa kobieta, rzucając przenikliwe spojrzenia zza wielkich okularów. Uśmiechnęła się najpierw do nauczycielki, potem do uczniów i jakby przekazywała dobrą wiadomość, tonem będącym kwintesencją uprzejmości, oświadczyła pogodnie:

— Pani nauczycielko, drodzy uczniowie, to ćwiczenia na wypadek trzęsienia ziemi.

I ledwo skończyła, do klasy wpadło trzech niezwykle do siebie podobnych przysadzistych panów z sumiastymi wą-

sami, w kanarkowożółtych kaskach, ubranych w identyczne podkoszulki z napisem: „To nie trzęsienie ziemi zabija, lecz zaniedbanie”. Nader energicznymi ruchami wydobyli z teczek jakieś przyrządy i rozwiesili na tablicy wielkie plakaty. Zsunęto zasłony, rozpoczął się pokaz slajdów. Muhammet z zapartym tchem oglądał obrazy ożywiane przez snopy światła przecinające ciemność, pełne wirujących drobinek kurzu. Gdy pokaz się skończył i rozsunęto zasłony, filigranowa kobieta trzykrotnie klasnęła w dłonie i zaczęła wyjaśniać, na czym będą polegać ćwiczenia. W fazie pierwszej uczniowie, udając, że wszystko dookoła się trzęsie, wejdą pod ławki i osłoniwszy głowy rękami, będą spokojnie i cierpliwie czekać. W fazie drugiej zostanie przeprowadzona błyskawiczna ewakuacja z budynku. Ryknęła syrena, z trzydzieściorga dwojga uczniów trzydzieścioro dwoje, chichocząc, weszło pod ławki. Muhammet skulił się i wcisnął w wążutką lukę, którą kolega uznał za stosowne dla niego pozostawić. Po pięciu minutach razem z innymi wyszedł spod ławki i usiłował zająć miejsce w szeregu uczniów, aby w parach opuścić klasę. Niestety ko-

366
lega z ławki nie wykazał najmniejszej chęci chwycenia go za rękę, w związku z czym w żaden sposób nie udawało mu się włączyć do tego dziecięcego łańcucha. Nie upłynęło wiele czasu, gdy filigranowa kobieta dostrzegła stojącą z boku dwójkę i zawołała tryskającym radością głosem:

— Ej, wy, chodźcie tu! Właśnie potrzebujemy dwóch odważnych chłopców!

Gdy koledzy i koleżanki opuszczali salę równo jak pod sznurek, Muhammet patrzył za nimi z niepokojem. Zobaczył, że filigranowa kobieta i nauczycielka też wychodzą razem ze wszystkimi. Rozgoryczony niemożnością wzięcia udziału w zabawie i rozżłoszczony, że został połączony z kolegą z ławki, już szukał czegoś, co mógłby skopać, gdy do akcji włączyli się jednocześnie trzej wąsaci panowie. Jeden podniósł z ziemi nosze, drugi rozwinął grubą linę, trzeci zaś rozłożył koc. Potem ułożyli chłopców na noszach, jednego obok drugiego, owinęli ich kocem i ściśle obwiązali liną. Zaopatrzone w haki końce dwóch grubych lin spuszczone za okno, pozostałe przywiązano do drzwi klasy.

— Nie bójcie się! — powiedział jeden, po czym dodał ściszym głosem, jakby zdradzał im jakąś tajemnicę: — Spuścimy was na linach przez okno.

Gdy pięć minut później Muhammet odważył się otworzyć oczy, leżał na noszach wiszących szesnaście metrów nad ziemią, owinięty w śmierzący koc, ze związanymi rękami i nogami, a obok miał chłopaka, którego nie cierpiał jak mało kogo na tym świecie. Wszystkie dzieci wyszły na dziedziniec i wznosząc chórem okrzyki, obserwowały ich z dołu. Niebo było błękitne, leniwie przesuwały się po nim kłębiaste chmury- Poluzowano z dołu liny i nosze, trzęsąc się, zaczęły po nich

zjeżdżać. Zniżały się i zniżały, ale jakoś wciąż były daleko od ziemi.

367

— Pewno srasz teraz w gacie ze strachu — powiedział chłopak o twarzy jak burak, szczerząc w uśmiechu wszystkie zęby.

Leżeli tak blisko, że Muhammet poczuł zapach jego oddechu. Otworzył usta, ale nie zdążył powiedzieć, że wcale się nie boi, gdy z plaśnięciem wpadła mu do nich plwocina. Pełen obrzydzenia starał się obrócić głowę, by się jej pozbyć, pomylił jednak kierunki i zamiast splunąć w przestrzeń po swojej prawej stronie, plunął w lewo, prosto na swego wroga.

Ten zupełnie się tego nie spodziewał. Ale gdy tylko otrząsnął się z pierwszego szoku, przeszedł do kontrataku, zamieniając ślinopistolet na ślinokarabin maszynowy. Nosze w tym czasie znacznie zbliżyły się do ziemi, nikt ze zgromadzonych jednak na dole widzów nie zauważył, co się na nich dzieje.

Gdy dystans zmniejszył się do trzech i pół metra, burak wycharczał:

— Teraz dostaniesz, gnoju! Wszyscy zobaczą, jak wyłazisz z zieloną flegmą na ryju!

Muhammet w panice odwrócił twarz, ale za późno. Poczuł, jak płynna maź, która przylepiła mu się do czoła, po dwóch sekundach zaczęła spływać w kierunku nosa. Żołądek przeszedł mu do gardła. Nosze zniżyły się o kolejne pół metra. Już całkiem wyraźnie widzieli twarze stojących na dole. Dzieci owacją witały spuszcanych z nieba bohaterów. Muhammet był bliski płaczu. Starał się wmówić sobie, że maź pośrodku czoła to nie flegma, że burak tylko blefował, ale nie potrafił. Nosze zniżyły się znowu o pół metra, obłoki zawirowały. Jeżeli ziemia wspierała się na jakichś podstawach, Muhammet zapragnął, by się załamały i wszystko runęło... Nim skończył wypowiadać w myślach to życzenie, nosze tak gwałtownie zakołysały się do przodu i do tyłu, a potem znowu do przodu, że niewiele brakowało, a chłopcy by z nich wypadli. Z dołu

368

dobiegły ich krzyki. Muhammet zamknął oczy. Lina z lewej strony się zerwała i wywrócone nosze runęły na ziemię z wysokości dwóch i pół metra. Burak darł się jak opętany.

— Zabili się?! Zabili?! — krzyknęła nauczycielka o różowych paznokciach. Żyły na jej szyi nabrzmiały.

Specjaliści od trzęsienia ziemi starali się powstrzymać uczniów, którzy zbiegli się na miejsce wypadku jak głodne kury do ziarna. Gdy jeden z wąsaczy odwrócił nosze, popatrzyły na niego dwie pary okrągłych jak spodki oczu. Jedne przepełnione były bólem, drugie — strachem.

— Wujku, czy mam na czole flegmę? — spytał Muhammet, gdy udało mu się w końcu wydobyć głos, chrapliwy, bo chrapliwy, ale głos.

Blady jak śmierć instruktor pustym wzrokiem popatrzył

na niego i z tępych wyrazem twarzy pokręcił głową. Serce Muhammeta wypełniła radość. Tamten tylko blefował. Gdy rozwiązano więzy krępujące chłopców i zdjęto koc, sam dumnie wstał z noszy. Burak na tych samych noszach pojechał ze złamaną nogą do szpitala i Muhammet po raz pierwszy w życiu rozkoszował się smakiem własnej odwagi.

— Bardzo jestem ciekaw, kto namalował ten napis o świętobliwym mężu. Facet robi sobie z nas jaja albo kompletnie mu odbiło, nic z tego nie rozumiem. Ciekawe, co teraz będzie. Moja amatorka kaszy nie pojawiła się wczoraj wieczorem. Wypatruję jej z utęsknieniem. Tak się przyzwyczyłem, że codziennie przychodzi i wywala mi śmieci tuż pod nosem, że jeśli jeszcze jeden dzień się nie pojawi, zacznę za kobitą tęsknić. Zastanawiam się. A może wzięła na poważnie ten napis? Pewno wzięła, a jak! Jesteśmy przecież w Turcji. Ci z Zachodu załatwili sprawę Księżyca, sprzedają działki na Marsie, wkrótce sklonują człowieka, a my co zrobiliśmy przez ten czas? Znaleźliśmy świętego w ogródku. To nie święty mąż, tylko kwiat. Podlewany, wykiełkował spod ziemi. Ach, czemuż to, proszę pań, Unia Europejska nie chce nas przyjąć? Ale po co miałyby nas teraz przyjmować? Jak będą im potrzebni świętobliwi mężowie, to na pewno nas przyjmie! Rozległy się słabe chichoty, Cemal jednak nie przejął się tak marnym aplauzem.

— Jak Boga kocham, nie zdziwię się, jeśli w trybie pilnym zwołają zebranie mieszkańców. Zebranie w domu na-

370
szego przewodniczącego pana Haci, ze sprawą świętobliwego męża w porządku obrad. Chłopcze, popsikaj tu trochę odświeżaczem!

Ostry zapach środka na prusaki, którym poprzedniego wieczoru obficie spryskali pomieszczenie, jeszcze się nie ulotnił. Rano, gdy przyszli do zakładu, znaleźli na podłodze dziesiątki martwych owadów. Zanim pojawili się klienci, zebrali wszystkie na szufelkę i wyrzucili do pojemnika na włosy.

— Siadamy wokół okrągłego stołu w domu naszego przewodniczącego pana Haci — kontynuował opowieść Cemal. Wysypał wałki ze stojącego na ladzie wiklinowego koszyka i odwrócił go do góry dnem. — Wszyscy stawiają się w komplecie. Nawet Tijen Czyścioszka raczyła wyjść z domu. Ze skrzywioną miną siada na samym brzeżku krzesła. — Obok koszyka z wałkami postawił lakier do włosów w pojemniku ze złocistymi brzegami. — Ubogi student z sutereny też jest, a z nim ten jego ogromny pies. Oczywiście tych akurat świętobliwy mąż ani trochę nie obchodzi, przyszli na darmo wyzerkę. — W dziurki koszyka wsunął długi wąski grzebień o gęstych zębach i ustawił go pionowo. Obok niego położył gruby pomarańczowy wałek, który miał przedstawiać Gabę.

— Ach, a czymże tam częstują? — spytała zezowata blon-

dynka, która raz w tygodniu przychodziła na farbowanie odrostów i za nic nie dawała się przekonać, że nie musi robić tego tak często. Patrzyła na koszyk z zaciekawieniem, jakby spodziewała się, że zaraz wyskoczy z niego krasnoludek.

— Dajże pani spokój! — zachnął się Cemal. — Nie chodzi o odwiedzinę, tylko zebranie lokatorów.

— Ale skoro już opisujesz całą historię, chcemy poznać szczegóły — rzuciła ze swojego kąta Błękitna Kochanka.

371

— Ależ bardzo proszę — odpowiedział Cemal, nie kryjąc zadowolenia. — Synowa pana Hacı przygotowuje borek¹ ze szpinakiem. Do tego herbata. Wystarczy?

— Wystarczy, wystarczy! — zaśmiały się kobiety.

W tym samym momencie rozległ się ochryply głos osoby absolutnie przekonanej, że jest najlepiej zorientowana w całej dzielnicy, która zapewne ze względu na wykonywany od wielu lat zawód sekretarza sądu karnego przywykła przelewać na papier szczegóły najrozmaitszych ludzkich występków:

— Nie wystarczy!

Raz w miesiącu przychodziła uczesać i ufarbować sobie włosy na kolor ciemnokasztanowy. Widząc, że wszyscy jej słuchają, rozparła się w fotelu i emanując pewnością siebie, wyliczyła znane sobie fakty:

— Przede wszystkim synowa od rana do nocy pracuje w kasie kina. Nie ma czasu bawić się w wałkowanie ciasta na borek czy baklavę. A nawet gdyby miała czas, to i tak by tego nie zrobiła. Ta kobieta nie znosi swego teścia jak grzechu. Na pewno nie ruszyłaby palcem.

Marszcząc brwi, Cemal zmierzył wzrokiem swoją przemądrzałą klientkę:

— Skoro tak, to nie ma bóreka. Jest tylko sama herbata.

W porządku? Mogę wrócić do zasadniczego tematu?

— Nie ma mowy! — powiedziała Błękitna Kochanka, ze swoim najbardziej kokieteryjnym uśmiechem, zdecydowana wystawić dziś na próbę życzliwość Cemala wobec swojej osoby. — Twoja opowieść ma braki. Powiedziałeś, że student z sutereny i jego wielki pies przyszli się najeść. Teraz musisz ich wyprosić z zebrania.

1 Borek — rodzaj pasztecików z ciasta wyglądem przypominającego francuskie, złożonego z wielu cieniutko rozwałkowanych płatów.

372

Cemal ze zmarszczonymi brwiami przypatrywał się kolczastemu pomarańczowemu wałkowi i wąskiemu grzebieniowi, jakby zastanawiał się nad ich dalszym losem.

— No dobrze, poddaję się — powiedział, puszczając oko do Błękitnej Kochanki. Pobiegł do kuchni, przyniósł połowę obwarzanka kupionego po drodze do pracy i położył go na koszyku. — Nasz szanowny przewodniczący pan Hacı przed zebraniem udał się do cukierni i kupił pudełko słodkich oraz pudełko słonych herbatników. Wyłożył na półmiski paluszki

z sezamem. Pasuje? Czy wszyscy są zadowoleni?

— Tak, tak — roześmiały się kobiety, spoglądając po sobie.

Po ostateczną aprobatę wszystkie zwróciły spojrzenia w stronę Sekretarza Sądowej.

— W życiu bym nie uwierzyła, że ten sknera jest skłonny tyle wydać, ale niech tam, przyjmijmy, że tak! — powiedziała, lekko unosząc jedną z wydepilowanych brwi.

Poklask klientek sprawił, że Cemal dał się ponieść pomysłowi i zaczął ustawiać pozostałych sąsiadów. Nie zawierająca alkoholu, nadająca ekstra objętość pianka do układania włosów, wzbogacona w odżywczą witaminę B, stała się profesorem spod siódemki. Suszarka z dyfuzorem — Madame Babcia spod dziesiątki. Elektryczna gofrownica — rosyjską panią domu spod szóstki. Pędzel do farby i nożyczki — małżeństwem Ognistych z naprzeciwka, a pilniczek do paznokci — ich młodszą córką. Po chwili namysłu uznał, że przewodniczącego najlepiej zobrazuje grzebień do tapirowania z kościaną rączką. Na koniec wziął do ręki przezroczysty, połyskujący pojemnik z jasnoblękitnym żelem:

— A to urocza pani spod ósemki!

Gdy Błękitna Kochanka uśmiechem dziękowała za komplement, pozostałe kobiety niespokojnie poruszyły się w swoich fotelach.

373

— Ach, byłbym zapomniał! Musimy dodać jeszcze Celala i mnie. Musimy być identyczni, oczywiście. — Sięgnął po stojący na półce zestaw do pielęgnacji włosów i wyjął z niego dwie multiwitaminowe odżywki z keratyną. — Proszę bardzo, jesteśmy w komplecie. Pan Haci wyjaśnia, po co się zebraliśmy — powiedział, ustawiając na sztorc grzebień z kościaną rączką i krótko chrząkając, aby zapanowała cisza. — „Wyjaśniam, gdyby ktoś z was jeszcze tego nie widział, że w naszym ogródku odkryto grób świętego męża. W związku z zaistniałą sytuacją musimy pilnie wprowadzić w naszej kamienicy nowe zasady”. — „Ależ proszę pana, czy ktoś taki jak święty mąż może ot tak, jak kwiatek, wyrosnąć sobie z ziemi?” — wtrąciła się jedna z multiwitaminowych odżywek z keratyną. Cemal, odwracając się do klientek, wyjaśnił szeptem: — To jestem ja!

— Poznałyśmy, poznałyśmy! — zawołały chórem kobiety.

— „Proszę pana, może pan wierzyć albo nie wierzyć, wybór należy do pana. My nie mamy obowiązku zmuszać pana do uwierzenia. Ale jeżeli chce pan, by w tym kraju zapanowała demokracja, musi pan okazywać szacunek naszym wierzeniom” — powiedział grzebień do tapirowania. — „Jeżeli wszyscy jesteśmy co do tego zgodni, na porządku dziennym zebrania są sprawy, które musimy jak najszybciej omówić. Pierwszy punkt brzmi: ten święty mąż to co to za święty mąż? Nie można tego problemu zbyć, ot tak, że to po prostu święty mąż. Każdy święty mąż komuś służy. Jest święty mąż wspierający marynarzy

na morzu, jest i taki, co opiekuje się żołnierzami na lądzie. Do jednego chodzą nie mogące zająć w ciążę kobiety, inny przynosi ulgę trędowatym. Każdy powinien udać się do tego świętego męża, który zajmuje się jego problemem. Jeżeli stara panna pójdzie do takiego, który opiekuje się przykutymi do łóżka, może potem zacząć skakać, brykać i co wtedy?"

374

— Niech ktoś to protokołuje! — powiedziała Sekretarz Sądowa, unosząc drugą brew.

— Dobrze — zgodził się Cemal, powierzając to zadanie pilniczowskiemu do paznokci. — „Pisz, dziecko. Punkt pierwszy porządku dziennego: Nad kim ojcowską opiekę sprawuje nasz świątobliwy derwisz”.

— A skąd wiadomo, że ojcowską? Może to kobieta? — zaproponowała Błękitna Kochanka.

— „To niemożliwe!” — wzburzył się grzebień do tapirowania z kościaną rączką.

— Dlaczego? Czy kobiety nie mogą być derwiszami? — zaprotestowała Błękitna Kochanka, nie odrywając wzroku od reprezentującego ją pojemnika z błękitnym żelem. — Wiele kobiet odegrało ważną rolę w dziejach islamu. Zacznijmy od Aiszy¹ i Fatimy². Potem była Rabia³. Była też Kadmcik Ana⁴, a także Pani-co-śnieg-zjadła⁵. I Huma Hatun, matka sułtana Mehmeda Zdobywcy, i matka Mewlany, Mumine Hatun. I siedem dziewcząt z Manisy⁶...

Siedzące przed lustrami kobiety i grzebień do tapirowania z kościaną rączką ze zdziwieniem spojrzeli na Błękitną

1 Aisza (ok. 613-678) — ukochana żona proroka Mahometa, córka jego towarzysza i późniejszego kalifa, Abu Bakra.

2 Fatima (ok. 606-632) — córka proroka Mahometa i jego pierwszej żony Chadidży, żona późniejszego kalifa Alego, otaczana szczególną czcią przez szyitów.

3 Rabia z Basry (717-801) — pustelnica, uważana przez szyitów za świętą.

4 Kadmcik Ana, właśc. Fatma Nuriye — żona Haci Bektaca Velego, założyciela bractwa bektaszytów, przez alewitów (szyitów anatolijskich) uważana za świętą.

5 Karyagdi Hatun — na w pół legendarna postać z XV w. Gdy spodziewała się dziecka, zachciało się jej latem zjeść śnieg. Modliła się i jej modlitwa została wysłuchana — ku zdziwieniu wszystkich w sierpniu spadł śnieg.

6 Według legendy, w Manisie żyło siedem pięknych dziewcząt. Miejscowy emir chciał z jedną z nich ożenić swego syna. Wszystkie odmówiły, nie chcąc się ze sobą rozstawać. Nie wyszły za mąż i poświęciły się dobroczynności.

375

Kochankę. Jak na kochankę, stanowczo zbyt wiele wiedziała o tych sprawach. Najbardziej poruszony tym odkryciem wydawał się Cemal. Patrzył na nią z podziwem, jakby w 2002 roku w Stambule, w Pałacu Cukiereczek objawiła się niezrównana odaliska kalifa Haruna ar-Raszyda, która w baśniach z Tysiąca i jednej nocy budziła podziw urodą i rozległą wiedzą.

— „W takim razie pisz, dziecko” — powiedział grzebień

z kościaną rączką do pilniczka. — „Punkt pierwszy porządku zebrania: Ustalić, nad kim ojcowską lub matczyną pieczę sprawuje święty mąż. Żywimy nadzieję, że szanowny pan profesor nie odmówi nam pomocy przy przeprowadzeniu niezbędnych w tej sprawie badań”.

Nadająca ekstra objętość pianka do układania włosów, wzbogacona w odżywczą witaminę B, poruszyła się. Wydawała się zadowolona z zaangażowania jej w to przedsięwzięcie.

— „Przejdźmy do punktu drugiego porządku dziennego.

Proszę państwa, skoro mamy pochowanego w ogródku świętego, powinniśmy się odpowiednio do tego zachowywać.

W związku z tym osobiście przygotowałem stosowną listę.

Lista tego, czego pod żadnym pozorem robić nie wolno. Jeśli państwo pozwolą, chciałbym ją odczytać. Punkt pierwszy:

w nocy nie należy kierować nóg w stronę świętego. Łóżka ustawione nogami w jego stronę zostaną natychmiast przesunięte. Punkt drugi: nie wolno chodzić nago po domu. Punkt trzeci: od tej pory nie będzie się wywieszać za okno i trzepać chodników i tym podobnych rzeczy ani też niczego przez okna wyrzucać”.

— „Ale jak to tak?” — zachnął się lakier do włosów w złocistym pojemniku. — „Proszę mi nie przerywać!”

— ofuknął go grzebień z kościaną rączką. — „Punkt czwarty: w oknach wychodzących na ogródek nie będzie się odtąd rozwieszać prania. Punkt piąty: w obrębie budynku nie będzie się ścinać włosów”.

— „Ależ błagam, miej pan litość! Jeżeli nie

376

będzie wolno nam strzyc, pomrzemy z głodu” — jęknęła jedna z dwóch multiwitaminowych odżywek z keratyną. Puszczając

ponad ramieniem oko do klientek, Cemal znów dodał szep-

tem: — To jest Celal!

— Poznałyśmy, poznałyśmy! — zawołały chórem kobiety.

— „Nie ma mowy. Nie zapominajcie, że wasz lokal znajduje się najbliżej grobu. Wy więc powinniście najbardziej uważać. Od tej pory nie ma otwierania okna i patrząc na grób,

śpiewania piosenek, potrząsania włosami, obcinania paznokci, depilowania owłosienia, wyskubywania brwi. Jak chcecie,

otwórzcie sobie zakład gdzie indziej. Punkt szósty: zabrania się

wprowadzania do kamienicy koni, osłów i podobnych zwierząt, ich mięsa, sierści, piór i kołtunów. To oznacza, że pies nie

będzie mógł już tu mieszkać!” — „A to dlaczego?” — wykrzyknął ze szczytu koszyka z wałkami wąski grzebień o gęstych

zębach. — „Bo zgodnie z naszą religią pies jest zwierzęciem obrzydliwym” — oświadczył grzebień do tapirowania. Cemal

nie posiadał jednak w tej kwestii żadnej wiedzy, która mogłaby mu dostarczyć argumentów na poparcie tej tezy, skierował

więc błagające o pomoc spojrzenie na Błękitną Kochankę. Ta jakby tylko na to czekała.

— Zajrzyjcie do sury Wzniesione krawędzie: „...jeśli rzucisz się na niego, warczy, a kiedy zostawisz go w spokoju, też warczy”¹. Nie zapominajmy również, że Mewlana porównywał

cielesność do psa — wyjaśniła.

— „To nie dotyczy mojego psa. Gaba nie jest Turkiem. To Szwajcar!” — zaoponował wąski grzebień o gęstych zębach. Siedzące rzędem przed lustrami kobiety z sympatią popatrzyły na kolczasty pomarańczowy wałek.

1 Sura VII, werset 176, s. 206.

377

— Panie Hacı, jak panu na pewno wiadomo, Siedmiu Braci Śpiących też miało psa! — ulitowała się nad czworonogiem Błękitna Kochanka.

— „Dobrze, już dobrze” — uciął dyskusję grzebień z kościaną rączką. — „Ale odtąd pies codziennie ma być kąpany, żeby nie została na nim ani jedna pchła. Wszy też sobie nie życzę. Trzeba pozbyć się wszelkiego robactwa. Wszystkie mieszkania od góry do dołu należy gruntownie opryskać środkiem na owady. Punkt siódmy: do budynku nie będą pod żadnym pozorem wpuszczani żebracy, wędrowni handlarze, baby z tobołkami, sprzedawcy rogalików i tym podobni”. — „Bardzo słusznie” — oświadczyli zgodnie pędzel do farby i nożyczki. — „I wreszcie punkt ósmy i ostatni: odtąd śmieci będą regularnie wywożone. Wokół świętego zostanie wykreślony krąg o promieniu piętnastu metrów, w którego obrębie nie ma prawa znaleźć się nawet paperek. Czystość jest sprawą priorytetową. Cały budynek ma lśnić. Trzeba zrobić wszystko, by pozbyć się smrodu otaczającego Pałac Cukiereczek. Dość się już nazatykaliśmy nosa. Niech nasz święty nie musi go zatykać!” — Mówiąc to, Cemal zorientował się, że zapomniał o Meryem. Natychmiast położył przy koszyku przedstawiającą ją zalotkę. Już miał przemówić jej głosem, gdy za jego plecami rozległ się rumor.

Cemal, któremu to przedstawienie nie przypadło do gustu, więc z nudów bawił się suszarką, nagle upuścił ją na ziemię. Gdy wszyscy spojrzeli w jego stronę, zaczerwienił się jak burak. Nie podniósł z podłogi suszarki, lecz szybko skierował się do wyjścia, mrużąc pod nosem:

1 Według legendy siedmiu chrześcijańskich młodzieńców z Efezu, uciekając przed prześladowaniami ze strony cesarza Decjusza, schroniło się w jaskini, gdzie przespali dwieście lat. Według Koranu (sura XVIII Grota) przespali lat trzysta dziewięć, a pilnował ich pies Ar-Rakim.

378

— Wychodzę, muszę zaczerpnąć trochę powietrza.

— Wybacz, Cemalu — powiedziała zezująca blondynka, gdy tylko za Celalem zamknęły się drzwi. — Ale na całym chyba świecie nie ma braci bliźniaków tak różniących się od siebie jak wy dwaj. Podobieństwa w was ani na lekarstwo. Wszystkich obecnych ogarnął jakiś niepokój. Zgromadzeni wokół koszyka aktorzy z powrotem zamienili się w nieożywione przedmioty.

LOKAL NUMER 8

Tego wieczoru nie spodziewałem się wizyty Błękitnej Kochanki. Zamknawszy szczelnie okna i drzwi, spryskała ponoć całe

mieszkanie środkiem na prusaki. Spytała, czy może u mnie zostać, dopóki jego zapach się nie ulotni. Powiedziałem, że mam dług wdzięczności wobec karaluchów. Roześmiała się. Na widok potężnego kawałka sera i talerzyka z łososiem, które postawiłem na stole, gorący uśmiech rozjaśnił całą jej twarz.

— Zarobię trochę grosza — powiedziałem. — Meryem przyszła dziś rano, przysłana przez kobietę spod dziewiątki. Proponuje mi, bym uczył jej córkę angielskiego. Na początku nie chciałem się zgodzić, bo ostatni raz zajmowałem się czymś takim jeszcze na studiach. Ale zaoferowała mi całkiem niezłą stawkę za godzinę.

— To dlatego, że nie lubi wypuszczać córki z domu — stwierdziła Błękitna Kochanka.

— A co za różnica? Lekcje i tak odbywałyby się u niej. Wzruszyła ramionami.

— Może wolałaby, żeby nauczyciel mieszkał w tym samym domu — powiedziała, wkładając do ust pokaźny kawałek sera.

— A może się w tobie zadurzyła? Tak jak ja!

380

Gdy się śmieje, blizna na jej policzku staje się wyraźniejsza. Lubię dotykać tej blizny. Chwyciłem ją za rękę i zaprowadziłem do sypialni. Lubię dotyk jej języka na moim.

— Wiesz, wychowywał mnie dziadek — powiedziała, mocno chwytając moje palce pieszczące jej policzek i przykładając je do ust.

Oparłem się plecami o zagłówek i zapaliłem papierosa.

Uwielbiam pościelowe opowieści kobiet. Dzięki Błękitnej Kochance zacząłem po tak długiej przerwie znowu sypiać w moim o wiele za dużym łóżku.

— To był taki pogodny, uprzejmy człowiek. Rodzice nie mogli ze sobą wytrzymać, w domu stale były awantury. Gdy miałam cztery lata, rozwiedli się. W ciągu jednego roku oboje zawarli nowe małżeństwa. Wtedy dziadek powiedział do mamy: „My się małą zajmujemy. Ty ułóż sobie życie. Córkę możesz odwiedzać, kiedy zechcesz”. Matka się zgodziła. I dobrze się stało. Bardzo kochałam dziadka. Gdyby nie odszedł tak wcześnie, byłabym kimś zupełnie innym. Gdy zmarł, zostałyśmy z babcią same. Babcia też nie była zła, kochałam ją, ale nie tak mocno jak dziadka. Zamieszkałam z mamą. Teraz wszyscy żartują sobie z Tijen, że stale siedzi w czterech ścianach... A czy uwierzyłybyś, że ja, taka młodziutka, przez dwa lata niemal wcale nie wychodziłam z domu? I to nie z powodu obsesji na punkcie czystości czy czegoś tam. Szczerze mówiąc, sama nie wiem, dlaczego tak się stało. Nie chciałam postawić stopy na ulicy, a co dopiero pójść do szkoły. Nie żeby mnie świat nie interesował. Interesował, owszem, ale akurat tamtego miejsca nie chciałam zobaczyć... Mama urodziła dwoje dzieci. Zajmowałam się nimi. I mama, i ojczym strasznie się starali, by skłonić mnie do wyjścia. Pomyśl tylko, młodzi ludzie chcą dokądś wyjść, a rodzice im nie pozwalają. A u nas było dokładnie na

odwrót. Aż tu pewnego ranka siedzimy sobie przy śniadaniu,
381

mama i ojczym rozmawiają, mówią, że trzeba pójść zapłacić za telefon. Nie wiem, co się stało, ale nagle powiedziałam: „Ja pójdę”. Zrobili wielkie oczy. Ubrałam się, wzięłam rachunek i pieniądze, wybiegłam z domu. Tak dawno nie byłam na powietrzu, że aż się zatoczyłam, jak pijana, naprawdę. Poszłam na pocztę. Przed okienkiem ogonek. Postałam, postałam, kolejka się zmniejszyła. Przede mną były jeszcze ze dwie osoby i wtedy go zobaczyłam. Przyjmował opłaty. Siedział za szybą, raz za razem stemplował rachunek, wydawał resztę. Wpatrywałam się w niego. Nie był tak przystojny jak ty ani tak dobrze zbudowany. I jego oczy nie przypominały zupełnie twoich. Czy to możliwe, by tęczęwki miały fioletowy odcień? On właśnie takie miał. W końcu przyszła moja kolej. Poprosił o rachunek. Podałam mu. Wydał mi resztę, ostemplował rachunek, zostawił sobie jeden odcinek. Podziękowałam, a on podniósł głowę i spojrzał na mnie uważnie. Cała drżałam. „Do widzenia!” — powiedział. Z wrażenia nie mogłam wydobyć głosu. Wróciłam do domu. Następnego ranka wstałam wcześniej i pobiegłam na pocztę. Nawet o tak wczesnej porze była kolejka. Znów musiałam odstać swoje. Gdy przyszła moja kolej, z bijącym sercem podałam mu rachunek, który już raz zapłaciłam. Popatrzył na mnie dziwnie. Ja też popatrzyłam na niego, by sprawdzić, czy naprawdę ma fioletowe tęczęwki. Rzeczywiście miał. Ludzie w kolejce zaczęli szemrać, a on śmiał się rozbawiony.

Pomyślałam o Ayszin. Nigdy w życiu nie zakochałaby się w facecie tylko dlatego, że miał tęczęwki w odcieniu wpadającym w fiolet. Miłość w wykonaniu Ayszin przypomina biurokratyczną maszynę. Ayszin układa korespondencję w segregatorach, robi rachunki, prowadzi księgi, odejmuje rozchody od przychodów i wszystko skrupulatnie zapisuje. Ma ogromne archiwa. Nie zapomina żadnej sprzeczki. I nie pozwala innym
382

zapomnieć. Przez moment zastanawiałem się, czy Błękitna Kochanka stałaby się taka jak Ayszin, gdybyśmy byli małżeństwem. Nie sądzę. Stosunek tej dziewczyny do życia miał w sobie coś niezwykle dzikiego, wręcz zwierzęcego. Chociaż, co prawda, miała dopiero dwadzieścia dwa lata. Może się z czasem zmienić. Może gdy wyjdzie za mąż, upodobni się do Ayszin, błyskawicznie się „zajszinuje”?

— I co potem?

— Potem było kiepsko. Spotykaliśmy się. Matka się wściekała, ale kto by na to zważał. Nie wiem, czy to była miłość, ale strasznie mnie wzięło. On chciał się od razu żenić. Ja nie chciałam wychodzić za mąż, ale chyba brakowało mi odwagi, by mu to powiedzieć. To była malutka dzielnica, wszyscy wszystko wiedzieli. Jak to tak, bez ślubu? W końcu zaręczyliśmy się. Po zaręczynach zaczął się zmieniać, jakby się stał

kimś zupełnie innym. Był nieszczęśliwy. Ja też chyba byłam nieszczęśliwa, ale ukrywałam to w sobie. On zaś chciał, by każdy był nieszczęśliwy, skoro on jest. Nie był perfidny. To był właśnie problem. Nie potrafił być wredny, ale bardzo chciał się tego nauczyć. W końcu nie można już było usłyszeć od niego jednego dobrego słowa. Stale narzekał — na pocztę, na rachunki, na szefa. Ale nie z tego powodu się rozstaliśmy — zaśmiała się nerwowo. — Powodem naszego rozstania był koń. Wyobrażasz sobie? — Na widok mojego zdumienia jeszcze raz się roześmiała. — Pewnego razu poszliśmy gdzieś razem. Patrz: wóz zaprzężony w konie. To ci się może wydać kompletnym idiotyzmem. Mój dziadek był inny niż wszyscy. „Jeśli nie wiesz, zanim umrzesz, że umrzesz, i twoje życie, i twoja śmierć będą nędzne” — mawiał. Ani nie pożył hurys w raju, ani nie obawiał się piekielnego ognia. A do tego, gdy gdzieś po drodze spotkał jakieś zwierzę, zawsze je pozdrowiał. „Nie wypada nie pozdrowić, a nuż to mój stary znajomy” — po-

383
wtarzał. „Człowiek nie ginie wraz ze swoją śmiercią, przychodzi na świat ponownie. Czasem jako człowiek, czasem jako zwierzę. Za każdym razem odradza się pod inną postacią. Jak popadnie. Może być osłem, łabędziem, motylem, żabą. Nie ma wybrzydzenia”. Abyśmy nie wybrzydzeni, nasza pamięć umiera zamiast nas. Dzięki temu nie pamiętamy, czym byliśmy przedtem, i nie czujemy żalu z powodu tego, co nas spotkało. Wiesz, jakie mam najpiękniejsze wspomnienie z dzieciństwa? Trzymając się za rękę, idziemy z dziadkiem ulicą i witamy się ze wszystkimi napotkanymi zwierzętami. Kotami, psami, wróblami, osłami, konikami polnymi. „Ooo, co słyhać, mój panie?!” — woła dziadek. A ja go naśladuję: „Ooo, co słyhać, mój panie?”. Strasznie mi się to podobało. Zaśmiewałam się do rozpuku.

Pogłaskałam miękką wypukłość jej brzucha skrytą pod prześcieradłem, którym cała się owinęła.

— Rozumiesz więc, że gdy tylko zobaczyłam tamtego konia, odruchowo się z nim przywitałam. Rozmawiam sobie z koniem, a tu Fioletowy Książę jak nie zacznie ze mnie szydzić. Mówił takie przykre rzeczy, poniżył mnie, zranił. I nie przestawał. Od tej pory zawsze, gdy zobaczył osła, kpił: „No, leć, ucałuj dziadka!”. W końcu miałam tego dość. Zrozumiałam, że go nie kocham. Zrozumiałam, że to, co mnie porusza, jemu jest obojętne. A to oznaczało, że nie mogę spędzić z nim życia. Postanowiłam z nim zerwać. Z początku nie uwierzył. „Aleś ty przewrażliwiona!” — próbował obrócić wszystko w żart. Myślał, że mi przejdzie. Potem zorientował się, że mówię serio, i stał się agresywny. Czym to mi nie groził! Pewnego wieczoru jedliśmy w domu kolację, a on wali do drzwi kompletnie pijany. Ojczym wyszedł na dwór. Ten obrzucił go wyzwiskami. Stałam w drzwiach, złapał mnie za rękę i wyciągnął na zewnątrz. Śmierdział wódką — pił na umór. „Jeśli mnie

zostawisz, potnę ci twarz! Jak Boga kocham, potnę!" — tak powiedział. „Nie trudź się, sama to zrobię" — odpowiedziałam. Wiem, że nie uwierzysz. Ja sama nie mogę w to uwierzyć. Nie wiem, dlaczego tak powiedziałam, dlaczego to zrobiłam. Miałam siedemnaście lat. Ale nadal coś takiego mi się zdarza. Gdy coś mnie zrani, bez zastanowienia robię różne rzeczy, sama siebie kaleczę. Niechcący. Potem się dziwię, jak mogłam. Ale gdy to robię, o niczym nie myślę. Rozumiesz? Gdybym myślała, pewno bym tego nie zrobiła, prawda?

Uśmiechnąłem się. Jej szczerłość z jednej strony trąciła niefrasobliwością, z drugiej zaś — niewinnością. Niefrasobliwość była być może nieco odstręczająca, ale na całym świecie nie ma chyba niczego, co skuteczniej budziłoby pożądanie niż niewinność.

— Mama i ojczym stali za drzwiami, przysłuchując się, gotowi w razie czego interweniować. Najwyraźniej nie zrozumieli, co robię. Oczywiście nie miałam przy sobie noża czy czegoś w tym rodzaju, tylko we włosach metalową szpilkę, taką do upinania koka. Była ostro zakończona. Inna nie nadawała się do moich włosów, bo takie były wtedy bujne. Wyciągnęłam więc ją i na chybił trafił przejechałam nią po lewym policzku. Pomacałam ranę, przejechałam po rozcięciu raz jeszcze. Nie widziałam go, ale widziałam wyraz jego twarzy. Przysięgam, Fioletowy Księżę zrobił się żółty jak cytryna. Zaczął wrzeszczeć, żebym przestała. Matka, słysząc krzyk, wybiegła na zewnątrz i też zaczęła krzyczeć. Wtedy zrozumiałam, że kiepsko ze mną. Paskudnie się pocięłam. Wybiegł ojczym, zaczął okładać Fioletowego Księcia. Myślał, że to on mi zrobił. Fioletowy Księżę nic nie mówił. Wciąż był w szoku. Gdy ojczym dalej go tłukł, ja, mama i dwoje młodszego rodzeństwa wskoczyliśmy do taksówki i na pogotowie. Nie mogłam wyjść ze zdumienia, że nic mnie nie boli. Weszliśmy do izby przyjęć. Dyżur miał

doświadczony, wzbudzający zaufanie lekarz. Z tego samego rodzaju ludzi, co mój dziadek. Rozmawiał ze mną łagodnie. Początkowo myślał, że ktoś mi to zrobił, starał się dowiedzieć kto. W końcu zrozumiał, że to ja sama. Wtedy się rozzłościł i wygarnął, co o tym myśli. Ale miał taki miły głos, że nawet przyjemnie było słuchać tych połajanek. Podali mi znieczulenie. Gdy się obudziłam, rana była dawno pozszywana. Już miałam wyjść, gdy lekarz złapał mnie za rękę: „Ach, ty mała wariatko, skoro tak pocięłaś swoją śliczną buzię, teraz ani mi się waży nabierać rozumu. Najgorszą rzeczą w życiu jest pociąć sobie twarz, a gdy ją pozszywają, zmądrzeć. Wtedy dopiero czuje się ból, i to jaki straszliwy! Po co ci to? Pozostań sobą, taką samą wariatką jak przedtem. Obiecujesz?". „Obiecuję!" — odpowiedziałam. Uścisnęliśmy sobie dłonie. Niech mu Bóg wynagrodzi, zrobił kawał wspaniałej roboty. Gdybym trafiła na kogoś innego, zszyliby mnie jak worek. Oczywiście blizna

pozostała. I nie zniknie...

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Nie takiej historii się spodziewałem. Kochać kogoś to wydobywać z jego magazynu zgrzyzot zwoje ze spisanyymi i wciąż nie uporządkowanymi, pełnymi niepokoju opowieściami i jedną po drugiej przepisywać je na czysto. W pogoni za nimi zanurzyć się w świecie wyobraźni kochanej osoby i nie pragnąć go opuścić nawet wtedy, gdy natrafi się tam na rzeczy zupełnie inne, niż nam przedstawiała, i brzydkie, choć ona tak się nimi zachwycała. To jest właśnie miłość. Pospieszyłem się w ocenie Błękitnej Kochanki. Wcale nie jest błękitna. Myliłem się, przypisując jej ten kolor. Jej błękit nie był wcale błękitem dnia. Przyciągnąłem ją do siebie. Przytuliła się i powierzyła nieco, nim znalazła wygodną pozycję i złożyła głowę na mojej piersi. Potem rozluźniła się i bez skrupowania legła na mnie całym ciężarem swojego ciała.

386

— Pokochałam Fioletowego Księcia, bo był Fioletowym Księciem, ale on zachowywał się tak, jakby był kimś innym. Bardzo cię proszę, nigdy mnie nie okłamuj, dobrze? Wszystko, tylko nie to!

Skinąłem głową. Ktoś, kto mówi, że nie znosi kłamstwa, nawet jeśli niechcący i nieświadomie kłamie, sprowadza nieszczęście na osoby ze swego otoczenia. Jakby stłukł lustro. Przypomina to sytuację z filmów: pokazana broń prędzej czy później zostanie użyta. Ktoś, kto żąda: „Nigdy mnie nie okłamuj”, sam szuka nieszczęścia. Ale nie chciałem mówić, że się z nią nie zgadzam. Niedługo potem spokojnie zasnęła w sącącym się przez okno świetle. Nie zalicza się do piękności, ale jej twarz ma jakiś urok. Lubię na nią patrzeć. Wstałem. Nie mogąc znaleźć w pobliżu łóżka ubrania, zapaliłem lampę. Prześcieradło zsunęło się z ciała Błękitnej Kochanki, odsłaniając jej prawą nogę. W tym momencie uświadomiłem sobie, że zawsze kochaliśmy się w ciemności albo na wpół ubrani i nigdy nie widziałem jej nagiej.

Górna część nogi cała była pokryta czerwonymi kreskami. Biegły poprzecznie, jedne obok drugich, podobne do nacięć robionych, jak to często sobie wyobrażamy, przez więźniów odliczających dni do wyjścia na wolność. Podszedłem i przyjrzałem się im z bliska. Większość była płytka, jakby powstały wskutek draśnięć. Ale jedno z nich wydawało się całkiem głębokie. Było też chyba świeższe, bo rana nie zdążyła się jeszcze zasklepić.

Spojrzałem na zegarek. Była 2.22. Z urwanym jękiem przewróciła się na brzuch. Okryłem ją, zgasilem światło. Raki dobrze by mi teraz zrobiła. Gdy zapaliłem światło w kuchni, kilka

387

prusaków rozpięzchło się po kątach, znikając z pola widzenia. Najwyraźniej ja też powinienem przeprowadzić dezynsekcję.

Ukroiłem spory kawałek sera, do tego spory kawałek melona. Polałem ser oliwą, którą przyniosła Błękitna Kochanka, i posypałem tymiankiem... Dużo tymianku... Handlarz oliwą wolałby zapewne nie wiedzieć, że butelki, które przynosił swej młodej utrzymance, opróżnia teraz inny mężczyzna. Wyszedłem na balkon. Starając się nie zdeptać gorączkowo maszerujących mrówek, zbiorowym wysiłkiem przenoszących do mrowiska wielkie cielsko martwego karalucha, przysunąłem krzesło do barierki. Zapaliłem papierosa. Ciekawe, ile jeszcze ma takich nacięć na ciele? Nie wiem, czym się tak poraniła. Żyletką, a może nożem? Albo szpilką do włosów... W dole dostrzegłem zgromadzone przy murku worki ze śmieciami. Nic się nie zmieniło. Znow wszędzie było czuć kwaśny odór odpadków.

LOKAL NUMER 10

Na brzegu Madame Babcia cierpliwie wyczekiwała razem z innymi poszukiwaczami rzeczy wyrzuconych przez morze. Z każdym gniewnym podmuchem południowo-zachodniego wiatru fale przynosiły porwane żagle, połamane wiosła, kompasy o popsutych wskazówkach, stery, które zgubiły kurs, litery tworzące niegdyś nazwy łodzi, przedmioty pozostałe po podróźnych, którzy już dawno dotarli do celu, i po podróźach, które nigdy nie zakończyły się w błogim raj.

„Morze, rozochoczone zabawą, porwanymi w czasie wakacji nadmuchiwanymi materacami i piłkami, porwanymi przez wiatr słomkowymi kapeluszami, zwraca pojedynczo swoje łupy, zanosząc je na inne brzegi...”

Wraz z innymi poszukiwaczami Madame Babcia zbierała to, co fale wyrzuciły na brzeg.

LOKAL NUMER 3

Celal, gdy tylko opuścił zakład, przemknął szybko przez boczne ulice i wyszedł bezpośrednio na główną aleję. Maszerował tak z piętnaście minut, od czasu do czasu tracąc w tłumie orientację, aż dotarł do ulicy, przy której znajdowało się — jedna obok drugiej — pięć bliźniaczo do siebie podobnych piwiarni. Na ogół nie pijał piwa, ale tego wieczoru miał na nie ogromną ochotę. Wybrał pierwszą lepszą piwiarnię i wszedł do środka. Była zatłoczona. Siadł przy stoliku najbliżej drzwi. Zawsze, gdy zdarzało mu się znaleźć w obcym otoczeniu, starał się trzymać blisko wyjścia. U kelnera o zapadniętych policzkach i anemicznej cerze, po którym na pierwszy rzut oka było widać, że organicznie nie znosi swojej roboty i myślami jest zupełnie, ale to zupełnie gdzie indziej, zamówił piwo i porcję frytek. Gdy po chwili rozejrzał się, zauważył czarniawego osobnika rozwalonego przy stoliku naprzeciwko. Pod oczami miał potrójne wory, każdy w innym odcieniu fioletu, i tępy wzrokiem wpatrywał się w stojącą przed nim szklaneczkę anyżówki. Nie upił z niej ani łyka, choć widać było, że już sporo wlał w siebie. Nie tknął też smażonych sardeli, które piętrzyły się przed nim na półmisku.

— Cze-go-się-ga-pisz-ko-le-go? — wybełkotał, unosząc głowę.

Celal nie wiedział, co odpowiedzieć, więc skulił się w sobie. W tym momencie jak spod ziemi wyrósł obok niego kelner.

— Nie zwracaj na niego uwagi, starszy bracie. To nieszkodliwy typ. Dziś ma podły humor i tyle — powiedział uspokajająco. Rozbieganym wzrokiem śledził przechodniów i ani razu nie spojrzął na klienta.

Piwo było wystarczająco zimne, za to upstrzone zawijaszami majonezu i keczupu frytki — ohydne. Majonez jak majonez, ale ten keczup — Celal go po prostu nie znosił. Był zły na siebie, że nie uprzedził kelnera. Zmienił pozycję, tak by widzieć przede wszystkim nie przeciwległy stolik, lecz ten po prawej stronie.

Jeden z czterech dobrze zbudowanych siedzących przy nim jegomości trzymał w górze prawy kciuk, jakby na siedząco próbował złapać stopa. Od tego wyrwidęba o garbatym nosie wiało grozą. Każda jego wypowiedź nieodmiennie kończyła się pytaniem „No nie?”. Upił potężny łyk piwa, wierzchem dłoni otarł osiadłą na wąsach pianę.

— I o co chodzi? Co tak siedzicie cicho? — spytał z pretensją w głosie. — My mamy dawać dyla? Nie będziemy, no nie? — Brzdęk! Rzucił umazany sosem od kiełbasek tępy nóż na środek stołu. — Mówicie, że to zakład. Ja tam się mogę założyć. Cośmy dzieci, żebyśmy się zakładali o dwie szklane kulki i trzy kapsle od lemoniady? Jeżeli nie wyjdzie na moje, zostawię na tym stole ten palec. A jeśli wy przegracie, trzeba będzie wam paluszki poharatać. No nie? Kapewu?

Najwyraźniej noża na środku stołu nie uznał za odpowiedni, bo ostentacyjnie wyjął z kieszeni scyzoryk, otworzył go i położył obok siebie. Potem znowu wzniosł palec i znieruchomiał jak posąg Buddy. Pozostali z niechęcią patrzyli na krótki

391

i gruby kciuk, który podsunął im przed oczy. Atmosfera przy stoliku zrobiła się lodowata.

Kiedy indziej Celal przestraszyłby się wiszącej w powietrzu burdy i jak najszybciej opuścił lokal, ale dziś miał nieprzeparatą chęć się napić. Mimo zaczepek ze strony pijaka, keczupu na frytkach i terroru, który przy stoliku obok siał gruby paluch, zdecydował się pozostać. Siedział więc i pił.

Nim opróżnił do połowy drugi kufel, jego nienawykłe do alkoholu oczy zaczęły przypominać wypełnione krwią miednice. Wbijając wzrok w dziurawy i poplamiony obrus, wydał z siebie pełne zatroskania westchnienie. Dlaczego jego brat bliźniak był tak inny? Nie mieli kompletnie żadnych cech wspólnych. Dlaczego ani odrobinę nie są do siebie podobni? I skoro mają tak odmienne usposobienia, dlaczego wciąż pracują razem? Pod koniec trzeciego piwa Celal postanowił powiedzieć bratu, że najwyższa pora, by ich drogi wreszcie

się rozeszły.

LOKAL NUMER 9

Tego wieczoru Su miała mieć pierwszą lekcję angielskiego. Postanowiono, że odbędzie się o godzinie dziewiętnastej. Su spojrzała na zegarek z fosforyzującą tarczą, prezent od taty na urodziny: była szesnasta trzydzieści pięć. Miała więc jeszcze dużo czasu. Znudzona, krążyła po mieszkaniu. Wszystko było tu białe. Matkę Su, która w nocy ani przez chwilę nie zmrugała oka, godzinę wcześniej zmógł sen.

Su otworzyła okno i przez pewien czas obserwowała bawiące się na ulicy dzieci. Przyglądała im się z uwagą, ale nie miała ochoty dołączyć do nich, nawet gdyby mogła. Jak wszystkie jedyne, które w szkole nie mają kolegów, a w domu żadnej bratniej duszy, grzeczne, jak się tego od nich oczekuje, i urocze, jak się tego od nich nie oczekuje, z uporem pedanta tropiące wygryzione przez mola dziurki na gładkim atłasie swojego dzieciństwa, z ukrytą złością pogardała ulicznymi zabawami swych rówieśników. Zniechęcona zamknęła okno. Starając się nie robić hałasu, na paluszkach krążyła po domu. W końcu uchyliła drzwi wejściowe. Nie zapomniała nici porozumienia, jaka nawiązała się między nią a starszą panią w dniu, gdy ścięto jej zawieszony włosy. Wiedziała, że nie wolno

393

jej wychodzić poza dom, z wyjątkiem oczywiście szkoły, ale mieszkania naprzeciwko nie można było przecież uznać za „poza domem”.

I wtedy właśnie zrobiła coś, czego nigdy przedtem nie zrobiła: zadzwoniła do drzwi naprzeciwko. Ze środka nie dobiegał żaden dźwięk. Oczekała chwilę i ponownie nacisnęła dzwonek, tym razem dłużej. I niemal natychmiast zaczęła tego żałować. Już miała wrócić do siebie, gdy drzwi mieszkania numer 10 cichutko się uchylły.

LOKAL NUMER 3

Cemal, gdy tylko pożegnał ostatnią klientkę, wybiegł nerwowo na ulicę — w skrytości ducha urażony tym, że Celal nie wraca — pozostawiając ceremoniał zamykania lokalu pomocnikom. Wieczorny wietrzyk dobrze mu zrobił. Przemknął szybko przez boczne ulice i wyszedł bezpośrednio na główną aleję. Maszerował tak z piętnaście minut, od czasu do czasu tracąc w tłumie orientację, aż dotarł do ulicy, przy której znajdowało się — jedna obok drugiej — pięć bliźniaczo do siebie podobnych piwiarni. Na ogół nie pijał piwa, ale tego wieczoru miał na nie ogromną ochotę. Wybrał pierwszą lepszą piwiarnię i wszedł do środka.

Była zatłoczona. Siadł przy stoliku najbliżej drzwi. Zawsze, gdy zdarzało mu się znaleźć w obcym otoczeniu, starał się trzymać blisko wyjścia. U kelnera o zapadniętych policzkach i anemicznej cerze, po którym na pierwszy rzut oka widać było, że organicznie nie znosi swojej roboty i myślami jest zupełnie, ale to zupełnie gdzie indziej, zamówił piwo i por-

cję frytek. Gdy po chwili rozejrzał się, zauważył czarniawego osobnika rozwalonego przy stoliku naprzeciwko. Pod oczami miał potrójne wory, każdy w innym odcieniu fioletu, i bacznie

395
mu się przyglądał. Nie spuszczać wzroku z Cemala, przywołał kelnera.

— Cze-mu-wró-cił-za-py-taj-się-go-cie-ka-we — wydyszał kelnerowi wprost do ucha, zionąc alkoholem. Zorientowawszy się, że ten nie rozumie, o co mu chodzi, zirytował się. — Za-py-taj-no-cze-mu-wy-szedł-cze-mu-wró-cił-zna-czy-się-sko-ro-wy-szedł-to-po-co-wra-cał-a-sko-ro-miał-wró-cić-to-po-co-wycho-dził... — próbował mu wyjaśnić.

Cemal wyczuł, że o nim mowa, ale nie dosłyszał, co pi-jak mówi. Poważnie zaniepokojony, skulił się na krześle, ale w tym momencie jak spod ziemi wyrósł obok niego kelner.

— Nie zwracaj na niego uwagi, starszy bracie. To nasz stały klient. Dziś ma podły humor i szuka zaczepki. Ale absolutnie nie narobi kłopotu — powiedział znudzonym tonem.

Piwo było wystarczająco zimne, za to upstrzone zawijajami majonezu i keczupu frytki — ohydne. Keczup jak keczup, ale ten majonez — Cemal go po prostu nie znosił. Był zły na siebie, że nie uprzedził o tym kelnera. Zmienił pozycję, tak by widzieć przede wszystkim nie przeciwległy stolik, lecz ten po prawej stronie.

Jeden z czterech dobrze zbudowanych jegomości siedzących przy nim trwał nieruchomo jak Budda z prawym kciukiem w górze. Palec był owinięty bandażem, a wokół paznokcia widać było grudy zaschniętej krwi.

— Bracie, idźże no wreszcie do domu. Po co siedzisz tu tak z tym bandażem i szwami?! — burknął jeden z jego kompanów.

— Nie wiem, po co tu wróciliśmy. Tylko nam mogło przyjść do głowy, by prosto z pogotowia wrócić do knajpy — poparł go drugi.

— Nie ma mowy! — powiedział wyrwidąb o garbatym nosie, energicznie kręcąc głową. — Założyliśmy się, co nie? Skoro przegrałem, kara musi być. Jeśli miałbym stracić honor, bo

396
mi tam jakieś trzy szwy założyć, wołałbym już sobie łeb uciąć! Skoro przyszliśmy się napić, to się napijemy. I to za zdrowie mojej ręki. Bo ja jestem człowiek honoru! Jakbym nie dotrzymał słowa, miałbym palec cały. Ale ja słowa dotrzymuję! I ta rana jest tego dowodem, no nie? Jak będziemy pili za zdrowie mojego palca, to tak, jakbyśmy pili za mój honor, no nie? Pozostali niechętnie podnieśli kieliszki. Atmosfera przy stoliku zrobiła się lodowata.

Kiedy indziej Cemal przestraszyłby się wiszącej w powietrzu burdy i jak najszybciej opuścił lokal, ale dziś miał nieprzewartą chęć się napić. Mimo zaczepki ze strony pijaka, majonezu na frytkach i terroru, który przy stoliku obok miał owinięty bandażem zakrwawiony paluch, zdecydował się po-

zostać. Siedział więc i pił.

Nim opróżnił do połowy drugi kufel, jego nienawykłe do alkoholu oczy zaczęły przypominać wypełnione krwią miednice. Wbijając wzrok w dziurawy i poplamiony obrus, wydał z siebie pełne zatroskania westchnienie. Dlaczego jego brat bliźniak był tak inny? Nie mieli kompletnie żadnych cech wspólnych. Dlaczego ani odrobinę nie są do siebie podobni? I skoro mają tak odmiennie usposobienia, dlaczego wciąż pracują razem? Pod koniec trzeciego piwa Cemal postanowił powiedzieć bratu, że najwyższa pora, by ich drogi wreszcie się rozeszły.

LOKAL NUMER 9

Gdy rozległ się dzwonek u drzwi, Madame Babcia zajęta była opróżnianiem przyniesionych toreb. Nikt nigdy nie dzwonił do niej oprócz roznoszącej rano chleb i raz w miesiącu zbierającej koszyczkowe Meryem. Z początku uznała, że to na dole ktoś przez pomyłkę wcisnął guzik jej dzwonka, ale gdy po kilku sekundach brzęczenie rozległo się ponownie i do tego przeciągle, zapakowała wszystko z powrotem do toreb i potykając się z pośpiechu o własne nogi, zaniósła do małego pokoju. Wróciła zadyszana, zamknęła białe drzwi z szybami z mrożonego szkła, oddzielające salon od reszty domu, i na wszelki wypadek dwukrotnie przekręciła klucz w zamku. Wyjęła z zamka klucz na aksamitnej purpurowej wstążce, a ponieważ wiedziała, że gdziekolwiek go położy i tak zapomni, gdzie go położyła, więc zawiesiła go sobie na szyi. Jeszcze raz skontrolowała spojrzeniem salon i niespokojnym krokiem ruszyła ku drzwiom wejściowym.

— Ach, to ty, Su! — powiedziała z ulgą. — I jak, wygodniej ci z krótkimi włosami?

Su, w adidasach wyższa od Madame Babci o trzy i pół centymetra, pokiwała głową, szczerząc zęby w uśmiechu. Przesadna radość dziecka zaniepokoiła starą kobietę, ale gdy

398

spostrzegła, że dziewczynka czeka, by ją zaproszono do środka, niepokój ustąpił miejsca zakłopotaniu. Przez ramię jeszcze raz zerknęła na salon. Od wielu lat żaden gość nie przekroczył progu jej mieszkania. Nawet ukochanego brata nie wpuściła. Ilekroć się za sobą stęsknili, spotykali się w cukierni ozdobionej witrażami, ciesząc się od wielu lat renomą. Wśród woni cynamonu i śmietanki zjadali zawsze po porcji szarlotki i wypijali po dwie filiżanki cappuccino.

Szukając pretekstu, by jakoś się pozbyć dziewczynki, nie urażając jej przy tym, stara kobieta spojrzała głęboko w wielkie czarne oczy Su, tak podobne do oczu jej matki. Jakże nie-szczęśliwe było to dziecko, mimo przyklejonego do ust fałszywego uśmiešku! Serce się jej krajało na myśl, że miałyby zatrzaskać mu drzwi przed nosem. A zresztą, zabezpieczyła się, więc co jej szkodzi?

— Chodź, usiądziemy sobie i napijemy się kawy z mlekiem
— powiedziała, odsuwając się na bok i pozwalając dziewczynce wejść do środka.

— Nie lubię mleka — zauważyła Su.

— Nie widziałam jeszcze dziecka, które lubiłoby mleko

— odrzekła Madame Babcia. — Ale ponieważ tak wyrosłaś, że mogłabyś pójść do piątej klasy, pomyślałam, że ty na pewno pijesz mleko.

Su zrozumiała, że ma do czynienia z logiką, której trudno się będzie przeciwstawić, więc nic już nie mówiąc, zdjęła buty. Nigdzie nie dostrzegła skrzyni z kapciami, uznała zatem, że w tym domu chodzi się w skarpetkach.

— Tu śmierdzi gorzej niż u nas — skonstatowała, gdy tylko znalazła się w salonie.

I jakby to stwierdzenie nappełniło ją dumą, przesadnie uśmiechnięta przystąpiła do oględzin otoczenia, nucąc pod nosem piosenkę, którą słyszała w autobusie dowożącym dzieci do szkoły.

LOKAL NUMER 2

Sidar z niepokojem patrzył na przedmioty, które dziewczyna wyjmowała z plecaka: turkusową szczoteczkę do zębów (w ten sposób liczba znajdujących się w domu szczoteczek do zębów wzrosła do dwóch), kubek ozdobiony irytującym motywem dziesiątek oczu, jednych otwartych, innych zamkniętych (w ten sposób liczba znajdujących się w domu kubków wzrosła do dwóch), butelkę szamponu z jojobą do częstego mycia włosów (w ten sposób liczba znajdujących się w domu szamponów wzrosła do dwóch), opakowanie tamponów (tych w domu nigdy nie było), ręcznik (w ten sposób liczba znajdujących się w domu ręczników wzrosła do dwóch), kilka książek i płyt kompaktowych (w ten sposób liczba znajdujących się w domu książek i płyt kompaktowych wzrosła dwukrotnie).

A przecież aprobując pragnienie dziewczyny pozostania tu, miał na myśli zupełnie co innego. Powiedział jej, że od czasu do czasu może tu mieszkać, a nie, że może zamieszkać. Jeżeli ta dziewczyna o pięknych oczach i włosach w kolorze miedzi chciała zasypywać Gabę orzechowymi wafelkami, a z nim samym uprawiać seks i leżeć na tej kanapie, i patrzeć w sufit, nie miał nic przeciwko temu. Dopóki mieliby pozostać jako

400
jeden Sidar, jeden Gaba i jedna dziewczyna, jej obecność nie stanowiła problemu. Kłopotem było to, co sprowadzając się tu, przyniosła ze sobą. Każdy, kto wchodzi w czyjeś życie, zawsze bowiem coś ze sobą przynosi.

Ilekcio Sidar wsiał do powozu ciągnionego przez siwe konie LSD lub kasztanowe konie haszyszu i pędził nim na złamanie karku przez zwoje i zakręty swego mózgu, zawsze wywracał się na jednym zniechęcającym pytaniu: który? Gdy miał przed sobą dwa kubki, nie mógł się zdecydować, z którego ma się napić. Nie potrafił wybrać, którym z dwóch

ręczników ma wytrzeć twarz, którą z dwóch książek przeczytała. Wahał się między jedną płytą a drugą. Nie mógł sobie poradzić z żadną rzeczą, która występowała w dwóch egzemplarzach. Dopóki widelców, kubków, talerzy, garnków, tygielków do kawy było więcej niż jeden, dopóty kwestia, którego użyć, stawała się dlań źródłem głębokiej rozterki. Wiele razy zastygał z herbatnikiem z sezamem w jednej ręce, a maślanym ciasteczkiem w drugiej. Dopiero gdy spojrział na zegar, zauważył, że stoi w tej pozycji nieruchomy jak posąg od czterdziestu minut. Ale usiłując uwolnić się od konieczności dokonywania wyboru, brnął w jeszcze poważniejszy dylemat. Zaczynał się bowiem zastanawiać, co stanie się z drugą z dwóch rzeczy, gdy wybierze pierwszą. Przedmioty wołały do niego jak pisklęta, których matka nie zagoniła jeszcze do gniazda, otwierały szeroko dzioby i piszcząły: „Mnie, Sidar, wybierz mnie! Błagam, wybierz mnie!”.

A on nie chciał wybierać. Wszyscy uważali, że dokonał wyboru między Szwajcarią a Turcją. To nie było tak. Niczego nie wybierał, po prostu przyjechał. Pewnego dnia, choćby jutro, po prostu wyjedzie. Samobójstwo, o którym w ostatnim czasie zdarzało mu się coraz częściej myśleć, nie było, jak

401
się powszechnie uważa, wyborem jednej z możliwości. Było jedno jedyne jak Gaba. Po prostu miał go dokonać.

Sytuacja zmieniała się jednak diametralnie, gdy chodziło o sposób jego popełnienia. Możliwości sypały się wtedy jak z rękawa. Istniały przecież rozmaite metody uśmiercania się. i gdy Sidar wsiadał do powozu ciągniętego przez siwe konie LSD lub kasztanowe konie haszyszu, i pędził nim na złamanie karku aż do punktu zwanego samobójstwem, wywracał się znowu na tym samym skomplikowanym pytaniu. Gazowy piecyk w kuchni, sznur zwisający z jednej z przechodzących przez salon rur, żyletki w łazience i niebotyczne przęsła mostu nad Bosforem zaczynały wołać chórem: „Mnie, Sidar, wybierz mnie! Błagam, wybierz mnie!”.

— Nie możesz tu zostać — powiedział, starając się nie patrzeć dziewczynie w oczy.

— Przecież cię pytałam. Zgodziłeś się.

— Wiem. — Sidar przełknął nerwowo ślinę i spojrział na zwisającego z sufitu pająka. — Zmieniłem zdanie.

LOKAL NUMER 3

Cemal po wyjściu z piwiarni zamierzał iść prosto do domu. Jednakże czy to dlatego, że nie był w stanie iść prosto, czy może dlatego, że przeczuwał, iż może to być pożegnanie z dawnym miejscem pracy, ni stąd, ni zowąd znalazł się przed Pałacem Cukierczek. Starając się nie wdepnąć w worki ze śmieciami, roztaczające kwaśny odór, podszedł do murka i przechyliwszy się nad szczerzącym się zeń pistacjowozielonym napisem, popatrzył melancholijnie na zakład fryzjerski. W tym momencie

jednak dostrzegł coś, co sprawiło, że zapomniał o smutku, a w jego miejsce natychmiast wkradło się zaniepokojenie. Drżące światło świecy rozjaśniało wnętrze. Nie miał cienia wątpliwości, że pomocnicy wyszli stąd całe godziny temu, zamykając drzwi na klucz. Zmarszczył brwi i zaczął przypatrywać się nisko umieszczonemu balkonowi. Złodziej musiał się dostać do środka właśnie tędy.

Cemal nie był wzorem odwagi, ale wychyliwszy trzy duże piwa, nabrał absolutnej pewności, że potrafi sprawić, by komuś pofioletowało pod oczami, nawet jeśli jemu samemu przy tej okazji miałyby w nich pociemnieć. Minał worki ze śmieciami, chwycił nie wiadomo przez kogo wyrzucony po-

403
łamany wieszak na ubrania, przelaźł przez murek, przeszedł obok drzewa jedwabnego i jednym susem wskoczył na balkon. Tak jak przypuszczał, drzwi były uchylone. Z impetem wpadł do środka, zrobił dwa kroki w stronę stojącego przy świecy człowieka i... w tej chwili cofnął rękę.

Tamten na widok ciemnego zarysu postaci, która wskoczyła przez okno i najwyraźniej szykowała się do ataku, zerwał się na równe nogi, chwytając jednocześnie podgrzewacz do wosku. Celal nie był wzorem odwagi. Kiedy indziej zapewne spanikowałby, lecz tym razem przed przyjściem tutaj opróżnił do dna trzy kufle piwa. Jednakże czy to dlatego, że był mniej odporny na alkohol niż jego brat bliźniak, czy też dlatego, że miał wolniejszy refleks, nie udało mu się powstrzymać swej ręki wymierzającej z całej siły cios przeciwnikowi, choć w ostatniej chwili zorientował się, kogo ma przed sobą. Gdy przesłana przez mózg Celala komenda: „Stój!” dotarła do ręki, było już po wszystkim. Wystarczyły dwie sekundy, by podgrzewacz do wosku uderzył Cemala w ramię, tracąc pokrętko do regulacji temperatury.

Gdy ich ojciec w końcu wrócił z Australii do wsi, bliźniacy mieli dziesięć lat. Z zachwytem słuchali opowieści podziwianego ojca. Ciężko pracował, dużo zarobił i teraz przyjechał, by zabrać rodzinę do siebie. Miał tam na nich czekać dom żółty jak kukurydza, a przed nim ogródek i huśtawka zrobiona ze starej opony. Chłopcy ani na chwilę nie schodzili mu z kolan, zasluchani w jego opowieści, matka tymczasem pakowała walizki, rozdawała krewnym i przyjaciom rzeczy, które postanowili zostawić, i długo żegnała się z każdym sąsiadem z osobna.

404

W noc poprzedzającą wyjazd Cemal i Celal nie mogli z podniecenia zasnąć. Gdy tak przewracali się w łózkach z boku na bok, do ich pokoju ukradkiem wślizgnął się ojciec. Pogładził ich po głowach i pokazał im fotografię. Na zdjęciu widać było wielki dom, rzeczywiście żółty jak kukurydza. Przed nim był mały ogródek, dokładnie taki, jak opowiadał ojciec, i huśtaw-

ka. A na huśtawce siedziała, radośnie uśmiechnięta, pulchna kobieta. Rude wijące się włosy spłotła w gruby warkocz i upięła w luźny kok nad karkiem.

— I jak? Ładna, prawda? — spytał ojciec.

Bliźniacy nieśmiało przytaknęli. Nie przypominała kobiet, które widywali do tej pory. A już zupełnie nie była podobna do ich matki. Ojciec schował zdjęcie do kieszeni i znowu pogładził ich po głowach.

— Pojedźmy jutro tylko we trzech. Niech mama jeszcze zostanie. Pojedziemy tam, zobaczmy co i jak, a potem wrócimy i zabierzemy także ją.

Choć byli mali, a ich podziw dla ojca był wielki, obaj od razu pojęli, że to kłamstwo. Gdy ojciec wyszedł z pokoju i zostali sami, nie wymienili na ten temat ani słowa. Jakby nic nie słyszeli i nie wiedzieli, co ma się stać. Kiedy w końcu udało im się tej nocy zasnąć, obaj pragnęli, by rudowłosa kobieta tylko im się przyśniła, ale po przebudzeniu nie byli pewni, jak to było.

— Tak bardzo mi się wtedy podobało to, co opowiadał ojciec... — powiedział Cemal do brata bliźniaka, który na klęczkach rozglądał się za urwanym pokrętem regulacji temperatury. — Wielki kraj, piękna kobieta... — mruzczał pod nosem w zamyśleniu. — Sprzedałem za to własną matkę. Taki właśnie ze mnie padalec. Mamusię, która mnie urodziła, wykarmiła, wychowała, wymieniałem na tamto. Kurde, mówi się, że człowiek z wiekiem staje się materialistą, że życie go

405
do tego zmusza. Ale jak można być materialistą, skoro dopiero co wyszło się z kołyski?!

Następnego dnia pod byle pozorem skłonili matkę do wyjścia z domu. Gdy upewnili się, że dostatecznie się oddaliła, wszyscy trzej złapali za walizki.

— A co ty zrobiłeś? Ty nie zgodziłeś się sprzedać naszej matki! — mówił dalej Cemal, obserwując, jak brat włączył pod obrotowy fotel i wyciąga spod niego pokrętło. — Nie sprzedałeś swej duszy. Nie sprzedałeś człowieczeństwa. Powiedziałeś: „Pierdolę bogactwo, pierdolę dobrobyt”. Wskoczyłeś z samochodu. Wróciłeś ze względu na mamę. Próbowaleś i mnie do tego przekonać. Przez te wszystkie lata wciąż miałem przed oczami twój obraz, jak biegniesz za samochodem. Jak wołasz za nami. Biegłeś za nami aż do końca wsi.

Gdy Celal składał chusteczkę na pół, potem na cztery, osiem, szesnaście i za każdym razem przeciągle wycierał nią nos, włączyli prąd. Pobiegł więc do kuchni. Ale nim podał bratu szklankę, wlał do niej kilka kropli cytrynowej wody kolońskiej.

— Dzięki — powiedział Cemal.

— Zgubiłem but — odezwał się Celal.

Cemal starał się uchwycić sens tych słów, wpatrując się mętnym wzrokiem w płomień świecy, jakby żal mu było, że tak bezużytecznie się pali.

— Zgubiłem but — powtórzył Celal. — Gdy wsiadaliśmy do samochodu, spadł mi z nogi. Dlatego wysiadłem. Zawróciłem, by go włożyć. Ale nim zdołałem to zrobić, zobaczyłem, że nadchodzi mama. Ojciec też ją zobaczył i natychmiast włączył silnik. W jednym bucie już do was biegłem, ale nim zdążyłem dobiec, ruszyliście. Wołałem za wami, ile sił w płucach. Biegłem za wami aż do samego końca wsi.

Celal, który całe życie odczuwał ból dziecka porzuconego przez ojca, i Cemal przez całe życie odczuwający ból dziec-

406
ka, które porzuciło własną matkę, wpatrywali się na wpół ze zdziwieniem, na wpół ze smutkiem w swoje twarze, będące lustrzanym odbiciem drugiej.

— Jest jeszcze coś, o czym powinieneś wiedzieć — powiedział Celal. — Mama była prostą kobietą. Gdy wyjechaliście, załamała się. Nikła w oczach ze zgrzyoty. Polecili jej znanego hodźę. Poszliśmy do niego razem. Ten hodźa to był dość młody jeszcze facet, miał oczy jakby ze szkła. Podobno był ślepy. Żał mu się zrobiło matki. „Nigdy dotąd nie rzucałem złego uroku” — powiedział. — „I z całą pewnością nie rzuciłbym, ale tamtemu się należy. Pomogę ci. Sprawimy, że na drodze wyrosną mu kamienie, samochód pokoziołkuje, a jakby co, zatopimy też i statek. Nie dotrą do celu podróży. Tak zrobimy, jeśli chcesz. Powiedz, czy tego byś chciała?” Mamusia nic nie odpowiedziała. Płakała, jęczała, aż w końcu krzyknęła: „Tak, chcę tego!”.

To, co mówił brat bliźniak, docierało do Cemala z kilkusekundowym opóźnieniem, spływało do jego umysłu powoli, jak krople skapujące z topniejącego na słońcu sopła lodu. W gruncie rzeczy miał ochotę coś wtrącić, ale w tej chwili nawet poruszenie szczęką było ponad jego siły. Trzeba było nie wypijać tych trzech piw...

— Biedna mama tak osłabła, że nie była w stanie zrozumieć, co się do niej mówi. Hodźa wyjaśnił więc mnie, jak rzucić czar. Dał mi włosy kukurydzy, wlał do butelki wodę, nad którą zmówił modlitwę, i na kawałku papieru zapisał Bóg jeden wie co. „Włosy kukurydzy podziel na dwa pęki, mocno zwiąż. Połóż na papierze i zwiń, jakbyś zwijał papierosa. Potem wszystko spal” — powiedział. — „I wtedy usłyszysz głos. Będzie dochodził z ognia. Jeśli go usłyszysz, to znak, że wszystko robisz dobrze. Nie przestawaj. Nie dotykaj ognia. Niech wypali się sam z siebie. Gdy całkiem zgaśnie, wrzuć

407
popiół do wody i podlej nią krzak czerwonej róży. Reszta zrobi się sama”.

Znowu wyłączyli prąd. Słaby płomień świecy, korzystając z życzliwej ciemności, nabrał zycia.

— Jak tylko wróciliśmy do domu, mama powiedziała: „Dalej, zrób teraz dokładnie to, co powiedział hodźa”. Rozdzieliłem i związałem włosy kukurydzy w dwa pasma, jedno

grubsze, drugie cieńsze, starannie zawinałem w papier i pod-
paliłem. Żebyś widział mamę. Oczy jej niemal wyszły z orbit.
Dobry Boże, ile w tych oczach było nadziei, ile wiary, że jej
pomogę. Płomienie ogarnęły papier, a ja nie wierzę, cały czas
powtarzam sobie w duchu: „Nic się nie stanie, zupełnie nic!”.
A tu nagle słyszę głos, dokładnie tak, jak powiedział hodża.
Jakby ktoś krzyknął. I za chwilę znowu. Wydawało mi się,
że to twój głos. Byłem jak sparaliżowany, w końcu złapałem
wodę od hodży i chlust! Wylałem na ogień. Pssst! Płomienie
zgasły. Ależ poczułem ulgę! Mamie nic nie powiedziałem.
Wodę z popiołem wylaliśmy pod krzak róży. Poszliśmy spać.
Nad ranem budzi mnie jakiś dźwięk. Wstałem, patrzę: mama
w ogrodzie siedzi na ziemi i płacze: „Celal, co ja zrobiłam!
Jak mogłam zrobić coś takiego własnemu dziecku! Boże mój,
żeby tylko nic im się nie stało!” „Im obydwu?” — pytam.
„Obydwu!” — odpowiada. Patrzę, ręce ma całe poranione.
Żeby zniweczyć czar, złapała krzak róży i wyrwała go z ko-
rzeniami. „Nic im się nie stanie, prawda, Celal?” — pyta. „Nie
stanie!” — zapewniłem ją. „Może czegoś nie zrobiłeś tak, jak
kazał hodża?” „Nie zrobiłem wszystkiego dokładnie”. Ale się
ucieszyła, gdy to powiedziałem. „Brawo, mój mądry synku!”
— pochwaliła mnie i przytuliła z taką wdzięcznością, że od
razu zrozumiałem. Zrozumiałem, że ciebie kocha bardziej niż
mnie. Że syn, którego utraciła, był tym bardziej kochanym
synem...

408

Cemal poczuł, jak nagły dreszcz przeszywa jego ciało. Wy-
prostował się, by przymknąć drzwi balkonu, ale zakręciło mu
się w głowie i opadł z powrotem na miejsce.

— Święty mąż, pielgrzym, hodża.... Od tamtej chwili, Ce-
malu, stale czuję lęk... Nie dlatego, że w nich wierzę. Szczerze
mówiąc, nie wierzę w żadnego. Jeśliby mnie kto spytał, to wąt-
pię nawet, czy rzeczywiście słyszałem głos wydawany przez
znamię kukurydzy. Prawdopodobnie byłem wtedy tak prze-
rażony, że wydało mi się, iż coś słyszę. Ale od tej pory czuję
w głębi duszy jakąś niepewność. Gdyby jej we mnie nie było,
mama przewracałaby się w grobie. Takie mam wrażenie.

Na dwie długie minuty zapadła cisza. Dokładnie pośrodku
tego czasu włączyli prąd — pierwsza minuta upłynęła w ciem-
ności, druga — w świetle.

— To dlatego rozgniewałeś się, że żartuję sobie ze święto-
bliwego męża. Ale obiecuję, już więcej na ten temat nie po-
wiem słowa! Niech mnie, jeśli jeszcze raz otworzę usta...

Celal westchnął. Nie odpowiedział bratu, którego usposo-
bienie potrafiło przyjmować jedynie skrajne wartości na skali
zachowań.

— Zamknijmy ten zakład, jeśli chcesz. Jeżeli czujesz się
nieswojo, obcinając włosy tuż nad grobem świętego... Wynaj-
miemy lokal gdzie indziej! — wypalił Cemal z dobroduszną
naiwnością właściwą ludziom, którzy zapalali nagłą sympatią

do czegoś, czego przedtem nie znosili.

— Ależ skąd! Cóż podobnego! — roześmiał się Celal. —
Chyba mnie pomyliłeś z grzebieniem do tapirowania!

] LOKAL NUMER 9

— W grube baby w chustkach! W grube baby w chustkach! —
wrzasnęła Su, błyskawicznie wysuwając głowę przez okno
i równie szybko ją chowając, jak kukułka w dobrze nakręco-
nym zegarze.

Siedząc tuż przy oknie na samym końcu mikrobusu rozwo-
żącego uczniów, nieustannie wskazywała nowe cele. Siedzący
przed nią chłopcy z dmuchawkami na prażony groch czekali
w pogotowiu. Wskakując kolejno na miejsce koło okna, celo-
wali we wskazywane przez Su obiekty.

Kobiety w chustkach, które przyciągnęły uwagę Su, uwięzły
pomiędzy dwoma pasami ruchu. Skupiwszy się na nadjeżdża-
jących samochodach, próbowały przejść na drugą stronę ulicy.
Nie odwróciły się i nie spojrzały na szkolny autobus, który
z ogłuszającym hurkotem minął je z tyłu, ba, nie zauważyły
nawet ziaren grochu przelatujących ze świstem obok.

— W faceta z psem! W faceta z psem! — Su wyznaczyła
już nowy cel.

Jedno ziarenko wpadło do kaptura ubranego na sportowo,
opalonego mężczyzny. Terier miał mniej szczęścia niż jego
pan. Wykręcał łeb na wszystkie strony i poszczekiwał bez-
410

sensownie w różnych kierunkach, aż w końcu pojął, skąd ten
dziwny grad sypie mu się to na głowę, to na ogon. Pac! pac!
Pobiegł za mikrobusem jedynie na długość smyczy, po czym
zatrzymał się, wydając pełen rezygnacji skowyt, i czekał, aż
jego pan go dogoni. Jedno z ziaren musiało go trafić w oko, bo
patrzac za odjeżdżającym pojazdem, nieustannie mrugał.

— Woow! — jeden ze strzelców wydał okrzyk uznania dla
samego siebie.

Dzieciaki nie mówiły już „Ja cię kręcę!”, tylko „woow!”.

Trzy dziewczynki z kitkami, które zawsze siadały na samym
przedzie busa, zawsze miały ze sobą kasetę z muzyką pop
i kazały kierowcy, traktowanemu przez nich jak stary kum-
pel, puszczać ją sobie raz po raz, odwróciły się jednocześnie
i obrzuciły karcącym spojrzeniem sprawców zajścia. Ale Su
miała to w nosie. Gdy ścięła włosy na krótko, na dobre opuś-
ciła świat dziewczynek, z którego została wykluczona, gdy
tylko rozniosło się, że ma wszy. Od samego początku zresztą
nie udawało się jej w tym świecie znaleźć dla siebie miejsca.
W towarzystwie koleżanek przebywała jedynie w szatni przed
lekcją wychowania fizycznego i po niej. Traktowała je jak po-
wietrze. I jedyną rzeczą, jakiej od nich oczekiwała w zamian,
było to, by i one ją tak traktowały. Tymczasem one, wręcz
przeciwnie, zasiadały rzędem na ławce pośrodku wążutkiej
przebieralni, którą wypełniały chmurą duszących kwiatowych
woni używanych w jednym momencie rozlicznych dezodo-

rantów, i wkładając rajstopy, wymieniały porozumiewawcze spojrzenia i zaszyfrowane uwagi. Staraly się w ten sposób dać Su odczuć, że nie jest lubiana. Chłopcy zaś byli zupełnie inni. Dla nich wszy, zawszenie, odwszenie to było coś najzwyczajszego pod słońcem.

Wychyliwszy się do pasa przez okno, zagrała terierowi na nosie. Już miała usiąść z powrotem na swoim miejscu, gdy za-
411

uważyła przy ulicy zarośniętego mężczyznę przegrzebującego zawartość pojemnika na śmieci. Na ramionach zawiesił sobie torby, do których energicznymi ruchami wkładał wyszperane w beczce puszki. Co pewien czas przestawał, jakby wsłuchiwał się w jakiś głos dochodzący z wnętrza pojemnika i zadający mu pytania, na które musiał odpowiedzieć. Drapał się wtedy w głowę i w zamyśleniu pochylał nad śmieciami. Nosił obszarpany niebieskozielonkawy kombinezon i czerwono-brunatną czapkę. Przez dziury w nogawkach prześwitywały brudne kolana.

— W dziada! W dziada! — zawołała Su.

Chłopiec, na którego przypadła kolej, zajął pozycję strzelniczą, załadował porcję grochu do ust i z całej siły dmuchnął w papierową rurkę. W tym samym momencie jednak cel ostrzału przerwał swe zajęcie i wiedziony niezwykłym przeczuciem, odwrócił się. Jak skazańcy stojący przed plutonem egzekucyjnym i uśmiechający się do swych zabójców rozdziawił szeroko usta i... złapał w nie lecące w jego stronę ziarenka prażonego grochu, po czym połknął wszystkie, nie przeżuując. Przyłożył dłoń do piersi i lekko skinał głową, jakby serdecznie dziękował za poczęstunek.

Gdy mikrobus go mijał, ponownie otworzył usta z zamiarem pochwylenia drugiej salwy. Ale zorientowawszy się, że następna dostawa porcji prażonego grochu się spóźni, z niecierpliwością zazgrzytał poźółkłymi zębami. Chłopiec przy oknie wpadł w panikę. Cofnął się i schował rurkę. Su zastygła w osłupieniu i szeroko otwartymi oczami obserwowała tego najdziwniejszego, jakiego do tej pory w życiu widziała, niepodobnego do nikogo człowieka.

LOKAL NUMER 2

Dziewczyna wyszła, trzaskając drzwiami, a Sidar poczuł w sobie ogromną pustkę. Aż do wieczora czekał z nadzieją, że może mu wybaczy i wróci. W końcu zrozumiał, że nic z tego.

Założył psu obrożę i wyruszył z nim na długi spacer.

Cmentarz ormiańskokatolicki znajdował się w odległości dwudziestu pięciu minut marszu. Spośród stambulskich nekropolii tę lubił najbardziej. Aby Gaba mógł wygodnie przejść, otworzył na oścież ozdobną furtkę, której wygląd nie pozwalał się domyślać, jak przestronna i pełna światła przestrzeń znajduje się za nią. Na widok Sidara stróż, o kwaśnym jak ocet wyrazie twarzy, jak zwykle coś tam zaburczał pod nosem. Kiedyś z podejrzliwością śledził każdy jego ruch, ale z czasem

zobojętniał. Chudego, niechlujnie ubranego chłopaka uznał za nieszkodliwego świra i przestał sarkać, gdy ten pojawiał się na cmentarzu i za każdym razem oddawał mu pod opiekę swego monstrualnego psa.

Gdy Sidar wszedł na szeroką na trzy metry, wybrukowaną kamieniami aleję, od której prostopadle rozchodziły się biegnące między grobami ścieżki, pomachał do niego stary człowiek siedzący samotnie na ławce. Widzieli się już kilka-

413
krotnie i za każdym razem witali z daleka, ale nigdy dotąd nie rozmawiali.

— Znów przyszedłeś — powiedział staruszek, uderzeniem dłoni w ławkę zapraszając Sidara do zajęcia miejsca obok siebie. — A przecież młody jeszcze jesteś. Czyżby ci się spieszyło? Sidar bez słowa przysiadł na drugim końcu ławki. Zanim odpowiedział, odwrócił się i uważnie przyjrzał staremu człowiekowi. Musiał mieć co najmniej siedemdziesiąt pięć lat. Może i osiemdziesiąt. Jego oczy były jak paciorki: małe, okrągłe, granat owoszare.

— Nie brakuje tu przecież grobów dzieci — zaoponował Sidar.

— Nie powiedziałem, że jesteś za młody, by umrzeć. Powiedziałem, że jesteś za młody, by myśleć o śmierci.

Z oddali dobiegło ujadanie Gaby. Sidar nadstawił ucha.

Prawdopodobnie nie działa się nic niepokojącego. Pewno ktoś obcy poczęstował czymś psa. Gaba zawsze szczekał w ten sposób, gdy dostawał od kogoś nieznanego smakołyk. Znaczyło to: „Dzięki, jesteś niezwykle uprzejmy”.

— Dziś ja też myślałem o śmierci — powiedział mężczyzna wyraźnie spragniony rozmowy. — Rano zadzwoniła do mnie starsza siostra. W nocy miała okropny sen. Oboje byliśmy dziećmi i trzymaliśmy w rękach butelki z mlekiem, ale to mleko było jakieś dziwne — zlepiąło się w grudy i wychodziły z niego białe myszki wielkości mojego małego palca. Mama chwyciła nas za ręce i odciągnęła. Siostra jednak wróciła i choć wiedziała, że mleko jest zepsute, napiła się. Jak mama to zobaczyła, strasznie się rozgniewała. „Po coś to zrobiła? Popęłniłaś wielki grzech!” — krzyczała. Ale gdy siostra zaczęła płakać, mamie zrobiło się jej żal. Wzięła ją na ręce i pocieszała: „Nie martw się. Bóg na pewno ci wybaczy”. Ja też płakałem.

414

Gaba znowu szczekał. Zapewne ktoś obcy spróbował go pogłaskać. Stary człowiek i Sidar, choć widzieli, że z tego miejsca niczego nie zobaczą, mimowolnie odwrócili się w stronę furtki. Prawdopodobnie nie działa się nic niepokojącego. Ten rodzaj szczekania oznaczał: „Jeżeli dasz mi jeszcze jeden obwarzanek, może pozwolę ci się pogłaskać”.

— Mnie już od lat nic się nie przyśniło, a nawet jeśli, to i tak nie pamiętam. Ale siostra zawsze zapamiętuje sny. I jej

sny zawsze się sprawdzają. To kobieta o wielkiej kulturze. A żebyś ją widział, gdy była młoda... Żaden jej się nie podobał. Tylko czytałaby i czytała. Mama się martwiła, zabraniała jej, bo od tego siostra dostawała krwawień z nosa. Ale ona i tak czytała ukradkiem. Najczęściej powieści. Francuskie czytała w oryginale. Od dzieciństwa mam ten widok przed oczami: siedzi pochylona nad książką, bez pamięci o Bożym świecie, zaraz zacznie jej lecieć krew z nosa. Może powinienem ją zawołać, przestrzec... Nie wiem dlaczego, ale nigdy nie potrafiłem do niej podejść, gdy czytała. Po cichu ją tylko obserwo wałem, czekałem, aż pac! Z nosa spłynie jej kropla krwi. Na stronach książek, które czytała, pełno było takich czerwonych kropek. Ani nie dało się ich wytrzeć, ani wydrapać, zostawały więc. Prowadziła też pamiętnik. Nie rozmawiała z nami, tylko z nim. Pewnego dnia wróciliśmy z siostrą ze szkoły, a tu nie ma ani książek, ani pamiętnika. „Wszystko wyrzuciłam” — powiedziała mama. Twarz siostry zrobiła się szara jak popiół. Kochała mamę, kochała, ale myślę, że jej tego nigdy nie wybaczyła.

Szczekanie Gaby stawało się coraz intensywniejsze i coraz bardziej agresywne. Prawdopodobnie zdarzyło się coś, co nie przypadło mu do gustu. Oznaczało ono: „Skoro nie dajesz mi następnego obwarzanka, proszę, odczep się ode mnie!”.

415

— Ponieważ żaden się jej nie podobał, późno wyszła za męża. Jej mąż był okulistą. Miał gabinet w Cigli1. Bardzo się kochali. Nie mieli dzieci. Potem szwagier zginął. Przechodził na drugą stronę ulicy. Nie wiem, co mu się stało, może stracił orientację i wszedł na jezdnię prosto pod koła samochodu. Kierowca w biały dzień go potrącił i uciekł. Spotkałem wielu ludzi, którzy osiwieli ze zgryzoty, ale tylko jedną osobę, która ze smutku zmaląła: moją siostrę. Stała się niziuteńka, maluteńka. Przestała jeść i pić. W całym domu powiesiła fotografie zmarłego męża. Tak jak wtedy, gdy jako młoda dziewczyna rozmawiała ze swoim pamiętnikiem, tak teraz rozmawiała z nimi. I wtedy popełniłem błąd. Sądziłem, że gdy usunę jej sprzed oczu rzeczy związane ze szwagrem, łatwiej jej będzie zapomnieć. Pewnego dnia w tajemnicy przed nią zabrałem zdjęcia oraz inne rzeczy i rozdałem je krewnym i przyjacielom. Tak jak nie wybaczyła mamie, tak nie wybaczyła mnie. Przeprowadziła się. Myślałem, że to wspomnienia nie pozwalają jej mieszkać w dawnym domu, tymczasem okazało się, że nie może w nim mieszkać, bo zabrakło wspomnień. Od tego czasu upłynęło już tyle lat, a nigdy nie wpuściła mnie za próg swojego mieszkania. Nie wyszła ponownie za mąż. Żyje tak samotnie. Spotykamy się zawsze w cukierni. Tak jest już od lat. Jej sny zawsze się sprawdzają. Potrafi wyłożyć znaczenie każdego.

— A jak objaśniła ten swój sen?

— Powiedziała, że może umrze, nim wypełni się jej czas.

Z tego powodu pewnie mama tak bardzo się na nią rozgniewała.

— To znaczy popełni samobójstwo? — spytał Sidar z podnieceniem.

1 sziszli — jedna z dzielnic w europejskiej części Stambułu.
416

Ale stary człowiek, mrugając oczami podobnymi do paciorków, obrzucił go pustym spojrzeniem, jakby w ogóle nie miał tego na myśli, ba, jakby nie tylko słowo to nie przyszło mu do głowy, lecz w ogóle nie znał jego znaczenia.

W szczekaniu Gaby dał się już wyraźnie słyszeć histeryczny ton. Oznaczał: „Skoro nie odczepiłeś się ode mnie, zaraz sobie pójdę!”. Sidar miał jeszcze wiele pytań, które chciał zadać staremu człowiekowi, mimo to zerwał się z ławki. Gdy podszedł do furtki, tak jak się spodziewał, zastał rozpaczliwie ujadającego Gabę otoczonego wianuszkami ciekawskich i wielbicieli. Nim podbiegł do psa, zatrzymał się na moment i spojrzał za siebie. Chciał na pożegnanie pomachać staruszkowi, ale ten jakby nie dostrzegł, że pozostał sam na ławce — siedział odwrócony plecami i mamrocąc coś pod nosem, kontynuował swą opowieść.

LOKAL NUMER 9

Godzina 18.54. Su siedziała w fotelu. Jej cienkie jak patyczki nogi pokryte były, rozdrapanymi do krwi, śladami po ukąszeniach komarów. Ręce wsunęła w kieszenie szortów. Ani na moment nie odrywała wzroku od wolno przesuwającej się większej wskazówki zegara wiszącego na ścianie — jakby to miało sprawić, że czas zacznie płynąć szybciej. Nauczyciel zawsze pojawiał się punktualnie. Nigdy nie zdarzyło się, by spóźnił się nawet o pięć minut. Ale jego punktualność miała też złą stronę — nie zdarzyło się, by został nawet o pięć minut dłużej. W chwili gdy zaczynał lekcję, zdejmował z ręki zegarek na skórzanym pasku i kładł na stole pomiędzy nimi. I choć przez cały czas ani przez moment nie wydawał się znudzony, dokładnie po upływie godziny wstawał od stołu.

Godzina 18.57. Dźwięk dzwonka poderwał Su z fotela. Trzy minuty przed czasem!

Tijen Czyścioszka stała właśnie przy zlewie, zajęta usuwaniem kamienia, który osadził się na dnie imbryka. Dłonie o opuszkach palców obrzmiałych i pomarszczonych od wielogodzinnego moczenia w gorącej wodzie wytarła w śnieżnobiały fartuszek i skierowała się ku drzwiom. Zmierzyła ba-

418
dawczym spojrzeniem nauczyciela córki — wyglądał dobrze jak zawsze. Dobrze i czysto. Gdy zdejmował na progu buty i na beżowe skarpetki wkładał chodaki wyjęte z plastikowego kosza, matka i córka stały z boku, przyglądając mu się z pełną szacunku uprzejmością. Potem, stukając chodakami, cała trójka przeszła do salonu. Jak zawsze jeden koniec dużego

stołu był już przygotowany do lekcji: na białym obrusie stały dwa talerzyki z białej porcelany, a na nich ułożone były jednakowej grubości kawałki ciasta kokosowego. Obok leżały białe serwetki. Zeszyt ozdobiony motywem lilii był otworzony, ołówki miały starannie zaostrzone końce, a popielniczka stała w pogotowiu. W tym domu wolno było palić. Dla Tijen Czyścioszki pojęcie „brud” nie obejmowało bowiem dymu ani popiołu z papierosa.

— Nie będzie miał pan nic przeciwko temu, bym dalej robiła porządki, podczas gdy wy tu zajmiecie się nauką?

Przed każdą lekcją zadawała to samo pytanie. Udzieliłem na nie stałej odpowiedzi:

— Ależ bardzo proszę, pani Tijen. Proszę się mną absolutnie nie przejmować.

W tym momencie z łazienki wyszła nowa sprzątaczką z wiadrem pełnym piany w jednej ręce, a chodniczką o splątanych frędzlach w drugiej. Za nią pojawiła się Meryem ze sterczącym brzuchem. Jak trener bokserski albo łaźiebny miała przewieszony przez ramię śnieżnobiały ręcznik. Obie dreptały koślawo — dla ich potężnych ciał chodzenie w chodakach było bardzo niewygodne.

— A ty nadal jeszcze chodzisz sprzątać? — zdziwiłem się na widok Meryem.

— Nie, nie — zaprzeczyła gorączkowo Tijen Czyścioszka.

— Meryem zrezygnowała w zeszłym tygodniu. Postawiło mnie to w bardzo trudnej sytuacji. Na szczęście udało się nam zna-

419
leźć rozwiązanie. Meryem mówi, co i jak należy zrobić, a pani Esmā, dzięki Bogu, wszystko robi.

Na dźwięk swojego imienia pani Esmā, która wcale nie wydawała się zadowolona z takiego podziału pracy, niechętnie skinęła głową, wywracając podpuchniętymi oczami o zmęczonym spojrzeniu. Następnie wszystkie trzy panie, szurając i stukając chodakami, rozeszły się w trzech kierunkach, pozostawiając nauczyciela i uczennicę samych.

Godzina 19.00. Su przysunęła się na krzesło do stołu i z niechęcią spojrzała na zegarek, który opuściwszy mój przegub, bezlitośnie nas rozdzielał.

LOKAL NUMER 7

Gdy wróciłem po lekcji, Błękitna Kochanka jeszcze nie wyszła. W dodatku zaprowadziła nieco porządku w sypialni, rozmieszczając kilka kartonów, których nie otworzyłem od przeprowadzki. A przecież miała iść do siebie i przygotować kolację dla handlarza oliwą. Nie zastanawiałem się nad tym zbyt długo. Zdawałem sobie sprawę, że ostatnio nie najlepiej się między nimi układa.

— Powiedz, co chciałbyś zjeść.

— Makaron — odpowiedziałem.

Z początku ten pomysł nie przypadł jej do gustu, ale przekonało ją to, że był łatwy. Ja zająłem się gotowaniem makaro-

nu, ona zaś przygotowywaniem z ograniczonych składników, które akurat były w domu, sosu pomidorowo-tymiankowego. Myślę, że to z tego powodu mnie lubi. W przeciwieństwie do innych mężczyzn, którzy pojawiali się w jej życiu, oczekiwałem od niej dużo mniej, niż mogła mi dać. A w zamian otrzymywałem dużo więcej, niż chciałem.

Ledwie zasiedliśmy do stołu, gdy rozległ się dzwonek u drzwi. Jakie to dziwne dziecko z tej Su! Przyszła z książką 421

w ręku i powiedziała, że zapomniałem jej zadać pracę domową. Błękitna Kochanka zaprosiła ją do stołu, ale dziewczynka odmówiła. Gdy rozmawiały, wybrałem kilka ćwiczeń znacznie przekraczających jej poziom znajomości angielskiego. Skoro domaga się problemów na weekend, proszę bardzo, to coś dla niej.

— Najwyraźniej nie jestem jedyną sąsiadką, w której nieodparty urok szanownego pana budzi szybsze bicie serca — zauważyła Błękitna Kochanka, gdy wróciliśmy do stołu.

— Nie pleć głupstw, przecież to dziecko.

— No i co z tego? Dzieci się nie zakochują? Mój Boże, ja w jej wieku bywałam zakochana po uszy. Czyżbyś w dzieciństwie w nikim się nie kochał?

Nagle wydało mi się to wszystko jakieś dziwne. Błękitna Kochanka wspomina jakby odległą przeszłość, ale przecież od tamtych czasów mogło minąć wszystkiego dziesięć, najwyżej dwanaście lat. Między nią a Su jest tylko jedenaście lat różnicy.

— Nie słyszę odpowiedzi! Byłeś zakochany czy nie byłeś?

— powiedziała, chcąc przerwać ciszę.

Owszem, byłem zakochany, ale w mojej pamięci ten fakt nie zajął jakiegoś szczególnego miejsca. Była taka piegowata, wygadana, nieco przemądrzała dziewczynka. Razem chodziliśmy do szkoły i razem z niej wracaliśmy. Pamiętam, że robiła na mnie wrażenie. Do dziś nie spotkałem nikogo, kto miałby taką wrodzoną skłonność do kradzieży. Miała ochotę ukraść wszystko, co należało do kogoś innego. Podkradała owoce z sadu sąsiada, podprowadzała buty spod cudzych drzwi, chowała do kieszeni ołówki i gumki kolegów z klasy i dzieliła się nimi ze mną. W drodze do szkoły zachodziliśmy do wypełnionego ostrym zapachem warsztatu szewca, brzydala i nałogowego 422

wąchacza kleju. Ja go zagadywałem, a ona całymi garściami napełniała kieszenie zelówkami i gwoździami. Potem, nie wiadomo po co, przybijaliśmy niepostrzeżenie te zelówki po drodze do płotów, słupów, ławek, skrzynek, drzwi. Aż tu ni stąd, ni zowąd koleżanka wycięła mi paskudny numer i doniosła na mnie moim rodzicom. Ojca zbytnio to nie obeszło, za to matka, która przejęła jego obowiązki w zakresie reprimend, zrobiła z tego wielką aferę i wpadła w furję. Tylko że dziesięć dni później ojciec zmarł i siłą rzeczy przestała skupiać uwagę

na mojej przestępczej działalności.

— Jak miała na imię? — spytała Błękitna Kochanka, po raz setny potrząsając nad talerzem solniczką, jakby przysięgła sobie sprawdzić, czy zapas soli kiedyś się skończy.

Nie mogłem sobie przypomnieć. Nie pamiętam zresztą niemal żadnych imion kolegów z dzieciństwa. Wyznałem Błękitnej Kochance, że od zawsze zapamiętywanie imion sprawiało mi trudność, a większość z tych, które jakoś udało mi się utrwalić w głowie, i tak szybko potem z niej wypadła. Ale nie nadmieniałem, że ta moja cecha doprowadzała Ayszin do szału. Błękitna Kochanka nie pytała zresztą o moje małżeństwo. Być może dlatego, że miała dość opowieści o małżeństwie handlarza oliwą. A może była z tych, co pytają nie o niedawną przeszłość, ale o wciąż trwające dzieciństwo. Powiedziałem jej, że o wiele lepiej ma się u mnie sprawa z przezwiskami. Przezwisek nie zapominam tak łatwo.

— W takim razie wymyśl jakieś dla mnie — powiedziała, odstawiając wreszcie na stół solniczkę, której od tego potrząsania na pewno zakręciło się w głowie.

— Ty masz już przezwisko. Jesteś Błękitną Kochanką. Nie odezwała się. Nic nie powiedziała, ale poczułem, że spodobało się jej.

423

***>

Gdy się obudziłem, nie było jej przy mnie. Spojrzałem na zegarek: 3.33.

Była na balkonie. Wydawała się blada, jakby obudziła się pośrodku koszmaru i bała się zasnąć ponownie. Usiadłem obok niej na krześle i zapaliłem papierosa. Pod stolikiem dziesiątki mrówek pielgrzymowały do zaczynającego gnić kawałka melona, który spadł na ziemię. Podczas gdy owady gorączkowo pracowały, my siedzieliśmy w bezruchu, obserwując puściuteńką ulicę.

— Myślę, że ta dziewczynka wcale na ciebie nie doniosła — odezwała się Błękitna Kochanka. — Prawdopodobnie inną drogą musiało to dojść do twojej matki. Czemu miałaby na ciebie donosić? Byliście przecież współnikami przestępstwa. Wszedłem do mieszkania, przygotowałem podwójne porcje raki. Wzięła szklaneczkę z uśmiechem, ale tylko dotknęła jej brzegu ustami. Nie lubiła alkoholu. Ponieważ jednak stale trafiali się jej faceci, którzy chłonęli wódkę jak gąbka, wolała tego nie okazywać. Spojrzałem na jej twarz. A może się mylę. Oszukiwanie innych nie jest w jej stylu. Prawdopodobnie sama jeszcze nie wie, że nie lubi alkoholu.

— A ja myślę, że wręcz przeciwnie — powiedziałem. Jak wypiję swoją anyżówkę, wypiję także jej. Byle tylko na szklanecce nie zostawiła śladów szminki. — Współudział w przestępstwie sprawia, że ludzie potrzebują siebie nawzajem, ale może to być jedynie stan przejściowy. W gruncie rzeczy człowiek stara się przy pierwszej okazji uwolnić od osoby, z którą do-

konał wykroczenia. Albo odejdiesz ty, albo twój wspólnik. Przestępca ponoć wraca na miejsce zbrodni, ale nie wydaje mi się, by chciał wracać do wspólnika.

424

— Ooo, pięknie. Ale ma pan gadane, panie profesorze!

Szklanke, którą cały czas obracała w dłoni, odstawiała na stolik. Dobra nasza, nie ma śladów szminki.

— Studenci lubią cię słuchać?

— Pójdź kiedyś ze mną na zajęcia, usiądź w ławce, a sama zobaczysz.

— A jak będą się pytać, kto to? Co im powiesz?

— Powiem, że jesteś wolnym słuchaczem. Jesteś taka młoda — powiedziałem, głaszcząc jej policzek. W przytłumionym świetle blizna była zupełnie niewidoczna. — Albo jeśli chcesz, powiem, że jesteś moją koleżanką.

— Skłamiesz! — wzburzyła się nagle. — Czy ja mogę być twoją koleżanką? Porozmawiają ze mną dwie minuty i wszystko się wyda. Nie potrafię mówić o tym, o czym wy tam, na uniwersytecie rozmawiacie. Nie studiowałam. I w tym wieku na pewno nie zacznę!

W jakim wieku? Czasem mam wrażenie, że zapomina, ile ma lat. Dostrzegła, że mam zamiar zaoponować, więc szybko dodała:

— Koleżeństwo wymaga równości. Możesz się zakochać w kimś, kto nie jest ci równy, ale nie możesz się z kimś takim zaprzyjaźnić. Ty coś mówisz, on powinien rozumieć to w mgnieniu oka. Musicie być na tym samym poziomie. Ja i ty nigdy w życiu nie będziemy kolegami. Ani małżeństwem, ani kochankami. Mogliśmy być sąsiadami, ale i to spieprzyliśmy.

— Dlaczego nie moglibyśmy być kochankami?

Moja nie umalowana, niespokojna, młoda ukochana, zamiast mi odpowiedzieć, sięgnęła po odstawioną na stolik szklanke, o której miałem nadzieję, że już zapomniała, i upiła z niej potężny łyk. Natychmiast się skrzywiła. Po co się zmusza? Nie lubi tego i tyle.

425

— Moim zdaniem jedyne, czym możemy być, to wspólnicy przestępstwa — mruknęła, sięgając po zawilgocone orzeszki, by zabić nieprzyjemny smak w ustach.

Ulicą przejechał biały samochód o czarnych szybach, z radiem nastawionym na cały regulator. Błękitna Kochanka wychyliła głowę za balustradę i posłała za nim wiązanke soczystych przekleństw. Przyciągnąłem ją lekko do siebie i pocałowałem. Hałaśliwa muzyka cichła z każdą sekundą, aż w końcu nie było jej już słychać. W ciszy rozległo się brzęczenie komara. Bezczelny owad podstępnie zapikował. Wiatr ustał, kwaśny odór śmieci drapał w gardle. Błękitna Kochanka nie znalazła w miseczce ani jednego orzeszka. Dopitem swoją anyżówkę i sięgnąłem po jej. Przy następnym ataku komara ciszę przerwało moje klaśnięcie. Rozłożyłem dłonie i spojrzałem na

nie. Nie złapałem drania.

LOKAL NUMER 10

— Masz jakieś zmartwienie, Su?

— Nie, wszystko w porządku — odrzekła dziewczynka, rozprostowując się. Podręcznik do angielskiego zwinęła w grubym rulon.

— Zrobię dobrą kawę z mlekiem, serca się nam rozgrzeją. A ty wyjmij, proszę, dwie filiżanki z przeszklonej szafki — powiedziała Madame Babcia, uznawszy, że lepiej będzie nie okazywać nadmiernego zainteresowania nieproszonemu gościowi. Wcześniej zresztą podjęła postanowienie, że następnym razem pod byle pozorem nie wpuści dziewczynki do środka, by zniechęcić ją do przychodzenia, ale znowu zmieniła zdanie. Su spojrzała za zmierzającą do kuchni staruszką i westchnęła. W ten upał ostatnią rzeczą, jakiej miałyby ochotę się napić, była kawa z mlekiem. Ale co za różnica! Ostatnio najczęściej używanym przez nią określeniem było „gówniany”. Czy wypije gównianą colę czy gównianą kawę — żadna różnica. Wstała z fotela, drapiąc się po chudych jak patyki nogach, i otworzyła drzwiczki szafki stojącej w przeciwległym rogu salonu. Zajrzała do środka.

427

Czegóż tam nie było! Na szklanych półeczkach ustawione były rzędami odwrócone do góry dnem porcelanowe filiżanki, kieliszki do likieru i do szampana, kryształowe karafki, ozdobne ramki, srebrne łyżeczki i maluteńkie rzeźbione pudełeczko, którego przeznaczenia nie była w stanie się domyślić. Rozejrzawszy się, wybrała dwie lilaróżowe filiżanki z uszkami w kształcie pędów bluszczu. Ale nim sięgnęła po nie, wyjęła stojącą tuż za nimi okrągłą tacę z malunkiem pokrytym werniksem. Obrazek bardzo się jej spodobał. Mężczyzna o smutnym wyrazie twarzy, z wąsami, w czapce, trzymał w ramionach kobietę w sukni do kostek i znosił ją po drabinie. Kobieta oparła na jego ramieniu spowitą tiulem głowę i rozmarzonym spojrzeniem wpatrywała się w bezkresną dal, jakby nie znajdowali się na drabinie, z której mogli w każdej chwili spaść, lecz na szczycie wzgórza, skąd rozciąga się wspaniały widok. Jakby uciekali z bajki, której byli bohaterami. Za nimi widać było pojedyncze domy i gdzieś tam jasno-, gdzieś tam ciemnozielony las. Su z zaciekawieniem odwróciła tacę, jakby spodziewała się zobaczyć dalsze losy tej tak spokojnej pary. Z tyłu jednak nie było żadnego obrazka, jedynie z boku widniały pełne zawijasów litery tworzące napis: „Wiszniakow”.

Ustawiła na tacy filiżanki i nogą zamknęła drzwi szafki. Już miała odejść, gdy jej spojrzenie utkwilo w jednym punkcie. Drzwi salonu wychodzące na korytarz były na wpół otwarte, a za nimi... Za nimi było coś dziwnego.

Po cichutku podeszła i otworzyła je na całą szerokość. Otworzyła i zastygła, kompletnie zdezorientowana. Nie pomyślała

nawet, by odstawić tacę z filiżankami, i wciąż trzymając ją w rękę, zagłębiła się w korytarz wiodący w głąb mieszkania Madame Babci. Z każdym krokiem jej zadziwienie rosło, a jednocześnie rósł strach.

428

— Ile kostek cukru mam wrzucić?! — zawołała z kuchni staruszka.

Gdy na ponowne pytanie znowu nie doczekała się odpowiedzi, zmniejszyła płomień gazu pod garnuszkiem z mlekiem i poszła do salonu. Ujrzawszy pusty pokój, pomyślała najpierw, że dziewczynka sobie poszła, ale nagle spostrzegła otwarte drzwi na korytarz. Mimowolnie przyłożyła rękę do szyi. Nie było go tam. Podobne do koralików, granatowoszare oczy z niepokojem omiotły salon i dostrzegły leżący z boku na stoliku, pełen poczucia winy klucz. Staruszka pobladła. Z sercem podchodzącym do gardła jak najszybciej podreptała korytarzem w ślad za dziewczynką.

LOKAL NUMER 5

— Przebierajcie nogami! — krzyknęła synowa. — Przebierajcie nogami, bo je połamię!

Na te słowa dwójka dzieci, które ciągnęła za ręce, zaczęła jeszcze głośniej płakać. Siedmioipóllatek szedł spokojnie z tyłu. Świetnie się bawił. Za to jego matka nie mogła tego dnia uznać za udany. Prawdopodobnie wskutek skarg kasjerki z drugiego okienka koło południa w kinie niespodziewanie pojawił się sam właściciel, którego pracownicy oglądali wyłącznie od wielkiego święta.

— Wydaje się pani, że tu jest złobek czy co?! — ryknął i spojrzał surowo na Pięcioipóllatkę oraz Sześcioipóllatkę, wpatrujących się w przystojnego Aladyna i siedzącego obok niego po turecku brzuchatego dzina, którzy widnieli na afiszu, o wymiarach jeden na dwa metry, reklamującym nowy film. Od tego momentu maluchy bezustannie płakały.

— Wytrzymajcie jeszcze kilka dni, potem coś wymyślę.

— W głosie synowej pobrzmiwało poczucie klęski. Wiedziała, że to nieprawda.

W miarę zbliżania się do Pałacu Cukiereczek płacz dzieci stopniowo cichł. Na schodach zamienił się już w niewyraźne

430

buczenie, a gdy tylko przestąpili próg mieszkania numer 5, dwójka maluchów z krzykiem popędziła do dziadka, jak strzały wypuszczone z łuku. Hadzi Haci właśnie ucinał sobie drzemkę na kanapie, wypuściwszy z rąk egzemplarz Jusufa i Zulejki1, jednej ze swych czterech książek, których liczba pozostawała od lat niezmienna. Obudzony zniemacka tym niespodziewanym wybuchem miłości, nie wiedział, co się dzieje. Podpierając się rękami, starał się podnieść z kanapy, mrugając przy tym bez ustanku.

— Tato, zostawiam dzieci pod twoją opieką — powiedziała synowa, starając się nie patrzeć teściowi w oczy. — Muszę

wracać do pracy.

Hadzi Haci przytulił do brody wnuczkę i młodszego wnuka, co maluchom dodało odwagi, by zapłakać po raz ostatni. Synowa przez kilka chwil stała nieruchomo, z bólem przyglądając się tej scenie.

— Bardzo cię tylko proszę, byś okazał nieco zmiłowania i nie zatruwał tych młodziutkich główek bajkami — wymamrotała, sama nie wierząc w to, co mówi.

Drzwi się za nią zamknęły. Stary człowiek i trójka dzieci zostali sami. Wyczerpane płaczem maluchy głęboko westchnęły, dziadek pozbiierał wypadłe z brody włosy i w całym domu zapadła cisza. Jakby żadne z nich nie wiedziało, co teraz mają zrobić. Ale już po chwili Siedmioipółlatac uśmiechnął się, odchylając wielką głowę, a w jego oczach zielonych jak morska woda rozbłysły iskierki. On też był szczerze zadowolony z powrotu do domu. Wyjście sprawiło mu oczywiście przyjemność, ale obecność tylu ludzi patrzących na niego ze 1 Yusufie Zuleyha — miłosna opowieść na motywach biblijnego i koranicznego wątku Józefa i żony Putyfara. Temat licznych poematów, z których najśłynniejszy stworzył! perski poeta Ferdousi.

431

współczuciem sprawiała, że czuł się mały i obcy. W domu był przynajmniej jedynym władcą swego miniaturowego królestwa, panem swego życia krótkiego jak życie motyla.

— Dalej, dziadku! — zawołał. — Nie krępuj się, możesz swobodnie opowiadać!

LOKAL NUMER 10

— Ależ ma pani dużo rzeczy, Madame Babciu! — krzyknęła Su, ze zdziwieniem rozglądając się na wszystkie strony.

Gdy staruszka ją dogoniła, dziewczynka zdążyła dojść niemal do końca korytarza. Po drodze zajrzała już do trzech pokoi.

— Nie wszystko jest moje!

— A czyje?

— Różnych ludzi. Ja to tylko przechowuję — powiedziała Madame Babcia, nie odrywając wzroku od tacy z dwiema lilaróżowymi filiżankami. Bała się, że się potłuką, ale to niespodziewane zdarzenie tak ją wytrąciło z równowagi, że nie mogła wykonać żadnego ruchu, by wyjąć z rąk dziecka bojara i jego ukochaną.

Najbardziej jednak zaskoczona była Su. Dziecko wychowujące się w domu, gdzie dominowała biel, gdzie nieustannie wszystko było przecierane, myte, zamiatane i czyszczone, mimo to nigdy wystarczająco czyste, czuło się w tej chwili, jakby trafiło do czarodziejskiego ogrodu, którego istnienia nawet nie podejrzewało. Były tu wszystkie kolory z wyjątkiem białego. Trzy pokoje od podłogi do sufitu wypełniały

433

najrozmaitsze przedmioty wymieszane ze sobą i rozpełzające się po wszystkich kątach. Nie można było rozpoznać, które

są cenne, a które bezwartościowe. Panował tu nieopisany galimatias. Su nabrała nagle pewności, że mieszkanie Madame Babci jest wielokrotnie większe od mieszkania jej rodziców. Było znacznie większe niż pozostałe mieszkania w kamienicy, niż którekolwiek z mieszkań, jakie w życiu widziała. Mieszkanie numer dziesięć nie było mieszkaniem, lecz niezwykle skomplikowanym urządzeniem, złożonym z setek części i wyposażonym w tysiące guzików. Gdyby wyciągnąć z niego choć jedną część, zepsułoby się i przestało działać.

Wszędzie walały się zużyte długopisy, przepalone żarówki, wyczerpane baterie, podarte firanki, przedziurawione baloniki, przeterminowane lekarstwa, zniszczone ubrania, nie pasujące do siebie guziki, naklejki, których nie można już było do niczego przykleić, opróżnione kartusze, zapalniczki bez gazu, okulary ze stłuczonymi szklami, różnej wielkości pokrywki od słoików, wycofane z obiegu pieniądze, postrzępione skrawki tkanin, połamane bibeloty, pożółkłe fotografie, obrazki pozabawione ramek, urwane pompony, zmierzwiowane peruki, klucze zerwane z breloczków i breloczki, które straciły swoje klucze, kubki z obtłuczonymi uszkami, pozbawione smoczków butelki do karmienia niemowląt, wyblakłe abażury, porozrywane książki, różnej wielkości pudełka z kartonu, plastiku, drewna, miki i masy perłowej, puste butelki po mleku, patyczki po lizakach i po lodach, pojemniki po jedzeniu, lalki pozbawione głów, nóg lub rąk, parasolki z powyginanymi drutami, poczerńnięte durszlaki, dzwonki, które same już nie pamiętały, przy jakich drzwiach kiedyś brzęczały, pończochy, na których lakierem do paznokci próbowano powstrzymać lecące oczka, papier pakowy, klamki, zepsute sprzęty gospodarstwa domowego, zapisane zeszyty, wymięte czasopisma, puste flakony po

434

perfumach, buty bez pary, piloty do telewizorów, zardzewiałe żelastwa, spleśniałe cukierki, pierścionki, z których wypadły oczka, wyplatane ze sznurka uchwyty do wieszania doniczek, języki butów, gumki recepturki, klatki dla ptaków, klawiatury z nie dającymi się wcisnąć klawiszami, puszki z zapleśniałymi resztkami herbaty, opakowania tytoniu, różnokolorowe bransoletki, spinki do włosów, jedne ładniejsze od drugich, soczewki z lornetek... Gdy Su ze zdumieniem rozglądała się dookoła, jej wzrok padł na zwisającą ze stosu innych przedmiotów dużą sieć.

— Morze ją wyrzuciło — powiedziała Madame Babcia.

Z jej głosu przebijała duma.

— Jak to „wyrzuciło”?

— Gdy wieje lodos, morze bywa hojne. Zostawia na brzegu mnóstwo rzeczy. Fale się nimi bawią jak dzieci piłką. Rzucają je sobie, aż przyniosą na brzeg. Potem zostawiają je i odchodzą. Bo fale są jak ludzie. Szybko się nudzą. Nie tylko ja na to czekam. Wielu ludzi interesuje się tym, co przynosi morze. Ale Su już jej nie słuchała. Przyglądała się dziecięcemu

kapelusikowi z fioletowego aksamitu. Był śliczny i wydawał się całkiem nowy.

— A to skąd pani ma, Madame Babcia? — spytała, podając tacę z filiżankami właścicielce mieszkania. Sięgnęła po kapelusik, chcąc dotknąć mięciutkiego materiału.

Staruszka zawahała się przez moment. Ale stało się, co się stało, i już się nie odstanie. Jej młodziotka znajoma posunęła się tak daleko, że dalsze ukrywanie czegokolwiek przed nią nie miało najmniejszego sensu.

— Ze śmietnika — mruknęła. — Nie rozumiem, dlaczego wyrzucili taki śliczny kapelusik.

Su pogładziła go w zamyśleniu. Wyobraziła sobie Lumpa, który odważnie wystawił się na ich ostrzał, szczyrzył pożółkłe

435
zęby w złośliwym uśmiechu, wymachując z oddali wyciągniętą ze śmieci torbą pełną prażonego grochu.

— A to tutaj? Po co pani to zabrała?

— Nie są przecież potłuczone — stwierdziła staruszka, zerkając na puste fiołki po lekarstwach. — Takie buteleczki zawsze się mogą przydać. Nie należy ich wyrzucać.

Su popatrzyła na jej zęby. Były białe i czyste. Jak zęby jej matki.

— Jeżeli ci się podoba, weź sobie ten kapelusik. Jest w sam raz dla ciebie.

— Naprawdę mogę? — Duże oczy dziewczynki nabrały fiołkowego odcienia, gdy na jej twarz padł odblask fioletowego aksamitu.

Z radością sięgnęła po lusterko, które dostrzegła obok usypanego przy ścianie stosu puszek. Spojrzała i wybuchnęła śmiechem. Lusterko było powiększające.

— Oj, wielki Boże, zapomnieliśmy o mleku! — wykrzyknęła w tym samym momencie Madame Babcia. — Biegnij, biegnij, bo jeszcze zaczadziejemy!

Su na przedzie, Madame Babcia za nią, pobiegły pędem do kuchni, aż filiżanki na tacy zabrzęczały. Mleko w rondelku dawno wykypiało, zalewając pianą płytę kuchenki i gasząc płomień.

Gdy wyczyściły kuchenkę i wróciły do salonu, Su przez otwarte drzwi zajrzała jeszcze raz do korytarza i pokiwała głową, jakby chciała powiedzieć: „Ja cię kręcę!”. Dzieciaki nie mówiły już bowiem „woow!”, tylko znów „Ja cię kręcę!”. Usiadła na pierwszym z brzegu fotelu.

— Tu jest prawdziwy zamek śmieci! — powiedziała, wymachując energicznie nogami. — Chłopaki padną, jak to zobaczą!

— Ale chłopcy nie powinni się o tym dowiedzieć, Su! Nikt nie powinien o tym wiedzieć... — zaprotestowała staruszka,

436
podając dziewczynce filiżankę kawy z mlekiem i zaraz potem częstując ją białą czekoladą ze stojącej na stoliczku kryształowej bombonierki.

Bez namysłu Su włożyła do ust jedną czekoladkę i w tym momencie ogarnęły ją wątpliwości. A jeżeli ona także pochodzi ze śmietnika? Z niepokojem popatrzyła na starą kobietę, jakby z jej czoła można było wyczytać odpowiedź na to pytanie. Lecz nim czekolada zdążyła się rozpuścić w jej ustach, w umyśle dziewczynki zadźwięczała już następna ciekawa kwestia:

— Madame Babciu — spytała, zniżając głos. — Czy to z tego powodu tak okropnie śmierdzi w naszej kamienicy?

Lokal numer 3

— Do jasnej cholery, co się z tobą dzieje? W ogóle się nie odzywasz. Język połknąłeś czy co?! — zawołała zezowata blondynka, która raz w tygodniu przychodziła ufarbować włosy i za nic nie dawała się przekonać, że nie powinna robić tego tak często.

Cemal zignorował ją i dalej cierpliwie rozdzielał pasemka. Choć był zdecydowany nie odpowiadać na zaczepki klientki, gromadzące mu się w głowie słowa pod coraz większym ciśnieniem zbierały się przy ustach i pod byle pozorem wytryskiwały strumieniem połajanek na przyszczatego pomocnika. Chłopak, który miał nieszczęście spędzać ten wyjątkowo wrażliwy okres swego życia w zakładzie fryzjerstwa damskiego, besztany jak dziecko w obecności tylu kobiet, czerwienił się po cebulki włosów. A gdy jego udęczone spojrzenie napotykało wzrok Błękitnej Kochanki, czerwień zalewająca mu twarz przybierała odcień jeszcze o ton głębszy. Na tak intensywnym tle jego przyszcze przestawały jednak choć na chwilę być tak bardzo widoczne.

— Co mu się stało? — szepnęła Błękitna Kochanka do pochylonej tuż przed jej nosem manikiurzystki.

438

Nigdy wcześniej nie kazała zrobić sobie manikiuru, ale dziś wieczorem miała się po raz pierwszy od dłuższego czasu spotkać z handlarzem oliwą. Dostała od niego SMS-a, w którym napisał, że chce wstąpić wieczorem i pogadać. Facet co prawda nigdy nie przywiązywał jakiejś specjalnej wagi do wypielęgnowanych paznokci i wątpiła, czy w ogóle dostrzeże jakąś różnicę, ale siedząc tak i trzymając jedną dłoń w rozleniwiającej letniej wodzie z mydłem, Błękitna Kochanka pomyślała, że dobrze zrobiła. Nieświadomie przygotowywać się na spotkanie z mężczyzną, który pozostanie nieświadomy poczynionych dla niego przygotowań — oto zawilość kobiecej duszy. Manikiurzystka, leciutko wysunawszy język, całą uwagę skupiła w tym momencie na zadziorkach przy paznokciu.

— Jak Boga kocham, my też nie wiemy, co się dzieje. Od rana nabuzowany jak beczka prochu. Słowem się do klientów nie odzywa, tylko my co chwila dostajemy opieprz. Zachowuje się jak nałogowy palacz, który dziś właśnie rzucił palenie. Taki nerwowy. Może ma klimakterium — odpowiedziała ściszo-

nym głosem, nie odrywając oczu od paznokcia.

Cemal obrzucił gniewnym spojrzeniem szepczące do siebie i chichoczące dziewczyny. Pryszczaty pomocnik w obawie przed nową burą podał mu aż cztery płatki aluminiowej folii naraz.

— Pojedynczo, synu, podawaj je pojedynczo! — warknął Cemal, wykorzystując okazję do dania upustu wzbierającej w nim złości. W tym momencie poczuł czyjąś dłoń na ramieniu.

— Przyjdź za chwilę do kuchni — szepnął Celal, starając się, by klientki go nie słyszały.

W kuchni stanęli po obu stronach buzującego samowara.

Celal spojrzął czule na naburmuszonego faceta w koszuli koloru khaki, który był podobny nie tyle do swego brata bliźniaka, ile po prostu do samego siebie.

439

— Poddaję się — powiedział z uśmiechem. — Na miłość Boską rób, co chcesz. Bądź taki, jak dawniej. Gdy jesteś poważny, stajesz się nie do zniesienia. — Wyczuwszy, że słowa te mogły nieco urazić brata, położył mu dłonie na ramionach i ścisnął go po ojcowsku. — Atmosfera w zakładzie staje się nie do zniesienia, gdy nie zabawiasz klientek rozmową — dodał.

W kilka chwil później obaj bracia chwycili brzegi kotary oddzielającej niewielką kuchnię od salonu i jednocześnie ją rozsunęli. W tym samym momencie rozległ się chrzęst ceratowych fartuchów w lamparcie cętki i wszystkie głowy zwróciły się w ich stronę. Celal wyprostował się jak wychodzący na scenę stremowany aktor, który stara się dodać sobie odwagi, i delikatnie wypchnął przed kurtynę swojego brata bliźniaka.

— A teraz, chłopcze, zrób nam wszystkim po dobrej kawie — powiedział, mrugając porozumiewawczo do pryszczatego pomocnika. — Posiorbiemy sobie za zdrowie świątobliwego męża!

Cemal odwrócił się i zdziwionym wzrokiem zmierzył brata.

Po czym już nie taki spięty jak przedtem obdarzył wszystkich, nie widzianym od rana na jego ustach, pogodnym uśmiechem.

LOKAL NUMER 7

Z początku myślałem, że kłamie. Dzieci stale coś wymyślają. Popatrzyłem na zegarek. Lekcja powinna się skończyć piętnaście minut temu. Już miałem wstać, gdy mnie powstrzymała.

— Coś panu opowiem — powiedziała.

Pani Esmā, Meryem i Tijen Czyścioszka zebrały się w małym pokoju, zajęte wieszaniem świeżo upranych zasłon. Z dochodzących stamtąd rozmów można było wywnioskować, że pani Esmā stoi gdzieś wyżej, zapewne na drabinie, Tijen Czyścioszka ją podtrzymuje, Meryem natomiast nią dyryguje. My zaś w salonie szepczemy do siebie, by nas nie usłyszały.

— Jak Boga kocham, mówię prawdę — zaklinała się Su, dostrzegłszy w moich oczach powątpiewanie.

Starałem się wyglądać na przekonanego. Ale teraz to ona zaczęła mi nie dowierzać. Na wszelki wypadek kazała mi

przysiąc, że nikomu nie wspomnę o tym, o czym powiedziała. To jednak nie wystarczyło. Musiałem złożyć kilka wyjątkowo poważnych przysięg: najpierw na własny honor, potem pojedynczo na głowy wszystkich osób, które były mi bliskie. Wyłącznie z pragnienia, by z wielkich czarnych oczu Su zniknęła wreszcie obawa, bez szemrania spełniałem kolejno jej

441
życzenia, choć każda składana przysięga, zamiast ją uspokajać, nasilała dręczący niepokój. W pewnej chwili, zostawiwszy mnie przy stole, poszła, stukając chodakami, w głąb mieszkania. Wróciła. Patrzę, przyniosła Koran w zielonym futerale, taki malutki, jaki nosi się w torebce czy teczce. Trzymając go w dłoni, złożyłem kolejną przysięgę, byle tylko ją zadowolić. Gdy wypowiedziałem ostatnie słowo, zrozumiała, że nic ponad to nie może zrobić, że musi mi zaufać, i głęboko westchnęła. Nie mogłem się na nią gniewać. Miłość z każdego robi nieszczęśnika, nawet z dziecka.

— No już dobrze. Zamknijmy ten temat — powiedziałem.

— Nie obawiaj się. Moje usta są zapieczętowane. Nikomu nie powiem.

Skrzywiła wargi w nieśmiałym uśmiechu. Rozbawił mnie jej stan.

— Jeśli powiem, niech się w osła zmienię!

— Nie w osła, nie w osła! — zaprotestowała.

— A w co?

W jednej chwili cały jej niepokój znikł bez śladu, ustępując miejsca przeraźliwej radości. Krążyła, mizdrząc się i wymieniając nazwy najwstrętniejszych znanych sobie zwierząt. Starła się ustalić, jakie stworzenie jest najgorsze na świecie. Sowy przynoszą pecha, ale nie są wystarczająco paskudne. Szczury są okropne, ale nie dość odrażające. Widok karalucha może zemdląć, a pajaków można się bać. Krokodyle są brzydkie, meduzy niemiłe, skorpiony jadowite, szerszenie niebezpieczne. Świnie żyją w brudzie, sępy żywią się padliną, niedźwiedzie potrafią pożreć własne młode, a nietoperze wysysają krew. Jeżowce mogą pokaleczyć nam stopy, od dotknięcia ropuchy robią się na rękach kurzajki, a szczypawki wchodzą do uszu. Wyłazące z ziemi po deszczu dżdżownice, liszka wijąca się na liściu sałaty, pustosząca pola szarańcza, jaszczurka, która

442
uciekając, traci własny ogon, krążące nad stołem nieznośne muchy, komary krwiopijcy — wszystkie te stworzenia miały jakąś niesympatyczną cechę, ale żadne z nich nie było wystarczająco podłe. Nawet pijawka, która wydawała się wstrętniejsza niż cokolwiek, potrafiła się przysłużyć człowiekowi. Su szukała czegoś jeszcze gorszego, najgorszego. Czegoś nie przynoszącego pożytku ani sobie, ani innym, nie łączącego w sobie dobra i zła, zdecydowanie bardziej okropnego niż rozmaite, tyleż niepotrzebne, co niegroźne stworzenia, istniejące nie wiadomo po co, stworzone przez Boga tylko dlatego,

że zostało Mu jeszcze trochę gliny. Zamianą w taką właśnie potworną kreaturę zamierzała mnie postraszyć, jeżeli złamię złożoną przysięgę.

— Jeżeli szukasz najstraszliwszego stworzenia, zwróć uwagę na oczy. Istoty, którym możesz spojrzeć w oczy, są mniej złe niż te, którym w oczy nie zajrzysz.

Ta rada bardzo jej przypadła do gustu. Natychmiast wyrwała kartkę z zeszytu ozdobionego motywem lilii i przystąpiła do sporządzania listy takich stworzeń. Tak poważnie potraktowała tę kwestię, że nie mogłem ani zmienić tematu, ani wstać i wyjść. Starła się wybrać dla mnie najsurowszą karę za moją potencjalną zdradę, a ja jej w tym pomagałem, jak mogłem.

— Zamienię się w grzechotnika — powiedziałem, wciskając język między zęby i sycząc.

— Nieee!

— To może w piranię? — Otworzyłem jak najszerzej usta i głośno kłapałem zębami.

— Ooo, co to, to nieee!

— Ależ trudno cię zadowolić — powiedziałem, niby się dąsając.

Do tego momentu dobrze się bawiłem, ale nagle ogarnęło mnie zniechęcenie. Włożyłem zegarek na rękę. Ta idiotyczna

443
zabawa trwała już zbyt długo i nie wiem dlaczego, zaczęła budzić we mnie niepokój. Już zacząłem szykować się, by wstać, gdy Su krzyknęła:

— Już wiem, już wiem! Wcale nie trzeba było daleko szukać! Teraz będziesz powtarzał za mną, dobrze? — powiedziała, rezygnując ze zwracania się do mnie per pan.

Potulnie skinąłem głową. Stała naprzeciwko i spojrzała mi prosto w oczy.

— Jestem dorosłym facetem...

— Jestem dorosłym facetem...

— ...ale jeżeli komukolwiek zdradzę naszą tajemnicę...

— ...ale jeżeli komukolwiek zdradzę naszą tajemnicę...

— powtarzałem, mrużąc oczy i starając się nadać głosowi tajemniczy ton. Ona już się nie śmiała. W mrocznej głębi jej oczu migotały srebrzyste błyski, jakby wiły się tam czarne jak noc wodne węże.

— ...niech Bóg zmieni mnie w wesz! I do tego jak największą!

— ...niech Bóg zmieni mnie w wesz! — powtarzałem z naciskiem. — I do tego jak największą!

Zerwałem się z miejsca. Starąłem się przybrać jak najokropniejszy wyraz twarzy: zrobiłem zęza, przednimi zębami jak wampir przygryzłem dolną wargę, wysunąłem szczękę, nastroszyłem włosy, zmarszczyłem czoło, rozdałem nozdrza, podnosiłem i opuszczałem brwi. Nigdy jeszcze nie próbowałem udawać wszy. To wcale nie było łatwe! Nie mam pojęcia, jak może wyglądać twarz wszy. Nie wiem nawet, czy

ona w ogóle ma twarz. O wszach wiedziałem bardzo mało, że widuje się je tylko i wyłącznie z daleka i nie wiadomo nawet, do czego mogą być podobne. I jeszcze jedno: wszy są tak małe, że trudno je dostrzec gołym okiem, i są złe, bo nie patrzą w oczy.

444

Im bardziej się nad wszami zastanawialiśmy, tym więcej ustalaliśmy faktów. Być może to właśnie nadzwyczajna zdolność do życia z człowiekiem czyniła z nich tak złowrogie stworzenia. Wesz nie jest wrogiem szykującym się, by zaatakować człowieka z zewnątrz. Jest zarazą pożerającą go niepostrzeżenie od środka. Komar też pije krew, ale gdy zrobi swoje i dostanie to, czego chce, odlatuje, pozostawiając ofiarę w spokoju. Nawet gdy wbije żądło w żyłę, nie staje się częścią nas, lecz pozostaje czymś z zewnątrz. I jeśli uda się nam trafić i zabić komara, który dopiero co napił się naszej krwi, przez myśl nam nawet nie przejdzie, by doszukiwać się jakiejś więzi między nim a nami. Krew wypływającą z rozgniecionego owada odbieramy jako jego krew, nie naszą, i brzydzimy się jej. W wypadku wszy jest dokładnie odwrotnie. Stworzenie zwane wszą nie należy do świata zewnętrznego, lecz do nas, jest częścią nas samych. Ja też wyrwałem kartkę z zeszytu ozdobionego motywem lilii i zacząłem rysować. Skoro nie wiedzieliśmy, czy wesz ma twarz, a jeżeli tak, to do czego jest ona podobna, i skoro wesz była stworzeniem najgorszym na świecie, mogliśmy, pożyczając poszczególne części od innych okropnych stworzeń, zbudować potwora, a następnie oblec wesz w to wymyślone ciało. Gdy skończyliśmy, powstał dziwoląg nad dziwolągami. Ponieważ każdą część ciała miał od czegoś innego, przypominał wiele stworzeń, ale jednocześnie nie był podobny do żadnego z nich. Oczy, jedno od żaby, drugie od sowy, umieszczone obok siebie wyglądały nader dziwacznie i nadawały potworowi nieco otumaniony wyraz twarzy, jakby ktoś zdzielił go młotem w łeb. U dołu kartki umieściłem niewielki podpis: „Zapijaczona wesz”.

Su spojrzała na rysunek i zaczęła chichotać.

— Super! Dokładnie tak! Jeżeli nie będziesz trzymał języka za zębami, Pan Bóg zmieni cię w coś takiego!

445

Chciałem udać, że się przestraszyłem, ale nie wytrzymałem i roześmiałem się. Su chciała udać, że się obraziła, ale nie wytrzymała i roześmiała się.

A potem ni stąd, ni zowąd zamilkła, jakby skarcił ją ktoś niewidzialny. Na jej twarzy malował się wyraz bezradności jak u kogoś, kto zorientował się, że wypowiedział słowa, których nie da się cofnąć. I właśnie wtedy przyszło mi na myśl, że to, co mi opowiedziała, może być prawdą.

LOKAL NUMER 6

— Mówiłam ci, byś nigdy nie traciła wiary w Boską opatrzność, Loretto. Odzyskałaś pamięć, więc teraz musisz być szczęśliwa.

Tak bardzo zasłużyłaś na to, by być szczęśliwa — powiedziała mamka do młodej kobiety, która właśnie dowiedziała się, że zostanie wypisana ze szpitala.

— Jakie to dziwne — powiedziała Loretta, otwierając szeroko zielone oczy, podkreślone grubo nałożonym seledynowym cieniem. — Dawniej jedynym moim pragnieniem było przypomnieć sobie przeszłość. Ale teraz chcę się od niej uwolnić. Rozpocznę nowe życie, nianiu. I już cię nigdy nie opuszczę!

— Widzisz, Loretta już nas nigdy nie opuści — powiedziała JegoŻonaNadia do owada, szamoczącego się w słoiku, który obracała w dłoni. — Ale ty, *Blatella germanica*, opuścisz nas, prawda?

Pod koniec ubiegłego stulecia, pewnego mglistego, ponurego dnia pośrodku zaśmieconej, pełnej błota ulicy pewien naukowiec, doktor Howard, stał się świadkiem przemarszu całej masy karaczanów z gatunku *Blatella germanica* i w podnieceniu natychmiast opisał to zjawisko w swoim sprawozdaniu. Stado prusaków składało się niemal wyłącznie z samic

447
i gdy doktor Howard je napotkał, właśnie opuszczało zamieszkiwaną dotychczas restaurację i szykowało się do przejścia na drugą stronę ulicy. Przemarsz trwał około trzech godzin. Gdy owady dotarły do wybranej nowej siedziby, zamieszkały w niej. Doktor Howard zaczął badać, jakie mogły być przyczyny opuszczenia restauracji przez prusaki, nie znalazł jednak satysfakcjonującej odpowiedzi. Jeśli zdołał się zorientować, tego dnia nie wydarzyło się tam nic nadzwyczajnego. Nie przeprowadzono szeroko zakrojonego sprzątnięcia ani dezynsekcji. Pozostał więc jeden tylko czynnik: tłok! Skoro owady te, ze swej natury i z konieczności nie przepadające za życiem w kupie, zdecydowały się opuścić swoje siedziby, choć nie spotkała ich tam żadna katastrofa, i do tego porzucić samców, musiało być ich w restauracji rzeczywiście dużo. Setki wyruszyły w drogę, co oznaczało, że tysiące musiały pozostać na miejscu.

JegoŻonaNadia przysunęła słoik do nosa i zezując, zajrzała do środka. Pojawienie się na podłodze garderoby (gdzie przechowywała lampki z kartofli) tylu osobników z gatunku *Blatella germanica*, i to w biały dzień, mimo że owady te nie znoszą światła jak diabeł święconej wody, oznaczało, że musiały tu skądś przywędrować. A skoro tak, to gdzieś w pobliżu musiały być ich setki, a nawet tysiące.

LOKAL NUMER 7

Wieczorem w kuchni podgrzewałem właśnie resztkę wczorajszego makaronu, gdy dzwonek u drzwi zabrzączał wściekle, jakby się miał urwać. Otworzyłem. Takiej jej jeszcze nie widziałem.

— Spotkało mnie nieszczęście — wyjęczała.

Pod oczami porobiły się jej obrzmiałe worki w kolorze

zbliżonym do surowego mięsa. Oczy straciły blask, a cera świeżość, a wraz z tym z jej twarzy zniknęła młodzieńcza promienność. Od częstego wycierania nosa skóra podrażniona na brzegach nozdrzy łuszczyła się płatami. To była zupełnie inna twarz. I przez to Błękitna Kochanka, której cała osobowość zawierała się w twarzy i która istniała poprzez swoją twarz, stała się kimś zupełnie innym. Gdy czekaliśmy, aż makaron się odgrzeje, podsunąłem jej moją lekko nadpitą szklaneczkę raki. Skrzywiła się ze wstrętem. Nie wypła ani łyżeczka, ale nim zaczęła mówić, odczekała, aż opróżnię szklanekę do połowy.

— Miał przyjść wieczorem — powiedziała szybko. — Wysłał mi SMS-a. Zrobiłam pastę z bakłażanów. W zasadzie miałam zrobić kurę po czerkiesku, ale jakoś mi się nie chciało. Byłam trochę zła na niego. Od dziesięciu dni się nie poka-

449
zywał. Dlatego robiłam pastę z bakłażanów. Też ją lubi. Nie tak jak kurę po czerkiesku, ale lubi. Cały dzień dusiłam te bakłażany. Spojrzałem na nią ze zdumieniem, ale nawet nie dostrzegłem, że jej słowa wydały mi się dziwne. Mówiła w pośpiechu, jakby w każdej chwili ktoś miał przyjść i powiedzieć, że czas jej wystąpienia się skończył. Do tego zasypywała mnie mnóstwem nieistotnych szczegółów. Nie reagowałem.

— Miał atak serca. Jadąc do mnie, dostał zawału — powiedziała, gdy skończyła wyliczanie dań z wczorajszego menu. — Zadzwonili ze szpitala. Mój numer wyświetlił się w jego komórce jako ostatni wybierany. Pewno myśleli, że jestem jego żoną...

— Bardzo mi przykro...

Na te słowa zaczęła szlochać, jakbym powiedział jej, że decyzja, na którą od dawna z nadzieją czekała, jest odmowna. Choć może uznała, że nie powiedziałem tego wystarczająco szczerze. Nie była w tym pozbawiona racji. Handlarz oliwą, którego nigdy właściwie nie poznałem, był dla mnie wyłącznie groteskową postacią, wyobrażeniem rywala, zarośniętego tłuściocha o brzuchu wylewającym się znad paska spodni, chociaż widziałem go zaledwie raz czy dwa, i to z daleka. Ale żał mi było mojej młodej kochanki. No i byłem zaskoczony. Przez cały ten czas nawet nie podejrzewałem, że mogła się tak mocno przywiązać do tego prostaka. I jakie to miało znaczenie, że gdy była ze mną, uwielbiała się z niego wyśmiewać, nie protestowała, gdy obgadywałem go wte i wewte, z przyjemnością słuchała wręcz obelżywych uwag o nim? Była do niego przywiązana. I to mocniej, niż sądziłem. Pogładziłem ją po włosach. Gwałtownie odepchnęła moją rękę.

— Nie rozumiesz! — krzyknęła ze złością. — To moja wina. Jeżeli ten biedak nie dożyje rana, wiedz, że to z mojego po-

450
wodu. — Z trudem przełknęła ślinę, jakby w gardle utkwiała jej ość. — Poszłam do świętego.

— Co? Co zrobiłaś?

— Trudno to nazwać pójściem. Meryem poddała mi ten pomysł. Miałam w domu jeszcze kilka butelek likieru bananowego. Przedtem zawsze jej go oddawałam. Ja likieru nie piję, a ona bardzo lubi. Zastanawialiśmy się, czy nie zaszkodzi to dziecku. W każdym razie ciężę z Muhammetem znosiła źle, a przedtem straciła trzech synków. Dwaj przyszli na świat martwi, jeden zmarł, jak miał pół roku. Kiedy Muhammet się urodził, nie ścinali mu włosów, miał długie jak u dziewczynki. U nas też był taki zwyczaj. Dopóki nie poszedł do szkoły, chłopak wyglądał jak dziewczynka...

Jestem ciekaw, czy w mózgach kobiet istnieje jakiś mechanizm, który nie pozwala im przejść od razu do sedna. Tyle szczegółów, tyle słów wstępu, tyle zazębiających się jedna za drugą, zawężających się do detali i nie zmierzających do istoty sprawy opowieści... Nalałem sobie nową porcję anyżówki. Popatrzyłem na puściuteńkie półki olbrzymiej lodówki. Nie ma nawet wody sodowej. Ale mogę przecież pójść i kupić.

— Meryem powiedziała, że Muhammet był stale poszturchiwany przez dzieciaki w szkole. Ale ostatnio zmienił się nie do poznania. Zniknął gdzieś tamten zahukany chłopaczek. Już koledzy go nie biją. To istny cud.

Nasz wielce religijny sprzedawca z naprzeciwka pewno jeszcze nie zamknął sklepu. Nie sprzedaje dżinu, ale tonik tak. Nie sprzedaje likieru, ale czekoladę z likierem i owszem. Oczywiście nie sprzedaje raki. Ale wodę mineralną do niej — tak.

— Tak stoimy i rozmawiamy, że ten jej dzieciak strasznie się zmienił, aż ona w końcu mówi: „Pomodliłam się o pomoc do świętego męża”. „Którego świętego męża?” — spytałam.

451

„Nieważne. Jeśli masz jakieś życzenie, wypowiedz je. Jeśli się spełni, powiem ci, który to święty mąż”. Kazała mi przygotować czystą chustkę. Napisałam na niej życzenie, złożyłam jak list na Hidrellez1 i dałam jej.

Odpuszczę sobie. Gdy ta opowieść się skończy, sklep religijnego sprzedawcy będzie już od dawna zamknięty, a on sam w swoim łóżku będzie śnił siódmy sen. Nie ma innego wyjścia, przyjdzie mi użyć wody z kranu.

— Powiedziała mi tak: „Jeżeli twoje życzenie się spełni, to dobrze. To będzie mój prezent dla ciebie. Dałaś mi tyle likieru bananowego. A jeżeli się nie spełni, nikt się o tym nie dowie. Po prostu chustka sobie powisi i tyle”. Tak mi właśnie powiedziała. A może ona tak nie powiedziała, tylko ja tak pomyślałam? Teraz nie mogę sobie przypomnieć.

To nie to. Jak się przedtem anyżówkę mieszało z wodą sodową, to teraz wymieszana z kranówką smakuje paskudnie.

— Napisałam: „Chcę się uwolnić od tej sytuacji”. A może napisałam: „Chcę się uwolnić od tego faceta”? Żebym to mogła sobie przypomnieć. Wszystko mi się płącze. Czego ja chcia-

łam, jak to rozumiał świątobliwy mąż... Facet umiera, a to wszystko przeze mnie!

Cała ta opowieść była tak idiotyczna, że nie mieściło mi się w głowie, by ona naprawdę mogła w to wierzyć. Ale jeżeli wierzy, to bólu, jaki odczuwa z tego powodu, nie mogę traktować poważnie. Tak to już bowiem jest, że aby można było szczerze dzielić z kimś jego cierpienie, trzeba przede wszystkim dzielić z nim tę samą prawdę: gdy utulamy dziecko, płacą 1 Hidrellez — święto nadejścia pory letniej, obchodzone w nocy z 5 na 6 maja. Według wierzeń tej nocy zstępują na ziemię prorocy Hidir i Ilyas, którzy obdarzeni są mocą spełniania życzeń. Dlatego przywiązuje się wtedy do gałęzi drzew życzenia wypisane na karteczkach lub szmatkach, a także monety czy modele domów jako symbole tego, co pragnęłoby się dostać.

452

czące, bo coś tam się zepsuło w jego tandetnej zabaweczce, gdy anorektyczkę, która popadła w depresję, bo sądzi, że waży za dużo, próbujemy przekonać, że wcale nie jest gruba, gdy cierpliwie znosimy bredzenie serdecznego przyjaciela, który zniecierpliwiony całym światem, bo nic niewarta kobieta rzuciła go dla innego zaledwie po dwóch tygodniach znajomości, gdy do czasu przybycia lekarza staramy się uspokoić chorego psychicznie, który uznał, że gołąb, co pewnego ranka zajrzał przez otwarte okno, ukradł mu duszę, dlatego teraz wylapuje je jeden po drugim na placu i zagląda im do dziobów. Możemy znajdować się tuż obok nich, ale ich bólowi przyglądamy się z odległości lat świetlnych. Dziecko, które płacze nad byle jaką zabawką, anorektyczka, która nie ma pojęcia o swoim rzeczywistym stanie, nieszczęśliwy przyjaciel, który nie dostrzega, że z powodu kogoś takiego nie warto rozpaczać, wariat, nieświadomy, że gołębie nie rzucają się na abstrakcyjne dusze, ale na całkowicie konkretne ziarna pszenicy — wszyscy mogą oczekiwać od nas zainteresowania, współczucia, pocieszenia albo wsparcia. I prawdopodobnie je otrzymają. Możemy im to zapewnić. Nie odmówimy im. Będąc świadkami, jak z powodu cierpienia wygadują głupstwa i jak z powodu głupstw cierpią, możemy poczuć do nich szczerą sympatię. Mogą się od nas spodziewać nawet miłości. Tylko niech nie oczekują, że będziemy dzielić z nimi ból.

LOKAL NUMER 10

W temperaturze dwudziestu siedmiu stopni i przy wilgotności powietrza dochodzącej do sześćdziesięciu pięciu procent muchy domowe w ciągu jednego, dwu dni przechodzą przez stadium jajeczek. Stadium larwalne trwa u nich od ośmiu do dziesięciu dni, a stadium poczwarki — dziewięć do dziesięciu. W wyniku badań laboratoryjnych, przeprowadzonych w podobnych warunkach, ustalono, że połowa populacji samców muchy ginie w ciągu pierwszych czternastu dni życia, a połowa populacji samic — w ciągu dwudziestu czterech dni. W temperaturze dwudziestu siedmiu stopni i przy wilgotności powietrza dochodzącej do sześćdziesięciu pięciu pro-

cent żywotniejsze niż muchy są prusaki. W takich warunkach bez pokarmu i wody mogą wytrzymać nawet dwadzieścia dni. Pijąc wyłącznie wodę, utrzymują się przy życiu do trzydziestu pięciu dni. We wspomnianej temperaturze i wilgotności powietrza młode wykluwają się z jajeczek po 27-30 dniach. Młode prusaki osiągają dojrzałość po 5-10 wylinkach. Średnia długość życia dorosłego owada to od sześciu do dwunastu miesięcy. Po tym czasie one też giną. Gniją i rozkładają się,

454
rozsypują i znikają, przestają być prusakami i stają się częścią innych organizmów.

Pokarmy, tak samo jak muchy i prusaki, również żyją w określonych ramach czasowych. W suchym i chłodnym miejscu pasteryzowane mleko przetrwa rok, chałwa z orzeszkami pistacjowymi — dwa lata, dietetyczne herbatniki z cynamonem — dwa lata, kawa rozpuszczalna w granulkach — dwa lata, guma do żucia o smaku poziomkowym — od dziesięciu do dwunastu miesięcy, czekolada z ryżem preparowanym — rok, tuńczyk w puszcze — cztery lata, cola w puszcze — pół roku, chipsy kukurydziane o smaku sera — pół roku. Umieszczone w lodówce filety rybne wytrzymują półtora tygodnia, ayran w pojemniku — tydzień, mozzarella — półtora miesiąca, paczkowany kurczak — od dwunastu do czternastu dni. Po tym czasie i one zaczynają umierać. Gniją i rozkładają się, rozsypują i znikają, przestają być sobą i stają się częścią innych organizmów. Gdy upłynie okres trwałości, w zamkniętych pojemnikach z herbatą czy tytoniem, pszenicą czy serem też zaczynają lęgnąć się robaki. Ubrania są pożerane przez mole, meble niszczone przez kołatki, ziarno pada łupem wołków zbożowych. W takich miejscach pojawiają się też prusaki. One są zresztą wszędzie.

Nawet przedmioty mają określoną długość życia, tak samo jak muchy i prusaki czy pokarmy. Śpioszki niemowlęce mogą przeżyć, średnio licząc, miesiąc do dwóch, podarowany dziecku pociąg na baterię — od jednej godziny do roku, prowadzony w okresie dojrzewania pamiętnik — od trzydziestu do sześćdziesięciu dni, sweter podarowany przez nie lubianego krewnego — dziesięć sekund, fajka nabyta z zamiarem rzucenia palenia, gdy dopiero po jej kupnie wyszło na jaw, ile wysiłku wymaga jej czyszczenie — jedno lub dwa nabicia, atrament do drukarki — od dwóch tygodni do trzech miesięcy, bilet kolejowy

455
wy — od jednej do dwudziestu godzin, fantazyjny bibelocik, który wzbudził zachwyty po pijanemu, po wytrzeźwieniu zaś przestał być taki śliczny — jedną długą noc. A potem i one umierają. Umierają i zostają usunięte — odstawione gdzieś na bok lub wyrzucone do śmieci.

Mieszkańcy miast spędzają cały dzień na wyrzucaniu różnych rzeczy. Każdy zostawia za sobą górę śmieci rosnącą z upływem tygodni, miesięcy, lat. I tak samo jak muchy, pru-

saki, pokarmy i przedmioty ludzie też mają określoną długość życia. Średnia dla mężczyzn wynosi sześćdziesiąt pięć lat, dla kobiet — siedemdziesiąt. Potem przychodzi koniec i ludzie umierają. Gniją i rozkładają się, rozsypują i znikają, przestają być sobą i stają się częścią innych organizmów. Gdyby tuż przed śmiercią przed naszymi oczami miały przesuwać się jak taśma filmowa nie wspomnienia, lecz wyrzucone przez nas odpadki, moment pożegnania z życiem musiałby się znacznie odwlec.

Gdy dwadzieścia pięć lat temu, straciwszy w wypadku męża, Madame Babcia samotnie zamieszkała w lokalu numer 10, znalazła tu rzeczy należące do kogoś innego. Sto osiemdziesiąt przedmiotów, które straciły właściciela i których termin przydatności do użycia dawno minął... Choć właścicielka Pałacu Cukiereczek w nadesłanym z Francji liście pisała, że jeśli chce, może pozbyć się tych przedmiotów w dowolny sposób, Madame Babcia nigdy nie zapragnęła ani jednego z nich wyrzucić czy sprzedać. Nie czuła złości, czytając list. Złość czuła kiedyś... I jeszcze wcześniej... Przypomniała sobie, jakiej krzywdy doznała, gdy była młodą dziewczyną i matka wyrzuciła jej powieści i pamiętnik, a potem po latach, gdy brat rozdał krew-

456
nym fotografie jej zmarłego w wypadku męża. Przypomniała sobie gniew, jaki ją wtedy ogarnął. Teraz już go nie czuła. Być może kiedyś nie troszczyła się o swoje rzeczy, ale od tamtej pory miała jak wytrwały strażnik pilnować cudzej własności. Bo teraz nie wierzyła ani w to, że rzeczy, które wbrew swej woli kiedyś straciła, należały do niej, ani w to, że rzeczy, w których posiadanie weszła mimo woli, należą do kogoś innego.

„...zarówno wyrzucanie przedmiotów, jak i zdobywanie ich na własność to czynności właściwe tym, którzy uważają się za ich właścicieli. Tymczasem przedmioty nie mają panów, mają jedynie dzieje. I czasem zdarza się, że te dzieje zawładną ludźmi, którzy z przedmiotami się zetkną...”

] LOKAL NUMER 7

Po zajęciach Ethel przyjechała po mnie swoim miodowym cherokee. Mój samochód został na parkingu przed wydziałem, a my pojechaliśmy jej nową zabaweczką. Milczała, jakby straciła mowę. Ale gdy tylko utknęliśmy w korku, język się jej rozwiązał. Wolałbym, by patrzyła przed siebie, bo jej styl jazdy staje się coraz gorszy. Zaczęła opowiadać o ostatnim etapie organizacji projektu nowego uniwersytetu i zauważyłem, że jej początkowy entuzjazm jakby nieco przygasł. Albo cała sprawa spaliła na panewce, albo Ethel postanowiła się z niej wycofać. Nie pytałem. I tak, jeśli nie dziś, to jutro, ale kiedyś na pewno o wszystkim mi opowie.

— No, mów, jak tam życie w kamienicy świrów? — spytała, gdy po pięćdziesięciu minutach mozolnego przedzierania się przez korki zasiedliśmy wreszcie przy zarezerwowanym stoliku. Miejsce było takie, jak lubię. Na samym końcu, pod

oknem. Ja usiadłem plecami, Ethel zaś twarzą do sali. Na pewno chce mieć oko na wchodzących i wychodzących. A niech sobie ma.

— Nawet nie pytaj. Wszędzie pełno robactwa.

458

— No proszę, znaczy się, robaki też przychodzą się zaba-
wić. Ty to masz farta! Ale ci się trafiło rozrywkowe lokum! Po
prostu dom wariatów, nie kamienica.

— Nie przesadzaj — zaoponowałem. — Być może poprzed-
ni dom był dokładnie taki sam, ale ja o niczym nie miałem
pojęcia. Jedyna różnica jest taka, że z sąsiadami z Pałacu Cu-
kiereczek utrzymuję jakieś kontakty.

— O tak, zwłaszcza z jednym z nich — powiedziała, wkła-
dając w jaśminową cygarniczkę pierwszego tego wieczoru pa-
pierosa i wypuszczając w moją stronę jedno za drugim trzy
kółka dymu.

Udałem, że nie słyszę. Nie miałem najmniejszej ochoty
na słowną utarczkę z Ethel. Ale moja nagła głuchota tylko ją
rozjuszyla.

— Ty z tą dziewczyną, mój drogi, nie wytrzymasz. Wiesz
dlaczego? Nie ze względów moralnych. Z powodu fasady. Te-
raz nie ma problemu, siedzicie w czterech ścianach, wyjadacie
sobie z dziobków, wszystko ślicznie, ładnie. Ale co potem?
Czy będziesz mógł się z nią pokazać wśród ludzi? Będziesz się
prowadzać pod rękę ze swoją młodziutką ukochaną, która ma
dwadzieścia dwa lata, edukację zakończyła na pierwszej klasie
liceum, jest niby bardzo wierząca, ale jednocześnie kompletnie
bez zasad i zupełnie nie wie, czego chce? Czy wydaje ci
się, że ktoś, kto ma tak dobrze poukładane w głowie jak ty,
wytrzyma z panienką, która ma w głowie chaos?

Nie starałem się jej odpowiedzieć. Obracałem wszystko
w śmiech. Po pewnym czasie znudził się jej mój temat. Oboje
nie byliśmy w humorze. Czekając na zamówiony półmisek
z różnymi owocami, snuliśmy przypuszczenia co do osób sie-
dzących obok, dzięki czemu utrzymywaliśmy wzajemne do-
cinki na możliwie niskim poziomie dokuczliwości. Ale okazało
się, że Ethel prawdziwą niespodziankę zachowała na koniec.

459

— Słuchaj, mój drogi, coś ci powiem, choć wolałabym, byś
się tego dowiedział nie ode mnie. A może nawet lepiej, że ode
mnie się dowiesz. Na kogo innego mógłbyś strzykać jadem?
Mniejsza z tym, abstrakcyjne komentarze zostawmy na póź-
niej. Najpierw konkretne dane. Oto bomba: Ayszin wychodzi
za mąż!

Błędem kelnera albinosa o pucołowatej twarzy, który od
początku zresztą traktował nasz stół po macoszemu, było
najgorsze z możliwych wycucie czasu i próba sprzątnięcia
talerza z nie dokończonym daniem. Nie jestem typem człowie-
ka, który w podobnych miejscach urządza awantury i czepia
się byle czego, ale nie znoszę, gdy zabiera mi się sprzed nosa

talerz, zanim o to poproszę. Być może kelnerom nie mieści się to w głowie, ale w tym mieście zdarzają się ludzie, którzy lubią bawić się resztkami jedzenia. Irytuje mnie, gdy natychmiast znikają ze stołu ości zjedzonej przeze mnie ryby, jakbym zrobił coś, czego należy się wstydzić. Jeżeli o mnie chodzi, najchętniej nie rozstawałbym się z moim talerzem aż do chwili, gdy wstanę od stołu. Mogę mieszać resztki z początku kolacji z nowymi daniami i cały wieczór poskubywać taką mieszankę. Nie odczuwam najmniejszego dyskomfortu, gdy na moim talerzu tłuszcz, sos, słony smak, przyprawy z dań gorących mieszają się z kawałkami owoców. Czasem tworzę z nich słodko-kwaśne kompozycje. Jeśli mi smakują, zjem, jeśli nie, pies je drapał. Ethel zna to moje przyzwyczajenie. Nie wtrąca się. Kelnerzy nie znają. Wtrącają się.

— Bardzo przepraszam. Właśnie rozwiódł się z żoną, to dlatego — powiedziała Ethel do kelnera, który nie rozumiał, czemu się złości, i sterczał tuż obok mnie z białym talerzem pokrytym mnóstwem rys. Wyczuł żartobliwy ton w jej słowach i szykując się do uśmiechu, zaczął rozsuwać blade wargi. W tym samym momencie jednak stwierdził, że na wszelki

460 wypadek lepiej zachować powściągliwość. Jego twarz zastygła, zawisła nade mną jak na wpół śmiejąca się, na wpół płacząca maska. — Bardzo proszę, może pan zabrać mój talerz. Ja jestem normalna. — Ethel wyszczerzyła zęby w szyderczym uśmiechu.

Kelner tym razem nie zdołał się oprzeć jej porozumiewawczym gestom i zabierając sprzed niej brudny talerz, do spółki z nią zachichotał.

— Moim zdaniem ten facet ma tyle wdzięku, co grabie — wzruszając ramionami, stwierdziła Ethel, gdy zostaliśmy w końcu sami. Przez moment myślałem, że ma na myśli kelnera. — Dobre serce, poczciwość granicząca z głupotą, ale w gruncie rzeczy prostak. Zgodny, udomowiony, bo oczywiście lubi życie rodzinne. Na pierwszy rzut oka widać, jak jest ograniczony. Z czterech stron płot. Dwa kroki i walisz łbem w deskę. Żeby doszukać się w nim choć grama spontaniczności, trzeba by przekopywać się przez siedem warstw jego przeszłości. Niewykluczone, że kiedyś w dzieciństwie była w nim jakaś odrobina szaleństwa. Wiercisz, wiercisz i może gdzieś z dna tryśnie jedna czy dwie krople jakiejś namiętności. A może i nie. Jeśli jesteś ciekaw, co to za typ, tak go opiszę: przy tobie wygląda jak stary borsuk! — powiedziała, chwytając mnie za rękę.

Okazuje się, że Ayzin poślubi starego borsuka. Nałożyłem kawałek melona na umazany sosem tarator¹ brzeg talerza.

— Wystające zęby ma kret czy borsuk? — spytała Ethel. Cofnęła rękę. Na moim nadgarstku pozostały ślady jej paznokci pomalowanych na odcień ultramaryny.

1 Tarator — sos z rozmoczonego chleba, jogurtu i czosnku, podawany do owo-

ców morza.

461

— Borsuk nie borsuk, wszystko jedno, facet jest brzydki jak noc. Rozumiesz, Ayszin stosuje metodę prób i błędów. Raz się na gorącym sparzyła, teraz trzyma się z dala od przystojniaków.

Po wyjściu z restauracji z większą pewnością usiadłem obok niej na fotelu pasażera. Po pijanemu prowadzi samochód znacznie uważniej. Bez problemów odwiozła mnie do Pałacu Cukiereczek. Na pogrążonej w ciemności ulicy błysnęła lakierem w kolorze miodu, wdepnęła gaz i odjechała.

Wdrapałem się na trzecie piętro i zatrzymawszy się przed drzwiami mieszkania naprzeciwko, nasłuchiwałem przez chwilę. Z wnętrza nie dobiegał żaden dźwięk. Choć wchodząc do budynku, nawet nie pomyślałem o tym, by ją zobaczyć, teraz bez namysłu nacisnąłem dzwonek. Zabroniła mi przychodzić bez uprzedzenia, ale tej nocy mogę chyba złamać ten zakaz. Handlarz oliwą dzień po przebytych zawale na pewno tutaj nie śpi.

Najpierw usłyszałem odgłos kroków. Sączące się przez wizjer żółte światło pociemniało. Przez dłuższą chwilę staliśmy tak po obu stronach drzwi. W końcu usłyszałem zgrzyt odsuwanej zasuwki. Drzwi otworzyły się powoli, jakby niechętnie. Błękitna Kochanka stała przede mną. Jej orzechowe oczy obrzuciły mnie przystawionym, nieczułym, pozbawionym ciepła spojrzeniem. Nie odezwawszy się do mnie słowem, ani miłym, ani niemiłym, odwróciła się i powłócząc nogami, ruszyła do salonu. Nie przejąłem się tym. Im dziwniej się zachowywała, tym lepiej się czułem. Włączyłem telewizor. W milczeniu zaczęliśmy oglądać telewizję. Pieśniarka, specjalizująca się w klasycznym tureckim repertuarze, ubrana w wyszywany

462

cekinami strój w kolorze wina, z ciałem obsypanym brokatem, opowiadała, co jej się przydarzyło. Otóż złamała sobie nogę na nartach, ale nie miała serca odwołać koncertu, na który sprzedano już bilety, więc zaśpiewała dla wielbicieli z nogą w gipsie. Stojący obok lekarz od czasu do czasu wtrącał kilka słów, wyręczając ją w odpowiedziach na zadawane za kulisami pytania dziennikarzy.

— Zmarł — powiedziała Błękitna Kochanka.

Popatrzyłem na nią tępo. Nie od razu zrozumiałem, kogo ma na myśli. Mój wzrok przesunął się z powrotem na ekran. Pieśniarka, która wydała mi się jeszcze bledsza, przesłała w stronę kamery pocałunek. Wyłączyłem telewizor. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Usiadłem obok Błękitnej Kochanki, wziąłem ją za rękę, ale nie odwzajemniła uścisku. Poszła się położyć. Była bardzo spokojna. Zbyt spokojna.

Posiedziałem samotnie w salonie jeszcze kilka minut, starając się zebrać myśli. Byłem przekonany, że dziś wieczorem nie

wypiłem zbyt wiele. Ale wypięm. Ogarnęła mnie monstrualna ociężałość. Nie mogłem szybko myśleć, od razu działać. Nie wiedziałem, jak mam pocieszać moją młodą kochankę, nie czułem nic, ani smutku, ani zaskoczenia. Chciałem tylko pójść do siebie, zwalić się na łóżko i wszystko odłożyć na potem, kiedy już się wyśpię. Lecz gdy udało mi się w końcu wstać, nie skierowałem się do wyjścia, lecz do sypialni. Położyłem się obok Błękitnej Kochanki, nasłuchując w ciemności wszelkich odgłosów, by zorientować się, czy śpi. Nie spała.

— Nie wyszedł z tego — szepnęła. — Zmarł o trzeciej nad ranem.

Dotknąłem jej policzka — był suchy. Nie płakała. Przysunąłem się do niej. Nie odepchnęła mnie ani nie przyciągnęła. Leżała jak pusty worek. Łóżko było ciepłe. Przytuliliśmy się. Zasnąłem.

463

W nocy obudziło mnie pragnienie. Wypiłem połowę płynu z plastikowej butelki stojącej w salonie na stole, i zaspany poszedłem do łazienki. Odlewając się, patrzyłem na pachnące mydełka leżące na szklanej podstawce na pralce, ustawione na brzegu wanny rumiankowe szampony, połyskujące przed lustrem flakony perfum, turkusowe gąbki do kąpieli, balsamy do ciała, najrozmaitsze, służące do tego czy tamtego przybory i kosmetyki do makijażu. Spuściłem wodę. Wśród tego mnóstwa drobiazgów natrafiłem nagle na bacznie przyglądające mi się dwie żyletki. Jedna spadła na podłogę, druga zsunęła się do wnętrza umywalki.

Oprzytomniałem. Szybko wróciłem do sypialni. Zapaliłem światło i ściągnąłem z niej prześcieradło. Otrząsając się ze snu, próbowała podnieść się i usiąść na łóżku. Sięgająca kolan koszula nocna w morskim odcieniu błękitu zadarła się jej do góry. Na lewej nodze niczego nie było. Niczego nowego. Za to prawą miała owiniętą ręcznikiem pokrytym rozlanymi ceglano-czerwonymi plamami. Ten prowizoryczny opatrunek był tak gruby, że aż dziw, iż go wcześniej nie spostrzegłem. Nie protestowała, gdy go odwijałem.

Zatkało mnie. Spod ręcznika ukazało się pięć długich na łokieć czerwonych cięć. Trzy nie wydawały się zbyt głębokie. Jakby zrobiono je z nieśmiałością lub niechcący. Jakby były wprawką przed zrobieniem dwóch pozostałych. Te zaś były straszne. Żołądek podszedł mi do gardła. Pobiegnęm z powrotem do łazienki. Nie znalazłszy tam niczego w szafkach, popędziłem do siebie. Gdy tak biegałem z wodą utlenioną i bandażami z jednego krańca trzeciego piętra na drugi, alkohol do reszty ulotnił się ze mnie.

Bez słowa przyglądała się, jak dezynfekuję i owijam bandażem jej rany. Potem na wpeł przepraszająco, na wpeł lekceważąco podziękowała mi i obciągnąwszy nocną koszulę

464

w morskim odcieniu błękitu, na której dziwnym trafem nie

było ani jednej plamki krwi, nagłym ruchem zwinęła się w kłębek. Zgasilem światło. Czekałem, by zapłakała, opowiedziała, odezwała się, przytuliła się do mnie, szukała u mnie schronienia. Lecz gdy w ciemności, skuliwszy się sama w sobie, pozostawiła mnie samego, musiałem pogodzić się z myślą, że jej zupełnie nie znam. Jakaż niewybaczalną naiwnością jest sądzić, że wystarczy rozchylić pochwę kobiety, by zajrzeć do całego jej ciała, że wystarczy wejść w nią, by przejrzeć ją dogłębnie...

LOKAL NUMER 10

W Stambule pierwsze śmieciarki i śmieciarze pojawili się w 1868 roku. Do tego czasu za oczyszczanie miasta odpowiedzialny był Cech Poszukiwaczy, działający pod kierownictwem zarządcy miejskich śmietników. Ówczesni śmieciarze, tak samo jak współcześni, mieli obowiązek uwolnić choć w części miasto nad miastami od tego, od czego całkowicie chcieli się uwolnić jego mieszkańcy. Ale jeżeli chodzi o sposób, w jaki tego dokonywali, zasadniczo różnił się on od współczesnych. Głównym celem zbierania przez Cech Poszukiwaczy tego, co miało być wyrzucone, było znalezienie tego, co nie miało być wyrzucone. Zanim zebrane na ulicach śmieci i odpadki, szmaty i brudy trafiły na wysypisko, zanosili je w koszach na brzeg morza i tam wysypywali, a następnie wielokrotnie przegrzebywali, przetrząsali, przepłukiwali. Bywało, że znajdowali w nich miedziane tabliczki, żelazne pręty, nie pogięte gwoździe, nie zniszczone tkaniny, nie poczerńnięte srebro, nie docenione przez kogoś prezenty, a jeśli im się poszczęściło, nawet drobne, ale cenne klejnoty.

Często pojawiali się na pogorzeliiskach. Ilekroć w Stambule, mieście pożarów, jakiś dom obrócił się w popiół, Cech Poszu-

466
kiwaczy po pewnym czasie wynosił w koszach pozostałe po nim zgliszcza. I tak jak zbierali to, co wyszukali w śmieciach, tak samo zbierali to, co znaleźli w popiołach. Poszukiwacze zbierali i wybierali. Śmieciarze natomiast zbierają i wyrzucają. Miasto zaczęło się stawać nowoczesne nie w momencie, gdy uświadomiono sobie konieczność zbierania wyrzucanych śmieci, lecz gdy uznano, że zebrane śmieci należy wyrzucać. A jeśli chodzi o Madame Babcie, była ona jedną z dawnych poszukiwaczy. Szukała w śmieciach tego, co nie powinno być wyrzucone. Jeszcze nigdy nie zdarzyło się jej czegoś nie znaleźć.

LOKAL NUMER 8

Mimo prawie nieprzespanej nocy wstałem wcześniej. Błękitna Kochanka poruszyła się niespokojnie, odgarniając przyklejone do czoła włosy. Zostawiłem ją, niech sobie śpi. Zapaliłem papierosa, poszedłem do kuchni. Jak zawsze lodówkę wypełniła po brzegi jedzeniem. Wszystko, co lubił handlarz oliwą. Zabrałem się do przygotowania śniadania. W czasach, gdy między

mną a Ayszin dobrze się układało, często późno wstawaliśmy w weekendy i jedliśmy długie leniwe śniadania. Teraz ona zapewne przyzwyczają do tego starego borsuka. Jeżeli facet jest taki, jak go opisywała Ethel, koniecznie powinienem się z nim spotkać. Nie dlatego, że mam nadzieję, iż coś się wydarzy. Chciałbym tylko, by mnie zobaczył. Może poznanie mnie stanie się iskierką, która podpali lont jego kompleksu niższości. Niech się potem pomęczy, by wypłukać z siebie kwaśny jak ocet smak obawy, że kobieta, z którą się ożenił, może pewnego dnia zapragnąć wrócić do pierwszego męża.

Pobrzękiwanie naczyń obudziło Błękitną Kochankę. Owinęta wzorzystym szalem, stanęła w drzwiach kuchni. Wciąż była blada, oczy miała nadal opuchnięte i podkrążone, ale wyglądała nieco lepiej niż wczoraj.

468

— Mam nadzieję, żeś się przestała obwiniać — powiedziałem, nalewając herbatę.

Winiła się. A ja obwinałem ją. Ją i wszystkich, którzy uważają się za bogów w swoim nie rozszerzającym się wszechświecie. Nie jestem w stanie pojąć, jak ktoś, kto z całej siły pragnie czyjegoś nieszczęścia, ale w oczywisty sposób niczego w tym kierunku nie zrobił i nie robi, może wobec przypadkowego spełnienia się swoich życzeń uznać, że odegrał w tym jakąś rolę. Nie mogę znieść, gdy ktoś wszelkie doznane krzywdy, wszelkie swoje problemy od dawna toczące go jak gangrena, których nie potrafi przeciąć jednym cięciem, jak się przecina wrzód, przypisuje jakiejś nadprzyrodzonej sile, traktowanej tak, jakby była wolna od wszelkiego zła, a jednocześnie stara się coś z tej samej nadprzyrodzonej siły uszczknąć i wykorzystać do czynienia zła. Złości mnie ten, kto w dzieciństwie pragnął śmierci młodszego brata, którego nie znosił, a gdy pewnego poranka to głęboko skrywane, zakazane marzenie się spełnia, przez resztę życia nie może uwolnić się od wyrzutów sumienia. Taki ktoś wzbudza mój gniew nie dlatego, że uważa się za osobę posiadającą wyjątkowe zdolności, lecz dlatego, że wydaje mu się, iż zło jest aż tak banalne. Świat jest pełen ludzi sądzących, że myśli gnieźdzące się w ich głowach, a nie przypadek, mogą być przyczyną straszliwego końca, jaki spotkał tych, którym skrycie zazdrościli, których z daleka nienawidzili lub którym jawnie i szczerze życzyli jak najgorzej. Nie chciałem, by Błękitna Kochanka się do nich zaliczała. Nie chciałem jej stracić. Chciałem otoczyć opieką tę naiwną niewolnicę, wierzącą, że jej bóstwo, które jednym „ożyj!” powołuje do istnienia wszechświat, jednym „umrzyj!” zabija wrogów.

— Zapomnij o tym całym świętym. To czysty wymysł

— powiedziałem, zsuwając połowę najlepszego omleta, jaki

469

udało mi się w życiu zrobić, na jej talerz. — Meryem tego świątobliwego męża, o którym ci mówiła, zapewne wymyśliła

sobie na podstawie napisu na murku. A ten napis zrobiłem ja. — Gdybym to mógł wiedzieć, co sobie w tym momencie pomyślała. Gdybym tylko mógł być pewien, że dobrze robię, mówiąc jej o tym. — Posłuchaj, bardzo mi przykro z powodu handlarza oliwą. I nie złość się, że stale o nim mówię w ten sposób.

Zmarszczyła brwi, jakby już miała coś powiedzieć, ale zrezygnowała.

— Mam nadzieję, że rozumiesz. Nawet jeśli pod murkiem spoczywają zamienione już w proch kości jakiegoś świętego, nic to nie zmieni. Bo-mo-ja-ma-ła-on-zmarł-nie-dla-te-go-że-ty-chcia-łaś-się-od-nie-go-u-wol-nić-a-le-na-ser-ce — powiedziałem, cedząc sylaby.

I zaczęło się. Przez jej twarz przemknął cień. Po raz kolejny stałem się świadkiem momentu, gdy w kobiecie, która dotąd patrzyła na mnie z miłością, zaczynam budzić nienawiść.

— Moja kochana, jeżeli będziesz samą siebie obwiniać i dalej cię swe ciało na kawałki, ilekroć wpadniesz w depresję, nie będę w stanie cię powstrzymać. Jeżeli jednak chcesz z tego wyjść, zrobię wszystko, co w mojej mocy, by ci w tym pomóc. Jeżeli zgodzisz się widzieć we mnie nie wroga, lecz przyjaciela, usiądźmy razem i porozmawiajmy o tym, co będzie dalej. Bo nic już nie będzie takie jak przedtem. Ale może być lepsze.

— Dlaczego skłamałeś? — spytała, przerzucając owładnięte pragnieniem pokuty spojrzenia przez most, który starałem się między nami zbudować.

— Jeżeli masz na myśli sprawę świętego męża, to nie uważam, że skłamałem. Chciałem jedynie uwolnić kamienicę od tego nieznośnego smrodu. Nie dać spokoju tym, którzy wy-

470
rzucają tu śmieci. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że ktoś potraktuje ten napis serio.

Zachmurzyła się. Znów pogrążyła się w najeżonym kolcami milczeniu. Zdobyłem się na ostatni wysiłek, by ją odzyskać:

— Gdyby smród, jak przypuszczaliśmy, rzeczywiście dochodził z zewnątrz, być może mój napis na coś by się zdał. Ale przez ten cały czas szukaliśmy jego źródła nie w tym miejscu, co trzeba. Rozchodzi się bowiem ze środka, z samej kamienicy. Poskutkowało. Patrzyła teraz na mnie z mniejszą niechęcią, a z większym zainteresowaniem. Podsunąłem jej bliżej talerz ze śniadaniem, którego wciąż nie tknęła. Wzięła widelec do ręki — to był balsam na mą duszę. Nagle poczułem szaleńczą radość. Miała spróbować omleta, którego sam usmażyłem. Będzie się ze mną znowu kochać.

— Zaraz ci zdradzę, kto jest naszym naczelnym śmieciarzem. Tylko uważaj! — słyszalna w mym głosie radość przez moment zabrzmiała w mych uszach jak nieprzyjemny zgrzyt. Nieważne. — Nasza szanowna sąsiadka, wdowa spod dziesiątki!

— Madame Babcia? — wyszeptwała Błękitna Kochanka.

— Nigdy w życiu w to nie uwierzę. Mylisz się. Ona by czegoś takiego nie zrobiła.

— Ależ zrobiła. Wypełniła mieszkanie śmieciami aż po sufit.

— Skąd wiesz? — spytała, mrużąc orzechowe oczy.

— Nieważne, skąd wiem. Mówię prawdę. Bóg mi świadkiem, to ona jest przyczyną tego najazdu robactwa.

Nie pomyślałem o tym wcześniej, ale nagle oderwane od siebie zdarzenia połączyły się w mym umyśle w całość.

— Nie wierzę ci. Nie uwierzę już w nic, co powiesz — oświadczyła, odkładając widelec.

— Ach, tak? — Nie starałem się już robić dobrej miny do złej gry. — A jeśli ci to udowodnię?

LOKAL NUMER 6

— Urządzimy wspaniałe przyjęcie, nianiu! Zaprosimy wszystkich. Nawet naszych wrogów! — wykrzyknęła Loretta, rzucając się w ramiona wiernej staruszki, zalewającej się łzami radości u drzwi kliniki.

Młody mąż, który tyle czasu starał się ją wyleczyć i którego w końcu rozpoznała, nie odstępował jej ani na krok. Zanim wsiedli do czekającego na nich samochodu, oboje odwrócili się i jednocześnie pomachali ciągle płaczącej mamce i ciągle uśmiechającemu się personelowi kliniki.

Jeszcze raz rzuciła okiem do wnętrza cuchnącej skórą torby w kolorze bursztynu i zasunęła suwak. Wyłączyła telewizor. Kukiełki teatru cieni z wyrzutem patrzyły na nią z kąta. Mogła co prawda wziąć inną walizkę, ale jakoś wybrała właśnie tę. Wyjeżdżała. Jej stan uśpienia dobiegł końca.

Tak samo jak owady również ludzie mają określony ekologiczny potencjał, czyli granice wytrzymałości. W obrębie tych granic są w stanie zareagować na niesprzyjające warunki, ograniczając swe funkcje życiowe. Procesy w ich ciałach zachodzą wolniej lub w inny niż zwykle sposób, dzięki czemu ich metabolizm może dostosować się do nowej sytuacji.

472

Dzięki temu konsekwentny stan uśpienia może występować w dowolnym czasie, na dowolnym etapie cyklu życiowego i powtarzać się wielokrotnie. Na przykład niektóre gatunki owadów mogą przetrwać zimę w postaci jaj lub w różnych stadiach larwalnych. Do momentu ustąpienia chłódów zatrzymują procesy przemiany materii lub spowalniają je niemal do zera. Aby jednak rozwój mógł bez przeszkód następować, okresy zastoju muszą po niezbyt długim czasie dobiec końca. Jeżeli niekorzystne warunki będą się przedłużać, metabolizm owadów zostanie zakłócony nieodwracalnie.

Aby uświadomić sobie coś, o czym wiemy, potrzebujemy jakiegoś znaku albo posłańca, który przybędzie możliwie z daleka, chwyci nas za ramiona i potrząśnie jak czereśnią w sadzie. Nie zawsze jednak ten posłaniec ma postać i wymiary

takie, jakich byśmy oczekiwali. Cała sztuka polega na tym, by umieć odszyfrować znaczenie znaku i rozpoznać posłańca. Gdy Nadia Onisimowna przyglądała się prusakom, od których roilo się w szafie, gdzie przechowywała lampki z kartofli, nagle ogarnęło ją wrażenie, że trwający już od tak dawna stan bycia Jego Żoną Nadią jest rodzajem uśpienia. Ograniczyła wiele ze swych funkcji życiowych, zesłała poniżej własnych możliwości, zamroziła proces przemiany materii. I jeżeli natychmiast nie wyrwie się z tej płycizny na głębsze wody, jej umysł dozna nieodwracalnych uszkodzeń.

Wracała. I zabierała ze sobą Blatellę germanikę, która sama przysłała do niej, by jej przypomnieć, że straciła orientację, szukając odmienności w jednostajności, że jest cudzoziemką nie potrafiącą przystosować się do miasta, gdzie przyszło jej żyć, jawnie zdradzaną żoną, niezdarną panią domu, której aszure nigdy nie osiągnęła właściwej konsystencji, ofiarą powtarzających się aktów przemocy ze strony pijaka, którego pragnienia nie zaspokończyłyby nawet winogrona Mędrca Leona, 473

głęboką pesymistką, szukającą otuchy w listach od dewotki, która w bulgotaniu dochodzącym z garnka słyszała głos Boga, biedaczką znużoną życiem, w którym każdy dzień był bliźniaczko podobny do poprzedniego, ślepą do tego stopnia, by próbować oświetlać je lampami zrobionymi z kartofli. Ale oprócz przypominania jej o samotności i nieszczęściu Blatella miała przede wszystkim uzmysłwić jej, że była ongiś i w gruncie rzeczy nadal jest uczoną, która świat owadów przedkłada nad świat ludzi.

KAMIENICA NUMER 88

CBaZac

Pierwszego maja roku 2002, w środę, o godzinie 13.05 przed Pałacem Cukiereczek zatrzymała się brudna biała furgonetka — z przodu, z tyłu, z lewej i z prawej strony pokryta mnóstwem mniejszych i większych napisów, z jednym bokiem ozdobionym wizerunkiem gigantycznej myszy ze spiczastymi zębami, a drugim postacią wielkiego, czarnego włochatego pająka. Przez okno wychylił głowę jej kierowca — osobnik w nieokreślonym wieku, z komicznym wyrazem twarzy, o marchewkowych włosach i odstających jak anteny satelitarne uszach. Nazywał się Krzywda Ózturk. Od ponad trzydziestu lat zwalczał robactwo, ale przez te wszystkie lata nigdy nie czuł awersji do swojej pracy jak owego dnia.

Doszedł już nieco do siebie, ale podjeżdżając do krawężnika, omiółł podejrzliwym spojrzeniem stojącą przy wejściu do budynku grupę piętnastu czy dwudziestu osób. Choć nie znał przyczyny, dla jakiej się tam zebrali, uznał ich za nieszkodliwych. Sprawdził adres na kartce, którą wręczyła mu rano, jak zwykle zbyt rozmowna, sekretarka: ulica Żurnalowa 88, Pałac Cukiereczek. Gadatliwa kobieta nie omieszkała zamieścić poniżej dodatkowej wskazówki: „Drzewo jedwabne przy

budynku". Krzywda Oztiirk, ocierając pot z czoła, z uwagą przyjrzał się rosnącemu przed budynkiem drzewu o kwiatach lekko purpurowych i różowych. To musiało być tutaj.

Nie mając jednak krztyny zaufania do swej sekretarki, którą i tak planował jak najszybciej zwolnić, Oztiirk postanowił samodzielnie sprawdzić tabliczkę z nazwą budynku i przekonać się na własne, potwornie krótkowzroczne oczy, że trafił pod właściwy adres. Mógł się co prawda zapytać o to stojących przed budynkiem ludzi, ale od lat zajmował się wszystkim osobiście i nikomu nie ufał, więc mu to nawet przez myśl nie przeszło. Zaparkowawszy byle jak, wysiadł z pojazdu. Nie zdążył jeszcze zrobić kroku, a jedno z trojga bawiących się nieopodal dzieci wrzasnęło jak oparzone:

— Patrzcie, patrzcie! Dżin przyjechał! Dziadku, dziaaadku! Patrz, dżin!

Dziewczynka szarpała za spodnie starszego mężczyznę z brodą przyprószoną siwizną, o szerokim czole, w takke na głowie, który odwrócił się i obrzucił niechętnym spojrzeniem najpierw furgonetkę, a potem jej kierowcę. Najwyraźniej ten widok nie przypadł mu do gustu, gdyż jego twarz nabrała jeszcze bardziej skwaszonego wyrazu — jednym ruchem przyciągnął trójkę swoich wnuków do siebie.

Krzywda Oztiirk, starając się tym nie przejmować, ruszył zdecydowanym krokiem w stronę tłumu. Odsuwając na bok ludzi zagradzających mu drogę, podszedł do budynku i odczytał napis na tabliczce, stwierdził, że dotarł pod właściwy adres. Wyjąwszy wizytówkę wciśniętą pomiędzy umieszczone jeden pod drugim przyciski dzwonek i włożywszy w to miejsce dwie własne, wskoczył z powrotem do szoferki i wrzucił wsteczny bieg. Jeszcze nie zdążył zamknąć drzwi, gdy ktoś wychylił się przez okno. Blondynka w ceratowej pelerynce w lamparcie cętki obrzuciła go zezującym spojrzeniem.

— Tym tylko pan przyjechał? Przecież to nie wystarczy!

— powiedziała, marszcząc starannie wyskubane brwi. — Mieli przecież wysłać dwie ciężarówki. Zresztą tyle śmieci to nawet dwiema ciężarówkami trudno będzie wywieźć.

Krzywda Oztiirk starał się zrozumieć, o co jej chodzi, a jednocześnie manewrował między dwiema ciężarówkami, które wjechały na ulicę z przeciwległych stron. Stracił jednak panowanie nad kierownicą.

Tego dnia przed Pałacem Cukiereczek oprócz furgonetki Krzywdy Oztiirka pojawiły się dwie czerwone ciężarówki i samochód prywatnej stacji telewizyjnej. Pod koniec dnia odjechały spod kamienicy ciężarówki wypełnione po brzegi śmieciami i samochód z telewizji z nagrany materiałem. Ekipa telewizyjna była zainteresowana sfilmowaniem i przeprowadzeniem wywiadu nie tyle z sąsiadami, którzy sprawiali

wrażenie nader chętnych do podzielenia się swymi odczuciami, ile z lokatorką mieszkania pełnego śmieci. Ta jednakże, po opróżnieniu mieszkania i przeprowadzeniu w nim dezynsekcji, mimo próśb i błagań nikomu więcej nie otworzyła drzwi lokalu numer 10.

Zdyszana Zeliz Ognista zamknęła za sobą drzwi pokoju i rzuciła na łóżko niewielką walizeczkę. Trzymając się jego poręczy, czekała, aż rytm serca wróci do normy. Kiepski dzień wybrała na ucieczkę z domu. Gdy tylko postawiła stopę za progiem kamienicy, znalazła się w samym środku obłądnego rozgardiaszu. Błada jak trup, znieruchomiła pomiędzy zbliżającymi się z dwóch stron czerwonymi ciężarówkami. Dookoła było nieznośnie czerwono. Kolor ulicy był ze wszystkich kolorów najbardziej bliski czerwieni.

„Nie mam czego żałować, tak czy siak nigdy nie opuszczę tego miejsca”.

Wzięła do ręki lusterko i przyjrzała się swojej twarzy. Cała była pokryta krostkami. Krostki były czerwone. Najpierw cichutko, potem coraz głośniej zaczęła płakać. Wtem usłyszała promienny głos. Ktoś z głębi mieszkania jej odpowiadał. Choć wciąż kręciło się jej w głowie i widziała mroczki przed oczyma, niepewnym krokiem zaczęła iść za głosem. W klatce przy oknie salonu kanarek zanosił się trelem.

„Nie masz się z czego cieszyć, tak czy siak nigdy nie opuścisz tego miejsca”.

LokAL NUMER 7

Często myślę o tym, o czym rozmawialiśmy tamtego dnia. Pamiętam każde jej słowo. A jeżeli chodzi o to, co się potem wydarzyło, wolałbym z pamięci wyrzucić wszystko do cna albo przynajmniej rzadziej sobie o tym przypominać. Najwyraźniej jednak klątwa Su częściowo działa. Jeśli nie moje ciało, to moja pamięć zaczyna w miarę upływu czasu przypominać wesz. Moja pamięć wczepiła mi się w głowę jak dobrze odżywiona wesz i chodzi sobie pomiędzy moimi myślami. Gdy ja codziennie zmagam się z zawsze tą samą przerażającą ewentualnością, ona nieustannie nabiera sił i rośnie. Wyobrażam sobie, jak moja pamięć, wydając trajkotliwe odgłosy, szwenda się to na zewnątrz, to w środku mojej głowy i gdzie znajdzie jakiś zaciszny kącik, tam składa jaja. Tysiące malutkich, paskudnych, bezczelnych stworzeń żywi się mną wbrew mej woli. Im jest ich więcej, tym większe mają apetyty. O różnych porach dnia głodnieją i wbijają zęby w moje ciało, a wtedy czuję ból, jakby w głowę wkłuwało się tysiące igieł, i głowa mi drętwieje. Nikomu o tym nie mówię. Gdy przebywam wśród ludzi, z trudem znoszę ich towarzystwo, dlatego staram się w miarę możliwości izolować i stale szu-

479
kam odpowiedzi na wciąż te same pozbawione odpowiedzi pytania.

Czy gdybym nie namalował na murze tego idiotycznego napisu, gdybym trzymał język za zębami, gdybym swego umysłu, w którym pokładałem tyle wiary, użył do dostrzeżenia, ile szkody może wyrządzić drugiemu człowiekowi krok, jaki uczyniłem dla własnej korzyści, czy wtedy to wszystko by się wydarzyło? Gdybym nigdy się nie przeprowadził do Pałacu Cukierczek, gdybym nie znalazł się wśród tych ludzi albo gdybym nie poznał ich sekretów, gdyby choć raz w życiu udało mi się nie być sobą, lecz kimś zupełnie innym, czy ta opowieść miałaby te same punkty zwrotne i zmierzałaby do tego samego przekłętego końca? Na te pytania mam dwie odpowiedzi. Jedną podsuwa rozum, drugą — serce. „Nie martw się! Ta katastrofa zdarzyłaby się prędzej czy później nawet i bez twojego udziału!” — mówi rozum. — „Wcale nie jesteś taki ważny, jak ci się wydaje, ani takim mąciwodą, jak się obawiasz. Czy to się stało z twojego powodu czy z innego, co za różnica, skoro rezultat byłby taki sam? Jeżeli ma ci ulżyć na duszy, nazwij to Fortuną. Bo czym innym niż działaniem Fortuny można tłumaczyć to, że każda tajemnica zawsze trafia w końcu do kogoś, kto ją wyjawia?”

Robi mi się lżej na duszy. Chcę jak najszybciej i jak najgłębiej uwierzyć, że rozum ma rację. A on mówi dalej, ośmielony tym, że przychylam się do jego poglądów: „Problemem nie są twoje nie kończące się słabości ani dziurawa jak sito wola. Czy ci się podoba, czy nie, to nie ty sprawiasz, że niemożliwe staje się możliwe”. W tym, co podpowiada rozum, jest pociecha kryjąca obelgę: „Stworzenie zwane człowiekiem jest pod pewnymi względami wyjątkowo prymitywne i nieudolne. Na jego życiu częściej odciskają swe piętno przypadki niż rezul-

480
taty zamierzonych działań”. Im bardziej jestem poniżany, tym bardziej czuję się rozgrzeszony.

Ale serce natychmiast protestuje: „Jeżeli nawet Fortuna istnieje, gdzież jest jej zdradziecka natura dziwki? Czyż nie przywykliśmy sukcesy przypisywać sobie, a winą za krzywdy obciążać wiarołomną, nadnaturalną siłę rodzaju żeńskiego? Czyż człowiek, zamiast kurczowo chwycić się ciemnych przesądów, nie powinien z góry założyć, że jest jedynym sprawcą tego, co w jego życiu się wydarza?”. W słowach serca kryje się oskarżenie pełne pochwał: „Stworzenie zwane człowiekiem jest pod pewnymi względami wyjątkowo skomplikowane i utalentowane. To, co uważamy za przypadek, podkreśla jedynie znaczenie tego, co jest wynikiem naszych osobistych działań. Skoro człowiek jest obdarzony taką mocą, jak dalece można mu wybaczać popełnione czyny?”. Im bardziej jestem wychwalany, tym bardziej czuję się winny.

Nie piję więcej niż kiedyś. Ale ostatnio więcej śpiam. Im większy jest mój niepokój, tym chętniej uciekam w sen. Sny, których zakończenia nie mogę sobie przypomnieć, sprawiają, że budzę się jeszcze bardziej niespokojny. Czy wyjdę, czy

zostanę w domu, nie robi już różnicy. Jakkolwiek daleko bym odszedł i tak nie uda mi się wyjść poza strefę smrodu dochodzącego z mieszkania numer 10. Po każdym moim przebudzeniu odór staje się jeszcze gęstszy, jeszcze bardziej kwaśny. Żaden fetor nie jest tak jadowity jak ten, nawet fetor śmieci. Przysłuchuję się rozmowom sąsiadów. Wyważą jej drzwi. Nie chcę być tutaj, gdy to zrobią.

Gdy wyłamano drzwi, do środka wpadło trzech ludzi w maskach, ubranych od stóp do głów na biało. Na przyniesionych noszach umieścili śmierdzące gorzej niż śmieci ciało wdowy. Przez wiele dni odmawiała jedzenia, picia i przyjmowania leków na cukrzycę. Po cichutku i niewzruszenie wyruszyła na spotkanie śmierci. Madame Babcia najwyraźniej nie była w stanie wytrzymać bez wody i jedzenia tak długo jak prusaki.

Gdy mężczyźni wyszli, mieszkanie numer 10 zostało ponownie zdezynsekwane. Zarówno na owady, jak i na fragmenty stu osiemdziesięciu przedmiotów, pozostałych ze zwałów, spadł deszcz kropelek rozpylonego w powietrzu środka owadobójczego. Ale bojarowi i jego ukochanej nic się nie stało.

482

W ostatniej chwili udało im się uciec. Po stu latach zeszli z drewnianej drabiny i opuścili pokrytą werniksem uroczą okrągłą tacę.

Pozostał na niej tylko cienisty las, miejscami jasno-, miejscami ciemnozielony. Las nie pachniał śmiercią, nie pachniał śmieciami, lecz jedynie cynamonem i śmietanką.

Gdy tylko wszedł do mieszkania, natychmiast wyciągnął się na wznak na kanapie i głęboko zaczerpnął powietrza. Od tak dawna niestrudzenie zastanawiał się, czym jest to cholerne samobójstwo, nieustannie o nim mówił, a tu ta staruszka, prawdopodobnie nie planując tego równie starannie, może aż do ostatniej chwili nawet nie myśląc o tym, popełniła je szybciej niż on. Podniósł się z kanapy, zapisał na małych karteczkach dziewięć poczynionych dziś spostrzeżeń i przyczepił je na suficie, gdzie tylko udało mu się znaleźć miejsce. Gdy umieścił ostatni karteluszek, postanowił nigdy już nie wypowiadać się na temat samobójstwa i przestać wałkować tę kwestię w głowie, gdyż:

1. Tak jak cywilizacja również samobójstwo ma swój Wschód i Zachód;

2. Umysł, skoncentrowany przede wszystkim na racjonalnym wyjaśnianiu sensu życia również samobójstwo rozważy dogłębnie, czując potrzebę określenia jego podstaw metodą systematycznej negacji. Kierujący się nim ludzie, gdziekolwiek żyją, samobójstwo popełniają na Zachodzie;

484

3. Większość samobójstw osób we wczesnośrednim, średnim i późnośrednim wieku następuje zgodnie z tym rozkładem geograficznym;

4. Bliscy osób, które popełniły samobójstwo na Zachodzie, nie są w stanie zaznać spokoju dopóty, dopóki nie znajdą zadowolającego wyjaśnienia przyczyn tego aktu, dlatego czują potrzebę przeprowadzenia odwrotnego procesu analizy przyczynowo-skutkowej;
5. Niektóre osoby popełniają samobójstwa nagle, pod wpływem chwili, nie uszczegółowiając go przedtem ani nie próbując usilnie wyjaśnić jego znaczenia. Takie osoby popełniają samobójstwo na Wschodzie;
6. Dzieci i starcy odbierają sobie życie przeważnie na Wschodzie;
7. Nic tak nie zbija z tropu jak samobójstwa ludzi starych, i-tak-już-bliskich-śmierci, oraz dzieci, przecież-tak-dalekich-od-śmierci;
8. Samobójstwa na Wschodzie, w przeciwieństwie do tych na Zachodzie, noszą w sobie jakąś tajemnicę;
9. Tajemnicy tej nie należy wyjaśniać.

LOKAL NUMER 7

Z początku kreśliłem wokół Pałacu Cukiereczek małe okręgi, prowadzące donikąd krótkie przechadzki. Potem okręgi te stawały się coraz większe. Z czasem zacząłem trafiać do dzielnic, do których nigdy przedtem nie zachodziłem. Szukałem napisów. Jak już raz zacząłem ich szukać, nie zdarzyło się, bym ich nie znalazł.

Gdy Ethel powiedziała, że chce mi towarzyszyć, nie sprzeciwiłem się. Gdy ja numerowałem napisy i notowałem, gdzie je znaleźliśmy, ona cyfrowym aparatem robiła im zdjęcia. Jej miodowym dżipem cherokee krążyliśmy po wyboistych uliczkach biednych dzielnic, gdzie zgiełku było w bród, a spokoju niewiele; rozbijaliśmy się po średniozamożnych dzielnicach, szpetnych i zarozumiałych, zdających się pałać żalem za wypuszczonymi ongiś z ręki okazjami; kręciliśmy się wokół starych pałacyków, zagłębialiśmy się w niezabudowane parcele, wdrapywaliśmy się na wzgórza. Napisy znajdowaliśmy wszędzie. Na placach, podwórzach, ścianach, rogach ulic, na obiektach zabytkowych i budynkach w stanie surowym, rozwalających się ruinach i świątyniach. Większość była namalowana farbą, ale zdarzały się też wypisane kredą, ołówkiem,

węglem, kawałkiem cegły na drzwiach, kartkach papieru, kartonie, tabliczkach. Były nawet wydruki komputerowe. Tak jak śmieci, tak i dotyczące ich napisy sypały się zewsząd.

Gdziekolwiek się pojawiliśmy, wszędzie zwracano na nas uwagę. Dzieciaki biegały za nami. Kobiety przez okna i z progów domów podejrzliwie obserwowały każdy nasz ruch. Przechodzący ulicą lub pracujący w okolicy mężczyźni otaczali nas i zasypywali pytaniami. Gdy musieliśmy podać im jakiś powód naszego zainteresowania napisami, mówiliśmy, że to szkolny projekt. Oczywisty bezsens tych poczynań budził ich poirytowany uśmiezek, ale gdy tylko padało słowo „szkoła”,

natychmiast ze zrozumieniem kiwali głowami. I zupełnie nie przeszkadzało im, że oboje z Ethel mieliśmy stanowczo zbyt wiele lat jak na studentów. Szkoła jest bowiem dla rodziców miejscem, gdzie polecenie nauczyciela usprawiedliwia robienie wszelkich głupot.

Znalezienie autorów nie było tak łatwe, jak odszukanie napisów. Przeważnie były to dzieła anonimowe. Nie wiadomo, gdzie byli ci, którzy je wykonali. Ale udało mi się ustalić, kto namalował napis na ścianie zrujnowanego ciemnoszarego budynku w dzielnicy Balat: „Nie wkurwiać mnie bo zeklnę tego co tu śmieci rzuca. Ten co tu wyrzuca rigips niech go zabierze i nie wyrzuca i nie wkurwia mnie”. Znały go bawiące się na ulicy dzieciaki. Nie pamiętały, jak się nazywa, ale wiedziały, czym się zajmował. Był woźnym na uniwersytecie. Do ubiegłej jesieni mieszkał tutaj z przykutą do łóżka żoną i z teściową. Podczas remontu sąsiedniego budynku robotnicy co chwila wyrzucali przed jego dom resztki płyt gipsowo-kartonowych. Zdenerwował się w końcu, wyszedł i namalował ten napis. Na jesieni zmarł, zaraz potem skończyła się budowa, ale napis wciąż widniał w tym samym miejscu.

— Wystarczająco już chyba zwracamy na siebie uwagę, więc może byś się chociaż przyzwoicie ubrała? — zaproponowałem

487
nowałem Ethel, gdy opuściliśmy dzielnicę, w której mieszkał woźny.

— Daj mi spokój. Nie chodzi przecież o mnie, lecz o ciebie — odwarknęła, zmieniając biegi. — To twój P.O.N.Z.S.S.P., nie mój! — Choć widziała, że dalej jezdnią się zwęża, dodała gazu. — Przecież to w celu realizacji Projektu Oczyszczenia Nieuleczalnie Zobojętniałego Sumienia Szanownego Pana znaleźliśmy się tutaj! Przez całe życie uważałeś się nie tylko za innego niż wszyscy dookoła, lecz także za lepszego. W końcu zauważyłeś, że spieprzyłeś dokumentnie co tylko się dało, więc by się pozbyć wyrzutów sumienia, chcesz teraz udowodnić, że jednak jesteś taki jak wszyscy. Wydaje ci się, że im więcej napisów dotyczących śmieci znajdziesz, tym bardziej niewinny się staniesz.

„Mój Boże! Nie dość, że mam na rękach krew staruszki, to jeszcze dosięgła mnie jej klątwa! Ciężko przyszło mi płacić za zbyt lekkie traktowanie innych. W końcu zobaczyłem diabła, i to na własne oczy. Widziałem go, ale wierzę jedynie w ciebie, Boże! Jestem taki jak wszyscy. Widzisz, inni twoi słudzy też pisali na murach. Okazuje się, że to, co zrobiłem, było czymś całkiem zwyczajnym. Okazuje się, że nie jestem taki wyjątkowy, jak sądziłem. Błogosławiona niech będzie moja zwyczajność! Skoro kochasz ich, możesz wybaczyć i mnie... Wybaczysz, mój Boże, no nie?”

— Oprzytomniej wreszcie! Te próżne nadzieje doprowadzą cię donikąd. Nie rozumiesz, mój drogi? Czyż to ktoś kiedykolwiek oczyścił się w śmietniku, by właśnie tobie się to miało

udać?

Po jakimś czasie zaczęliśmy sortować napisy według rodzajów. Ethel wrzucała zdjęcia do komputera i umieszczała w osobnych folderach. Najliczniejszą kategorię stanowiły na-
488

pisy z przekleństwami. Najczęściej spotykany był ten: „Kto tu śmieci, jest świnią”. Dużymi literami na murze ulicy Eski Banka w dzielnicy Galata wypisano: „Wyrzucający tu śmieci ma (...) za matkę”. Jedno słowo zostało starannie zamazane. Obie frontowe ściany odrapanego budynku, stojącego dokładnie na rogu ulicy Usturumcu w dzielnicy Fatih, pokryte były wielokrotnie powtarzającym się napisem — jakby nauczyciel kazał komuś za karę napisać sto razy to samo: „Kto tu wyrzuca śmieci, jest kurwą”. W tej samej dzielnicy przy ulicy Kiriktulumba można było przeczytać: „Kto tu wywala śmieci, jest najgorszą świnią”. Choć obelżywych haseł było najwięcej, zawarte w nich wyzwiska były dość ograniczone. „Jeśli ten, kto tu wyrzuca śmieci, to kobieta, jest kurwą, a jeśli to mężczyzna — alfonsiem” — wypisano na kawałku deski przywiązanej do morwy w dzielnicy Dolapdere. Nieco dalej, tym razem na fasadzie budynku, uwagę przyciągał inny napis: „Kto tu wyrzuca śmieci, zasługuje na najgorsze wyzwiska”. W Órnektepe na rozwalającym się murku dziesiątki namalowanych czarną i białą farbą napisów nakładały się jedne na drugie. Piętrzyły się, namazane niedbale, i każdy nowy zacierał poprzednie. Nad wszystkimi dominował jeden, najwyraźniej najświeższy, namalowany farbą w kolorze ultramaryny: „Kto Tu Wyrzuca Śmieci Jest Kurwim Pomiotem Porządny Człowiek To Rozumie”. Ale najdalej w obelgach posunął się autor napisu na ulicy Keresteci Recep w Dolapdere: „Jebać matkę żonę siostrę i całą rodzinę tego co tu wyrzuca śmieci”.

Równie rozpowszechnione, co obelżywe były napisy oparte na opozycji ludzie-nie-ludzie. Na ulicy Dżamekian w dzielnicy Galata na tabliczce można było przeczytać: „Jeśliś człowiekiem, nie śmieć, jeśliś niedźwiedziem — śmieć sobie”. Na bocznej ścianie banku przy ulicy Kiicuk Hendek nabazgrano węglem: „Kto nie jest człowiekiem niech tu wysypuje śmieci”,
489

a w Dolapdere kredą wzdłuż wejścia do kamienicy: „Człowiek tu śmieci nie wyrzuca”. Mury kościoła obrządku syryjskiego pokrywały napisy: „Nie wyrzucaj śmieci, bądź człowiekiem” oraz „Kto tu wyrzuca śmieci, sam jest śmieciem”.

Trzecią kategorię stanowiły napisy starające się zaszczepić świadomość obywatelską. „Kto ma zwyczaj zaśmiecać otoczenie ma rozum, ale nie ma świadomości” — stwierdzał napis w Kugtepe. W tej samej dzielnicy na blaszanej tabliczce przybitej na skrzyżowaniu ulic widniał apel: „Nie zostawiamy w pobliżu śmieci, szanujmy innych”. Ten wyróżniał się wśród napisów starannymi, wręcz kaligraficznymi literami. A w Ba-

łacie, przy antycznej studni pośrodku bazaru oświadczano stanowczo: „Kto tu wyrzuca śmieci, nie ma honoru. To miejsce należy do nas wszystkich”. W Órnektepe na murze domu, który z pewnością legnie w gruzach przy najbliższym trzęsieniu ziemi, stało: „Kto tu wyrzuca śmieci, wyrządza krzywdę sąsiadom”. Odwiedzających prawosławny patriarchat w Fenerze z daleka już witał napis: „Wyrzucający tu śmieci są łajdakami bez honoru”.

Znaczna część napisów pozostawała nie dokończona. Niektóre po prostu częściowo się zatarły, inne już od początku były chyba niekompletne. W wielu miejscach można było przeczytać jedynie: „Tutaj śmieci”. Dalszego ciągu nie było. Na ulicy Papieża Roncallego w Harbiye napis na murze naprzeciwko szkoły podstawowej utracił część liter: „Ko tuaj śmieci wyrzu jest śwituch”.

Nie brakowało też napisów zawierających groźby. Wśród nich najczęściej powtarzało się ostrzeżenie: „Tego, kto tu wyrzuca śmieci, spotka nieszczęście”. W Fatihu mury fontanny przy meczecie Uębas, pokrywały po obu stronach pogrożki: „Nie wyrzucaj tutaj śmieci, kara spadnie na twe dzieci!”. Najbardziej złowieszczy napis był wypisany flamastrem na ka-

490
wałku tektury i zawieszony przy jednej z ruchliwszych ulic tej dzielnicy: „Niech umrze dziecko temu, kto tu wyrzuca śmieci”.

Oprócz obelżywych i z groźbami były też hasła sformułowane w sposób grzeczny i kulturalny: „Proszę nie wyrzucać tu śmieci!” albo „Uprasza się o niewyrzucanie w tym miejscu śmieci”. Przy wejściu do Szkoły Podstawowej im. Głównodowodzącego Floty dwie, złożone tylnymi stronami, tabliczki zwracały się jedna do uczniów, druga do przechodniów: „Proszę nie wrzucać śmieci na teren szkoły”. Na parkanie otaczającym plac budowy na ulicy Asmahmescit umieszczono prośbę o zbliżonej wymowie: „Zakaz wyrzucania śmieci. Please!”, a na Meymenet nieco inną: „Prosimy tych, co Boga mają w sercu, by nie wyrzucali tu śmieci”.

Najczęściej spotykanym słowem był „zakaz”. Na murze otaczającym pałac Ulah wydrapano wielkie litery: „Zakaz wyrzucania śmieci”. Przy znanym zakładzie krawieckim w Harbiye stwierdzono krótko i dobitnie: „Zakaz śmieci”. Równie popularnym słowem było „stanowczo”. „Wyrzucanie śmieci jest stanowczo zabronione” — głosił napis na olbrzymiej ścianie Polikliniki Szpitala Zakładu Ubezpieczeń Społecznych w dzielnicy Okmeydam, umieszczony tak, by był łatwo dostrzegalny z ulicy. Tuż dalej: „Stanowczo zakazuje się wysypywania gruzu i śmieci”.

Niemal się nie zdarzało, by pod hasłem widniał podpis osoby lub instytucji. Było jednak kilka wyjątków. W tych wypadkach wyraźnie odczuwano potrzebę podparcia zakazu jakimś autorytetem, stąd najczęściej podpisany był wójt dzielnicy.

„Uprasza się o niewysypywanie śmieci. W razie stwierdzenia takiego faktu zostanie nałożona kara. Wójt" — głosił napis na ulicy Mesnevihane. Powoływano się też na ratusz: „Wobec osób wyrzucających tu śmieci zostaną zastosowane przez władze

491

miasta sankcje karne". Niekiedy jako autorzy apelu jawili się okoliczni mieszkańcy. Tak było na przykład w Zeyreku: „Niech Bóg skarże tego, kto tu wyrzuca śmieci i parkuje samochody. Mieszkańcy dzielnicy".

Następne w kolejności były zakazy z odniesieniami do religii i wiary. Przy pałacu wzniesionym przez mołdawskiego księcia Dmitriego Kantemira w latach 1688-1710, a z którego obecnie pozostały wyłącznie ruiny, napisano: „Na Boga, nie wyrzucajcie tu śmieci". Zbliżone hasła pokrywały od góry do dołu mur wokół Prywatnego Greckiego Liceum, podobnie zresztą jak ogrodzenia meczetów. „Kto wierzy i się modli, ten tu śmieci nie wyrzuca" — komputerowy wydruk tej treści umieszczony został przy ulicy Dumanh w dzielnicy Kagithane, a sto metrów dalej przeczytaliśmy: „Niech w krzyżu zegnien tych, co tu wyrzucają śmieci". „Bóg karze wyrzucających tu śmieci" — brzmiał napis w jednej z bocznych uliczek wychodzących na plac w Kadikoy. „Proszę nie wyrzucać śmieci. Złorzeczą!" — taki tekst znaleźliśmy na ogrodzeniu ogrodu w Fatih, pokrytym plakatami z wyborów wójta. W tej samej okolicy udziału w kampanii przeciwko śmieciom nie zdołał uniknąć wciśnięty między dwie kamienice stary cmentarzyk — na całej długości przylegającej do niego ściany kamienicy biegła prośba: „NA BOGA, NIE WYRZUCAĆ ŚMIECI". Na pewnej zaś fontannie w Cihangirze napotkaliśmy znajomy napis: „Tu spoczywa święty mąż. Nie wyrzucać śmieci". Napomnienia te widniały wszędzie tam, gdzie stare mieszało się z nowym, gdzie docierał smród Stambułu. Za niespodziewanym zakrętem drogi, na opustoszałym zboczu wzgórze, gdzie nie uswiadczyłeś żywej duszy i tylko dżiny urządzały sobie harce, na ścianach gorzko uśmiechającego się zabytkowego budynku, na podmurówce jedyne ocalałego w okolicy starego pałacyku, w prowadzących donikąd zaułkach, na

492

brudnych targowiskach, gdzie drogę zagradzały stopy odpadków, w ruinach wyburzonych domów, na ścianach okazałych kamienic i brzydkich, zaniedbanych budynków urzędów, na murach szpitali, na których sam widok człowiek czuje się chory, szkół o surowej dyscyplinie i świątyń nie wymienionych nawet z nazwy na poźółkłej bożej mapie. Były ich dziesiątki tysięcy i ich liczba z dnia na dzień nieustannie rosła. Równocześnie w postępie geometrycznym powiększała się moja kolekcja zdjęć.

Wkrótce jednak Ethel znudziły się poszukiwania. Stopniowo oddalała się, aż porzuciła śmieci i mnie. Jak projekt zaniechany w połowie zostałem zdeponowany w jej magazynie

kochanków, z których każdy był takim właśnie nie dokończonym projektem.

LOKAL NUMER 8

— Co zamierzasz zrobić z tyloma zdjęciami? — burknęła Błękitna Kochanka, z dezaprobatą mierząc wzrokiem wnętrze mojego mieszkania, które coraz mniej przypominało dom, a coraz bardziej magazyn. — Po co ci to wszystko?

— Nie zbieram ich po coś.

— Dlaczego więc to robisz?

Właściwie to nic nie robię. Nie czuję, bym cokolwiek robił.

Moje poczynania w gruncie rzeczy zmierzają raczej do nierobienia niż robienia. Nie działanie, lecz brak działania... Nie mogę powstrzymać się przed szukaniem, szukam i znajduję, zbieram to, co znalazłem, gromadzę to, co zebrałem, i nie mogę zdobyć się na odwagę, by to, co nagromadziłem, wyrzucić.

— I co będzie potem? — nalegała Błękitna Kochanka.

ythoty

Każdą epokę geologiczną symbolizuje jakieś zwierzę. Ta, w której żyjemy, jest epoką owadów. Owady zapewniły sobie w niej wyraźną przewagę nad innymi grupami zwierząt.

prof. dr Ali Demirsoy,

Podstawowe prawa życia. Entomologia, tom II

— A CO POTEM? — spytała z naleganiem w głosie koleżanka z celi.

— Potem nic. Facet zaczął zbierać napisy dotyczące śmieci, które nigdy na nic mu się nie przydadzą. I tyle.

Powiedziała, że według niej to bzdura. Nie poczułam się urażona. To najordynarniejszy ze sposobów na powiedzenie komuś: „Masz bujną wyobraźnię!”. Może i ma rację. Gdy zaczynam się niepokoić, gdy nie wiem, co i kiedy mam powiedzieć, gdy boję się spojrzeć ludzi, a staram się tego nie okazać, gdy chcę przedstawić się komuś, kogo pragnę poznać, a nie przyznaję się, że w rzeczywistości znam siebie w stopniu bardzo ograniczonym, gdy przeszłość mi dokucza i nie mogę pogodzić się z tym, że przyszłość wcale nie zapowiada się lepiej, gdy dręcę się, że nie mogę być tą osobą, na jaką wyglądam... plotę bzdury. Bzdury są jednakowo odległe zarówno od prawdy, jak i od kłamstwa. Kłamstwo jest odwrotnością prawdy, a bzdury stapiają w sobie prawdę i kłamstwo tak, że nie da się odróżnić jednego od drugiego. Wydaje się to skomplikowane, ale w gruncie rzeczy jest bardzo proste. Tak proste, że można wyrazić to jedną kreską.

497

Prawda to linia pozioma. Może to być hotelowy korytarz, sala szpitalna, ośrodek rehabilitacyjny czy przedział kolejowy. One też są poziome. W tego typu miejscach wszystkie osoby są ułożone jedna obok drugiej i tworzą z nami poziomy układ. Nie sposób tu zapuścić korzeni. Poziom to matecznik tymczasowości. Ja też żyję na poziomej linii, i to dokładnie od sześć-

dziesięciu sześciu dni. W siódmej z dziesięciu cel ułożonych jedna obok drugiej wzdłuż długiego korytarza.

Kłamstwo jest linią pionową. Może to być na przykład drapacz chmur. Albo kamienica wzniesiona wzdłuż pionowej linii, złożona ze zbudowanych jeden na drugim pojedynczych domów, siedmiopiętrowa, z dwoma piętrami nad cmentarzem. Tu można zapuścić korzenie, rozłożyć gałęzie, rozkwitnąć. Pion jest opoką trwałości, imitacją nieśmiertelności.

Pałac Cukiereczek to kamienica wzniesiona na miejscu cmentarzy. Piętrowo wnosząca się pionowa linia. To moje kłamstwo. Bo ja opowiadam o tym wszystkim nie stamtąd, lecz stąd, z więzienia.

Pierwszego maja 2002 roku znalazłam się w niewielkiej grupie osób, które postanowiły przełamać policyjny kordon. Zostałam zatrzymana i zawleczona do furgonetki, gdzie znalazłam się obok osobnika w nieokreślonym wieku, z komicznym wyrazem twarzy, o marchewkowych włosach i uszach odstających jak anteny satelitarne. Oczy miał z przerażenia okrągłe jak spodki i jego strach sprawił, że zapomniałam o własnym. Gdy wieźli nas na komendę, bez przerwy bełkotał, że nie ma nic wspólnego z polityką i zajmuje się wyłącznie zwalczaniem

498
robactwa. Mówił prawdę. Rzeczywiście był specjalistą od dezynsekcji i prawdopodobnie od trzydziestu trzech lat jeszcze nigdy nie czuł takiej awersji do swojego zajęcia jak teraz. Nie miał na imię Krzywda, wymyśliłam to. Ale nie jest to od początku do końca jedynie wymysł. Zdawało się bowiem, że doznał w życiu wielu krzywd. Nazwisko jest jednak całkowicie prawdziwe. Nie uważam też, że kłamię, gdy mówię, że nie został aresztowany. Został przecież wypuszczony tego samego dnia wieczorem. Wypuścili go, a mnie aresztowali.

Odkąd się tu znalazłam, nie ma dnia, bym nie pomyślała o Krzywdzie ÓzTURKU. Wszystko przez robactwo. Brzydzę się nim od zawsze. Jestem wywrotowcem, który boi się owadów. A tu niestety aż się od nich roi. Zwłaszcza od prusaków.

W ubikacjach, na kratkach wentylacyjnych, w szczelinach ścian, w szmerach, które słyszę... Nieustannie się poruszają i korzystając z ciemności, mnożą się... Ale najgorsze są, wierzcie mi, wszy.

Doprawdy, abyście mogli to wszystko zaobserwować, musicie mnie odwiedzić i pobyć tu chwilę. Skoro jednak nie macie na to czasu, pozostaje wam zadowolić się wysłuchaniem tej opowieści. W końcu przemawiam własnym głosem — nie dodając do wydarzeń zbyt wiele od siebie. To znaczy niezupełnie tak. Raczej stapiam poziomą linię prawdy z pionową linią kłamstwa i staram się znaleźć możliwie daleko od nieznośnej monotonii miejsca, w którym przebywam. Nudzę się bowiem. Gdyby ktoś dał mi nadzieję, że jutro coś się zmieni, być może byłoby mi lżej. Ale jutro będzie dokładnie takie samo jak dziś i jak przez wszystkie następne dni. Uparcie powtarza się jed-

nak nie tylko moje życie. Choć oba wyglądają tak różnie, pion jest w gruncie rzeczy tak samo wierny swej niezmienności jak poziom. To, co zwą „wiecznym powtarzaniem się”, dotyczy nie kręgów, lecz linii.

499

Wymyśliłam tę historię, by pokonać tkwiący we mnie lęk przed owadami. Wyobrażałam sobie, że w jednej z cel, w których nas rozmieszczono wzdłuż poziomej linii, mieszka wdowa staruszka, zbierająca w tajemnicy przed wszystkimi śmieci. Dlatego nie można uznać, że od początku do końca kłamalam. Można mnie oskarżyć jedynie o to, że stopiłam prawdę z kłamstwem. Że wróciłam do początku, zamiast dotrzeć do końca...

A ja? Nie pozostanę tu długo. Wymierzili mi karę roku i dwóch miesięcy więzienia. Z tego sześćdziesiąt sześć dni już odsiedziałam. Pierwszego dnia z tych sześćdziesięciu sześciu nie mogłam przywyknąć do robactwa i bałam się go. Pozostałą część spędziłam na wymyślaniu tego, co właśnie przeczytaliście, i na zapominaniu o strachu. Teraz szarawa blaszana pokrywa wciąż się kręci, co wskazuje na to, że nie wiem, jak spędzę pozostałych trzysta sześćdziesiąt dni.

Lecz gdy stąd w końcu wyjdę, chciałabym spotkać się z Krzywdą Özturkiem. Pierwszym specjalistą od dezynsekcji, którego aresztowano jako wywrotowca. Życie jest nonsensem... Dość już zabawy możliwymi odpowiedziami w grze „komu, kiedy, co się przydarzy”. Fortunie się znudziło.

Lokal numer 1

Lokal numer 2

Lokal numer 3

Lokal numer 4

Lokal numer 5

Lokal numer 6

Lokal numer 7

Lokal numer 8

Lokal numer 9

Lokal numer 10:

Musa, Meryem i Muhammet

Sidar i Gaba

Fryzjerzy Cemal i Celal

Rodzina Ognistych

Hadzi Haci, jego syn, synowa i wnuki

Metin Twardziel i Jego żonaNadia

Ja

Błękitna Kochanka

Tijen Czyścioszka i Su

Madame Babcia

Wymowa w języku polskim

niektórych głosek tureckich

c — czyt. cz (Selcuk — Selczuk)

c — czyt. dż (Cemal — Dżemal)
i — czyt. y (Haci — Hadży)
j — czyt. ż (Tijen — Tiżen)
s — czyt. sz (acure — aszure)
y — czyt. j (Aycin — Ajszin)
g — a) wydłużenie poprzedzającej samogłoski i ścieśnienie gardłowe
(Kagithane czyt. Kiaythane)
b) czyt. j (w otoczeniu samogłosek przednich: e, i, 6, ii
— sigara bóregi czyt. sigara bóreji)
6 — czyt. francuskie eu, niemieckie ii
ii — czyt. francuskie u, niemieckie 6

Opieka redakcyjna serii

Anita Kasperek

Konsultacja merytoryczna

prof. dr hab. Tadeusz Majda

Redakcja

Renata Bubrowiecka

Opracowanie graficzne

Robert Kleemann

Redakcja techniczna

Bożena Korbut

Printed in Poland

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o., 2009

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

bezpłatna linia telefoniczna: 0 800 42 10 40

księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl

fax: (+ 48-12) 430 00 96

tel: (+48-12) 619 27 70

Skład i łamanie: Infomarket

Druk i oprawa: Drukarnia Narodowa S.A.

Już jesienią ukaże się

kolejna powieść Elif Safak

1 ELIF SAFAK

przeł. Michał Kłobukowski